

Jonathan Kellerman

W OBRONIE WŁASNEJ

Rozdział pierwszy

Uśmiechnęła się, jak zwykle. Z krzesła miała doskonały widok na ocean. Tego ranka przypominał pofałdowaną ciemnoniebieską blachę, połączoną przez wschodzące słońce. Na niebie pelikany rozpoczęły zwiadowczy lot. Wątpię, czy ona to wszystko zauważyła.

Przeszła przez pokój, próbując się rozluźnić.

– Dzień dobry, Lucy.

– Dzień dobry, doktorze Delaware.

O nogi objęła jej się ogromna torebka na skórzanym pasku. Ubrana była w jasnoniebieski bawełniany sweter i różową plisowaną spódnicę. Lśniące, płowe włosy, z tapirowaną grzywką, spływały do ramion. Szczupłą twarz pokrywały delikatne piegami. Miała wystające kości policzkowe i delikatne rysy twarzy, w której uwagę przykuwały olbrzymie piwne oczy. Nie wyglądała na swoje dwadzieścia pięć lat.

– A więc – powiedziała wzruszając ramionami.

– Więc?

Uśmiech zamarł jej na ustach.

– Dzisiaj chcę porozmawiać o nim.

– W porządku.

Na moment umilkła.

– O tym, co zrobił.

Skinąłem głową.

– Nie, nie – dodała. – Nie chodzi mi o to, co pan już wie, lecz o sprawy, o których jeszcze nie wspominałam.

– Jakie sprawy?

Zacisnęła usta. Palcami jednej ręki nerwowo postukiwała w kolana.

– Nawet pan sobie nie wyobraża czegoś takiego.

– Lucy, czytałem akta procesowe.

– Wszystkie?

– Wszystkie szczegóły związane ze zbrodnią. Zeznania detektywa Sturgisa, jak również zeznających z wolnej stopy.

– A zatem... pewnie pan wic – spojrzała na ocean – Sądziłam, że wyrównałam już z nim rachunki, a tymczasem okazuje się, że nie.

– Męczą cię koszmarne sny?

– Nie, nie, rozmyślania na jawie. Przepływają mi przed oczyma różne obrazy, gdy siedzę przy biurku czy oglądam telewizję, w każdej właściwie sytuacji.

– Obrazy z procesu?

– Te najgorsze... powiększone zdjęcia. Wyrazy twarzy rodziców Carrie Pioldingi, Męża Anny Lopez. – Odwróciła wzrok. – Jego twarz. Tak jakbym przeżywała to wszystko od nowa.

– Niewiele czasu upłynęło, Lucy.

– Dwa miesiące to mało?

– Za mało po tym, co przeszłaś.

– Chyba ma pan rację – odparła. – Przez cały czas, gdy zasiadałam w ławie przysięgłych, czułam się, jakbym sięgała dna. Im bardziej brutalne stawały się zeznania, tym lepiej się bawiłam. Jakby wyzywająco obnosił się ze swoją podłością. Prowokował, żeby go ukarać – uśmiechnęła się. – Powinnam się czuć usatysfakcjonowana ukaraniem go, więc dlaczego tak nie jest?

– Wyrok może i był satysfakcjonujący, ale zanim do tego doszło...

Potrząsnęła głową, jakbym jej nie zrozumiał.

Nawet nie śmiałybym podejmować analizy jego czynów. Przez dłuższą chwilę milczała.

– Dla niego wszystko było zabawą. Pod pewnym względem był wyrośniętym dzieckiem. Zmieniał ludzi w lalki, żeby się nimi pobawić... Niektóre dzieci właśnie tak się bawią, prawda?

– Normalne dzieci nie.

– Czy sądzisz, że mówił prawdę o molestowaniu?

– Nie mamy na to żadnych dowodów.

– No, tak... ale przecież, jak można... czy rzeczywiście mógł popadać w jakieś odmiennie stany, mieć wiele osobowości, tak jak utrzymywał tamten psychiatra?

– Na to też nie mamy dowodów, Lucy.

– Wiem, ale co pan o tym myśli?

– Wydaje mi się, że jego anormalne zachowanie na procesie było udawane i miało na celu potwierdzenie niepoczytalności.

– Uważa pan zatem, że postępował całkowicie racjonalnie?

– Nie wiem, czy to właściwe określenie, ale z pewnością nie był maniakiem i nie włada-

ły nim niemożliwe do opanowania popędu. Robił wszystko z własnej woli. Zadawanie cierpień sprawiało mu przyjemność.

– Myśli pan, że był nienormalny? – dotknęła wilgotnego policzka.

– W każdym razie nie zażywał żadnych pigułek i nie uczestniczył w seansach psychoterapeutycznych – podałem jej chusteczkę.

– A zatem najlepszym wyjściem jest wyrok śmierci?

– Najlepszym wyjściem jest odizolowanie go od reszty społeczeństwa. Tak leż zrobiliśmy.

– Adwokat twierdzi, że on z pewnością zasłużył na komorę gazową zaśmiała się nerwowo.

– I to cię dręczy? – zapytałem.

– Nie... zresztą może. Sama nie wiem. Jeśli jednak skończy się na komorze, z pewnością nie pójdę oglądać, jak się dusi. Zasłużył sobie na to, lecz najbardziej przeraża mnie chyba jego wyrachowanie. Świadomość, że w danym dniu, o dokładnie oznaczonej godzinie... ale czy ja podjąłabym inną decyzję? Czy byłby inny wybór? Wypuścić go i dać mu okazję do powtórzenia tych czynów?

– Każdy werdykt sądu jest trudną decyzją.

– A pan wierzy w karę śmierci?

Zamyśliłem się, układając sobie w głowie odpowiedź. Z reguły starałem się nic ujawniać w trakcie terapii własnych poglądów, ale w tym wypadku byłoby to błędem.

– Zgadzam się z tobą, Lucy. Dręczy mnie myśl o tym, że można kogoś uśmiercić z zimną krwią i trudno byłoby mi to wykonać. Ale uważam, że w niektórych przypadkach jest to najwłaściwsza decyzja.

– Kim w końcu jesteśmy, doktorze Delaware? Hipokrytami?

– Nie – zaprzeczyłem. – Ludźmi z krwi i kości.

– Podpisałam się pod tym wyrokiem z oporami. Wstrzymywałam się od głosu. Inni nakłaniali mnie do pośpiechu.

– Ciężko było?

– Nie, nie byli złośliwi, nic z tych rzeczy. Tylko traktowali mnie tak, jakbym była głupią dziewczynką, którą można w końcu przekonać. A presja opinii publicznej dokonała reszty.

– Nie było chyba innego wyjścia?

– Raczej nie.

– Lucy, masz chyba wyrzuty sumienia – powiedziałem. – Może właśnie dlatego znowu nawiedzają cię koszmary.

– O co chodzi? – wyglądała na zdezorientowaną.

– Prawdopodobnie jeszcze raz przeżywasz wszystko od początku.

– Żeby przekonać się o słuszności mojej decyzji?

– Właśnie.

To ją chyba nieco uspokoiło, choć jeszcze płakała. Chusteczka zmieniła się w mokry zwitek, więc podałem jej następną.

– A właściwie chodziło o seks, prawda? – zapytała, znieczulona. – Podniecało go cierpienie innych. Cała argumentacja obrony, dotycząca niemożliwych do opanowania popędów, to jedna wielka bzdura. Muszę już chyba iść – popatrzyła na zegarek.

Zegar na kominku wskazywał, że do zakończenia wizyty pozostał jeszcze kwadrans.

– Mamy jeszcze czas.

– Wiem, ale nie będzie pan chyba miał nic przeciwko temu, że wyjdę nieco wcześniej? Mam kupę roboty, na biurku panuje... – skrzywiła się i odwróciła wzrok.

– Co?

– Chciałam powiedzieć kompletny burdel – zaśmiała się. – Całe to zdarzenie źle na mnie wpłynęło, doktorze Delaware.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

– Czas leczy wszystkie rany.

– Z pewnością ma pan rację... Czas. Tak bym chciała, żeby doba miała trzydzieści cztery godziny.

– Masz jakieś zaległości w związku z uczestnictwem w ławie przysięgłych?

– Nie, nadrobiłam je już po tygodniu. Ale odnoszę wrażenie, że praca jest coraz cięższa. Zwalają na mnie robotę, jakby chcieli mnie za coś ukarać.

– A to dlaczego?

– Za trzy miesiące urlopu. Firma miała obowiązek udzielenia mi go. Kiedy pokazałam szefowi wezwanie z sądu, poradził, żebym się od tego wykręciła. Nie posłuchałam. Uważałam, że to ważne. Nie zdawałam sobie sprawy, w co się pakuję.

– A gdybyś się tego spodziewała, zrezygnowałabyś?

– Sama nie wiem – zamyśliła się. – Tak czy inaczej, dostałam jeszcze do zbilansowania księgi ośmiu wielkich przedsiębiorstw. Kiedyś taki nawał pracy zdarzał się tylko w okresie rozliczeń podatkowych.

Wzruszyła ramionami i wstała, a za jej plecami widać było lecące gdzieś pelikany. Gdy doszliśmy do drzwi, zapytała:

– Widział się pan ostatnio z detektywem Sturgisem?

– Kilka dni temu.

– Co u niego?

– Wszystko w porządku.

– Miły z niego facet. Nie mam pojęcia, jak on może prowadzić takie sprawy.

– Nie wszystkie przestępstwa przypominają sprawę Schwandta.

– I dzięki Bogu – wygładziła spódnicę na wąskich biodrach.

– Czy aby na pewno chcesz wyjść wcześniej? Zajęliśmy się bardzo ważnymi i niepokojącymi problemami.

– Wiem, jakoś sobie poradzę. Rozmowa o tym trochę mi pomogła.

Wyszliśmy z domu i skierowaliśmy się do bramy. Stanęliśmy przy autostradzie Pacific Coast. W tym miejscu, na północ od Kolonii Malibu, ruch był niewielki. Mimo to huk mknących pojazdów był ogłuszający i z trudem dosłyszałem powtórzone przez nią wyrazy wdzięczności.

Patrzyłem, jak wsiada do małego niebieskiego colta. Samochód zapalił, skręcił ostro i odjechała. Wróciłem do siebie i wpisałem jej wizytę do karty. Czwarty seans. Znowu rozmowa na temat zbrodni Schwandta, o procesie, ofiarach, ani słowa o wizjach, które sprowadziły ją tu za pierwszym razem. Napomknąłem o nich wtedy, ale natychmiast zmieniła temat i musiałem zrezygnować. Możliwe więc, że już jej nie dręczą, gdyż przynajmniej część przerażających scen udało mi się powiedzieć w słowach, wyrzucić z jej świadomości.

Włączyłem ekspres i wyszedłem na taras. Obserwując pelikany, wyobrażałem sobie, jak siedziała przez trzy miesiące w ławie przysięgłych.

Dziewięćdziesiąt dni w cuchnącym bagnie. A wszystko dlatego, że nie je mięsa.

– Stuprocentowa wegetarianka – mówił Milo znad kieliszka scotcha. – Jeździ z naklejką Frontu Wyzwolenia Zwierząt. Rzecz jasna, obrońca od razu to wywęszył.

– Współczuje wszystkiemu, co żyje – wtrąciłem.

– Obrona sądziła, że wykaże na tyle refleksu, żeby nie wiązać tej zaszrannej sprawy z

ekologią – chrząknął Milo. Zaśmiał się nieprzyjemnie, dopił alkohol i przesunął ręką po twarzy, jakby chciał ją przemyć.

– Nic z tego. Trudno przypuszczać, żeby mieli mu wkrótce podać cyjanek, podczas gdy jego prawnicy zasypują sąd tonami papieru.

Był nieźle podchmielony, ale jakoś się trzymał. Siedzieliśmy o pierwszej po północy w opustoszałym cocktail barze. Lokal znajdował się niedaleko od sądu, w którym już od trzech miesięcy Jobe Rowland Schwandt zajmował sąd swą osobą. Lubieżny, chichoczący, dłubiący w nosie, wyciskający pryszcze i pobrzękujący kajdankami Schwandt, uwielbiał przyciągać uwagę, tak samo jak z wielką rozkoszą zadawał ból. Po trwającej dziesięć miesięcy krwawej uczcie proces stał się dlań obfitym deserem. Człowiek upiór.

Im bardziej odpychające stawały się zeznania, tym częściej wykrzywił twarz w obrzydliwym grymasie. Po odczytaniu wyroku śmierci chwycił się za krocze i próbował się obnażyć na oczach rodzin ofiar.

– Bez ryb – ciągnął Milo, stawiając kieliszek na barze. – Bez jajek i wyrobów mlecznych. Same owoce i warzywa. To chyba nazywa się jarskie żarcie?

Twierdząco skinąłem głową. Barman, podobnie jak większość klientów, był Japończykiem. Menu składało się z zaprawionej soją mieszanki: ogórków i ryżu w wodorostach oraz małych, różowych krewetek. Rozmawiano tu cicho i uprzejmie, więc nawet ściszony głos Mila brzmiał donośnie.

– Większość ludzi o szlachetnych intencjach, potrafi tylko ładnie mówić, ale ona jest wyjątkiem. Cichy, łagodny głos – ładna, lecz nie przywiązuje do tego wagi. Znałem kiedyś podobną dziewczynę. Chodziliśmy razem do tego samego liceum. Potem wstąpiła do zakonu.

– Czy Lucy wygląda na zakonnice?

– Skąd ja mogę wiedzieć?

– Potrafisz oceniać ludzi.

– Naprawdę? Nie wiem nic o jej życiu uczuciowym. W ogóle mało o niej wiem poza tym, że trapi ją koszmary.

– Panna?

– Tak zeznała.

– Jakiś chłopak?

– Nic o tym nie mówiła. A bo co?

– Zastanawiam się, jak układają jej się stosunki z rodziną?

– Mówiła, że ojciec nie żyje, a z matką się nie widuje. Wygląda na to, że jest raczej samotniczką. Spodobała się chyba adwokatom z obrony.

– Więc dlaczego prokuratura jej nie odrzuciła?

– Rozmawiałem o tym z George'em Bidwellem. Mówił, że lista kandydatów zaczęła się kurczyć. Przypuszczali, że dzięki swej pozytywnej postawie moralnej będzie w stanie wydać właściwą opinię.

– Zgadzasz się z tym?

– Chyba tak. Jest w niej jakiś hart ducha. Znasz dowcip o konserwatyście, czyli eksliberale, którego napadli na ulicy? Mam wrażenie, że sporo w życiu przeszła.

– Z czego żyje?

– Przelicza cyferki w jednej z tych wielkich firm rachunkowych w Century City.

– Rewidentka?

– Księgowa.

– Czy oprócz snów coś jeszcze ją męczy?

– Nic na ten temat nie mówiła. O snach wspomniała tylko dlatego, że zauważyłem, jak źle wygląda, na co odpowiedziała, że ostatnio nie najlepiej sypia. Poszliśmy więc do lokalu i opowiedziała mi o wszystkim. Szybko zmieniła temat, więc już nie nalegałem. Następnym razem też miała znużony głos. Poleciłem jej wizytę u ciebie. Miała to przemyśleć. Stwierdziła potem, że pójdzie za moją radą.

Wyjął z kieszeni cygaro, popatrzył na nie pod światło i schował z powrotem.

– Czy inni przysięgli także mają jakieś kłopoty? – zapytałem.

– Nie kontaktowałem się z nikim innym.

– A w ogóle, jak się zetknęliście?

– Jak zwykle przyglądałem się ławnikom i nasze oczy przypadkiem się spotkały. Zwróciłem na nią uwagę już wcześniej, bo zawsze sprawiała wrażenie osoby, która bardzo się stara. Gdy zacząłem składać zeznania, dostrzegłem, że mi się uporczywie przypatruje. Potem raz po raz na siebie spoglądaliśmy. Co dzień, po zakończeniu posiedzenia sądu, odprowadzano ławników pod ochroną za budynek sądu, gdzie akurat stał mój zaparkowany samochód. Zamachała ręką w moim kierunku. Miała skupione spojrzenie. Wyczułem, że mnie o coś prosi, więc dałem jej swoją wizytówkę. Trzy dni później zadzwoniła.

Przycisnął jedną dłoń do kontuaru i zaczął przypatrywać się knykciom.

– Wyczerpałem już w tym roku pulę dobrych uczynków. Nie bardzo wiem, na ile ją

stać...

– Nie sądzę, żeby księżowe inwestowały w dochodowe akcje – odparłem. – Coś wymyślimy.

Jedną ręką miętosił ciężki podbródek. Grubymi jak serdelki palcami obciągał tłuste ciało w kierunku mięsistej szyi. W stalowoniebieskim świetle, jakie panowało w barze, jego twarz przypominała pokryty dziobami, gipsowy odlew, a czarne włosy opadały na czoło niczym rondo kapelusza.

– OK – powiedział. – Co słychać na plaży?

– Gorąco. Masz ochotę trochę się ochlapać?

– Gdybyś widział mnie kiedyś w kostiumie kąpielowym, te słowa nie przeszłyby ci przez gardło – stęknął. – Jak idzie budowa domu?

– Wolno. Bardzo wolno.

– Jakież kłopoty?

– Zdaje się, że każdy fachowiec za swój psi obowiązek uważa zepsucie tego, co zdążył zrobić poprzednik. W tym tygodniu faceci od suchych tynków pokryli odcinki kabla elektrycznego, a hydraulicy zniszczyli podłogi.

– Szkoda, że nie wypaliło z tym Bingiem.

– Dobry był, tyle że nie miał czasu. Potrzebny był ktoś na stałe, a nie dorywczo.

– Jako policjant też nie spisuje się najlepiej – powiedział. – Chociaż inni kumple, u których wykonywał prace budowlane, mówili, że wyszło mu to całkiem nieźle.

– To, co zdążył zrobić, było bez zarzutu. Teraz, kiedy zabrała się za to Robin, idzie jeszcze lepiej.

– Jak jej to wychodzi?

– Od kiedy robotnicy zaczęli traktować ją poważnie, bardzo jej się to spodobało. Nauczyli się wreszcie, że nie można traktować jej jak powietrza – wchodzi na rusztowanie, bierze narzędzia i pokazuje, jak powinna wyglądać robota.

– To kiedy kończysz? – uśmiechnął się.

– Najwcześniej za pół roku. Tymczasem będziemy musieli gnieść się w Malibu.

– Hm... A jak ma się pan pies?

– Nie lubi wody, ale piasek przypadł mu do gustu i to dosłownie, bo się nim zajada.

– Super. Może mógłbyś wytresować go, żeby srał cegłami, to wtedy taniej cię wszyst-

ko wyniesie.

– Że też ty zawsze tak mocno chodzisz po ziemi, Milo.

Rozdział drugi

Rok ten upłynął pod znakiem wędrówek. Trzydzieści miesięcy temu, jeszcze zanim Jobe Schwandt zaczął wchodzić przez okna i rozrywać ludzi na strzępy, jakiś psychopata podpalił mi dom i zamienił dziesięć lat wspomnień w popiół. Gdy wreszcie zdobyliśmy się wraz z Robin na pozytywne myślenie, zaczęliśmy snuć plany odbudowy domu, szukając tymczasem czegoś do wynajęcia.

Znaleźliśmy wreszcie coś nad morzem, w wiejskiej części zachodniego krańca Malibu, o lata świetlne od luksusu. Mogliśmy sobie na to pozwolić dzięki recesji.

Gdyby kiedyś starczyło mi sprytu albo motywacji, mógłbym zostać właścicielem tego miejsca. Gdy za młodu – kiedy jak szaleniec rzucałem się w wir zajęć pracowałem na pełny etat w szpitalu pediatrycznym, a wieczorami leczyłem pacjentów we własnym gabinecie – zgromadziłem tyle pieniędzy, że mogłem zacząć inwestować w nieruchomości, kupując i sprzedając parę budynków mieszkalnych, by dzięki zyskom stworzyć sobie portfel akcji i obligacji, który byłby potem w sam raz na czarną godzinę. Nigdy jednak nie chciałem mieszkać na tej plaży, sądząc, że leży zbyt na uboczu od pulsującego życia miasta. Teraz z kolei taka izolacja bardzo mi się spodobała: tylko ja, Robin, Spike i pacjenci, których nie odstraszała odległość.

Od wielu już lat nie prowadziłem rozłożonej w czasie terapii, ograniczając się do konsultacji sądowych. Sprowadzało się to zazwyczaj do diagnozowania i leczenia dzieciaków, na których ciele i psychice różne wypadki i przestępstwa pozostawiły trwałe blizny, oraz do starań o prawa rodzicielskie. Od czasu do czasu trafiały się przypadki w rodzaju Lucy Lowell.

Dom był nieduży: trzysta parędziesiąt szarych drewnianych metrów kwadratowych, postawionych na piasku, ze spadzistym dachem; od autostrady oddzielał go wysoki drewniany płot i garaż dla dwóch samochodów, w którym

Robin po wynajęciu swego sklepu w Venice postanowiła otworzyć warsztat. Między domem i bramą w zagłębieniu gruntu rozciągał się obsadzony roślinami sucholubnymi ogród, gdzie stała od dawna nieużywana, drewniana wanna. Górą natomiast biegła kładka. Przez bramę za domem wychodziło się na dziesięć nierównych schodków, które prowadziły na plażę, niewielką kamienistą łachę, ukrytą w zapomnianej przez Boga i ludzi zatoczce. Od strony lądu wznosiły się porośnięte roślinnością góry. Zachody słońca były olśniewająco piękne, a czasami prawie do samego brzegu podpływały figlujące delfiny i lwy morskie. Jakież

pięćdziesiąt metrów od brzegu zaczynała się strefa wodorostów, gdzie od czasu do czasu zasadzali się w łódkach rybacy, na wyścigi z kormoranami i pelikanami polujący na ryby. Nawet tam raz popłynąłem, ale woda była lodowato zimna i pełna wirów, a dno pokryte ostrymi kamkami.

Spokojny zakątek, chociaż czasami nad głową rozlegał się huk ponaddźwiękowego myśliwca z bazy lotniczej Edwards. Legenda głosiła, że dawnymi czasy mieszkała tu ze swymi dwoma młodocianymi kochankami sławna aktorka, która potem zrobiła w tej okolicy swój wielki film i zbudowała na Broad Beach zamek w stylu orientalnym. Niezaprzeczalnym zaś faktem jest, że pewien nieśmiertelnej sławy muzyk jazzowy spędził tu kiedyś całą zimę, narkotyzując się co noc w opuszczonym domku na wschodnim krańcu plaży oraz grając na trąbce w rytm fal, dopóki nie pogrążył się w morfinicznym spokoju.

Teraz nie słyszało się o żadnych sławach. Niemal wszystkie domki należały do niedzielnych turystów, którym nie starczało czasu na odpoczynek, i nawet w większe święta, gdy przez centrum Malibu przewalały się tłumy jak na autostradzie, my mieliśmy plażę dla siebie: małe jezioro, drewno wyrzucone przez morze i piach, którego starczyłoby na podtrzymywanie apetytu Spike'a w nieskończoność.

Jest francuskim buldogiem o dziwacznej aparycji. Dwadzieścia kilo najeżonego czarną sierścią nieskoordynowanego cielska, obwisłe uszy i pomarszczona morda, na tyle płaska z profilu, że można by na niej pisać. Przypomina do złudzenia żabę, ale odwagę ma godną lwa. Jego wygląd najlepiej oddaje określenie: bulterier na środkach dopingowych. Natomiast z temperamentu jest stuprocentowym buldogiem – spokojnym, lojalnym, oddanym, upartym. Trafił do mnie przypadkiem, niemal konając już z głodu i pragnienia, po śmierci swej poprzedniej pani. Nie miałem wtedy najmniejszej ochoty na trzymanie w domu żadnego zwierzęcia, ale jakoś udało mu się w końcu zaskarbić sobie naszą życzliwość. Od szczeniaka nauczonego go wstrętu do wody, nie znosił więc morza, trzymając się z daleka od fal i szalejąc z wściekłości na widok przyływu. Czasem zabłąkał się do nas jakiś pies myśliwski lub seter i wtedy Spike ganiał z nim, aż cały się zgrzał, zdyszał i zaślinił. Ale nadrabiał te wady nowym upodobaniem do krzemu, jak również obszczekiwaniem morskich ptaków charczącym głosem, który przypominał dźwięki wydawane przez duszącego się starca.

Większość czasu towarzyszył Robin, rozkładając się w jej furgonetce i jadąc z nią do pracy. Tego dnia wyjechali o szóstej i teraz w domu panowała Hiobowa cisza. Odsunąłem szklane drzwi. Do pokoju wpadło rozgrzane powietrze i szum morza. Kawa była gotowa. Wziąłem ją na taras i pogrążyłem się w rozmyślaniach o Lucy.

Od chwili, gdy dostała od Mila mój telefon, do momentu, w którym do mnie zadzwoniła, upłynęło dziesięć dni. Nic w tym dziwnego. Pierwsza wizyta u psychoterapeuty to dla

wielu ludzi krok rewolucyjny, nawet w Kalifornii. Nieco bojaźliwie zapytała, czy możemy umówić się na wpół do ósmej rano, tak żeby mogła na dziewiątą dostać się do Century City. Moja zgoda zaskoczyła ją.

Spóźniła się pięć minut i powitała mnie przepaszającym uśmiechem.

Był to ładny, lecz bolesny uśmiech. Jej instynkt samozachowawczy dyktował przebieg pierwszego seansu. Była inteligentna, wygadana i konkretna: na temat prawniczych zawiłości strategii adwokata, zmanierowania sędziego, spokoju ducha rodzin ofiar, ordynarności Schwandta i bełkotu prasy. Gdy nadeszła pora odjazdu, sprawiała wrażenie rozczarowanej.

Podczas drugiej wizyty była w towarzystwie jakiegoś młodzieńca. Około trzydziestki, wysokiego, szczupłego, z wysokim czołem i rzednącymi blond włosami. Miał bladą cerę i piwne oczy Lucy, na twarzy malował się jeszcze bardziej bolesny uśmiech. Obwieściła, że to jej brat Peter; przywitał się cichym, sennym głosem. Uścisnęliśmy sobie dłonie: Ręka jego była koścista i chłodna, a mimo to miękka.

– Zapraszam na przechadzkę po plaży.

– Dziękuję, zostanę w samochodzie – otworzył tylne drzwi i spojrzał na siostrę, Patrycja, jak wsiada. Było ciepło, ale on miał na sobie gruby brązowy sweter, białą koszulę, wytarte dżinsy i trampki. Przy bramie Lucy raz jeszcze odwróciła się w jego stronę. Rozparł się na przednim siedzeniu i przyglądał się czemuś na swoich kolanach.

Po kolejnych trzech kwadransach okazało się, że jej uśmiech nie jest już tak pewny. Tym razem skupiła się na Schwandcie, zastanawiając się, co mogło sprowadzić go na samo dno. Zadawała pytania retoryczne. Bardzo ją to gnębiło, ale gdy poruszyliśmy temat Mila, wyraźnie humor jej się poprawił.

Za trzecim razem przyjechała sama i większość czasu poświęciła Milo. Jawił się jej jako superglina, a sprawa człowieka Upiora zdawała się utwierdzać ją w tym mniemaniu.

Schwandt był rzeźnikiem, który nie przebierał w ofiarach; wybierał ludzi z całego Los Angeles i okolic. Gdy wyszło na jaw, że wszystkie te zbrodnie coś łączy, utworzono oddział specjalny, składający się z różnych funkcjonariuszy, od policjantów z Sekcji Devonshire po szeryfów z posterunku w Lynwood. Dochodzenie dopięto na ostatni guzik dopiero dzięki rozpracowaniu przez Mila morderstwa Carrie Fielding.

Po tej zbrodni panika opanowała miasto. Ofiarą była śliczna dziesięciolatka z Brentwood, porwana z własnej sypialni, zawieziona w nieznane miejsce, zgwałcona, uduszona, okaleczona i zmaltrretowana; szczątki zostały porzucone na wysepce, przebiegającej środkiem bulwaru San Vicente, gdzie o świcie natknęli się na nie amatorzy joggingu. Zabójca jak zwykle nie pozostawił żadnych odcisków palców. Z jednym, niezidentyfikowanym wyjątkiem – czę-

ściowym odciskiem na oparciu łóżka Carrie. Nie zgadzał się on z odciskami palców rodziców i opiekunki, nie znaleziono go także wśród wzorów w kartotekach FBI. Policjantom nie mieściło się w głowie, że upiór może być debiutantem, więc rozpoczęli przeszukiwanie kartotek lokalnych, skupiając się na nowych przestępcach, których danych nie było jeszcze w komputerach. Żadnych wskazówek.

Gdy Milo wrócił do domu Fieldingów, uwagę jego zwróciła ziemia do sadzonek pod oknem Carrie. Zaledwie kilka grudek, praktycznie niewidocznych, ale niebawem okazało się, że ziemia pod oknem jest twardo ubita. Nie przypuszczał, że to odkrycie jest istotne, ale na wszelki wypadek wypytał rodziców Carrie, którzy poinformowali go, że w ogrodzie nie posadzono niczego od lata – ogrodnik to potwierdził. Ulicę natomiast ozdobiono mnóstwem sadzonek magnolii – mających zastąpić zniszczone przez zarazę stare drzewa – w ramach pokazu miejskiego patriotyzmu, wynikającego w fakcie, że jednym z sąsiadów Fieldingów był polityk. Nowe rośliny posadzono w takiej samej ziemi, jak ta odkryta pod oknem dziewczynki.

Milo pobrał odciski palców wszystkich pracowników zieleni miejskiej. Ślad zaginął po pewnym robotniku, nowo zatrudnionym człowieku nazwiskiem Rowland Joseph Sand, więc Milo udał się do jego mieszkania w Venice. Nie zastał ani mężczyzny, ani jego pięcioletniej czarnej furgonetki marki Mazda. Właściciel powiedział, że Sand opłacił czynsz za dwa miesiące, ale wczoraj spakował manatki i gdzieś pojechał. Milo otrzymał zezwolenie na rewizję i stwierdził, że mieszkanie jest odkażone i śmierdzi jakimś aromatyzowanym środkiem czyszczącym. Po uważniejszych poszukiwaniach natrafiono na zdemontowany bojler, a pod nim zarys drzwi.

– Do starej piwnicy, nieużywanej już od bardzo długiego czasu – oznajmił gospodarz.

Milo odsunął bojler i zszedł na dół.

– Prosto do piekła, Alex. Ślady krwi, strzępy ciała i fragmenty tkanek w formalinie. Igły, ostrza, zlewki i flaszki. W jednym z kątów stały torby torfu, mchu, ziemi do rozsady, ludzkich odchodów. Półka była zastawiona doniczkami.

Sprawdzono w urzędach i okazało się, że Sand podał fałszywe dane. Dalsze śledztwo wykazało, że naprawdę nazywa się Jobe Rowland Schwandt i był lokatorem kilku więzień i szpitali dla umysłowo chorych, z wyrokami za kradzieże samochodów, ekshibicjonizm, molestowanie nieletnich i morderstwa. Większość życia spędził w więzieniach, w których nigdy nie zdarzyło mu się siedzieć dłużej niż trzy lata. W zieleni miejskiej otrzymał piłę motorową.

Tydzień później niedaleko Tempe w Arizonie namierzył go policjant patrolujący autostradę; Schwandt akurat zmieniał koło w czarnej furgonetce.

W schowku pod przednią szybą znaleziono zakonserwowaną ludzką rękę, nie należącą

do dziecka i nigdy już nie zidentyfikowaną.

Wyszło na jaw, że ślad na oparciu łóżka jest fałszywym alarmem, gdyż należy do służącej Fieldingów, która w tygodniu śmierci Carrie przebywała w Meksyku i nie można było zdjąć jej odcisków palców.

Siedziałem w milczeniu i słuchałem opowieści Lucy, przypominając sobie nocne spotkania z Milem, który rozwodził się nad tym samym. Różne obrazy pojawiały się także w mojej głowie. Zdjęcie Carrie Fielding w piątej klasie. Hipnotyczny wzrok, opadające wąsy i ujmujący uśmiech Schwandta, lśniący czarny kosmyk włosów, opleciony wokół jego długich, białych palców.

Czy Lucy może liczyć na powrót do niewinnej nieświadomości? Mógłbym coś o tym powiedzieć, gdybym dowiedział się więcej o jej życiu. Ta furtka pozostawała jak na razie zamknięta.

Zająłem się dokumentami, pojechałem zrobić zakupy na targu w Trancas i zdążyłem akurat na telefon Robin, która chciała zawiadomić, że przyjedzie do domu za parę godzin.

– Jak tam w naszej beczce bez dna? – zapytałem.

– Coraz głębiej. Potrzebna będzie nowa kanalizacja.

– Czyli stal. Jak ogień mógł dać sobie z nią radę?

– Prawdę mówiąc za przeciwnika miała glinę. Z tego chyba robiło się kiedyś rury, które nie spaliły się, lecz zostały uszkodzone czymś ciężkim sprzętem.

– Czymś?

– Nikt się jak dotąd nie przyznał. Może traktor, buldożer, jakaś ciężarówka, wystarczyłby nawet kilof.

Wydech. Wdech. Przypomniałem sobie, jak to pomagam setkom pacjentów w odprężeniu się.

– Ile?

– Jeszcze nie wiadomo. Musi przyjechać ktoś z urzędu i porozmawiać z hydraulikami. Przykro mi, skarbie, ale to powinna być już ostatnia większa awaria. Co u ciebie?

– Nie najgorzej? A ty co powiesz?

– Powiedzmy, że codziennie uczę się czegoś nowego.

– Dzięki, że babrzesz się w tym bajzlu.

- Kobieta musi mieć jakieś hobby – roześmiała się.
- A jak spisuje się Spike?
- Bardzo grzecznie.
- W stu procentach?
- W stu! Jeden z dekarzy przywiózł ze sobą pit bulla, sukę, i uwiązał ją przy ciężarówce; Spike zaprzyjaźnił się z nią.
- To świadczy nie o dobrych manierach, lecz mocnym instynkcie samozachowawczym.
- No, całkiem miły z niej piesek. Znalazła się pod urokiem Spike'a, i w końcu nawet się nim zaopiekowała.
- Kolejny podbój Księcia Żab – odpaliłem. – Zrobić obiad?
- Może byśmy gdzieś wyszli?
- Gdzie tylko zapragniesz.
- Hm... może na ósmą do „Beauville”?
- Jak pani sobie życzy.
- Kochany jesteś, Alex.
- Ty też.

Dom na plaży wyposażony był w kablówkę, co oznaczało, że głupota wylewała się nie z siedmiu, lecz sześćdziesięciu programów. Na jednej z miejscowych stacji znalazłem coś, co miało stanowić poważny dziennik, ale wytrzymałem tylko pięć minut wypełnionych słodką mową prezenterów. Wtedy męska połowa zespołu redakcyjnego oznajmiła: „A teraz najświeższe doniesienia na temat demonstracji w centrum”.

Ekran wypełniła zbudowana z wapienia fasada budynku sądu, przed którą maszerował krąg niosących tablice z napisami. Przeciwnicy kary śmierci z wydrukowanymi uprzednio plakatami. Za nimi kłębił się jeszcze jeden tłumek. Mniej więcej dwadzieścia czarno odzianych kobiet, wymachujących pokrytymi niestarannym pismem tablicami. Bogetki.

W czasie procesu lubiły nakładać trupioblady makijaż i satanistyczną biżuterię. One też skandowały swoje hasła i z kłębowiska głosów rosła wrzawa. Kamera najechała na wydrukowane plakaty.

GUBERNATORZE, ZAMKNIJ KOMORĘ GAZOWĄ! ZABIJANIE NIE JEST SŁUSZNE! PRECZ Z KARĄ ŚMIERCI! BIBLIA MÓWI: NIE ZABIJAJ!

Po chwili na ekranie ukazał się jeden z pokrytych ręcznym pismem kwadratów: penta-

gramy i czaszki, trudna do odcyfrowania gotycka czcionka:

UWOLNIĆ JOBE'A! JOBE JEST BOGIEM!

Demonstranci podeszli do budynku sądu. Wyposażona w odpowiedni sprzęt policja zastąpiła im drogę. Gniewne okrzyki. Szydercze żarty.

Jeszcze jedno zbiegowisko. Robotnicy budowlani, pokazujący palcami i drwiąco się śmiejący. Jedna z Bogetek wrzasnęła w ich stronę. Po obu stronach ulicy wściekłe okrzyki i uniesione w górę środkowe palce. Nagle ktoś runął do przodu, wywijając pięściami. Towarzy-sze poszli za jego przykładem i zanim policja zdążyła wkroczyć do akcji, robotnicy wbili się klinem w tłum z siłą i skutecznością piłkarskiej kontry. Kotłowanina: ręce, nogi, głowy, szybu-jące w powietrzu tablice. Do utarczki włączyła się używająca pałek policja. Powrót do studia.

– Była to, hm, relacja na żywo z centrum miasta – powiedziała kobieta do kolegi przy biurku – gdzie mieliśmy najwyraźniej do czynienia z jakimiś rozruchami w związku z demon-stracją na poparcie Jobe'a Schwandta, zabójcy upiora, który dokonał co najmniej... tak, zdaje się, że nawiązaliśmy z powrotem kontakt... niestety nie, proszę państwa. Gdy tylko odzyskamy łączność, przeniesiemy się na miejsce zajść.

– Zgodzisz się, chyba, Trish, że emocje nadal biorą górę – dodał jej kolega.

– Racja, Chuck. Nie ma się zresztą co dziwić, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że mamy do czynienia z serią morderstw i... hm, kontrowersyjnymi zagadnieniami w rodzaju kary śmierci.

Pełne powagi skinienie głową. Szelest papieru. Chuck zaczął się wiercić niespokojnie i zajrzał do rozkładówki.

– Tak... nieco później zajmiemy się tą sprawą pod kątem kary śmierci, a opowie nam o tym nasz korespondent Barry Bernstein. Zobaczymy kilka wywiadów z więźniami z celi śmierci i ich rodzinami. Tymczasem prognozę pogody przedstawi Biff.

Wyłączyłem.

Dość łatwo zrozumieć przeciwników kary śmierci: problem wartości. Ale młode kobie-ty w czerni miały na swoje usprawiedliwienie jedynie ślepe zauroczenie Schwandtem. Z po-czątku były nieznanymi nikomu osobami, wystającymi w kolejce przed drzwiami do sali roz-praw i siedzącymi w ponurym milczeniu przez kilka pierwszych dni procesu. W jego trakcie pojawiało się coraz więcej drastycznych opisów i ich liczba urosła niebawem do sześciu. Po-tem do tuzina. Jakiś błyskotliwy dziennikarz nadał im przydomek Bogetek, a w porannym wy-daniu pewnej gazety ukazał się wywiad zjedną z nich, byłą nastoletnią prostytutką, która uwa-żała, że osiągnęła zbawienie dzięki oddawaniu czci diabłu. Czasopisma poświęcone idolom i komercyjne telewizje uznały je za odlot tygodnia, dzięki czemu grono powiększyło się o dwa-

naście nowych adeptek. Wkrótce zaczęły zbierać się przed i po każdym posiedzeniu sądu, tworząc zwartą grupę kobiet ubranych w czarne dżinsy i koszulki, z upiornym makijażem i stałą biżuterią.

Gdy Schwandt wchodził na salę, mdlały i uśmiechały się od ucha do ucha. Gdy głos zabierali członkowie rodzin ofiar, prokuratorzy lub policjanci, zniechęceni znajdowali się pod milczącym obstrzałem wrogich i złośliwych grymasów, co skłoniło adwokata do złożenia protestu, a sędziego do udzielenia im nagany. W końcu niektóre dostały się za kratki za znieważanie sądu: obnażały przed Schwandtem piersi; darły się „Gówno prawda!” po złożeniu przez koronera oświadczenia pod przysięgą, podkładały nogi wracającej na swe miejsce, szlochającej matce Carrie Fielding. W kiciu udzielały na prawo i lewo wywiadów, w których rozwodziły się nad swoim smutnym życiem: wszystkie utrzymywały, że były molestowane; większość była w dzieciństwie prostytutkami i bezdomnymi.

Wypowiadający się w talkshow terapeuci stwierdzali, że mają one obniżony poziom samooceny. To tak, jakby przyczyn postępowania Hitlera upatrywać w nic spełnionych aspiracjach artystycznych. W ostatnich tygodniach procesu nic wpuszczano ich na salę, więc stały na schodach przed sądem i wrzeszcząc wniebogłose domagały się sprawiedliwości. W dniu ogłoszenia wyroku zarzekały się, że za wszelką cenę wyswobodzą Schwandta i wymierzą swą własną prywatną sprawiedliwość.

Milo zetknął się z nimi bliżej, więc zapytałem go, czy stać je na wprowadzenie pogróźek w czyn.

– Wątpię. Zaprzedały duszę i ciało opinii publicznej. Gdy debile z talkshow przestaną zapraszać je do swoich programów, schowają się w swoich mysich dziurach. Ale to ty jesteś znachorem i powinieneś znać się na tych rzeczach.

– Chyba masz rację.

Człowiek, który podpalił mój dom, uprzedził mnie. Inne ofiary zginęły, niczego się nie spodziewając. Rozmyślałem o nich czasami i dziękowałem Bogu, że mieliśmy z Robin tyle szczęścia. Zdarzało się, że wspominałem noc, w której nasz dom zamienił się w płonący stos, i ręce same zaciskały się boleśnie w pięści.

Możliwe, że nie byłem odpowiednim psychiatrą dla Lucy. Chociaż z drugiej strony miałem wszelkie potrzebne kwalifikacje.

Rozdział trzeci

Robin i Spike wrócili piętnaście po czwartej. Zielony dres Robin pokrywały brudne smugi. Zieleń ładnie kontrastowała z bursztynem jej włosów. Pocałowała mnie, a ja wsadziłem

jej rękę pod dres.

– Jestem brudna i spocona.

– Miłość do kobiety nieczystej.

Roześmiała się, ucałowała mnie jeszcze mocniej, odsunęła i poszła się wykapać.

Spike godnie zniósł ten wybuch uczuć, ale teraz wyraźnie się najeżył. Zetknięcie z miską wody było dlań zbyt wielkim przeżyciem. Nakarmiłem go jego ulubioną mieszanką karmy dla psów i mięsa, po czym wyprowadziłem na mały spacer po plaży, gdzie przyglądałem się, jak pochłania krzem. Był odpływ, więc nie musiał uciekać przed falami i od czasu do czasu podnosił nogę. Stare przyzwyczajenia pozostały.

Robin moczyła się w wannie, czytając, a ja kończyłem opinię dla sądu rodzinnego, dotyczącą sprawy o przyznanie praw rodzicielskich, w której nie można było liczyć na szczęśliwe zakończenie. Miałem tylko nadzieję, że moje rady oszczędzą trojgu dzieciom przynajmniej części cierpienia.

O wpół do ósmej zawiadomiłem sekretarkę, gdzie mnie można złapać, daliśmy Spike'owi sztuczną kość i zostawiliśmy go przed telewizorem, w którym na MTV transmitowano muzykę rap; potem wsiedliśmy do starego seville'a rocznik 79, minęliśmy uniwersytet Pepperdine, molo w Malibu i pomknęliśmy do „Beauville”.

To francuski lokal, w porównaniu z innymi restauracjami w Los Angeles staroświecki, czyli powstały po erze reaganowskiej. Zbudowany w stylu kolonialnym Monterey, z widokiem na kawałek morza za parkingiem i fantastyczną kuchnią prowansalską, naprawdę sympatyczna obsługa i niefrasobliwy pianista, który swego czasu odgrywał kawałki z oper mydlanych, a tu potrafi ze starego fortepianu zrobić organy Hammonda.

Zjedliśmy w spokoju kolację, słuchając przy tym osobliwej mieszanki: od Szostakowicza, przez serię piosenek Carpentersów, po muzykę z „Oklahomy”. Piliśmy już kawę, gdy podszedł szef sali i zapytał:

– Doktor Delaware? Telefon do pana.

Podszedłem do telefonu za barem.

– Witam, doktorze Delaware, tu Sara z przychodni. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, ale przed chwilą dzwoniła do pana pacjentka imieniem Lucy Lowell. Mówiła, że sprawa może poczekać, ale była wyraźnie zaniepokojona. Jakby tłumiała łyzy.

– Kazała coś przekazać?

– Nie. Powiedziałam jej, że nie ma pana w domu, ale w razie potrzeby mogę się z panem skontaktować. Odpowiedziała, że nie trzeba i że zadzwoni jutro. Nic zakłócałabym panu

spokoju, ale sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej.

W postępowaniu z pacjentami poradni psychiatrycznych należy mieć się na baczności.

– To dobrze, Saro. Zostawiła jakiś numer telefonu?

Wymieniła kierunkowy 818, chodziło więc o numer domowy Lucy w Woodland Hills.

W słuchawce rozległ się głos Petera.

– Nie możemy w tej chwili odebrać telefonu, prosimy o zostawienie wiadomości.

Ledwie zacząłem mówić, przerwał mi głos Lucy.

– Mówiłam, żeby pana nie niepokoił, doktorze Delaware. Przepraszam.

– Nie szkodzi. W czym mogę pomóc?

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Skoro zdecydowałem się zadzwonić, mogłabyś mi powiedzieć, co się dzieje.

– Nic wielkiego, tylko ten sen, który miałam, gdy przyszłam na pierwszą wizytę. Nie powrócił po pierwszym seansie i zaczęłam już myśleć, że na dobre się od niego uwolniłam. Ale dziś pojawił się znowu – był bardzo plastyczny.

– Jeden? – zapytałem. – Powtarzający się?

– Właśnie. Poza tym bawiłam się chyba w lunatyczkę. Usnęłam jak zwykle przed telewizorem, a ocknęłam się na podłodze w kuchni.

– Coś ci się stało?

– Nie, nie, jestem cała i zdrowa, nie chciałabym wyolbrzymiać, tyle że czuję się nieswojo.

– Czy we śnie widzisz Schwandta?

– Nie, i w tym sęk: sen nie ma z nim nic wspólnego. Dlatego też nie chciałam o nim mówić. A kiedy zniknął, pomyślałam...

Spojrzałam na Robin, siedzącą samotnie przy stoliku i pudrującą sobie nos.

– Chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

– Hm, wiem, że wyjdę na prostaczkę, ale to nie jest opowieść na telefon.

– Jest ktoś przy tobie?

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Myślałem, że znajdujesz się w niezręcznym położeniu.

– Nie, nie, jestem sama.

– Peter z tobą nie mieszka?

– Peter? A, sekretarka – zaśmiała się. – Nie, Peter ma swój dom. Nagrał się ze względu na bezpieczeństwo. Nikt nie wiedział, że jestem mieszkającą samotnie kobietą.

– Z powodu procesu?

– Nie, brat opiekuje się mną. Doktorze Delaware, bardzo mi przykro, że pana fatygo-
wałem. Możemy pomówić o tym przy okazji kolejnego spotkania.

– To dopiero za tydzień. Nie wołałabyś przyjść wcześniej?

– Wcześniej... Niech będzie, dziękuję.

– Na przykład jutro rano?

– Mogę pozwolić sobie tak wczesną wizytę? Mam coraz więcej roboty, a droga do pa-
na...

– O tej samej porze. Ranny ptaszek ze mnie.

– Bardzo dziękuję, doktorze Delaware. Dobranoc.

Gdy wróciłem do stolika, Robin odkładała właśnie kosmetyczkę.

– Coś nie cierpiącego zwłoki?

– Nie.

– Nie jesteś zajęty?

– Nie, ale nisko się cenię.

– Cieszę się – powiedziała dotykając mojego policzka. – Wpadł mi do głowy pomysł,
żeby wybrać się na spacer plażą i na małe co nieco.

– Sam już nie wiem, jak na mój gust jesteś trochę za elegancko ubrana.

– Nie ma sprawy, najpierw potarzamy się trochę w błocie.

Gdy wróciliśmy, na MTV nadawali Bal Szarpidrutów i Spike'owi zubożniała telewizja. Przebraliśmy się w dresy i zabraliśmy go na plażę. Śnieg był zmrożony, fale coraz wyższe, tak że zostało tylko tyle miejsca, żeby suchą stopą przejść do przybrzeżnych jezior i z powrotem. Światła z sąsiednich domów tworzyły na wydmach szare pasy; reszta okolicy pogrążona była w ciemnościach.

– Całkiem tak jak w kinie – zauważyła Robin. – Czuję się jak w jednym z tych okrop-
nych hitów tygodnia.

– Ja też. Przeprowadźmy poważną rozmowę na temat naszego związku.

– Wolałabym pogadać o tym, co ci zrobię, jak wrócimy.

Nachyliła się do mnie i dała upust swoim pragnieniom. Roześmiałem się.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic. Świetny pomysł.

Nazajutrz wyszła dość późno i minęły się z Lucy w bramie.

– Pana żona jest przepiękna – oznajmiła, gdy zostaliśmy sami. – A pies śliczny. Jakiej rasy – mops?

– Buldog francuski,

– taki miniaturowy buldog?

– Zgadza się.

– Nigdy takiego nie widziałam.

– To dość rzadka rasa.

– Śliczny – uśmiechnęła się.

Odczekałem chwilę, po czym spytałem:

– Czy chcesz porozmawiać o śnie?

– Tak będzie chyba lepiej.

– Proszę nie traktować tego jako obowiązku.

– A jak? – zachichotała. – Robi pan niezły interes, doktorze Delaware. Obniżył pan dla mnie honorarium o połowę, a mimo to ja określam warunki gry. Wyobraża pan sobie, że w telewizji reklamują się jacyś znachorzy – „zadzwoń, ufaj swoim gwiazdom” – którzy cenią się wyżej?

– No dobrze, ale ja nie twierdzę, że umiem przepowiadać przeszłość.

– Samą przeszłość?

– Przy odrobinie szczęścia.

– No, możliwe, że sen ma swe korzenie w przeszłości – spoważniała – bo nie ma nic wspólnego z położeniem, w którym znajduję się obecnie. Teraz czuję się jak dziecko.

– Ile to dziecko ma lat?

– Około trzech, czterech – poruszała nerwowo palcami. Czekałem.

– W porządku – przerwała milczenie. – Najlepiej zacznijmy od początku: jestem gdzieś

w lesie, w jakiejś chacie, typowej, z bali.

Kolejne kilka niespokojnych poruszeń.

– Czy ta chata jest ci znana?

– Nic takiego sobie nie przypominam – wzruszyła ramionami i położyła ręce na kolanach.

– A więc chata z bali.

– Właśnie... najwyraźniej nocą, bo w środku panują ciemności. Znienacka przenoszę się na zewnątrz... chodzę. Mrok jest jeszcze głębszy. Słyszę ludzkie głosy. Krzyczą a może śmieją się. Trudno powiedzieć.

Zamknęła oczy i podwinęła pod siebie nogi. Zaczęła kołysać głową; po chwili zneruchomiła.

– Ludzie krzyczą lub śmieją się – zawtórowałem.

– Tak... i światła – ciągnęła, nie otwierając oczu. – Jak świetliki, gwiazdy na ziemi, tyle że kolorowe. A potem...

Zagryzła wargi. Miała mocno zaciśnięte powieki.

– Mężczyźni – wykrztusiła. Zaczęła dyszeć. Opuściła głowę, jakby zniechęcona.

– Znasz ich, Lucy?

Skinęła głową.

– Kim są?

Cisza. Kilka pospiesznych płytkich oddechów. Skuliła się.

– Kim oni są, Lucy? – ponowiłem łagodnie pytanie. Wzdrygnęła się. Milczenie przedłużyło się.

– Ojciec... i inni... i...

– I kto?

– Dziewczyna – odpowiedziała półszeptem.

– Podobna do ciebie?

– Nie, to raczej kobieta. On niesie ją na ramieniu.

Gałki oczne poruszają się pod powiekami. Czy ona śni?

– Twój ojciec niesie jakąś kobietę?

– Nie... ktoś inny.

– Poznajesz go?

– Nie – odparła, zjeżywszy się, jakby odpierała atak. – Widzę ich tylko z tyłu – zaczęła mówić bardzo szybko: – Leży przerzucona przez ramię jednego z nich – jak worek ziemniaków – włosy ma rozpuszczone.

Ni stąd, ni zowąd otworzyła oczy.

– To dziwne uczucie. Jakbym... jakbym się tam znalazła z powrotem.

– To nic. Uspokój się.

Raz jeszcze zamknęła oczy. Ciężko dyszała.

– Co teraz widzisz?

– Ciemność – powiedziała. – Trudno przebić się wzrokiem, ale... księżyc... duży księżyc... i...

– 1 co, Lucy?

– Oni wciąż ją niosą.

– Dokąd?

– Nie wiem... – na twarzy pojawił się grymas, na czole kropelki potu. – Śledzę ich.

– Wiedzą o twojej obecności?

– Nie, idę z tyłu... takie duże drzewa... coraz więcej... mnóstwo drzew, wszędzie, las. Olbrzymie drzewa... zwisają ich konary... jeszcze więcej drzew... splątane... ładnie – zaczerpnęła tchu. – Przystają... kładą ją na ziemi.

Wargi jej zbieleły.

– Co wtedy, Lucy?

– Zaczynają rozmawiać, rozglądają się. Po chwili odwracają się do mnie tyłem i ruszają. Nie mogę ich już dojrzeć, jest za ciemno... błędzę... jeden odgłos: pocierania lub mienia. Jakby ktoś coś meł, regularny ruch.

Otworzyła oczy. Kropelki potu spłynęły jej aż do nosa. Podałem jej chusteczkę.

– I to właściwie wszystko, ta sama scena powtarza się raz za razem – usiłowała się uśmiechnąć.

– Ile razy miałaś ten sen?

– Sporo – ze trzydzieści, czterdzieści, nigdy nie liczyłam.

– Każdej nocy?

– Czasami. Są też okresy, kiedy mam go kilka razy w tygodniu.

– Od kiedy?

– Od połowy procesu, czyli już cztery miesiące, może pięć. Ale – jak już mówiłam – przestałam go mieć, gdy rozpoczęliśmy seanse, więc pomyślałam, że to wszystko przez napięcie nerwowe.

– Czy dziewczyna we śnie przypomina którąś z ofiar Schwandta?

– Nie. Nie sądzę – może się mylę, ale czuję, że koszmary nie mają z nim nic wspólnego. Nie potrafię tego uzasadnić, po prostu tak mi się wydaje.

– Może jednak ma to jakiś związek?

– Nie wiem, pewnie gadam od rzeczy.

– Czy ci się to śniło przed rozprawą?

– Nigdy.

– Czy w połowie procesu zdarzyło się coś, co szczególnie cię rozdrażniło?

– Prawdę mówiąc, wszystko zaczęło się po zeznaniach Mila Sturgisa. Na temat Carrie. Jej przeżyć – wpatrywała się we mnie rozszerzonymi źrenicami. – Mogę się więc mylić. Możliwe, że opowieść o Carrie coś we mnie poruszyła, utożsamiałam się z nią i stałam się małą dziewczynką. Sadzi pan, że to możliwe.

Skinąłem głową. Powędrowała wzrokiem w stronę morza.

– Sęć w tym, że skądś znam tę sytuację. Coś w rodzaju *déjà vu*. Jednocześnie zawiera pewne nowe i dziwaczne elementy. Na dodatek jeszcze lunatykowanie – obawiam się, że tracę nad sobą panowanie.

– Czy wcześniej przytrafiało ci się chodzić we śnie?

– Nie przypominam sobie.

– Czy w dzieciństwie moczyłaś się w łóżku?

– A co to ma do rzeczy? – zaczerwieniła się.

– Zdarza się, że lunatyzm i moczenie się są biologicznie powiązane. U niektórych ludzi pojawiają się genetyczne skłonności do obu zachowań.

– Aha... no, tak, faktycznie, moczyłam się trochę, gdy byłam bardzo mała. – Zmieniła pozycję.

– Czy budzisz się podczas tych snów?

– Budzę się z myślą o nich.

- O jakiejś konkretnej porze?
- Tuż nad ranem, gdy za chwilę ma zacząć się szarówka.
- Jak się wtedy czujesz pod względem fizycznym?
- Jakbym była chora – pocę się, serce wali mi w piersi. Od czasu do czasu boli mnie żołądek. Jakbym miała wrzody – pokazała miejsce pod mostkiem.
- Miałaś kiedyś wrzody?
- Jakieś początki, i to tylko parę tygodni tuż przed pójściem na college'u. Po koszmarach czułam się podobnie, chociaż nie było to takie dokuczliwe. Ból zniknął, gdy trochę sobie poleżałam i uspokoiłam się. Gdy to nie skutkuje, zażywam tabletkę.
- Często miewasz bóle brzucha?
- Zdarzają się, ale nie dzieje się nic poważnego. Jestem zdrowa jak ryba – zerknęła znowu na wodę. – A co z odgłosami mielenia? – spytała. – Co powie pan o tym?
- Czy wymyśliłaś jakąś interpretację?
- Coś... z seksem. Tak mi się zdaje. Ten rytm.
- Przypuszczasz więc, że ci mężczyźni odbywają z tobą stosunki?
- Możliwe. Ale czy to coś zmienia? To tylko sen. Może byłoby lepiej, gdybyśmy o wszystkim zapomnieli.
- Uparcie powracające nieprzyjemne sny oznaczają, że coś jest nie w porządku, Lucy. Dobrze, że zwróciłaś na to uwagę.
- Co może być nie w porządku?
- Właśnie tego chcielibyśmy dowiedzieć się w czasie tych wizyt.
- A, tak – uśmiechnęła się. – Ma pan rację.
- Masz coś do dodania na temat tego koszmaru?
- Czasami zmienia się ostrość – i to dokładnie w środku.
- Czy obraz zaostrza się, czy staje bardziej mętny?
- Raz, tak, za chwilę inaczej. Jakby ktoś w moim mózgu dobierał właściwą soczewkę jakiś człowieczek... inkubus. Wie pan, o co mi chodzi?
- Zły duch, który nawiedza kobiety we śnie i gwałci je.
- Zły duch – powtórzyła. – Popadam więc w zabobon. Zaczynamy zajmować się głupotami.

– Czy kobieta we śnie przypomina ci kogoś znajomego?

– Jest odwrócona plecami. Nie widzę jej twarzy.

– Czy mogłabyś jakoś ją opisać?

Zamknęła oczy, a głowa ponownie zaczęła się kołysać.

– No, tak... ma na sobie krótką białą sukienkę – bardzo krótką. Podjeżdża jej do góry, ukazując nogi... długie nogi. Wysportowane uda, jakby uprawiała aerobik... i długie ciemne włosy. Opadają bujnie na ramiona.

– W jakim jest mniej więcej wieku?

– Hm... ciało ma bardzo młode – otwiera oczy. – Najdziwniejsze, że ani drgnie, nawet kiedy niosący ją mężczyzna potrząsa nią. Jak ktoś... bezwładny. Nic więcej nie pamiętam.

– Nic o mężczyznach?

– Nic – wpatrzona w torebkę.

– Ale jeden to z pewnością twój ojciec.

– Tak – gwałtownym ruchem składa ręce.

– Widzisz jego twarz?

– Przez chwilę, gdy się odwraca.

Zbladła, na twarzy znowu ukazały się kropelki potu.

– Co cię dręczy w tej chwili, Lucy? – zapytałem.

– Rozmowa... gdy zaczynam o tym mówić... czuję się, jakbym tam była.

– Tracisz kontrolę.

– Zgadza się. Sen jest potworny. Nie chcę tam wracać.

– Dokąd wracasz?

– Do środka.

– Do chaty?

Skinienie głową.

– Ktoś kazał ci tam zostać?

– Nie wiem. Wiem tylko tyle, że mam tam zostać.

Potarła twarz, czym przypominała Mila w chwilach rozdrażnienia lub roztargnienia. Na skórze pojawiły się plamki.

– Co to zatem oznacza? – spytała.

– Jeszcze nie wiem. Najpierw będę musiał dowiedzieć się czegoś więcej na twój temat.

Wyprostowała nogi. Ręce miała cały czas złożone, ze zbielełymi knykciami.

– Pewnie wszystko to wyolbrzymiam. Dlaczego denerwuję się z powodu głupiego snu? Jestem zdrowa, mam dobrą pracę, a są przecież bezdomni, ludzie ginący na ulicach, umierający na AIDS.

– Fakt, że są tacy, którym dzieje się gorzej, nie zobowiązuje cię do cierpienia w milczeniu.

– Inni mają o wiele gorzej, doktorze Delaware. Może mi pan wierzyć, że mnie się upiekło.

– Czemu nie opowiadasz mi o sobie?

– O czym?

– O młodości, rodzinie.

– Dzieciństwo, młodość. Spytał mnie pan o to za pierwszym razem, a ja pominęłam pytanie milczeniem. Nie nalegał pan. Postąpił pan bardzo delikatnie. Potem myślałam, że może stosuje pan jakąś specjalną strategię i wcześniej czy później i tak dostanie się do wnętrza mojej głowy. Niezła paranoja, co? Ale rozpoczęcie terapii wyprowadziło mnie nieco z równowagi. To mój pierwszy raz.

Pokiwałam głową.

– Teraz też się chyba migam – uśmiechnęła się. – A zatem: urodziłam się dwadzieścia pięć lat temu, czternastego kwietnia, w Nowym Jorku. Dokładniej rzecz biorąc w szpitalu Lennox Hill. Dzieciństwo spędziłam w Nowym Jorku i Connecticut, chodziłam do niezłych żeńskich szkół, a trzy lata temu skończyłam Belding College – mały college dla dziewcząt pod Bostonem. Specjalizowałam się w historii, ale na niewiele to się przydało, więc zajmowałam się w Belding księgowością zaprowadzając porządek w rachunkach Klubu Nauczycielskiego i związku studentów. Nigdy nie przypuszczałam, że tam wyląduję. Matematyka zawsze szła mi kiepsko. Okazało się jednak, że praca przypadła mi do gustu. Pewnego dnia na studenckiej tablicy ogłoszeń wypatrzyłam ogłoszenie, że firma Bowlby i Sheldon poszukuje pracownika, więc zgłosiłam się na rozmowę kwalifikacyjną. To przedsiębiorstwo z oddziałami w całym kraju, ale wakaty były jedynie w LA. Niewiele myśląc, złożyłam podanie i zostałam przyjęta. Będąc młodą kobietą pojechałam na Zachodnie Wybrzeże. I to wszystko. Nic znaczącego, prawda?

– A rodzina?

– Składa się właściwie tylko z Petera, którego miał pan okazję poznać. Jest starszy ode mnie o rok i żyjemy na bardzo zażyłej stopie. Nazywają go Pukiem, bo swego czasu był nieznośnym, małym skrzatem.

– Masz, jeszcze jakieś rodzeństwo?

– Jest jeszcze brat przyrodni, który mieszka w San Francisco, ale z nim nie utrzymuję właściwie żadnych kontaktów. Miał siostrę, która zmarła trzy lata temu – urwała. – Dziadkowie, wujkowie i ciotki nie żyją. Matka odeszła zaraz po tym, jak wydała mnie na świat.

Taka młoda, myślałem, a wokół niej wszędzie czai się śmierć.

– Co z ojcem?

Błyskawicznie spuściła wzrok, jakby w poszukiwaniu szkieł kontaktowych, które jej upadły. Nogi miała spuszczone na podłogę, a tułów ułożony tak, że bluzka ciasno opinała wąską talię.

– Liczyłam, że uda nam się ominąć ten temat – odezwała się cicho. – I to nie z powodu snu.

Odwróciła się w moją stronę. To samo skupione, nieruchome spojrzenie, jakie Milo dostrzegł na sali sądowej.

– Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, nie ma przymusu.

– Nie o to chodzi. Jego osoba wszystko odmienia.

– A to dlaczego?

– Bo jest kimś szczególnym.

Popatrzyła na sufit i uśmiechnęła się.

– Pana kolej – powiedziała i wyciągnęła rękę w teatralnym geście.

– Na co?

– Morris Bayard Lowell – wyrecytowała dobitnie i zaśmiała się, tym razem ponuro. – To Buck Lowell.

Rozdział czwarty

Bayard Lowell figurował w mojej wyobraźni obok postaci w rodzaju Hemingwaya, Jacksona Pollocka i Dylana Thomasa. Gdy byłem w liceum, napotykałem jego wczesną prozę i poezję w podręcznikach. Niezbyt wysoko ceniłem jego popaprane farbą abstrakcyjne płótna, choć wiedziałem, że znajdują się w salach muzealnych.

Swe utwory ogłaszał drukiem jako nastolatek. Wystawiano je, gdy był po dwudziestce, teraz zaś powojenne enfant terrible zmieniło się w klasyka literatury. Jednak nie słyszałem o nim już od dłuższego czasu.

– Niezłe, co? – zapytała Lucy z miną pełną ponurej satysfakcji.

– Teraz rozumiem, dlaczego jego obecność wszystko zmienia, ale obchodzi mnie on wyłącznie jako twój ojciec.

– Tak? – roześmiała się. – Ot, potarzali się co nieco w stogu siana, doktorze Delaware. Oto podniosły moment poczęcia. Stary Buck zmieniał kobiety jak rękawiczki. Zniknął matce z oczu, gdy miałam parę miesięcy i nigdy więcej się nic pokazał.

Poprawiła niesforną grzywkę i wyprostowała się.

– No, a teraz nasuwa się pytanie, dlaczego o nim śniłam?

– To nic nadzwyczajnego. Nieobecność kogoś z rodziców to silny bodziec psychologiczny.

– Co to znaczy?

– Gniew, ciekawość. Zdarzają się rozbudowane fantazje.

– Fantazje na jego temat? Na przykład, że idzie na uroczystość rozdania Pulitzerów ze mną na rękach? Trudno mi się z tym zgodzić. Za mało go znałam, żeby mógł teraz powrócić.

– Ale kiedy o nim mowa, wszystko się zmienia.

– To jego obecność, jego postać. To samo działałoby się, gdybym była dzieckiem prezydenta albo Franka Sinatry. Ludzie nie zwracają uwagi na to, kim jestem ja sama. I w zdumienie wprawia ich – tak jak i pana – fakt, że ten wielki człowiek spłodził kogoś tak przytłaczająco pospolitego.

– Ja...

– Nie ma sprawy – zachnęła się. – Bardzo się cieszę ze swojej pospolitości: ze swojego zwyczajnego samochodu, zwyczajnej pracy, mieszkania, rachunków, rozliczeń podatkowych, zmywania naczyń i wyrzucania śmieci. Czuję się w niej jak u Pana Boga za piecem, doktorze Delaware, bo gdy dorastałam, nic było w moim życiu żadnej regularności.

– Matka zmarła wcześniej?

– Miałam kilka miesięcy.

– Kto cię wychowywał?

– Jej starsza siostra, ciotka Kate. Sama była właściwie jeszcze dzieckiem, skończyła studia na uniwersytecie Barnarda i mieszkała w Greenwich Village. Pamiętam tylko, że ciągała

mnie i Puka po restauracjach. Potem wyszła za Waltera Lazara, tego pisarza, który wtedy jeszcze parął się dziennikarstwem. Rozwiedli się po roku i ciotka wróciła do szkoły. Studiowała antropologię. Jej profesorką była Margaret Mead i już wkrótce zaczęła jeździć na ekspedycje na Nową Gwineę. Dla mnie i Puka oznaczało to wylądowanie w internacie, gdzie też minęła nam szkoła średnia.

– Obojgu?

– Nie, on chodził do szkoły prywatnej, a mnie posłano do liceum żeńskiego.

– Rozłąka musiała być ciężkim przeżyciem?

– Byliśmy przyzwyczajeni do przenoszenia się z miejsca na miejsce.

– A rodzeństwo przyrodnie? Wspominałaś coś...

– Ken i Jo? Mieszkali ze swoją matką w San Francisco. Jak już mówiłam, nie utrzymujemy żadnych stosunków.

– Gdzie przebywał wtedy ojciec?

– W nimbie sławy.

– Łożył na wasze utrzymanie?

– A, tak, przysyłał czek, ale dla niego to żaden kłopot, miał bardzo bogatą matkę. Rachunki opłacano z jego konta, a pieniądze na moje utrzymanie przychodziły do szkoły i dyrektorka wydzielala mi je – jak na artystyczną duszę potrafił wszystko doskonale zorganizować, prawda?

– Nigdy cię nie odwiedzał?

– Ani razu – potrząsnęła głową. – Dzwonił parę razy do roku, w drodze na jakąś konferencję lub wystawę.

Usunęła coś, co zaplątało się między rzęsami.

– Kazano mi przychodzić do sekretariatu, a jedna z urzędniczek dawała mi telefon. Zdobywałam się na śmiałość i witałam go, a wtedy w słuchawce rozlegał się ten donośny głos. „Cześć, mała. Zajadasz na śniadanie krwawe mięso świeżo upolowanego łosia? Niezła rozgrzewka”. Dowcipniś. Jakby wyjęte z tych głupawych myśliwskich opowiadań dla prawdziwych facetów. Króciutko o tym, jak mu leci, potem pożegnanie. Przez wszystkie te lata nie powiedziałam do niego więcej niż dwadzieścia słów – odwróciła się w moją stronę. – Gdy miałam czternaście lat, uznałam, że co za dużo, to niezdrowo. Koleżance z pokoju kazałam powiedzieć, że nie ma mnie w internacie. Już nigdy później nie dzwonił. Wielki człowiek daje tylko jedną szansę.

Próbowała się uśmiechnąć, starając się nadać wargom odpowiedni kształt. W końcu udało jej się unieść kąciki ust.

– Nie ma się co przejmować, doktorze Delaware. Matka zmarła tak wcześnie, że nigdy nawet nie poczułam, co to znaczy zostać sierotą. A on był... nikim. Tak jak mówiłam, innym przytrafiają się o wiele gorsze rzeczy.

– Co do pospolitości...

– Naprawdę mi to odpowiada. Ani iskry geniuszu, tak samo jak Puk. I pewnie właśnie dlatego on nie chce mieć z nami nic wspólnego. Żywe dowody na to, że stworzył coś przeciętnego. Najprawdopodobniej chciałby, żebyśmy wszyscy zniknęli z powierzchni ziemi. Biedna Jo już spełniła to życzenie.

– Jak zmarła?

– Weszła na pewien szczyt w Nepalu i przepadła bez śladu. Żony też stosują się do jego życzeń. Trzy z czterech już nie żyją.

– Twoja matka była z pewnością bardzo młoda w chwili śmierci?

– Miała dwadzieścia jeden lat. Zachorowała na grypę i dostała jakiegoś wstrząsu toksycznego.

– A więc gdy go poślubiła, miała tylko dwadzieścia lat?

– Właśnie skończyła. On za to miał czterdzieści sześć. Też studiowała na uniwersytecie Barnarda, była akurat na drugim roku. Spotkali się, gdyż zajmowała się sprowadzaniem na uczelnię różnych ważnych osobistości i pewnego razu zaprosiła jego. Po trzech miesiącach rzuciła studia, a on zabrał ją do Paryża, gdzie się pobrali. Tam też przyszedł na świat Chochlik.

– Kiedy się rozwiedli?

– Nie rozwodzili się. Zaraz po moich narodzinach ojciec wrócił do Francji. Niedługo potem zmarła matka. Lekarze dzwonili do niego, ale nie chciał podchodzić do telefonu. Dwa tygodnie po pogrzebie na adres ciotki Kate przyszła pocztówka i czek.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Od Chochlika, który słyszał od ciotki Kate – po college'u odwiedził ją w Nowej Zelandii.

– Czy Ken i Jo są starsi niż ty i Chochlik?

– Tak. Ich matka była drugą żoną ojca, nasza – trzecią. Pierwszą była Therese Vainquer, francuska poetka.

Potrząsnąłem głową.

– Była chyba dość znana w Paryżu po wojnie, można było ją spotkać w towarzystwie Getrudy Stein i akolitów. Rzuciła go dla jakiegoś hiszpańskiego torreadora i zginęła wkrótce w wypadku samochodowym. Potem nadszedł czas Emmy, matki Kena i Jo. Artystka, nie odnosiła szczególnych sukcesów. Zmarła piętnaście, może szesnaście lat temu, chyba na raka piersi. Rzucił ją dla związku z moją matką, Isabelle Frehling. Czwartą żoną została jakaś Jane, asystentka kustosa nowojorskiego Muzeum Sztuki Współczesnej. Spotkali się, ponieważ w piwnicach muzeum kurz osiadał na paru jego obrazach, podczas gdy on chciał wrócić do malarstwa i odzyskać dawną popularność, która bardzo przygasła. Taki sam los spotkał zresztą jego pisarstwo. No, nieważne, rzucił ją po mniej więcej roku i od tego czasu już się nie ożenił. Nie zdziwiłabym się jednak, gdyby miał gdzieś na boku jakąś panienkę. Złudne marzenia o nieśmiertelności.

Założyła nogę na nogę i zaplotła ręce na kolanie. Zasypywała mnie szczegółami dotyczącymi mężczyzny, który rzekomo nie odegrał w jej życiu żadnej roli.

– Wiem, wiem, wygląda na to, że mimo wszystko zależy mi i szukam tych informacji – jakby czytała w moich myślach – ale dowiaduję się wszystkiego od Puka. Parę lat temu rozpoczął akcję odkrywania swoich korzeni. Nie miałam odwagi, żeby powiedzieć, że mnie to zupełnie nie obchodzi. – Skrzyżowała ręce na piersiach.

– A więc – odezwałem się – wiemy przynajmniej, że nigdy nie byłeś w żadnej chatce leśnika. A już na pewno nie w towarzystwie ojca.

– Proszę go tak nie nazywać: może być Buck, wielki człowiek, macho, byle nie ojciec.

Dotknęła brzucha. Przypomniałem sobie o wrzodach przed college'em i spytałem:

– Gdzie spędziłeś lato po ukończeniu liceum?

Zawahała się przez ułamek sekundy.

– Pracowałam jako ochotniczka w Ośrodku Head Start w Bostonie.

– Trudna praca?

– Nie. Strasznie podobało mi się uczenie. Robiłam to w Roxbury, dzieciaki z getta naprawdę obchodziło to, co robię. Już po kilku miesiącach można było dostrzec efekty.

– Czy zastanawiałaś się kiedyś, czy zostać nauczycielką?

– Myślałam o tym, ale po tylu latach spędzonych w szkole – gdzie właściwie dorastałam – nie byłabym w stanie znieść dłużej takiego życia. Pewnie dałabym sobie radę, ale nadarzyła się okazja pracy w księgowości.

Myślałem o samotności, jaką naznaczone było jej dzieciństwo. Milo mówił, że trudne życie ją zahartowało.

– To wszystko – zakończyła. – Rozumie pan już mój sen?

– Ani w ząb.

– Dziękuję za szczerość – zaśmiała się.

– Lepiej ugryźć się w język niż powiedzieć coś głupiego.

– Fakt – jeszcze się śmiała, ale ręce miała niespokojne i stukała nogą w podłogę. – To byłoby chyba wszystko.

– Na jaki temat?

– Jego osoby w moich snach. To jakby... inwazja. Na co teraz kolej?

– Może teraz uda ci się ogarnąć swój gniew na niego.

– Możliwe – powiedziała bez przekonania.

– Nie o to chodzi?

– Suma nic wiem. Nie sądzę, żebym była na niego zła. Jego istnienie nie ma związku z moim, więc nie sposób się na niego gniewać.

Głos miała wściekły. Zapytałem:

– Ile lat ma dziewczyna we śnie?

– Jakieś dziewiętnaście, może dwadzieścia.

– Mniej więcej tyle co twoja matka w chwili zamążpójścia?

– A więc uważa pan, że śni mi się gwałt, jakiego dokonał na matce? Przecież była blondynką a ta dziewczyna ma ciemne włosy.

– Sny nie są niewolniczymi obrazami rzeczywistości.

Zamyśliła się na chwilę.

– Może rzeczywiście ma pan rację. To może być też jakiś symbol spódniczki, za którymi się uganiał – ale nic sądzę, żeby śniły mi się jego narzeczone. Przepraszam.

– Za co?

– Domagam się od pana interpretacji, a następnie je odrzucam.

– Nie ma sprawy. To twój sen – odparłem.

– To prawda – chociaż wolałabym, żeby było inaczej. Kiedy się go pozbędę?

– Nie wiem. Im więcej będę o tobie wiedział, tym trafniejsza będzie odpowiedź.

– Czy to znaczy, że muszę bez przerwy gadać o przeszłości?

– To by mi bardzo pomogło, ale nie powinnaś się do niczego zmuszać.

– Muszę mówić o nim?

– Dopiero kiedy będziesz gotowa.

– A jeżeli nie nastąpi to nigdy?

– To zależy tylko od ciebie.

– Ale pan uważa, że byłoby to użyteczne?

– On pojawił się w twoim śnie.

Zaczęła pstrykać palcami, po chwili powstrzymała się.

– Coraz mi trudniej – powiedziała. – Może powinnam jednak zadzwonić do kolegów psychiatrów.

Rozdział piąty

Gdy odeszła, zacząłem zastanawiać się nad tym snem. Somnambulizm. Moczenie się. Fragmenty sennych marzeń przyjmują częstokroć wieloraką postać: powracających koszmarów, bezsenności, a nawet narkolepsji. U niej jednak nagły zalew objawów chorobowych sygnalizował reakcję na jakąś sytuację stresogenną: przebieg procesu lub wspomnienia przezeń przywołane.

Ciekawe, że napomknęła o inkubusie. Agresja seksualna. Tata porywa dziewczę. Odgłosy jakby szorowania. Byłaby to nie lada gratka dla wyznawcy Freuda: oto nękają ją stłumione uczucia erotyczne w stosunku do ojca, który ją porzucił. Pojawiają się, ponieważ sprawa sądowa naruszyła jej psychologiczny system obronny. Miała rację pod jednym względem: ten ojciec to rzeczywiście inna sprawa. Uwaga jak najbardziej na miejscu.

Pojechałem do miasta nadmorską autostradą do Sunset, kierując się potem na wschód w stronę kampusu. W spisie komputerowym czytelni bibliograficznej odnalazłem M. Bayarda Lowella: szereg stron adresów, poczynając od 1939 – daty publikacji jego rewolucyjnej pierwszej powieści, Porannego krzyku – poprzez kolejne powieści, tomiki poetyckie i wystawy malarstwa. Lektura wszystkich utworów zajęłaby bity semestr. Postanowiłem zacząć od okresu w przybliżeniu odpowiadającego czasowi akcji snu Lucy, czyli około dwudziestu dwóch lat temu.

Pierwszy adres bibliograficzny odnosił się do tomiku poetyckiego Rozkaz: rzucać światło, który wyszedł drukiem w Nowy Rok. Dotarłem do półek i rozpocząłem swój powtórkowy kurs literatury amerykańskiej. W dziale poezji znalazłem tę skromną książeczkę w szarej oprawie, wydrukowaną przez jedno z uznanych wydawnictw nowojorskich. Z karty wynikało, że od

trzech lat nikt jej nie pożyczał. Z działu czasopism znosiłem na stolik stosy magazynów w sztywnych oprawach. Gdy zaczęły boleć mnie plecy, usiadłem i zacząłem czytać.

Okazało się, że tomik ukazał się po dziesięcioletniej przerwie, a poprzedni utwór był zbiorem opowiadań, które ukazywały się wcześniej w przeróżnych publikacjach. Nowy Rok był jednocześnie dniem pięćdziesiątych urodzin Lowella. Tomik przyciągnął powszechną uwagę: autor otrzymał dużą zaliczkę, prawa do rozpowszechniania części edycji zarezerwował sobie jeden z bardziej wpływowych klubów książki, prawa autorskie sprzedano w dwudziestu trzech krajach, jakieś niezależne studio nabyło nawet prawa do nakręcenia filmu, co w przypadku poezji jest rzadkością.

Potem kolej na głosy krytyków. W jednej z poważnych gazet określono tomik mianem celowo ponurego i zadziwiająco amatorskiego. Niżej podpisany podejrzewa, że Lowell czyni wszystko, by pozyskać sobie młodego czytelnika. Inny krytyk, opatrując twórczość Lowella etykietami wspaniałej, pełnej wigoru i zajmującej poczesne miejsce w podręcznikach historii literatury, chwalił go za podejmowanie ryzyka, lecz pisał o nowych wierszach, że z rzadka jedynie zapadają w pamięć, są przeważnie pozbawione życia i mdłe, melancholijne i bezsensowne. Blask ustąpił miejsca blichtrowi. Wiele innych recenzji utrzymanych było w tym tonie, z jednym wyjątkiem: doktorant z Uniwersytetu Columbia wychwalał tomik w „Manhattan Book Review” jako pełen mrocznego czaru, nasycony liryką.

Z prasy wynikało, że Lowell nie wypowiedział się publicznie na temat swojej klęski. W krótkiej notce w „Publishers' Weekly” z dwudziestego czwartego stycznia stwierdzono, że sprzedaż książki znacznie rozminęła się z oczekiwaniami. Artykuły w tym guście ukazały się także w innych czasopismach: autorzy rozwodzili się na temat śmierci poezji i zastanawiali się, gdzie tkwi źródło błędów Bayarda Lowella.

W marcowym wydaniu „Manhattan Book Review” pojawiły się pogłoski, że Lowell wyjechał gdzieś za granicę. W czerwcu bezczelny dziennikarz pewnego angielskiego brukowca donosił, że pisarz pojawił się w paśmie górskim Cotswolds.

Doszedłszy do wniosku, że osobnik w swetrze i czapce, wędrujący w towarzystwie owiec to naprawdę zgasta amerykańska gwiazda, próbowaliśmy nawiązać z nim rozmowę, lecz na spotkanie wyszła para przerażających mastifów, które nie przejawiały zainteresowania podsuwanymi im ochłapami i za pomocą kłów i śliniących się pysków przekonały nas, że na nas już czas. Ciekawe, co stało się z nienasyconym onegdaj jankeskim pragnieniem popularności pana Lowella? Przemijająca postać!

Przez całe lato ukazywały się podobne doniesienia: we Włoszech, Grecji, Maroku, Japonii. Wreszcie we wrześniu „Los Angeles Times Book Review” obwieścił, iż zdobywca nagrody Pulitzera M. Bayard Lowell przenosi się do południowej Kalifornii i będzie odtąd pisywał

felietony w dodatku tego czasopisma. W grudniu dział nieruchomości „Timesa” ogłosił, że Lowell wniósł depozyt na zakup pięćdziesięciu akrów ziemi w kanionie Topanga:

Jak się dowiadujemy, jest to gęsto zalesiona dziewicza okolica. Ostatnio służyła za kolonię dla nudystów. Ten położony z dala od uczęszczanych szlaków zakątek wręcz idealnie odpowiada nowemu wcieleniu Lowella, który upodabnia się do bohaterów Salingera. A może pisarz i malarz chce po prostu skorzystać z zalet zachodniego klimatu?

W maju Lowell uczestniczył w „naszpikowanej gwiazdami” gali na rzecz więźniów politycznych w rezydencji producenta filmowego Curtisa Appa w Malibu. W kwietniu zjawiał się na jeszcze dwóch przyjęciach: w Beverly Hills i Pacific Palisades. Zapuścił brodę i nosił błękitny dżinsowy garnitur; widziano go w towarzystwie playboya miesiąca. Na widok dziennikarza zniknął w tłumie.

W czerwcu na pewnym przyjęciu, które miało na celu zebranie funduszy na rzecz walki z analfabetyzmem, wygłosił poważną w tonie mowę, ogłaszając utworzenie w swojej posiadłości w Topanga pensjonatu dla twórców kultury.

– Będzie to zaciszne sanktuarium – stwierdził taką też otrzyma nazwę. Będzie stanowić pusta paletę, na której wolna ludzka wola będzie mogła walczyć z przeciwnościami, odchodzić od normy, bawić, błędzić, grzebać się w brudach i na wiele jeszcze innych sposobów rozpieszczać swoje Wielkie Id. Sztuka rozdziera zastony banału tylko wtedy, gdy zezwala się jej na swobodną grę na naszych nerwach. Wtajemniczeni wiedzą, że prawdziwe rozkosze mają swe źródło w wyładowaniach na synapsach.

Wrześniowy dodatek do „L.A. Timesa” donosił, że producent filmowy App finansuje budowę nowych pomieszczeń mieszkalnych w Sanktuarium. Architektem był dwudziestoczteroletni Amerykanin japońskiego pochodzenia, Claude Hiroshima, cudowne dziecko, którego ostatnim dziełem było odnowienie wszystkich toalet w pewnym madryckim hotelu.

– Pracując w Sanktuarium – mówił – postawię sobie za cel dotrzymanie wierności geniuszowi tego miejsca, dobierając materiały, które wejdą w organiczną symbiozę z dominującą tam geometrią ducha i rzeczywistości. W posiadłości znajduje się już kilka budowli z bali i chciałbym, żeby moje projekty do złudzenia je przypominały.

Budowle z bali. Albo Lucy czytała o tych projektach, albo powiedział jej o nich brat.

Grudzień: kolejna zjadliwa notka w „Publishers' Journal”: zrezygnowano z publikacji Rozkazu: rzucaj światło w papierowych okładkach; poziom sprzedaży wznowień utworów Lowella – w tym wydań w oprawach z płótna – osiągnął dno.

Marzec: w „The Village Voice” ukazało się wielce nieprzychylnie podsumowanie twórczości Lowella, proponujące rewizję jego miejsca w dziejach literatury. Trzy tygodnie później

czytelnik o nazwisku Terence Trafficant z Rathway w New Jersey zaatakował artykuł i obrzucił jego autora wyzwiskami w rodzaju świrniętego, ciemnego robala, określając M. Bayarda Lowella mianem mrocznego Jezusa dwudziestowiecznej myśli amerykańskiej; Bozia nie dała wam, upośledzonym debilom, na tyle rozumu, żeby to pojąć, jesteście jedną wielką kupą zasranych nowojorskich faryzeuszy.

Lipiec: Lowell ogłosił w „L. A. Times Book Review” zakończenie prac budowlanych w Sanktuarium. Przedstawił pierwszą grupę lokatorów swojego zacisza: Christophera Graydona-Jonesa, lat 27, rzeźbiarza w stali i „objets trouvée” z Newcastle w Anglii; Dentona Mellorsa, lat 28, byłego doktoranta na Uniwersytecie Columbia i krytyka w „Manhattan Book Review”; „Pan Mellors będzie kończył pracę nad swoją pierwszą powieścią pod tytułem Narzeczona; Joachima Sprentzela, lat 25, kompozytora muzyki elektronicznej z Monachium; Terrence Gary Trafficanta, lat 41, eseistę i byłego lokatora więzienia stanowego New Jersey w Rathway, w którym przebywał za zabójstwo.

Nazajutrz gazety skupiły się jedynie na osobie Trafficanta, któremu dzięki przyznaniu miejsca w Sanktuarium przyspieszono zamianę więzienia na wyrok w zawieszeniu. Przesłancom miał na kądzie napady rabunkowe, rozbój, narkotyki, usiłowanie gwałtu.

Protelowany Lowella, który przebywał w więzieniu praktycznie nieustannie, od momentu, gdy skończył siedemnaście lat, znany był jako krnąbrny pensjonariusz zakładu karnego. Jedynym wytworem jego arcyzmu był dziennik więzienny. Na zdjęciu widać go było w celi, gdy chwycił wytatuowanymi rękami za kraty: chudy blondyn o długich rzadkich włosach, brudnych zębach, zapadłych policzkach i szatańskiej koziej bródce.

Na pytanie o trafność wyboru Trafficanta, Lowell odparł:

– Terry wykazuje rozbijającą szczerą postawę wobec tak podstawowych spraw jak wolność i wola. Jest zarazem anarchistą co powinno wnieść do naszego grona sporo świeżości.

Półowa września: uroczystość otwarcia Sanktuarium uświetniło całonocne przyjęcie na terenie dawnej kolonii dla nudystów. Kulinarne dzieła szefa kuchni Sandora Nuneza, muzyka wykonywana przez cztery kapele rockowe i grupę filharmoników. Klimat tworzył M. Bayard Lowell w długim, białym kaftanie, pijący i wygłaszający monologi, otoczony wianuszkami wielbicieli.

Wśród gości zauważono profesora psychologii, który z czasem stał się popularyzatorem LSD, handlarza bronią z krajów arabskich, potentata przemysłu kosmetycznego, aktorów, reżyserów, agentów, producentów i ruchliwy rój dziennikarzy.

Terry Trafficant paradował przed własną grupą fanów. Wydawnictwo publikujące dzieła Lowella nabyło właśnie prawa do jego dziennika, zatytułowanego Od głodu do wściekłości.

Pracujący nad nim redaktor nazwał dziennik dożylnym zastrzykiem trucizny i piękna. Jedną z najważniejszych ksiązek naszego śmiecia.

Cytowano również słowa porucznika nowojorskiej policji, który swego czasu zatrzymał Trafficanta pod zarzutem morderstwa: *Za tym gościem ciągną się kłopoty. To tak jakby podpa-
lić lont przy lasce dynamitu i trzymać ją w oczekiwaniu na wybuch.*

Kilka kolejnych wypowiedzi na temat Lowella pochodziło z wywiadu z Trafficantem, który określał się mianem skruszonego menela, tubylca betonu, który wyrusza na wyprawę do nowego świata, okraszając swoje słowa cytatami z klasyki, marksistów i powojennej awangardy literackiej. Na pytanie o swoje przestępstwa odpalił: *Leżą już w grobie przeszłości, u ja nie jestem przecież przedsiębiorcą pogrzebowym. Odwdzięczając się Buckowi Lowellowi za wyzwolenie, nazwał swego patrona jednym z czterech najwybitniejszych ludzi w dziejach, stojącym obok Jezusa Chrystusa, Krishnamuriego i Petera Kurtena. Na pytanie o Petera Kurtena poradził dziennikarzowi: A poszukaj se, koleś, odwrócił się na pięcie i zniknął.*

Autor artykułu oznajmiał, że Kurten był niemieckim seryjnym mordercą znanym jako Potwór z Dusseldorfu, który w latach 1915-1930 w sadystyczny sposób zgwałcił i zmasakrował dziesiątki kobiet, mężczyzn i dzieci. Odznaczał się też kilkoma innymi osobliwymi właściwościami, lubił na przykład odbywać stosunki z wieloma gatunkami zwierząt gospodarskich, a idąc na stracenie miał nadzieję, że w chwili śmierci usłyszy bulgot własnej krwi.

Gdy dziennikarz zadzwonił później do Trafficanta z pytaniem, jak tego rodzaju wybryki można uznać za tytuł do „wybitności”, usłyszał w odpowiedzi: *To zależy od kontekstu i Kurten odłożył słuchawkę.*

Posypała się lawina listów od oburzonych czytelników. Niektórzy przywódcy religijni potępiłi Lowella w swych kazaniach. Lowell i Trafficant nie zgodzili się na żadne kolejne wywiady i wrzawa powoli ucichła. W maju wyszło drukiem *Od głodu do wściekłości*. Spotkało się to ze zgodnym, życzliwym przyjęciem krytyków, doczekało się drugiego wydania i znalazło na dziesiątej pozycji na liście bestsellerów „The New York Timesa”. Serię wieczorów autorskich odwołano jednak, gdy Trafficant nie zjawił się w pewnym porannym talkshow.

Zapytany o miejsce pobytu Trafficanta Buck Lowell powiedział:

– Terry odszedł od nas parę tygodni temu. Tuż po tym idiotycznym okresie burzy i naporu w sprawie Kurtena. Dla człowieka jego pokroju słowa mają inne znaczenie. Poczł się głęboko dotknięty.

– Wrażliwa dusza? – zapytał dziennikarz.

– To zależy od kontekstu – padła odpowiedź.

Przez kolejne dwadzieścia lat o Lowellu pisano coraz rzadziej, w końcu ostało się jedynie kilka prac doktorskich, których autorzy chłostali go ową szczególną mieszanką radości i złośliwości, która w kręgach uniwersyteckich uchodzi za dowcip. Skończył się nakład Rozkazu: Rzucaj światło, nie pojawiły się żadne nowe książki ani obrazy. Nikt nie zająknął się na temat Terry'ego Trafficanta, chociaż jego książka doczekała się edycji w miękkich okładkach.

Oddałem szarą książeczkę i wróciłem do domu. Gdy mijałem kanion Topanga, zachodziłem w głowę, czy ten wielki człowiek wciąż tam mieszka.

Rozdział szósty

W Kanionie Las Flores szumy i trzaski w radiu zagłuszyły muzyką. Kręciłem gałką, aż dosłyszałem nazwisko Schwandt na samym końcu jakichś wiadomości. Potem DJ obwieścił: A teraz znowu posłuchamy sobie trochę muzyki. Nie mogłem znaleźć żadnego innego dziennika i w końcu nastawiłem na AM. Na obydwu stacjach poświęconych aktualnościom mowa była o sporcie, poza tym w radiu słychać było tylko i wyłącznie gadaninę, muzykę i ludzi, którzy chcieli coś sprzedać.

Zarzuciłem poszukiwania i skupiłem się na urokach autostrady, która mknęła otwartą i jasną linią obok błękitnej wody. Nawet sklepy i lokale przy molo w Malibu nie wyglądały w promieniach popołudniowego słońca najgorzej. Sklepy z kostiumami kąpielowymi, szkoły nurkowania, budki z muszelkami, biura obrotu nieruchomościami udające, że prowadzą jakąś działalność nawet pomimo martwego sezonu. Gdy dojechałem do domu, wyszedłem na taras z piwem i tomikiem poezji Lowella. Szybko okazało się, że lektura jego utworów to żadna przyjemność.

Okropieństwa. Bardzo daleko odszedł od bujnych wierszy i pełnej radości prozy z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, lematem wszystkich niemal utworów była przemoc, w wielu znajdowała się wręcz dosłowna jej pochwała.

Pierwszy, zatytułowany „Lubobójstwo”, przypominał haiku:

Wchodzi przez próg przypięty do aktówki.

I Stwierdza,

Że pozabijała dzieci.

Ale pies przeżył.

Pora go nakarmić.

W innym namawiał:

Przez tąki i gaje

do: Jasności

Czystości

Lubieżności

Sodomii

Sadyzmu

Przygotowany perfekcyjnie na ścięcie:

Ostrzy kości. Wyrzuć 1 Ching,

potem wyrzuć za okno zasady.

Wiersz tytułowy prezentował się w postaci pustej czarnej strony. Kilka innych utworów sprawiało wrażenie chaotycznego nagromadzenia słów, a sześciostronicowy wiersz pod tytułem „Zamknij się” składał się z czterech czterowersowych zwrotek w języku, który w przypisie zidentyfikowano jako „fiński, prostaku”.

Wiersz zamykający zbiór wydrukowano tak małą czcionką, że musiałem strasznie wytężyć wzrok, by go odcyfrować:

Krrach. Krrach.

Zarzucona kamieniami i strzałami, sama się o to prosi.

Zasrana kretyńka – za kogo się ma?

Poddać się!

W taki sposób –TAK

Nietrudno domyśleć się, dlaczego książka nie spotkała się z przychylnym odbiorem i dlaczego Trafficant znalazł się pod jej urokiem. Wyobraziłem sobie, jak zachwyca się nią w swej celi, by potem pośpieszyć Lowellowi z pomocą. Nie była to tylko sprawa wspólnych gustów literackich. Dzięki kilku życzliwym słowom dostał wyrok w zawieszeniu.

Raz jeszcze przeczytałem ostatni wiersz. Kobieta sama się o to prosi, pogarda za to, że się poddaje. Klasyczna męska fantazja na temat gwałtu? Inkubus Lucy... Obraz uprowadzenia w koszmarze. Czy zetknęła się z tą potworną książeczką, na przykład w wyniku prowadzonych przez brata poszukiwań korzeni? Przeczytała i utożsamiła się z ofiarą? A może sen był odzwierciedleniem przeżyć bardziej osobistych – może była wykorzystywana seksualnie?

W czasie pierwszej wizyty stanowczo zaprzeczyła podejrzeniu, że padła ofiarą jakiegoś przestępstwa. Ale gdyby zdarzyło się to dawno temu i gdyby wyparła to ze świadomości, mogłaby zapomnieć. Sen zaczął nawiedzać ją po zeznaniach Mila dotyczących Carrie. Utożsamiła się z dzieckiem – ofiarą. W dzieciństwie wykorzystywał ją nie ojciec – który bujał gdzieś w świecie – lecz jakaś jego postać. Nauczyciel albo dorosły, w którym pokładała ufność? Inni mężczyźni ze snu mieszają się z ojcem, gdyż on skrzywdził ją na wiele sposobów.

Wyobraziłem sobie, jak budzi się na kuchennej podłodze. Bezradna. Ofiara. Albo nic z tych rzeczy.

Rozmyślałem jeszcze trochę, zaprowadziło mnie to właściwie donikąd, i wróciłem do domu. Przypomniałem sobie wiadomości radiowe i zacząłem zmieniać kanały, dopóki nie znalazłem dziennika. Coś o Europie Wschodniej; po chwili za plecami prezentera ukazała się złośliwie wykrzywiona twarz Schwandta.

„Policja w Santa Ana prowadzi dochodzenie w sprawie okaleczenia i zabójstwa jak dotąd niezidentyfikowanej, młodej kobiety, której zwłoki znaleziono wczesnie rano w worku na śmieci przy autostradzie Santa Ana, w miejscu, gdzie dochodzi do niej Main Street. Funkcjonariusze zajmujący się śledztwem twierdzą, że morderstwo przypomina do złudzenia czyny Upiora, Jobe'a Schwandta, który został ostatnio skazany na śmierć.

Brana jest pod uwagę możliwość pojawienia się w Orange County zbrodniarza naśladowającego Upiora. Będziemy informować państwa o postępach dochodzenia.

Za dużo zła, pora wypocić to wszystko z organizmu. Udałem, że mam kolana osiemnastolatka i poszedłem pobiegać na plaży. Gdy wróciłem, znowu dzwonił telefon. Znowu sprawa Lucy.

– Doktorze Delaware. Dzwonię... z pracy. Pojawiły się... pewne trudności – tak bardzo ściszyła głos, że ledwie ją słyszałem, a hałasy rozlegające się ze słuchawki wcale nie ułatwiały mi zadania.

– Co się stało?

– Sen. Znów... go miałam.

– Od czasu porannej wizyty?

– Tak – zadrzał jej głos. – Tutaj, w pracy, przy biurku... mój Boże, muszę mówić cicho; dzwonię z telefonu w korytarzu i ludzie na mnie patrzą. Czy pan mnie słyszy?

– Oczywiście.

– Czuję się jak idiotka! – zaczerpnęła tchu. – Żeby zasnąć przy biurku!

– Kiedy się to stało?

– W przerwie obiadowej. Przyniosłam sobie jedzenie i próbowałam nadrobić zaległości. Pewnie się zdrzemnęłam, zresztą sama już nie wiem, nic nie pamiętam.

– Brałaś przedtem jakiegokolwiek leki?

– Tylko tylenol na ból głowy.

– Żadnych preparatów przeciwhistaminowych ani innych środków, po których człowiek odczuwa senność?

– Nic z tych rzeczy. Po prostu... usnęłam – przeszła do szeptu. – Na pewno Obudziłam

się, gdy znalazłam się na podłodze, nogi... koszmar jeszcze tłukł mi się po głowie. W samym środku biura! O Boże!

– Coś ci się stało?

– Żadnych obrażeń ciała. Ale takie upokorzenie – wszyscy myślą, że zwariowałam!

– Czy gdy upadłaś, w pomieszczeniu było dużo ludzi?

– Wtedy nie, zbiegli się zaraz potem. Pora obiadowa, istne tłumy wracały z posiłku i zobaczyli mnie na podłodze! Pognałam do toalety, żeby dojść ze sobą do ładu. Po powrocie zastałam w biurze szefa. On nigdy nie pokazuje się w pomieszczeniach dla pracowników. Ta jego mina, jakby pytał, co za wariatka u niego pracuje.

– Pewnie przede wszystkim martwi go, że wciągniesz do komputera niepotrzebny plik jakiegoś robotnika.

– Nie, nie. Jestem przekonana, że uważa mnie za dziwaczkę. Żeby zasnąć w samo południe... Przeprosiłam, że muszę znowu iść do toalety i zbiegłam na dół, żeby do pana zadzwonić.

– Proszę przyjechać, porozmawiamy.

– Tak chyba będzie lepiej. I tak... nie nadaję się do tego, żeby wrócić na górę i podjąć pracę.

Zadzwoiłem do neurologa nazwiskiem Phil Austerlitz w Santa Monica z informacją, że mam dla niego potencjalnego pacjenta. Gdy streściłem sytuację, zapytał:

– Pańska diagnoza brzmi: narkolepsja?

– Dręczą ją koszmary. Jakaś enurezja związana z przeżyciami z dzieciństwa.

– Ale potem nie było żadnych długotrwałych urazów?

– Wszystko zaczęło się jakieś pięć miesięcy temu, gdy zasiadała na ławie przysięgłych w procesie człowieka Upiora.

– Wygląda na jakieś wstrząsające przeżycie.

– Też tak myślę, ale chcę sprawdzić wszystkie możliwości.

– Rozumiem. Przyjmę ją. Dziękuję, mam wreszcie coś ciekawego. Przez cały tydzień miałem do czynienia z wrzodami na mózgu. Pacjenci w naszym wieku, a nawet młodszy. Coś się zaczyna dziać.

Dzwonek przy bramie rozległ się tuż po piątej. Miała upięte w koński ogon włosy i

znękaną wyraz twarzy. Gdy ująłem ją za rękę, poczułem, że jest wilgotna i bezwładna. Podałem jej szklankę wody i posadziłem na krześle. Napiała się łyk i ukryła twarz w dłoniach.

– Co się ze mną dzieje, doktorze Delaware?

– Zobaczymy – dotknąłem jej ręki.

– Tym razem było inaczej, więcej widziałam – zacisnęła usta.

Zaczerpnęła tchu. Jeszcze. Wysunęła rękę z mojej dłoni. Usiadłem wygodniej. Zanim się uspokoiła, upłynęło kilka kolejnych minut.

– Pamięta pan te odgłosy tarcia, o których mówiłam? Które interpretowałam, jako seks? Okazało się, że nie mają z tym nic wspólnego – pochyliła się. – Przekonałam się, co to jest. Kopali grób, grzebali ją. To były odgłosy ich łopat, które uderzały o kamienie. Tym razem znalazłam się bliżej. Wszystko było widać wyraźniej, było rzeczywiste jak nigdy przedtem. To... – zakryła dłonią oczy i potrząsnęła głową. – Byli na wyciągnięcie ręki. Wszystko było takie rzeczywiste.

– Ci sami mężczyźni?

– Tak. Trzech. W tym ty... w tym Lowell. – Odsłoniła oczy, zwilżyła językiem wargi i spuściła wzrok. – On też kopał. Przykładał się, ciężko dyszał. Tak jak wszyscy. I klęli. Słyszałam ich oddechy – chrapliwe, jak u biegaczy. Potem złożyli ją w dole i... – zaczęły drżeć jej ramiona. – Poczułam, jak zaczynam się przemieniać, dusza opuściła ciało, widziałam, jak leci, tak jak teraz widzę to białe piórko. Potem wstąpiła w jej ciało.

Zerwała się na równe nogi.

– Muszę pochodzić.

Chodziła po pokoju, przeszła wzdłuż szklanych drzwi, po czym zawróciła. Powtórzyła tę trasę dwukrotnie i wróciła w stronę krzesła. Nic usiadła jednak i stała trzymając się oparcia.

– Czułam w ustach ziemię, doktorze. Jakbym sama znalazła się w tym grobie... usiłowałam otrzepać się z ziemi, ale nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu. Piach spadał na mnie, napełniał mnie. Myślałam: To tak wygląda śmierć. Okropne. Czym sobie zasłużyłam, dlaczego mi to robią?

Zamknęła oczy i opuściła głowę tak nisko, że zerwałem się i chwyciłem ją za ramiona. Jej mięśnie napięły się, ale zdawało się, że mnie nie zauważyła.

Z plaży dobiegało wzbierające niczym owacja echo przypiływu. Zaczęła raptem dyszeć.

– Lucy – powiedziałem.

Podziałało to na nią jak sugestia hipnotyzera, otworzyła oczy i zaczęła nimi szybko

mrugać.

– Co stało się potem?

– Obudziłam się. Znalazłam się znowu na podłodze. Nogi... – wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Co działo się z nogami?

– Nogi miałam – na policzki wystąpiły rumieńce – rozłożone, szeroko rozłożone, i to przy wszystkich. Poczułam się jak pierwsza lepsza dziwka.

– Ludzie są wyrozumiali w takich wypadkach.

Spojrzała na dłoń, którą trzymałam na jej ramieniu. Cofnąłem ją, a ona usiadła.

– Jezus Maria, ja chyba wariuję. Czy mi odbija?

– Nie – zaprzeczyłem stanowczo. – Najwyraźniej odreagowujesz jakąś sytuację stresową, a naszym zadaniem jest odkrycie, jaką. Radziłbym również konsultacje u neurologa w celu wykluczenia wszelkich zaburzeń organicznych.

– Na przykład czego? Guza na mózgu?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy, nie miałem zamiaru cię niepokoić. Musimy po prostu wykluczyć możliwość zaburzeń sennych, wynikających z zażywania jakichś leków. Istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, ale chciałbym się raz na zawsze upewnić i usunąć z naszej drogi wszelkie przeszkody.

– Nasza droga. Jakbyśmy wybierali się w jakąś podróż.

– Tak w pewnym sensie jest.

– Nie znam żadnych neurologów – odwróciła wzrok. Podałem jej namiary na Phila.

– Nie będzie nachalny. Nie powinno też cię boleć.

– To dobrze. Nie znoszą obmacywania. Zadzwońię do niego jutro, a teraz będę się już zbierać.

– Proszę najpierw trochę uspokoić się.

– Bardzo dziękuję, ale naprawdę czuję się bardzo zmęczona. Marzę tylko o łóżku.

– Kawy?

– Nie trzeba – to chyba zmęczenie emocjonalne, a nie senność.

– Na pewno chcesz już jechać?

– Tak. Przepraszam za całe zamieszanie.

– Nie ma problemu.

– Dzięki za poświęcony mi czas, jakoś się rozliczymy – popatrzyła na mnie. Skinąłem głową i odprowadziłem ją do drzwi. W progu jeszcze raz mi podziękowała.

– Muszą cię niestety uprzedzić, że w wieczornych wiadomościach możesz zobaczyć coś mało przyjemnego. Odnaleziono dzisiaj zwłoki człowieka zamordowanego tak, jak robił to Upiór. Możemy mieć do czynienia z naśladownictwem.

– Gdzie? – oparła się o framugę.

– W Santa Ana.

– Czyli w Orange County, więc Milo nie będzie się tym zajmował. Niedobrze, on rozwiązałby tę zagadkę.

Rozdział siódmy

Nazajutrz o piątej zadzwonił Phil Austerlitz.

– Zdrowa jak ryba – obwieścił. – Już dawno nie widziałem kogoś tak zdrowego, rzecz jasna z wyjątkiem jej nerwowości. Nawet mimo tego ma doskonałe ciśnienie. Sam chciałbym mieć takie.

– Na jakiego rodzaju objawy zawróciłeś uwagę?

– Nie lubi, jak się ją dotyka – zaraz na początku wypytała, co będę z nią robił, jak i dlaczego. Wiesz, co o tym myślę? Ogromne zahamowania seksualne. Czy dlatego w ogóle rozpoczęła terapię?

– Nie zajmuję się jej życiem seksualnym, Phil.

– Nie? To co z ciebie za lekarz?

Ani tego, ani następnego dnia nie zadzwoniła, żeby umówić się na wizytę. Morderstwu w Santa Ana nie poświęcano zbyt wiele uwagi. Ofiarą padła dwudziestojednoletnia prostytutka o nazwisku Shannon Dykstra, która mieszkała zaraz przy Disneylandzie i jeszcze na początku liceum zaczęła brać heroinę. Dziennikarze mieli niezły ubaw: jak to czarodziejskie królestwo gnije od środka.

Wieczorem zrobiłem steki i sałatkę i o siódmej zasiedliśmy z Robin do kolacji, podczas gdy Spike siedział obok i błagalnym wzrokiem dopominał się polędwicy. Po zjedzeniu Robin powiedziała:

– Jeśli nie masz żadnych szczególnych planów, wzięłabym się do roboty. Praca przy domu zabiera mi mnóstwo czasu.

– Może bym cię zmienił?

– Nie trzeba, skarbie, starczy, jak dzisiaj trochę nadgonię.

Spike z tęsknotą odprowadził ją wzrokiem, ale musiał wpierw skończyć resztki. Plątał się pod nogami, gdy zmywałem; kiedy poszedłem na kanapę i zacząłem pobrzękiwać na gitarze, rozsiadł się koło mnie i świstał na obwisłych wargach w B-dur, o niebo rozmijając się z jakąkolwiek harmonijną tonacją.

Po dziewiątej zadzwonił Milo. Zapytałem, czy bierze udział w śledztwie w sprawie Dykstry.

– Biorę udział, chociaż nie przymusowo. Dostrzegasz różnicę? W jajecznicy na bekonie kura bierze udział dobrowolny, a świnia przymusowy. Ludzie z Santa Ana poprosili mnie o współpracę i mają jutro rano przyjechać, żeby przyjrzeć się sprawie Schwandta.

– Istnieją aż takie podobieństwa?

– Niemal stuprocentowe. Ułożenie ciała, umiejscowienie obrażeń, odcięta głowa przystawiona do szyi, gówno rozmazane po ciele i wciśnięte w rany. To wszystko jednak wyszło na jaw w sądzie i praktycznie każdy mógł go naśladować.

– Kolejny potwór – dorzuciłem.

– Prasa zrobiła ze Schwandta cholerną gwiazdę, z tego tu robią następcę człowieka Upiora. Na pewno będzie niezła zabawa. Cieszę się przynajmniej, że nie muszę się tym zajmować. Robię teraz przy starych dobrych kradzieżach samochodów... A co tam u panny Lucy?

Chrząknąłem.

– No, dobra, dobra – odparł. – Wiem, że nie możesz zdradzać tajemnic zawodowych. Powiedz mi tylko, czy czuje się dobrze. Dzisiaj nagrała się cztery razy na sekretarce. Oddzwoniłem, ale na jej sekretarce powitał mnie jakiś ospały gość.

– To jej brat. Nie odzywa się już od paru dni. Kiedy dzwoniła?

– Dzisiaj rano. Przyszło mi do głowy, że dzieje się coś niedobrego – przecież cały czas do ciebie przychodzi – nie, tego nie powiedziałem, wiem, że ci nie wolno.

– Ujmijmy to tak: w przypadku, gdy pacjentowi zagraża jakieś bezpośrednie niebezpieczeństwo lub gdy odzywają się skłonności samobójcze, mam etyczny obowiązek powiadomić o tym policję lub właściwe placówki medyczne. A ja nie dzwoniłem do nikogo.

– W porządku. Spróbuję z nią jutro pogadać. A co tam u ciebie?

– Jakoś leci. A u Ricka?

– OK. W naszej pracy nie ma czasu na przyjemności. Marzą się wakacje, ale nie mamy

żadnych planów.

– Przymus i obowiązek – powiedziałem. – Mężczyźni tak strasznie cierpią z tego powodu.

– Gówno prawda – przerwał. – Pracuję pod stałym przymusem. Świnia ze mnie.

Zatelefonowała w piątek rano.

– Jeżeli ma pan czas, to może zjawiłabym się u pana?

– Po pracy?

– Wszystko jedno. Siedzę w domu.

– Chora?

– Nie. Nie wróciłam tam od... wypadku. A tak przy okazji, doktor Austerlitz był bardzo miły. Mówi, że nic mi nie jest.

– Wiem, kontaktowałem się z nim. Jak przeszło kilka ostatnich nocy?

– Od naszej ostatniej rozmowy całkiem nieźle. Nic mi się nie śni, budzę się w łóżku i zaczynam już wierzyć, że to chwilowe zaburzenia i że potrzebowałam się komuś zwierzyć.

Przypomniałem sobie ostatnią wizytę. Mnóstwo pytań bez odpowiedzi.

– Telefonowałaś do detektywa Sturgisa?

– Mówił panu o tym?

– Dzwonił wczoraj wieczorem, pytając, czy dzieje się coś poważnego. Mówił, że nie może cię zastać.

– Dobrze się znacie, prawda?

– Tak.

– Mówi o panu jak o jakimś geniuszu. Zapewnił go pan, że nic mi nie jest?

– Nic mu nie mówiłem. Tajemnica zawodowa.

– Ależ może mu pan mówić o wszystkim. Udzielam panu zezwolenia.

– Nie mam po temu powodów.

– Dobrze, rozumiem. Chodzi mi tylko o to, że mu ufam, a po wszystkim, co przeszłam, umiem oceniać mężczyzn. Zadzwoiłam do niego. Tak w ogóle to chciałam z nim porozmawiać, bo przez kilka ostatnich tygodni dostaję takie telefony...

– Jakie?

– Gdy odbieram, ktoś odkłada słuchawkę. Nie sędzę, żeby należało się tym przejmować.

– Ile?

– Parę razy w tygodniu, w sumie cztery, może pięć, przeważnie kiedy coś gotuję lub oglądam telewizję. Podejrzewam, że to jakaś awaria na łączach. Miło też się tym nie przejął. Radził, żebym od razu odkładała słuchawkę, a w razie czego telekomunikacja może zainstalować urządzenie, które będzie rejestrować numer rozmówcy.

– To chyba niezły pomysł – starałem się opanować drżenie w głosie. Morderca, który podpalił mi dom, też wcześniej prześladował mnie takimi rzeczami. – To co, przyjdiesz na przykład w południe?

– A, rzeczywiście – jakby zapomniała, po co w ogóle zadzwoniła. – Dziękuję.

Spóźniła się pięć minut. Ubrana była w ciepłutki, biały bawełniany golf, czerwoną bandanę, dżinsy, białe skarpetki i mokasyny. Miniaturowe rubinowe kolczyki w uszach, rozpuszczone włosy. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Było jej w tym do twarzy.

– Wszystko jest w absolutnym porządku – zaczęła.

– Cieszę się, że się polepszyło.

– To prawda. Może dzięki urlopowi. Zawsze sądziłam, że praca jest istotna, ale po paru dniach przerwy wcale za nią nie tęsknię.

– Masz zamiar w ogóle z niej zrezygnować?

– Nie jestem rozrzutna, więc trochę odłożyłam – uśmiechnęła się zakłopotana.

– O co chodzi?

– Mam też trochę w funduszu powierniczym. Nie starczyłoby na wystawne życie, ale to koniec końców tysiąc dolarów miesięcznie, czyli niezłe zabezpieczenie na czarną godzinę. Dlatego właśnie mówiłam, że inni znajdują się w o wiele gorszym położeniu.

– Przeszkadza ci posiadanie takich zabezpieczeń?

– No, cóż – zawahała się. – Sama tego nie zarobiłam. Dostałam od jego matki. To się nazywa lokata w drugim pokoleniu, robią to dla uniknięcia podatków. Zazwyczaj dają większość organizacjom charytatywnym, ale akurat teraz bardzo ułatwiłoby mi życie, więc mogłabym skorzystać.

– Zgadza się.

– Nie muszę się z niczego tłumaczyć. Przez ostatnie trzy lata w ogóle nie chorowałam.

Czy uważa pan, że rzucenie pracy jest nieodpowiedzialnym krokiem?

– Ani trochę.

– Szczerze?

– Szczerze.

– A więc... jak już mówiłam... wszystko w porządku. Rozmawiałam też z Milem o tym nowym zabójstwie. Policja z Santa Ana konsultuje z nim swoje postępowanie, co dobrze świadczy o ich inteligencji. Pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiły na mnie jego zeznania. Sympał szczegółami jak z rękawa, nie dał się obrońcy zapędzić w kozi róg. Pewnie pomaga mu w tym wzrost. Ile ma – sto dziewięćdziesiąt trzy?

– Dwa.

Na twarzy miała rumieńce, palcami robiła na niewidzialnych drutach niewidoczny sweater.

– Mam panu coś do powiedzenia – wyszeptała. – On mnie pociąga.

Starąłem się zachować spokój i patrzeć jej w oczy. Założyła nogę na nogę i dotknęła kolczyka.

– Dawno już nie czułam nic takiego do żadnego mężczyzny – odwróciła głowę. – Popęłniłam kiedyś kilka błędów. W zasadzie jestem dziewicą.

Pokiwałem głową.

– Poważnych błędów – ciągnęła – przyznaję. Ale już za nie zapłaciłam.

– To o to chodziło, gdy mówiłaś, że po tym wszystkim znasz się na mężczyznach?

Mruknęła coś, czego nie zdołałem rozszyfrować.

– Lucy?

Parę bełkotliwych słów, coś w rodzaju „cała policja”. Nachyliłem się w jej stronę. Poruszała bez przerwy ustami. Zamknęła oczy.

– Pracowałam na ulicy. Rozumie pan?

Nie zareagowałem.

– Tylko jedno lato.

– Wtedy, kiedy uczyłaś w Bostonie? – spytałem, przypominając sobie o wrzodach.

– Byłam naprawdę dziewicą. Potem w Head Starcie poznałam wujka jednego z uczniów. Przystojniak, niezwykle ujmujący i bystry Murzyn. Przyjeżdżał po synka i tak nawiązaliśmy kontakt. I tak, gdy się powie a, trzeba powiedzieć b. Myślałam, że się zakochałam. Po

pewnym czasie poprosił, żebym związała się z jakimś jego znajomym. Nie przypadło mi to do gustu, ale przystałam. Ostatecznie nie było tak źle: znajomy był w porządku, na koniec podarował mi szampon L'Oreal. Pamiętam to jak dziś – otworzyła napelnione łzami oczy. – Przeprowadziłam się. Raymond był ze mnie taki dumny, mówił, że mnie kocha, że okazuję mu prawdziwą miłość. Po tygodniu zjawił się w towarzystwie kolejnego znajomka – uniosła rękę. – Ciężkie przeżycie, ale mogło być znacznie gorzej. Inne dziewczyny pracowały dla niego na ulicy, ja mogłam robić to w pokoju. Czysto, ciepło, kolorowy telewizor. Nie dopuszczał do mnie żadnych zбочeńców. Zdobyłam swego rodzaju sławę – zaśmiała się ponuro. – Tak wygląda moja nieciekawa przeszłość. Dziesięć tygodni w niewoli i śmiertelnym grzechu. Później przeniosłam się do Belding, a Raymond znalazł sobie kolejną naiwną.

Odgarnęła włosy z twarzy i zmusiła się, by spojrzeć mi w oczy.

– Odtąd z nikim już nie spałam. Uważa pan, że nic jestem jeszcze wystarczająco czysta dla pańskiego przyjaciela?

– Że też zdobyłaś się na odwagę.

– Niech się pan nie martwi, nic nie knuję, nie jestem zбочzona. Pociąga mnie pod względem psychologicznym. Jego uprzejmość i solidność. Zbieram się na odwagę, żeby mu to wyznać. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Nie potrzebujesz mojego pozwolenia jednocześnie myślałem o nieuniknionych komplikacjach.

Patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem.

– Nie w smak to panu, zgadłam? – Gwałtownym ruchem wbiła wzrok w podłogę. – Nie powinnam była o tym mówić.

– Nie o to chodzi...

– Popęlniłam błąd – ciągnęła po cichu. – Ma pan prawo do własnych odczuć. Wyznałam, że byłam kurwą i nie ma nic dziwnego w tym, że nie chce pan dopuścić mnie do swojego przyjaciela.

– Nie ma to z tym nic wspólnego.

– A z czym ma? Dlaczego zmienia się panu wyraz twarzy, gdy mówię o swojej sympatii dla niego?

– Nic złego się nie dzieje. Stosunki między tobą i Milem lub kimkolwiek innym to nie moja sprawa.

Przypatrywała mi się badawczo.

– Proszę mi wybaczyć, doktorze Delaware, ale po prostu panu nie wierzę. Cudowny z pana człowiek i wielkie dzięki za wszystkie starania, ale w tej chwili napotykam z pana strony jakiś opór. Ja wyczuwam takie rzeczy – raz jeszcze się roześmiała. – Być może nauczyłam się tego puszczając się z dziesięcioma nieznanymi dziennie. Wyrabia sobie człowiek umiejętność szybkiego oceniania.

Wstała i przeszła przez pokój.

– Lucy zawala psychoterapię... Wizyty u znajomego Mila to krok w niewłaściwym kierunku – jak mogę obnażać przed panem duszę i oczekiwać bezstronności? Jak mogę liczyć, że odbędzie pan jakąkolwiek podróż z kurwą?

– Nie jesteś kurwą.

– Nie? Skąd ta pewność? Czy inne pańskie pacjentki nimi były?

– Lucy...

– Od siedmiu lat – wycodziła przez zaciśnięte zęby – nie dotknęłam mężczyzny. Od siedmiu lat oddaję podwójną dziesięcinę na biednych, nie jem mięsa, wynajduję wszelkie możliwe dobre uczynki, byle tylko się oczyścić. To dlatego chciałam zasiadać w tamtej ławie przysięgłych. Żeby zrobić coś naprawdę dobrego. Wreszcie spotykam mężczyznę, który mi się podoba, i czuję się jak dziwka – osądzana przez pana, tak jak ja sądziłam Schwandta. Powinam się była z tego wycofać? Jakie prawo mam do sądenia kogokolwiek?

– Schwandt to potwór – odpaliłem. – Ciebie przerosła nie do końca zrozumiała sytuacja.

Odwróciła się do mnie plecami.

– On jest potworem, a ja jestem odpychająca – wszyscy jesteśmy oskarżonymi w jakimś procesie, prawda? Nie życzy sobie pan zbliżenia między nami tylko z tego powodu, czy też może on już kogoś ma?

– Nie powinienem rozmawiać o jego życiu osobistym.

– Dlaczego? Czy on też jest pańskim pacjentem?

– Spotkaliśmy się tutaj, żeby porozmawiać o tobie.

– Ale ja czuję do niego pociąg, więc czy rozmowa na ten temat nie jest przypadkiem nie na miejscu? Gdyby nie był pana przyjacielem, moglibyśmy o nim pogadać.

– A ja nie wiedziałbym niczego o jego życiu osobistym.

Zamilkła. Oblizła wargi. Uśmiechnęła się.

– Rozumiem, ma swoje zobowiązania. Wiem jednak, że nie jest żonaty, bo sama go o

to pytałam i zaprzeczył – odwróciła się na pięcie w moją stronę. – Okłamał mnie?

– Nie.

– A więc z kimś chodzi... może nawet mieszka... czy jest piękna? Jak pańska żona? Wymieniacie się partnerami?

– Lucy – wtrąciłem się – przestań się torturować.

Wiedziałem, że moja małomówność stanowi pożywkę dla jej fantazji. I że nie mogę uprzedzić Mila – obowiązywała mnie tajemnica zawodowa. Odwróciła się do mnie plecami i oparła się rękami o szklane drzwi, zobaczyła ślady, które pozostawiła, i próbowała wytrzeć je rąbkiem swetra.

– Przepraszam – niemal wyszłochąła.

– Nie ma za...

– Nie mieści mi się w głowie, jak mogłam to wszystko powiedzieć. Jak mogłam zachować się jak...

– Spokojnie – zaprowadziłem ją z powrotem na krzesło. Siadała już, lecz nagle uniosła się, schwyciła torebkę i popędziła ku drzwiom. Gdy je otwierała, dogoniłem ją. Podmuch od morza potargał jej włosy. Z jej oczu ciekły łzy.

– Proszę wrócić, Lucy.

– Proszę mnie puścić – potrząsała głową. – Mam już dość upokorzeń.

– Omówmy...

– Nie mogę. Nie teraz. Przyjdę, obiecuję. Niedługo.

Puściłem ją. Weszła na kładkę.

Rozdział ósmy

Spaprałem coś, czy też dało się tego uniknąć? „Nie powinnam była przychodzić do jego przyjaciela”. Kto by pomyślał, że terapia może zmienić się w coś takiego? Co za cholerne zamieszanie!

Zadzwoiłem po godzinie. Nie odebrała. Spróbowałem raz jeszcze, po czym uznałem, że należy dać jej czas do namysłu.

Wieczorem usmażyliśmy z Robin fladry i frytki. Nie śpieszyliśmy się z dokończeniem kolacji. Myślni byłem gdzie indziej i starałem się to ukryć, okazując większe niż zazwyczaj zainteresowanie żoną. Domyślała się, że coś jest nie tak, ale nie zadawała żadnych pytań i oglądaliśmy po prostu zachód słońca.

Potem poszła rzeźbić, Spike zasnął, a ja wsiałem do seville'a i bez szczególnego celu pojechałem na północ. W Ventura zjechałem z autostrady i jeździłem chaotycznie po pogrążonych w mroku pustych ulicach. Całe szeregi sklepów z zabitymi oknami, ogłoszeń „Do wynajęcia”. Miasto dotkliwie odczuło recesję, co nie wpłynęło zbytnio na mój nastrój.

Gdy wróciłem, zastałem Robin czytającą w łóżku Rozkaz: rzucaj światło. Na mój widok zamknęła tomik i położyła go na kołdrze.

– Po co to pożyczyłeś?

– Badam.

– Co?

– Mroczną stroną wszechświata.

– Takie śmiecie. Aż trudno uwierzyć, że tego samego poetę czytaliśmy na angielskim.

– Krytykom też nie mieściło się to w głowach. Był to koniec jego kariery.

– Przedtem pisał zupełnie inaczej – ciągnęła. – Rumaki mroku. Poemat o Paryżu, chyba Targ. Szczególnie zapadły mi w pamięć Rumaki, bo musieliśmy analizować je w pierwszej klasie liceum. Pracę domową odrabiałam w wielkich bólach, ale książka była fascynująca, gdy robił z toru wyścigowego miniaturowy model świata, z wszystkimi tymi dziwnymi postaciami. To tutaj jest obrzydliwe. Co się z nim stało?

– Być może wyczerpał swoją porcję geniuszu?

– Jak on nienawidzi kobiet! A tak serio, to po co to czytasz?

– Chodzi o jedną pacjentkę, na którą Lowell miał pewien wpływ.

– O Boże. To musi być okropne.

Wzruszyłem ramionami i rozebrałem się.

– To ujmujące, że aż do tego stopnia starasz się wczuć w osobowość swoich pacjentów – powiedziała.

– Po to chodziłem do szkoły – odłożyłem książkę na stolik i wśliznąłem się pod kołdrę. Przysunęła się do mnie.

– Wyglądasz na zdenerwowanego.

– Nie, jestem tylko wykończony.

Nie odezwała się. Jej ogromne ciemne oczy wpiły się we mnie. Pukle włosów zsunęły się na nagie ramiona, niczym cień na tarczę księżyca. Wziąłem ją w ramiona.

– Czy starczy ci energii, by wczuć się w moją osobowość? Mam tyle najróżniejszych

odczuć.

Była siódma dziesięć nazajutrz rano i miałem na sobie szlafrok, gdy zadzwonił telefon.

– Doktor Delaware? Tu sekretarka. Czeka na pana niejaki doktor Shapoor.

– Proszę połączyć – nie przypomniałem sobie takiego nazwiska.

– Kto mówi – rozległ się w słuchawce nieznajomy głos.

– Doktor Delaware.

– Doktor Shapoor ze szpitala Woodbridgc. Wczoraj w nocy przywieziono niedoszłą samobójczynię, Lukrecję... Lowell. Odzyskała przytomność i twierdzi, że jest pańską pacjentką.

– Jak się czuje? – serce waliło mi jak młot.

– W porządku. Wygrzebie się.

– Kiedy ją przywieziono?

– Jakoś w nocy. Na przemian traciła i odzyskiwała przytomność. Utrzymuje, że to jej pierwsza próba. Mówi prawdę?

– O ile mi wiadomo, to tak, ale odbyliśmy zaledwie kilka seansów.

– My z kolei mamy zamiar potrzymać ją tu jakieś doby... chwileczkę!... Zna pan formalności?

– Tak.

– Będzie pod kontrolą jednego z naszych psychiatrów. Będzie pan chyba mógł ją widywać, ma pan tytuł doktora medycyny?

– Doktora nauk humanistycznych.

– No, cóż, nie wiem. W każdym razie...

– Jak to zrobiła?

– Gaz. Włączyła duchówkę i wsadziła głowę.

– Kto ją znalazł?

– Przywiózł ją jakiś facet. Ja niedawno zacząłem dyżur. W karcie napisane było, żeby do pana zadzwonić.

– Zażywała narkotyki albo piła?

– Według karty choroby pacjentka temu zaprzecza, ale przekonamy się dopiero, gdy przyjdą wyniki badań krwi. Miała kiedyś jakiś kontakt z narkotykami?

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale ostatnio było jej naprawdę ciężko.
- Hm... hm. Co? Niech po prostu poczekają!... Muszę już kończyć.
- Czy mogę się z nią teraz zobaczyć?
- Nie ma sprawy. Ona się nigdzie nie wybiera.

Po odłożeniu słuchawki uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia o lokalizacji szpitala Woodbridge. W informacji odezwał się znudzony głos, który powiedział:

– Ludzie nazywają tę miejscowość Woodland Hills, ale tak naprawdę jest to Canoga Park. W Topanga, trochę na północ od Victory.

Ubrałem się i pojechałem przybrzeżną autostradą na południe, dojechałem do Autostrady 101 i tam utknąłem w korku. Udało mi się zjechać z niej przy pierwszej nadarzającej się okazji. Skierowałem się na północ, dotarłem do Victory i przemierzyłem szesnaście kilometrów do Topanga Boulevard. Szpital miał postać trzypiętrowej kolumny z brązowej cegły i przypominał gigantyczny czekoladowy baton. Niewielkie przydymione okna, małe mosiężne napisy i jasno oświetlony znak pogotowia, przyćmiewający swym blaskiem światło poranka.

Miejsce na olbrzymim parkingu było darmowe. Stróż przy drzwiach omiótł mnie wzrokiem. Podałem urzędnicze swoje nazwisko i wpuściła mnie do środka. To miejsce zdominowało nieszczęście, ranni i chorzy ludzie wtłoczeni w plastikowe krzesła. Od czasu do czasu głosy personelu zagłuszał okrzyk bólu. W powietrzu czuło się smród kolostomii. Gdy przechodziłem, dobiegł mnie jakiś słaby, pełen nieśmiałej nadziei głos: „doktorze?”

Shapoor stał przed pokojem z napisem „Obserwacja 2” i czytał kartę choroby. Był wysokim, eleganckim Hindusem koło trzydziestki, miał faliste czarne włosy, wilgotne oczy i nasycony nikotyną oddech. Identyfikator mówił, że pracuje tu już drugi rok. Miał ręcznie malowany krawat i połączane słuchawki stetoskopu. Przedstawiłem się. Nie odrywał oczu od karty.

- Lucy Lowell – powiedziałem.
- Tak, tak, wiem – wskazał mi drzwi.
- W jakim jest stanie?
- Jakoś złożyliśmy ją do kupy.
- Odniosła jakieś obrażenia?
- Mówiłem w przenośni – zamknął z hałasem kartę. – W porządku. Odratowaliśmy ją. Przynajmniej na razie.
- Macie już wyniki badania krwi?
- Nie wykryto żadnych narkotyków.

- Jakie są uboczne skutki działania gazu?
- Nieznośny ból głowy w ciągu następnych dni, ogólne osłabienie organizmu, zadyszki – wszystko zależy od dawki, jaką wchłonęła. Dokładnie ją oczyściliśmy.
- Była przytomna gdy ją przywieziono?
- Na wpół. Ale bez przerwy traci świadomość. To typowy objaw.
- Czy jest tu gdzieś człowiek, który ją przywiózł?
- Nie wiem. Lekarka, która była wtedy na dyżurze, mogłaby pana poinformować bardziej szczegółowo. Pracuje po południu, ale jej zdaniem przymusowy pobyt w szpitalu był niezbędny.
- Jak ona się nazywa?
- Doktor Embrey. Niech pan zostawi wizytówkę przy wejściu na oddział lub u pielęgniarki zajmującej się oceną stanu zdrowia ofiar, żeby jej przekazali – założył stetoskop i skierował się do następnych drzwi, a ja podszedłem do sali, w której była Lucy.

Leżała z zamkniętymi oczami, oddychając przez usta, z rękami na udach. Włosy obwiązano jej gumowym pasem. Z foliowej torebki do jej żył płynęła jakaś przezroczysta substancja; w nosie syczał tlen, dostarczany rurką podłączoną do zbiornika. Za nią popiskiwał, migał i gulgotał rząd ekranów, które usiłowały wyliczyć jakość jej sil witalnych. Wskaźniki były niezłe, tylko ciśnienie nieco za niskie. Na twarzy widniały kropelki potu, lecz wargi były spierzchnięte. Wpatrywałem się w nią i przypominałem sobie przebieg terapii, zachodząc w głowę, w którym momencie pojawiły się sygnały ostrzegawcze.

„Jasne, że były, geniuszu” – wstyd i wściekłość.

Nieudane wyznania. Trudno było domyśleć się, że posunie się aż tak daleko, ale co ja o niej, do diabła, wiedziałem? A teraz jest poza moim zasięgiem. Zamkną ją na trzy dni. A może to potrwać jeszcze dłużej, jeżeli psychiatra przekona sędziego, że pacjentka stanowi zagrożenie dla siebie samej. Lekarka psychiatra. Może właśnie tego jej potrzeba. Bóg mi świadkiem, że nie okazałem się dla niej zbawcą.

Z głębin krtani wydobył się chrapliwy odgłos i gałki oczne poruszyły się pod napuchniętymi powiekami. Jest bardziej krucha, niż się spodziewałem. Czy uprawianie nierzędu było przyczyną, czy też objawem? Ciekawe, czy powiedziała mi całą prawdę? O ile mi wiadomo, jej ojcem był tak naprawdę kierowca ciężarówki z Bell Gardens, zażywający tyle samo sławy co wierny czytelnik „People”.

Kto przywiózł ją do szpitala? Kto wyciągnął jej głowę z pieca?

Otworzyła oczy. Próbowwała zamrunąć, ale nic z tego nie wyszło. Stałem bliżej. Z po-

czątku nie potrafiła się skupić, potem dojrzałem, jak rozszerzają się jej źrenice. Poruszyła ręką wyciągając w moją stronę palce, które ni stąd, ni zowąd opadły. Przytrzymałem je. Poruszyła ustami, starając się nadać im jakiś wyraz, w końcu odmalowało się na nich znużenie. Uśmiechnąłem się do niej. Skinęła nieznacznie głową. Z nosa jej wypadł wąż z tlenem, z którego z coraz głośniejszym sykiem zaczął ulatniać się cenny gaz. Włożyłem go z powrotem. Oblizła wargi i szerzej otworzyła oczy. Próbowwała coś wykrztusić, ale dobyła z siebie tylko nieartykułowany dźwięk. W oczach zabłyśły łzy.

– Daj spokój, Lucy.

Opadła z powrotem na poduszkę. Zdrętwiały jej palce. Przez kolejne dwadzieścia minut trzymałem ją za rękę, gdy spała. Weszła pielęgniarka, rzuciła okiem na monitory i zatrzasnęła drzwi. Lucy obudziła się gwałtownie, ciśnienie skurczowe natychmiast podskoczyło. W oczach pojawił się popłoch.

– Jesteś cała i zdrowa, Lucy. W pogotowiu w szpitalu Woodbridge.

Zaczęła kaszleć, nie mogła się opanować. Rurka z tlenem znowu wysunęła się z nosa. Przy kolejnych skurczach unosiła się z materaca i chcąc nie chcąc oddawała się osobiwej gimnastyce, od której twarz wykrzywiała się z bólu. Kaszlała coraz ciężiej, pluła groźnie wyglądającym szarym śluzem, który startem z pościeli. Gdy kaszel ustał, włożyłem wąż z powrotem do nosa. Odzyskała oddech po dłuższej chwili.

– Co – wyszeptała chrapliwie – się dzieje?

– Leżysz w pogotowiu w szpitalu Woodbridge.

Była zdezorientowana.

– Co pamiętasz?

– Spałam – popatrzyła niepewnie. Zamknęła oczy, twarz wykrzywił grymas. Bólu? Wstydu? Może obydwu rzeczy naraz?

– Boli – uniosły się powieki.

– Co?

– Głowa.

Jęknęła i zaszlochała. Sprawdziłem, co podawano jej przez kroplówkę: glukozę i elektrolity, bez środków znieczulających. Zadzwoiłem po pielęgniarkę.

– Tak? – warknął ktoś w głośniku na ścianie.

– Panna Lowell cierpi. Można by jej coś podać?

– Chwileczkę.

Lucy zaczęła znowu kaszleć i splunęła. Patrzyła nieruchomym wzrokiem, gdy ścierałem jej z ust flegmę.

– Co... się stało? – zadrżała i zaczęła szczekać zębami. Przykryłem ją jeszcze jednym kocem. Powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Nachyliłem się nad nią. – Jestem chora?

– Dużo przeszłaś.

– Co? – łzy spłynęły jej po policzkach, obok węzyka z tlenem, i wpadły do ust. W twarzy jak w zwierciadle odbijał się wielki strach. – Chora? – powtórzyła.

– Lucy, mówią, że usiłowałaś popełnić samobójstwo – ująłem jej rękę.

Rozszerzone z przerażenia oczy.

– Nie! – szepnęła, a raczej poruszyła wargami, prawie nie wydając żadnego dźwięku. – Nie!

Ucisnąłem lekko jej palce i pokiwałem dla potwierdzenia głową.

– Jak?

– Gazem.

– Nie!

Na monitorach za łóżkiem nagle zaczęło się coś dziać. Przyśpieszone bicie serca, skok ciśnienia skurczowego. Dłoń, którą trzymałem, zwiotczała i zwilgotniała.

– Nie!

– Nic się nie stało.

– Nie!

– Wierzę ci – skłamałem. – A teraz postaraj się uspokoić.

– Nie mogłam!

– Dobrze.

– Nie!

– W porządku, tylko się uspokój.

Potrząsała głową. Rurka z tlenem wypadła z nosa jak wystrzelony z procy kamień. Gdy próbowałem wsadzić ją z powrotem, odkręciła głowę. Pierś unosiła się gwałtownie, kobieta chrapliwie dyszała. Otworzyły się drzwi i weszła znana mi już pielęgniarka. Młoda, z ociężałą twarzą i krótko przyciętymi włosami.

– Co się dzieje?

– Jest wzburzona.

– Dlaczego wężyk nie tkwi w nosie?

– Wypadł. Właśnie wkładałem go z powrotem.

– No, to trzeba się z tym pośpieszyć – zabrała mi rurkę i usiłowała wetknąć ją Lucy do nosa. Ale pacjentka odwróciła się również od niej. Pielęgniarka położyła jedną rękę na biodrze, a w palcach drugiej obracała wąż.

– Niech pani posłucha – zaczęła. – Mamy tu kupę pracy i nie ma czasu na takie zabawy w kotka i myszkę. Chce pani żebyśmy okleili całą głowę taśmą żeby przymocować tę rurkę? Musielibyśmy to zrobić dość mocno i proszę mi wierzyć, że bóle głowy nieprędko by wtedy ustąpiły. Chce pani tego?

Lucy zagryzła wargi i pokręciła głową.

– To proszę leżeć spokojnie, to dla pani dobra. Próbujemy tutaj zająć się panią i złożyć z powrotem do kupy.

Skinęła głową. Rurka powróciła na swoje miejsce.

– Tak trzeba, tylko tak dalej – pielęgniarka omiotła wzrokiem monitory. – Tętno podwyższyło się do dziewięćdziesięciu ośmiu. Proszę się rozluźnić.

Bez odpowiedzi.

– Dobrze?

Skinięcie głową.

– Jest pan z rodziny? – zwróciła się do mnie.

– Nie, jestem jej terapeutą.

Obrzuciła mnie dwuznacznym spojrzeniem.

– Może uda się panu doprowadzić ją do ładu – skierowała się ku drzwiom.

– A co z bólami?

– Nie wolno jej przyjmować żadnych środków do czasu, gdy będziemy mieli stuprocentową pewność, że ją oczyściliśmy.

Lucy zaskrzeczała.

– Wybacz, kotku, ale to dla twojego własnego dobra – siostra otworzyła z rozmachem drzwi, przez które wpadły do sali blask światła i harmider z korytarza. – Proszę pomyśleć o czymś przyjemnym. Proszę się nie denerwować, to tylko pogorszy pani stan.

Drzwi zamknęły się. Ponownie ująłem pozbawioną życia dłoń Lucy.

– Nieprawda – powtórzyła. Kiwnąłem głową. – Przysięgam!

– Ja ci wierzę.

– Wyjdę?

– Chcą cię potrzymać trochę na obserwacji.

– Proszę! – usiłowała się podnieść.

– To nie zależy ode mnie.

Podczas prób wstania rurka wypadła jej z nozdrzy na kołdrę, zaczęła wić się i syczeć niczym rozdrażniony wąż. Ekrany znowu zamigotały.

– Posłuchaj mnie – położyłem jej ręce na ramionach i popchnąłem łagodnie na łóżko. Nie stawiała żadnego oporu. Wsadziłem rurkę z powrotem. Zerwała się.

– Do domu!

– Nie mogę. Ta pielęgniarka nie ma wrodzonych zdolności dyplomaty, ale pod jednym względem ma rację: teraz musisz się odprężyć. I nie stawiać oporu.

Przerażone spojrzenie, przewracanie oczami. Kolejne ataki kaszlu.

– Dlaczego... – spytała niemal bez tchu – nie... do domu?

– Ponieważ oni sądzą, że usiłowałaś popełnić samobójstwo. Zatrzymali cię na tak zwanej trzydobowej obserwacji. Oznacza to, że mają prawo zatrzymać cię tu przez ten czas pod nadzorem psychiatrycznym. Potem, jeżeli nie będziesz stanowić zagrożenia dla samej siebie i dla otoczenia, będziesz mogła wrócić do domu.

– Nie! – jęknęła i pokręciła głową na poduszce.

– Takie jest prawo, które ma za zadanie cię chronić.

– Nie!

– Naprawdę przykro mi, że musisz się temu poddać, i mam mocną nadzieję, że już niedługo zobaczę cię z powrotem całą i zdrową. I właśnie dlatego nie powinnaś stawiać oporu.

– Pan... lekarzem?

– Niestety, ja tutaj nie pracuję. Będzie się tobą zajmować doktor Embrey, kobieta i lekarz psychiatra. Zaraz z nią porozmawiam...

– Nie!

– Wiem, że to przygnębiająca perspektywa, ale proszę uzbroić się w cierpliwość.

– Trzy dni?

– Obiecuję, że będę przy tobie siedział.

Znowu jęki. Wzdrygnęła się i przyłożyła rękę do skroni.

– Ojej!

– Ułóż się wygodnie – napomniałem. – Wiem, że trudno się z tym pogodzić.

– Auu!

Dotknęła ręką boku. Wskazywała palcem na żebra.

– Co się stało?

– Złamane.

– Złamałaś żebro?

– Tak. Złamałam – pokiwała głową.

– Nie, to nic takiego – powiedziałem, głaszcząc ją po twarzy. – Tylko trochę siniaków.

– Nie... złamane.

– Wszystko będzie w porządku. Tylko odpocznij.

– Milo.

– Mam zawiadomić Mila o twoim stanie?

– Powiedz... że ktoś...

– Ktoś?

– Ktoś... – powtórzyła, dotykając żeber. W jej oczach widniało przerażenie. – Ktoś...

– Że ktoś co... – zawtórowałem i nachyliłem się w jej stronę.

– Chciał mnie zabić!

Rozdział dziewiąty

Opadła z powrotem na poduszkę i zasnęła. Na ekranach spokój zapanował dopiero po jakiejś minucie. Odczekałem chwilę, po czym poszedłem w poszukiwaniu kawy.

– Przepraszam, czy jest pan jej lekarzem? – zaczepił mnie jakiś mężczyzna na korytarzu.

Był koło trzydziestki. Sto sześćdziesiąt parę centymetrów wzrostu, szeroki w barach, przysadzisty, o okrągłej twarzy, jasnobrązowych włosach i piwnych oczach, elegancko opalony. Miał na sobie niebieski sweter z dodatkiem wełny oraz ciemnowiśniową płócienną koszulę. Nogawki lnianych beżowych spodni były idealnie dopasowane do jego wzrostu, niżej wi-

dać było mokasyny w kolorze byczej krwi.

– Nazywam się Delaware i jestem jej psychiatrą.

– Świetnie się składa – odparł i wyciągnął rękę. – Ken Lowell. Brat.

Naszą uwagę zwróciło zamieszanie na korytarzu. Sanitariusz sadzał na wózku inwalidzkim jakiegoś staruszka, bladego jak wosk i chudego jak szkielet. Spod szlafroka kapła krew, tworząc na szarym linoleum krętą, szkarłatną smużkę. Miał oczy bez wyrazu i otwarte usta. O tym, że żyje, świadczyło jedynie drżenie nóg. Ken Lowell odprowadził wzrokiem wózek. Nikomu nie śpieszyło się z wytarciem krwi. Odwrócił się do mnie, było mu wyraźnie niedobrze.

W eleganckim ubraniu sprawiał wrażenie turysty, który zabłąkał się do dzielnicy biedoty.

– Chciała z panem rozmawiać. Przypuszczałem, że majaczy i chce jechać gdzieś do Delaware – potrząsnął głową. – Jak się czuje?

– Pod względem fizycznym dochodzi do siebie. Czy to pan przywiózł ją do szpitala?

Skinął głową na potwierdzenie.

– Czy coś takiego już się kiedyś zdarzało?

– Nic mi o tym nie wiadomo – z kieszeni marynarki wyjął ciemnowisniewą, jedwabną chusteczkę i otarł nią czoło. – Co z nią teraz zrobią?

– Musi pozostać w szpitalu przez co najmniej trzy dni, a potem tutejszy psychiatra zaplanuje jakąś kurację.

– Czy będzie zatrzymana pod przymusem, wbrew swej woli?

– Jeśli pani doktor Embrey uzna, że Lucy zagraża niebezpieczeństwo, może wystąpić do sądu o przedłużenie pobytu w szpitalu. Zdarza się to jednak rzadko, chyba że pacjent jeszcze w szpitalu dokonuje kolejnej próby samobójstwa lub gdy znajduje się w stanie poważnego załamania.

– Jak do tego doszło, doktorze? Czy była w depresji?

– Przykro mi, ale nie mogę omawiać z panem żadnych szczegółów, jestem związany tajemnicą zawodową.

– Rozumiem, przepraszam. Po prostu bardzo mało o niej wiem. Prawdę mówiąc jesteśmy sobie zupełnie obcy. Nie widzieliśmy się dwadzieścia lat.

– Jakim wobec tego cudem przywiózł ją pan do szpitala?

– Czysty przypadek. Okropne zdarzenie. Szukałem Puka, Petera, mojego brata przy-

rodniego, a rodzzonego Lucy. Umówiliśmy się o siódmą na kolację i nie zjawił się w hotelu. Zaniepokoiło mnie to; nie sądziłem, że przepuści taką okazję. Odczekałem więc trochę, po czym pojechałem do mego do Studio City. Opowiadał mi o swojej zażyłości z Lucy, więc zaryzykowałem i postanowiłem szukać go u niej. Dotarłem na miejsce już po dziesiątej i pewnie nawet bym nie wszedł, gdyby nie paliło się światło, a zasłony nie były odsłonięte, gdy znalazłem się przed drzwiami, wydawało mi się, że czuję zapach gazu. Zapukałem, nikt mnie nie wpuszczał, więc zajrzałem przez szklane drzwi i zobaczyłem, że klęczy na podłodze w kuchni. Zacząłem walić w szybę, ale nawet nie drgnęła. Stłukłem drzwi i wyciągnąłem jej głowę z duchówki. Dało się wyczuć tętno. Jeszcze oddychała, ale nie była w najlepszym stanie. Wykręciłem numer 911. Udało mi się połączyć dopiero po dłuższej chwili. Czekaając na karetkę, przejrzałem w książce telefonicznej listę szpitali, znalazłem to miejsce, uznałem, że nie można już dłużej czekać i przywiozłem ją tu.

Wsadził chusteczkę z powrotem do kieszeni i potrząsnął głową.

– Jest pan z San Francisco? – zapytałem.

– Skąd pan wie?

– Lucy mi powiedziała.

– Rozmawialiście na mój temat?

– Musiałem dowiedzieć się czegoś o rodzinie.

– Ach, tak. No więc tak naprawdę mieszkam w Paño Alto, ale dość często przyjeżdżam do Los Angeles w interesach. Zajmuję się nieruchomościami, przeważnie wykupami i upadłościami. Przy obecnej sytuacji gospodarczej zdarza mi się tu bywać jeszcze częściej i zacząłem zbierać się do nawiązania kontaktu z Pukiem i Lucy. Wydawało mi się to nie w porządku, że nigdy nie spróbowaliśmy się spotkać. Lucy nie było w książce, ale znalazłem numer Puka i parę tygodni temu zadzwoniłem do niego. Był wstrząśnięty; wytworzyła się niezręczna sytuacja. Pogadaliśmy sobie kilka razy przez telefon i w końcu umówiliśmy się na kolację.

– Czy Lucy też się na nią wybierała?

– Nie, on sobie tego nie życzył, chyba chciał ją ochraniać. Mieliśmy wybadać grunt. Ustaliliśmy, że jeżeli wszystko pójdzie gładko, wciągniemy także ją... Bardzo się tym wszystkim denerwował. A jednak kiedy się nie pojawił, byłem zaskoczony.

– Czy miał pan potem od niego jakieś wieści?

– Nie. Próbowałem dodzwonić się stąd, ale nikt nie odbierał telefonu – spojrział na zegarek. – Powinienem chyba spróbować raz jeszcze.

W korytarzu wisiał telefon na żetony. Wykręcił numer, postął, by wrócić, potrząsając

głową.

– Biedactwo – powiedział zaglądając do sali Lucy. – Puk mówił, że ostatnio zasiadała w ławie przysięgłych na jakimś ciężkim procesie i odtąd nie mogła się z tego wygrzebać, ale nie przypuszczałem, że jest aż taka... wrażliwa.

Zapiął marynarkę, która ściśle opinała brzuch.

– Za dużo oficjalnych obiadów – powiedział z melancholijnym uśmiechem. – Na pewno nie było jej łatwo. Powiedziała panu, kim jest nasz ojciec?

Skinąłem głową.

– Nie wiem, czy utrzymywała z nim jakiegokolwiek stosunki, ale jeśli tak, to założę się, że z pewnością nie mogło jej to ulżyć.

– A to dlaczego?

– Ten facet to sukinsyn do szpiku kości.

– Pan utrzymywał z nim jakieś stosunki?

– Ani mi się śni. Mieszka tu niedaleko, w kanionie Topanga, ma spory kawałek ziemi, ale jego numeru za nic w świecie bym nie wykręcił – rozpiął marynarkę. – Kiedy zaczynałem działalność gospodarczą marzyło mi się, że pewnego pięknego dnia on zbankrutuje, a ja za grosze wykupię jego grunty – uśmiechnął się. – Ja sam też przechodziłem psychoterapię. Rozwiodłem się w zeszłym roku.

– Co zdarzyło się dwadzieścia lat temu?

– Proszę?

– Mówił pan, że ostatnim razem widział się pan z Lucy dwadzieścia lat temu.

– A, tak. Dwadzieścia, może dwadzieścia jeden, w tym mniej więcej przedziale – Zmrużył oczy i podrapał się po nosie. – Miałem wtedy dziewięć lat, czyli dwadzieścia jeden lat temu. Latem, w roku, w którym matka postanowiła jechać do Europy i pobierać tam lekcje malarstwa, zawiozła nas – mnie i moją siostrę Jo – do LA i zostawiła w Sanktuarium. Tak nazywa się jego posiadłość w Topanga.

– Słyszałem... takie zacisze dla pisarzy.

– Może i tak. W każdym razie matka zjawiła się bez uprzedzenia i zwałała mu nas na głowę. Był szczęśliwy jak pacjent przed borowaniem, ale nie miał innego wyjścia, nie mógł wyrzucić nas na zbity łeb.

– Spotkaliście tam Lucy?

– I ją i Puka. Zjawili się parę tygodni po nas. Małe dzieciaczki, o których nic nie wie-

dzieliśmy. Matka nigdy nie wspominała nam o ich istnieniu, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, że ojciec rzucił ją i odszedł z inną kobietą. Okazało się, że ich matka nie żyła już od kilku lat, a ciotka, która się nimi zajmowała, wyszła za mąż i chciała się ich pozbyć.

– W jakim byli wieku?

– Skoro ja miałem dziewięć lat, Puk musiał mieć wtedy... pięć. A więc Lucy była cztero-latką. Traktowaliśmy ich jak oseski, nie chcieliśmy się z nimi zadawać. Prawdę mówiąc, mieliśmy do nich żal: matka zawsze opluwała ich rodzicielkę za to, że zabrała jej ojca.

– Kto się nimi zaopiekował?

– Niania czy też jakaś babysitterka. Pamiętam to jak dziś, bo oni spali w wielkim domu, podczas gdy ja i Jo zmuszeni byliśmy zamieszkać w małej chacie i sami dawać sobie radę. Ale nie przeszkadzało nam to. Robiliśmy, co chcieliśmy, bawiliśmy się.

– Dwadzieścia jeden lat temu – powtórzyłem – czyli tuż po otwarciu Sanktuarium.

– To prawda. Pamiętam to wielkie przyjęcie, podczas którego mieliśmy siedzieć cicho w swojej chacie. Zostawili nam jedzenie. Pod olbrzymim ciężarem uginały się te białe długie stoły, potem przez wiele tygodni dojadało się resztki. Często wtedy przemykałem do kuchni i podwęczałem ciastka. Utyłem pięć kilogramów – tak też zaczęły się moje kłopoty z wagą.

Ludzie krzyczą, a może śmieją się... i światła jak robaczki świętojańskie.

– No, cóż – raz jeszcze zerknął na zegarek. – Milo było pana poznać. Jeśli będzie pan potrzebował jakiegokolwiek pomocy... – odwrócił się w stronę wyjścia.

– Jak długo zamierza pan zostać w Los Angeles?

– Miałem wracać dzisiaj wieczorem. Sądzi pan, że Lucy mogłaby chcieć się ze mną zobaczyć?

– Trudno mi w tej chwili powiedzieć. Nic za bardzo obchodzi ją teraz rzeczywistość.

– Rozumiem – powiedział ze smutkiem. – Zachodzę w głowę, gdzie podział się Chochlik i dlaczego nie zjawił się na kolacji. Proszę.

Wyjął portfel z krokodylej skóry i podał mi wizytówkę, na której widniało: Grupa Alfa, Kenyon T. Lowell, wicedyrektor. (415) 547-7766

– Mam cały dzień wypełniony różnymi spotkaniami, ale chyba mogę pokręcić się tu do jutra rana. Jeśli rzeczywiście będzie chciała się ze mną spotkać, albo jeśli odezwie się Chochlik, to w razie czego zatrzymałem się w hotelu Westwood Marquis.

– Ma pan przy sobie numer Chochlika?

– Jasne – z portfela wyłoniła się identyczna wizytówka. Na odwrocie niebieskim pió-

rem zapisano telefon z kierunkowym do doliny.

– Gdyby miał pan kawałek papieru, to bym go sobie zapisał.

– Proszę ją zabrać – odpowiedział. – Znam go na pamięć.

Rozdział dziesiąty

Poszedł sobie, a ja wróciłem do sali, w której leżała Lucy. Cały czas spała, więc zostawiłem u pielęgniarki przełożonej wiadomość dla doktor Embrey, po czym zadzwoniłem na policję w zachodnim Los Angeles i połączono mnie z Milem.

– Co jest, Alex?

– Wczoraj wieczorem Lucy usiłowała popełnić samobójstwo. Jej zdrowiu nie zagraża już niebezpieczeństwo, ale jeszcze się z tego nie otrząsnęła. Jestem teraz w szpitalu Woodbridge w dolinie, gdzie mają ją zamiar trochę potrzymać.

– Kurwa mać. Jak to zrobiła, podcięła sobie żyły?

– Włożyła głowę do duchówki.

– Ty ją znalazłeś?

– Nie, jej przyrodni brat. Miała szczęście, że szukał akurat jej brata, zajrzał przez okno i zobaczył ją kłęczącą na podłodze w kuchni. Wypada tylko dziękować opatrności.

– Nie zasłoniła okien i włożyła głowę do piecyka? Co to miało być, wołanie o pomoc?

– Bóg raczy wiedzieć. Nigdy nie czyniła żadnych aluzji do samobójstwa, trudno mi jednak oprzeć się wrażeniu, że wyszedłem na idiotę.

– Alex, co ty wygadujesz? Co się stało?

– To skomplikowana historia. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.

– 1 nie możesz mi nic zdradzić?

– Prawdę mówiąc, to nawet muszę. Ale nie przez telefon. Na kiedy możemy się umówić?

– Wybierasz się do miasta?

– Tak.

– Za trzy kwadranse u Gina.

Trattoria Gina znajduje się na Pico, nieopodal Dworca Zachodniego w LA: obrusy w kratkę, zawieszane na suficie butelki chianti, mało wykwintne wina. Nawet za dnia w lokalu

panuje półmrok, rozświetlany jedynie świecami, które płoną w brudnych kloszach barwy bursztynu. Świeca stojąca na stoliku w kącie, przy którym zasiadł Milo, oświetlała go od dołu, uwydatniając każde zagłębienie i wybrzuszenie jego postaci, upodabniając go do gargulca, cierpiącego na chroniczne bóle krzyża.

Miał na sobie białą koszulę, ciemny garnitur i taki sam krawat. Od razu zauważyłem, że był u fryzjera: z boku włosy były przycięte po wojskowemu, na czubku długie i zmierzwione. Wzdłuż uszu biegły baki, będące w modzie i niezgodne z regulaminem policji.

Przed nim stały dwa piwa. Jedno przysunął w moją stronę. W przyćmionym blasku pomieszczenia jego zielone oczy nabrały szaroburego koloru.

– Czemu zawdzięczam, że raptem rozwiązał ci się język?

– Prosiła mnie o to Lucy. Mówi, że ktoś próbował ją zabić, i chce, żebyś ją chronił. Jestem przekonany, że pod wpływem działania gazu coś sobie uroiła albo może wyparła ze świadomości fakt, że chciała z sobą skończyć. Dla mnie jednak jest to jej oficjalne polecenie.

– Niby jak się to miało stać? Ktoś zawłókł ją do duchówki i wsadził jej głowę do środka?

– Na razie nie jest w stanie pozbierać myśli i podać jakichkolwiek szczegółów.

– Pamiętasz te jej anonimowe telefony? Wyglądu na to, że zaczęła się obsesja.

– Mówiła, że nie potraktowałeś jej poważnie.

– Tak samo jak ona mnie. Powiedziała, że może chodzić o jakieś problemy techniczne z linią telefoniczną, która raz po raz odmawia posłuszeństwa. Nie bardzo się tym przejmowała, odnosiłem wrażenie, że najzwyczajniej w świecie chce pogadać.

– Masz rację. O tym też mam cię powiadomić. Zabujała się w tobie. Zwierzyła mi się podczas wczorajszej wizyty.

Siedział w milczeniu i bezruchu.

– Oczekiwała z mojej strony poparcia. Nie chciałem mówić jej o twoich skłonnościach homoseksualnych, żeby nie zdradzać twoich tajemnic. Nie mogłem też ostrzec ciebie, bo byłem związany tajemnicą zawodową. Strasznie się wkurzyła i wyszła. A teraz coś takiego. Czuję się tak, jakbym coś schrzanił, a jednocześnie nie przychodzą mi do głowy żadne inne możliwe rozwiązania.

– Mogłeś jej powiedzieć. Nie jestem twoim pacjentem.

– Uznałem, że nie wypada wchodzić z buciorami do twojego życia prywatnego. Staralem się skupić na niej.

– Jezus Maria – wyduł policzki i wypuścił z nich strumień przesiąkniętego piwem powietrza.

– Czy okazywała ci jakieś gorętsze uczucia?

– Nie mam pojęcia – odpalił rozwścieczony. – Gdy sobie wszystko przypomnę... kręciła się koło mnie, dzwoniła, ale myślałem, że jak to zwykle między gliniarzem a ofiarą. Szukała starszego brata – potarł oko. – Sytuacja podbramkowa, co? Jasny szlag! Że też nie kiwnąłem nawet palcem. Przez wszystkie te lata uważałem, żeby unikać zażyłości z ofiarami i ich rodzinami. Co jej strzeliło do głowy?

– Zachowałeś się poprawnie – powiedziałem. – Udzielałeś jej duchowego wsparcia, a kiedy okazało się, że potrzeba czegoś więcej, skierowałeś do mnie.

– Zgoda, ale to nie wszystko. Jeszcze te myśli. Na pewno to wyczuła.

– Co?

– Zaangażowanie. Zdarzało się, że przytąpywałem się na rozmyślaniach na jej temat. Parę razy nawet do niej dzwoniłem, tak z troskliwości – walnął grubą ręką w stół. – Przecież nie mogła odebrać tego inaczej. Czy już doszczętnie wygnił mi mózg? Na miłość boską była tylko przysięgłą. Stykałem się z ofiarami, które przechodziły przez o wiele gorsze piekło. Wiadać już się do tego nie nadaję.

– To nie ty wsadziłeś jej głowę do duchówki.

– Ty też nie, a obaj czujemy się jak wypierdki.

Napiliśmy się.

– Gdybym nie próbował jej swego czasu pomóc – zaczął – nie doszłoby do mnie, że włożyła głowę do piekarnika. I teraz siedzielibyśmy sobie i gadali o zupełnie innych sprawach.

Wysączył resztę piwa, więc poprosił kelnera o drugie, zerkając jednocześnie w moją stronę.

– Nie, dzięki.

– Błogosławieni ci, co o niczym nie wiedzą. Gada się o introspekcji i samoświadomości, ale najlepiej przystosowani psychologicznie są ci, którzy umieją jak strusie chować głowy w piasek. A teraz skończyło się na tym, że mam ją na głowie. I co mam teraz zrobić, powiedzieć, że gdybym tylko znajdował upodobanie w kobietach, to byłaby moim numerem jeden? Równie dobrze można byłoby z powrotem wsadzić jej głowę do pieca.

– Nie ma się co gorączkować – wtrąciłem. – Zobaczmy, jak zniesie te trzy doby. Jeśli psychiatra w Woodbridge jest niezła, to jakoś sobie z tym poradzi.

– Siedemdziesiąt dwie godziny... chwała i cześć naszemu prawu.

– To jeszcze nie wszystko – i opowiedziałem mu o lecie, które Lucy spędziła w charakterze prostytutki.

– No, coraz lepiej. Taka mała letnia przygoda, co?

– Tak twierdzi. Wyznała mi to zaraz po tym, jak była mowa o uczuciach w stosunku do ciebie. Jak gdyby sama podsuwała pretekst, dla którego należałoby ją odrzucić.

– Mnie to nie wystarczy – wy dobył z siebie odpychający śmiech. – Pamiętasz, jak mówiłem, że przypomina mi licealistkę, która wstąpiła do klasztoru? Jeszcze jedna osoba, która doszła do wniosku, że jestem wspaniały. Nocą po rozdaniu świadectw w Hoosierville. Wszystkie te dziewice i niedoszte dziewice, unoszone w ramionach przyszczatych chłopców. Miałem osiemnaście lat i już od pewnego czasu wiedziałem, że jestem homo, choć nie miałem komu o tym powiedzieć. Nazywała się Nancy Squires, a kiedy spytała, czy chcę z nią chodzić, zgodziłem się, bo nie chciałem jej ranić. Bukieciak orchidei, frak, czysty i lśniący wóz ojca. Twist na sali gimnastycznej. Cholerny poncz z goździkami – zajrzał do szklanki. – Jeśli przypadają ci do gustu te wychudzone, blade i pełne rozterek, to ona taka była. Pisała wiersze, zbierała różne porcelanowe cacka, nie umiała się stroić i pomagała chłopakom z matmy. Inne dziewczyny traktowały ją rzecz jasna jak odszczepieńca. Miło się z nią rozmawiało, jak z młodą damą – zwrócił się w moją stronę. – W drodze powrotnej całego mnie obmacywała, a gdy zatrzymałem się przed jej domem, wyznała mi, że mnie kocha. Błysnąłem geniuszem i powiedziałem, że możemy być przyjaciółmi, lecz nie mogę jej kochać, po czym wyjaśniłem jej powody.

Znowu obrzydliwie się zaśmiał. W słabym świetle sprawiał wrażenie mordercy.

– Na chwilę ją замуrowało. Opuściła tylko ręce i wpatrywała się we mnie, jakbym był największym zawodem, jakiego doznała w swym osiemnastoletnim życiu. Nie było jej łatwo. Cała rodzinka debili, bracia w więzieniach, ojciec marny pijaczyna, który ją od czasu do czasu objął, a może i robił coś jeszcze gorszego. No i ja, który miałem być ostatnią deską ratunku. Gapiła się na mnie przez chwilę, wreszcie powiedziała: „Ach, Milo, będziesz smażył się w piekle”. Ani śladu gniewu. Czyste współczucie. Po chwili poklepała swoją nową torebkę, wysiadła i tyle ją widziałem. Tydzień później popłynęła do klasztoru w Indianapolis. Pięć lat temu matka zawiadomiła mnie, że została zamordowana w stolicy Salvadora. Wraz z całą grupą zakonnic, które prały coś w strumieniu – uniósł ręce. – Nakręcmy na tej podstawie jakiś film.

– Lucy tak bardzo ci ją przypomina?

– Jak rodzona siostra. To samo wzięcie... wrażliwość.

– Co do wrażliwości to się zgadzam potwierdziłem. I wcale się nie dziwię, szczególnie, gdy wziąć pod uwagę jej dzieciństwo. Matka zmarła zaraz po wydaniu jej na świat, ojciec po-

szedł w cug. Właściwie jest sierotą.

– A tak, słyszałem, mówiła mi kiedyś o Schwandtcic. Że ma obydwójce rodziców, dobry dom, ojca prawnika, więc jakie miał właściwie powody? O ojcu mówiła jak o byle wszarzu.

– Powiedziała, kim jest?

– A kim? – uniósł wzrok.

– To M. Bayard Lowell.

Wytrzeszczył oczy i objął dłonią szklankę.

– Co to, jakiś zasrany dzień wielkich niespodzianek? Księżyc w Rybach w koniunkcji z Baranem, czy co? M. Lowell, literat?

– Nie inaczej.

– Nie do wiary. Czy on jeszcze żyje?

– Mieszka w kanionie Topanga. Wypalił się jako pisarz i przeniósł do Los Angeles.

– Czytałem jego kawałki w szkole.

– Tak jak wszyscy.

– I ona jest jego córką? To się w głowie nie mieści.

– Teraz rozumiesz, ile dla niej znaczył, mimo że się nią nie zajmował.

– Jasne. Nie da się o nim zapomnieć, tak jak o King Kongu.

– Lucy porównywała się do dziecka prezydenta. Rozumiem, dlaczego szuka jakiegoś łagodnego autorytetu. Możliwe, że trafiłeś w sedno, mówiąc o tym starszym bracie.

– Wielka radość. I oto z mojej strony spotykają rozczarowanie... i co mam teraz robić? Iść z odwiedzinami, czy trzymać się z dala?

– Zobaczymy, jak będzie się czuła przez najbliższe kilka dni.

– W porządku. Głowę w duchówkę. Domyślasz się, co mogło ją do tego skłonić?

– Była wzburzona, ale nic nie wskazywało na zamiary samobójcze – pokręciłem przecząco głową.

– Niepokoiła się w związku ze mną.

– Też, ale wyszły inne sprawy: prostytutka, stosunek do ojca. I koszmar, o którym ci wspominała. O tym też chciałem z tobą pogadać.

Streściłem opowieść o grzebanej dziewczynie.

– Żaden ze mnie lekarz – powiedział – ale zdaje mi się, jakby mówiła „mam cholerne-

go pietra przed ojcem".

– Pietra zaczęła mieć w połowie procesu, zaraz po twoich zeznaniach dotyczących Carrie. Sądziłem, że to wzbudziło jej niepokój i od długiego już czasu uśpione uczucia w stosunku do Lowella: uważała się za swego rodzaju ofiarę. Jego ostatnie wiersze wyrażają zacieklą nienawiść do kobiet; możliwe, że je czytała i mocno to przeżyła. Gdy ostatnim razem omawialiśmy ten sen, powiedziała, że czuła, jak jej dusza wkracza do ciała tej ciemnowłosej dziewczyny – jakby ją samą również grzebano za życia. Najwyraźniej utożsamiała się z ofiarą. Ale po rozmowie z jej bratem przyrodnim rodzą się we mnie jeszcze inne podejrzenia. Ona utrzymuje, że ani razu w życiu nie miała styczności z Lowellem, a ten brat mówi, że dwadzieścia jeden lat temu spędziła lato u ojca w Topandze. Przebywały tam wtedy wszystkie jego dzieci. Lucy miała cztery lata – tyle też ma we śnie. A na terenie posiadłości Lowella znajdują się chaty z bali, dokładnie takie, jakie pojawiły się w koszmarze. Gazety rozpisywały się na temat tego zacisza, nie wyłączając architektury; znalazłem odpowiednie wycinki, więc ona też mogła to zrobić. Mogła też słyszeć o tym od swojego brata, Petera. Badał dzieje rodziny i informował ją o przebiegu swoich poszukiwań. Jeśli mam rację, to ona kłamie w żywe oczy, zaprzeczając, że tam kiedykolwiek była. Istnieje jednak możliwość, że rzeczywiście o tym nic pamięta. Przyczyną może być jakiś wstrząs, którego doznała owego lata.

– Tatuś coś jej zrobił? – opadła mu szczeka.

– Jak już mówiłem, jego ostatnie wiersze są jawnymi oznakami mizoginizmu. Jeśli ją napastował, to zrozumiałe, że przebieg sprawy wskrzesił wspomnienia seksu i przemocy. Jedno wiemy na pewno: ona zмага się z poważnym problemem. Koszmar powraca, nie daje spokoju... gdy o nim mówi, daje się odczuć, że to przeżywa, jest jak w transie. Jakby sama wprowadzała się w stan hipnotyczny. Co oznacza, że rozmywają się granice jej osobowości, a to poważna sprawa. Chyba powinienem być bardziej uważać. Ale z drugiej strony nie wyczuwałem żadnych sygnałów depresji.

– A dwaj pozostali faceci ze snu?

– Możliwe, że to zmyśliła, ale być może napastowanie nie odbyło się w pojedynkę. Znam jednego takiego potencjalnego uczestnika. Tamtego lata z Lowellem mieszkał jego protegowany, Terry Trafficant. Recydywista, usiłowanie gwałtu, rozbój, zabójstwo. Miał do odsiedzenia wiele lat, gdy Lowell pomógł mu uzyskać wyrok w zawieszeniu i wydać drukiem dziennik więzienny, który stał się bestsellerem.

– A tak, tak. Chodziłem jeszcze do szkoły, pamiętam, że uważałem to za czystą głupotę.

– Tak jak i wielu innych. Ostatni gliniarz, który go przymknął, porównał go do laski dy-

namitu, która może lada chwila wybuchnąć. Protekcja Lowella była śmierzącą sprawą, a po pewnym czasie Trafficant zniknął. Umieścić takiego kryminalistę w kanionie Topanga z uroczą dziewczynką to ryzyko, nie wiadomo, co mogło się stać.

– Czy Trafficant miał na koncie pedofilię? – twarz wykrzywił mu grymas.

– Nie przypominam sobie niczego takiego, ale gościa tego pokroju mógł pociągać seks z dzieckiem.

– No, tak. Istnieje też możliwość, że nic się jej nie stało, lecz była świadkiem czegoś. Nie było może mowy o przemoc, po prostu jakaś wyuzdana orgia. Ona jedna, a ich trzech – to chyba starczy, żeby czterolatce pokręciło się w głowie. Być może, akurat to utkwiło jej w pamięci. W jej głowie seks i przemoc tworzą nierozłączną parę.

Zamyśliłem się.

– To na pewno możliwe. Przyrodni brat mówił, że dzieci były na terenie posiadłości w czasie otwarcia. Odbyło się wielkie przyjęcie. W gazetach mowa była o niezłych numerach. We śnie z kolei. Lucy, opuszczając chatę, widzi światła i słyszy harmider. Mogła podpatrzeć jakąś pornograficzną scenkę.

– Z udziałem tatusia. On i paru kumpli, idących na całość z jakąś kobietką. Umysł małej dziewczynki z trudem ogarniałby takie zdarzenia.

– A proces ułatwia powrót wspomnień... Z drugiej strony mogła przecież być świadkiem jakiejś zbrodni i wyczyny Schwandta wskrzesiły dawne obrazy. Możliwe, że podświadomość pchała ją do zajęcia miejsca na ławie przysięgłych, żeby mogła naprawić jakieś wyrządzone jej niegdyś zło. I stąd prokuratorzy wyczuwali w jej postawie pewną nieustępliwość.

– Możliwe – odparł.

– Milo, Trafficant miał za sobą próbę gwałtu. A zaraz po przyjęciu rozplątał się w powietrzu.

– Nawiał?

– Dlaczego miałby usuwać się w cień u szczytu sławy? Tyle lat za kratkami, aż tu nagle zostaje autorem bestsellera; jedynym wytłumaczeniem ucieczki byłaby potrzeba ukrycia czegoś. On i Lowell – uwaga opinii publicznej mogła być fatalna w skutkach. Może więc zabrał pieniądze i uciekł. Całkiem możliwe, że siedzi na jakiejś egzotycznej wyspie i żyje z honorariów.

Potańczał twarz i patrzył w odbijające się od blatu światła.

– Żeby coś takiego miało szanse powodzenia, musieliby usunąć wszelkich świadków.

– Być może Lucy naprawdę widziała jakiś pogrzeb. Lowell, Trafficant i ktoś trzeci pozbywali się akurat zwłok.

– Budujemy wielkie konstrukcje na wątych podstawach jednego snu. Można sobie wyobrazić, że Trafficant zniknął tylko i wyłącznie dlatego, że zmarł. Wydał całą kasę i przewiózł się na tamten świat. Był straceńcem psychopata. Tacy to chyba zawsze kończą na auto-destrukcji, no nie?

– Z reguły. Ale to przekonujące: przebywają tam w tym samym czasie, ona wyrzuca ten okres z pamięci, a teraz ma sny o zmarłej dziewczynie... Można by zadzwonić do wydawcy Trafficanta z pytaniem, gdzie go szukać. Nie wiem, czy będziesz w stanie przeprowadzić takie śledztwo?

– Nie ma sprawy. Bestseller – potrząsał głową. – Co ci intelektualiści mają w głowach? Tytuł durniów robi demonstracje dla poparcia Caryla Chessmana, jakby był jakim świętym. Norman Mailer i jego pieścioszek potworek, William Buckley łaszczący się do tego idioty Edgara Smitha, gdy ten zabił kijem baseballowym piętnastoletnią dziewczynę.

– Coś mi się zdaje, że artyści i pisarze prowadzą czasem życie w izolacji od reszty ludzi – odparłem po namyśle. – Nie wiedzą, co to korki czy wybijanie karty w pracy. Płacą im za zmyślanie niestworzonych rzeczy, a wtedy łatwo pomylić rzeczywistość z fałszem.

– To chyba nie wszystko, ale zdaje mi się, że tak zwani twórcy uważają się za do tego stopnia lepszych od innych, że nie muszą stosować się do tych samych zasad. Pamiętam, jak kiedyś, na początku służby, miałem dyżur w więzieniu. Przyszedł tam wtedy z wycieczką jakiś profesor socjologii oraz poważni studenci z piórami i notatnikami. Przechodzili koło celi jakiegoś wypierdka, pokrytej rysunkami – były brutalne, ale dobre, gość miał prawdziwy talent. To rzecz jasna nie przeszkodziło mu w napadaniu na monopolowe sklepy i grożeniu właścicielom bronią. Profesorek i dzieciaki nie wierzyły własnym oczom. Jak ktoś tak uzdolniony mógł znaleźć się w kiciu? Co za niesprawiedliwość! Zaczęli z nim rozmawiać. Zatwardziały psychopata, więc od razu wywęszył okazję i zaczęli tańczyć, jak im zagrał: <oto pan zapoznany artysta, który napadał, bo nie mógł pozwolić sobie na płótno i farby. Zawszony profesorek podszedł do mnie i stanowczo zapytał, kto jest jego kuratorem. Dał mi do zrozumienia, że zbrodnią jest trzymanie takiego geniusza w kajdankach. Oto ich rozumowanie: jeśli jesteś uzdolniony, masz prawo do pewnych przywilejów. Co parę lat czyta człowiek jakiś artykuł, napisany przez rozdętego ideałami idiotę, który proponuje, żeby organizować dla więźniów kursy malarstwa, rzeźby, gry na pianinie czy pisarstwa. Jakby to miało coś zmienić. To prawda, że za kratkami zawsze przewijało się mnóstwo talentów. W każdym zakładzie usłyszysz świetną muzykę, zobaczysz pierwszorzędne dzieła sztuki. Wedle mnie psychopaci są bardziej uzdolnieni niż reszta ludzi. Nie zmienia to faktu, że są do kurwy nędzy wykolejeńcami.

– Istnieje nawet taka teoria – dorzuciłem – traktująca patologię jako formę twórczości. Masz rację, istniało wielu wybitnych artystów, obdarzonych sumieniem, którzy cofnęli się w rozwoju: Degas, Wagner, Ezra Pound, Philip Larkin. Z tego, co wiem, z Picassem nie dało się wytrzymać.

– To dlaczego ludzie pieprzą takie głupoty?

– Z naiwności, z życzliwości wobec innych kto wie? Z tego żyją nie tylko twórcy. Dawno temu psychologowie społeczni odkryli tak zwany efekt aureoli. Wielu ludzi wierzy ślepo, że jeśli ktoś jest w czymś dobry, taka zdolność przenosi się na wszelkie inne dziedziny. Dlatego też lekkoatleci bogacą się na reklamie.

– Fantastycznie – powiedział. – Trafficant nic powinien tak znikać bez śladu. Dorobiłby się, zachwalając zalety sztucców.

– Lowell wpuścił go w społeczeństwo. Znalazł się w sytuacji nieprzewidywalnej, wkoło snuli się jego admiratorzy, unosił się zaduch alkoholu i trawy. A po kątach przemykały smakowite dziewczynki.

– Wystarczy, że się spotkamy – zaśmiał się znużony – i czujemy, że spartaczyliśmy robotę, a już zaczynamy budować domki z kart. Racja, to ciekawy pomysł: typ spod ciemnej gwiazdy, wypuszczony na swobodę, praktycznie zawsze staje się zapowiedzią problemów. Ale, jak mówiłeś, Lucy mogła o nim przeczytać lub usłyszeć od brata. Możliwe, że ten przeklęty sen jest zmyślony.

– Możliwe – przystałem. – Dużo o nim pisali w prasie.

– Lubię ją, ale powiem ci, że coś z nią nic tak. Najpierw wsadza głowę do duchówki, a teraz roi jej się, że ktoś chciał ją zabić. I te anonimowe telefony. Czuję się podle, wysuwając takie podejrzenia, ale wiem już, że starała się zawrzeć ze mną bliższą znajomość, i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że po prostu chciała przez to zwrócić na siebie uwagę. Widać to nawet w metodzie samobójstwa. Tu gaz, a tu nie zasuwa zasłon wlał w siebie resztę piwa i popatrzył na mnie.

– Rzeczywiście, dostrzegam w tym pewne elementy histerii – potwierdziłem. – Ale nie osądzajmy jej za surowo. Nawet przy założeniu, że zmyśla, robi to z potrzeby serca, a nie żeby manipulować naszymi uczuciami. Niewykluczone, że jednak przeżyła owego lata jakiś wstrząs. Nie wolno ci zapominać, że nie robi z siebie ofiary i w żaden sposób nie tłumaczy sobie tego koszmaru. Wręcz przeciwnie, ona wszystko bagatelizuje, tak jak w przypadku dziwnych telefonów. Zachowuje się jak struś, próbuje zapomnieć o całym tamtym lecie. Mam przeczucie, że tamtego lata coś się stało i tkwi zagrzebane w jej podświadomości. Wiąże się to w jakiś sposób, pośredni lub nie, z Lowellem. Nie w niej jednej wzbudza on emocje. Jej przyrodni brat

określił go mianem sukinsyna. Zajmuje się nieruchomościami i marzy o zajęciu posiadłości ojca. Być może tamto lato boleśnie odczuły wszystkie dzieci Lowella.

– W porządku – zgodził się. – Powiedzmy, że jakimś cudem udaje nam się przeniknąć tajemnicę i odkryć, że tatuś rzeczywiście wyprawiał dwadzieścia, jeden lat temu okropne rzeczy. Założmy też, że Lucy zdobywa się wreszcie na stawienie temu czoła. Co z tego? Mamy postawić tego gnoja przed sądem? Aż za dobrze zdajesz sobie sprawę, jaką wartość mają tam niepoparte dowodami wspomnienia. Fakt, że wyszły na jaw w czasie terapii, rzuca na nie jeszcze głębszy cień podejrzania. W dzisiejszych czasach prokuratura zakłada, że wszystkie, niepotwierdzone z innych źródeł informacje, pochodzące z gabinetów lekarskich, są warte funta kłaków. Sąd oddala oskarżenia, toniemy w morzu popowej patologii i satanistycznego gówna: że niby, jeśli człowiek czuje, że go napastowano, to tak było.

– Wylali dziecko wraz z kąpielą – powiedziałem. – Tak samo, jak z góry odrzucają wszelkie dowody uzyskane w trakcie hipnozy. A przecież wiesz tak samo jak ja, że hipnoza naprawdę pomaga niektórym świadkom w odgrzebywaniu faktów. A całe mnóstwo pacjentów przypomina sobie podczas terapii obiektywne zdarzenia. Znam osobiście wiele dowodów na poparcie takiej tezy. Najważniejsze, żeby niczego nie sugerować i nie prowadzić pacjenta za rączkę. Zachowywać stuprocentowy dystans i dyskrecję, a kiedy dopracuje się człowiek jakichś wyników, trzeba je wszechstronnie sprawdzić.

– Wiem, wiem, chodzi mi tylko o to, że stoimy na z góry przegranej pozycji.

– Nawet jeśli nie osiągniemy niczego na drodze prawnej, samo odkrycie, co się stało – i nie stało – może jej pomóc.

– A jak się dowiemy, że tatuś zrobił jej coś złego, a karząca ręka sprawiedliwości nie będzie go mogła dosięgnąć i ujdzie skurwielowi na sucho? Jakie spustoszenie wyrządzi to w jej duszy?

– Co więc proponujesz? Dać sobie spokój?

– Niczego nie sugeruję, po prostu zwracam uwagę na trudności, żebyś nie spoczywał na laurach i próbował coś wymyślić.

– Wielkie dzięki – odparowałem. – To i tak tylko teoria. Sądzę, że po ostatniej wizycie, Lucy nie zechce się już u mnie zjawić. Może będzie wołała Embrey – wizyty u kobiety mogą przynieść jej większą ulgę. Jednak każdy terapeuta będzie chciał poznać jej stan.

– Myślisz, że przytrzymają ją ponad trzy doby?

– Tylko w przypadku, gdy zupełnie się załamie. Martwią mnie jej pierwsze kroki po wyjściu ze szpitala.

Przez chwilę panowało milczenie. Rozważałem wszystkie możliwości, które przed chwilą omawialiśmy. Ciekawe, czy Lucy nawiąże kontakt z Embrey. Miałem na to cichą nadzieję.

– No i co? – spytał.

– Trzeba się zająć tamtym latem – powiedziałem. – Moglibyśmy zmniejszyć pole poszukiwań dzięki badaniom, czy tamtego lata w kanionie Topanga zgwałcono lub zamordowano jakąś ciemnowłosą dziewczynę. Jeśli tak się stało, to mamy ewentualny dowód na poparcie naszych hipotez. Jeżeli nie, to będziemy wiedzieli, na czym skupić się w trakcie terapii. Tak czy owak, na razie nie należy jej o niczym wspominać.

– Skupiamy się?

– Jak nie pomoże, to i nie zaszkodzi.

Poskrobał ząb paznokciem.

– Zadzwoń na policję w Malibu. Tam nie dzieje się zbyt wiele, nie powinno być za dużo grzebania się w starych papierach, oczywiście przy założeniu, że zachowują archiwa. Zobacz też, co mówi kartoteka pana Trafficanta. Kiedy dokładnie odbyło się przyjęcie?

– W sierpniu... w połowie.

Wyjął notes i zapisał. Szklankę już opróżnił, teraz sięgnął po paluszek

– Byle tylko z tego wyszła – powiedział cicho.

– Amen.

Obracał paluszek w palcach, po czym go odłożył.

– Nie jadłem jeszcze obiadu. Masz ochotę?

– Nie bardzo.

– Ja też nie.

Rozdział jedenasty

Zaparkował swój prywatny samochód niedaleko od restauracji, w miejscu, gdzie prawo do postoju miały tylko samochody dostawcze, a w jego stronę już zaczęła zbliżać się z drapieżnym błyskiem w oku policjantka z drogówki. Zamachał jej przed oczami odznaką, pokijał palcem i uśmiechnął się od ucha do ucha. Funkcjonariuszka chrząknęła gniewnie i potruchtała do swojego wozu.

– Oto, co znaczy władza! Uzależnia jak markowy koniak, a przy okazji nie zżera wątroby.

– Jakież nowe wieści dotyczące zabójstwa w Santa Ana? – zapytałem, gdy wsiadał do samochodu.

– Adwokaci Schwandta chcą wykorzystać je jako podstawę do apelacji.

– Co ty, niemożliwe.

– W oczach prawników analogie pomiędzy tymi wypadkami a sprawą Upiora, rzucają cień wątpliwości na kwestię winy Jobe'a. Dowody zdobyliśmy tylko w przypadku zbrodni na Carrie, Marie Rosenhut i Bernie Mendozie. Cała reszta to poszlaki.

– I co z tego? Przecież z całą pewnością załatwił wszystkie trzy.

– Trzy na piętnaście. Presja ofiar – tak to sobie nazywają – nastawiła ławę przysięgłych nieprzychylnie i dlatego skazali go na karę śmierci. Chcą zwrócić się o powtórzenie procesu w sprawie Carrie i tamtych dwóch kobiet chrzaniąc coś o owocach z zatrutego drzewa.

– Bzdura – odpaliłem. – Sam wiesz, że każdy ze świadków procesu albo czytelników jego zapisu zdobyłby wystarczającą liczbę informacji, by móc zacząć naśladować Schwandta.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Logika nie ma z tym nic wspólnego. To taka gra. Istnieje cały wielki podgatunek prawników, utrzymujących się z apelacji od wyroków śmierci. Zrobili z tego nową gałąź nauki, a podatnicy im za to wszystko płacą – potrząsnął głową i roześmiał się. – Jaka płynie stąd nauka, Alex? Wszarż w rodzaju Schwandta może ćwiartować kobiety i dzieci, wyłupywać im oczy, srać na ich zwłoki, a potem jeszcze dostać cały zespół broniących go kauzyperdów, korzystać z biblioteki, telewizji, gazet, a na dodatek zdrowo się odżywiać. Zapomnij o wszystkich tych humanitarnych ideach i powiedz mi, czy widzisz jakiś powód, dla którego należałoby pozwolić takiemu człowiekowi żyć?

– Nie znajdują żadnego.

– Czy to oznacza, że wreszcie zostałeś wyznawcą?

– Czego?

– Kościoła Zacieklej Wrogości?

– Zależy od nastroju.

Roześmiał się i zapuścił silnik.

– Sądzisz, że naprawdę rozpocznie się nowy proces? – zapytałem.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Ci zasrani dziennikarze wprost uwielbiają walać się w takim błocie. Jobe karmi ich jak tresowane foki,

Zastanawiałem się, co na to wszystko powiedziałyby Lucy. Czy w jej oczach cała ta

prawna błazenada przekreśliłaby wszystko, czego dokonała zasiadając w ławie przysięgłych? Nie był to akurat największy powód do zmartwienia.

Zadzwoiłem do szpitala Woodbridge i imponując jakiejś pielęgniarce swoją funkcją, próbowałem wydobyć od niej trochę informacji. Pacjentka cały czas spała. Doktor Embrey jeszcze nie było.

Próbowałem dodzwonić się do Petera Lowella. Bezskutecznie. Zadzwoiłem na automatyczną sekretarkę i okazało się, że doktor Wendy Embrey zostawiła dla mnie wiadomość. Zadzwoiłem z kolei do niej i nagrałem na sekretarkę, że z wielką chęcią bym z nią porozmawiał, po czym wsiadłem z powrotem do seville'a.

Prześladowała mnie myśl, że tamtego lata coś przydarzyło się Lucy. Nieodparcie nasuwał mi się obraz spotkania małej dziewczynki i mordercy z wyrokiem w zawieszeniu. Jechałem na północ Westwood Boulevard, w stronę księgarni Vagabond Books. Zaparkowałem za sklepem i wszedłem. Właściciel grał na saksofonie. Uniósł wzrok i spojrzał na mnie, nie roniąc ani jednej nuty. Potem mnie rozpoznał i przywitał się. Stojąca naprzeciwko kasy szklana gablota ze świeżo wydanymi książkami była dla mnie nowością. Wielka, srebrzysta, zautomatyzowana. Sprzedawca zobaczył moje spojrzenie.

– Jakiś facet napada na antykwariaty w okolicy. Wpada do księgami tuż przed zamknięciem, wyciąga spluwę, bije i gwałci księgarzy i zabiera kasę. Sprzedawca z Pepys Books musiał poddać się testom na AIDS.

– O Boże.

– Mogę w czymś pomóc? – zaproponował, poprawiając kucyk włosów.

– Od głodu do wściekłości Terrence'a Trafficanta.

Włożył sobie za pasek pistolet i wyszedł zza lady. Powędrował gdzieś na zaplecze i po chwili przyniósł książkę w wytartej, papierowej okładce. Czarny tytuł na jasnoczerwonym tle, niczym cięcie nożem.

Dwa komentarze na skrzydełkach:

Porusza i wstrząsa z całą okrutną i nieodpartą siłą krzesła elektrycznego. („The Times”).

Trafficante, wizjoner i geniusz o pokiereszowanej osobowości, bierze nas za kark i każe spojrzeć w otchłań koszmaru. Śmiem twierdzić, że jest to jedna z najbardziej doniosłych książek naszego stulecia. (Denton Mellors, „Manhattan Book Review”).

– Jakieś badania psychologiczne? – zapytał sprzedawca wbijając zakup do kasy. – Bo chyba nie dla przyjemności. To obrzydlistwo.

Otworzyłem tomik. Kolejne okrzyki zachwyty z „Newsweeka”, „Vogue'a”, „The Was-

hington Post", „Timesa" z obydwu wybrzeży.

- Krytycy by się z tobą nie zgodzili.
- To zastraszone bezmózgi. Możesz mi wierzyć, że to śmieć.
- Nie będę się spierał – odparłem, płacąc. – W końcu to ty trzymasz spluwę.

Do domu dotarłem na trzecią, niespokojny i zmęczony. Morze przypominało zielony jedwab. Odłożyłem książkę na stół przy łóżku, usiadłem na leżaku przed domem, nawchłaniałem się promieni ultrafioletowych i zasnąłem.

Obudził mnie pocałunek Robin.

- Telefon do ciebie.
- Która godzina?
- Piętnaście po piątej.
- Pewnie się trochę zdrzemnąłem.
- Nieźle się zgrzałeś – powiedziała, ocierając mi pot z czoła. – Nie przesadzaj z siedzeniem na słońcu.

Podszedłem do telefonu w kuchni, trąc jeszcze zaspane oczy i odchrząkując.

- Doktor Delaware.
- Panie doktorze, mam na imię Audrey i pracuję u doktor Wendy Embey. Pani doktor prosi pana o spotkanie i rozmowę na temat Lucretii Lowell, jeśli tylko ma pan czas. Proponuje jutro.
- Może być nawet dzisiaj.
- Dziś wieczorem doktor Embrey ma pełne ręce roboty, pracuje w paru szpitalach naraz. Może jutro, gdzieś w porze obiadowej?
- Nie ma sprawy. Gdzie?
- Całe przedpołudnie będzie na uczelni. Jeśli to panu odpowiada, mogę umówić państwa o wpół do pierwszej w stołówce akademii medycznej.
- Może być.
- Dobrze, przekażę.
- W jakim stanie jest panna Lowell?
- Radzi sobie jak może.

Czytałem Od głodu do wściekłości przy śniadaniu. Księgarz miał rację. Trafficant nie umiał władać piórem, styl miał prymitywny, roiło się tam od młodocianej retoryki rewolucji i sprośności. Redakcja nic poprawiała błędów ortograficznych i gramatycznych, zamierzając zapewne zachować wrażenie naturszczykowskiego autentyzmu.

W pierwszej części zamęczył na śmierć dwa motywy: „Załatwiło mnie społeczeństwo” i „A teraz sobie odbijam”. Następne pięćdziesiąt stron zajmowały jego listy do najróżniejszych sławnych ludzi i funkcjonariuszy państwowych. Otrzymał jedynie dwie odpowiedzi: od kongresmana ze swojego okręgu wyborczego w Oklahomie (który ograniczył się do standardowego druczku) i Bayarda Lowella, zachwalającego „krwawą poezję” autora. Tak rozpoczęła się korespondencja pomiędzy dwoma mężczyznami: Trafficant bluzgał, a Lowell mu współczuł.

Na ostatniej stronie znajdowała się kserokopia pozytywnie rozpatrzonego podania o wyrok w zawieszeniu. Na wewnętrznej stronie tylnej okładki zamieszczono biografię i zdjęcie z profilu, które potem obiegało całą prasę.

Terrence Gary Trafficant, o nieznannej paranteli i gorącej krwi, urodził się 13 IV 1931 roku w Walahuchee w Oklahomie. Prześladowany przez ludzi i wychowany przez wilki, lata dzieciństwa i młodości spędził w najróżniejszych zakładach, które do złudzenia przypominały piekło. Z systemem penitencjarnym zetknął się po raz pierwszy w wieku lat dziesięciu, gdy za kradzież papierosów umieszczono go w poprawczaku w Oklahomie. Nie wykazywał się zbyt dobrym sprawowaniem i następne trzydziestolecie upłynęło mu na dokonywaniu aktów coraz okrutniejszej przemocy i siedzeniu w zakładach karnych, w większości w pojedynczych celach. Jego spojrzenie na zagadnienie dobra i zła jest świeże i niepowtarzalne. „ Od głodu do wściekłości” ma stać się podstawą scenariusza wielkiej produkcji filmowej.

Psychopata, robiący karierę w Hollywood – to mieści się w granicach prawdopodobieństwa. A jednak Trafficantowi było to obojętne.

Autor bestsellera, który podziwiał Potwora z Dusseldorfu. „Akty coraz okrutniejszej przemocy (...)”. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym trudniejsze stawało się obojętne przejście do porządku dziennego nad jego udziałem w zdarzeniach tamtego lata.

Zadzwoń do wydawnictwa... Za późno na telefon do Nowego Jorku.

Puściłem wodze fantazji: Trafficant uwodzi długowłosą kobietę. Wszystko wymyka się spod kontroli... a może mu się opierała, więc zgwałcił ją i zabił. Po czym opowiedział o wszystkim Lowellowi. Lowell wpadł w popłoch, pospiesznie pogrzebał kompromitujące ciało, ani się domyślając, że wszystko ogląda mała dziewczynka.

Dziewczynka, która moczyła się w łóżku – być może podniecały ją wilgotne prześcieradła. Obudziła się i zobaczyła wszystko na własne oczy. A teraz za to płaci.

Stołówkę akademii medycznej wypełniał brzęk sztućców, wszędzie kręciła się cała masa białych kitli. Po chwili podeszła do mnie ładna, odznaczająca się azjatycką urodą kobieta w śliwkowym kostiumie.

– Doktor Delaware? Wendy Embrey.

Była młoda, miała drobną figurkę, długie, proste, czarne włosy o niebieskawym połysku i oczy barwy onyksu. Na odznace akademii widniało jej zdjęcie w trwałej, podpisane W. Takahashi-Embrey, doktor psychiatrii.

– Siedzę przy tamtym stoliku – oznajmiła. – Ma pan ochotę na obiad?

– Nie, dziękuję.

– Jadł pan tu już kiedyś? – uśmiechnęła się.

– Zdarzało się.

– Pracuje pan w akademii?

– Nie, mam gabinet w mieście.

– Miałam tam praktyki. Jest pan psychiatrą?

– Pediatrą. Psychiatrą do spraw dziecięcych.

Spojrzała na mnie badawczo. Usiedliśmy. Zamówiła kanapkę z tuńczykiem, sałatkę z kapusty, galaretkę i mleko. Odwinęła sztućce z serwetki i położyła ją sobie na kolanach.

– Ale Lucretia była pańską pacjentką?

– Tak. Przyjmuję od czasu do czasu dorosłych, zazwyczaj na krótkotrwałe terapie, dolegliwości związane ze stresem. Skierowała ją do mnie policja.

Kolejne uważne spojrzenie. Mogła mieć co najwyżej rok lub dwa praktyki, ale była już obznajomiona z subtelnościami psychoterapii.

– Czasami dla nich pracuję – dorzuciłem.

– Skąd wziął się u niej stres?

– Była przysięgłą w sprawie człowieka Upiora.

– To na pewno ciężkie przeżycie. Jak długo do pana przychodziła? – wzięła widelec.

– Zdążyła przyjść zaledwie kilka razy. Bezpośrednim powodem były kłopoty z bezsennością. Prześladował ją pewien koszmar, zdarzało się jej chodzić we śnie.

– Lunaticzka?

– Co najmniej jednokrotna, tuż przed próbą samobójstwa. Obudziła się w kuchni. Z perspektywy czasu sądzę, że można by uznać to za próbę generalną przed zamachem na

swoje życie. Wykazywała też pewne objawy narkoleptyczne: zasypiała przy biurku w pracy, potem budziła się na podłodze.

– Nic o tym mówiła. Powiedziała, że wysłał ją pan do neurologa, który orzekł, że nic jej nie dolega.

– Do Phila Austerlitz. Pracuje w akademii.

– I nic nie wykrył, zgodnie z jej słowami?

– Nic. Przypisywał to przeciążeniu psychicznemu.

Nabrała na widelec surówki.

– Takie samo orzeczenie wydał neurolog w szpitalu. No, a ten przypadek somnambulizmu jest ciekawy. Czy uważa pan, że usiłowała popełnić samobójstwo w jakimś lunatycznym transie? Czytałam o ludziach, którzy targali się na swoje życie tuż po przebudzeniu z głębokiego snu. Spotkał się pan z aż tak skrajnymi przypadkami?

– Nie było prób samobójstwa, ale leczyłem dzieci, które miały koszmary, a potem zadawały sobie obrażenia, uderzając się o różne przedmioty. Natknąłem się nawet kiedyś na rodzinę, w której lęki prześladowały zarówno dzieci, jak i ojca. Ten mężczyzna próbował we śnie udusić żonę. Znam przypadki morderców, którzy na swoje usprawiedliwienie przytaczali somnambulizm.

– Wierzy im pan?

– To możliwe, ale rzadko spotykane.

Jadła surówką, popatrzyła na kanapkę, po czym uniosła wzrok na mnie.

– To osobliwy przypadek. Zaprzecza wszystkiemu ze stuprocentowym przekonaniem. Z reguły ma się do czynienia z poczuciem winy, wyznaniem, obietnicami, że już nigdy się to nie powtórzy. Pacjenci czują się parszywie i chcą jak najszybciej wymknąć się spod obserwacji. W naprawdę ważnych sprawach – u ludzi, którzy szczerze żałują, że im się nie udało – pacjenci albo dostają bzika, albo milczą jak zakłęci. Ale Lucretia rozumie potrzebę obserwacji, nie utrudnia. A jednak z uporem twierdzi, że nie usiłowała targnąć się na swoje życie. Gdyby próbowała nas przekonać, żeby ją puścić, z pewnością nie uciekałaby się do tak naiwnych metod. Gdyby nie miała szczęścia do lekarza, mogłaby zostać zaklasyfikowana jako paranoik.

– Czy uważa ją pani za paranoiczkę?

– Sama jeszcze nie wiem, choć z pewnością nie sprawia wrażenia wariatki. Możliwe, że coś mi umknęło, ale ona chyba całym sercem i umysłem wierzy, że nie usiłowała popełnić samobójstwa.

– Tłumaczyła pani przebieg wypadków?

– Twierdzi, że zasnęła i obudziła się już w szpitalnym łóżku, a kiedy wyjaśniał pan sytuację, natychmiast przyszło jej do głowy, że ktoś chciał ją zabić. Teraz jest już przy zdrowych zmysłach i zdaje sobie sprawę, że to niemożliwe. Mam niezły mętlik w głowie. Być może się mylę, ale nie dostrzegam najmniejszych symptomów schizofrenii. Jest tylko przygnębiona, nie jest to jednak obezwładniająca depresja, jaką odczuwa człowiek po próbie samobójstwa. Zrobiliśmy jej test psychologiczny na zaburzenia dwubiegunowości. Tak strasznie zależy jej na zajmowaniu czymś myśli, że przyszło mi do głowy, iż cierpi na jakąś manię i sen w ciągu dnia jest konieczny. Wykazuje podwyższony poziom depresji i niepokoju, ale ani śladu manii prześladowczej. Nie wykryliśmy też żadnych objawów wskazujących, że kłamie. Psycholog stwierdził, że jeśli nie przechodziła mnóstwa testów i wie, jak wyprowadzić w pole instrumenty, nie odkrył u niej żadnych zaburzeń osobowości.

– Miała inne powody do niepokoju – odparłem. – Tuż przed próbą samobójstwa wkroczyliśmy w jakieś zakłęte dotąd i napełniające ją wzburzeniem rewiry. Dzieciństwo spędziła w samotności – matka zmarła, gdy Lucretia była jeszcze bardzo mała. Stosunki z ojcem, który z nimi nie mieszkał, też nie należały do sielankowych. Ale przez cały czas zachowywała spokój ducha, a gdyby było inaczej, to nie zniósłaby chyba trzech miesięcy w ławie przysięgłych.

– Co ją tak niepokoilo?

Opisałem sen.

– Ciekawe. Czy są jakieś oznaki molestowania?

– Utrzymuje, że nigdy z nim dłużej nie przebywała, ale brat mówi, że w wieku czterech lat spędziła kilka letnich miesięcy w domu ojca. A zatem albo temu zaprzecza, albo w stu procentach wyparła to ze świadomości. Co się tam działo, nie mam pojęcia.

Streściłem sprawę Trafficanta, podkreślając niepewność swoich domysłów.

– A więc wygląda na to, że na powierzchnię wypływa mnóstwo mętów, których przefiltrowanie zajmie kawał czasu. Trzeba zachować największą ostrożność.

– Na powierzchnię wypłynął też smutny fakt, że gdy miała osiemnaście lat, pracowała przez pewien krótki okres jako prostytutka. Mówi, że nie ma wyrzutów sumienia, ale nie należy brać jej słów za dobrą monetę. Zadurzyła się też w jednym policjancie, który przyczynił się do rozszyfrowania i wytropienia człowieka Upiora, a potem polecił jej moje usługi. Tymczasem on jest homoseksualistą.

– I tego wszystkiego dowiedział się pan zaledwie po kilku wizytach? – odłożyła kanapkę.

– Najwięcej w trakcie ostatniej. O wiele za wcześniej, ale nie zdołałem jej powstrzymać. Wieczorem po wizycie włożyła głowę do duchówki.

– Super.

– Wypuści ją pani po trzech dobach?

– Nie wykryłam zaburzeń psychicznych, nie żywi morderczych zamiarów, żaden sędzia nie pozwoli mi na dłuższe jej przetrzymywanie. Z pewnością natomiast potrzeba jej dłuższej kuracji... prostytutka, a sprawia wrażenie dobrze ułożonej. Ile trwał ten krótki okres?

– Część lata. Twierdzi, że od tego czasu nie utrzymywała żadnych stosunków z mężczyznami. A Phil Austerlitz mówi, że nie znosi, gdy ją ktoś dotyka.

– Rozumiem już pańskie hipotezy na temat owego lata z ojcem – złożyła ręce. – Ale mimo wszystko stosunki z terapeutą, w końcu mężczyzną, układają jej się przyzwoicie. Mówi o panu z wielką sympatią. Chce pan kontynuować terapię?

– Nie mogę sobie wyobrazić niczego gorszego od pozostawienia jej raz jeszcze samej sobie, ale możliwe, że nie jestem właściwą osobą na właściwym miejscu – ciągnąłem. – Policjant, który wpadł jej w oko, jest moim dobrym znajomym.

Opowiedziałem o tym, jak Lucy poprosiła mnie o pozwolenie na kochanie Mila. O moim milczeniu. Jej reakcji.

– A więc ona nie wie, że Milo jest homoseksualistą?

– Jeszcze nie.

– Proszę wybaczyć intymne pytanie, ale czy on jest pana kochankiem? – otworzyła karton mleka.

– Nie, tylko przyjacielem. Jestem orientacji tradycyjnej – dorzuciłem, dziwiąc się, ile w słowach tych brzmiało poczucia winy.

– Rzeczywiście mogą nastąpić teraz komplikacje – powiedziała.

– Najlepiej byłoby chyba posłać ją do kogoś innego, rzecz jasna, jeżeli nie byłoby to dla niej zbyt wielkim szokiem. Ucieszyłem się na wieść, że w szpitalu zajmować się nią będzie kobieta.

– Jesteśmy w raczej dobrych stosunkach – odparła. – Nie odmawia współpracy, zaczyna tworzyć się między nami pewna więź. A teraz okazuje się, że tak naprawdę to powiedziała mi bardzo niewiele.

– Ja z początku też miałem takie odczucie. Jak już wspominałem, najwięcej informacji wyszło na jaw podczas ostatniej wizyty.

– To może być rodzinne. Rozmawiałam z jej bratem i on też mi za dużo nie powiedział. A mogłoby się wydawać, że w takiej sytuacji powinien chcieć zdradzić mi jak najwięcej tajemnic.

– On sam zbyt wiele o niej nie wie. To jej brat przyrodni, nie widzieli się od ponad dwudziestu lat.

– Ale nie chodzi mi o tego, który ją przywiózł. O tego drugiego, Petera. Zadzwoił do mnie dziś rano z Taos. Powiedział, że o wszystkim zawiadomił go Ken. Bardzo chciałby tu przylecieć, ale okazuje się to niemożliwe. Kiedy zaczęłam go wypytywać, natychmiast się wycofał, jakby chciał czym prędzej zakończyć naszą rozmowę.

– Czemu nie może przylecieć?

– Praca. Zadzwoiłam do Kena, który pojechał do Palo Alto. Tak jak pan mówił, nie wiedział o niczym. Ładnie z jego strony, że płaci za pobyt w szpitalu.

– W rozmowie z nim wyczułem, że chciałby nawiązać z nią kontakt.

– Ja też. Zaofiarował się z pokryciem wszelkich kosztów – jest chyba dość zamożny. Lucretii nie obejmuje polisa, gdyż sama odeszła z pracy, więc w tym przypadku los się do niej uśmiechnął. W szpitalu wilkiem patrzy się na lekarzy, którzy leczą pacjentów bezpłatnie. W dzisiejszych czasach wszyscy zmieniliśmy się po trosze w księgowych, prawda?

Skinąłem na potwierdzenie głową.

– W każdym razie mamy do czynienia ze skomplikowanymi układami rodzinnymi. Czy gdzieś w okolicy mieszkają jeszcze jacyś jej krewni, którzy mogliby udzielić pomocy?

– W okolicy tak – odparłem – ale nie liczyłbym na ich pomoc.

– No, dobrze, powiem mu, żeby jej na razie unikał. Trzeba ją przede wszystkim ochraniać przed jej własnymi impulsami.

Rozdział dwunasty

Powiedziałem o ojcu Lucy, ona zaś zachowała obojętność i wyciągnęła rękę po galaretkę.

– Byłam w college'u o profilu matematycznym i literatura nigdy szczególnie mnie nie interesowała. Potem, na studiach medycznych, świat raptownie się kurczy... A więc taka sytuacja jeszcze zwiększa samotne cierpienia dziecka. Z ojcem rozmawiać może cały świat, tylko nie ona... a teraz taki sen, wszystko jak z podręcznika psychoanalizy, trochę jak na mój gust staroświeckie. W praktyce przytrafia się to rzadko.

– Czym się pani najczęściej zajmuje? Kuracją lekową?

– Przeważnie. Pracuję w sześciu pogotowiach i bardzo rzadko zajmuję się dłuższą terapią. Jeśli Lucretia wyrazi na to ochotę, z chęcią się nią zajmę. To ciekawa kobieta.

– Gdzie ma pani gabinet?

– W Tarzana. Odnajmuję pomieszczenie od pewnego psychiatry – podała mi wizytówkę. – A pan?

– W Malibu.

– Nie najgorzej. Niech pan się z nami kontaktuje. Byłoby lepiej, żeby Lucretia nie zaczęła uważać pana za kolejnego mężczyznę, który ją porzucił.

– Miałem zamiar odwiedzić ją jeszcze w szpitalu. Kiedy mogę to zrobić?

– Kiedy pan zechce. Przekażę pana nazwisko pielęgniarce przełożonej.

Zjadła jeszcze trochę galaretki i skończyła pić mleko, ścierając z ust białe wąsy.

– Tymczasem proszę jej nie przemęczać. Trzeba zwłaszcza uważać z tym pana znajomym. Kolejne niespodzianki radziłabym odłożyć do chwili, gdy zorientujemy się lepiej w jej stanie. Dobrze?

– Może, ale kiedy już wyjdzie ze szpitala, z pewnością będzie chciała do niego dotrzeć. Jest dla niej kimś w rodzaju obrońcy.

Opisałem więc, jaka zrodziła się pomiędzy Milem i Lucy na procesie.

Wracając do domu, rozmyślałem, czy Wendy Embrey pomoże Lucy. Ciekawe tylko, jak pacjentka zareaguje na zmianę terapeuty.

Sam nie byłem pewien, czy dobrze robię: odczuwałem ulgę, że mogę się nareszcie pozbyć tej niepewnej sytuacji, zarazem zżerały mnie wyrzuty sumienia z powodu zadowolenia, jakiego doznawałem wobec perspektywy takiej wolności.

Chciałem ponadto poznać wypadki tamtego lata. Dla jej dobra, czy dla własnego pożytku? Odpowiedź na to pytanie nie była pocieszająca.

Włączyłem kasetę i mechanicznie prowadziłem dalej. Skręcając do domu zauważyłem wozy zwolenników surfingu, zaparkowane przy zjeździe na plażę. Gdy otwierałem drzwi, usłyszałem dzwonek telefonu. To Ken Lowell telefonował na moją sekretarkę.

– Witam doktora. Jakież nowe wieści w sprawie Lucy?

– Jakoś się z tego wyliże.

– Rozmawiałem z doktor Embrey, jest trochę podenerwowana. Nie bardzo już się orientuje? U kogo będzie leczyła się Lucy?

– Dopóki Lucy leży w szpitalu, pieczę nad nią sprawuje doktor Embrey.

– Nie mogę się do niej niestety dodzwonić. Będzie pan z nią w kontakcie? Mam do przekazania coś, o czym powinna wiedzieć.

– Proszę mówić śmiało.

– Rano zadzwonił do mnie brat, tłumacząc, dlaczego nie przyszedł na umówioną kolację. Jakies nagłe obowiązki w pracy, i to w Taos w stanie Nowy Meksyk. Opowiedziałem mu o przypadku Lucy. Strasznie się tym przejął, ale powiedział, że jest tam uwięzany i nie może do nas przyjechać.

– To samo mówiła doktor Embrey. Pewnie rozmawiał z nią zaraz po telefonie do pana.

– To wszystko brzmi podejrzanie, bo gdy spotkaliśmy się w tamtym tygodniu, nie miał nic szczególnego do roboty – mówił, że już od dawna jest bez pracy. Co się takiego stało?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– Nie ma powodu, żeby się pan denerwował. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wplątał się w coś złego. Myślałem po prostu, że Lucy mówiła panu o czymś, czym mógłby się pan ze mną podzielić, nie łamiąc przy tym zasady tajemnicy zawodowej.

– Niestety, nie.

– W porządku. Wracam na parę tygodni do LA. Sądzi pan, że powinienem pójść z odwiedzinami do Lucy?

– Na pana miejscu pogadałbym o tym z doktor Embrey.

– Rozumiem. Muszę się panu przyznać, że to wszystko jest bardzo dziwne.

– Co takiego?

– Błyskawiczne odradzanie się więzi pokrewieństwa.

Dziesięć po czwartej zadzwoniła Robin z wiadomością, że została zaproszona na pokazowy występ zespołu Whiskey, grupy herosów thrash metalu, posługujących się gitarami własnej konstrukcji.

– Mogę się od tego wykręcić? – zapytałem.

– Sama chętnie bym tak zrobiła, ale zjawił się u mnie z zaproszeniem Zero we własnej osobie.

- Jak sądzisz, kiedy to się skończy?
- Późno.
- To może wpadnę wcześniej i coś przekąsimy?
- Ze Spike'em?
- Mogę przywieźć coś gotowego.
- Dobra myśl.
- Kiedy?
- Możliwie najszybciej.

W aptece w Point Durne kupiłem zatyczki do uszu, w pobliskich delikatesach nabyłem kanapki i napoje. Na budowę dojechałem po czterdziestu minutach. Akurat odjeżdżało parę ciężarówek, a Robin naradzała się z jakimś nagim do pasa mężczyzną o zaplamionych od tytoniu sumiastych wąsach. Z włosów został mu już tylko blond wianuszek z tyłu i kucyk. Na twarzy widniał wyraz skupienia.

Gdy mnie zobaczyła, zaczęła machać ręką, w której trzymała zwój planów. Spike usadowił się na tyle jej półciężarówki, wystawił swoją żabią mordę i zaszczekał. Przydzwigałem go na zewnątrz. Polizał mnie po twarzy, zamachał w powietrzu przednimi łapami, a gdy postawiłem go na ziemi, zaczął ocierać się o moje nogi.

– Niezły z ciebie przystojniak – powiedziałem. Obok mięsa, „przystojniak” było jego ulubionym słowem. Zaczął dyszeć, potem obwąchiwać torbę, którą trzymałem w ręku.

– Może tak być, Lany? – zapytała Robin głosem zdradzającym, że kończą się jej zapasy cierpliwości.

– Może.

– No to umówmy się na inspekcję w przyszły poniedziałek. Jeśli znowu pojawią się jakieś trudności, natychmiast daj mi znać – przełożyła plany z ręki do ręki.

– Dobrze, załatwi się – odpowiedział patrząc w moją stronę Lany.

– To doktor Delaware. On tu za wszystko płaci.

– Szukujemy dla pana nowe świetne miejsce – oznajmił Lany.

– Super.

Podrapał się po głowie, odszedł w stronę domu i zaczął rozmawiać z innym robotnikiem. Staw był bez wody, w połowie wypełniony ziemią. Dawny ogród zmienił się w błotnisty

plac. Krokwie dachu nowego domu cięły niebo na cienkie kawałki. Widoczne za nimi słońce przybrało kolor platyny.

– 1 co o tym sądzisz? – zapytała.

– Nieźle.

– Już niedługo – pocałowała mnie w policzek.

Przypatrywałem się budynkowi. Szkielet domu ustawiony był już w całości, ściany częściowo uszczelnione i wytapetowane. Na służącym do uszczelniania, miejscami jeszcze mokrym błocie, widniały ślady szpadla. Dawniej dom miał ściany z sekwoi, a dach z cedru. „Zapłon nastąpił gdzieś w fundamentach” – tak określił to strażak. Nowy dom miał być wyłożony sztukaterią i płytkami. Z czasem miałem się do tego przyzwyczaić.

Robin objęła mnie i poszliśmy w stronę domu.

– Szkoda tego wieczoru – powiedziała.

– Zdarza się. Mam tu coś dla podratowania zdrowia.

Roześmiała się na widok zatyczek do uszu. Odpięła klapę z tyłu furgonetki i wyjęła duży koc, na którym rozłożyliśmy jedzenie. Jedząc, słuchaliśmy odgłosów pistoletów na kołki i pił, rzucaliśmy Spike'owi kawałki kanapek i obserwowaliśmy krążące nad głowami ptaki. Po chwili poczułem się całkiem nieźle.

Odwiozłem Spike'a do domu, dałem mu jeść, pobiegałem razem z nim na plaży, wreszcie włączyłem mu telewizor. Później wziąłem prysznic, przebrałem się i pojechałem do szpitala Woodbridge, docierając na parking o siódmej.

Oddział psychiatryczny znajdował się na trzecim piętrze, za wahadłowymi drzwiami opatrzonymi napisem „Zamknięte”. Nacisnąłem dzwonek, podałem nazwisko i usłyszałem szcęk otwieranej blokady. Popchnąłem drzwi i moim oczom ukazał się długi, jasno oświetlony korytarz. Dopiero co odkurzono dywan o barwie czekolady, ściany pomalowane były na miły dla oka brązowo-biały kolor. Po dziesięcioro zamkniętych drzwi z każdej strony, na końcu korytarza pokój pielęgniarek, w którym siedziała jedna z nich. Skądś dochodził szmer cichej rozmowy, towarzyszył mu dialog z telewizora, muzyka i dzwoniący gdzieś telefon.

Gdy doszedłem do pokoju, pielęgniarka oznajmiła:

– Doktor Delaware... a tak, Lucretia leży w pokoju numer czternaście, po lewej stronie.

Była bardzo młoda, miała włosy barwy zboża, przetykane malutkimi, błękitnymi wstążkami, i piękne zęby.

Cofnąłem się z powrotem. Zanim dotarłem do czternastki, otworzyły się drzwi numeru

osiemnaście i wyjrzała z nich drobna kobieta o anielskiej twarzy, około pięćdziesiątki. Miała na sobie różową sukienkę, naszyjnik z pereł i różowe buty z materiału. Na ścianie jej pokoju wisiły zdjęcia rodziny, ze środka wydobywał się zapach czekoladowych chrupek.

– Życzę miłego dnia – powiedziała.

Odwzajemniłem uśmiech, starannie unikając wzrokiem pokrytych bandażami nadgarstków. Zamknęła drzwi, a ja zapukałem do pokoju Lucy.

– Proszę.

Pokój był wymiarów trzy na trzy metry, ściany pomalowane na brązowo-biały kolor. Stało w nim łóżko, stolik z imitującego drewno materiału, niewielka szafka bez drzwi, biurko i krzesło, odpowiadające wysokością wzrostowi dziecka. Telewizor wisiał wysoko na ścianie, pilota przymocowano do stolika, na którym leżała też sterta książek tanich wydawnictw. Na wierzchu – dziełko pod tytułem Bolesny grzech.

Nigdzie nie było widać łazienki. Za niedającym się ruszyć oknem, w którym umieszczono moskitierę, rozciągał się widok na parking i sąsiadujący ze szpitalem supermarket.

Lucy siedziała na pościeli, ubrana w dżinsy i białą koszulę, której rękawy zawinęła do łokci. Włosy upięła spinkami, była boso. Przed nią leżało jakieś otwarte pismo. Przypominała licealistkę, odpoczywającą po lekcjach w internacie.

– Cześć – odłożyła gazetę. „Ognisko domowe”. Okładka obiecywała wakacyjne drugie śniadanie, dzięki któremu zdobędziesz uznanie rodziny.

– Jak leci? – spytałem, siadając na krześle.

– Chciałabym już wyjść.

– Dobrze cię tu traktują?

– Nie narzekam, ale jakkolwiek by patrzeć, jest to więzienie.

– Rozmawiałem z doktor Embrey. Sprawia wrażenie miłej osoby.

– Dość miła – odparła obojętnie.

Wyczekiwałem.

– Nie mam nic przeciwko niej ciągnęła – ale kiedy już stąd wyjdę, wolałabym nie kontynuować naszej znajomości.

– A to czemu?

– Za młoda. Jakże ona może mieć doświadczenie?

– Czy powiedziała lub zrobiła coś, co poderwało twoje zaufanie do jej osoby?

– Nie, jest na to zbyt inteligentna. Tylko taka młoda. A poza tym koniec końców to ona mnie tu trzyma – klawisz, to jednak klawisz. Jak tylko się stąd wydostanę, nie chcę mieć nic wspólnego ani z tym miejscem, ani z ludźmi z nim związanymi. Czy to niemądry pomysł?

– Sądzę, że musisz z kimś porozmawiać.

– A z panem nie mogę?

Uśmiechnąłem się i dotknąłem siwizny na swoich skroniach.

– A więc osiągnąłem już wystarczający wiek?

– Ma pan doświadczenie, doktorze Delaware. Narodziła się też między nami swego rodzaju więź, po co zatem zaczynać wszystko od nowa?

Skinąłem głową.

– Nie zgadza się pan ze mną.

– Nigdy nie zostawię cię samej.

– Ale uważa pan, że moją terapeutką powinna zostać doktor Embrey – w jej głosie pojawiło się napięcie.

– Myślę, że w sumie do ciebie należy decyzja. Nie chcę, żebyś czuła się osamotniona, a zarazem nie chciałbym umniejszać pozycji doktor Embrey. Wygląda na zdolną specjalistkę, zainteresowaną tobą.

– To jeszcze dziecko.

Nic nie odpowiedziałem. Usiadła na brzegu łóżka, palcami nóg dotknęła dywanu.

– A więc tak ma się skończyć moja terapia u pana?

– Zawsze będę przy tobie, gotów zrobić wszystko, co w mej mocy. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

Odwróciła wzrok.

– Kto wie, może w ogóle nie potrzebuję terapeuty – odwróciła się raptem w moją stronę. – Czy uważa pan, że usiłowałam targnąć się na swoje życie?

– Na to wygląda, Lucy.

– Przynajmniej nie owija pan niczego w bawełnę – przez twarz przebiegł jej cień bolesnego uśmiechu. – I nazywa mnie pan Lucy, podczas gdy oni wszyscy tu mówią na mnie Lucretia. To on wymyślił takie imię, na cześć Lukrecji Borgii – nienawidzi kobiet. Pełne brzmienie imienia Jo to Jokasta. Jak skraca się Edypa?

– A twoi bracia?

– Mają normalne imiona. Ich wybór zostawiał matkom. Zależało mu jedynie na doku-
czaniu dziewczynom.

– W jaki sposób?

– Na przykład poprzez nadawanie im okropnych imion. Jak mogę ufać pracującym tu
ludziom, gdy nie potrafią nawet uszanować mej woli na tyle, by nazywać mnie tak, jak sama
tego chcę. Powtarzam im, że mam na imię Lucy, ale każda kolejna pielęgniarka zapatrzona
jest tylko w kartę choroby. Lucretia to, Lucretia tamto. „Jak się masz, Lucretio?”

Wstała i podeszła do okna.

– Naprawdę nie włożyłam głowy do duchówki. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło,
ale to nie moja sprawka.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem. Na pewno nie powiem o tym doktor Embrey, bo uznałaby mnie za
wariatkę.

– Ona tak nie uważa – uciąłem. – I ja też nie. Ale sądzę, że mogło się to przydarzyć,
gdy chodziłaś we śnie. To zdarza się rzadko, ale jest możliwe.

– Może w innych przypadkach, lecz nie w moim.

Odwróciła się w moją stronę. Płakała, i łzy zaznaczyły się strużkami na policzkach.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że wygląda to na paranoję, ale ktoś chce mnie zabić. Em-
brey powiedziała, że mi przeszło, bo nie chciałam zostać tu do końca życia. Jest pewna
rzecz, którą chciałabym panu zdradzić. Czy mogę zaufać, że jej pan nie powie?

– Stawiasz mnie w bardzo niezręcznym położeniu.

– Rozumiem – powiedziała. – Tak czy inaczej, ona nie może się o tym dowiedzieć,
przynajmniej do momentu, gdy wyjdę ze szpitala.

Zapadła cisza. Wytarła oczy i uśmiechnęła się.

– Dzięki, że pan przyszedł, że robi pan to, co sam uważa za słuszne... Nie wsadziłam
głowy do duchówki. Po co miałabym to robić? Ja chcę żyć. Jeszcze te telefony. Nie przejmowa-
łam się nimi, może zresztą słusznie, ale i tak... panu powiem, chociaż wiem, że prawdopo-
dobnie zdradzi pan tę tajemnicę i zamkną mnie tu na Bóg wie ile czasu.

Rozpłakała się. Gdy położyłem jej rękę na ramieniu, łzy popłynęły jeszcze obfitym
strumieniem. Wreszcie przestała płakać i powiedziała:

– Tak bardzo nie chcę żyć w zamknięciu. Niezależność jest dla mnie bardzo ważna.

– Nie przyczynię się do zatrzymania cię w tym zakładzie, o ile przyrzekniesz, że nie bę-

dziesz próbowała zrobić sobie krzywdy.

– Nie mam najmniejszego zamiaru. Obiecuję, przysięgam – siedziała przez chwilę bez słowa. – Pewnego dnia, już kiedy zaczęliśmy naszą terapię, wróciłam do domu i zorientowałam się, że ktoś grzebał w moich rzeczach.

– Jakich rzeczach?

– W ubraniach... bieliźnie. Nie jestem pedantką, ale wszystko leży u mnie na swoim miejscu. A wtedy ktoś ruszał moje majtki i biustonosze... były inaczej ułożone... jakby ktoś najpierw je wyjął, a potem włożył z powrotem. Brakowało jednej pary majtek.

– Czemu nikomu tym nie powiedziałaś?

– Sama nie wiem. To zdarzyło się tylko raz, więc pomyślałam, że wszystko sobie zmyślałam. Dzień wcześniej robiłam wielkie pranie. Doszłam do wniosku, że mogłam zostawić te majtki w pralni, a ubrania poukładać inaczej niż zwykle, ze zwykłego roztargnienia. Nieczęsto zdarza mi się przedstawianie wszystkiego w najczarniejszych kolorach. Teraz jednak sądzę, że ktoś był u mnie w mieszkaniu – złapała mnie za ramię. – I może właśnie dlatego powrócił ten sen. Bo poczułam się zagrożona. Już sama nie wiem, czasami myślę, że wszystko dzieje się tylko w mojej wyobraźni, ale nie jestem przecież stuknięta.

Poklepałam ją po ramieniu.

– Czy to prawda, że ocalił mnie Ken?

– Tak.

– Jaki to człowiek?

– Wydaje się miły.

– Dręczy mnie również to, gdzie podział się Puk. Embrey twierdzi, że dzwonił z Nowego Meksyku, ale to w żaden sposób nie trzyma się kupy.

– Do Kena też stamtąd dzwonił.

– A więc dlaczego nie zadzwonił do mnie? – znowu ścisnęła moje ramię. Milczałam. – To się nie trzyma kupy.

– Zarówno doktor Embrey, jak i Kenowi tłumaczył, że załatwia jakieś interesy. Parę dni temu umówił się z Kenem na kolację, ale się na niej nie pojawił. Dzięki temu Ken cię uratował. Szukał Puka w twoim mieszkaniu, gdyż brat mówił mu, że utrzymujecie ze sobą bliskie stosunki.

– To prawda... Puk nie wspominał o żadnej kolacji.

– To miało być takie wstępne spotkanie, chcieli przekonać się, jak się wszystko ułoży.

Gdyby wszystko poszło gładko, zaczęlibyście spotykać się wszyscy troje.

– Chronili mnie? Jak zwykle – stanęła i odrzuciła włosy. – Puk zawsze stara się mnie chronić, mimo że... To dlaczego do mnie nie zatelefonował?

– Mimo że co?

Zawahała się.

– Mimo że sam nie należy do gatunku twardzieli.

– Z czego żyje?

– Chwytał się już w życiu różnych rzeczy – odwróciła się do mnie. W piwnych oczach widać było płomień. – W tej chwili nie zajmuje się niczym szczególnym. Chodził przez trzy lata do college'u, gdzie specjalizował się w historii. Z takim wykształceniem trudno o godziwą pracę. Jestem przekonana, że wróci niebawem i wszystko wyjaśni. Pozostaje jednak mnóstwo wątpliwości. Dzięki Bogu, niedługo stąd wyjdę.

Rozdział trzynasty

Wyjechałem z parkingu na autostradę. Embrey miała rację: Lucy naprawdę sądziła, że nie chciała popełnić samobójstwa. Czy rzeczywiście przemierzyła drogę do duchówki we śnie? To mieściło się w granicach prawdopodobieństwa.

W niektórych przypadkach sen otwiera przed człowiekiem drzwi do innego, mrocznego życia. Niektórzy lunatycy zaprzeczają istnieniu swej przypadłości; całe mnóstwo chrapiących utrzymuje, że podczas spania leżą w absolutnej ciszy. Znałem osobiście pacjentów, którzy wrzeszczeli po nocach, gdyż śniły im się potworne koszmary, a po przebudzeniu opowiadali swoje przyjemne sny. Mężczyzna, który próbował zadusić we śnie żonę, uwierzył w to dopiero, gdy obejrzał kasetę wideo z nagranyimi zdarzeniami.

Lucy miewała sny, które nie należały do najmiłszych. Możliwe zatem, że chodziło o jakieś zaburzenie fizjologiczne. A co mam sądzić o nowej rewelacji, że ktoś usiłował ukraść jej bieliznę? Dziwne telefony... czy sama je sobie wmawia? Ani Embrey, ani ja nie stwierdziliśmy żadnej psychozy czy innych poważnych zaburzeń osobowości. Czy oznacza to, że upiększamy rzeczywistość?

Nawet Miło zrzucił maskę zawodowego cynizmu i niezwykle mocno zaangażował się w jej sprawę. Pamiętam, jakie wyrzuty sumienia malowały się na jego twarzy, gdy mówił, że nie bardzo jej wierzy. Na co ja natychmiast odpaliłem, że Lucy nie wprowadza nas świadomie w błąd, gdyż potrzebuje pomocy. Sposób, w jaki skłoniła mnie do przyrzeczenia, że nie przyczynię się do zamknięcia jej w szpitalu. Intuicja podpowiadała, że mówi prawdę, ale czy nale-

żało jej aż tak ślepo wierzyć? Może powinienem przekonywać, żeby zdecydowała się poddać kuracji u Embrey, która mogłaby sobie dać z tym radę?

„Kto wie, może ja w ogóle nie potrzebuję żadnej terapii”.

Czy nie zbyt szybko się z nią zgodziłem? Co by było, gdyby... Jutrzejszą noc mogłaby spędzić we własnym łóżku. Miałem nadzieję, że nie popełniłem zgubnej w skutkach omyłki. Że wolność nie okaże się ciężarem nie do zniesienia.

Nazajutrz, zaraz po dwunastej zadzwonił Milo. Streściłem mu przebieg wizyty w szpitalu i opinię Lucy na temat Wendy Embrey.

– Jaka jest ta Embrey?

– Sympatyczna, bystra, zdecydowana.

– Ale ciebie nie zastąpi.

– Nie byłbym taki pewien, czy Lucy wybierze akurat mnie. Wspominała coś o zamiarze zupełnego zaprzestania terapii. W chwilę potem wyznała, że boi się, iż ktoś ma wobec niej wrogie zamiary.

Opowiedziałem mu o historii z bielizną.

– I tak ni stąd, ni zowąd to sobie przypomniała?

– Przypisała to roztargnieniu, tak samo zresztą jak telefony, które uważała swego czasu za wynik jakichś problemów na łączach. Rola ofiary rzeczywiście nie bardzo do niej psuje. Ciężko jej znieść uzależnienie od drugiego człowieka. O bracie Peterze mówi jako o jedynym obrońcy, ale to nie bardzo trzyma się kupy. Braciszek wyjechał gdzieś w pilnej sprawie, mimo że od wielu już lat nie skalał się żadną pracą. Postarał się dotrzeć telefonicznie do Kena i Embrey, lecz skrupulatnie unika Lucy.

– Unika?

– Tak mi się zdaje. Lucy uparcie twierdzi, że są ze sobą blisko, ale wygląda mi to podejrzanie. Widziałem go tylko raz, gdy przyjechał z nią na jedną z wizyt. Nie chciał wejść do środka, przez cały czas siedział w samochodzie. Zachowuje dystans.

– Przypomina to objawy schizofrenii?

– To był jedynie przelotny kontakt i nie dostrzegłem niczego szczególnego. Sprawiał raczej wrażenie osoby niezwykle nieśmiałej. Nie chciał narażać jej na pierwsze niepewne spotkanie z Kenem, ale gdy zapytałem Lucy, z czego żyje jej brat, zaczęła bronić jego bezczynności. Jakby miała zwyczaj go ochraniać. Teraz ona jest w tarapatkach, a jego nieobecność może

mieć poważne konsekwencje. Opuszczenie przez następnego człowieka może dopełnić czary goryczy.

– Mam ją odwiedzić?

– Wedle Embrey powinieneś jej chwilowo unikać. Podzielam jej zdanie.

– Co to ma niby znaczyć?

– Sam nie pchasz się z pomocą, ale gdyby się do ciebie zwróciła, nie odmawiasz.

– Kiedy ma wyjść?

– Jutro.

– Niech będzie, w końcu to wy jesteście lekarzami... A, tak w ogóle to dzwoniłem, bo rozmawiałem z policją w Malibu i przysłali mi faks z pewnymi informacjami – o ile rzecz jasna nadal interesuje cię ten koszmar.

– Ma on niezaprzeczalny związek ze stanem psychicznym Lucy.

– Nic specjalnego. Żadnych zabójstw czy usiłowania zabójstw kobiet od czerwca do listopada tamtego roku. Zanotowano osiem gwałtów, w tym siedem w Oxnard, a opis żadnej z ofiar nie odpowiada wyglądowi tamtej długowłosej, kobiety. Dwie z nich to jak zwykle pomoce domowe, kobiety w średnim wieku, dwie małe dziewczynki, wreszcie trzy to prostytutki z meksykańskich barów. Żadna nie wniosła oskarżenia do sądu. Ósmy gwałt wydarzył się w samym Malibu, ale nie w okolicy Topangi. Jacyś kowboje spili się i dobierali do stajennej na ranczo w kanionie Deckera.

– Czy ta kobieta miała długie włosy?

– Kobieta miała pięćdziesiąt pięć lat, siwe włosy i ważyła ponad setkę. W tamtym okresie nie odnotowano także żadnych zaginionych kobiet w rejonie Topangi. Przysłali mi akta czterech zaginionych osób, których nigdy nie odnaleziono, ale wszystkie z nich też pochodziły bardziej z północy, z Oxnard i Malibu. Jak na tamte czasy – dzieci-kwiaty, jazda autostopem – czwórka zaginionych bez śladu to nie jest szczególnie dużo.

– Czy opis którejs z tych czterech kobiet pasuje do wyglądu dziewczyny ze snu Lucy?

– Nad tym się nie zastanawiałem. Moment, zaraz im się przyjrzę. Numer jeden to Jessica Martina Gallegos, zamieszkała w Oxnard. Szesnaście lat, druga klasa liceum, czarne włosy, piwne oczy, metr sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kilo... nie wygląda na długonogą – po raz ostatni widziano ją o dziesiątej wieczorem przed Teatro Carnival w Oxnard, gdy czekała na autobus. Zdjęcia nie wyszły zbyt wyraźnie, ale z tego co widzę, nie mogła mieć długich, puszystych włosów. Krótkie kędziory. Numer dwa to Iris Mae Jenrette, lat trzydzieści dwa, metr sześćdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt pięć kilo, zielonooka blondynka, ostatnio widziano ją koło

motelu Beachrider w Point Durne. Zdaje się, że przyjechała z Idaho w podróż poślubną, pokłóciła się z chłopem, wzięła samochód i tyle ją widzieli.... Włosy długie, superplatinowa blondynka. Mówić o pozostałych?

– Czemu nie?

– Karen Denise Best, dziewiętnaście lat, metr siedemdziesiąt trzy, pięćdziesiąt siedem kilo, niebieskooka blondynka... kelnerka w restauracji Sand Dollar w Paradise Cove, po raz ostami widziano ją na nocnej zmianie... zaginięcie zgłosili rodzice, mieszkający w New Bedford w stanie Massachusetts, do których nie zadzwoniła jak zwykle raz na tydzień... Numer cztery to Christine jednego imienia Faylen, również dziewiętnastolatka, metr siedemdziesiąt jeden, pięćdziesiąt osiem kilogramów, kasztanowe włosy, piwne oczy, pierwszy rok na uniwersytecie stanowym w Kolorado. Kolejna turystka, wynajmująca z przyjaciółmi domek w Venice. Podobno wyszła po colę na plażę w Zumie i ślad po niej zaginął. Jak widzisz, dwie ostatnie mają długie, proste włosy, ale tylko u tej Faylen są ciemne.

– Metr siedemdziesiąt jeden, pięćdziesiąt osiem kilo, dość szczupła, mogła mieć długie nogi. Ciekawe – poszła w biały dzień po colę i nie wróciła.

– I co z tego? Niby miała się potem znaleźć w Topandze, dwadzieścia kilometrów dalej, na imprezie? Najpewniej następnego dnia wróciła, a nikt nie pofatygował się, żeby zawiadomić o tym policję. To się często zdarza. Nic widzę niczego podejrzanego i osobiście sędzę, że Lucy nie była świadkiem żadnej zbrodni. Albo widziała stosunek seksualny i niewłaściwie go sobie wytłumaczyła, albo wyciągnął po nią swoje brudne łapy ten łachudra Trafficant. Możliwe też, że wszystko sobie zmyśliła.

– Pewnie masz rację.

– Jest jednak pewne ale?

– Jakie?

– Wyczuwam je w twoim głosie.

– Zezwalasz mi na małe, prywatne śledztwo?

– Na czym miałyby ono polegać?

– Na tym, że skontaktowałbym się z rodzinami tych czterech dziewczyn, a zwłaszcza Faylen.

– Po co?

– Żeby wyeliminować maksymalną liczbę zmiennych i pomóc w ten sposób osobie, która ostatecznie zajmie się leczeniem Lucy. Dla niej samej. Ona zaczyna się w tym wszystkim trochę gubić. Im dokładniejsze zdobędziemy informacje, tym szybciej poznamy prawdę.

– A jeśli skończy się na tym, że nie będzie żadnej terapii? Sam mówiłeś, że chciałyby z tego zrezygnować.

– Okaze się wtedy, że wykonałem parę niepotrzebnych telefonów. Założmy jednak, że w końcu zjawi się u ciebie. Nie chciałbyś zebrać możliwie najwięcej danych na wypadek, gdyby zaczęła utwierdzać się w przekonaniu, że widziała na własne oczy, jak zabijają jakąś kobietę?

– Chyba bym chciał... Niech będzie, zapisz sobie numery. Życzę ci, żeby udało się do wszystkich dotrzeć. Grzebanie w starych ranach nie należy do przyjemności.

Zapisałem:

Jessica Gallegos. Ostatnio widziana 2 VII. Rodzice: Jessica i Ernesto Gallegos.

Iris Jenrette. 29 VII. Mąż: James Jenrette.

Karen Best. 14 VIII. Ojciec: Sherrell Best.

Christine Faylen. 21 VIII. Shelley Anne Daniels. Lisa Joanne Constantino. David Faylen.

Siedziałem, zastanawiając się, jak możliwie łagodnie przeprowadzić te rozmowy. Po-tem zacząłem wybierać numery telefoniczne.

Pod numerem państwa Gallegos znajdował się teraz sklep Veritasu. W książce telefonicznej znalazłem kilkudziesięciu Gallegosów, lecz żadna z tych osób nie miała na imię ani Jessica, ani Ernesto. Ówczesna licealistka powinna mieć obecnie koło czterdziestki, może być zamężna, mieć dzieci...

Kolejna z kobiet, Iris Jenrette, mieszkała w Boise. Telefon odebrała jakaś kobieta.

– Czy zastałem pana Jamesa Jenrette?

– Jest w pracy. Kto mówi?

– Dzwonię, gdyż pan Jenrette prosił o informacje na temat ubezpieczenia nieruchomości.

– Nic mi o tym nie mówił. Jesteśmy już ubezpieczeni od a do z.

– Czy rozmawiam z panią Jenrette?

– Tak, Iris Jenrette – odburknęła zniecierpliwiona. – Nie wiem, co on tam sobie planuje. Proszę zadzwonić po dziewiątej. Wraca ze sklepu dość późno.

– Oczywiście.

Rozłączyła się.

Numer Bestów w Massachusetts był zajęty, u Faylenów na sekretarce odezwał się ro-

ześmiany głos starszej kobiety.

– Dodzwoniłeś się do Cynthii i Dave'a, których nie ma akurat w domu, a może też są, ale nie chce im się ruszyć tyłka i odebrać. Jeśli należysz więc do uparciuchów, odczekaj, aż usłyszysz przysłowiowy sygnał i zostaw wyuczoną na pamięć wiadomość.

Zadzwoniłem do informacji w Denver, gdzie podali mi jej numer w pracy.

– Biuro notarialne, słucham.

– Chciałbym rozmawiać z panią Christina Faylen.

– Biuro jest zamknięte, tu portiernia.

– Muszę porozmawiać z panią Faylen w pilnej sprawie.

– Proszę chwileczkę poczekać.

Po dłuższej chwili w słuchawce rozległ się kobiecy głos.

– Chris Faylen.

– Pani Faylen, dzwonię z archiwum miejskiego w Malibu. Przeglądaliśmy stare akta i pani nazwisko pojawiło się w rejestrze osób poszukiwanych dwadzieścia jeden lat temu.

– Słucham?!

Podąłem jej dokładną datę.

– Shelley Anne Daniels i Lisa Joanne Constantino zameldowali w Zuma Beach, że pani zagi...

– A, Shelley i Lisa, pamiętam, ale numer. To naprawdę figuruje jeszcze w aktach?

– Niestety tak.

Wybuchnęła głośnym, serdecznym śmiechem.

– Nie do wiary. Mogę pana zapewnić, że żyję i nie zaginęłam... no, czasami czuję się nieco zagubiona, ale poza tym stoję mocno na ziemi. Ha, ha, ha!

– Wobec tego cieszę się.

– Tyle czasu... mam nadzieję, że nie rozpoczęto żadnych poszukiwań. O mój Boże, co za... – i parsknęła śmiechem.

– Raczej nie, chodzi jedynie o...

– Nie do wiary – powtórzyła. – Ale jaja. Muszę wypełnić jakieś formularze albo coś w tym stylu?

– Nie, pani ustne zapewnienie...

– Czy aby na pewno? Jestem prawniczką i nie wyszłoby mi to na dobre, gdyby nagle okazało się, że nie istnieję. Z własnego doświadczenia wiem też, co może wyniknąć z niedopełnienia formalności – zdaje mi się, że przez cały ten czas nie wpływały moje składki na ubezpieczenie społeczne. W pale się nie mieści.

– Nasze archiwa nie są posyłane do rządu federalnego.

– Na pewno?

– W stu procentach.

– Poszukiwana – chichot. – Hi, hi, hi, nie było mnie zaledwie trzy dni i poznałam, no, nieważne, nie będziemy zagłębiać się w dawne historie. Dziękuję, że pan zadzwonił.

– Nie ma problemu, pani Faylen.

– No, to wróciłam z dalekiej podróży. Ha, ha, ha!

Zatelefonowałam raz jeszcze do Bestów, i tym razem po trzech długich sygnałach odezwał się kobiecy głos.

– Halo?

– Pani Best?

– Tak.

– Pani Sherrel Best?

– Nie, Taffy. Z kim mam przyjemność?

– Dzwonię z Kalifornii, szukam pani Karen Best.

Cisza.

– Kto mówi?

W jej głosie czuć było napięcie. Lepiej nie zmyślać.

– Nazywam się Alex Delaware i jestem psychologiem. Od czasu do czasu pracuję na zlecenie policji w Los Angeles. Na nazwisko Karen natrafiłem na liście osób zaginionych, których usiłuję odszukać.

– Jak pan to robi?

– Sprawdzam, czy potem się odnajdywały.

– Po co? – napięcie rośnie, i w jej głosie, i w moim gardle.

– Bo mogą mieć pewien związek ze sprawą, którą się obecnie zajmuję. Bardzo mi przykro, ale nie mogę nic więcej...

– Przepraszam, jak się pan nazywa?

– Delaware. Może pani zadzwonić do Mila Sturgisa z komendy zachodniego Los Angeles, a on potwierdzi prawdziwość moich słów – zacząłem podawać jej numer telefonu do Mila.

– Proszę zaczekać – powiedziała i usłyszałem dźwięk odkładanej słuchawki, w której po chwili rozległ się głos jakiegoś mężczyzny.

– Tu Craig Best. Jestem bratem Karen. O co chodzi?

Powtórzyłem wszystko, co zdążyłem przekazać jego żonie.

– Nie została odnaleziona. Zajmuje się pan jakimiś badaniami?

– Sprawa pańskiej siostry związana jest z pewnym dochodzeniem.

– Jakim?

– Pewna kobieta z LA pamięta, jak w owym okresie widziała porwanie i zabójstwo młodej dziewczyny. Dlatego zajmujemy się przypadkami poszukiwanych kobiet, które mogą być w jakiś sposób połączone z jej wspomnieniami.

– Wspomnieniami? To jakaś wariatka? Mamy tego powyżej uszu.

– Nie, chodzi o to, że te zeznania mogą nam pomóc, choć raz jeszcze muszę podkreślić, że nie są po...

– Kiedy to niby miało mieć miejsce?

– W okolicach Malibu, w połowie sierpnia. Pańska siostra była kelnerką w lokalu o nazwie...

– Sand Dollar. A jeszcze wcześniej pracowała w Beverly Hills.

– Też jako kelnerka?

– Tak, w jakiejś chińskiej restauracji. Kręciła się po modnych miejscowościach, bo chciała zostać aktorką i liczyła na kontakt z jakimiś gwiazdami. Jeden Bóg teraz wie, kogo tam spotkała. Skąd przypuszczenie, że ten świadek widział akurat Karen?

– Tego nie powiedziałem, panie Best. Śledztwo dopiero się rozpoczyna i bardzo mi przykro, jeżeli...

– Śledztwo? Policji w Malibu nic chciało się do tego przyłożyć. Czego dotyczy dochodzenie?

– Czy mógłby pan powiedzieć, czy mam dobre informacje?

Odczytałem wysokość i wagę Karen, on potwierdził.

– Blondynka...

– Jezu Chryste! Jak oni mogli zachować taką informację? Akurat tamtego lata przefarbowała się na brunetkę.

Super!

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Czemu z blondynki przefarbowała się na brunetkę? Z reguły kobiety robią wręcz przeciwnie.

– Właśnie o to jej chodziło. Wszyscy w Los Angeles mieli blond włosy. Chciała się wyróżnić. Naturalne włosy miała fantastyczne, rodzice uważali... jakie włosy widział ten domniemany świadek?

– Wspomnienie jest bardzo mgliste, ale w opisie przedstawiona jest długowłosa i długonoga dziewczyna.

– Tak, Karen miała rzeczywiście długie nogi. Wszyscy radzili, żeby została modelką... Boże Świąty, czy to oznacza, że natrafił pan na jakiś ślad?

– Nie sądzę. Wszystko to jedynie bardzo niepewne domysły.

– No, tak – powiedział. – Racja, nie ma co sobie za wiele obiecywać. Już dawno pogodziłem się z jej śmiercią, już dawno opuściła dla mnie grono żyjących. Ale ojciec... to z nim chciał pan porozmawiać, prawda? On chyba zwariuje.

– Wierzy, że córka wciąż żyje?

– Właściwie sam nie wiem, co on myśli. Ludzie tacy jak on niełatwo dają za wygraną. Poszukiwania Karen zrujnowały go. Po śmierci matki chcieliśmy mu jakoś pomóc i odkupiliśmy od niego ten dom, on sam zaś przeniósł się do Kalifornii.

– Mieszka gdzieś tu blisko?

– W Highland Park.

Półtorej godziny drogi z Malibu.

– Czy przeprowadził się, żeby kontynuować poszukiwania?

– Tak mówił, ale... on jest taki, zresztą co ja będę obmawiał ojca? Niech pan do niego pojedzie i sam się przekona.

– Wolałbym nie naruszać jego spokoju.

– Nie ma obawy. Podam panu adres i numer telefonu.

Podyktował mi dane, więc podziękowałem.

– Co to ma właściwie znaczyć, że ją uprowadzono? To było porwanie, czy coś jeszcze gorszego?

– Świadek opowiada, że widziała kobietę, którą niosło kilku mężczyzn, ale była wtedy bardzo młoda, więc mogła wszystko pomieszać. Możliwe, że to w ogóle nie była Karen. Przepraszam, że dzwonię do pana i nie potrafię podać żadnych konkretniejszych szczegółów. Zdobywanie dowodów będzie bardzo żmudne.

– Była bardzo młoda, mówi pan. Dziecko?

– Tak.

– O, to faktycznie nikła poszlaka. Czy zniknęły jeszcze jakieś inne dziewczyny? Nie sądzę bowiem, żeby chciało się panu zajmować sprawą samej Karen. Chodzi o jakiegoś seryjnego zabójcę?

– Nie ma podstaw do takich przypuszczeń, panie Best. Obiecuję, że jak tylko czegoś się dowiemy, to dam panu znać.

– Mam nadzieję, że dotrzyma pan obietnicy. Oprócz Karen nie miałem żadnego innego rodzeństwa. Mam szóstkę dzieci... nie wiem, po co panu o tym opowiadam.

Ja wiedziałem. Kompensacja.

– Mógłby mi pan coś jeszcze powiedzieć o siostrze?

– Cóż, była miła, piękna, wspaniałe dziecko. Za miesiąc obchodziłaby czterdzieste urodziny. Pewnie nie żyje, mam rację?

– Nie mam żadnych...

– Nie ma innej możliwości – powiedział ze smutkiem. – Na pewno. Wiedziałem, że coś się stało, gdy przestała dzwonić. Zawsze telefonowała, przynajmniej raz w tygodniu, w niedzielę, czasami także w inne dni tygodnia. Nie pozostawiałaby nas w niepewności przez taki szmat czasu. Gdyby przeżyła, na pewno by się odezwała. Musiała wpaść w jakieś okropne towarzystwo. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli będzie pan cokolwiek wiedział, choćby miało to być coś okropnego. Niech pan nie polega na ojcu. Poproszę o pański numer telefonu.

Podał mi numer własny i do Mila. Na koniec jeszcze mi podziękował, i to ostatecznie mnie dobiło.

Rozdział czternasty

Dwadzieścia jeden lat żałoby. Nie mogłem oderwać oczu od numeru Sherrella Besta.

Nie pódźcie mi łatwo. Odpowiedział nagrany na sekretarce, kobiecy głos.

– Witamy w Kościele Pomocnej Dłoni. Jeżeli dzwonią państwo w sprawie darów, nasz magazyn znajduje się na bulwarze North Cahuenga 1678, między Melrose a Santa Monica. Zbiornik, do którego mogą państwo wrzucać dary, jest czynny całą dobę...

Przyszło mi do głowy, że to pomyłka, odłożyłem słuchawkę i ponownie wykręciłem numer. Tym razem dane mi było wysłuchać końcówki nagrania: zwłaszcza żywność w puszkach, mleko w proszku i odżywki dla niemowląt. Jeśli potrzebują państwo wsparcia duchowego, na naszą całodobową Linie Pomocy zadzwonić można pod numerem...

Ten telefon sobie zapisałem. Nagranie kończyło się cytatem z pierwszego listu do Koryntian: Chrystus bowiem został złożony w olierze jako nasza Pascha. Tak przeto odprawiamy święto nasze, nie przy użyciu starego kwasu, kwasu złości i przewrotności, lecz – praśnego chleba czystości i prawdy.

Gdy zadzwoniłem do Linii Pomocy, raz jeszcze odezwała się kobieta. Spytałem, czy mogę rozmawiać z Shcrrellem Bestem.

– Wielebny zajmuje się w tej chwili paczkami. Czym mogę służyć?

Streściłem na poły prawdziwą historię o policyjnym psychiatrze.

– Z policji? – zdziwiła się. – Mamy jakieś kłopoty?

– Chodzi o córkę wielebnego.

– Karen? – uniosła głos o jakąś oktawę.

– Tak.

– Chwileczkę.

– Tu Sherrell Best – usłyszałem głos mężczyzny. – Jakież wieści w sprawie Karen?

Przedstawiłem się.

– Bardzo proszę o informacje, ale o Karen.

Powtórzyłem opowieść, jaką przedstawiłem już jego synowi. Gdy skończyłem, powiedział:

– Chwała Bogu. Wiedziałem, że zostanie odnaleziona.

– Wielebny ojczy, nie chciałbym tu...

– Proszę się nie przejmować, nie spodziewam się przywrócenia jej do życia. W dziejach zdarzyło się tylko jedno Zmartwychwstanie. Chodzi o prawdę, wiedziałem, że prędzej czy później wyjdzie na jaw. „Cierpliwość bowiem jest posadą duszy”.

- Prawdę mówiąc, nie znamy jeszcze prawdy, my tylko...
- Ale to już coś. Co pamięta ten świadek?
- To, co wielebnemu opowiedziałem.
- Ja ze swej ze strony też mam trochę danych. Nazwiska, daty, poszlaki. Może zechciałby pan rzucić na nie okiem. Wiem, że sprawiam wrażenie dziwaka, ale proszę ulec moim zachciankom.
- Oczywiście.
- Kiedy możemy się umówić? Przyjadę do pana.
- Może jutro? – chwila ciszy.
- Jeśli to konieczne, poczekam do jutra, ale wołałbym zrobić to już dzisiaj.
- Możemy wobec tego umówić się, powiedzmy, na dziewiątą wieczór.
- Doskonale. Gdzie? Teczkę mam w domu.
- Niech będzie u pana.
- Mieszkam w Highland Park – i podał mi ten sam adres co syn. – Z której strony będzie pan jechał?
- Z zachodu.
- Ja też mogę przyjechać do pana.
- Nie, nie ma potrzeby pana fatygować.
- Na pewno? Niech więc tak zostanie. Wszystko będzie gotowe na dziewiątą. Zostanie pan na kolacji? Coś bym przygotował.
- Nie trzeba.
- Kawa, herbata?
- Kawa.
- Kawa – zawtórował, jakby zanotowywał w pamięci. – Czekam z niecierpliwością. Bóg panu zapłać.

Piętnaście po ósmej wyszedłem z warsztatu przy garażu, gdzie zostali Robin i Spike, wsiadłem do samochodu i przez kanion Malibu skierowałem się na autostradę 101. Po pewnym czasie przeszła ona w 134; potem wjechałem na autostradę Glendale, jadąc na południe minąłem Eagle Rock i zjechałem w stronę Highland Park.

Na stromych, wspinających się na liczne pagórki ulicach panował mrok. Jeden przy drugim stały domy jednorodzinne, bliźniaki i kamienice, zbudowane na mikroskopijnych działkach. Prowincjonalną ciszę zakłócał dochodzący z autostrady jednostajny szum. Na poboczach stały stare samochody. Dawniej mieszkali tu przeważnie biali, teraz miasteczko opopowali hiszpańskojęzyczni robotnicy. Pojawiło się trochę gangów. W okolicy mieszkał pewien komendant policji, ale to nikogo specjalnie nie odstraszało.

Sherrell Best mieszkał w domku, przed którym biegło wyschnięte koryto jakiegoś strumienia i równoległa doń trójpasmówka. Było to niskie pudełko ze smołowanym dachem. Pokrywający fasadę tynk lśnił różowo w świetle latarni. Przez trawnik biegła betonowa ścieżka, okien strzegły żelazne kraty. Od sąsiadów dobiegały dźwięki hiszpańskiej muzyki. W domu Besta panowała cisza, choć zapalone były wszystkie światła, tworzące za zasłonami kremowe plamy. Na podjeździe stał zaparkowany dwudziestoletni Olds 88. Nic zdążyłem dojść do drzwi, gdy pojawił się w nich niski, okrągły człowieczek, z małą, kulistą głową. Nosił okulary w czarnych oprawkach, znoszoną białą koszulę i wąski szary krawat.

– Doktor Delaware? – zapytał, po czym przepuścił mnie przez drzwi, które potem zamknął na dwie zasuwki.

Po domu roznosił się zapach zupy jarzynowej z puszki. Parter zajmował długi i wąski pokój gościnny i równie ciasna jadalnia. Meble wyglądały na bardzo starannie dobrane, były metodycznie rozmieszczone: lśniące, drewniane stoły na nogach w stylu królowej Anny, ozdobne lampy z abażurami w roślinne wzory, twarde krzesła okryte serwetkami. Pleciony chodnik rozłożony był przed kominkiem niczym pies. Na ścianach wisiały plakaty w ramkach, przedstawiające sceny z Pisma Świętego. Wszystkie umieszczone na nich postacie należały do rasy nordyckiej i sprawiały wrażenie ludzi po bardzo ciężkich przejściach.

– Oto i kawa. Proszę usiąść.

Stół na metalowych nogach był ogromnych rozmiarów, stały na nim, ciasno stłoczone, ekspres do kawy, dwie filiżanki, pudełko cukru, spory dzbanek ze śmietanką i talerz cukierków. Koło nich gospodarz położył duże, tekturowe pudełko, opatrzone czarnym napisem KAREN.

Usiedliśmy naprzeciw siebie i Best zaczął nalewać mi kawy. Jego zaczerwieniona i pokryta plamkami twarz przypominała surową wątrobę, niebieskie oczy wybałuszały się zza grubych szkielec. Czoło poorane miał bruzdami. Kołnierzyk wrzynał się w szyję. Miał wąskie usta i nos duży jak kartofel, z otwierającymi się w skórze porami. Rzadkie włosy starannie ulizał.

– Karen była podobna do matki – zaczął. – Cukier, śmietanka?

– Dziękuję, wolę czarną – ująłem filiżankę.

– Żona była piękna – ciągnął – wszyscy w mieście zachodzili w głowę, jak mogłem jej wpaść w oko.

Roześmiał się. Szczyrby między zębami, mnóstwo srebrnych wypełnień.

– Mój syn, Craig, też wdał się w matkę. Proszę poczęstować się cukierkiem. Karen najpierw je przegryzała, potem wyjadała nadzienie. Jednym cukierkiem potrafiła delektować się nawet pół godziny.

Za nim, na tle owocujących drzew i złocistych snopów zboża, obejmowały się Noemi i Rut.

– A więc właściwie dlaczego zajął się pan sprawą Karen? – nalał sobie kawy.

– Już panu o tym mówiłem.

– Wspomnienia? Ma pan dzieci, panie doktorze?

– Nie.

Wydął usta i przymknął na chwile oczy.

– Proszę – powiedział, sięgając po pudełko. – Pokażę panu, co udało mi się zgromadzić, niech się zorientuje pan, czy to może w czymkolwiek pomóc.

Wstał i zanurzył ręce w pudełku niczym chirurg, który układa wnętrzności operowanego. Resztki wolnego miejsca na stole zapełniły zaraz notatniki, teczki z wycinkami prasowymi i inne papiery.

Najpierw podał mi wycinki, z których zdjął spinacze. Czcionka wyschła i zaczęła się ulatniać, barwą przypominała słabą herbatę. Wszystkie miały po dwadzieścia jeden lat i zostały wzięte z wychodzącego w kurorcie, efemerycznego pisma pod tytułem „Zakupy nad Morzem”. Gdy czytałem, Best jadł cukierki, najpierw jednego, po chwili drugiego.

Pierwsze strony zapełniały płatne ogłoszenia, gdzie, wzięty w niebieską obwódkę, widniał tekst:

Poszukiwana Karen Denise Best. Wiek: 19 lat, wzrost 173 cm, waga 57 kg, włosy blond, mogą być ufarbowane na kasztan, oczy niebieskie; mówi z akcentem z Nowej Anglii, blizna pod wyciętym wyrostku. Naszą córkę widziano po raz ostatni, gdy wychodziła z restauracji The Sand Dollar w Paradise Cove. Bardzo nam jej brakuje i martwimy się o nią. Prosimy dzwonić na koszt abonenta pod numer 508-555-4532. Na wszystkich, którzy będą w stanie udzielić informacji, czeka duża nagroda.

– Czy ktoś zadzwonił? – zapytałem.

– Mnóstwo ludzi. Trochę oszustów i błaznów, trochę ludzi o szlachetnych intencjach,

sądzących, iż ją gdzieś widzieli. Wydałem w sumie tysiąc osiemset pięćdziesiąt pięć dolarów – tań ukryte za okularami oczy.

Wróciłem do materiałów. Ostami był wycinek zawierający felieton redaktorki o nazwisku Marian Sommer, obficie opatrzone reklamami miejscowych sklepów. W środku tekstu umieszczono niewyraźne zdjęcie pięknej blondynki. Nawet pomimo kiepskiej jakości fotografii na przypominającej swym kształtem serce twarzy dziewczyny malowała się niewinność.

OJCIEC PRZEMIERZA KRAJ W POSZUKIWANIU CÓRKI Od naszego specjalnego korespondenta z Malibu.

Sherrel Best jest pełen zdecydowania. Można by je nawet określić mianem upor, ale któż śmiałby mu to wyrzucać? Drodzy krajanie, czyż upór nie jest integralną częścią amerykańskiego snu?

Dzieciństwo upłynęło mu pod znakiem wielkiego kryzysu; potem walczył w drugiej wojnie światowej, podczas której awansował do stopnia sierżanta. Po powrocie z frontu poślubił swą narzeczoną jeszcze z czasów liceum, śliczną Eleanorę, i właściwie od zera stworzył firmę sprzedającą wyposażenie hydrauliczne. Bóg pobłogosławił ich związek dwojgiem dorodnych dzieci: piękną blondynką Karen i, dwa lata później, piegowatym Craigiem. Wszystko szło jak z płatka – do czasu.

Cios spadł ni mniej, ni więcej, tylko u nas. W błękitnej Kalifornii, gdzie złotem mieni się zorza, jak również fale oceanu, a tymczasem nie do wszystkich fortuna uśmiecha się promiennie. Malibu. Złote serce miodem i mlekiem płynącej krainy. Gdzie nowe pokolenie, które nie znało trudów, z jakimi musieli zmagać się ich przodkowie, przyzwyczyło się do spokoju, wolności i miłości. Karen, dziewczyna o pięknej twarzy i szczerzłotym sercu, królowa balu maturalnego, miłośniczka siatkówki i psów, odwróciła się plecami do licznych zalotników, którzy pozostali niepokieszeni w New Bedford w stanie Massachusetts i ruszyła w pogoń za snem. Do Hollywood, zamiona blaskiem srebrnego ekranu. Szybko zorientowała się, że sen spełnia się w Beverly Hills. I w Malibu. Niektórzy z nas czują się tu jak w domu. Dla Karen oznaczały one jednak przepych i rozrywkę. Sen. Jak wielu jej podobnych, wpadła w szpony haszyszu – czy też uroków dnia – jak nazywają go niektórzy. Jak wielu innych.

Ale potem... w odróżnieniu od wielu innych... zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu. Jak dym, rozwiewany morską bryzą.

Ostatnim razem widziano ją pół roku temu, gdy wychodziła po nocnej zmianie z restauracji The Sand Dollar. Potem przepadła jak kamień w wodę. Szukała jej policja. Robili co w ludzkiej mocy, napętniając wszystkich nas dumą. Ale nie znaleźli jej.

Nie udało się też detektywowi, wynajętemu przez państwa Bestów. Więc pan Sherrel

zjechał tu do nas z Massachusetts i zatrzymał się w motelu Beachride, utrzymując się z oszczędności całego życia. Poszukuje swej królowny, której zdjęcie tu przedstawiamy. Oto Karen Best. Możliwe, że ma ciemne włosy. W listach do domu pisała, że ma zamiar je ufarbować. Chciała wyglądać bardziej egzotycznie.

Sherrel to człowiek pełen stanowczości. Nie jest bogaty, ale każdemu, kto przyczyni się do odnalezienia Karen wypłaci solidną nagrodę. Może zdarzyło się państwu zobaczyć go, jak rozdawał ulotki przed jednym ze sklepów w okolicy. I zadawał te same pytanie: „Czy widzieliście moją córeczkę?”. Może zdarzyło się państwu mijać go na ulicy. Może potrząsnęliście głową, myśląc „Biedaczysko”. Nie szkodzi. To człowiek pełen poświęcenia. Nie podda się. A wy, mieszkańcy Malibu, możecie mu pomóc, jeśli jesteście w stanie. Istnieje możliwość, że ta historia zakończy się happy endem. I to pokolenie rzeczywiście okaże się generacją pokoju, wolności i miłości. Możliwe...

Odłożyłem artykuł.

– Chciała dobrze – powiedział Best. – Była przemiłą staruszką, zmarła kilka miesięcy później, a gazeta została zlikwidowana.

– Opłacił pan ten artykuł?

– Płaciłem za wiele podobnych działań. I nie żałuję. – Zdjął okulary i potarł oczy. – Dodać panu kawy?

– Nie, dziękuję. Czy policja rzeczywiście odwaliała solidny kawał roboty?

– Zdaje mi się, że nie zaniedbali swoich obowiązków. Wypytywali tych samych ludzi co ja. W końcu urządzili prawdziwe poszukiwania w kanionach, wąwozach. Trwały jeden dzień. Potem przez jakąś godzinę wzdłuż wybrzeża latał śmigłowiec. Twierdzili, że układ terenu uniemożliwia szerzej zakrojone działania: za dużo poszycia, wiele trudno dostępnych miejsc. Chyba sami nie wierzyli w celowość swych działań. Byli przekonani, że uciekła z jakimś chłopakiem.

– Czy wzmianki na ten temat pojawiły się w ważniejszych gazetach?

– Dziennikarzy to nie interesowało. Wydzwaniałem do wielkonakładowych gazet, ale nigdy nie doczekałem się reakcji. Wynikało to po części z ówczesnej sytuacji, gdy ślad ginął po tylu hipisach. Karen była jednak inna. I nie chcę wmawiać panu, że była aniołkiem. Nie była jednak hipiską.

– Kiedy wynajął pan prywatnego detektywa?

– Kiedy policjanci przestali zawracać sobie mną głowę. Tak naprawdę wynająłem ich dwóch. Tu jest wszystko opisane.

Podał mi pokrytą nieskazitelnie równymi linijkami maszynopisu, białą kartką.

KAREN: LUDZIE ZAANGAŻOWANI W SPRAWĘ

SIŁY PRAWA I PORZĄDKU A. Komenda policji w Malibu.

1. Posterunkowy Shockley (ograniczył się do odebrania telefonu)

2. Post. Lester (sporządził raport)

3. Sierżant Concannon: kierował śledztwem; jego zwierzchnikiem był por. Maar ten, którego nigdy nie widziałem.

4. Różni policjanci, podlegli sierż. Concannonowi, których nazwisk nie wymieniono.

DETEKTYWI PRYWATNI

1. Felix Barnard, Pacific Coast Highway 25603, Malibu, Kalifornia. (Październik-listopad: rozmowy z personelem w Sand Dollar: Sue Billings, Tom Shea, Gwen Peet, Doris Reingold, Mary Andreas, Leonard Korcik. Pani wynajmująca Karen mieszkanie: Hilda Johansen, Paso De Oro 13457, Pacific Palisades).

2. Charles D. Napoli, Hollywood Boulevard 6654, Hollywood, Kalif. (Grudzień-styczeń: ponowne rozmowy z tymi samymi osobami co Barnard, spotkania z policjantami umożliwił mi kontakt z People Finders).

– Co to za organizacja, People Finders? – zapytałem.

– Napoli poinformował mnie, że istnieje ogólnokrajowa organizacja zajmująca się poszukiwaniem zaginionych dzieci. Składka wynosiła tysiąc dolarów za pierwszy rok, potem pięćset za każdy kolejny. Podobno te pieniądze ułatwiały dostęp do danych. Okazało się, że to nieprawda. Napoli zainkasował składkę, plus tysiąc dolarów za swoje śledztwo i zapadł się pod ziemię – uśmiechnął się. – Nie pluję sobie w brodę za własną głupotę. „Nadzieja nie hańbi”, jak mówi Pismo Święte. Po tym, jak Napoli wystawił mnie do wiatru, zwróciłem się do firmy, która w reklamie chwaliła się, że odnajduje ludzi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zapłaciłem za konsultacje, a oni orzekli, że uczynili wszystko, co leży w ich mocy.

– Dlaczego wynajął pan drugiego detektywa z Hollywood?

– Liczyłem, że człowiek z zewnątrz będzie miał jaśniejszy przegląd sytuacji. Barnard działał powoli. Na zupełnym luzie. Wszyscy mieszkańcy Malibu sprawiali takie właśnie wrażenie, uśmiechali się, ale nigdzie im się nie śpieszyło. To była moja pierwsza wizyta w Kalifornii i nie byłem do tego przyzwyczajony.

– Kiedy się pan tu przeprowadził?

– Na stałe dwa lata później. Przedtem raz po raz zatrzymywałem się gdzieś na parę

tygodni. Mieszkalem po motelach lub w wynajmowanym samochodzie, dzien po dniu przemierzajac sie dalej na linii od Manhattan Beach do Santa Barbara. Pewnego razu dotarlem nawet az do San Simeon na polnocy. Przejezdzałem przez kazdy kolejny kanion i park narodowy, ogladałem okolicę, rozmawiałem ze strażnikami, obsługą techniczną lotnisk, turystami, kazdym napotkanym człowiekiem. To stalo sie moja pracą. Zaniedbałem firme. Potem zona zachorowala na aneurizm i zmarla, wiec spieniężyłem interes i przeniosłem sie do Kalifornii. Craig i Taffy byli swiezo po slubie, wiec zostawilem im dom, który zreszta pare lat potem ode mnie kupili. Wybrałem dobry moment – oni potrzebowali samodzielności, a ja chiałem całkowicie poświęcić sie szukaniu Karen. Spędzałem w samochodzie po dziesięć godzin dziennie. Żyłem nadzieją, że kiedyś, jakimś cudem, natknę sie na nią. Że cierpiała na amnezję i była... gdzieś – odsunął od siebie cukierki. – Co pamięta pański świadek?

– To, co już panu mówiłem.

– Że jacyś mężczyźni nieśli młodą kobietę? Nic konkretnego.

– To prawda i bardzo mi przykro, ale nie mogę panu nic obiecać.

Chciałem oddać mu zestawienie informacji, ale kazał mi je zatrzymać, mówiąc, że ma mnóstwo egzemplarzy. Złożyłem kartkę i włożyłem ją do kieszeni.

– Dziewczyna – powtórzył. – Długie, ciemne włosy. Długie nogi. Gdy Karen była dzieckiem, wołaliśmy na nią Bocianiątko. Gdzie, według świadka... a propos, to mężczyzna, czy kobieta?

– Nie wolno mi tego zdradzić.

– A więc gdzie, według świadka, doszło do uprowadzenia?

– Gdzieś na wsi. W chacie z bali. W środku lasu.

Przysunął się do stołu, przyciskając do blatu brzuch.

– Jest pan policyjnym psychologiem. Może pan chyba zahipnotyzować tego człowieka? To podobno pomaga w przypominaniu.

– Istnieje taka ewentualność.

– Prawdopodobna?

– Świadek znajduje się w kiepskim stanie ducha.

– Bardzo kiepskim?

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć niczego ponad to.

– Tak, tak, rozumiem, przepraszam... ale zamierza się pan zająć tą sprawą?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, wielbny.

– Wykonuje pan usługi dla policji?

– Jestem konsultantem z wolnej stopy. Świadek to mój pacjent. Pewien policjant zna przebieg moich poszukiwań, ale nie są one jeszcze oficjalne.

– Po co zwraca pan sobie tym wszystkim głowę? – wybałuszył oczy.

– Chcę pomóc pacjentowi.

Przez dłuższą chwilę mierzył mnie wzrokiem.

– Nie waha się pan poświęcać dla innych.

Wzruszyłem ramionami. Obracał w palcach swoje okulary, spojrzał na filiżankę kawy, ale jej nie tknął.

– Przydałaby się rozmowa z Gwen i Tomem Shea. W tym zestawieniu ona nosi jeszcze panięskie nazwisko Peet, ale potem się pobrali. Pracowali z Karcn w The Sand Dollar. Byli z nią w czasie tej ostatniej zmiany. Zawsze miałem poczucie, że wiedzą więcej, niż chcą powiedzieć.

– A to niby czemu?

– Sądząc z zachowania podczas rozmów ze mną byli niepewni, nerwowi. Felix Barnard uważał ich za niewinnych. Policja też. Obydwoje pochodzili z Kalifornii, cieszyli się dobrą opinią nie mieli na koncie żadnych wykroczeń. Ale powiem panu jedno: gdy zagadnąłem ich o Karen, nie umieli spojrzeć mi prosto w oczy. Dobrze znali moją córkę: Gwen obsługiwała stoliki, a Tom bar. Dlaczego rozmowa o Karen wprawiała ich w zakłopotanie? Z restauracji wyszli zaraz po niej. Córka szła na piechotę, oni jechali samochodem. Czy w takiej sytuacji nie wydaje się panu naturalne, że powinni ją wyprzedzić?

– Może złapała okazję?

– Nie pozwoliłaby sobie na coś takiego. Z nikim nie chodziła, z nikim się bliżej nie zadawała. Nie sądzę, żeby bawiła się w autostopowiczkę. Zanim wyjechała, rozmawialiśmy na ten temat.

Nie unosił głosu, ale oczy jeszcze bardziej jakby chciały wyskoczyć z orbit, a w bruzdach na czole pojawiły się kropelki potu.

– Jestem pewien, że coś ukrywają. Wyczuwam wyrzuty sumienia.

Wyciągnąłem kartkę z kieszeni, rozłożyłem ją i podkreśliłem obydwie nazwiska.

– Często ich nachodziłem – ciągnął Best – proponowałem pieniądze, resztki gotówki, zanim jeszcze wyprzedałem akcje i obligacje. Nawet nie chcieli mnie widzieć. Koniec końców Tom zadzwonił na policję i poskarżył się, że zakłócam im spokój. Nie dałem za wygraną i wró-

ciłem kilka dni potem, chcąc znaleźć się sam na sam z Gwen. Nie chciała mi otworzyć, a naza- jutrz Tom przyjechał do mnie do motelu i zagroził, że jeżeli nie zostawię ich w spokoju, to stłucze mnie na kwaśne jabłko.

– Czy na tym się skończyło?

– Raz, dwa razy w tygodniu przejeżdżałem koło nich – westchnął. – Potem zniknęli, wyprowadzili się z Malibu. Jeśli nie oznacza to poczucia winy, to ja się już na niczym nie znam. Udając ich znajomego, zadzwoniłem do restauracji, gdzie powiadomiono mnie, że wyjechali do Aspen. Ale wrócili i już od ponad szesnastu lat mieszkają sobie w Malibu, są właścicielami sklepu ze sprzętem surfingowym przy moło. Nawiasem mówiąc, całkiem nieźle im się powo- dzi. Tom jeździ luksusowym BMW, a Gwen ma ładną furgonetkę.

– A więc zagląda pan tam czasem.

– Tylko raz do roku, doktorze Delaware, w rocznicę zniknięcia Karen.

– Czy podejmuje pan jeszcze jakieś inne działania?

– To znaczy, czy próbują do nich dotrzeć? Nie, nie ma sensu. W ten dzień oddaję się rozmyślaniom. Przejeżdżam drogę od Santa Barbara do Santa Monica. Gdy zobaczę bezdom- nego, przystaję i daję mu coś do zjedzenia. Od czasu do czasu zatrzymuję się na jakimś kem- pingu, ale nie rozmawiam już z ludźmi, nie pokazuję zdjęcia Karen. Po co pokazywać fotogra- fię dziewiętnastolatki? – spuścił wzrok; zsunął z nosa okulary i raz jeszcze potarł oczy. – Stuka jej już czwarty krzyżyk, ale dla mnie wciąż pozostaje dziewiętnastolatka... nie ma obaw, panie doktorze, nie niepokoję już państwa Shea. Sami muszą dawać sobie radę z tym, co zrobili. Przybyły im też nowe kłopoty: kalekie dziecko. Być może pewnego dnia pojmą, iż opatrzność i przeznaczenie mają jedno i to samo źródło. Jeśli będzie pan z nimi rozmawiał, proszę o mnie nie wspominać. Z pewnością jestem dla nich skończonym wariatem.

– Ile czasu upłynęło od wyjazdu Karen do Kalifornii do chwili jej zaginięcia?

– Pięć miesięcy.

– Często pisała do państwa listy?

– W ogóle nie pisała. Tylko dzwoniła. Co niedzielę, czasami dodatkowo w środę albo w piątek. Dlatego też zaniepokoił się od razu w niedzielę. Zwyczaju coniedzielnych tele- fonów dopełniała z zegarmistrzowską dokładnością. Zatelefonowaliśmy do restauracji, gdzie powiedzieli, że nie przyszła do pracy.

– Zapewne podczas żadnej z rozmów nie napomknęła o zagrażających jej niebezpie- czeństwach?

– Oczywiście. Była szczęśliwa, podobała jej się aura, praca, dosłownie wszystko. Zara-

biała pieniądze na szkołę aktorską.

– W której szkole chciała się uczyć?

– Nie myślała jeszcze o takich szczegółach.

– Jaki był pana stosunek do jej wyboru przyszłej kariery aktorskiej?

– Nie bardzo chciało się nam w to wierzyć. Przypuszczaliśmy, że liżnie trochę tego zajęcia i wróci do domu, pójdzie do college'u, pozna jakiegoś miłego chłopca – zadrżały mu usta. – Przeważnie rozmawiała z nią żona. Ja zazwyczaj siedziałem w sklepie. Po jej zniknięciu znienawidziłem tę pracę. Sklep przekazałem Craigowi, ale sprzedał go i przeszedł na państwową posadę w pewnym przedsiębiorstwie budowlanym. Po przeprowadzce do Kalifornii pierwszy rok upłynął mi wyłącznie na poszukiwaniach. Podobnie było w następnym, ale wszystko bez skutku. Miałem aż za dużo czasu, zacząłem oddawać się lekturze Pisma. Nie byłem wzorowym chrześcijaninem – chodziłem do kościoła, ale tylko udawałem, że się modłę, gdyż naprawdę myślałem wyłącznie o zyskach. A wtedy Biblia nabrała dla mnie jakiegoś szczególnego znaczenia. Zapisalem się do seminarium w Eagle Rock. Po pięciu latach otrzymałem święcenia kapłańskie i utworzyłem kościół. Wie pan, czym się zajmujemy?

– Rozdzielaniem żywności między ubogich.

– Każdemu, kto o to poprosi, bez pytania o cokolwiek. Nie mamy z tego żadnych dochodów. Ja dostaję zasiłki z opieki społecznej, mam też skromny dochód z niewielu obligacji, jakie mi jeszcze zostały. Wszyscy inni są ochotnikami. Jedzenie dostajemy w darze od różnych restauracji. Jestem zadowolony z takiego trybu życia. Szkoda tylko, że nie może zobaczyć mnie teraz Karen.

Połknął cukierek i dopił kawę, która zupełnie już ostygła. Rzuciłem okiem na tekturowe pudełko. Wyjął z niego pozostałe papiery.

– Pójdę pozmywać.

Zaczął sprzątać ze stołu i myć naczynia. Otworzyłem pierwszy album ze zdjęciami, ukazujący Karen Best od chwili narodzin do młodości. Do okładki drugiego albumu taśmą klejącą przyklepiona była mała koperta, na której widniał napis „Pierwsza wizyta u fryzjera”. Uniosłem ją i pod światło zobaczyłem w środku kilka kędziorów.

Koniec podstawówki. Karen jako zdobywczyni nagrody Dobrego Obywatela.

Kronika liceum. Karen w kółku języka francuskiego i muzyki. „Kanie o tak wiele znaczącym wzroku”.

Zdjęcie ze studniówki: Karen, piękna i dojrzała dziewczyna, długie, jedwabiste, zakręcające się na końcach włosy. Wsparta na ramieniu gapowatego chłopaka o beatlesowskiej

fryzurze i sypiących się właśnie wąsach. Bukieciak zasuszonych orchidei w sztywnej foliowej torebce, ozdobionej nazwą kwiaciarni w New Bedford.

Około setki egzemplarzy kartki, którą dał mi Best, spięte razem. Tekst „Ojciec nasz”.

Włożyłem wszystkie te papiery z powrotem do pudełka. Best stał przy zlewie, na rękach miał gumowe rękawice, z kranu obfitym strumieniem leciała parująca woda. Wszedłem do kuchni. Wpatrywał się w jakiś przedmiot, umieszczony nad kranem. Biało-czarna rycina, przedstawiająca następną scenę z Biblii. Młoda kobieta, ciągnięta za włosy po ziemi. „Sychcm uprowadza Dinę”.

Ręce Besta były zaciśnięte w pięści. Od gorącej wody zaparowały mu okulary, wargi szybko się poruszały. Modlił się.

Rozdział piętnasty

Wróciłem do domu i wziąłem do ręki Pismo Święte. Po przeczytaniu kilku fragmentów, nie było mi zbyt łatwo zapaść w sen. Nazajutrz zjedliśmy razem z Robin śniadanie na mieście; potem pojechałem raz jeszcze do biblioteki, żeby przeczytać artykuł na temat przyjęcia w Sanktuarium. Piętnasty sierpnia. Karen Best zniknęła dzień wcześniej.

Skserowałem artykuł i zadzwoniłem do Mila. Nie było go na komendzie i telefon odebrał Del Hardy. Ten czarny policjant współpracował od czasu do czasu z Milem, lecz ostatnio zdarzało się to raczej rzadko.

– Cześć, doktorku, jak leci?

– Nie narzekam. Jak służy gitara?

– Nie mam czasu, stoi w kące. Yeti zajmuje się w tej chwili jakimś włamaniem do sklepu w Palms, więc może go pan chyba jeszcze tam złapać.

Podał mi namiary. Zadzwoniłem, i po przekonaniu jakiejś policjantki, udało mi się dotrzeć do Mila.

– Dobrego dnia. – W jego głosie słychać było roztargnienie.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale...

– Nie ma sprawy, już skończyłem. O co chodzi?

Streściłem mu wydarzenia dnia poprzedniego.

– A więc ta Bestówna – powtórzył. – Ale ona była przecież blondynką.

– Akurat zdążyła ufarbować sobie włosy. A brat twierdzi, że miała bardzo długie nogi. Może okazać się, że to fałszywy alarm, ale...

– Słuchaj... przyjechała ekipa telewizyjna, musimy już kończyć. Gdzie można cię złapać?

– W Westwood.

– No to umówmy się w parku Rancho, w części północnej, przy boisku do baseballu. Wejdz przez pierwszą furtkę za polem golfowym i idź prosto przed siebie. Znajdziesz mnie z łatwością, bo nie będę zajmował się karmieniem ptaszków.

Na miejsce dojechałem po piętnastu minutach. Siedział na ławce przy porośniętej jeszcze algami cementowej sadzawce, z której spuszczonego wodę. Po trawniku biegał bezpański chart. Wokół nie było widać ani kaczek, ani ludzi. Pokazałem Milowi kartkę od pana Besta, ksero artykułu i zwróciłem uwagę na zbieżność dat zniknięcia dziewczyny i otwarcia Sanktuarium.

– Noc przed niedzielą, kiedy nie zadzwoniła do domu.

Przebiegł wzrokiem kartki papieru i oddał mi je.

– Rozmawiałeś z ojcem w cztery oczy?

– Na jego własne życzenie.

– Co z niego za facet?

– Kochający ojciec. Ma bzika na punkcie córki.

– No to musiało się wam niezłe gadać.

– Chyba się mniej więcej porozumieliśmy.

I pokrótce przekazałem mu wszystko, co Best opowiedział mi o poszukiwaniach Karen i podejrzeniach w stosunku do państwa Shea.

– Jaki z tym związek mają Lowell i Trafficant? Paradise Cove leży... ile... piętnaście, dwadzieścia kilometrów od Topangi.

– Pracowała w Paradise Cove, ale mieszkała w Topanga Beach. Przejeżdżałem tamtędy – to rzut kamieniem od kanionu Topanga. Na poparcie mamy jeszcze zbieżność czasową i jej podobieństwo do dziewczyny we śnie.

Założył nogę na nogę i spojrzał na niebo. Samolot wypisywał w górze jakieś nieczytelne słowa.

– Zdaje mi się, że ojciec ma bzika na tym punkcie. Na dodatek strasznie najeżdża na Boga ducha winnych ludzi.

– Mówi, że już dawno dał im spokój. Jeśli mówi prawdę, znaczy to, że panuje nad sobą.

– To jednak zadziwiające. – Nie odrywał wzroku od nieba. – Mieszkał tam gdzie oni, uważał, że coś wiedzą, a mimo wszystko wypuścił z rąk taką okazję.

– Może oddaje się pracy, poświęca czas na spełnianie dobrych uczynków?

– Karmi ubogich?

– Może i jestem naiwny, ale sprawił na mnie wrażenie dobrego człowieka. Próbuje pogodzić się ze stratą, poszukując jakichś wyższych celów w życiu. Martwi mnie tylko obraz, który wisi u niego nad zlewem w kuchni. Scena z Biblii – Sychem porwa Dinę. Wpatrywał się w to zmywając naczynia. Przeczytałem tę opowieść w domu. Z Księgi Rodzaju. Dina była córką Jakuba, a Sychem pewnym kaananejskim księciem, który ją porwał i zgwałcił. Dwaj bracia pomścili ją, wymordowawszy całą wieś wraz z mieszkającym w niej Sychemem.

– Piękny przedmiot medytacji dla duchownego.

– Nie chciałbym dolewać oliwy do ognia jego wściekłości. Wiem, jak złym sojusznikiem jest żądza zemsty.

– Jak więc tłumaczysz rozwój wypadków? – zmrużył oczy i spojrzał na mnie. – W piątek w nocy przewędrowała do posiadłości Lowella, który zaprosił ją na uroczystość

– O ile nie była niedzielną turystką. To szmat drogi. Może jednak udało jej się złapać okazję. Albo przyjęcie rozpoczęło się wcześniej i nie miało oficjalnego charakteru. Przychodził, kto chciał i kiedy chciał. – Uniosłem wycinek z gazety. – Wygląda na luźne spotkanie, a nie uroczysty raut.

– Że niby wszystkie te grube ryby znalazły się tam przypadkiem?

– Wiesz, jak to było w tamtych czasach. Pokój i miłość, ludzie bawili się w społeczną równość. Best stwierdził, że między innymi z tego powodu policja niezbyt przejęła się zniknięciem Karen. Wszyscy byli wtedy na luzie, dzieciaki podróżowały po całym świecie, nikt nie robił ceregieli.

Rzucił okiem w stronę boiska do baseballu i rozciągających się za nim łąk.

– Lata siedemdziesiąte poświęciłem wkuwaniu w college'u, potem strzelałem do gości w czarnych piramidach, ale powiedzmy, że wierzę ci na słowo.

– Ja też byłem niezłym kujonem – odpaliłem – ale jak dziś pamiętam snujące się po drogach gromady autostopowiczów. Best twierdzi, że córka była grzeczną dziewczynką, ale nie było jej w domu już od niemal pół roku, a dzieci, które zasmakowały w swobodzie, potrafią zmieniać się błyskawicznie. Ponadto chciała zostać aktorką. Może jednak próbowała zła-

pać okazję albo przechadzała się dla relaksu po kanionie. A tu znienacka zatrzymał się przy niej jakiś człowiek ze znaną facjatą, siedzący w długiej limuzynie, i zaczął naciągać ją na imprezę, gdzie kręci się mnóstwo ludzi robiących w rozrywce. Czy przyszła aktorka odrzuciłaby taką propozycję?

– To się trzyma kupy – odpowiedział – pod warunkiem, że zabawa zaczęła się dość wcześnie. Mimo wszystko za dowody służą nam tylko zaginiona dziewczyna i sen.

– Dziewczyna, która dzwoniła co tydzień do domu z niezawodnością szwajcarskiego zegarka, po czym nagle zamilkła i przepadła jak kamień w wodę.

– Nie twierdzę, że dziewczyna żyje, Alex. Wygląda na to, że tak nie jest. Nie oznacza to jednak, że zginęła na terenie majątku Lowella. Poza tym trudno mi uwierzyć, żebyś po tylu latach dotarł do prawdy.

– Mnie też nie mieści się to w głowie. Mam tylko nadzieję, że Best nad sobą zapanuje. Może się niestety okazać, że daję mu złudną nadzieję.

– No, jeśli masz rację, uznając go za człowieka wielkiej wiary, to powinien sobie jakoś poradzić.

– Oby. – Posunąłem się na brzeg ławki. Na kolano wspinał mi się malutki, bezbarwny pająk. Ująłem go ostrożnie między palce. Zaczął gorączkowo wywijać nóżkami. Umieściłem go na trawie i patrzyłem, jak znika wśród niej.

– Jest jednak coś, co nie daje mi spokoju – odezwał się Milo. – Sprawa tego brata, Petera. Nie wyściubia nosa za miasto, a potem tak się składa, że wyjeżdża akurat wtedy, gdy siostra wsadza głowę do duchówki. Bezrobotny, a tymczasem sprawy zawodowe nie pozwalają mu na powrót. Po czym dokłada wszelkich starań, żeby porozmawiać przez telefon z doktor Embrey i niewidzianym od dwudziestu lat przyrodnim bratem, cały czas starannie unikając Lucy. Ty z kolei mówisz mi, jaki z niego dziwak, a potem Lucy utrzymuje, że ktoś zwędził jej majtki, podczas gdy on ma klucze do jej mieszkania.

– Sądzisz, że to jego sprawka?

– Mój nos mówi mi, że on przed czymś ucieka. Być może przed nieprzyzwoitymi odruchami. Może ich przyjaźń zaczyna przybierać obrót, który go przeraża, i zwiął na pustynię, żeby pobyć w samotności ze swoimi grzesznymi myślami.

– Tego by tylko brakowało – zawołałem.

Usiłowałem przypomnieć sobie wszystkie szczegóły krótkiego spotkania z Peterem. Błada twarz, senny głos. Zimne ręce. Gruby sweter w upalny dzień. Za wszelką cenę chce wrócić do wozu. Patrzy się pod nogi...

– A może ucieka przed czymś innym? – zasugerowałem.

Opisałem go. Milo obrzucił mnie wzrokiem, uniósłszy czarne krzaczaste brwi.

– Dragi?

– Wszystko się chyba zgadza, no nie? Bezrobotny, Lucy go broni, odpowiada wymijająco. Pamiętam jej słowa, że brat zawsze starał się ją chronić, „mimo że sam...”, po czym urwała w pół zdania. Gdy się dopytywałem, dokończyła: „mimo że sam nie należy do twardzieli”. Nie to zamierzała jednak powiedzieć. Wiem, że to zaledwie domysły, ale on naprawdę bardzo chciał wrócić do samochodu. Kiedy się obejrzałem, siedział skulony na fotelu. Jakby coś tam robił. Lucy też się obejrzała i właśnie podczas tej wizyty jej wieczny uśmiech zniknął z ust. Możliwe, że akurat coś tam zażywał, a ona dobrze o tym wiedziała.

– Dragi – powtórzył. – To możliwe. Facetom na głodzie nie potrzeba luksusowych apartamentów i świeżej pościeli.

– To wyjaśniałoby powody, dla których zmył się w chwili, gdy Lucy znalazła się w potrzebie. Rozmawiał z wszystkimi oprócz niej, bo ona domyśliłaby się, że jeździ za narkotykami, a nie chciał się jej tłumaczyć. Czy do Nowego Meksyku nie przemyca się całej masy tego świństwa?

– Ale tu, w LA, też tego nie brakuje.

– Może nie mógł tutaj niczego dostać, bo zaciągnął sporo długów – to mogłaby być przyczyna wyjazdu. Unikanie dłużników, którzy nie mają w zwyczaju wysyłać upomnień. – Poczuję, jak kurczy mi się żołądek. – Najprawdopodobniej dłużnicy wiedzą o istnieniu Lucy i usiłują go szantażować, grożąc jej życiu. Może te anonimowe telefony naprawdę miały miejsce. I ktoś rzeczywiście włamał się do niej i grzebał jej w bieliźnie.

– Nic z tych rzeczy – zaproponował. – Sama mówiła, że nie ma na to żadnych dowodów.

– Niech będzie. Więc może przetrząsnęli mieszkanie Puka i znaleźli klucze do jej mieszkania?

– Takie subtelne metody nie pasują do ludzi tego pokroju – sprzeciwił się. – Oni lubują się we włamaniach.

– Może jeszcze nie doszli do brutalniejszych sposobów. Zastrasza go, żeby poszedł na jakiś układ i uregulował należności. Może już od dawna jest dealerem. Jak mógłby się wypłacić, nie mając stałej pracy? Lucy dostaje co miesiąc tysiąc dolarów z funduszu powierniczego rodziny, więc może jemu też coś skapuje. W przypadku nałogu taka suma na długo nie starczy.

– Fundusz rodzinny ze strony Lowellla czy matki?

– Lowella.

– Tatuś porzuca dzieciaki, ale nie przestaje ich utrzymywać?

– Stworzyła go dla uniknięcia podatków matka samego Lowella. Istnieje możliwość, że on nie ma na to najmniejszego wpływu.

– Szantaż – powtórzył. – No dobra, okaż się uprzejmy i zwał całą winę na dragi, oczyszczając ją tym samym ze wszystkich podejrzeń. Ale ja i tak cały czas nie widzę związku z faktem, że włożyła głowę do piecyka.

– A może ktoś ją podtruł i zrobił to za nią? Ona ma swoje ustalone przyzwyczajenia, co wieczór wypija szklankę soku i ogląda telewizję. Przy takim założeniu jasne stałoby się, dlaczego nie zasłonięto okien: chcieli, żeby ktoś ją znalazł. Chcieli ostrzec Chochlika. Nieźle, co? Wszyscy tu zakładamy, że ona kłamie, a tymczasem okazuje się, że mówi najprawdziwszą prawdę.

– To byłaby faktycznie rewelacja – potarł twarz. – Wymarzone rozwiązanie, bo na szyi nie stwierdzono śladów po pętli, a we krwi dawek narkotyków.

– A jeśli podali jej coś, czego w szpitalu by nie wykryli, na przykład chloroform?

– Jak chcesz bawić się w zgadywanek, to według mnie sam Puk próbował ją udusić, bo nie chciała dać mu kasy na narkotyki. Z drugiej strony możliwe, że ślinka cieknie mu na myśl o jej udziale w funduszu powierniczym i zmył się z miasta dla wyrobienia sobie alibi? A do Kena zadzwonił tylko po to, żeby upewnić się, że siostra nie żyje. Jeśli sobie życzysz, mogę za symboliczną opłatą wymyślić jeszcze parę historyjek w tym guście. Sypnij groszem, a zagłębimy się razem w krainę fantazji.

Buszujący nieopodal chart coś wywęszył i gdzieś pognał.

– Masz rację – zgodziłem się. – Zaczynam snuć pobożne życzenia, bo za wszelką cenę chcę zapomnieć o tym, że Lucy chciała skończyć ze sobą. Taka jest jednak prawda. I tak między Bogiem a prawdą nie sądzę, żeby Puk miał coś wspólnego z dragami. Jest po prostu nieśmiały i ma problemy z ciśnieniem.

– Coś z nim jest jednak nie w porządku – zareplikował Milo. – Chciałem sprawdzić dziś rano jego komputerową kartotekę, ale zaraz w pół do siódmej dostałem wezwanie do sklepu. Jak tylko wrócę, siadam do komputera. Wiesz, gdzie on mieszka?

– Ken mówił, że w Studio City. Masz zamiar szukać informacji o Trafficancie?

– Jasne. Zwraçałem się już w parę miejsc.

– Biedna ta Lucy – westchnąłem. – Kolejny cios.

– Fakt – potwierdził – cierpienie to dla niej chleb powszedni.

Do Malibu wróciłem o pierwszej. Stojąc na światłach przy molo, rzuciłem okiem na sklep ze sprzętem surfingowym. Biały budynek, niebieskawe szyby w oknach. Wypisana grubymi, białymi literami nazwa, pod nią tablica przedstawiająca surferowca, który pokonuje wysoką falę.

Do Paradise Cove było szesnaście kilometrów. Umieszczony na wysokim słupie znak zwrócony był w stronę plaży i oznajmiał: „THE SAND DOLLAR. Śniadania, obiady, kolacje”. Odruchowo skręciłem w tamtą stronę. Opadająca stromo w dół droga mijała kawałek porośniętej kwiatami łąki, potem parking dla budek kempingowych, tonący w cieniu rozróżnionych eukaliptusów. Za drzewami widać było płaskie i srebrzyste lustro wody. Kilkadziesiąt metrów dalej dojechałem do szlabanu i stróżówki. Tablica informacyjna ogłaszała, że plaża jest własnością prywatną i jeśli chcę jechać dalej, muszę zapłacić pięć dolarów – chyba że zamierzam się stołować w restauracji.

Stróż wystawił głowę ze swojego posterunku. Łuszczył mu się nos, okulary przeciwsłoneczne miały na zewnątrz lusterka.

– Sand Dollar – obwieściłem.

– Pięć dolców – podał mi bilet. – Niech pan podstemplują, to oddam pieniądze, gdy będzie pan tędy wracał.

Po następnym opadającym w dół odcinku drogi dotarłem do obszernego parkingu. Restauracja stała za nim na plaży, dach miała wyłożony drewnianymi gontami, w oknach były żaluzje. Nad wejściem powiewała flaga z napisem Happy hour.

Podłogę sali pokrywał czerwony filc, ściany okrywała boazeria z taniego drewna, na której wisały przeżarte solą żeglarskie instrumenty. Nie było ani śladu barmana, ale w jednej z popielniczek dymił jeszcze papieros. Po prawej stronie zobaczyłem przypominającą jaskinię salkę, w której kilkoro ludzi leniuchowało i oglądało na kablówce jakąś komedię. Wprost przede mną był pusty stolik kierownika sali, za którym zaczynała się właściwa restauracja.

Główna sala była olbrzymia, jak w restauracjach w Los Angeles jeszcze przed epoką runu na nieruchomości, z dwoma rzędami wybijanych mosiężnymi ćwiekami przegród i tą samą wykładziną z czerwonego filcu. Od plaży oddzielała klientów ściana ze szkła, za którą widać było resztki mola, kilka łat temu poważnie uszkodzonego podczas burzy. Na plaży siedziało paru turystów. Ludzie wewnątrz wyglądali na miejscowych, ale nie było ich wielu i zajmowali tylko niektóre stoliki.

Obsługiwały ich dwie kelnerki: jedna młoda i ruda, druga po pięćdziesiątce, z szeroką

twarzą i krótko obciętymi siwymi włosami. Obydwie miały na sobie różowe bluzki z podwiniętymi rękawami, czarne spodnie i czerwone fartuszki; w oczach malowało się zmęczenie. W przeciwległym rogu pomocnik zbierał naczynia ze stolika.

Kierownik sali był wysokim, zażywnym, siwobrodym mężczyzną. Dostrzegł mnie i przerwał rozmowę z pomocnikiem.

– Dla mnie obiad – zamówiłem, a on zaprowadził mnie do stolika przy oknie.

Po chwili podeszła do mnie zaaferowana starsza kelnerka. Zamówiłem śniadanie Wędkarza za 10,95\$ (podawane cały dzień), złożone ze smażonego młodego szczupaka, jajek, potrawki, soku i kawy. Było niezłe i starałem się rozkoszować nim dłużej. Gdy skończyłem, większość klientów zdążyła wyjść i nigdzie nie było widać kelnerki. W końcu zauważyłem, że siedzi przy barze, pali papierosa i ogląda telewizję, więc dałem znak ręką. Podeszła natychmiast, nieco zmieszana. Na identyfikatorze widniało imię Doris. Dałem jej banknot dwudziestodolarowy i kwit z parkingu, poszła więc po resztę. Wyjąłem informacje od Besta i wśród personelu restauracji wyłowiłem jedno imię Doris: Doris Reingold.

Gdy wróciła, powiedziałem, żeby zatrzymała piąta, w zamian za co obdarzyła mnie serdecznym uśmiechem.

– Dziękuję, smakowało panu?

– Było wyśmienite.

– Ludzie bardzo chętnie zamawiają ten zestaw.

– To rozumiałe... pusto tu u was.

– Różnie bywa. Na przykład w niedzielę nie dostałby pan stolika bez uprzedniej rezerwacji.

– Aż tak?

– Przyjeżdża mnóstwo ludzi z Hollywood... mają tu swoje domki letniskowe. W tamtym rogu siaduje Barbra Streisand. Filigranowa kobieta. Odwiedzają nas także szefowie kuchni, na przykład kierownik La Poubelle. Przywożą ze sobą dzieci. Powtarzam Marvinowi, żeby podniósł ceny, ale nie chce mnie słuchać.

– Dlaczego?

– Przyzwyczał się – wzruszyła ramionami. – I tak najprawdopodobniej za rok zamkniemy lokal. Marvin podupada na zdrowiu i ciągle nagabują go, żeby sprzedał tę działkę. Jest warta furę pieniędzy.

– Niedobrze. Póki co będę musiał częściej tu zaglądać.

– Proszę bardzo. Klienci pańskiego pokroju bardzo by się przydali – roześmiała się. –

Pan tutejszy?

– Dopiero co wprowadziłem się do tej okolicy.

– Niedaleko wybrzeża?

Skinąłem głową na potwierdzenie.

– Świetnie. Jeżdżę tamtędy do siebie, do Ventura. Własnościowe czy wynajmowane?

– Wynajmowane.

– Tak jak moje. Na własnościowe stać dziś tylko milionerów.

– Tak się wydaje. Dawno pani tu pracuje?

– To widać, prawda? – Uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ale nie powiem jak długo, więc proszę nie wypytywać.

– Co zrobi pani, jak zamkną ten lokal? – Odwzajemniłem uśmiech.

– Sama nie wiem, może zaczepię się w jakiejś restauracji. Szefom kuchni potrzeba kucharek. Prawdę mówiąc wolałabym nie podejmować takiej decyzji.

– Nie lubi pani gotować?

– Kiedyś to robiłam. Wiele lat temu pewna znajoma załatwiała pracę w kuchni wszystkim, którzy chcieli. Płacili nieźle, ale trzeba się było urobić po łokcie – Mrugnęła okiem. – A i Marvinowi też nie było to w smak. Robiliśmy to za jego plecami.

– Mam zamiar urządzić niedługo parapetówkę, szukam akurat jakiejś dobrej kucharki.

Kim jest pani znajoma?

– Ona już w tym nie siedzi – pokręciła głową. – Wzbogaciła się, ma swoją firmę.

– Szczęściara.

– Pewnie.

– Na czym można się teraz wzbogacić?

– Mieszka pan na wybrzeżu, a czym pan się zajmuje? – Uśmiechnęła się do mnie.

– Jestem psychiatrą.

– No proszę. – Znowu mrugnęła w moją stronę. – To może w ogóle nie powinnam z panem rozmawiać?

– Nie ma powodów do obaw, jestem tu prywatnie.

– Wie pan co – ciągnęła – taki zawód jakoś do pana nie pasuje. Myślałam z początku,

że jest pan prawnikiem albo pracuje w show-biznesie. – Dotknęła kieszonki w fartuchu, gdzie spoczywał napiwek.

– Grałem kiedyś w kapeli – powiedziałem. – W różnych cocktailbarach. Wiem, co to znaczy, gdy człowiek jest zależny od cudzej szczodrości.

– Święta prawda. Co gorsza, ludzie to po większej części skąpiradła. To mi się szczególnie nie podobało w tych przyjęciach w prywatnych domach. Wychodzi wtedy na wierzch to, co w człowieku najgorsze, wszyscy uważają taką kucharkę czy kelnerkę za jeszcze jeden sprzęt. Zero napiwków. Ogólna zapłata za usługę. Jeśli szefowa jest nieuczciwa, to może wystrychnąć na dudka.

– A ta pani szefowa płaciła uczciwie?

– Kto... a, ona... tak, raczej tak.

– Na pewno naoglądała się pani ciekawych rzeczy na przyjęciach w takim stanie jak nasz?

– Można? – Wyciągnęła rękę po papierosa. Kiwnąłem głową.

– Zależy, co kogo interesuje. Do mnie należało tylko obsługiwanie gości i sprzątanie ze stołów, przy czym ludzie bez przerwy czegoś ode mnie chcieli. – Potrząsnęła głową i obejrzała się. – Kawy? Ja sama też się chyba napiję. Marvin jest jak zwykle w ubikacji.

– Z przyjemnością.

Przyniosła imbryk i filiżankę dla siebie. Usiadła po drugiej stronie stołu z dymiącym papierosem w ręku, naląła sobie i mnie.

– Bardzo podoba mi się praca w tej restauracji – powiedziała. – Obok morza.

– Dobrze się pani mieszka w Ventura?

– Kiepsko. Może się stamtąd wyprowadzę. Dwaj synowie są w wojsku. Jeden stacjonuje w Niemczech, drugi gdzieś koło Seattle czy też w Nevadzie. Nevada mi się podoba, wszystko idzie tam do przodu.

– A może zamożna przyjaciółka w czymś pomoże?

– Na nią nie ma co liczyć, wycofała się już z interesu. Są wraz z mężem właścicielami sklepu dla surfingowców. Nie mam tam czego szukać.

– W Malibu, koło mola?

– Tak, zna pan?

– Dopiero co tamtędy przejeżdżałem. Nie sprawia wrażenia kwitnącego interesu.

– Ale trzyma się nieźle, może mi pan wierzyć. Mają domek na wybrzeżu w La Costa, na własność, a to nie byle co. – Zaciągnęła się i znowu powędrowała wzrokiem w stronę plaży. – Nie ma chwili spokoju.

Spojrzałem na plażę. Jacyś ludzie rozstawiali kamery, za nimi stały ciężarówki dźwiękowców.

– Reklamy – oznajmiła. – Przyjeżdżają bez przerwy. Reklamują krem do opalania, samochody, colę, sama już nie wiem, co jeszcze. Płacą Marvinowi tyle, że nawet nie musi podnosić cen... o wilku mowa.

Popatrzyła w głąb lokalu. W naszą stronę szedł białobrody mężczyzna: spuścił głowę, zmarszczył brwi i poruszał zamaszycie rękami. Wstała i wyciągnęła rękę w jego stronę, uśmiechając się, jakby chciała powiedzieć: „Spoko, spoko, Marvin”. Przygwoździł wzrokiem najpierw mnie, potem ją po czym obrócił się na pięcie i wrócił na swoje stanowisko.

– Zjazd do bazy – skomentowała gasząc papierosa. – Miło się z panem gawędziło.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Mam na imię Doris – obwieściła, dotykając identyfikatora. – Następnym razem proszę o mnie spytać, to posadzę pana na miejscu od strony plaży.

Praca w małej gastronomii, załatwiana przez Gwen Shea. Dla każdego. Szefowie kuchni, znajomości. Czy Karen Best zatrudniła się przy przyjęciu w Sanktuarium? Udała się na miejsce zawczasu i nigdy już nic wróciła? Usiadłem w samochodzie i ponownie rzuciłem okiem na kartkę od Shcrrclla Besta. Prywatny detektyw Felix Barnard nie odnotował żadnej pracy na czarno. Personel ukrywał to przed Marvinem? A może Barnard po prostu nie umiał zadać odpowiednich pytań? Best twierdził, że detektyw był powolny, za mało skoncentrowany.

Przejrzałem książkę telefoniczną Rostale, zarówno katalog firm, jak i wykaz osób prywatnych, lecz nie natrafiłem na żadną wzmiankę na jego temat. Cała moja konstrukcja to domek z kart. Ale rozmowa z Doris pozwoliła zacieśnić związek pomiędzy Karen Best i Sanktuarium. Być może Sherrell Best, podejrzewając państwa Shea, trafił w dziesiątkę.

Doris była rozmowna. Nie było jak napomknąć o zaginięciu Karen, ale warto spróbować raz jeszcze. Taka pomoc może wiele zaważyć na przebiegu poszukiwań.

Rozdział szesnasty

Oto nazwiska pozostałych członków personelu restauracji Sand Dollar: Sue Billings, Mary Andreas, Leonard Korcik.

Po powrocie do domu zacząłem szukać ich w książce telefonicznej. Nie natrafiłem na

żadną z kobiet, lecz według spisu pan Korcik, L.T., mieszkał w Kanionie Encinal.

– Szkółka leśna – odezwał się w słuchawce męski głos.

– Chciałbym rozmawiać z panem Leonardem Korcikiem.

– Przy telefonie.

– Czy jest pan tym samym człowiekiem, który swego czasu pracował w restauracji Sand Dollar?

– Nie, to ojciec. Z kim mówię?

– Współpracuję z policją i zajmuje się sprawami zaginionych ludzi, w różnych okresach. Wiele lat temu zniknęła dziewczyna o nazwisku Karen Best. Pana ojciec był kiedyś przesłuchiwany w związku z tym, a ja teraz chciałbym upewnić się co do kilku szczegółów.

– Ojciec zmarł trzy lata temu.

– O kim?

– O Karen Best.

– Kiedy to się stało?

– Dwadzieścia jeden lat temu.

– Miałem wtedy siedem lat – zaśmiał się. – Pierwsze słyszę.

– Czym zajmował się pański ojciec w restauracji?

– Czasami stał za barem, od czasu do czasu sprzątał. Teraz mamy szkółkę leśną. Jakby potrzebował pan sadzonek, proszę zadzwonić.

Odłożył słuchawkę.

Dochodziła piąta, gdy zatelefonowała Wendy Embrey.

– Nie mam pewności, ale zdaje mi się, że ona niedługo zapuka do pana drzwi.

– Skąd to przypuszczenie?

– Jak tylko oznajmiłam, że zezwalam na zwolnienie, od razu zamilkła – nie była nastawiona wrogo, ale najwyraźniej nie miała mi już nic więcej do powiedzenia.

– Dlaczego sądzi pani, że zjawi się akurat u mnie?

– Gdy spytałam, czy ją pan odwiedził, od razu się rozpromieniła. Na pana miejscu bardziej bym się pilnowała – pani doktor cały czas starała się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji z wdziękiem, ale w jej głosie wyczuwało się wrogość.

– Nie byłbym tego taki pewny – odparłem. – Podczas wizyty wspomniała coś o zupełnym zaprzestaniu terapii.

– Znakomicie – wykrzyknęła. – Wspaniale zdał pan egzamin i wykazał się zadziwiającą przenikliwością. No, nieważne, dzwonił do mnie jej ojciec. Sprawa nie należy już chyba do mnie, ale chciałam pana o tym powiadomić.

– Kiedy?

– Rano. – W szybkim tempie wyrecytowała jego numer telefonu.

– Zostawił jakąś wiadomość? – Spytałem, zapisując jednocześnie numer.

– Tylko żeby oddzwonić. Życzę powodzenia. Lucretia wychodzi dzisiaj.

– Tak? – zapytał kobiecy głos.

– Nazywam się doktor Delaware. Dzwonił do mnie pan Lowell.

– Że jak?

– Jestem psychiatrą jego córki.

– Myślałam, że ona chodzi do doktor...

– Embrey. Już nie.

– Ach, tak... Skoro pan się nią teraz zajmuje, pan Lowell chciałby się z panem spotkać.

– W jakiej sprawie?

– Chyba Lucretii.

– Nie mogę umawiać się bez jej zgody.

– Chwileczkę.

Po chwili odezwał się głęboki, tubalny głos:

– Lowell. Kim pan jest?

– Nazywam się Alex Delaware.

– Delaware, pierwszy stan, niegodne uwagi zadupie Ameryki. Francuz, Kanadyjczyk, Eskimos, Dupa Wołowa?

– O co panu chodzi?

– O nico. Mój synalek słyszał, że córeczka chciała wykorkować, z czego ma rzecz jasna wynikać, że to moja wina, itede, itepe. Pewnie niewiele się zmieniła i została tym samym zartwardziałym wypierdkiem. Ludzie się łatwo nie zmieniają, będę więc chyba mógł rozświetlić

zapyziałe mroki jej duszy. O ile nie jest pan jednym z tych maniaków bioterapii, którzy wierzą, że charakter zależy wyłącznie od poziomu serotoniny i dopaminy.

– Który z synów pana o tym powiadomił?

– Któżby inny, jeśli nie opiumista?

– Peter?

– We własnej osobie.

– Skąd dzwonił?

– Skąd mam wiedzieć? Telefon odebrała stara. I wypraszam sobie wystąpienia w imieniu Trybunału Nieszczęsnego Potomstwa. Możliwe, że z wyrzutami sumienia ma pan do czynienia na co dzień, ale mnie są one całkiem obce. Umówmy się pojutrze. Najwyżej na godzinę, chyba że mnie pan wkurzy, to rozstaniemy się o wiele wcześniej. Przyjedzie pan do mnie, boja nie lubię ruszać się z miejsca.

– Przepraszam, ale nie mogę umówić się z panem bez uzgodnienia tego z Lucy.

– Co? – zaśmiał się tak głośno, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha. – Na Nowym Olimpie rozpanoszył się burdel? Wariaci przejęli rządy w wariatkowie? Po co to panu, do kurwy nędzy?

– Tajemnica zawodowa, panie Lowell.

– Nie mamy żadnych tajemnic, mały. Takie czasy już dawno minęły. Książki ery McLuhana przelewają się od pomyj – furor loquendi – ale rzeczywiście zaglądamy jeden drugiemu do dupy... Cóż, utracił pan niepowtarzalną okazję. Saalem, jak mawiają Arabowie, do cholery z tym wszystkim.

– Gdyby Lucy się zgodziła, chciałbym jednak z panem porozmawiać. Mogę oddzwonić?

– Czy możesz? – znowu się zaśmiał. – Równie dobrze możesz wracać do przedszkola, najeść się surowych ryb albo walić konia grabiami.

Jadłem z Robin kolację na tarasie. Od przyływu plaża nabrała wyglądu bitej śmietany i w świetle zmierzchu piach pofałdowany był w szarzejące szczyty i wąwozy. Nie mogłem uwolnić się od wspomnień rozmowy z Lowellem. Zapomniał wziąć codzienną dawkę leków na uspokojenie, czy też chciał zwrócić uwagę własną głupotą? Prawdopodobnie mało kto zwracał już na niego uwagę. Po co dzwonił? Propozycja pomocy zabrzmiała niemal komicznie.

Opiumista. Przeczucie dotyczące Petera okazało się prawdą.

Możliwe, że na starość, mając za sobą lata świetności, Lowell zaczął kontemplować rumowisko swojego życia rodzinnego. Jedno dziecko nie żyje, trójka innych nie chce go znać. Narkoman, dziewczyna, która usiłowała targnąć się na swoje życie... Ken sprawiał dobre wrażenie, ale nawet nie starał się ukryć niechęci do ojca.

– O czym myślisz? – spytała Robin.

– O niczym szczególnym.

Uśmiechnęła się i położyła mi rękę na ramieniu. Spróbowałem odpędzić od siebie złe myśli i skupić się na niej. Na niebie jaśniała jeszcze smuga barwy łososiowej, koronująca zachód słońca. Jej poświata igrała w kasztanowych włosach mojej żony, od czego oczy nabierały miedzianego, kociego blasku.

– Cały czas pracujesz?

– Już robię sobie przerwę.

Przyciągnąłem ją w swoją stronę i długo się całowaliśmy. Jej język wędrował po moich ustach.

– Carpefoxum – powiedziałem.

– Co to znaczy?

– Ciesz się każdym dzieckiem.

Rozdział siedemnasty

Po nocy nie zakłócanej żadnymi złymi snami obudziłem się z myślą, że Lucy wyszła ze szpitala. Perspektywa jej samodzielności niezbyt przypadła mi do gustu. Ale gdybym nalegał, najprawdopodobniej zaczęłaby mnie unikać, więc postanowiłem dać jej czas do południa. Wcześniej chciałem poinformować Mila o przebiegu rozmowy z Doris Reingold.

Na posterunku jeszcze go nie było, nikt też nie odbierał telefonu w domu. Zadzwoniłem na numer, pod którym można było złapać go, gdy pracował na boku. Na sekretarce usłyszałem nazwę „Błękitne Śledztwo”. Zostawiłem wiadomość.

Właśnie minęła dziewiąta; Robin i Spike wyszli jakąś godzinę temu. Pojechałem na zakupy do Trancas, cały czas rozmyślając, gdzie też w okolicach autostrady mogła zniknąć młoda dziewczyna. Wróciłem do domu, gdzie zastał mnie telefon od Mila.

– Jestem u Lucy. Mógłbyś zaraz przyjechać?

– Jak ona się czuje?

– Pod względem fizycznym nic jej nie dolega, ale pogadamy na miejscu. Dam ci adres.

Mieszkała trzy przecznice na północ od Bulwaru Ventura. W okolicy nie rosły żadne drzewa, ulice były spalone słońcem, zabudowane wielkimi mieszkaniami z podziemnymi parkingami i budkami strażniczymi, które na co najmniej dwadzieścia sekund odstraszyłyby zawodowego włamywacza. Na większości mieszkań widniały ogłoszenia „Do wynajęcia” i adresy biur handlu nieruchomościami. Na mur beton zapewniali jakieś ulgi dla nowych lokatorów.

Dom Lucy był starszy i nie tak okazały: mieszkały w nim cztery rodziny. Fasada okryta była różowym tynkiem i bordowym drewnem. Dwa mieszkania na piętrze, dwa na parterze, każde wychodzące na ulicę, z osobnym wejściem, do którego prowadził specjalny chodnik. Przy skrzynce pocztowej na parterze widać było szyld, że mieszkanie jest do wynajęcia.

Mieszkała pod numerem cztery na piętrze. Sąsiednie pomieszczenia były bez lokatorów. Na wycieracze witał gości wizerunek wiewiórki. W oknach, przez które Ken dojrzał Lucy klęczącą w kuchni, spuszczone były rolety. Futryna przy zawiasach była pęknięta i zbita gwoździami – ślady uderzeń Kena, który przychodził siostrze na ratunek – ale drzwi były zamknięte na klucz. Zadzwońnięm, po czym w oknie ukazała się twarz Mila, który mi otworzył.

Część mieszkania znajdującą się bliżej ulicy zajmował pokój stołowy i jadalnia. Kuchnia przedstawiała sobą maleńką klitkę z ciemnozielonymi szafkami, białą kuchenką i zlewem, tak ciasną, że nie było się w niej jak obrócić. Wszystkie ściany pomalowane były na kremowo, dość podobnie do oddziału dla nerwowo chorych w Woodbridge.

Kuchenka była stara i niska, na dwa palniki. W jadalni, wokół stołu z imitacji dębu, stały trzy składane krzesła. W stołowym znajdowała się miękka, obszerna, niebieska kanapa i dwa dopasowane do niej krzesła, mały stolik ze szklanym blatem, telewizor i wideo na szafce na kółkach. Na odbiorniku telewizyjnym umieszczono jedyne w pokoju zdjęcie, przedstawiające Lucy i Petera. Wypełniali sobą całą fotografię. Nie sposób było powiedzieć, gdzie ją wykonano. Ona się uśmiechała, brat silił się na to samo.

Lucy siedziała na kanapie bosa, miała na sobie dżinsy i luźną bluzę z napisem „Tylko LA”. Splotła ręce i posłała w moją stronę wymuszony uśmiech. Milo stanął za jej plecami. Marynarkę powiesił na krześle, z kabury wystawał rewolwer.

– Popatrz, tylko niczego nie dotykaj – wskazał stolik.

Z jednej strony leżał stos czasopism, obok żółta kartka papieru w linię, a jeszcze dalej biała koperta. Na kartce, bliżej góry i lewego marginesu, ktoś napisał: NIECH CIĘ SZLAG TRAFI JAK UMRZE JOBE, TO NIC CI NIE POMOŻE

Pod spodem ktoś przykleił coś taśmą klejącą. Jakieś małe ciemne przedmioty, rozmia-
rów mniej więcej pestek oliwki.

– Szczurze odchody – oświecił mnie Milo. – Trzeba je posłać do analizy, chociaż na

pierwszy rzut oka widać, co to takiego.

– Przesłane pocztą, czy doręczone osobiście?

– Osobiście.

– I to do pokoju – dorzuciła Lucy. – Znalazłam to wczoraj w nocy po powrocie do domu.

– O której?

– O trzeciej. Wypuścili mnie o pierwszej, ale potem trzeba było załatwić formalności, musiałam też wrócić na salę po trochę zapomnianych rzeczy. Gdy tu przyjechałam, drzwi stały otworem, ale sądziłam, że to Ken albo któryś z pielęgniarzy zapomniał je zamknąć. – Usiłowała zachować spokój, dłonie miała zbielełe.

– Wróciłaś sama?

Skinęła głową:

– Z początku tego nie zauważyłam, bo byłam zbyt zmęczona i od razu zasnęłam, ale przebudziłam się o piątej i poszłam po szklankę wody. Wtedy to zobaczyłam.

– Kto ma klucze do mieszkania?

– Tylko ja i Peter. No, i pewnie właściciel.

– Kto to jest?

– Jakaś staruszka mieszkająca w Port Hueneme – wtrącił Milo. – Jej pomocnik naprawił framugę. Już z nim rozmawiałem i twierdzi, że po skończeniu pracy wszystko pozamykał.

– Jakiś podejrzany typ?

– Pan Gonsalvez? – spytała Lucy. – Skąd, to dusza człowiek, nawet nie umiałby tego napisać, zna ledwie parę angielskich słów.

Milo skinął na potwierdzenie głową. Lucy skuliła się w sobie.

– Czy wezwaliście specjalistów z laboratorium? – zerknąłem na Mila.

– Jeszcze nie. – Zwrócił się do Lucy: – Może niech pani się spakuje?

– Mogę się wykąpać? Wątpię, żeby ktokolwiek zaglądał do łazienki.

– Nie ma sprawy.

Wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i po chwili naszych uszu dobiegł szum prysznic. Milo usiadł na kanapie. Wskazał ręką puste krzesło, na którym się zaraz usadowiłem.

– Co o tym sądzisz? – zapytał ściszym głosem.

– Niezłe tempo – zacząłem. – Dopiero co zdążyła wyjść ze szpitala, a już się u niej zjawiasz. Co myślisz o hipotezie dotyczącej dłużników Petera?

– Tacy ludzie nie przebierają w środkach. Najpierw chcieli ją udusić, a teraz uciekają się do łagodniejszych metod.

– Może chcieli zrobić jej krzywdę, ale jej po prostu nie zastali. Możliwe też, że dłużnicy i Peter nie mają z tym w ogóle nic wspólnego. Przecież rzeczywiście może to być ktoś związany ze Schwandtem – przypominasz sobie, jak te Bogetki groziły zemstą? Albo jakiś wariat, który dostał fioła na punkcie Lucy po tym, jak widział ją w sądzie?

– Skąd miałby wiedzieć, że nie ma jej w domu?

– Obserwował ją. Nie zapominaj, że ona nie zaślania okien – byłem spięty. – Widzisz jakieś powody, dla których należałoby wątpić w jej słowa?

– Sęk w tym, że nie. Zdążyła się już mniej więcej uspokoić, ale gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, była sparaliżowana strachem. Roztrzęsiona. Albo była naprawdę przerażona, albo jest doskonałą aktorką. Nie ma też maszyny do pisania, więc nie mogła tego tutaj napisać. A przecież tylko tak mogłaby wysmażyć taki napis między drugą a piątą w nocy. Gdzie do cholery miałyby zdobyć szczurze gówno?

– To przypomina metody Schwandta.

Zgodził się.

– Czy jeszcze coś jest nie na swoim miejscu? – zapytałem.

– Nie, już nic.

Obrzuciłem wzrokiem ascetycznie urządzone wnętrze.

– To nic w porównaniu z sypialnią – powiedział. – Pojedynczy materac na dykcie, stolik z jakichś podróbek, gołe ściany. Ubiera się starannie, ale nie ma szaf wypchanych fatalaszkami.

– Jak zakonnica.

Spojrzał na mnie gwałtownie.

– Coś cię dręczy?

– Nie ufam własnej intuicji.

Oparł brodę na dłoni. Pomiędzy pryszczami widać było kępy czarnego zarostu.

– Od kiedy tu siedzisz? – zapytałem.

– Od za dwadzieścia szósta.

A było już po jedenastej.

– Czemu nie odezwałeś się do mnie wcześniej?

– Nie chciałem zrywać cię z łóżka.

– Wolne żarty.

Zmarszczył brwi i odgarnął włosy z czoła.

– Próbowałem ją najpierw uspokoić, potem rozmawialiśmy. Powiedziałem, że jestem homo... wiem, przestrzegałeś, ale doszedłem do wniosku, że tak będzie najlepiej. Szedłem za głosem serca, a to od czasu do czasu daje dobre rezultaty.

– Jakie wywarło to na niej wrażenie?

– Jakby jej ulżyło.

– To nawet możliwe. Z dwóch powodów. Nie odrzucasz jej jako kobiety, a zarazem może spotykać się z tobą nie wdając się w zagmatwany związek seksualny.

– Nieważne... przepraszam, że się tak pośpieszyłem. Nie chciałem skrewić. Ale gdy ją obejmowałem, ona płakała. Brakowało tylko, żebym powiedział jej, że nic z tego. Myślałem...

– Miałeś rzecz jasna rację.

– Dzięki za aprobatę... a coś bardziej od serca?

– Zadzwonisz po ekipę śledczą?

– To mogłoby narobić sporo szumu. Nie będzie można utrzymać tego w tajemnicy. Prędzej czy później ktoś rzuci hasło: życie sędziego przysięgłego w sprawie człowieka Upiora wisi na włosku... Wkrótce potem dziennikarze wywęszą sensację i zaczną wywracać wszystko do góry nogami. Wezmą ją pod lupę, odkryją że się zaangażowała i próbowała odebrać sobie życie. Po co to komu?

– To woda na młyn adwokatów Schwandta – powiedziałem. – Chora psychicznie ławniczka. Znalazłyby się podstawy do anulowania wyroku.

– Szczególnie po tym morderstwie naśladowcy. Pewnie skończyłoby się na tym, że wykręciliby kota ogonem.

– Lucy ciężko zniosłaby upokorzenie.

– Ładne buty – wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Czy ta notka może mieć jakikolwiek związek ze sprawą naśladowcy Upiora? Czy Bogetki albo ktoś spośród zwolenników Schwandta wymyślił sposób na uniewinnienie go?

– Skąd mam wiedzieć? Tym babom kompletnie odbiło. Połączenie świrusa i debila, nie

ma nic gorszego.

– Rzeczywiście, polotem nie zgrzeszyli. Przecież żadna ława przysięgłych nie pozwoli Schwandtowi wyjść na wolność.

– Jasne, ale mogłyby go zobaczyć na sali rozpraw. Przypuszczam, że planują jego odbicie.

Raz jeszcze rzuciłem okiem na kartkę.

– Czy ta dwukrotna śmierć miałyby oznaczać upokorzenie i prawdziwe unicestwienie?

Wzruszył ramionami. Szum prysznicza ucichł.

– No dobra – odezwał się. – Zanim dojdziemy z tym do ładu, trzeba przede wszystkim zapewnić jej nietykalność. W najgorszym przypadku, jeśli rzeczywiście sama to spreparowała, dostanę niezłego prztyczka w nos. A gdzie mam ją ukryć? Mówi, że nie ma żadnych przyjaciół, a z rodziny pozostał jedynie on – wskazał na zdjęcie. – Aha, nawiasem mówiąc, jest narkomanem.

– Wiem, powiedział mi ich ojciec.

– Kiedy z nim rozmawiałeś?

– Wczoraj. Próbowałem się z tobą skontaktować w tej sprawie. W ogóle mamy ze sobą do pogadania, ale najpierw wymyślmy, gdzie można ukryć Lucy.

– Mógłbym umieścić ją w jakimś hotelu, ale każdy przyzwoitej klasy lokal bardzo szybko zje jej wszystkie oszczędności.

– Może zwrócić się do Kena? On zajmuje się zadłużonymi nieruchomościami. Nawet jeśli sam nie ma żadnego domu, mógłby podpowiedzieć nam, gdzie można coś taniego wynająć. Tutaj albo w Paño Alto. Może byłoby lepiej, gdyby na trochę zniknęła z miasta.

– Niezła myśl – zawtórował. – Wspominała o nim, chce podziękować mu za uratowanie życia, ale nie wie, jak to zrobić. Dziwne jest mieć brata i w ogóle nie widzieć go na oczy. Rozmawialiśmy też o naszym drogim Puku. Gryzie się tym, że on się nie odzywa.

– Martwi się, nie jest zła?

– Raczej nie. Coś mi się zdaje, że już od pewnego czasu niepokoi się z jego powodu.

– Jest o co – dorzuciłem. – Mówi o nim coś jeszcze?

– Nie, a ja nie nalegałem... Okej, możesz zadzwonić do Kena?

– Dał mi wizytówkę.

Otworzyły się drzwi od sypialni i do pokoju weszła, wycierając ręcznikiem włosy, Lucy.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – oznajmiła. – Niczego nie ruszyli.

– To dobrze – powiedział Milo, wstał i podsunął jej krzesło.

Rozdział osiemnasty

– Kolejny proces – mówiła. – Biedni rodzice Carrie i wszystkie rodziny. Naprawdę sądzicie, że mogą za tym stać te okropne kobiety?

– Nie mamy pojęcia – odparł Milo – ale one łakną uwagi jak kanie dżdżu. Dlatego chcemy po cichu ukryć cię w bezpiecznym miejscu.

– Ja... – ugryzła się w język.

– Co?

– Ta... duchówka. Zaczęłam się zastanawiać, czy naprawdę mogłam się zdobyć na... a czy sądzicie, że ktoś mógł mi to zrobić? Że mnie oszołomił? Pamięta pan, jak mówiłam, że czuję się tak, jakby mnie podtruwano?

Przytaknąłem.

– Myślałam, że to zwykłe zmęczenie – ciągnęła. – Nadmiar pracy, brak snu. Ale... czy to możliwe?

– Wszystko jest możliwe – stwierdziłem.

Oparła się brodą o kolana, które obejmowała rękami. Sprawiała wrażenie bardzo małej i kruchej.

– Róbcie, co do was należy, byleście odkryli prawdę. Mną się nie przejmujcie, ja dam sobie radę.

– Uwaga opinii publicznej pociągnęłaby za sobą nie tylko wznowienie procesu – zauważyłem. – Z dnia na dzień stałabyś się sławna, rozbierano by twoje życie na czynniki pierwsze, włącznie z trzydniowym pobytem w Woodbridge.

Na dźwięk tej nazwy aż się wzdrygnęła.

– A, ta... stuknięta przysięgła... ale jaja.

Popatrzyła na Mila.

– Sam zajmę się zdejmowaniem odcisków palców w całym mieszkaniu, obejdzie się bez ekipy śledczej. Zajmie mi to trochę czasu, ale sprawa nie wyjdzie na jaw. Zobaczmy, co da się zrobić. Czy miałaś ostatnio jakichś gości?

– Nie, nikt się nie pokazywał.

– Na kilka najbliższych dni trzeba ci będzie znaleźć jakieś lokum. Potem chcielibyśmy poprosić o pomoc Kena, który zajmuje się obrotem nieruchomościami. Zgoda?

– Nie ma sprawy. – Zwracając się do mnie: – Czy zechce nam pomóc?

– W szpitalu mówił, że chciałby się z tobą spotkać. Nie ulega oczywiście wątpliwości, że zżerają go nerwy.

– Aż strach pomyśleć o takiej perspektywie – uśmiechnęła się.

– To co nieznane, przeraża nas.

Jej uśmiech zbladł.

Zabrała się do pakowania, ja natomiast wróciłem do Malibu i zadzwoniłem do Kena. Zacząłem nagrywać się na sekretarkę, ale zaraz po usłyszeniu mojego nazwiska odezwał się on sam.

– Cześć, doktoru, co nowego?

Streściłem wydarzenia ostatnich dni.

– Ktoś się włamał?

– Lucy twierdzi, że po powrocie zastała drzwi otwarte.

– Jasna cholera. Pewnie sam je tak zostawiłem. Chciałem jak najszybciej zawieźć ją do szpitala...

– Nie, naprawiono zamek, a ślusarz mówi, że drzwi były zamknięte na klucz. A więc albo on był roztargniony, albo ktoś je wyważył.

– Po co ktoś miałby... może jakiś bandyta chciał wybadać okoliczne domostwa i wiedział, że nie ma jej w mieszkaniu. Czy coś ukradli?

– Nie, zostawili tylko kartkę. Zajmuje się tym detektyw Sturgis, ale na razie chcemy utrzymać sprawę w tajemnicy. Wolelibyśmy uniknąć rozgłosu, który tylko zaszkodziłby Lucy i spowodował wznowienie procesu Schwandta.

– Jak mogłoby jej to zaszkodzić?

– Gdyby wszystko się rozniosło, na pewno znalazłby się jakiś wścibski, który dowiedziałby się o jej trzydniowym pobycie w szpitalu.

– No, fakt, racja. Trudno wyobrazić sobie cokolwiek gorszego.

– Tymczasem próbujemy umieścić ją w jakimś ustronnym miejscu. Jej brata cały czas nie ma w mieście, może więc pan mógłby wziąć ją do siebie do Paño Alto?

– Ona nie ma nic przeciwko temu?

– Ma sporą tremę, ale wyświadczyłby jej pan ogromną przysługę.

– No to nie widzę przeszkód. Ale nie ma najmniejszej potrzeby, żeby jechała aż tutaj. Moja firma jest właścicielem wielu pustych lokali w Los Angeles. Niektóre są tanie, ale całkiem przyzwoite... Jest takie bardzo miłe miejsce w Brentwood, zresztą umeblowane. I tak miałem zamiar lecieć tam dzisiaj; chwileczkę... chyba że sądzicie, że siostra powinna wyjechać gdzieś dalej?

– Niekoniecznie – odparłem. – Zacziszne mieszkanie u nas zupełnie wystarczy.

– Jeśli jej to ulży, mogę zamieszkać tam razem z nią. Nie mogę pozwolić sobie na towarzyszenie jej bez przerwy, ale przeważnie wracałbym do domu na noc.

– Niezły pomysł. Dzięki w jej imieniu.

– Nie ma sprawy. Cieszę się, że się na coś przydam.

O wpół do czwartej zadzwonił Milo z wiadomością, że już do mnie jedzie. Zjawił się pół godziny później.

– Zameldowałem ją na swoje nazwisko w Ramadzie na Beverly Drive. – Podał mi numer pokoju i telefonu.

– Znosi to jakoś?

– Raczej tak. Zaleciłem zachowywanie wszelkich środków ostrożności, choć nie sądzę, żeby udało im się ją wyśledzić.

– Czy nadal sądzisz, że mówi prawdę?

– W stu procentach, wszystko trzyma się kupy. Jeśli kłamie, to albo jest skończoną idiotką, albo psychopatką nie do odratowania, a trudno mi uwierzyć, żebym był aż tak naiwny.

– To nie o to chodzi. Wszyscy ludzie przypominają trochę zamki do drzwi. Choćbyś miał najsolidniejszą zasuwę i tak znajdzie się klucz, którym można człowieka otworzyć.

– Co zatem sugerujesz? Że na nią lecę i daję się robić w konia?

– Dla mnie jest ona młodą kobietą która nie wie, co ma zrobić ze swoim życiem. Najpierw koszmar, teraz takie piwo. Sam mam czasem problemy z odróżnieniem prawdy od fikcji i sądzę, że jej musi przychodzić to jeszcze ciężiej.

– Odpowiedziałeś dopiero na jedno pytanie.

– Czy na nią lecisz? Określiłbym to mianem zależności uczuciowej, zresztą co ja tu będę owijał w bawełnę, na pewno lecisz. Czy to źle? Nie. Ona potrzebuje pomocy, a ty jej udzie-

lasz. Jak sam mówiłeś, w najgorszym przypadku dostaniesz porządnego prztyczka w nos. Wspominała o twoim homoseksualizmie?

– Nie, ani słowem. – Coś go gryzło.

– Co jest?

– Mówiłeś, że chcesz jeszcze o czymś pogadać?

– Teoria z Karen Best w roli głównej coraz bardziej nabiera rumieńców. Zajechałem wczoraj do Sand Dollar i tak się akurat złożyło, że obsługiwała mnie kelnerka o nazwisku Doris Reingold. Figurowała w spisie Besta – cały czas tam pracuje. Zdradziła mi, że Gwen Shea zajmowała się poszukiwaniem kelnerek i kucharek na różne nocne imprezy. Nic nie mówiła na temat Karen, a ja sam nie miałem okazji naprowadzić jej na ten tor. Ale ten Best twierdził uparcie, że Karen była w dobrych stosunkach z państwem Shea. Wynika z tego, że załatwiali jej jakąś pracę. Możliwe zatem, że obsługiwała przyjęcie w Sanktuarium.

– Dlaczego nie wpadł na to prywatny detektyw?

– Może był partaczem i nie potrafił zadawać właściwych pytań. O takich zajęciach nie mówiło się oficjalnie. Właściciel restauracji tego nie pochwalał.

– 1 tak się akurat złożyło, że to ona podeszła do twojego stolika? – Odsunął krzesło i wyciągnął nogi.

– Słowo honoru.

– A ty przypadkiem się tam zatrzymałeś?

– Piękne widoki.

– Jakby jeszcze było ci mało. – Rzucił okiem przez szklane drzwi.

– Unikałem śliskich tematów – mówiłem. – Doris uważa, że jestem miłym klientem, który daje spore napiwki. A daje to chyba do myślenia. Karen odpowiada dziewczynie ze snu Lucy, a znika dokładnie w przeddzień przyjęcia. Zorganizowanie takiej biby musiało zająć parę ładnych dni. Możliwe, że zjawiała się na miejscu nieco wcześniej. Jeśli to Shea załatwiła jej robotę, a Karen coś się stało, nietrudno się domyśleć, czemu potem unikała Besta. Na dodatek mamy Trafficanta i jego zniknięcie – wszystko staje się czymś więcej niż zwykłym zbiegiem okoliczności.

– Niech będzie, to mi daje do myślenia. – Podeszedł do okna. – Ale nie wolno nam przeoczyć faktu, że wszystko zaczęło się od jednego snu. Na dodatek cały czas nie wiemy, ile w nim prawdy.

– Zniknięcie Karen Best to fakt. Niby skąd miałyby się o nim dowiedzieć Lucy? W od-

różnieniu od przyjęcia, o tym incydencie nie było mowy w „Timesie”. Best powiedział, że wszystkie ważniejsze gazety go zignorowały.

Podał mi egzemplarz „Zakupów nad Morzem”.

– Zapłacił za ten artykuł. Gazeta zbankrutowała wkrótce potem. Nie sądzę, żeby istniał w jakichkolwiek bibliotecznych katalogach. – Gdy czytał, ja przypatrywałem się mewom.

– Jest tu napisane, że wyszła z restauracji o jedenastej wieczorem i wszelki ślad po niej zaginął. Twierdzisz więc, że całą tę noc spędziła w Sanktuarium?

– Być może spędziła upojną noc z jakimś facetem, który najpierw ją uwiódł, a potem skrzywdził.

– Trafficant?

– Gwiazda.

– No to jak? Załatwił ją w piątkową noc? Czy też zabawił się z nią w sobotę, a dopiero potem wykończył?

– We śnie Lucy widzi jakieś światła i słyszy hałas. Możliwe, że chodzi o przygotowania, ale wygląda to bardziej na samą imprezę.

– Sen, sen – powtarzał, potrząsając głową. – Załóżmy więc, że pracuje w sobotę. Daje michę setkom ludzi, a potem nikt jej nie pamięta?

– Nie wiemy, czy policja albo detektywi skojarzyli jej zaginięcie z tym przyjęciem.

– Może dlatego, że jej tam w ogóle nie było. – Wskazał wycinek. – W skali lokalnej to ważna gazeta. Można spokojnie założyć, że ktoś na wybrzeżu zetknął się z tym artykułem.

– Ukazał się pół roku po zaginięciu. Kto pamięta kelnerkę na imprezie sprzed sześciu miesięcy? Kto w blasku Lowella i innych gwiazd zwróciłby uwagę na obsługę? Warto byłoby skontaktować się z Felixem Barnardem, może zachował stare zapiski. Nie ma go jednak w książce. Przydałoby się też trochę więcej informacji o państwie Shea. Czy nie wplątali się w jakieś podejrzane interesy? Ja ze swej strony mogę ponownie odwiedzić Sand Dollar i spróbować wydobyć coś więcej z Doris Reingold. Miło byłoby też dotrzeć do mistrza kuchni, który układał menu na tę uroczystość. Do starych jadłospisów i list personelu, gdzie mogłaby znaleźć się Karen. Ten szef kuchni nazywał się Nunez i pracował w restauracji Scones.

– Nie żyje – obwieścił Milo. – Zmarł parę lat temu na AIDS.

– Znałeś go?

– Znał go Rick. Zszywał mu na pogotowiu palec. Potem kilkakrotnie odwdzięczał się nam darmowymi posiłkami. Nigdy w życiu nie widziałem takich warzyw, ale porcje były za

małe. – Zastukał delikatnie w szkło.

– Szukałeś już może w komputerze Trafficanta?

Przytaknął.

– Ani śladu. Nie zaglądałem jeszcze do spisów podatkowych. Kontaktowałeś się z wydawnictwem, w którym go drukowali?

– Nie, teraz już za późno, spróbuję jutro. Możliwe też, że nadarzy się okazja wybadania samego protektora.

Streściłem mu rozmowę z Lowellem.

– Wygląda na to, że faktycznie niezły z niego szmaciarz, tak jak mówi Lucy. Czemu za wdzięczamy tak nagły objaw zainteresowania?

– Peter zadzwonił także do niego i zawiadomił o próbie samobójstwa. Lowell sugeruje, że dręczą ją wyrzuty sumienia. Twierdzi, że ma sporo do powiedzenia na temat córki, choć zamiast troski wyczułem w jego głosie pogardę.

– Sporo do powiedzenia? Po tylu latach?

– Jest święcie przekonany, że Lucy niewiele się zmieniła. Jedyne wyjaśnienie, jakie mi się nasuwa, brzmi, że on na swój sposób stara się nawiązać z córką kontakt.

– Okazując jej pogardę?

– Mówię ci, z niego jest niezły typek. Gadka mu się nie urywa. Szczególnie podkreśla brak poczucia winy, co może równać się stwierdzeniu, że w pewnym sensie czuje się odpowiedzialny za wypadki ostatnich dni.

– Dziwne – odparł. – A więc nasz Puk dzwoni do wszystkich prócz Lucy. Coś mi tu zdecydowanie nie pasuje – jak na tym zdjęciu na telewizorze. On się uśmiecha, ale sprawia wrażenie faceta, który nie może się doczekać, kiedy będzie mógł wziąć nogi za pas i dać sobie w żyłę. Nie jest też taką pierwszą lepszą płótką. W ciągu ostatnich sześciu lat był trzykrotnie zatrzymywany za posiadanie heroiny, a dwukrotnie za jej sprzedaż. Rozrabiał jeszcze za młodu w Massachusetts i w Bostonie. Największa wpadka przytrafiła mu się trzy lata temu, gdy próbował opylić herę za trzydzieści patyków gościowi, który na jego nieszczęście okazał się gliną. Uszło mu to w końcu na sucho i sprawę zamknięto. Bronił go Gary Mandel. Obiło ci się o uszy to nazwisko?

– Nie pamiętam.

– Były prokurator, obecnie specjalizuje się w wielkich aferach narkotykowych, zgarnia naprawdę grubą kasę.

– To znaczy, że Puk ma rozległe znajomości?

– Trzydzieści patoli to nie góry złota, ale wychodzi na to, że nie jest zwykłym sobie dealerem. Jeśli zadarł z kimś bardziej wpływowym, jego błyskawiczna ucieczka staje się zrozumiała. Jak by to nie wyglądało, Lucy nie układa się najlepiej z rodziną pozostaje tylko mieć nadzieję, że Ken jest ulepiony z lepszej gliny. Kiedy spotykasz się z tatusiem?

– To wymaga zgody Lucy. A wspomnę jej o tym dopiero, gdy się trochę uspokoi.

– No dobra. – Odwrócił się w stronę morza. W pobliżu dryfowało kilka łódek. – Boże, jak tu pięknie, aż łatwo zapomnieć, na jakim żyje się świecie.

– Racja – potwierdziłem, ale myślami byłem przy chacie z bali i przerażeniu, które może ogarnąć duszę dziecka.

Nagle z zamyślenia wyrwał nas dźwięk telefonu. Podniosłem słuchawkę.

– Doktorze? Mówi Ken Lowell. Dzwonię jeszcze z Pało Alto, ale przygotowałem już mieszkanie w Brentwood. Wylatuję o siódmej, więc powinienem być na miejscu w pół do dziewiątej, najpóźniej o dziewiątej. Mam po nią przyjechać do pana, czy też będzie ona już w Brentwood?

Przekazałem pytanie Milowi.

– Niech się nie fatyguje.

– A więc do zobaczenia – powiedział Ken. Podał mi adres na Rockingham Avenue. – A jak ona się trzyma?

– Nieźle.

– To dobrze. My, Lowellowie, jesteśmy twardzi, mamy to we krwi.

Skończyliśmy rozmowę, po czym podałem Milowi adres. Raz jeszcze rzucił okiem na „Zakupy nad Morzem” i skierował się do wyjścia.

– Postaram się namierzyć tego detektywa. Pozdrów Piękną i Bestię.

– Gdzie uciekasz?

– Zrobię Lucy coś do zjedzenia, potem pojedziemy do Brentwood. Ken bardzo się przyda.

– Najwyższa pora, żeby rodzinka pokazała się z jakiejś lepszej strony.

– Fakt... Miałem zamiar być z nią tej nocy. Wynająłem nawet apartament z dwiema osobnymi sypialniami.

Rozdział dziewiętnasty

Nazajutrz nikt nie dzwonił, więc sam zatelefonowałem do domu w Brentwood. Odebrał zaspany jeszcze Ken.

– A, to pan. Długo wczoraj rozmawialiśmy. Proszę poczekać, zawołam Lucy.

– Dzień dobry, doktorze Delaware – rozległo się chwilę potem w słuchawce.

– Jak się masz?

– Nie narzekam. Dopiero wstałam. Wczoraj rozmawialiśmy z Kenem do bardzo późna. Moment... Na razie Ken... wyszedł po zakupy. Miły... nie mogę oderwać myśli od Puka, na pewno niedługo się odezwie, ale... Kilka ostatnich dni przypomina koszmar, aż nie mieści się w głowie, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

Zdobyła się na krótki, wymuszony śmiech.

– Może do mnie wpadniesz?

– Chciałabym, ale samochód stoi jeszcze przed moim mieszkaniem, muszę się najpierw zająć jego doholowaniem.

– To może ja przyjadę?

– Nie, wolałabym nie sprawiać panu więcej kłopotów.

– Żaden kłopot.

– Ależ nie, nie mogę bez przerwy czegoś od pana wymagać.

– Proszę się tym nie przejmować. Może być w południe?

– Jasne, może być. – Znowu się roześmiała. – Nie mam raczej zamiaru nigdzie wychodzić.

Zbierałem się już do wyjścia, gdy zadzwonił Sherrell Best.

– Pewnie nie odkrył pan niczego nowego, doktorze, ale...

– Nie wiem jeszcze nic pewnego, ale policja ma zamiar przesłuchać Felka Barnarda. Nie mieszka już w Malibu. Domyśla się ksiądz, gdzie on może być?

– Dlaczego chcą się z nim skontaktować?

– To taka typowa procedura śledcza.

– No tak, to zrozumiałe. Nie mam pojęcia, gdzie może teraz być. Pewnie jest już na emeryturze, w tamtych czasach był po sześćdziesiątce i przerwał działalność zaraz po przesłaniu mi raportu o wynikach dochodzenia.

– To była jego ostatnia sprawa?

– Przynajmniej tak mówił. Sądziłem, że ma dużo doświadczenia, lecz możliwe, że ktoś młodszy spisałby się znacznie lepiej. U niektórych ludzi źródło inspiracji w pewnym wieku wysycha.

Na autostradzie znalazłem się o jedenastej. Na wybrzeżu panował spokój, wzgórza porastały żółte maki. Przejeżdżając koło mola dostrzegłem wielkie, białe litery szyldu sklepu dla miłośników windsurfingu i odruchowo skręciłem w lewo. Z bliska szyld wyglądał jak wycięty z komiksu, windsurfiowiec był nad wyraz rozrośniętym człowiekiem o wielkiej głowie, z grzywą metalicznie lśniących włosów, roześmiane usta otwierały się tak szeroko, jakby miał zamiar połknąć rekina. Balansował na spienionej fali, jednocześnie na znak zadowolenia unosząc do góry napuchnięty czerwony kciuk. Biały napis był świeżo malowany, litery lśniły w słońcu.

Znalazłem miejsce na parkingu przed sklepem, obok grafitowego BMW z chromowanymi kołami. Został wyprodukowany na zamówienie, ale właściciel najwidoczniej od dłuższego już czasu go nie mył i morskie powietrze zaczęło dobierać się do lakieru. Na tablicy rejestracyjnej widniały litery SHT CRL. Na zderzaku umieszczono naklejkę NA RATUNEK WYBRZEŻA, na desce rozdzielczej leżało błękitne pozwolenie na parkowanie dla osób niepełnosprawnych.

Do sklepu prowadziła cementowa rampa z metalową balustradą. Gdy wszedłem, usłyszałem jakąś melodię na trąbkę, potem drapieżną solówkę perkusji. Sklep dzielił się na dwie części: w pierwszej znajdowały się deski, kostiumy do surfingu i inne akcesoria do uprawiania tego sportu, drugą zajmowały stroje kąpielowe, kosmetyki do opalania i plakaty, na których widnieli przeważnie mali ludzie, ujarzmiający potwornie wielkie fale, lub rozebrane niemal do rosołu przezrzałe kobiety w mikroskopijnych bikini. Resztę ścian zajmowały różne znaki firmowe: RĘKAWICE PRZY CIELE; FALA; NIEULĘKLI.

Kilka rozchichotanych nastolatek oglądało plakaty, a jakaś para w średnim wieku z fascynacją oglądała kostiumy kąpielowe z neoprenu. Za ladą stoiska z odzieżą nie było żywego ducha, za to w dziale ze sprzętem siedział przy kasie mężczyzna po czterdziestce, jedzący przyniesione w styropianowym pudełku śniadanie i coś oglądający. Nad nim powiewała różowa chorągiewka, na której krzykliwymi literami wypisane było SEKSOWNY WOSK!

– Co dla pana? – spytał nie unosząc nawet wzroku.

– Dziękuję, na razie oglądam.

Nabił coś na widelec i włożył sobie do ust. Jednocześnie zauważyłem, że w drugiej ręce trzyma jakąś sportową gazetę. Dość długie, rzednące, srebrzyste włosy zaczesywał na bok,

nie będąc jednak w stanie ukryć opalonej skóry ciemienia. Miał regularne rysy twarzy, z wyjątkiem zbyt blisko siebie osadzonych jasnobrązowych oczu. Skóra na szyi nieco mu obwisła i pofałdowała się. Oczy były przekrwione, pojawiły się pod nimi kurze łapki i mimo że był chudy – widać już było zarysy drugiego podbródka. Cytrynowa koszula polo miała rękawy do łokci. Był szeroki w barach, muskularny, a siwe włosy na rękach niemalże zakrywały przedstawiający kotwicę tatuaż.

Z kolumn popłynęło In My Room Beach Boysów. Jedna z dziewcząt położyła na ladzie stoiska z odzieżą zwinięty w rulon plakat i zaczęła grzebać po kieszeniach džinsów w poszukiwaniu pieniędzy.

– Poproszę tutaj – odezwał się mężczyzna.

Odłożył gazetę. Dziewczyna zapłaciła i wyszła razem z roześmianymi koleżankami. Mężczyzna przełknął kęs bułki, patrząc na dziewczyny, które raz po raz otwierały i zamykały szklane drzwi.

– Wyglupiają się – skomentowałem.

– Racja. Widział pan, co kupiła. Plakat z facetem, rozkładówkę z „Pretty Boya”. To gazeta dla homo, ale wydali kalendarz, który cieszył się tak ogromną popularnością, że postanowili sprzedawać poszczególne miesiące osobno – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Za naszych czasów dziewczynki były grzeczniejsze, co?

– Zależy które.

– Więc co pana tu sprowadza? – spytał z innej beczki. – Kolejne wcielenie, czy też jest pan przejazdem z Chicago?

– Kolejne wcielenie?

– Druga młodość. Powrót na deskę. Gdy pojawia się tu facet w pańskim wieku, to przeważnie przeżywa akurat nawrót dzieciństwa. Albo jest przejazdem i chce zabrać na pamiątkę kawałek Kalifornii w prezencie dla cioci.

– Szukam kąpielówek – zaśmiałem się.

Uderzył się w czoło i raz jeszcze uśmiechnął od ucha do ucha.

– Znowu spudłowałem. Dobrze przynajmniej, że nie ciągnie mnie do hazardu. Kąpielówki to tam.

Podszedłem do półki z napisem Kąpielówki i zacząłem przebierać w towarze. Moją uwagę zwróciła para obszernych czarnych kąpielówek z kwadratowym rysunkiem bernardyna i napisem „Wielki Pies”. Wywalił jęzor i miał przebiegły wyraz pyska. Najwyraźniej jakiś krewniak Spike'a. Zdjąłem majtki z półki i wziąłem je do kasy

– Fajne – stwierdził mężczyzna i wpisał zakup.

– A co kupują faceci przeżywający drugą młodość?

– Akcesoria: deskę, futerał, linki, kostium, wosk, sandały, cynk, farbkę do włosów. Robimy kostiumy na zamówienie i gościom odbija szajba na punkcie własnych rozmiarów. I na punkcie najnowszych wynalazków. Ktoś w pana wieku musiał swego czasu pływać na desce rozmiarów pnia drzewa. Ostatnim krzykiem mody jest ograniczanie wagi sprzętu.

Zaczął wymachiwać ręką jak śmigłem.

– Na nowoczesnym sprzęcie czuje się człowiek jak na hydroplanie. Wystarczy pojechać gdzieś dalej, żeby zobaczyć dzieciaki, które zachowują się jak Jezus chodzący po wodzie.

– Pan chyba też trochę pływał?

– Cały czas – uśmiechnął się szeroko i podał mi paragon. – Nie muszę wracać do młodości, bo nigdy nie minęła.

Rozległ się dźwięk trąbki. Do środka weszła ciemnowłosa kobieta.

– Chodź mi pomóc, Tom.

Była wysoka i ładna, obdarzona zgrabną wąską talią i długimi chudymi ramionami. Pod skórą można było dostrzec zarys mięśni. Miała bardzo krótkie faliste włosy, niemal czarne, i oczy do tego stopnia wyblakłe, że wydawały się pozbawione źrenic. Promienie słońca spiekły skórę jej twarzy. Nosiła krótkie różowe szorty, odsłaniające długie nogi o gładkiej skórze. Białą bluzkę bez rękawów wsadziła do spodenek.

– Już, złotko, tylko skończę z klientem – odparł mężczyzna.

Nie zareagowała ani słowem, ani uśmiechem. Usłyszałem potężny szum silnika i zobaczyłem za oknem białego forda, z którego wydobywały się kłęby dymu. Kobieta odchrząknęła.

– Proszę bardzo, niech długo służą – powiedział do mnie Tom.

Wyszedłem ze sklepu i nie śpiesząc się wróciłem do seville'a. Siedząc za kierownicą udawałem, że czegoś pilnie szukam. Po chwili Tom Shea wyszedł ze sklepu i podszedł wraz z żoną do minibusa. Siadła za kierownicą, zamknęła drzwi, a z tyłu wozu wysunął się metalowy podest. Dotknął asfaltu i usłyszałem, jak trze o jego powierzchnię. Tom otworzył tylne drzwi i nachylił się do środka, mięśnie ramion napięły się, gdy po coś sięgał. Za moment w drzwiach ukazał się wózek inwalidzki z napędem elektrycznym, w którym siedział przygarbiony chłopiec o kasztanowych włosach.

Tom sprowadził wózek po podeście. Zapuściłem silnik i powoli ruszyłem, bez przerwy

ich obserwując. Chłopiec mógł mieć zarówno dwanaście, jak i dwadzieścia lat. Miał dużą głowę, która kołysała się bezwładnie na boki, wytrzeszczone oczy, z ust wystawał język. Karłowate ciało było przypięte pasem do wózka, a mimo to przechylał się na prawo, głową nieomal dotykając ramienia. Jedną z rąk także miał przywiązaną, drugą zaś ścisnął poręcz fotela.

Z twarzy Toma zniknął uśmiech. Powiedział coś i ręka na poręczy poruszyła się. Wózek bardzo powoli zjechał na asfalt, po czym mężczyzna zamknął drzwi pojazdu. Wtedy Tom stanął za wózkiem i zaczął go pchać po cementowym podejździe do sklepu. Zgąst silnik furgonetki i z samochodu wyszła Gwen Shea, która pobiegła szybko do drzwi sklepu i otworzyła je szeroko. Gdy Tom powoli pchał wózek do środka, popatrzyłem na twarz jego syna, senną, lecz roześmianą. Szerokim, niemal żarłocznym uśmiechem. Włosy miał gęste i widać było, że na starość mogą przybrać srebrzystą barwę. Przypominał mi nie tylko ojca. Po chwili zdałem sobie sprawę, kogo jeszcze. Szeroki uśmiech. Zwycięski, rodem z komiksu. Był skarłatą wersją windsurferowca z reklamy.

Rozdział dwudziesty

Wiele lat temu w moim gabinecie w szpitalu siedziała i szlochała przez bite pół godziny matka dziecka z poważnym urazem mózgu. Oznajmiła wtedy: „Bóg mi świadkiem, że ją kocham, ale zdarzają się chwile, że wolałabym zobaczyć ją martwą”. Nigdy już nie zdarzyło jej się zapłakać w mojej obecności i gdy mijaliśmy się na korytarzu, odwracała głowę, a twarz przybierała wyraz bezsilnej wściekłości.

Taką samą minę miała Gwen Shea. Pomysł rozmowy na temat dziewczyny, która zaginęła dwadzieścia jeden lat temu, wydał mi się bezdusznym absurdem. Jakie miałem podstawy, by sądzić, że Best jest kimś więcej, niż żyjącym złudną nadzieją starcem?

Zapaliło się zielone i pomknąłem w kierunku Palisades, udając się w stronę Rockingham Avenue na spotkanie jeszcze większych złudzeń.

Trafiłem do sporego dwupiętrowego domostwa w stylu Tudorów, z rzędem róż od frontu i niskim ligustrowym żywopłotem, biegnącym wzdłuż wykładanej kostką ścieżki. Na podejździe stał biały ford taurus ze znakiem wypożyczalni. Drzwi otworzył Ken, ubrany w niebieski garnitur i trzymający w ręku pager. Miał wyglansowane buty i mokre włosy.

– Dzień dobry, akurat wychodziłem.

Wszedłem do wyłożonego parkietem holu. Na środku, na marmurowym stoliku, stał czarny wazon pełen białych kwiatów z jedwabiu. Wybita dębową boazerią klatka schodowa, wznosiła się słońcym łukiem. Na prawo i lewo wchodziło się do ciemnych pokoi o wysokich sufitach, z zaciągniętymi ciężkimi adamaszkowymi kotarami i meblami na wysoki połysk.

– Miłe gniazdko – skomentowałem.

– Właściciele czmychnęli znienacka do Europy. W lodówce zostało jedzenie, w szafach ubrania. Nie udało im się jakaś transakcja, a teraz prowadzi się za nimi poszukiwania.

– Spotkał się pan ostatnio z wieloma takimi przypadkami?

– Ostatnimi czasy zdarza się to częściej niż zwykle. Zresztą to nasza specjalność. Wy-
najdujemy ich w bankach, doprowadzamy do rehabilitacji, po czym wykorzystujemy, dlatego
też uznają nas pewnie za kapitalistyczne hieny. – Uśmiechnął się i wyciągnął z wazonu je-
dwabny kwiatek. – Studiując w Berkeley nie przypuszczałem nawet, że kiedyś będę zajmował
się takimi sprawami.

– Czym się pan wtedy interesował?

– Moja siostra Jo jeszcze w college'u specjalizowała się w archeologii i zaraziła mnie
bakcylem fascynacji starymi kośćmi. Po studiach wyjechała do Nepalu na ekspedycje i wyko-
paliska. Pojechałem jej śladem i zatrzymaliśmy się w Katmandu, na tak zwanej ulicy Świrów,
wiernej kopii Telegraph Avenue. – Potrząsnął głową i spojrzął na kwiat. – Byłem przy jej
śmierci.

– Co jej się przytrafiło?

– Pojechaliśmy na wycieczkę, była bardzo wysportowana, więc traktowała to jak naj-
zwyklejszy spacer. Nagle tupnęła nogą coś się oberwało i runęła kilkadziesiąt metrów w dół.
Zostałem daleko z tyłu. Spadając przeleciała koło mnie, lądując na półce pełnej ostrych skał.

Dotknął oczu i przycisnął palcami powieki, po chwili pogładził dłońmi kłapy marynarki.

Na piętrze otworzyły się jakieś drzwi i na schodach ukazała się Lucy.

– Cześć – przywitała się z Kenem. – Coś się stało?

– Nie, w porządku. – Uśmiechnął się i zapiął marynarkę. – Wrócę koło szóstej. Zajmę
się twoim samochodem, ktoś ci go przyprowadzi. – Kiwnął ręką na pożegnanie i już go nie
było.

– Wygląda na to, że trafiłaś w dobre ręce – zauważyłem.

– Jest bardzo miły. – Omiotła wzrokiem pokój stołowy. – Jak na kryjówkę to całkiem tu
wygodnie. Napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję.

– Może wyjdziemy? To ładny dom, ale jak na mój gust dość przygnębiający.

Z tyłu rozciągał się obszerny plac z basenem i kaskadą. Na werandzie za domem stał
stolik, krzesła i żywe doniczkowe kwiaty. Od sąsiednich domostw odgradzały nas wysokie ży-

wopłoty z kapryfolium i skalniki porośnięte bujnym grafitem. Usiedliśmy. Lucy założyła nogę na nogę i uniosła wzrok do nieba. W jej oczach malowało się zmęczenie, zbierało się jej na płacz.

– Co ci jest?

– Myślami jestem cały czas przy Puku.

Po chwili wahania oznajmiłem:

– Dzwonił do ciebie... do Lowella z wieścią, że leżysz w szpitalu. Na pewno się o ciebie martwi, ale jakieś interesy nie pozwalają mu tu wrócić.

Pochyliła się gwałtownie do przodu.

– Po co dzwonił do niego – skąd pan wie?

– Lowell dzwonił do mnie z pytaniem o twój stan. Odparłem, że muszę najpierw uzyskać pozwolenie na taką rozmowę.

– Czegoś tu nie rozumiem. Po co Puk telefonował akurat do niego?

– Wiedział, że leżysz w Woodbridge.

– Na pewno jakimś cudem się dowiedział. Sama nie wiem, co o tym sądzić.

– Odniosłem wrażenie, że Puk się z nim kontaktował.

Wpiła we mnie wzrok, po czym jakby zawstydzona opuściła głowę.

– Zdradził mi, że Puk jest narkomanem. Nie uwierzyłem mu na słowo, ale Milo potwierdził te informacje.

Otworzyła i zamknęła usta. Skrobała szklany blat stolika, aż włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Niech go szlag, jakim prawem? Dlaczego właśnie Milo się tym zajmował?

– Dla twojego dobra. I dla Puka. Nie mieliśmy pojęcia, dlaczego Peter nie może wrócić, domyślaliśmy się, że wplątał się w coś. Kiedy wpadł w nałóg?

– Nie pamiętam. Trawę zaczął palić w liceum. Jeszcze przed pójściem do college'u zażywał... coś ciężkiego. Wyrzucili go na pierwszym roku, bo policjant przyłapał go w akademiku, gdy dawał sobie w żyłę. Od tej chwili przestał się starać i włóczył się, gdzie popadło. Policja aresztowała go za włóczęgostwo, by po jakimś czasie go wypuścić. Szukał pomocy w poradniach studenckich, w państwowych klinikach, u prywatnych lekarzy, ale nic z tego nie wyszło. To choroba. – Raz jeszcze, tym razem bezdźwięcznie, przejechała palcami po blacie. – Ale mimo wszystko jest dla mnie dobry. Troszczy się o mnie. Dlatego tak mnie to dręczy. Musi mieć poważne kłopoty, bo w przeciwnym razie nigdy by mnie nie zostawił samej.

– Wszystkim mówi, że zatrzymują go sprawy zawodowe.

Popatrzyła na mnie wzrokiem śmiertelnie przerażonego zwierzęcia, zakryła twarz, po chwili ją odłoniła.

– Tak, handlował. Od czasu do czasu, gdy chciał zarobić na własny towar. Wiem, że robił źle i jestem przekonana, że on sam też o tym wie. Ale nic było innego wyjścia. Nie miał ani grosza, a ojciec dawał mu jakieś drobne. Próbowалам mu pomóc, ale przeważnie nie chciał ode mnie niczego brać – chyba że przeżywał straszliwe katusze. On naprawdę cierpi... jak on żyje w jakiejś norze nad zakładem fryzjerskim. – Obrzuciła wzrokiem starannie zaplanowane podwórko. – Nie sprzedawał towaru dzieciom, nic z tych rzeczy, tylko starym narkomanom, którzy i tak musieliby go gdzieś zdobyć... Siedzi w heroinie. Tyle mówi się dziś o koczce, ale heroina też potrafi niejednemu zrujnować życie.

Rozpląkała się. Poklepałem ją po ramieniu.

– Tyle razy proponowałem, żeby przeprowadził się do mnie. Żeby jeszcze próbował się wyleczyć. Mówił, że jest już spisany na straty i nic chce ciągnąć mnie za sobą. Nie chciał się leczyć, bo lubił dragi. Hera to jego kochanka. Ale mimo to zawsze gotów był mi pomóc. Gdy chciałem się z czegoś zwierzyć, zawsze mnie wysłuchiwał. Nawet kiedy był naćpany. Siedział naprzeciw mnie i udawał, że wszystko jest OK. Gdyby nie był w poważnych opałach, z pewnością czuwałby tu teraz u mojego boku.

– W jakich opałach?

– To przez ludzi, z którymi się zadawał. – Splotła dłonie.

– Kto to taki?

– Sęk w tym, że sama nie wiem. Usilnie starał się mnie przed nimi chronić. Gdy do niego przychodziłem, zawsze gorączkowo zbierał i chował swój sprzęt. Ostatnio nawet mnie do siebie nie zapraszał, tłumacząc się, że mógłby to być zbyt przygnębiający widok. Więc spotykaliśmy się na kawie w restauracjach. Zjawiał się na pół żywy, usiłując zachować pozory. Wiem, że sprawia na panu wrażenie jednego z wielu degeneratów, ale naprawdę cudowny z niego brat.

Pokiwałem głową, myśląc jednocześnie o kolacji Puka z Kenem. Jak też narkoman mógł zapatrywać się na spotkanie z nowo poznanym, zamożnym bratem przyrodnim? Niestety, nie zjawiał się na nim.

– Milo nie myśli chyba o skontaktowaniu się z policją w Taos? Nie chcę narażać go w jeszcze większym stopniu.

– Nie – odparłem. – Milo troszczy się przede wszystkim o ciebie.

– No, tak, to niewiarygodne, ile on dla mnie zrobił. Pan zresztą też. Teraz jeszcze Ken.
– Otarła oczy. – Możliwe, że właśnie działałam na ludzi, niczym zraniony ptak. Puk tak to kiedyś określił. W jego oczach zawsze pozostawałam istotą poranioną. Wolałabym, żeby uważał mnie za kogoś silnego.

– Jesteś silna.

Rozstawiła palce na szklanym blacie, przez który wpatrywała się badawczo w układ kostki brukowej.

– Milo mi mówił. O tym, że jest homoseksualistą. Doznałam wstrząsu. Teraz rozumiem pana położenie. Znalazł się pan między młotem a kowadłem. Przepraszam.

– Na to też nie można było nic poradzić.

– Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Taki barczysty, oschły facet... to głupie z mojej strony, ale nigdy w życiu bym nie pomyślała. Musi być mu bardzo ciężko.

– Czy coś się zmieniło w twoim stosunku do niego?

– To znaczy?

– Jakie jest twoje podejście do jego homoseksualizmu?

– Jakie podejście... Jedno wiem na pewno, że cieszę się z poznania całej prawdy. – Odwróciła wzrok.

– Tylko tyle?

– I chyba z egoistycznego punktu widzenia... jestem nieco rozczarowana. Może to i było cielece zauroczenie, ale coś takiego... nie mogę otrząsnąć się z tego uczucia. Własnych uczuć nie można ot tak, po prostu, się pozbyć.

Przytaknęłam. Wstała i zaczęła przechadzać się po tarasie.

– W chwilach zdenerwowania oboje zachowujemy się w ten właśnie sposób. Chodzimy tam i z powrotem. Odkryliśmy tę zbieżność w hotelu. Ni stąd, ni zowąd, zaczęliśmy robić to jednocześnie. Wynikło niezłe zamieszanie. – Popatrzyła na mnie. – Wie pan co? Czuję się oszukana. Ale poradzę sobie. Dobrze, że zostaliśmy przynajmniej przyjaciółmi. Proszę się nie niepokoić, może i wyglądam na zranioną, ale to tylko pierwsze wrażenie. Wynik przesiadywania przed lustrem. – Uśmiechnęła się i usiadła. – No, a teraz zajmijmy się naszym wielkim człowiekiem. Czego mu się tak raptem zachciało? O co tu chodzi?

– Nie wiem. Może chce nawiązać z tobą kontakt?

– Nie – odpaliła ze złością. – Nic z tych rzeczy. Może mi pan wierzyć, że on coś knuje. To urodzony spiskowiec. Z rozkoszą zadawał ciosy bezbronnemu już Pukowi.

– Żądał pieniędzy?

– Gdy odebrał mu dochody z funduszu powierniczego.

– Ma taką możliwość?

– Oficjalnie nie, ale takie prawo mają prawnicy, którzy pracują przy obsłudze rodzinnego funduszu powierniczego. Wystarczy jeden telefon. – Pstryknęła palcami. – Powołali się na jakiś warunek umowy. Wtedy Puk musiał się do niego zwrócić. Zaledwie kilka razy, chwycił się jak tonący brzytwy. I rzecz jasna tamten upokarzał go i zmuszał do żebrania o każdy grosz. Pouczał syna na temat odpowiedzialności finansowej, jakby zjadł na tym zęby. Lowell także utrzymuje się z funduszu powierniczego. Dziadek ze strony matki był właścicielem fabryk tekstyliów rozsianych po całym stanie Nowy Jork i New Jersey, jeszcze w epoce, gdy nie istniał podatek dochodowy. Nigdy w życiu nie kalał się pracą. Gdyby było inaczej, szybko by zbankrutował. Od wielu już lat nic mu nie wydano, nie namalował też ani jednego obrazu – uderzyła pięścią w dłoń. – Wyobraźmy sobie, że on w ogóle nie istnieje. Że nikt nie grzebał w mojej bieliźnie, nie wydzwaniał do mnie i nie odkładał bez słowa słuchawki, że nikt nie napisał tej szalonej kartki. Pożegnajmy się ze strachem i tym podobnymi bzdurami. Zarządzam ich eksmisję z mojej duszy. Nieważne, na co wygląda, ja naprawdę nie miałam zamiaru popełnić samobójstwa. Uwielbiam życie. Chcę zanurzyć się w jego potoczny nurt – w zwykłą, nudną egzystencję. To ładny dom, ale za kilka dni wynoszę się stąd.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Chcę zacząć wszystko od nowa. Nie chcę poświęcić całego życia na oglądanie się za siebie. – Znowu wstała. – Tej nocy koszmar powrócił. Ken zbudził mnie, mówiąc, że krzyczałam. Byłam cała spocona. Tak jakby ten cholerny inkubus cały czas czekał na okazję, żeby mnie dopaść i torturować. Czuję się, jakbym miała pamięć zawaaloną różnymi śmieciami. Tego też chcę się pozbyć. Ruszyć naprzód z jasną głową. Jak to zrobić?

Pogrążyłem się w myślach. Na widok mojego wahania wpadła w wyraźny popłoch.

– O co chodzi? Czy coś mi dolega? Czy stwierdzono coś w wyniku tych testów szpitalnych?

– Nie – odparłem. – Jesteś okazem zdrowia.

– No to o co chodzi?

Właściwy moment: sztuka psychoterapii. Mnie on już umknął. Zostałem wybity z rytmu. Zaczęła drapać paznokciami blat.

– Czy we śnie zaszły jakieś zmiany?

– Nie. Nie mówi mi pan całej prawdy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Doktorze Delaware, wiem, że żywi pan wobec mnie dobre zamiary, ale mam już dość życia pod ochroną.

Przed oczyma stanął mi jej obraz z głową w duchówce.

– Czasami tak trzeba.

– Nie jestem przecież wariatką... chyba że ma pan na ten temat odmienne zdanie?

– Nie.

– Więc o co chodzi? Co pan przede mną ukrywa? Cały czas się wahałem.

Wyglądała, jakby miała zaraz wyjść z siebie. Czułem się jak spadochroniarz przed pierwszym skokiem.

– Pojawiły się nowe elementy. Istnieje możliwość, że są one powiązane z twoim snem. Wolałbym ich nie zdradzać, chyba że przyrzekniesz zachować rozwagę.

– Jakie elementy?

– Czy przyrzekniesz?

– Tak, o co chodzi? – zaciskała i rozluźniała ręce, które nagle znieruchomiały. Na ustach pojawił się wymuszony uśmiech. Usiadła. Czekala jak dziecko, które nie wie, czy dostanie cukierka czy lanie.

– Nie pamiętasz żadnych spotkań z Lowellem – zacząłem – ale Ken twierdzi, że spędziłaś lato u niego w Sanktuarium. Zresztą razem z nim, Pukiem i Jo.

– Kiedy?

– Latem, w roku, w którym zainaugurowano działalność pensjonatu. Miałaś wtedy cztery lata.

– Jak on... kiedy panu o tym powiedział?

– W nocy, kiedy przywiózł cię do szpitala. Prosiłem o dyskrecję. Wołałem zachować ostrożność.

– Cztery lata? Jak to możliwe? Przecież powinnam pamiętać!

– Ciotka Kate wyszła właśnie za mąż i spędzała gdzieś miesiąc miodowy. Czy to się zgadza?

Patrzyła nieruchomym wzrokiem na trawnik. Skuliła się w sobie.

– Mimo... – zaczęła cicho – mimo wszystko nie mieści mi się w głowie, jak mogłam o czymś takim zapomnieć.

– Człowiek umie wyrzucić wspomnienia z każdego właściwie okresu życia.

– Cztery... we śnie mam wrażenie, jakbym miała mniej więcej tyle lat.

Skinąłem głową. Wyciągnęła rękę w moją stronę, potem ją zatrzymała. Twarz poszarzała niczym popiół.

– Sądzi pan, że to prawda?

– Nie mam pojęcia. Musimy to dopiero ustalić.

– Cztery lata... sama nie wiem, co o tym myśleć.

– Niektóre sekwencje koszmaru odpowiadają chyba rzeczywistości – ciągnąłem. – Owego lata urządzono wielkie przyjęcie. To może być źródło tych świateł i hałasów. Budowle w Sanktuarium składają się z bali.

Zacisnęła dłonie w pięści. Wzrok miała zimny, lecz przenikliwy.

– A reszta... tego, co widziałam?

– Nie wiem.

Zaczęła się cała trząść, więc trzymałem ją za ramiona, dopóki jej nie przeszło. W końcu zaczerpnęła tchu.

– Tylko spokojnie – upomniała się. – Poradzę sobie. Jeszcze jeden wydech.

Zamknęła oczy, rozluźniła ramiona, puściłem ją. Jeszcze kilka razy zaczerpnęła tchu i przez chwilę przyszło mi do głowy, że zapada w na poły hipnotyczny trans, którego świadkiem byłem kilka dni temu. Potem otworzyła oczy.

– Nic nie czuję. Nie przebijam wzrokiem ciemności... ale... ta dziewczyna? Jak pan sądzi? Czy ma pan jeszcze jakieś nieznanne mi informacje?

Wpatrywałem się w jej twarz. Nie drgnął ani jeden mięsień. Oczy miała nieruchome, suche, a wzrok przeszywał na wskroś.

– Mam – odpowiedziałem. – Po rozmowie z Kenem zbadaliśmy wraz z Milem przestępstwa popełnione w tamtym czasie w okolicy. Nie natrafiliśmy na żadne morderstwa czy gwałty w zblizonych okolicznościach, ale wpadliśmy na trop zaginionej wtedy dziewczyny, która nigdy się już nie odnalazła. Rzeczywiście miała długie nogi i ciemne włosy, ale wiele dziewcząt mogło odpowiadać takiemu opisowi. Nie ma sensu cieszyć się zawczasu.

– O mój Boże.

– Może okazać się, że ta sprawa nie ma dla nas absolutnie żadnego znaczenia, a zajęcie się nią może wypaczyć twoje własne wspomnienia. Dlatego też nie chciałem rzucać się na oślep na ten przypadek.

– Nie ma sprawy, ja też nie będę się w to mieszać – poprawiła fryzurę. – Co jeszcze wie pan o tej dziewczynie?

– Nazywa się Karen Best. Zaginęła w noc przed imprezą – co nie zgadza się ze snem. Ostatni raz widziano ją w Paradise Cove, ponad dwadzieścia kilometrów od Topangi. Nie mamy też żadnych dowodów na to, że w ogóle trafiła do Sanktuarium. Zgadza się tylko opis, który nie przedstawia nikogo szczególnego i nie zawiera żadnych znaków rozpoznawczych. Jak już kiedyś mówiłem, sny mogą być mieszaniną prawdy i fantazji. Miałaś cztery lata i równie dobrze mogłaś stać się świadkiem zdarzenia, którego nie mógł objąć dziecięcy umysł.

– Na przykład?

– Jakiegoś aktu seksualnego, jak zresztą sama z początku zauważyłaś. Małe dzieci podglądające seks często biorą go za akt przemocy.

– Ale te odgłosy skrobania... przez kilka ostatnich nocy były to zdecydowanie dźwięki, wydawane przez kopiące coś sztychówki. Oni ją grzebali. – Zgarbiła się i zaczęła obgryzać paznokcie.

– Lucy.

Odsunęła palec od ust.

– Nie ma obaw – uspokajała mnie. – Nie załamie się. Po prostu staram się jakoś dojść z tym do ładu.

– To się nie uda tak od razu.

Przytaknęła. Ponownie głęboko westchnęła i położyła ręce na stole, jakby przywoływała ducha podczas seansu spirytystycznego.

– Dlaczego sen powraca akurat teraz? ~ zapytała. – Kiedy już zdążyłam go zapomnieć?

– Może w wyniku przeżyć związanych z procesem – podsunąłem. – Nasłuchiwałaś się o gwałtach. Z drugiej strony być może okrzepłaś na tyle, by dać sobie z tym wreszcie radę.

– Co na to Milo? – głośno westchnęła.

– Nie wyklucza takiej możliwości, ale zachowuje dystans.

– Ale dopuszcza taką możliwość. Karen. Ma pan jej zdjęcie?

– Nie przy sobie, ale mogę kiedyś przywieźć.

– Chciałabym ją zobaczyć.

Skinąłem głową.

- Ma jakichś krewnych?
- Ojca i brata.
- Widział się pan z nimi?
- Z ojcem. Brat został na wschodzie.
- Czy ona też stamtąd pochodziła?
- Z Massachusetts.
- Z Bostonu?
- Z New Bedford.
- Znam tę miejscowość bardzo dobrze, często jeździliśmy tam z Rayem kupować kałamarze od portugalskich rybaków. Co porabiała w Los Angeles?
- Chciała zrobić karierę w filmie, a wylądowała jako kelnerka, pracując w różnych lokalach.
- Biedactwo. Co za nieszczęście... Czy rodzina wie o moim istnieniu?
- Mówiłem ojcu, że pewna osoba mgliście przypomina sobie uwiedzenie dziewczyny podobnej do jego córki.
- Jak to przyjął?
- Liczy na jakieś efekty.
- Co to za człowiek?
- Duchowny. Sympatyczny.
- Chce się ze mną widzieć?
- Gdy przyjdzie na to czas. Gdy będziemy więcej wiedzieć.
- Więc nie zaprzestał poszukiwań?
- Nie podejmuje już żadnych działań.
- No, tak, to zrozumiałe... po tylu latach. A jak zachował się zaraz po zdarzeniu?
- Prowadził intensywne poszukiwania.
- Kocha ją – wypaliła prosto z mostu. – A więc jest duchownym. Jakiego kościoła?
- Jakiś zbór zajmujący się ubogimi.
- Dobry człowiek... może będę mu mogła pomóc. Może uciekniemy się do hipnozy? Słyszałam, że to pomaga w odświeżaniu pamięci. Ze mną powinno panu pójść łatwo. I tak czasami czuję się, jakbym żyła w nieustannym transie. – Zaśmiała się nerwowo. – Gdy praco-

wałam u Raymonda, żyłam w ciągłym transie... niezła ze mnie sztuka. Tego nie wyparłam ze świadomości, nawet opowiedziałam Milowi. Rozliczyłam się. Dobierzmy się więc do mojej głowy. Chcę się pozbyć wszystkich tych śmieci, które tam zalegają.

– Hipnoza nie jest dziecinną igraszką, Lucy.

– Istnieją jakieś zagrożenia?

– Należy odpowiednio przygotować pacjenta.

– Niepokoi pana moja chwiejność psychiczna?

– Przede wszystkim przeciążenie.

– Bądźmy szczerzy. Czy uważa pan, że chciałam targnąć się na swoje życie? – Oparła się o tył krzesła, jakby chciała lepiej mi się przyjrzeć.

– Sam już nie wiem. Ken widział, jak trzymała pani głowę w piecyku.

– To prawda – przyznała. – Nie mam zamiaru zaprzeczać oczywistym faktom. Ale te telefony, bielizna, kartka – zakrawa to na paranoję, ale jest rzeczywistością. Nie położyłam na kartce tego szczurzego obrzydlistwa. Proszę powiedzieć, że mi pan wierzy.

Kiwnąłem głową.

– Może prześladowuje mnie jedna z tych wariatek albo jakiś inny postrzeleniec? Jestem nawet gotowa dopuścić możliwość, że stało się to, gdy chodziłam we śnie – tak jak wtedy, gdy obudziłam się na podłodze w kuchni. Ale z własnej woli nigdy nie chciałabym targnąć się na swoje życie. Za bardzo je cenię, a taki akt oznaczałby, że ulegam jemu. Potwierdzam jego założenie, że wszyscy jesteśmy słabi i beзуżyteczni. Tak za każdym razem powtarzał Pukowi. Że jesteśmy słabi, pozbawieni kręgosłupa, beзуżyteczni. Pospolici. Nigdy bym się nie zabijała, choćby tylko po to, żeby nie dawać mu tej satysfakcji. Czy mnie pan rozumie?

–Tak.

– Somnambulizm. – Widać było, że myślami jest nagle gdzieś daleko. – Im więcej się nad tym zastanawiam, tym potężniejsze jest we mnie przekonanie, że właśnie to leży u podstaw całego incydentu. I nie tylko jego. Zapewne obudziłam się w środku nocy i poszłam do tamtej chaty, gdzie coś zobaczyłam... jak pan wspomniał, seks i przemoc. Nie wiem, jak to wyrazić, ale czuję, że tak właśnie było... rządzi tym jakaś wewnętrzna prawidłowość. – Uśmiechnęła się i odetchnęła. – Cieszę się, że powiedział mi pan o tym wszystkim. Nie sprawię panu zawodu, nie zrobię z tych informacji złego użytku. Naprawdę pan mi dzisiaj pomógł, doktorze Delaware.

Przytaknąłem.

– Rzecz jasna nic nie pójdzie jak po maśle – podjęła. – Jeszcze się cała trzęsę. – Dotknęła brzucha. – Ale wszystko zaczyna się wreszcie układać w jedną logiczną całość. Mam takie przeczucie. – Dotknęła mego ramienia. – Proszę o dalszą pomoc. W przedostaniu się do wnętrza mojej głowy i odkryciu prawdy. Proszę pomóc mi odzyskać władzę nad sobą samą.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Powietrze przeszył, niby malutka rakietka, koliber; gdzieś dalej rozległ się wystrzał z wiatrówki. Nie odrywała ode mnie oczu.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Lucy.

– Co pan powie na hipnozę?

– Teraz?

– Jestem już chyba gotowa. Nieważne, czy da jakieś rezultaty. Chcę po prostu odwołać się do wszelkich możliwych środków. W przeciwnym razie będę tu po prostu siedzieć i pograżać się w bezsilności. Czuję się przytłoczona tyloma nowinami.

– Dlatego też wolałbym nie postępować pochopnie.

– Rozumiem. Ale gdybyśmy dzięki hipnozie osiągnęli pewną jasność, to czy nie ulżyłoby to również mnie?

– Co wiesz o hipnozie?

– Niewiele. Rzecz jasna oglądałam różne przedstawienia na jej temat w college'ale były dość głupawe: ludzie zaczynali nagle kwakać. Słyszałam też, że gdy człowiek podda się hipnozie, może mu to pomóc w odblokowaniu pamięci.

– Zgadza się, ale gdy zaczynamy wtrącać się do nieświadomości, możemy otrzymać najdziwniejsze wyniki.

– No, to dla mnie chyba nie nowina.

– Tym bardziej należy zachować czujność.

– Dobrze – przystała. – To pan jest tu siłą fachową. Zdaję sobie jednak sprawę, że wszystkie ukryte treści obciążają moją psychikę.

Obrzuciłem ją wzrokiem, starając się unikać wrażenia chłodnego lekarza, który patrzy na pacjenta przez lupę. Była rozluźniona, przygotowana na wszystko, co jej powiem. Jeszcze nigdy nie widziałem jej takiej spokojnej. I stanowczej.

Zapoznałem ją z podstawami hipnozy, stwierdzając, że nie ma w niej żadnych wielkich tajemnic i polega jedynie na głębokim uspokojeniu, połączonym z potężną koncentracją. Pa-

pacjent nie traci wtedy panowania nad sobą, lecz wykorzystuje coś, co u większości ludzi pojawia się w sposób naturalny. Właściwie każda hipnoza równa się autohipnozie i pacjent może zdobyć biegłość w tej sztuce. Nachylała się coraz bardziej w moją stronę, rozchylając wargi.

– Rozumiem – odezwała się po zakończeniu krótkiego wykładu.

Nasze palce niemal się dotykały, twarz zbliżyła do mnie na tyle, że widziałem w jej źrenicach własne odbicie. Byłem trochę niespokojny.

– Chcę pomóc drugiemu człowiekowi – oznajmiła.

– W porządku, rozpoczniemy od kilku prostych ćwiczeń na rozluźnianie mięśni. Możliwe, że na tym dzisiaj w ogóle zakończymy.

– Jak pan uważa.

Na komendę napinała i rozluźniała różne grupy mięśni, poczynając od głowy i posuwając się w dół. Zamknęła oczy i kołysała się w rytm mego głosu. Nabierałem przekonania, że w stan hipnotyczny zapadnie dość szybko. Tymczasem zasnęła. Z początku tego nie zauważyłem i nie przestawałem mówić. Po chwili dostrzegłem, jak głowa odchyła się do tyłu i otwierają się usta, z których dobywają się łagodne, ciche pochrapywania. Przestała się bujać. Tylko piersi unosiły się i opadały.

– Lucy, jeśli mnie słyszysz, unieś palec wskazujący prawej ręki.

Zero reakcji. Ująłem ją za rękę. Była bezwładna. Pokręciłem jej głowę. Nie stawiała oporu.

– Lucy?

Cisza. Gałki oczne poruszyły się gwałtownie pod powiekami, po czym znieruchomiały. Spała. Poszła po najmniejszej linii oporu. Puściłem jej rękę i umieściłem ciało tak, by nie zsunęła się z krzesła. Nie słychać już było wystrzałów z wiatrówki. Panowała wszechogarniająca cisza. Lucy chwilę jeszcze drzemała, gdy zniemacka jej ciało zaczęło dygotać i wić się. Rysy twarzy stały się zniekształcone. Zaczęła stękać. Epizodyczny REM, rodzaj snu związanego zazwyczaj z koszmarami.

Pogładziłem jej rękę, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Znowu zapadła w sen. Po chwili wszystko się powtórzyło. Po kolejnych dwóch nawrotach drgawek kazałem jej się obudzić. Zrobiła to dopiero minutę później, nie wiadomo, czy na mój rozkaz, czy sama z siebie. Wyprostowała się na krześle i otworzyła oczy. Spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem. Zamknęła oczy i zwiotczała. Ponownie zapadła w otchłań niepamięci. Próbowałem ją delikatnie obudzić. Po każdym otwarciu oczu wybałuszała je i powieki na powrót opadały.

W końcu udało mi się przywrócić jej świadomość. Mrugała wytrzeszczonymi oczyma,

przecierała je i coś mruzczała.

– O co chodzi, Lucy?

– Co się stało?

– Zasnęłaś.

– Naprawdę? – Ziewnęła.

– Spałaś niemal pół godziny.

– Mieliśmy... to miała być hipnoza, prawda? To nie był chyba żaden sen?

– Nie, rzeczywiście próbowałem wprowadzić cię w stan hipnotyczny.

– Udało się?

– Tak. Rzeczywiście poszło jak po maśle.

– Czy coś robiłam... mówiłam?

– Nie, od razu usnęłaś.

– Czuję się jak nowo narodzona. – Przeciągnęła się. – Czy zrobiłam to jak należało?

Czy powinnam była zapaść w sen?

– To było konieczne.

– I w ogóle nic nie mówiłam?

– Nie, ale jak na początek spisałaś się wyśmienicie.

– Jestem dobrą pacjentką?

– Doskonałą.

– Dobrze – uśmiechnęła się. – Pewnie lepiej będzie, jak wszystko potoczy się swoim torem... ale czuję się fantastycznie. Hipnoza bardzo mi odpowiada. Powinien wypróbować ją pan z Kenem.

– A to po co?

– Jemu też jest bardzo ciężko. Była żona cały czas mści się, ma ochotę puścić go z torbami, nie pozwala widywać się z dziećmi. Wnosi skargi i sąd nakazuje jej dopuścić go do dzieci, ale ona nie słucha.

– Kiedy się rozwiedli?

– Rok temu. Nie mówił o tym jasno, ale coś mi się zdaje, że ona miała kochanka. Troszczy się o mnie i cały czas robi dobrą minę do złej gry, ale znosi to bardzo kiepsko... nie może spać. Słyszałam, jak w nocy dwa razy schodził na dół. Wstałam dzisiaj o wpół do szó-

stej, a on już był ubrany i przegląda jakieś dokumenty.

– Najwidoczniej jest pracowity.

– Bardzo. Nieruchomościami zajął się zaraz po college'u. Rozpoczął od zera i po kolei pięł się po szczeblach kariery, ale słono za to płaci. W dyplomacie zawsze nosi buteleczkę maaloxu. – Zamilkła na chwilę. – Wzorowa rodzinka, co?

Zamknęła oczy i odchyliła głowę.

– To dziwne, ale gdy tak tu sobie rozmawiamy, zaczynają powracać jakieś urywki wspomnień... przypominam sobie, że owego lata faktycznie wysłano mnie do Kalifornii.

– Jak to powracają?

– Niczym smugi światła. Prześwitujące przez jakąś tkaninę. Trudno mi to wytłumaczyć... ale to miłe uczucie.

– Co sobie przypominasz?

– Nic konkretnego... tylko jakieś strzępki, jakbym miała coś na końcu języka. Jakby unosiły się rąbki umysłu i mogę pod nie zajrzeć, ale nie dostrzegam niczego wyraźnie – Zmarszczyła brwi, na czole pojawiły się bruzdy. – I to tyle – oznajmiła, otwierając oczy. – Ale zaczynam się przyzwyczajać do myśli, że tam byłam i coś sobie przypominam. Jakbym odkrywała dzieje swojego życia.

Przyszła mi na myśl niania, o której mówił Ken.

– Ale na dziś wystarczy.

– Kiedy moglibyśmy to powtórzyć? – zapytała.

– Może być jutro. O drugiej u mnie.

– Super.

– Zakładam, że na razie powinienem ignorować zaproszenie Lowella?

Spodziewałem się jakiejś odruchowej reakcji, gdy tymczasem Lucy przyłożyła palec do ust i zastanawiała się.

– Jedyнным uzasadnieniem rozmowy z nim mogłaby być chęć dowiedzenia się o jego planach. Może powinnam porozmawiać z nim sama.

– Co za dużo, to niezdrowo – zareplikowałem. – Jeśli chciałabyś go wybadać, mogę z nim porozmawiać i potem streścić przebieg naszego spotkania.

– Może mi pan wierzyć na słowo, że spotkanie w cztery oczy z nim to ostatnia rzecz, na jaką mogłabym mieć ochotę. Ale jeśli mianuję pana moim przedstawicielem, utwierdzi go

to w przekonaniu o mojej słabości.

– Dowiedział się, że przychodzisz do mnie na terapię. A w ogóle, po co przejmujemy się tym, co on sobie o nas myśli?

– Fakt – powiedziała. – Ale wolałabym nie mieć z nim nic wspólnego. Już lepiej wsadzić głowę do duchówki... nie, to tylko taki głupi żart.

Wróciliśmy do środka.

– Zresztą wie pan co – zaczęła – może powinnam podejść do tego nieco spokojniej. Jeśli sądzi pan, że rozmowa z nim nam pomoże, proszę to zrobić.

– Nie jestem w stanie obiecać, że to się nam przyda.

– Chciałby pan odbyć spotkanie z wielkim człowiekiem?

– Pociąga mnie myśl o zetknięciu się z człowiekiem, który wyrządza tyle złego.

– Z takim okazem naukowym?

Nie to miałem na myśli, lecz nie dawała sobie przerwać.

– Ma pan ochotę wziąć go pod lupę... nie ma sprawy. Ja ze swej strony poćwiczę techniki relaksacyjne. Przyzwyczaję się do myśli o własnej podświadomości.

Zdziwiłem się, że Robin i Spike już wrócili.

– Nie zjawili się elektrycy – obwieściła. – Zepsuł im się samochód.

– Zapewne na parkingu stadionu Dodgersów.

– Bez wątplenia. Na miejscu zostali ludzie od suchych tynków. Pomyślałam sobie, że coś porobię, a potem może pojedziemy się gdzieś zabawić.

– Zabawić? Co masz na myśli?

– Taki chiński wynalazek. Wygląda na to, że Chińczycy wymyślili właściwie wszystko – objęła mnie w pasie, przywarła twarzą do piersi. – Szczerze mówiąc cieszę się, że panowie zawalili. Ostatnio tak mało mamy dla siebie czasu.

– Skoro tak – zacząłem – to możemy gdzieś się wybrać.

– Gdzie?

– Na jakąś bezludną wyspę, gdzie nie ma telewizji i telefonów.

Poczułem uderzenie w kostkę. Spojrzałem na ziemię, skąd gapił się na nas Spike. Przechylił łeb i warczał.

– Ale jest klimatyzacja dla pieska.

Robin roześmiała się i pogłaskała Spike'a. Zaczął dyszeć, po czym przekręcił się na grzbiet i uniosł łapy w górę, ukazując nam swoje brzuszysko. Pomrukiwał z zadowolenia, gdy Robin go drapała. Czasem wszystko staje się takie proste.

Rozdział dwudziesty drugi

Wpół do dziesiątej wszystko się skomplikowało. Oglądaliśmy w telewizji jakiś stary gniot, naśmiewając się z dialogów, gdy zadzwonił Milo.

– Przyszło mi do głowy, że miałbyś ochotę spotkać się pewnym gościem. Mieszka całkiem blisko.

– Blisko mnie?

– Raczej tak. Widać stąd morze. – Podał mi nazwisko i adres w Paradise Cove.

– No nie.

– Parking dla przyczep parkingowych przy restauracji Sand Dollar.

– Jesteś na miejscu?

– W Sand Dollar... pasuje?

Robin poderwała się i krzyknęła:

– Jakiś pacjent?

– Milo – odparłem. – Umówił mnie na jedno spotkanie.

– Teraz?

Skinąłem głową.

– To jedź. Ale na wyspie nie będzie żadnych telefonów.

Droga wiodąca do zatoczki nie była oświetlona, otaczały ją tylko wzgórza i niebo. Stróżówka opustoszała, brama była otwarta. Za Sand Dollar rozciągało się morze, przypominające mocno napiętą czarną folię. Parking przed lokalem był prawie pusty, neon restauracji wisiał osamotniony w ciemnościach. Skręciłem w prawo i krótką, stromą drogą pojechałem ku parkingowi dla przyczep. Domy na kółkach przypominały metalowe ćwieki, wbite w falisty teren niczym w skórę. Na lewo widać było mały parking nad niskim i stromym zboczem. Stało tam białe porsche 928 Ricka, przy którym sam się zatrzymałem, parkując pod wyciągniętymi w stronę ziemi, ogromnymi konarami drzewa.

System numeracji przyczep sprzeciwiał się wszelkiej logice i odnalezieni adresu otrzymanego od Mila zajęło mi dłuższą chwilę. Doszedłem niemal do końca parkingu, przemierzając asfaltowe ścieżki wysadzone kamieniami i muszlami. W większości przyczep panował mrok, tylko zza kilku zasłonek sączył się niebieskawa poświata telewizora.

Pod podanym adresem znalazłem białą przyczepę marki Happy Touriste wyłożoną płytami aluminiowymi, z doczepioną do niej przybudówką, w której stał grill. Koła oplatały pędy geranium.

Drzwi otworzył Milo, zza którego pleców wychyliła się niska kobieta przy kości, po sześćdziesiątce. Jej ułożone w trwałą włosy miały brązowy odcień. W małej szerokiej twarzy tkwiły ciemne, przenikliwe oczy. Na sobie miała bluzkę z krótkim rękawem w kolorze groszku i dzinsy ze stretchu. Nie była gruba, lecz szeroka w barach. Na zwisającym z szyi łańcuszku dyndały okulary.

Milo odsunął się. Pierwsze pomieszczenie było utrzymaną w kolorze sosny kuchnią, z podłogą pokrytą brązowym linoleum i szafkami z białym blatem. Wszędzie unosił się słodkawy zapach pieczonej fasoli. Kobieta odwzajemniła się wymuszonym nieco uśmiechem.

– Pani Barnard, to doktor Delaware, nasz dyżurny psychiatra. Doktor; pani Maureen Barnard.

– Mo – dodała kobieta, wyciągając rękę na przywitanie.

– Mo była żoną Felixa Barnarda.

Kobieta skinęła ze smutkiem głową i poprowadziła nas do pokoju gościnnego. Sosnowe płyty, złociste dywany, puszysta biała kanapa w złote cętki i fotel w podobnych kolorach. Wielki odbiornik telewizyjny i małe stereo. Wszystko w nienagannym porządku.

Mo zasiadła w fotelu, ja z Milem zajęliśmy kanapę. Sufit był bardzo niski i potężna sylwetka Mila sprawiała, że pomieszczenie wydawało się jeszcze mniejsze niż w rzeczywistości. Na stoliku leżało kilkanaście numer „Reader's Digest”, gruby zwitek talonów do supermarketów i wyrzeźbiony w drewnie brodziec. U boku Mo stał ośmiokątny stół ze sklejkki, na którym leżał pilot i stał słoik z rżniętego szkła z miniaturowymi batonami: Hersheyem, 1 Godbarem, Krackelem. Położyła sobie pilota na kolanach, Milowi pod słoik. Odwijając Mr. Godbara, zagaił.

– Jak już mówiłem, to dzięki doktorowi Delaware zajęliśmy się sprawą, która doprowadziła nas do śmierci pani męża. – Zwracając się do mnie: – Barnard został zamordowany rok po zaginięciu Karen Best.

Mo Barnard wpatrywała się we mnie.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem.

– Swego czasu przeżyłam spory wstrząs, ale to było dawno. Dziwię się, że panowie wracają do tego po tylu latach, ale trzeba być przygotowanym na wszystko.

Mimo że mieszkała nad brzegiem morza, skórę miała białą i miękką wosk. Oczy były ciemne i płytko osadzone. Dotknęła pilota i spojrzała czarny ekran telewizora. Milo podał mi batony. Odwijałem Hersheya, gdy przerwał ciszę:

– Nigdy nie odkryto sprawcy zabójstwa Felixa. Zastrzelono go w pewnym motelu w La Cienaga koło Pico. Na zachód od bulwaru.

La Cienaga leżała na granicy okręgów policyjnych Willshire i zachodniego Los Angeles. Teren na zachód znajdował się w gestii Mila. Mo Barnard westchnęła, policjant się do niej uśmiechnął; można było poznać, że jest tu już od dłuższego czasu.

– To dziwne – powiedziała. – Po tylu latach. Sądziłam, że nakryli go, gdy był z dziwką i sama nie wiedziałam, czy wściekać się, czy płakać. Po pewnym czasie mu darowałam. A teraz wy mi mówicie, że mogło chodzić o coś innego. Trzeba być jednak na wszystko przygotowanym.

– To nic pewnego – przypomniał Milo.

– Wiem, ta zagadka nie zostanie prawdopodobnie nigdy rozwiązana. Mimo to szansa, że nie był tam z kurwą jest nieco pocieszająca. Nie był najgorszy... miał sporo zalet.

– Motel należał do lokali, w których pokoje wynajmuje się na godziny – poinformował mnie Milo. – Dlatego też pani Mo tak uważała.

– Takie było też stanowisko policji – zaproponowała. – Prawdą jest, że recepcjonista utrzymywał, że nie widział w towarzystwie Felixa żadnej kobiety. Mógł rzecz jasna kłamać. Felix też był kiedyś policjantem. Bardzo krótko, jeszcze w Baltimore, gdzie się urodził. Poznaliśmy się w San Bernardino. Pracował wtedy w towarzystwie ubezpieczeniowym, rozpatrywał różne roszczenia klientów. Ja pracowałam w archiwach urzędu miasta. Zwolnili go zaraz po naszym ślubie i przeprowadziliśmy się do LA.

– Czy tu też pracowała pani w urzędzie?

– Nie, zatrudniłam się jako księgowa w biurze nieruchomości Freda Shale w Pacific Palisades. I tak przez trzydzieści jeden lat. Mieszkaliśmy w Santa Monica, od strony Venice. Felix miał biuro w Malibu, ale zamieszkałam tu dopiero w tym roku. Przyczepa jest własnością siostry i szwagra, ale on ma problemy z płucami, przenieśli się więc do Cathedral City koło Palm Springs.

– Może zainteresować nas fakt – wtrącił Milo – iż Mo uważa, że rok przed morder-

stwem Felix zdobył chyba sporą sumę pieniędzy.

– Na mur beton – poprawiła go. – Zaprzeczał, ale tego nie dało się ukryć. Podejrzewałam, że ma kogoś na boku. – Zaczerwieniła się. – Szczerze mówiąc nie byłby to pierwszy raz, ale robił to przeważnie za młodu. W tamtym czasie miał sześćdziesiąt trzy lata, czyli był dziesięć lat starszy. A kiedy za niego wychodziłam, uważałam go za dorosłego. – Zachichotała i poprosiła o Krackela.

– Po czym to pani poznała? – zapytałem.

– Po pierwsze przeszedł na emeryturę. Marzył o tym od lat, ale zawsze narzekał, że nie może zebrać wystarczającej sumy pieniędzy. Zawsze czepiał się, że mogę korzystać z bezpłatnej opieki lekarskiej, bo dostaję emeryturę z San Berdoo i od Shale'a, podczas gdy on jest na swoim własnym garnuszku. I pewnego pięknego dnia ogłosił, że kabza jest wystarczająco nabita. „Jakiś spadek po bogatej cioci?” – pytałam wtedy, ale tylko się uśmiechnął, poklepał się po głowie i oznajmił, że nie ma powodów do zmartwienia i wreszcie możemy pozwolić sobie za kupno wymarzonego mieszkania w Lagunal. Tyle już lat chodziło nam po głowie mieszkanie własnościowe, ale nigdy nie starczało pieniędzy. Moglibyśmy sobie pozwolić na mieszkanie w bloku specjalnie dla emerytów, ale Felix nigdy nie uważał się za starca. Gdy stuknęła mu czterdziestka, kupił sobie szkła kontaktowe. Pewnie kombinował, jakby tu się odmłodzić, bo ja zawsze wyglądałam jak dziecko i ludzie brali mnie za jego córkę. Moje podejrzenia obudził też zakup nowego samochodu, wiśniowego Thunderbirda, model Landau z winylowym dachem – czyli ostami krzyk mody. Długo się o to sprzeczaliśmy. Dopytywałam się, jak możemy sobie na coś takiego pozwolić, on zaś kazał mi nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. – potrząsnęła głową. – Często się kłóciliśmy, ale byliśmy ze sobą trzydzieści jeden lat. Potem go zabili i okazało się, że na koncie nie ma żadnej fortuny, zaledwie nieco ponad trzy tysiące dolarów, więc przyszło mi do głowy, że wydał wszystko na ten nowy wóz. I na dupy. Samochodem jeździłam piętnaście lat, po czym wyrzuciłam go na złom.

– Czy zostawił jakieś zapiski? – spytałem.

– Chodzi panu o notatki w sprawie dochodzeń? Nie, mówiłam już panu Sturgisowi, że mąż nie był systematyczny. Wszędzie miał bałagan. Po śmierci przejrzałam jego rzeczy i odkryłam ze zdumieniem, że jest ich niezwykle mało: różne świstki papieru, pokryte bazgrołami. Pomyślałam sobie, że przy takiej pracy mógł zostawić coś kompromitującego innych. Dlatego wszystko wyrzuciłam.

– Jakimi sprawami najczęściej się zajmował?

– Takie same pytania... nie, nie ma sprawy. – Popatrzyła na Mila. – Sama nie wiem dokładnie. Felix nie rozmawiał ze mną o pracy. Prawdę mówiąc, pod koniec nie prowadził chyba

zbyt wielu śledztw. Słyszałam, że współpracował z prawnikami, ale za żadne skarby świata nie mogę przypomnieć sobie, jak się nazywali. Nie byłam tym zainteresowana, pilnowałam własnej działki. Nie jestem żadną feministką, ale przez całe życie pracowałam. Nie mieliśmy dzieci, najzwyczajniej w świecie zajmowaliśmy się swoimi sprawami. Nie chcę, żeby wyszło na to, że był jakimś olewusem. W gruncie rzeczy był miły, nie unosił głosu nawet podczas kłótni. Może mógł być... bardziej do ludzi. Wiedzą panowie, o co mi chodzi?

– Że był odludkiem.

– O właśnie. Poznaliśmy się, gdy usiłował zapłacić mi pięć dolarów za to, że nie musiałby wypełniać odpowiednich formularzy, dotyczących pewnego wypadku samochodowego i uiszczać opłaty skarbowej. Odmówiłam, a on skwitował to śmiechem... tym swoim niesamowitym śmiechem. Miałam dziewiętnaście lat i zielono w głowie. Nazajutrz zabrał mnie na randkę. Moi rodzice nie mogli na niego patrzeć. Pobraliśmy się za pół roku. Mimo wszystko nie był złym mężem.

– Więc nie wspominał nic o sprawie Karen Best?

– Ani razu. Tak między Bogiem a prawdą to niedużo ze sobą rozmawialiśmy. Inny rytm dnia. Wstawałam o szóstej i wyprowadzałam na spacer psa – mieliśmy małe pudelki – w biurze zjawiałam się o ósmej, wracałam o piątej. Felix lubił się wysypiać. Twierdził, że dużą część roboty musiał odwalać nocą, zresztą być może mówił prawdę. Rozmijaliśmy się. – Uśmiechnęła się szeroko. – Możliwe, że właśnie dzięki temu wytrzymał z sobą trzydzieści jeden lat. – Uśmiech zbladł. – Tak czy owak, jego śmierć była najgorszym ciosem, jaki spotkał mnie od czasu odejścia rodziców. Gdy pan zadzwonił – zwróciła się do Mila – wołałam o tym nie mówić. Ale nie nalegał pan, a potem dał mi nadzieję, że być może Felix nie zginął wskutek zadawania się z kurwami. To miła wiadomość.

Rozdział dwudziesty trzeci

Pokazała nam dwa zdjęcia, przedstawiające ją i Felixa, ze słowami:

– Więcej nie mam. Kiedy człowiek często przenosi się z miejsca na miejsce, nie trzyma wielu rupieci.

Na pierwszej fotografii młoda para stała na tle wymalowanej fontanny Trevi. Panna młoda była ładna i ciemnowłosa, lecz już wtedy z jej oczu wyzierała czujność. Felix niewiele przewyższał ją wzrostem: był szczupłego wzrostu, miał ulizane włosy i uszy à la Clark Gable. Drobne wąsiki też nosił na modłę sławnego aktora, choć w twarzy nie miał siły woli tamtego.

Drugie zdjęcie zostało zrobione dwa lata przed śmiercią Barnarda. Znikły gdzieś wąsy, detektyw był zgarbionym człowiekiem o pokrytej bruzdami twarzy i jawnie sztucznej peruce.

Ubrany był w szary wełniany garnitur o wąskich klapach, biały golf, w fifce zaś trzymał papierosa. Mo miała ufarbowane na blond włosy, nieco przytyła, ale mimo to cały czas można było wziąć ją za córkę mężczyzny. Na fotografii stali na jakimś podwórku, w cieniu dużego drzewa pomarańczowego.

– To nasze mieszkanie w Santa Monica – poinformowała nas. – Obecnie je wynajmuję. Żyję z emerytury i czynszu.

Milo chciał pożyczyć nowsze zdjęcie, na co bez oporów przystała. Podziękowaliśmy i wyszliśmy. Na pożegnanie powiedziała:

– Życzę powodzenia. W razie czego dajcie mi znać o wynikach śledztwa.

– Przyjemna staruszka – oceniłem, gdy wracaliśmy do samochodów.

– Zjadłem z nią kolację: fasola z frytkami i kielbasą. Myślałem, że zaraz uraczy mnie piosenkami ogniskowymi. Obejrzeliliśmy „Jeopardy”. Jest bardzo dobrze poinformowana o życiu żon prezydentów.

– Długo u niej byłeś?

– Od szóstej.

– Co za poświęcenie – cztery i pół godziny.

– Napisz podanie z prośbą o wyniesienie mnie na ołtarze.

– Skąd dowiedziałeś się o morderstwie Barnarda?

– W ubezpieczeniach państwowych mówili, że nie żyje, więc pojechałem do USC i w rejestrze zgonów odkryłem, że chodziło o zabójstwo, co – jak możesz sobie dośpiewać – było dla mnie nie lada niespodzianką. W sekcji zwłok stwierdza się, iż został w tym motelu postrzelony w tył głowy, czyli że jej informacje są prawdziwe. Pani nie ma jednak pojęcia, że miał gacie spuszczone do kostek, mimo że nic nie wskazywało na żadne akty seksualne, od dłuższego już czasu nie miał wytrysku.

– Czy ten motel to faktycznie taki straszny burdel?

– Raczej miejsce na wszelkiego rodzaju imprezy. Kiedyś patrolowałem okolicę Westside i dobrze znałem go z autopsji. Narkotyki, rozbój, różnego typu wykroczenia. Policjanci, badający tę sprawę, poczynili założenie, że Barnard był alfonsem w tarapatkach.

– Zastrzelono go – powtórzyłem. – Czy dziwka nie wybrałaby raczej noża?

– W tym fachu nie ma reguł, Alex. Niektóre dziewczyny mogłyby mu wpakować kulkę, mógł to zrobić jakiś alfons. W każdym razie wielu z tych ludzi ma broń.

– Czy ktoś słyszał odgłos wystrzału?

– Nie. Recepcjonista natrafił na zwłoki, gdy przyszedł tam posprzątać. Ani śladu nikogo.

– Głuchy czy co?

– Hałas dochodzi z ulicy, telewizor miał włączony na cały regulator, zresztą kto go wie? Nie było podstaw do przypuszczeń, że zaszło coś więcej niż zwykła pomyłka w wyborze czasu i miejsca do dmuchania dziewczynek.

– Co teraz?

– Wezwałem cię, bo morderstwo Barnarda rzuca na sprawę zaginięcia Karen Best jeszcze głębszy cień podejrzania. Na poparcie mamy też twierdzenie Mo, że mąż zdobył skądś nagle kupę forsy.

– Best mówił, że Karen była ostatnią sprawą Barnarda, który zginął w rok po jej zniknięciu. Sądzisz, że szantażował kogoś w związku ze sprawą Karen, po czym ten ktoś poczuł, że ma dość i wykończył detektywa?

– Albo on narobił sobie zbyt dużego apetytu. Nie możemy wykluczyć, że szantaż dotyczył sprawy zupełnie niezwiązanej z przypadkiem Karen. Możliwe przecież, że auto kupił sobie za zaskórniaki, które odkładał w tajemnicy przed żoną. Albo wygrał na wyścigach. Mo twierdzi, że po jego śmierci na koncie pozostały tylko trzy kawałki... ile mógł wtedy kosztować thunderbird?

– Sześć, może siedem tysięcy.

– Jeśli szantaż, to nic wielkiego. Cały czas kierujemy się zwykłymi poszlakami. Możliwe, że Barnarda zastrzelono, ponieważ jakaś dziwka faktycznie strasznie się na niego wkurzyła.

– To co teraz zrobimy?

– Poszukam jeszcze więcej informacji na jego temat. Następnym krokiem powinno być chyba dotarcie do ludzi z Sand Dollar, którzy mogli znać Karen.

Rzucił okiem w kierunku restauracji. Parking był pusty, w środku paliło się zaledwie kilka świateł.

– Szukałem Doris Reingold, ale ma parę dni wolnego. Niepokoi mnie fakt, nikt nie wspomniał Barnardowi o tym, że Karen za pośrednictwem Shea pracowała na imprezie w Sanktuarium.

– Myślisz, że ktoś kazał detektywowi zaprzestać śledztwa?

– Kto wie? Rzecz jasna pozostaje możliwość, że rzeczywiście był partaczem i nie potra-

fił zadać właściwych pytań. Albo mu powiedzieli, ale on się tym nie przejął.

– Policja w Malibu przesłuchiwała tych samych ludzi – wtrąciłem. – Jeżeli Karen pracowała na tym przyjęciu, dlaczego nie zanotowali tego w raportach?

– Może dlatego, że jej tam w ogóle nigdy nie było. Albo oni też się tym nie przejęli i nie przywiązywali do tego faktu żadnej wagi.

– Nie przywiązywali wagi do ostatniego miejsca jej pobytu?

– To, że podawała pięciuset ludziom zakąski, o niczym jeszcze nie świadczy, Alex. Możliwe, że poderwał ją któryś z gości i kłopoty zaczęły się dopiero potem. Skąd mogło komukolwiek przyjść do głowy, że cały czas znajduje się na terenie posiadłości, tyle że pod ziemią?

Doszliśmy do szczytu zbocza i odprowadziłem go do porsche. Otworzył drzwi i wyjął z kieszeni kluczyki.

– Opowiedziałem Lucy o Karen – oznajmiłem.

– Po co?

– Sam jeszcze nie wiem, czy dobrze zrobiłem, ale poszedłem za głosem serca. Do wyboru miałem albo ukrywanie przed nią informacji – co groziło zerwaniem między nami więzi – albo kompletną szczerość.

– Co ona na to?

– Z początku była w szoku. Potem ożywiła się na myśl, że sen może jednak zawierać ziarno prawdy. Za swój cel uznała dowiedzenie się jej całej.

– Super.

– Staram się trzymać rękę na pulsie. Jak dotąd zachowuje się rozsądnie. Chciała wypróbować hipnozę jako sposób docierania do ukrytych wspomnień, więc zaaplikowałem jej kilka podstawowych ćwiczeń rozluźniających. Sądziłem, że pójdzie z nią dość łatwo, z początku tak też było. A potem zasnęła, co oznacza silny opór. Zapadła w głęboki, urywany sen. Obserwowałem, jak przechodzi przez kilka jego faz. Nic dziwnego, że jest lunaticzką i ma koszmary. Wolałaby wierzyć, że właśnie we śnie przemierzyła drogę do kuchni i włożyła głowę do piecyka. Istnieje chyba taka możliwość. Sen daje jej szansę ucieczki daleko stąd. Wypiera informacje, zasypiając.

– Zmartwiła się tym, że usnęła? – spytał wyciągając z kieszeni kluczyki.

– Zbagatelizowałem to, wmawiając jej, że to normalne. Nie chciałem jej ponaglać, ale mimo wszystko zdaje się, że jej to pomogło. Była podniesiona na duchu. Oprócz koszmaru

zadręcza się także Pukiem. Dobrze wie o istnieniu nałogu, broniąc go jak chorego. Skupienie na nim pomaga jej zapomnieć o własnych kłopotach. Jakies nowe pomysły w związku z kartką?

– Nie bardzo.

– Jakies nowosci w sprawie mordercy naśladowcy?

– Ani widu, ani slychu, ale mam zamiar bliżej przyjrzeć się Bogetkom.

Wsiadł do porsche, zapuścił silnik i obniżył szybę.

– Wpadłem dzisiaj do sklepu państwa Shea – zacząłem. – Kupiłem sobie parę kąpielówek. Tak się złożyło, że nadjechała Gwen z synem, który cierpi na poważny przypadek paraliżu dziecięcego i wymaga nieustannej opieki. Tom Shea jeździ dość nowym BMW 735, żona ma zrobioną na zamówienie furgonetkę do przewozu syna. Tak Best, jak i Reingold utrzymują, że Shea mają dom nad morzem w La Costa. Już wtedy takie rzeczy kosztowały sporo szmalu. Dochodzą jeszcze wydatki na leczenie. Nie wygląda mi na to, żeby mieli dużo pieniędzy ze sklepu, ale nawet jeśli jest to dochodowe, skąd mieliby wziąć środki na jego otworzenie, z pensji kelnera i barmana? Coś mi się zdaje, że ich milczenie, tak jak Barnarda, mogło zostać sownie opłacone.

– Gwen była z pewnością bardzo przedsiębiorczą damą: pośredniczyła w załatwianiu pracy, pracowała prywatnie. Może oprócz tego zajmowała się rzeczami, o których nie mamy pojęcia?

– Mimo wszystko, od pracy na czarno do domu na plaży droga daleka. Zdobyćcie dwadzieścia jeden lat wstecz sporego kapitału na inwestycje bardzo by się przydało. Ciekawe, co robili w okresie od wyjazdu do Aspen do powrotu w rodzinne pielesze. I w ogóle, jaki był powód tego wyjazdu. Jeśli chcieli unikać Sherrella Besta, oznaczałoby to, że mieli jakies wyrzuty sumienia.

– Przekazałem wdowie po Barnardzie sporo informacji – odparł. – Malibu to cały czas niewielkie miasteczko, plotki z pewnością roznoszą się szybko. Ściany mają uszy.

– Wywabiamy ofiarę?

Złożył się jak do strzału, skierował palce w stronę przedniej szyby:

– Buum.

– Pewnie przyjdzie mi stanąć oko w oko z wielką zwierzyną – obwieściłem. – Postanowiliśmy wraz z Lucy, że powinienem pójść na spotkanie z Buckiem Lowellem.

– Gdzie? – opuścił rękę.

- W Sanktuarium.
- Tylko nie węższ w poszukiwaniu cmentarzy.
- Dobrze, tato.
- Znam cię jak zły szeląg... aha, czy sam porozmawiasz z Doris Reingold, czy mam to zrobić ja?
- Zostaw to mnie, zdążyliśmy się trochę zaprzyjaźnić. Jeżeli nie ma nic do ukrycia, może starczy kolejny spory napiwek i do czegoś się dogrzebiemy.
- Dobry wujek?
- Mam nadzieję, że ministerstwo wypłaci mi nagrodę.
- Jasne, nie widzę przeszkód. Sierżant święty Mikołaj osobiście wypłaci ci odpowiednią kwotę. Bez opodatkowania.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nazajutrz rano, czując się jak myśliwy, zadzwoniłem do Sanktuarium. Telefon odebrała ta sama kobieta co za pierwszym razem. Jeszcze nie skończyłem, gdy kazała mi chwilę poczekać.

– Spotkacie się tu jutro o pierwszej – usłyszałem po chwili. – Powiem panu, jak do nas dotrzeć, bo nie jest to łatwe.

Zapisałem sobie i skończyliśmy rozmowę. Znalazłem w sypialni książkę Terry'ego Trafficanta i zacząłem szukać nazwiska redaktora, ale nie natrafiłem na nic takiego. W wydawnictwie odebrała telefon zdezorientowana recepcjonistka.

- Nikt taki tu nie pracuje.
- To pisarz.
- Fikcja czy literatura faktu? – pytanie na miejscu.
- Faktu.
- Proszę zaczekać.

Po chwili w słuchawce rozległ się męski głos.

- Redakcja.
- Poszukuję redaktora książki Terrence'a Trafficanta.
- Kogo?
- Terrence'a Trafficanta. Autora Od głodu do wściekłości.

- Czy to jakaś nowość?
- Nie, zostało opublikowane dwadzieścia jeden lat temu.

Melodyjka.

- Dział braków, słucham.

Powtórzyłem swą prośbę.

- Takiego tytułu nie ma w spisie – oświadczyła. – Kiedy to wyszło?

- Dwadzieścia jeden lat temu.

– W takim razie z pewnością już dawno poszło na przemiał. Proszę poszukać w antykwariatach.

- Książki mi nie potrzeba, szukam jej redaktora.

Powrót do tego samego mężczyzny w redakcji, który wcale nie ucieszył się na dźwięk mego głosu.

- Nie mam pojęcia, kto to mógł być. Pracownicy zmieniają się nieustannie.

- Jak mógłbym się dowiedzieć?

- Nie wiem.

- Proszę połączyć mnie z szefem redakcji.

- Czyli z Bridget Bancroft – obwieścił, jakby miało mnie to ostatecznie odstraszyć.

- Niech będzie.

- Biuro Bridget Bancroft.

- Chciałbym z nią porozmawiać.

- W jakiej sprawie?

– Cytatów jednego z pisarzy publikowanych przez wasze wydawnictwo. Nazywam się Alex Printer i dzwonię z „Delaware Press” z Kalifornii. Chcielibyśmy zamieścić wyjątki z *Od głodu do wściekłości* Terrence'a Trafficanta w...

- W takim razie proszę zwrócić się do działu praw autorskich.

- Czy mogłaby mi pani podać nazwisko redaktora tej książki?

- Proszę powtórzyć nazwisko autora.

- Trafficant. *Od głodu do wściekłości*. Wyszła drukiem dwadzieścia jeden lat temu.

- Nie mam pojęcia. Personel nam się zmienia.

- A może pani Bancroft będzie coś o tym wiedziała?
- Wyjechała na wakacje.
- Proszę wobec tego poprosić, żeby zadzwoniła do mnie po powrocie.
- Oczywiście. Połączyć z działem praw autorskich?
- Tak, poproszę.

Głos automatycznej sekretarki. Zostawiłem kolejną wiadomość. Sława, sława.

Lucy nie spóźniła się ani chwili. Tryskała energią oczy jej błyszcząły.

– Tej nocy się wyspałam, nie miałam żadnych snów, więc dzisiaj raczej nie usnę. Aż ciarki przechodzą mnie na myśl o spaniu w cudzym łóżku, ale Ken zapewnia, że się przyzwyczaję. Dla niego to normalka.

Ni stąd, ni zowąd zacisnęła usta. Oczy zaszklily się wilgocią.

– Coś się stało?

– Nie, nic... tylko przypominałam sobie o lecie, gdy pracowałam u Raymonda. Spałam w tym łóżku. Czasami musiałam dla klientów zakładać różne rzeczy: nakładać gruby makijaż, skąpo się ubierać, nawet zakładać peruki. W ubrania wszywana była biżuteria, żeby myśleli, że są bogaczami.

Przygarbiła się i spuściła głowę. Mocno splotła ręce na piersiach.

– Mieli takie różne fantazje.

Huk oceanu. Stała w bezruchu.

– To okropne – wyszeptała. – Naprawdę okropne. Napadali na mnie dzień w dzień, godzina za godziną! Myślami błądziłam daleko, uprawiałam chyba coś w rodzaju hipnozy. Może właśnie dlatego tak łatwo mi teraz idzie.

– Odcinałaś się od tego.

Potwierdziła.

– Gdzie uciekałaś?

– Na plażę. – Roześmiała się. – Jak to się ma do karmy? Zazwyczaj mi to wychodziło. Ale czasami wracałam do rzeczywistości i ktoś na mnie leżał. Nie chciałabym już nigdy więcej w takim stopniu stracić kontroli nad własnym losem. – Wyprostowała się. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale żaden mężczyzna nie potrafi tego tak naprawdę pojąć. Na mężczyzn się tak nie napada. Zresztą może właśnie dlatego ten sen ciągle powraca. Dawno, dawno temu by-

łam świadkiem napaści na Karen, utkwiło mi to w pamięci i... – wyjęła chusteczkę – No to jak? Zaczynamy hipnozę? Przrzekam, że nie będę wariować.

– Słowo harcerza?

– Słowo.

Kazałem jej się rozluźnić i wpatrywać w morze, sam natomiast rozpocząłem wyjaśnienia na temat tego, że cofanie się w czasie nie zawsze jest skuteczne czy autentyczne. Niektórzy ludzie nie potrafią dotrzeć do wspomnień z dzieciństwa nawet w najgłębszym transie hipnotycznym. Inni z kolei wyobrażali sobie lub zupełnie zmyślali dawne zdarzenia. Kiwała głową, ogarniała ją senność. Rozpocząłem indukcję i niemal natychmiast zasnęła, zwiotczały jej ręce i nogi, a skóra nie reagowała na ukłucia szpilką. Poleciałem jej udać się do „ulubionego miejsca” i zostawiłem ją na chwilę w spokoju.

– Lucy, czy mnie słyszysz? – spytałem.

Jej twierdząca odpowiedź była ledwie słyszalna na tle szumu fal.

– Przychodzi ci to z niejakim trudem?

– Tak.

– Ale jesteś spokojna.

– Tak.

– I chcesz się ze mną porozumiewać?

– Tak.

– Mówienie kosztuje cię sporo wysiłku, bo jesteś bardzo rozluźniona. To dobrze. Możesz potwierdzać lub zaprzeczać dając znaki palcami, to pójdzie ci łatwiej. Jeśli chcesz powiedzieć „tak”, unieś palec wskazujący prawej ręki, jeśli „nie” – lewej. Rozumiesz?

Wymamrotała coś, po chwili uniół się palec wskazujący prawej ręki.

– Świetnie, możesz go na razie opuścić. Wystarczy, jak będziesz podnosiła go na ułamek sekundy. Poćwiczmy jeszcze przeczenie... o właśnie, wspaniale. Będziesz zupełnie rozluźniona, a zarazem będziesz w stanie udzielać mi odpowiedzi. Dobrze?

Palec prawej ręki uniół się i opadł.

– Chcesz przerwać stan hipnozy?

Lewa ręka.

– Chcesz kontynuować?

Prawa.

– Pamiętasz, co mówiliśmy o wracaniu w czasie?

Prawa.

– Chciałabyś wypróbować ten sposób?

Prawa.

– W porządku, weź teraz porządny oddech i jeszcze bardziej się zrelaksuj, coraz spokojniej i spokojniej, panujesz nad wszystkim, słyszysz mój głos, ale kontrolujesz swoje odczucia i spostrzeżenia. O, tak... A teraz wyobraź sobie, że znajdujesz się w pokoju z ogromnym ekranem telewizyjnym. W bardzo miłym, wygodnym pokoju. Siedzisz sobie na krześle, ekran rozpościera się przed tobą. Patrzysz na niego i czujesz zupełny spokój. Na ekranie pojawia się kalendarz z dzisiejszą datą. Taki biurowy, z przekładanymi stronami. Widzisz?

Palec prawej ręki.

– OK. Ten kalendarz jest szczególny. Każda strona odpowiada nie jednemu dniu, lecz rokowi. Pierwsza strona oznacza datę tegoroczną. Na stronie pod spodem figuruje dzisiejsza data rok temu. Patrz, jak przewracam stronę.

Przez prawą rękę przebiegł dreszcz, poruszyły się gałki oczne.

– Masz przed sobą datę dokładnie sprzed roku?

Prawa.

– A teraz przerzucam kolejną stronę.

Spazm.

– Jaka to data?

– Dwa... lata temu – wymamrotała.

– Zgadza się. Data jak dzisiaj, tyle że dwa lata temu. Zatrzymajmy się przy niej na chwilę. Zacerpnij tchu i odlicz do trzech, wtedy idź do miejsca, w którym akurat tego dnia przebywałaś. Będziesz oglądała na ekranie samą siebie niczym kogoś obcego. Nie przejmuj się tym, co zobaczysz. Rozumiesz? Super. A więc raz, dwa, trzy.

Wzięła wdech i wypuściła powietrze przez otwarte usta. Skinęła leciutko głową.

– Gdzie jesteś?

– Praca – rozległo się po chwili ciszy.

– W pracy?

Prawa ręka.

– Gdzie dokładnie?

– Biurko.

– Przy biurku. Dobrze. Powiedz mi, co tam robisz.

Na twarzy wyraz napięcia, który bardzo powoli znika.

– Simkins... Fabryka... należności.

– Księgi rachunkowe firmy Simkins? Jakaś poważna praca?

Prawa.

– A więc dużo roboty z rachunkowością. W jakim stanie są księgi?

Chwila ciszy. Zmarszczyła brwi.

– Kiepsko.

– W kiepskim.

Prawa ręka.

– Ale ty się nie przejmujesz, bo tylko oglądasz, nie bierzesz w tym udziału. – Na twarzy wyraz ulgi.

– W porządku. Chcesz sobie tam nieco popracować?

Palec lewej ręki. Uśmiech.

– Nie?

– Nuda.

– Niech będzie, przenieśmy się do następnego roku. Zaczepnij tchu, odlicz do trzech i wrócimy do naszego kalendarza na ekranie. Raz, dwa, trzy.

Krok za krokiem prowadziłem ją na wycieczkę w czasie, szerokim łukiem omijając owe lato w Bostonie. Przypomniała sobie lato, gdy miała szesnaście lat i w pustym internacie letniej szkoły grała w karty ze sprzątaczką. W wieku lat dwunastu też była samotna, czytała w pustym pokoju Jane Eyre. W miarę jak młodziła, stawała się coraz mniej napięta i coraz wyżej unosiła głos, który stawał się niepewny, zamieniając się od czasu do czasu w jąkanie. Dotarliśmy do roku, gdy miała osiem lat i przebywała w jeszcze jednej szkole z internatem. Była na wycieczce konnej z dyrektorką, choć nie mogła przypomnieć sobie innych dzieci. Ani słowa o Puku czy jakichkolwiek innych krewnych.

Kiwała mechanicznie głową. Czyżby podziwiała krajobraz? Znienacka wyczułem, że ziębnie jej ręka.

– Co się dzieje?

– Ojciec.

– Widzisz go na ekranie?

Bez słowa schwyła mnie kurczowo za dłoń. Potem uniosła palec wskazujący prawej ręki, cały czas przyciskając przy tym pozostałe palce.

– Coraz bardziej się rozluźniasz, Lucy.

Oddychała powoli, lecz już głośniejszym, bardziej chrapliwym.

– Odejdź stąd. Możesz w każdej chwili wyłączyć ten telewizor.

Jęknęła i na mgnienie oka podniosła palec lewej ręki.

– Chcesz zostać.

Prawa.

– Nie ma sprawy. Rób, co chcesz i mów mi tylko to, co sama zechcesz.

Długa chwila milczenia.

– Ojciec... mężczyźni... niosą panią. Ładna. Jak mama... ciemne... włosy. Ładna... niosą – kolejna chwila ciszy, przyspieszone tętno w szyi.

– Jeszcze jacyś inni mężczyźni? – przerwałem ciszę.

Prawa.

– Ilu?

Skupienie. Kiwa głową.

– Dwóch.

– Oprócz ojca?

Palec prawej ręki. Jeszcze zimna w dotyku. Kropelki potu spływały jej po policzkach. Nie reagowała, gdy zacząłem je ścierać.

– Tylko oglądasz – szeptałem – jesteś bezpieczna.

– Dwóch – powtórzyła.

– Jak wyglądają? – milczała. – Widzisz ich?

Prawa ręka.

– Niosą panią.

– Czy ona coś mówi?

Lewa.

– Co ma na sobie?

– Bluzkę... białą bluzkę. Spódnicę.

– Jakiego koloru?

– Białą.

– Białą bluzkę i białą spódnicę. Ma jakieś buty?

Lewa.

– Palce.

– Widzisz jej palce u nóg.

Prawa.

– Porusza nimi?

– Nie rusza – lewy palec.

– Możesz dojrzeć jej twarz?

– Ładna. Śpi.

– A więc ona śpi.

Zdezorientowana mina.

– Nie porusza.

– W ogóle się nie porusza?

Prawa.

– Sądzi się więc, że zasnęła?

– Niosą ją.

– Mężczyźni ją niosą. Czy niesie ją ojciec?

Lewa.

– Włosy... owłosione wargi.

– Niesie ją mężczyzna z owłosionymi wargami? – Przypomniałem sobie wychudzoną opatrzoną brodą twarz Terry'ego Trafficanta.

Prawa.

– Widzisz teraz tych mężczyzn?

Wydęła usta.

– Owłosione wargi... inny mężczyzna odwrócony.

– Trzeci mężczyzna stoi odwrócony. Widać tylko jego plecy?

Palec prawej ręki.

– Widzisz ubrania pozostałych?

– Ojciec. Biała... do ziemi – zmieszany wyraz twarzy.

– Do ziemi. Długa. Coś w rodzaju szaty?

Potwierdzenie.

– A ci inni?

– Ciemne... ubrania.

– Obydwaj?

Potwierdziła.

– Na dworze też... ciemno.

– Na zewnątrz jest ciemno i trudno się przebić wzrokiem. Ale widać białą szatę ojca i białą bluzkę kobiety. Pozostali dwaj mężczyźni mają na sobie ciemną odzież.

Znowu dezorientacja. Wydyma wargi.

– Cięż – ko.

– Wszystko w porządku. Widzisz wszystko co trzeba. Mów mi tylko to, na co masz ochotę.

Zmrużyła oczy, jakby starała się skoncentrować. Wyprężyła się i wyprostowała.

– Sztychówka... kopia... Owłosione wargi... ojciec trzyma panią. Owłosione Wargi i ten drugi kopia. Szybko, szybko kopia. Kopia i kopia. Kopia. Ojciec trzyma... ciężko. Mówi „Ciężko!... Pośpieszcie się do cholery!”. Zły... kładzie ją...

Potrząsnęła głową i spłynęły z niej jeszcze większe strużki potu.

– Ojciec położył kobietę na ziemi? – Ponownie otarłem jej twarz,. Potwierdzenie.

– Kopia... i kopia i kopia. „Pchnij”. Jej głos stał się tubalny. „Pchnij to, pchaj!”

– Oglądasz to, Lucy, na ekranie. Jesteś...

Wbiła mi się paznokciami w ciało. Na powrót zaczęła mówić dziecinnym głosem.

– Pani... nie ma. Nie ma! Nie ma! Nie ma!

Rozdział dwudziesty piąty

Milczała i nie reagowała, w miarę jak przewracając kartki kalendarza zmierzałem z powrotem do teraźniejszości. Zanim skończył się trans, poddałem jej kilka pohipnotycznych su-

gestii, tak by po seansie czuła się wypoczęta i zadowolona z życia oraz by mogła pamiętać wszystkie wydarzenia tamtej nocy, a mimo to pozostawać odprężona. Obudziła się z uśmiechem, ziewając.

– Nie bardzo wiem, co się działo, ale czuję się nie najgorzej.

Kazałem się jej po przeciągać i trochę pochodzić, po czym wszystko opowiedziałem.

– Trzech mężczyzn – powtórzyła.

– W pani opisie jeden z nich miał owłosione wargi.

Pocierała oprawkę okularów płetwonurka.

– Wąsy? Nic z tego nie pamiętam, ale czuję, że tak powinno być. Okruchy wspomnień, odległe, lecz rzeczywiste refleksy. Wie pan, o co mi chodzi?

– Oczywiście.

– Może mnie pan z powrotem wprowadzić w trans?

– Sadzę, że na dzisiaj już wystarczy.

– Może jutro?

– Niech będzie, ale proszę obiecać mi, że nie będzie pani wypróbowywała żadnych własnych sposobów.

– Zgoda. Aha, mógłby mi pan pokazać to zdjęcie Karen?

Przyniosłem wycinek z „Nadmorskich Zakupów”. Gdy spojrzała na fotografię, zaczęły jej latać ręce. Wzięła ode mnie tę stronę i długo się w nią wpatrywała. Czytała tekst artykułu i dłonie uspokoiły się. Ale krew odpłynęła jej z twarzy i piegi wyglądały jak punkciki języka Braille'a. Oddawszy mi wycinek, skinęła głową. Po chwili rozplakała się.

O czwartej pojechałem do Sand Dollar. Znowu zastałem na miejscu ekipę filmową, na plaży pozowała do zdjęć jakaś blondwłosa bogini z wilgotną puszką piwa w ręku. Po wejściu zauważyłem stojącą przy barze Doris Reingold. Zeszła ze stołka i przywitała się. Zaprowadziła mnie do stolika przy oknie i zapowiedziała, że zaraz wraca.

Byłem jedynym klientem. Plaża też zionęła pustką. Pomocnik kelnera przyniósł mi kawę, a ja obserwowałem, jak blondyna na dany znak się uśmiecha, poprawiając włosy i obracając się wolno jak kurczak na rożnie.

– Podoba się panu widok? – zapytała Doris, trzymająca w ręku notes.

– Niech żyje Hollywood.

– Cieszę się, że pan wrócił – zaśmiała się. – Wczesna kolacja? Przed chwilą dostaliśmy trochę świeżego halibuta z tutejszych wód.

– Nie, tylko coś przegryzę. Jakie macie ciasta?

– Momencik. – Postawiła w notesie jakiś znaczek. – Jest szarlotka, czekoladowe i orzechowe.

– Niech będzie szarlotka, a do tego lody waniliowe.

Przyniosła podwójną porcję ciasta z dwiema potężnymi gałkami lodów.

– Proszę się przysiąść.

– Dzięki. – Dotknęła swoich siwych włosów. – Marvinie chwilowo nie ma, więc chyba mi nie zaszkodzi.

Nalała sobie kawy i wsunęła się, jak za pierwszym razem, za przepierzenie. Zerknęła na blondynkę.

– Takie jak ona albo się bogacą, albo wpadają w tarapaty.

– Albo i to, i to naraz – wbiłem nóż w ciasto.

– Fakt – potwierdziła. – Jedno nie wyklucza drugiego. Ma pan dzieci?

– Nie, jestem kawalerem.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. Zna pan określenie dzieci, podawane przez kawalera? Dzieci... niewarte wzmianki.

Obydwoje się roześmieliśmy.

– A pani ma dwoje, o ile sobie przypominam?

– Dwóch synów, obydwóch już dorosłych, pracujących w wojsku w stopniu sierżanta, żonatych i dzieciatych. Ich tatuś też był wojskowym. Rozwód wzięliśmy, kiedy chłopcy byli jeszcze mali, ale jakoś się wszystko ułożyło.

– Na pewno ciężko było matce samotnie wychowującej dwójkę dzieci.

– Różnie bywało – zapaliła papierosa i popiła łykiem kawy. – Strasznie cieszę się, że jestem już babcią. Najpierw kupuje się wnuczkom, czego tylko zapragną, bawi się z nimi, ale potem w końcu zawsze jedzie się do siebie.

– Podobno.

– Tak, to fantastyczne. – Zaciągnęła się papierosem i zaczęła mieszać kawę.

– Marzą mi się własne dzieci – zacząłem.

– Nie widzę przeszkód, jest pan przecież młody.

– Trochę się boję. Tyle można zepsuć. Pracowałem swego czasu w szpitalu i napatrywałem się na ludzkie nieszczęście.

– A, tak, na każdym kroku.

– Niedawno przejeżdżałem koło sklepu surfingowego pani przyjaciółki i widziałem jej syna. Przygnębiający widok.

– I cóż pana tam zaniósł? – Przez kłęby dymu zmierzyła mnie badawczym wzrokiem.

– Potrzebne mi były kąpielówki. Akurat przejeżdżałem i przypomniałem sobie pani słowa. Miło tam u nich, ale jak przy takim obrocie można wybudować sobie dom nad morzem?

Wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie z goryczą.

– Ale i tak – ciągnąłem – to jest jeszcze dziecko. Takiego nieszczęścia nie da się za żadne skarby świata zrekompensować. Cierpi na paraliż dziecięcy?

– Coś się stało przy narodzinach – odparła, ale w jej głosie czuć już było ostrożność. – Zdaje się, że wykrzywił szyję przy wychodzeniu z łona.

– Ile ma lat?

– Szesnaście, coś koło tego. To wielkie nieszczęście, ale każdy nosi swój krzyż, jak umie, i nie ma co się nad tym rozwodzić.

Paliła i udawała, że mi się nie przygląda. Ja jadłem szarlotkę. Wypaliła połowę papierosa, odłożyła go do popielniczki i obserwowała, jak się żarzy.

– Strasznie im współczuję. Stanowią dobry przykład tego, o czym pan przed chwilą wspomniał: połączenia pieniędzy i kłopotów – odwróciła wzrok w stronę ekipy filmowej. – A czemu tak zniecka zainteresował się pan Gwen i Tomem, kochasiu?

W jej głosie nie było ani śladu poprzedniej serdeczności.

– Nic w tym szczególnego. Tak się złożyło, że o tym rozmawialiśmy

– Czyżby?

– Jasne. Coś w tym złego?

– Pan coś musi o tym wiedzieć – wpiła we mnie wzrok.

– Ja tam do nich nic nie mam – dojadłem z uśmiechem szarlotkę.

– Inspektor podatkowy? Glina?

– Pudło.

– To czym się pan zajmuje?

– Co panią napadło, Doris?

– Nie odpowiedział mi pan na pytanie.

– Jestem psychiatrą, ale o tym już była mowa. Czy Gwen i Tom mają jakieś problemy?

Schowała do kieszeni papierosy i zapalniczkę i wstała. Przycisnęła udo do krawędzi stołu i uśmiechnęła się. Dla kogoś postronnego mogła sprawiać wrażenie usługowej kelnerki.

– Zaczyna się całkiem niewinnie, a potem rozmowa tak sobie zbacza na temat Gwen i Toma. To dziwny temat jak na gadkę między facetem i kobietą.

Odwróciła się na pięcie i poszła w stronę baru. W restauracji wciąż nie było nikogo. Przełknąłem jeszcze kilka kęsów, po czym zobaczyłem, jak wychodzi z lokalu. Położyłem na stoliku parę banknotów i podążyłem jej śladem. Zmierzała w stronę zdezelowanego czerwonego camaro, który stał koło wozu ekipy telewizyjnej. Po całym parkingu biegły kable; o jeden z nich potknęła się i runęła na ziemię. Wstać pomógł jej jeden z filmowców, zaraz też zebrała się wokół reszta ekipy. Blondwłosa modelka przerwała pozowanie. Zobaczyła mnie, gdy byłem o kilka metrów od niej. Wskazała na mnie palcem i powiedziała coś, co sprawiło, że ci ludzie zaczęli spoglądać w moją stronę jak na błoto na najcenniejszym porcelanowym serwisie.

Otoczył ją ochronny wianuszek ludzkich postaci. Odwróciłem się i zacząłem iść, ale gdy dotarłem do seville'a, brakowało mi tchu. Wsiadłem do wozu. Nikt mnie nie gonił, ale wszyscy patrzyli w moją stronę. Odprowadzali mnie wzrokiem, gdy odjeżdżałem.

Rozdział dwudziesty szósty

Zadzwoiłem do pracy do Mila, opowiadając mu o najnowszych wypadkach.

– Nawet nie zdążyliśmy poruszyć tematu Karen. Skończyło się na państwie Shea i na ich dojściu do zamożności, co ją jakoś rozdrażniło.

– Zazdrosna?

– Wyczułem coś w rodzaju wrogości. Nie przejmuje się faktem, że oni mają sparaliżowane dziecko. Możliwe, że zarówno ona, jak i obydwójce Shea dostali pieniądze za milczenie w sprawie Karen, tyle że różnica między nimi polega na tym, że Shea dzięki temu dorobili się, a ona wszystko roztrwonila. Zdaję sobie sprawę, że moja hipoteza jest bardzo naciągana, ale sama mówiła, że kiedyś korzystała z pośrednictwa małżeństwa Shea. Dlaczego więc nie miałyby znaleźć się na tamtej imprezie w Sanktuarium?

– Strasznie naciągane – potwierdził – ale postaram dowiedzieć się na jej temat czegoś więcej. Ty za to omijaj Sand Dollar z daleka.

– To jeszcze nie wszystko. Odbyliśmy z Lucy seans hipnotyczny i tym razem nie natrafiłem na żaden opór. Wróciliśmy do okresu, gdy miała cztery latka i podała mi bardziej szczegółowy opis wydarzeń z koszmaru. W zabójstwo oprócz Lowella wplątanych było jeszcze dwóch mężczyzn. Jeden był cały czas odwrócony plecami; drugi miał wedle jej słów owłosione wargi, co może oznaczać na przykład wąsy. W tamtych czasach Trafficant miał wąsy i małą brodkę. Nawiasem mówiąc, masz jakieś nowe informacje na jego temat?

– Tylko tyle, że w roku swego zniknięcia przestał składać zeznania podatkowe. O ile mi wiadomo, nie trafił też do żadnych więzszych zakładów karnych. Nie zanotowano na jego koncie żadnych zabójstw, ale człowiek takiego pokroju znał się na rzeczy i umiał zacierać za sobą ślady.

– Próbowałem dowiedzieć się o nim czegoś w wydawnictwie. Zdaje się, że wszyscy jak jeden mąż o nim zapomnieli. Jak na mój gust niczego nie ukrywali, po prostu zniknął im z oczu.

– No, tak, pewnie zwiął do Algierii, może na Kubę, gdzie wysyłają mu honoraria. Tymczasem jest pilniejsza sprawa. Dziś rano popełniono kolejne zabójstwo dokonane przez naśladowcę. Próbowaliśmy opędzić się od dziennikarzy, ale z pewnością pokażą to w dzienniku o jedenastej. Ofiarą była czternastolatka o nazwisku Nicolette Verdugo. Wyszła wczoraj wieczorem ze szkoły i ślad po niej zaginął. Znaleźli ją dziś o świcie w rowie melioracyjnym w Diamond Bar.

– Czternaście lat – jęknąłem. – Jezus Maria.

– Zbiera się więc nowa ekipa, zwali się nam pewnie na głowy FBI i łatwo można się domyślić, kto będzie reprezentował Miasto Aniołów. Mówię ci, że prawdziwe piekło rozpęta się dopiero z chwilą gdy dowiedzą się o tym prawnicy Schwandta. Ale to i tak nieczysta sprawa. Powiem ci w sekrecie, że tak na Shannon, jak i na Nicolette znaleziono odchody, lecz ani śladu nasienia, podczas gdy wytrysk był dla Schwandta niezwykle istotny. Zdarzało się, że robił to kilka razy z jedną ofiarą. Nie miał wytrysku tylko w przypadku Barbary Pryor, i to tylko dlatego, że był... zbyt naćpany. Nasuwa się więc pytanie, po co ktoś miałby go imitować w najdrobniejszych szczegółach i przeoczyć coś tak ważnego?

– Może jest to ktoś, kto nie może mieć wytrysku – zasugerowałem. – Jakaś kobieta? Czy sądzisz, że za wszystkim faktycznie mogą stać Bogetki?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nie mieści mi się w głowie, jak kobiety mogą tak obchodzić się z kobietami, ale zwolenniczki Mansona umiały na przykład nieźle posługiwać się nożami i widelcami. Ale jak mamy dobrać im się do skóry? Nie ma szans na nakaz zatrzymania; możemy jedynie przeprowadzić jakieś próbne przesłuchania, ale jak każą nam iść do cho-

lery – tak jak dzisiaj będziemy musieli grzecznie im podziękować i spadać. Możemy je śledzić, ale takie paranoiczki z pewnością już dawno zagrzebały się w jakichś norach. Niezależnie od rozwoju wypadków, moje dniówki wydłużą się teraz do osiemnasto godzin. Bądź tak dobry i przypilnuj Lucy. Będzie mi dość trudno spełniać rolę anioła stróża.

– Masz na myśli jakieś konkretne kroki?

– Niech jej noga nie postanie w mieszkaniu, dopóki nie wyjaśnię sprawy tej kartki. W obecnej sytuacji wolałbym nawet przesadzać z ostrożnością. A propos, odchody pochodziły od zwierzęcia gatunku *Rattus rattus*, czyli naszego dobrego znajomego. Skoro już jesteśmy przy drobiazgach, zdołałem dowiedzieć się, że nasz drogi Puk miał parę lat temu styczność z gangiem narkotykowym z Montebello. Jakieś transakcje na małą skalę; po pewnym czasie dali mu sporą partię towaru do rozprowadzenia, ale wpadł. Wtedy zaprzestali dostaw i odtąd zaopatrywał się u detalistów we wschodnim LA.

– Kto opłacił mu adwokatów?

– Jeszcze nie wiem. Gdy tylko wróci, będę musiał wziąć go na spytki. Przekaż Lucy pozdrowienia.

– Jeszcze jedno – dorzuciłem. – Pokazałem jej zdjęcie Karen i stwierdziła zdecydowanie, że to tamta dziewczyna ze snu. Rzecz jasna, istnieje możliwość, że zmyśla albo żyje po bożym życzeniu, bo nienawidzi ojca i stawia sobie za cel dowiedzenie się prawdy. Tak czy inaczej, zareagowała raczej gwałtownie: zbladła, zaczęła krzyczeć.

– Podejrzewasz, że nie udawała?

– Od pewnego już czasu nie mam żadnych podejrzeń.

– Ja też, zwłaszcza w stosunku do niej.

– Może zdołamy znaleźć kogoś, kto był wtedy w obsłudze tamtego przyjęcia i potwierdzi nam, czy Karen tam pracowała.

– Kogoś, kogo nie przekupili? Wiesz co, Alex, im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mniej pasuje mi teza o opłacaniu milczenia świadków. Przeciw państwu Shea świadczy jedynie to, że Sherrellowi Bestowi nie podoba się wyraz ich twarzy i że w ciągu dwudziestu lat udało im się zgromadzić trochę pieniędzy. Na niekorzyść Doris przemawia jedynie jej niechęć do Shea. Jaki widzisz tu związek? Jak doszło do tego, że ta trójka i na dokładkę Felix Barnard, o czymś się dowiedzieli? Czyżby jednomyślnie zagrozili Lowellowi, Trafficantowi czy komu tam jeszcze? Jeżeli zaś istnieje jakieś powiązanie między śmiercią Barnarda a sprawą szantażu, dlaczego reszta dotąd chodzi po tym świecie?

– Przestrzegali reguł gry, podczas gdy Barnard je złamał.

– I wszystko miałyby się ciągnąć od tak dawna? I wszyscy wokół wiedzieli, że cała trójka była zamieszana w zbrodnię?

– Być może nikt nie słyszał o krwawych szczegółach. Wiedzieli jedynie, że Karen po raz ostatni widziano na przyjęciu. Być może Lowell wmówił im, że Karen przedawkowała narkotyki albo coś w tym guście?

– Po co więc miałyby ich kupować?

– Aby nie otaczać Sanktuarium nimbem złej sławy. Już samo pojawienie się tam Trafficante nie przysporzyło Lowellowi popularności. Zabójstwo Karen, popełnione przez Trafficante, to prawdziwy upadek wielkiego człowieka.

– Kto miałyby nam to wszystko wyjaśnić? Jakiś inny współlnik? Z ludzi wiedzących, że Karen była na tym przyjęciu, robi się nam spora grupka. Chcesz mnie przekonać, że nikt nie wyjawiał tajemnicy, mimo że Sherrell Best prowadził intensywne poszukiwania, rozdawał ulotki, wypytywał ludzi w sklepach?

– Może siedzieli cicho, bo wierzyli, że Karen tak naprawdę nie stało się nic złego? Może zostali poinformowani, że czmychnęła z jakimś chłopakiem i nie życzy sobie, by ktokolwiek jej szukał? Albo że Best znęcał się nad córką która odczuwała przed nim śmiertelną trwogę? Zresztą możliwe, że państwo Shea dostali pieniądze za rozsiewanie takich właśnie pogłosek? Dzięki temu stali się współwinnymi i mieli związane ręce i języki.

– Domysły – odpalił.

– Przeciągnięcie na swoją stronę młodych nie było chyba trudne. Nie wolno nam zapominać o specyfice tamtego okresu: nie wolno było ufać nikomu, komu stuknęła trzydziestka.

– Możliwe – powiedział, nie przekonany.

– Przydałoby się odnaleźć innych opłaconych ludzi – ciągnąłem. – Zwłaszcza te dwie kobiety z Sand Dollar, Andreas i Billings.

– Nie wiemy o nich nic, co gorsza, nie jestem w stanie przyrzec, że wkrótce rozpocznę jakieś systematyczne poszukiwania. Jeszcze raz proszę, żebyś nie wkraczał z Lucy na nieznane sobie terytorium. Na siebie też uważaj. I tak mam już dosyć zmartwień.

Rozdział dwudziesty siódmy

Ciepły poranek, tonący w wiosennych promieniach słońca. Seans hipnotyczny numer trzy. Wprowadzenie poszło jak po maśle i już po chwili Lucy miała cztery lata i biegła po ciemnym lesie. Ponownie widziała Owłosione Wargi i Lowella, a trzeci mężczyzna stał odwró-

cony tyłem i nie mogła powiedzieć o nim niczego konkretnego. Dopytywałem się jeszcze o wąsy.

– Czy włosy na wargach są ciemne czy blond? – Dezorientacja. – Lucy, czy Owłosione Wargi ma kasztanowe włosy?

– Nie... wiem.

– Blond... żółte?

Zmieszanie.

– Czy owłosione wargi oznaczają wąsy, czy włosy znajdują się tylko nad górną wargą? Czy też ma może brodę, włosy na całej twarzy?

– Eee – wzruszyła ramionami. – Owłosione wargi.

– Tylko tyle?

Wzruszenie ramionami.

Po seansie streściłem jej wszystko, czego się dowiedziałem.

– Tym razem nie poszło mi zbyt rewelacyjnie?

– W porządku, to nie żadne przedstawienie.

– Wiem, że wszystko siedzi właśnie tutaj – postukała się w czoło. –Dlaczego nie mogę tego wydobyć na wierzch?

– Może już niczego więcej nie pamiętasz. Widzisz wszystko, co dostrzegałaś w tamtych czasach. Oczami czterolatki. Pewnych rzeczy z pewnością nie rozumiałaś.

– Tak wiele się spodziewałam po dzisiejszym dniu. Liczyłam na wielkie postępy.

– Poczekamy, zobaczymy.

– Już wiem – odezwała się po chwili milczenia – przypomniały mi się drzewa, wśród których ją grzebali. Zauważyłam coś szczególnego, ale nie pytał pan, więc nie miałam jak; o tym opowiedzieć – zamknęła oczy. – Cały czas mam przed oczami ten obraz. Były gęste, misternie splątane.

– Misternie splątane drzewa?

Kiwnęła głową.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem – zmarszczyła brwi.

– Tylko tyle, że były misternie splątane?

– I ładne – otworzyła oczy – Miał pan zdaje się rację. W wieku czterech lat nie znałam takiego słowa, więc nie potrafiłam tego wyrazić. Ale wróciłam już do teraźniejszości i wszystko mi się przypomniało. Ładne, misternie splątane drzewa. Wie pan, o co mi chodzi?

– Wiem.

– Misternie splątane drzewa – potrząsnęła głową. – Nic więcej nie mogę na ich temat powiedzieć. Znajdzie pan dla mnie jutro czas?

– Rano?

– Wszystko jedno. Siedzę teraz w domu, czytam stare gazety i oglądam telewizję. Nie jestem przyzwyczajona do samotności w pustym, wielkim domu.

– Ken ciągle zajęty?

– Prawie bez przerwy. Mamy zamiar znaleźć dla siebie trochę wolnego w czasie weekendu, może gdzieś się wybierzemy. – Przebierała palcami obydwu rak, ocierała je o siebie. – Ten trzeci mężczyzna cały czas stoi odwrócony tyłem. Nie mogę tego wytrzymać. U drugiego zapamiętałam właściwie tylko wąsy.

Poszedłem po utwór Trafficanta, otworzyłem na końcu i pokazałem jej zdjęcie na skrzydełku.

– Nie, to na pewno nie ten. Przykro mi. On ma małe wąsiki, podczas gdy facet z koszmaru ma wielkie, czarne i gęste. – Odłożyła książkę.

– Jesteś w stanie opisać go tak, by ktoś mógł sporządzić portret pamięciowy?

Raz jeszcze przymknęła oczy i boleśnie je zmrużyła.

– Widzę go, ale trudno opisać jego cechy, tak jakbym była pod pewnym względem... upośledzona. Jakbym nie potrafiła wyrazić w słowach rezultatów działań pewnej części mojego mózgu. – Otworzyła oczy. – Przypuszczam, że bym go poznała, ale do głowy przychodzą mi jedynie wąsy. Wygląda to tak, jakbym go w ogóle nie widziała, jakby do mózgu przedostawała się jakaś sekwencja obrazów. Nie trzyma się to kupy, prawda? Jakbym sama nie mogła dojść z tym do ładu.

– Mówi się trudno.

– Ale chciałabym tam dotrzeć... dla dobra Karen.

– Istnieje możliwość, że ona nie ma nic wspólnego ze snem.

– Ależ ma – odpaliła. – Czuję to. Zdaję sobie sprawę, że sprawiam wrażenie osoby dającej się ponieść grze wyobraźni. Ale tak nie jest, nie pchałam dobrowolnie palców między drzwi. Nie ma żadnego powodu, dla którego chciałabym śnić o nim.

Pozostawiłem jej słowa bez odpowiedzi.

– Niech będzie, mówi się trudno – skwitowała. – Czy to dzisiaj pan się z nim spotyka?

– O pierwszej.

Podrapała się w kolano.

– Dręczy cię to?

– Trochę.

– Wolałabyś, żebym to odwołał?

– Nie... jestem chyba tylko trochę rozdrażniona, sama nie wiem dlaczego. To pan wchodzi w paszczę lwa, a nie ja.

Z domu wyjechałem wpół do pierwszej, z autostrady zjechałem za pomalowanymi na czerwono budynkami, gdzie gromadzono paszę dla dzikiej zwierzyny i wrzynając się w linię stromych urwisk wjechałem na drogę w kanionie Topanga. Długotrwała susza spowodowała wyginięcie większości roślin, ale fala niespotykanych o tej porze roku deszczów, która przeszła nad Kalifornią w zeszłym miesiącu, przywołała do życia trochę nieśmiałyh pąków, dzięki czemu granitowe skały pocętkowane były chwastami i dzikimi kwiatami. Na zachód pokazywały się gdzieś kępy eukaliptusów. Na prawo biegł coraz głębszy i mroczniejszy wąwóz. Przez pierwsze kilka kilometrów jedynymi śladami ludzkiej obecności były sporadyczne szopy lub opuszczone chaty. Potem na suchych, żółtawych polanach zaczęły wyrastać małe firmy: tartaki, sklepy, poczta, przybudówka z reklamą magicznych kryształów. Dalej droga rozgałęziała się na Starą Topangę i nowszą autostradę, która wiodła do doliny. Na obydwu panowała pustka.

Z początku w kanionie zatrzymywali się osadnicy i poszukiwacze złota, którzy pragnęli jedynie piękna, bogactwa i spokoju. Tym samym wartościom hołdowali nadal ich potomkowie, stąd też w okolicy panował duch niezależności.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – kiedy to odbyło się przyjęcie w Sanktuarium – kanion zalały gromady rozbawionych hippisów, zajmując jaskinie, zebrząc o jedzenie i wywołując wrogie reakcje, które były zaskoczeniem nawet dla samych tubylców. W tamtym okresie swój dom miał tutaj Gary Hinman i całe mnóstwo innych muzyków; sam Gary został zamordowany przez klan Mansonów, gdy robił nagrania w swoim domowym studio muzycznym.

Czasy hippisów bezpowrotnie minęły. Większość wybyła gdzieś daleko, część zmarła z przedawkowania wolności, paru zmieniło się w miejscowych osadników. Kanion nie zamienił

się jednak w spokojną okolicę. Zamieszkali tu artyści, pisarze i inni ludzie bez stałego zajęcia. Znałem nawet naukowców i psychoterapeutów, którym chciało się tłuc do miasta tylko po to, żeby móc wrócić tu po ciemku. Jeden z nich, zajmujący się biochemicznymi mechanizmami wściekłości, zwierzył mi się, że pewnej nocy na własnym podwórku natknął się na lwa górskiego, rozszarpującego szopa i oblizującego się ze smakiem.

– Mało nie narobiłem w portki ze strachu, mówię ci, Alex, ale za to osiągnąłem wyższy poziom rozwoju duchowego.

Skręciłem w lewo, na starą drogę. Przez parę kolejnych kilometrów otaczała mnie mroczniejsza zieleń, jechałem bowiem w cieniu sykomorów, klonów, wierzb i olch, osłaniających asfalt. „Ładne, misternie splecione drzewa”.

Co kilkadziesiąt kroków widać było domostwa, w większości skromne parterowe, otoczone dzikim winem. Z lewej strony ciągnęła się pralnia chemiczna, na tył której można było dotrzeć albo kładką, albo korzystając z tunelu stworzonego ze starych wagonów kolejowych. Na drodze nie było żadnych innych samochodów ani koni, mimo że czuć było ich odchody. Przystanąłem i zerknąłem na opis drogi przekazany mi telefonicznie przez kobietę. „Niech pan rozgląda się za prywatną drogą około pięciu kilometrów za mostem; stoi przy niej skierowany na wschód drogowskaz”.

Przejechałem powoli następne półtora kilometra. Od wschodu zboczem wzgórza biegło kilka nie zaznaczonych drogowskazami ścieżek. Wjechałem na kilka niewłaściwych dróg, zanim odnalazłem stary znak, niemal niewidoczny zza wielkiej kępy purpurowych dzwonków.

Droga – o ile w ogóle zasługiwała na takie miano – miała postać bardzo stromej piaszczystej dróżki, okolonej czarnym bzem i paprociami. Przejechałem niezwykle ostry zakręt przez coraz bardziej ciężące mi pustkowie. Drzewa miały wielkie pnie i nienaturalnie rozrosłe konary, rozciągające się za nimi chaszczce były nieprzeniknione. Roślinność była tak bujna, że co większe gałęzie szorowały o dach, z kolei miejscami trawa wyrastała na środku drogi i ocierała się o podwozie seville'a.

Niedługo uszu moich doszedł wyraźny szmer strumienia. Wreszcie wiadomo było, dlaczego mimo suszy wszystko rośnie tu tak bujnie. Drzew było tyle, co pieszych na głównej ulicy miasta. Po kilku zakrętach oczom moim ukazała się brama. Stare sekwojowe deski, a w środku gruba druciana siatka, z niezamkniętą na klucz kłódką. Wsiadłem, zdjąłem kłódkę i rozwarłem obydwie skrzydła. Były ciężkie i zardzewiałe. W rękach pozostał mi brązowy proszek.

Znowu przebyłem kilkaset metrów. Kolejna brama, identyczna jak poprzednia. Za nią stał niski masywny dom w wiejskim stylu, otoczony potężnymi sosnami, jodłami i nadmorskimi sekwojami. Dach pokryty był zieloną smołowaną dachówką ściany zrobiono z bali. Zapar-

kowałem pomiędzy czarnym jeepem cherokee i starym białym mercedesem ze składanym dachem. Przed domem stał rząd żelaznych słupów, dalej szerokie, drewniane schody prowadziły na obiegający całą budowlę taras, gdzie stało parę wiklinowych krzesel. Na krzesłach leżały pokryte pieśnią niebieskie poduszki w kwiatki. Okna okrywała warstewka szarego kurzu.

Zasiedziała, niezmacona cisza. Po chwili wiewiórka wbiegła na taras, przystanęła i pomknęła do rynny. Wszedłem po schodach i zapukałem do drzwi. Przez moment nie było słychać żadnego odzewu, potem uchyliły się i wyłoniła się zza nich jakaś kobieta lat około trzydziestu pięciu, metr sześćdziesiąt dziewięć wzrostu, z prostymi czarnymi włosami, opadającymi do ramion, z przedziałkiem i miejscami ufarbowanymi na miedzianorudy kolor. Miała owalną opaloną twarz, gładką skórę i zarys brody świadczący o zdecydowaniu. Na przylegające do ciała czarne legginsy narzuciła o wiele za luźny, jasnozielony podkoszulek. Ramiona miała brązowe i gładkie, nogi bose, oczy piwne. Przepiękna, fotogeniczna twarz: doskonale regularne, nieco za ciężkie rysy. Po parze kolczyków w każdym uchu.

– Doktor Delaware? – spytała znudzona. – Mam na imię Nova.

Ruchem ręki zaprosiła mnie do olbrzymiego pokoju stołowego, w którym ustawiono zapadające się już, obite tweedem kanapy oraz kupione na wyprzedaży stoliki i krzesła. Na prawo biegła niewygodna wąska klatka schodowa. Na zapuszczonej podłodze z desek tu i ówdzie położono sprane chodniki. Na suficie było jeszcze więcej desek i nieheblowanych belek, z każdej okrytej beżowymi stiukami ściany wychodziły po dwa obszerne okna. Sporo mebli, a mimo wszystko mnóstwo miejsca do tańczenia. Przy przeciwległej ścianie, za schodami, znajdował się zastawiony butelkami bar, najwyraźniej zaadaptowany z recepcji. Po obu jego stronach widniały drzwi.

Na ścianach umieszczono dziesiątki głów zwierząt: jeleni, łosi, lisów, niedźwiedzi, odslaniającej zęby pumy, polakierowanego pstrąga. Pod każdą zamocowano tabliczkę z opisem wymiarów. Większość egzemplarzy nadżarły mole. Jedno stworzenie było szczególnie dziwaczne: szare, grube zwierzę przypominające świnię o rysach Quasimodo i żółtych kłach, zakreślających łuk nad szyderczo uśmiechniętym pyskiem.

– Odyniec – wyjaśniła Nova, przystając przy nakrytej barwnym ponchem wersalce.

– Przystojniak.

– Czarujący.

– Czy pan Lowell jest myśliwym?

– Nie używa w każdym razie broni. – Zaśmiała się sucho. – Kupił je wraz z domem i zatrzymał. Miał zamiar powiększyć kolekcję o paru krytyków i recenzentów.

– Ale mu się chyba nie udało?

– Proszę poczekać, powiem, że pan przyjechał – nagle poważniała. – Jeśli ma pan ochotę, proszę zrobić sobie jakiegoś drinka.

Udała się w stronę drzwi po lewej stronie. Podeszedłem do baru. Na podłodze stały rzędy opróżnionych butelek. Przeważnie luksusowe trunki. Na kontuarze stało kilka kieliszków, które już od dłuższego czasu nie widziały wody. Stara lodówka pełna była mikserów. Umyłem jedną szklankę i nalałem sobie toniku, po czym z powrotem stanąłem na środku olbrzymiego pomieszczenia. Gdy zasiadłem w fotelu bujanym ze wzorzystym obiciem, uniósł się zeń tuman kurzu. Przed oczami miałem pusty stolik. Czekałem około dziesięciu minut, zanim otworzyły się drzwi.

Rozdział dwudziesty ósmy

Jego twarz ukazała się pół metra niżej, niż się spodziewałem. Siedział na wózku inwalidzkim, który popychała Nova. Sławna twarz o ostro zarysowanej szczęce, kartoflowatym nosie i czarnych oczach, ukrytych pod wydatnymi, dziś już posiwiałymi brwiami. Włosy miał siwo-czarne, opadające aż do ramion i przewiązane paskiem materiału, który obszyty był paciorkami: wyglądał niczym czcigodny wódz. Pokryta cętkami i pomarszczona skóra była szorstka jak belki pod sufitem. Obrzuciłem wzrokiem resztę ciała, wycieńczonego i niezmiernie kościstego.

Ubrany był w białą koszulę i ciemne spodnie. Wszystko było wypchane i przetarte, przez grubą wełnę spodni prześwitywały kolana. Stopy spoczywały w bamboszach. Ogromne, białe i haczykowane dłonie zwisały z nadgarstków jak uschnięte słoneczniki. Omiótł mnie nie-nawistnym wzrokiem. Wózek był starej daty, przy każdym poruszeniu skrzypiał i ściągał chodnik. Nova ustawiła go naprzeciwko mnie.

– Potrzeba ci czegoś?

Nie uzyskawszy odpowiedzi wyszła. Nie odrywał ode mnie niechętnego wzroku, który odwzajemniłem uprzejmym spojrzeniem.

– Przystojny ogier, co? Gdybym był pedałem, pewnie bym na ciebie poleciał.

– Ja tego nie powiedziałem.

Odchylił głowę i roześmiał się, aż zaczęły się trząść zwiotczałe policzki. Nie miał zbyt wielu ubytków w zębach, a te, które ocalił, pociemniały.

– Na pewno byś mi pozwolił – ciągnął. – Bez chwili wahania. Lubisz wchodzić do dupy gwiazdom. To po to tu przyjechałeś.

Nie zareagowałem. Zaczynałem czuć się osaczony pomimo jego kalectwa i rozmiarów

pokoju.

– Co tam pijesz?

– Tonik.

Spojrzał na mnie z obrzydzeniem.

– Odstaw to i słuchaj uważnie. Ja cierpię i nie mam czasu na prawienie juppiesowskich komunałów. – Odstawiłem szklankę. – W porządku, chłoptasiu, a teraz powiedz mi, coś ty za jeden i jakie kwalifikacje upoważniają cię do zajmowania się terapią mojej córki.

Przedstawiłem się.

– Jestem pod wrażeniem. Masz już szansę na założenie hipoteki ze zmiennym oprocentowaniem pod zastaw swojego ilorazu inteligencji. Skoro taki z ciebie cwaniak, to dlaczego nie zostałeś prawdziwym lekarzem? Mógłbyś przeciąć korę mózgową i dotrzeć do źródła wszystkiego.

– Pan też.

Wychylił się gwałtownie do przodu, wzdrygnął i ordynarnie zaklął. Złapał się za oparcie wózka i przesunął trochę w lewo.

– William Carlos Williams był lekarzem, a potem próbował zostać poetą. Somerset Maugham był lekarzem, też chciał być pisarzem. Sfrustrowane, pretensjonalne wypierdki. Mieszanka jest może dobra w kobiecej modzie. Potrzebne są zmiany, przyływy i odpływy.

Przytaknąłem.

– No proszę, już patrzysz na mnie z góry, kutasie – wybałuszył oczy i wyszczerzył w uśmiechu zęby. – Mogę przeżyć i przetrwać wszystko, co mi przyniesiesz, żeby potem wysrać to na ciebie w postaci sprasowanego gnoju. – Oblizał się i usiłował splunąć, ale miał za suche usta. – Interesują mnie pewne gałęzie medycyny. Kabała, a nie obliczenia. Jeden z moich głupawych koleżków ze szkoły został chirurgiem. Wiele lat później spotkałem go na przyjęciu, na którym aż roiło się od pochlebców, i ten półgłówek był w siódmym niebie. Do zadowolenia wystarczała mu praca. Podbechtywałem go, a on coraz bardziej się jarał; gdyby słowa były spermą, długo potem nie mógłbym się domyć. A wiesz, co napełniało go największą radością? Rozwodzenie się nad najbardziej debilnymi szczegółami chirurgii, gdy jadł kiełbasę. Rozłupywanie kości, odplątywanie żył, nurkowanie w rozgrzaną galaretę jamy ciała. – Uniósł ręce na wysokość piersi, dłońmi do góry. – Mówił, że najfajniej jest trzymać w ręku żywe narządy, czuć uderzenia ich tętna i temperaturę. Był skończonym durniem, ale dana mu była umiejętność naciągania nadgarstka, wypruwania wątroby, woreczka żółciowego i innych wypchanych głównym flaków z łuku ludzkiego ciała.

Opuścił ręce. Ciężko dyszał, nędzna pamiątka po klatce piersiowej unosiła się i opadała.

– To właśnie interesuje mnie w medycynie. Chciałbym zrzucić bombę atomową na pewne jednostki, ale nigdy w życiu nie podjąłbym się nauki fizyki. Man Ray powiedział kiedyś, że doskonałe dzieło sztuki uśmierciłoby widza w mgnieniu oka. O włos od uniwersalnej prawdy. Nieźle jak na fotografa i Żyda. Delaware... to nie jest żydowskie nazwisko, no nie?

– Nie. Nie jest też makaroniarskie, asfaltowe ani hiszpańskie.

Roześmiał się, tym razem wymuszenie.

– No proszę, mamy zaszczyt gościć u siebie dowcipnisią – a przynajmniej aspiranta. Jebany juppiesowski półgłówek... i do takich jak ty ma należeć przyszłość. Garnitur prosto z katalogu, podróbka ubrania szytego u krawca. Politycznie poprawny kult pieniądza i władzy pod płaszczykiem moralnej powinności. Jeździsz mercedesem czy innym benzem? Nieważne, Hitler i tak byłby dumny na twój widok, chociaż pewnie nie wiesz, kto to taki. A wiesz ty, że on nie jeździł żadnym tam buickiem? Że Eichmann pracował w filii Mercedesa w Argentynie – mówi ci coś nazwisko Eichmann?

– Jeżdżę amerykańskim wozem. – Przypomniałem sobie białego mercedesa przed domem.

– Dzielny patriota. Dostałeś od tatusia?

Nie zareagowałem. Przywiódł mi na myśl ojca, który nigdy w życiu nie mógłby pozwolić sobie na nowy samochód...

– Co, pewnie nie żyje? Też chciał być panem doktorem?

– Był mechanikiem.

– Pracował do ostatniej kropli krwi, a potem wykitował. Zatem bohater pochodzenia robotniczego. Cienki w uszach arywista, produkt naszego systemu oświaty. Pierwszy w rodzinie poszedł do college'u itepe, stypendium dla ambitnych. Mama w fornikowym pierdlu nie może się nacieszyć, chyba że też nie ma jej już wśród nas?

Wstałem i skierowałem się do drzwi.

– Ojoj! – ryknął za moimi plecami – Obraziliśmy się; już po pięciu minutach lecimy puścić w krzakach pawia, dzielny ołowiany żołnierz!

– Nic z tych rzeczy, tyle że zacząłem się nudzić – odparłem z uśmiechem. – W takim stanie powinien pan już wiedzieć, że życie jest za krótkie, by marnować go na gadanie o głupotach.

Oczy z wściekłości nabiegły mu krwią. Odczekał, aż otworzę drzwi i wyjdę na ganek.

– Niech szlag trafi ciebie i twoją matkę sprzątaczkę! Jak wyjdiesz, to za Chiny Ludowe nie dowiesz się, co mam ci do powiedzenia.

– Co to może być takiego? – zapytałem, cały czas odwrócony plecami.

– Wiem, dlaczego moja córka chciała się zabić.

Usłyszałem pisk, odwróciłem się i zobaczyłem, jak powoli pcha wózek. Przestał i obrócił go, ostatecznie tracąc mnie po wielu wysiłkach z oczu. Jego włosy zwisały w postaci przetłuszczonych strąków. Albo więc Nova nie należała do najlepszych pielęgniarek, albo też nie pozwalał jej się do siebie zbliżyć.

– Zrób mi drinka, chłoptysiu, to może podzielę się z tobą paroma rzeczami. Żadnych pomyj na słodzie, które chłacie, nalej mi mieszaną. Całe życie jest jedną wielką mieszaniną, nic nie jest samo w sobie – przekreślił wózek i popatrzył na mnie, a na twarzy malował mu się chyba wyraz ulgi. – Co to jest żółte, czerwone, żółte, czerwone, żółte, czerwone?

– Co?

– Żółtek w mikserze, i nie patrz na mnie tym oburzonym wzrokiem świętoszka. Byłem na jedynej istotnej wojnie naszych czasów i aż za dobrze wiem, do czego zdolne są te skośnookie małpy. Słyszałeś, że zdierali skórę z twarzy alianckich jeńców? Marynowali ludzkie serca i nerki w sosie teriyaki, a potem piekli je na grillu? Masz tę swoją japońską kuchnię. Truman upiekł tych zezowatych kapucynów na wolnym ogniu, to była zresztą jedyna zasługa tego cherlawego alfonsa. Nie stój tak i nie gap się jak marynarz prawiczek na mokrą pizdę, nalej mi whisky, dopóki jeszcze nie mam cię po dziurki w nosie.

Podszedłem do mokrego baru i znalazłem niemal już opróżnioną butelkę chivas.

– Umiesz czytać? – spytał, gdy nalewałem.

Ani mi się śniło odpowiadać, ale najwyraźniej się tego nie spodziewał.

– Czytałeś coś mojego?

Wymieniłem kilka tytułów.

– Kazali ci pisać o tym prace semestralne?

– Zdarzało się.

– Z jakim efektem?

– Zdawałem.

– Niech cię jasny szlag, niczego się nie nauczyłeś.

Podałem mu drinka. Wychylił go i wyciągnął kieliszek, który ponownie napełniłem. Drugi kieliszek zajął go na dłużej: oglądał whisky na wszystkie strony, sączył, prostował nogę, z satysfakcją puszczał wiatr. Przypominałem sobie wszystkie jego dzieła na temat bohaterstwa i zaczynałem powoli rozumieć znaczenie słowa fikcja.

Odrzucił kieliszek. Był słabiutki i naczynie wylądowało tuż przy kole wózka.

– Dziewczyna próbowała się wykończyć, bo jest wypalona. Nie zaznaje namiętności i cierpienia, nie ma w jej życiu sensu. Wszystkie twoje wysiłki są więc bez znaczenia. Z równym skutkiem mógłbyś zabrać się do leczenia kijanki, z zamiarem uchronienia jej przed żabim losem. Z kolei we mnie namiętności aż się przelewają – zaczął siorbać. – Jedyńm wyjściem jest umożliwienie jej poznania mojej osoby.

– Jej terapia ma polegać na poznaniu się z panem? – usilnie tłumiłem śmiech, może krzyk.

– Jaka tam terapia, ciotku. Terapia jest dobra dla bezmózgich fanów aerobiku. Mam na myśli zbawienie. Przekaż jej to – nachylił się w moją stronę

– Poinformuję ją o tym.

– Czy mnie nienawidzi? – zaśmiał się głośno.

– Nie mam prawa omawiać jej uczuć.

– Tereferę. Mówisz, że czytałeś Rumaki mroku. O co tam chodzi?

– Tor konny jako miniaturowy model świata. Boha...

– Chodziło o to, że my wszyscy żremy końskie łajno. Niektórzy polewają je wykwintnymi sosami, inni wybrzydząją niektórzy zatykają nos, jeszcze inni wsadzają w nie gęby i pochłaniają ale nikt się nie wymiga. Powieść tysiąclecia. Sama się uwolniła; stawał mi za każdym razem, gdy zasiadałem do maszyny. Dolej. – Spojrzał na leżący na podłodze kieliszek.

Spełniłem życzenie.

– Te kapłony od Pulitzera uważały, że mi coś dają. – Dopił whisky. – Nienawidzi mnie. Mam w dupie jej uczucia. Nienawiść to wielka siła. Zawsze nie cierpiałem pisania.

Omiotłem spojrzeniem zwierzęce łby, ze śmiejącym się odyńcem włącznie.

– Nie umiesz się skupić, cielaku? To po poprzednich właścicielach. Swego czasu chciałem nawet powiększyć zbiory o łby krytyków ze szklanymi oczami. Wiesz, dlaczego się rozmyślałem?

Potrząsnąłem przecząco głową

– Żaden taksydermista nie podjąłby się dzieła. Brudna robota.

Zaśmiał się i zażądał następnego drinka. Chivas się skończył i nalałem mu taniego scotcha. Przy takiej masie ciała alkohol z pewnością zdążył już rozognić krew, ale zupełnie nie było tego po nim widać.

– Przyglądałaś się kiedyś własnemu gównu w kiblu? Resztkom, które przyczepiają się do muszli? Zeskrob trochę przy najbliższej okazji i zanurz w agarze. Dodawaj gówna i wszelkiego innego napotkanego świństwa, a po paru dniach wyhodujesz sobie krytyka. – Kolejny wymuszony śmiech. – Przeszłoczek, najpodlejszy pedofil albo sodomita ma prawo do bycia sądzonym przez równych sobie. A na jaką sprawiedliwość zasłużył artysta? Na osąd kretyna. Zaszranie bladzie bez jaj, co oddaliby wszystko za talent, którego Bozia jednak poskąpiła, wyzywają się na grupce wybrańców. Obdarzeni geniuszem piszą. Pozbawieni go uczą Ci, którym język zeszytniał już tak, że nie umieją podlizać się nauczycielom, piszą recenzje.

Zaczął się ślinić, nitka wilgoci wyciekła z kącika jego ust. Wpił się we mnie oczami. Czekałem na kolejny wybuch agresji. Ale nagle się uspokoił i zaczęły opadać mu powieki. Po chwili zasnął.

Słuchałem, jak chrapie. Jak na zawołanie pojawiła się Nova. Przebrała się w cieniutką bluzkę bez kołnierza, która z ledwością sięgała pasa, i czarne spodenki, uwydatniające urodę nóg. Miała duże, miękkie i nie opięte stanikiem piersi, których sutki były doskonale widoczne przez prześwitującą tkaninę.

– Nie ma po co tak tu sterczeć, taki stan może trochę potrwać.

– Często mu się zdarza tak po prostu i niespodziewanie zapaść w sen?

– Ciągle. Jest zmęczony bólem.

– Zażywa środki znieczulające?

– Tak.

– Co mu jest?

– Wszystko. Ma schorowane serce i wątrobę, jest po kilku zawałach, nerki są słabiotkie. Krótko mówiąc po prostu się rozpada – wyliczała beznamiętnie.

– Jest pani pielęgniarką?

– Nie, asystentką – uśmiechnęła się. – Nie zniósłby opieki pielęgniarskiej, już prędzej zapiłby się na śmierć. Niech pan już jedzie.

Podszedłem do drzwi.

– Przywiezie pan mu córkę? – zapytała.

– To będzie zależało od niej.

- Powinna się z nim zobaczyć.
- Dlaczego?
- Każda córka powinna poznać ojca.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

– Karykaturalny – skomentowała Lucy, próbując się uśmiechnąć. W jej oczach malowało się jednak przerażenie.

Za oknami słońce kryło się za zwałami chmur, a morze przypominało drżącą, szarą galarete. Fale ledwie się poruszały. W oddali słyhać było szum uderzających o piach grzywaczy, brzmiały jak oklaski.

Była ósma rano; przed chwilą skończyłem opowieść o wczorajszej wizycie. Na wszystkich kanałach opisywali morderstwo popełnione na Nicolette Verdugo. Jobe Schwandt udzielał w celi śmierci wywiadów, rozwodząc się na temat astrologii, utopii i właściwego krojenia wołowiny. W „Timesie” cytowano jedną z Bogetek, która stwierdziła, że nadeszła pora, by wszystkie ofiary zmartwychwstały i powyrzynały oprawców. Lucy przyjechała z gazetą, ale nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę o nowinach.

– Więc o co mu chodzi?

– Sam nie wiem – odparłem. – Możliwe, że na swój osobliwy sposób wyciąga rękę na zgodę. Albo próbuje odzyskać nad tobą kontrolę.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się. Po chwili jednak kąciki ust opadły.

– Widział pan po drodze jakieś misternie splątane drzewa?

– Drzew tam pełno, sam dom stoi w lesie.

– Z bali.

– Zgadza się, wygląda jak gigantyczna chata z bali. Ken mówił, że właśnie tam spałaś i Puk. Miała się wami opiekować jakaś niania. Przypominasz sobie coś?

– Wiem, mnie też o tym wspominał. Jakaś kobieta z krótkimi włosami, podobno jęzda. Z niczym mi się nie kojarzy.

– Mówił coś jeszcze na temat tamtego lata?

– Wygląda na to, że w ogóle nie mamy ze sobą nic wspólnego – potrząsnęła głową. – To nieznośne uczucie. Po co miałabym chcieć zapomnieć o jakiejś niańce?

– Może była przy was krótko. Człowiek nie zapamiętuje wszystkiego.

– Pewnie tak. – Na szyi ukazały się tętnice. – Może powinnam wrócić do tych lat bez-

pośrednio, bez corocznych przystanków. Z tego, co pan mówi, wynika, że powinnam wytrzymać sam na sam z nim.

– Nie ma pośpiechu – zareplikowałem.

– Chcę znać prawdę.

– Jest cherlawym starcem, ale potrafi jeszcze wyrządzić wiele szkody. Nic wolno nam zapominać o losie Puka.

– Rozumiem. Nastawię się na spotkanie potwora, ale i tak mu się nie uda. Nie jestem Pukiem, nie ma niczego, czego bym potrzebowała. Chciałabym na przykład poszukać tych drzew.

Rozległ się grzmot fal, na dźwięk którego aż się wzdrygnęła.

– Posłuchać przeczulonego terapeuty i zbytnio się nie spiesz – powiedziałem.

– Czy morze często zachowuje się aż tak hałaśliwie? – spytała wpatrzona w stronę wody.

– Zdarza się. Czy chciałabyś jeszcze o czymś pogadać?

– Chciałabym ustalić strategię działania. Plan starcia z nim, gdy się tam zjawię.

– Nie powinnaś się nastawiać, że na sto procent czegoś się dowiesz.

– Ale jeśli nie pojedę, to się nie dowiem. Jest kaleką. Co może mi się stać?

– Potrafi ranić słowami.

– To jego zawód.

– Sęk w tym, że on być może wyciąga rękę do porozumienia dlatego, że sam umiera. – Zamrużyła powiekami, ale nie poruszyła się. – To zdarza się bardzo często. Najgorsi, najbardziej obojętni rodzice nawiązują kontakt z dziećmi tuż przed śmiercią. Musisz to starannie przemyśleć. Przecież zamiast potwora może okazać się czułym ojcem.

– Dam sobie radę – odparowała. – Nie może odebrać długów, które mu się nie należą.

– Przeczesała włosy, patrząc w stronę morza. – Przyszedł mi właśnie do głowy okrutny, ale zabawny wybieg. Jeśli będzie mnie chciał skrzywdzić, po prostu usnę. Sądzę, że mnie zrozumie.

Kolejna hipnoza. Zaprowadziłem ją do momentu na dwa dni przed przyjęciem w Sanktuarium. Był czwartek rano. Mimo że starałem się zabezpieczyć ją za pomocą wyobrażeń ekranu telewizyjnego, raz jeszcze zaczęła mówić głosem dziecka, mamrotała coś o koniach, drzewach i „braciszku”. Pytania o nią czy inną opiekunkę wywoływały jedynie konsternację

i gest uniesienia palca lewej ręki. Po chwili okazało się, że „braciszek” oznacza Puka, którego określała mianem Peteya. Petey się z nią bawi. Rzuca piłkę. Odgarniają razem listowie i przyglądają się biedronkom. Petey się uśmiecha. Lucy, w trakcie opowiadania, wtóruje mu. Po czym uśmiech zgasł i wyczułem, że zaczyna mieszać przeszłość z teraźniejszością.

– Co się dzieje, Lucy?

Zmarszczyła czoło. Ominęliśmy sen i zatrzymaliśmy się na niedzieli. Pustka. Noc wcześniej. Tym razem spacer przez las opisywała ze spokojem. Nie przejęła się nawet „prerażonym” wyrazem twarzy porywanej dziewczyny. Skupiłem się na trzech mężczyznach. Gdy mowa była o ojcu, jej gałki oczne poruszały się w szaleńczym tempie. Sprawiał wrażenie rozgniewanego. Opisywała jego ubranie. „Długie... hm... białe... jakby sukienka”. Chodziło o kaftan, opisywany potem w kronice towarzyskiej. Mogła to gdzieś wyczytać.

Zapytałem, czy chce opowiedzieć o kimś innym, wyczekując, czy odruchowo zajmie się Owłosionymi Wargami. Zaprzeczyła gestem ręki. Powtórzyłem pytanie, czy widzi wąsy, czy brodę, ograniczając się do prostego, zrozumiałego dla czterolatka słownictwa.

– To duże czy małe wąsy?

– Duże – po chwili wahania.

– Naprawdę duże?

Potwierdziła.

– Zwisają czy raczej sterczą?

– Zwisają.

– Zwisają?

– Kopia...

Na twarzy ukazał się grymas; domyśliłem się, że przeszła już do pogrzebu.

– A teraz kopia?

Przeczenie. Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Co się dzieje?

– Kop... Kopniak Gliny.

Przez ułamek sekundy poczułem się zdezorientowany, potem przypomniałem sobie komiksową postać, popularną w latach siedemdziesiątych. Leniwy, flegmatyczny i zwalisty policjant z ogromnym kapeluszem i sumiastymi wąsami.

– Wąsy zwisają jak u Gliny Kopniaka?

Potwierdziła.

– Jakiego są koloru?

– Czarne.

– Czarne wąsy, które zwisają jak u Gliny Kopniaka?

Uniosła sztywny, wyprężony palec prawej ręki.

– Możesz powiedzieć coś jeszcze o mężczyźnie z wąsami?

– Czarny.

– Czarne wąsy?

Skrzywiła się.

– W porządku – ciągnąłem. – A możesz powiedzieć coś o mężczyźnie, który stoi cały czas odwrócony?

Wpatruje się. Gałki oczne poruszają się pod powiekami.

– On... on... mówi „Do środka. Do środka, jazda, do cholery, Buck. Szybciej. Pchaj, pchaj. Pospiesz się do jasnej cholery!

Rozdział trzydziesty

Wyszła i zacząłem rozmyślać o jej niespodziewanej zmianie decyzji. Odwaga w starciu z instynktem samozachowawczym. A może między tymi dwoma odruchami należało postawić znak równości. Nieważne. Za żadną cenę nie mogłem dopuścić do ich spotkania. Będę jej utrudniał, zmuszając do samodzielnych poszukiwań prawdy. Zastanawiałem się nad dzisiejszymi scenami. Owłosione Wargi. Może to jednak nie Trafflicant. Ten trzeci, wiecznie odwrócony plecami.

„Do środka, do jasnej cholery, Buck”. Czy to ten był Trafflicantem? Wrzeszczał na projektora? Nie mieściło mi się w głowie, żeby Lowell mógł znieść takie traktowanie. Może jednak ich wzajemne stosunki nie sprowadzały się do związku patrona z protegowanym. Z zadumy wyrwał mnie telefon Kena Lowella.

– Niepokoi mnie trochę stan Lucy, doktorze. Opowiedziała mi o swoim koszmarze. Rozumiem już, dlaczego źle sypia.

– Źle?

– Myśli, że wszystko jest OK, bo zawsze tak jej powtarzam, kiedy pyta. Ale parę razy w nocy wstaje i chodzi po domu. Z reguły schodzi na półpiętro, wpatruje się chwilę w ścianę, po czym wraca do siebie. Zeszłej nocy jednak zdarzyło się coś poważniejszego: zobaczyłem ją na

szczyt schodów, w chwili, gdy zamierzała zrobić pierwszy krok. Próbowałem ją obudzić, ale bezskutecznie. Pozwoliła zaprowadzić się z powrotem do łóżka, ale zachowywała się jak manekin. Nic jej nie mówiłem, żeby się nie denerwowała. A tak a propos, to jak pan sądzi, czy w tym śnie jest odrobina prawdy? Że niby Lowell nie był porządnym ojcem, a na dodatek ma na sumieniu morderstwo?

– Pamięta pan jakieś szczegóły tamtej nocy?

– Raczej nie. Odbywało się jakieś przyjęcie, hałaśliwa balanga. Zamknęli nas w chacie i nie pozwolili wychodzić. Pamiętam tylko, że gdy odchyliłem zasłony i wyrząłem na zewnątrz, zobaczyłem roześmianych, tańczących i hałasujących ludzi. Niektórzy mieli pomalowane twarze. Echo niosło porykiwania kapel rockowych.

– Zabawa na całego.

– Coś w tym stylu.

– Nie zauważył pan niczego, co potwierdzałoby sen Lucy?

– Trzech mężczyzn, którzy nieśli gdzieś dziewczynę? Nie. Było trochę par, które wymykały się na bok. Pamiętam, jak Jo pytała ze śmiechem, co oni też mogą tam robić. Miała wtedy jedenaście lat i bardzo ciekawiło ją życie.

– Przypomina pan sobie niańkę Lucy i Puka?

– Próbowałem coś sobie odtworzyć. Istnieje możliwość, że nie była to niańka, bo nosiła strój charakterystyczny dla kelnerów i kelnerek – cała na białą. Może była to więc zwyczajna kelnerka. Szczerze mówiąc nie jestem tego wcale pewien. Ale jeżeli coś się tam faktycznie stało... Czy można jakoś zaradzić napadom somnambulizmu Lucy?

– Trzeba usuwać jej z drogi wszelkie zagrożenia, ostre przedmioty, lepiej zamykać okna. Jeśli nie będzie miała nic przeciwko temu, niech przed zaśnięciem zamknie drzwi.

– Dobrze – powiedział z powątpiewaniem.

– Coś nie tak?

– Nie, nie, tylko takie zamknięcie grozi klaustrofobią. Sam na to trochę cierpię. Prawdopodobnie dlatego, że wtedy zamknęli nas w chacie i zaryglowali drzwi od zewnątrz. Czuliśmy się jak zwierzęta w klatce. To nieznośne.

Robin wróciła o szóstej, pocałowała mnie na powitanie i poszła pod prysznic. Usiadłem na podłodze i rzucałem Spike'owi piłkę, żeby mógł sobie przypomnieć swoje myśliwskie korzenie; wtem rozległ się dzwonek telefonu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – usłyszałem głos Sherrella Besta – ale chciałem zapytać, czy ma pan coś nowego?

– Nic konkretnego, wielbny, naprawdę mi przykro.

– Nic konkretnego? Czyli czegoś się pan jednak dowiedział?

– Chciałbym podnieść pana na duchu, lecz...

– Czy mógłbym zobaczyć się z pańskim pacjentem? Co dwie głowy, to nie jedna. Nie chciałbym się narzucać, ale to może mu ulżyć.

– Zastanowię się.

– Dziękuję, doktorze. Bóg zapłać.

Wzięliśmy Spike'a i pojechaliśmy na kolację, potem na przejażdżkę. Wcisnął się między nogi Robin a drzwi i wyglądał za okno z wyrazem zdecydowania malującym się na płaskim pysku.

– On nas pilnuje, Alex – zaśmiała się Robin. – I to jak poważnie do tego podchodzi. Dzięki, Spike, czuję się przy tobie taka bezpieczna.

– Twardziel.

– Przy tobie także czuję się bezpieczna – położyła mi dłoń na kolanie.

– Może i tak, ale on zajmuje mniej miejsca i w środku nocy nie zrywają nas telefony do niego.

Nocne niebo przybrało fioletową barwę. Jechałem na północ i wycieczka, tak jak przed tygodniem, skończyła się w pobliżu Ventury. Tym razem nie była to kwestia przypadku. Po telefonie od Besta wróciłem myślą do Doris Reingold i obydwójga Shea. Jak odmiennie potoczyły się ich losy! Zjechałem z autostrady do miasta. Robin zerknęła na mnie, ale nie odzywała się. Krążyliśmy po pustych i cichych ulicach. Pierwszą czynną instytucją okazała się stacja benzynowa. Zatrzymałem się, zatankowałem, przetałem okna i każąc Robin chwileczkę poczekać, poszedłem do telefonu. Książka telefoniczna przymocowana była do łańcucha, lecz wyrwano z niej koło połowy kartek. Litera R pozostała jednak nienaruszona i odkryłem, że Reingold D. mieszka na Palomar Avenue. Kasjer poinformował mnie, że było to dziesięć przecznic dalej.

– Wracamy? – spytała Robin, gdy wsiałem do samochodu.

– Uzbrój się jeszcze przez chwilę w cierpliwość. Chciałbym coś zobaczyć.

– Coś w związku ze sprawą jakiegoś pacjenta?

– W pewnym sensie.

– Masz zamiar kogoś odwiedzić?

– Nie, chciałbym tylko zobaczyć, jak się żyje pewnej osobie. To potrwa minutkę.

– Dobrze – przeciągnęła się.

– Wiem, że świetnie się bawisz.

– Nie ma sprawy – odpaliła. – Jak mi się nie spodobaś, pojedę do domu w jego towarzystwie.

Na miejscu ujrzałem rząd jednopiętrowych domków wzdłuż pozbawionej drzew ulicy. Skąpo porośnięte trawą podwórka były oświetlone rzęsistymi reflektorami. Cześć latarni nie paliła się.

Na leżakach na trawie siedziało paru sączących piwo licealistów. Koło nich leżały torebki frytek i chipsów. Mieli długie włosy i mimo nocnego chłodu, byli nadzy do pasa. Na mój widok paru wymamrotało „dobry wieczór”, jeden uniósł kciuk, reszta ani drgnęła. Podeszedłem do tego, który dawał mi znak na szczęście. Ciemne włosy opadały mu do piersi. Miał zapadłe policzki i podkreścone wąsiki.

– Cześć – przywitał się niewyraźnie. – Policja?

Potrząsnąłem głową.

– Bo od tamtego czasu siedzimy cicho. – Odgarnął włosy z twarzy i wpił się we mnie wzrokiem. – Z administracji?

– Nie, po prostu szukam...

– Bo zapłaciliśmy już czynsz pani Patrillo. Jak nie przekazała ci kasy, to już nie nasza sprawa.

– Szukam Doris Reingold – przerwałem. – Wiecie, gdzie taka mieszka? – Dotarło.

– Pod piątką. Ale nie ma jej.

– A gdzie jest?

– Spakowała się i zniknęła. – Podrapał się po głowie.

– Kiedy?

– Wczoraj, wczoraj w nocy. – Zmarszczył brwi, nie przestając skrobać się po głowie.

– O której?

– No... akurat wracałem, a ona się wynosiła. Jakoś wieczorem. Zaproponowałem, że pomogę jej dźwigać, ale potraktowała mnie jak powietrze. – Beknął i doleciał mnie zapach

opium. Łyknął trochę piwa i zapytał: – A ty czego od niej chcesz?

– Jestem jej znajomym.

– Równa baba... – uśmiechnął się. – A tak między nami to niezła z niej szmata. – Kole-
dzy zawtórowali mu śmiechem.

– Wpieniasz się, Kyle, bo cię obrobiła – powiedział krótko obcięty chłopak. Tamten
odwrócił się i wybałuszył na kumpla gały.

– Nie da się ukryć, Kyle – dodał.

– Spierdalaj – odpalił Kyle. – Ta suka kantuje.

– Jak?

– Jak się da. W pokera, w kości.

– W co z nią grałeś?

– W szachy.

– Coś ty? Może cię zmartwię, ale ona znalazła sobie nowego chłopaka.

– Żartujesz?

– Serio. Zabrała się z jakimś kolesiem.

– Rzuć skwarków – odezwał się któryś z nich.

Kyle schylił się i macał przez dłuższy czas w trawie, przy akompaniamencie szyder-
czych okrzyków, wreszcie znalazł torebkę skwarków. Zwinął ją w rękę i rzucił na oślep za sie-
bie. Ktoś złapał.

– Pamiętasz, jak wyglądał ten gość? – podjąłem temat.

– Nie, ale miał fajne BMW – zwrócił się do kumpli. – Pamiętacie to BMW? Z tym zaje-
bistym spoilerem?

– A jaki miał stanik – odezwał się pulchny chłopaczek o długich, falujących blond wło-
sach.

– Na taakie cycki – zawtórował któryś.

Roześmiali się chórem. Odwróciłem się w stronę krawężnika. Mój Seville stał kawałek
dalej, pod palącą się latarnią. Szyba od strony kierowcy była opuszczona i zdawało mi się, że
widzę wychylającą się z niej mięsistą mordę Spike'a.

– Ciemnoszare BMW? – zapytałem. – z chromowanymi felgami?

– Dokładnie – potwierdził Kyle, ruszając rękami jakby zmieniał bieg. – Kiedyś sobie taki
kupię.

– Akurat – wtrącił się któryś. – Najpierw niech ci oddadzą prawko. Potem będziesz się musiał nauczyć porządnie grać w karty.

– Oddadzą mi, a ty się odwal – warknął Kyle, po czym zniechęca skulił się w ramionach i zamierzył ręką, jakby do rzutu. Zgiął nadgarstek i rzucił puszkę po piwie. Przeleciała mi koło głowy i wylądowała z brzękiem na ulicy, niemal trafiając w jakiś zaparkowany tam samochód.

– Ej, stary – odezwał się jeden – daj se siana.

– Odwal się. – Kyle zerwał się na równe nogi. Ręce miał zaciśnięte w pięści, stał balansując na bosych nogach. Jego ubranie ograniczało się do spodenek, po ramionach spływały liany tatuaży.

– Odwal się – powtórzył.

Nikt nie zareagował. Chrapiący obudził się. Kyle obrócił się na pięcie i spojrzał na mnie.

– A ty tu czego? – zapytał zmienionym głosem. Uniosłem kciuk do góry i zacząłem iść w stronę wozu.

– Nic ci się nie stało? – spytała Robin, gdy już siedziałem za kierownicą.

– Nie, nic. Małe spotkanie ze złotą młodzieżą.

Rozdział trzydziesty pierwszy

W drodze powrotnej przypomniały mi się pewne słowa Doris. „Podoba mi się w Nevada-dzie”. Mówiła poważnie? Czy tam lokowała pieniądze, które – być może – dostawała za milczenie? Jej wyjazd w towarzystwie Toma Shea upewnił mnie, że jestem na właściwym tropie. Na nowo odzyskałem wiarę w sen Lucy. Zacząłem zastanawiać się nad trzema mężczyznami. Lowell i dwóch innych, w tym niemal na pewno Trafficant. Najpewniej ten odwrócony plecami. Kim więc był Owłosione Wargi? Być może jednym z wielu gości, ale najprawdopodobniej dobry znajomy Lowella i Trafficanta, zaproszony do zabawy w ścisłym gronie. Członek klubu. Stypendysta Sanktuarium?

Po powrocie raz jeszcze przejrzałem relacje prasowe na temat uroczystości otwarcia Sanktuarium, gdy w tym czasie Robin uczesała się i założyła nocną koszulę.

Trzy nazwiska nieopatrzone zdjęciami: Christopher Graydon-Jones, angielski rzeźbiarz; Joachim Sprentzel, niemiecki kompozytor; i Denton Mellors, początkujący amerykański powieściopisarz. Jedyne autor pochlebnej recenzji o Rozkazie: rzucać światło. Pod niebiosą wynosił także książkę Trafficanta. Czy, tak jak tamten, odwdzięczał się za stypendium? Im dłużej o tym rozmyślałem, tym lepiej wszystko układało się w logiczną całość. Lowell z dwoma wy-

bitnymi uczniami. Może uczył ich czegoś innego niż pisanie. Ale kto w to uwierzy?

Robin leżała skulona na swojej części łóżka. Rozebrałem się i przytuliłem do niej, obejmując ją ramionami. Zaczęła pomrukiwać. Czułem, jak zapada powoli w sen.

Obudziłem się o szarówce, myślami będąc przy koszmarze Lucy. Tego dnia była w towarzystwie Kena, następna sesja miała odbyć się nazajutrz. Zrobiłem śniadanie i przyniosłem je do łóżka. Gdy Robin brała prysznic, ja raz jeszcze usiłowałem zdobyć w wydawnictwie trochę informacji o Traffincanie.

Przekonałem się jedynie, że mało popularni pisarze nie wzbudzają specjalnego szacunku. O wpół do dziewiątej Robin zaczęła zbierać się do wyjazdu na budowę. Gdy odjeżdżała, widziałem przyciśnięty do bocznej szyby pysk Spike'a. Jechałem tuż za nią w seville'u. W Bel Air nasze drogi się rozeszły: ona jechała dalej, a ja skręciłem w stronę uczelni.

Dwadzieścia pięć po dziewiątej wkroczyłem do biblioteki. Było tam już kilkoro rannych ptaszków, ale większość komputerów była wolna. Wszedłem do spisu czasopism i zacząłem wpisywać nazwiska, poczynszyszy od Dentona Mellorsa. Ani słowa na jego temat. Przejrzałem listę nowości, czasopisma naukowe, wszelkie możliwe indeksy. Ani śladu. Jeśli nawet udało mu się opublikować jakąś powieść, tutaj niczego się o niej nie dowiem.

Wystukałem nazwisko Christophera Graydona-Jonesa. Trzy wzmianki. Pierwsza sprzed dwudziestu lat, gdy rzeźbiarz otrzymał zamówienie od firmy o nazwie Ubezpieczenia Przemysłowe, która żądała od niego stworzenia rzeźby z brązu i żelaza do korytarza w swojej siedzibie w centrum Los Angeles. Notka w dodatku kulturalnym „L.A.Times”, nie opatrzona żadnymi fotografiami. Dwa lata później jakaś gazeta gospodarcza wspominała, że w tejże firmie pracuje on na stanowisku asystenta zastępcy dyrektora ds. marketingu. Pięć lat później okazało się, że awansował do rangi szefa działu. Na zdjęciu stał łysiejący pan, wyglądający na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat, o podłużnej twarzy, zmęczonych oczach i słabej linii podbródka. Wygolony.

Potem przyszła kolej na Joachima Sprentzela. Nauczał kompozycji w konserwatorium Juilliard, by osiem lat temu popełnić samobójstwo w Hartford w stanie Connecticut. W nekrologu z miejscowej gazety mowa była o „przewlekłej chorobie” i predylekcji Sprentzela do „atonalizmu i eksperymentów chromatycznych”. Rodzice mieszkają do tej pory w Monachium. Bezdzienny, kawaler. Na zrobionym dziesięć lat temu zdjęciu, przedstawiającym ciało pedagogiczne konserwatorium, widniał mężczyzna o skupionym wyrazie twarzy i silnie zarysowanej, kwadratowej szczęce, bujnych czarnych włosach i rozbieganych oczkach, tkwiących za okularami w drucianych oprawkach. Miał też gęste, opadające w dół wąsy. Uderzające podobieństwo do Gliny Kopniaka.

Owłosione Wargi. Samobójstwo po przewlekłej chorobie. Kawaler. Czułem, że chodzi o AIDS, ale było też wiele innych możliwości. Nie żyje. Kolejna ślepa uliczka.

Skserowałem wszystkie materiały i zadzwoniłem na swoją sekretarkę. Telefony od dwóch prawników, sędziego i Sherrella Besta. Wielebnego zostawiłem sobie na koniec. Nie było go w domu, a kobieta z Kościoła Wyciągniętej Dłoni powiadomiła mnie, że rozwozi je-dzenie. Odłożyłem słuchawkę.

Trzech mężczyzn do jednego grobu. Lowell, Trafficant i Sprentzel? Wszyscy trzej mi się wymknęli. Przejrzałem skserowane artykuły. Szansa była nikła, ale być może Graydon-Jones cały czas pracował w LA.

Poszukałem w książce telefonicznej numeru Ubezpieczenia Przemysłowego. Ani śladu. Ale w katalogu firm znalazłem ich adres na 26 ulicy w Santa Monica, z komentarzem „specjalność: odszkodowania od wypadków przy pracy ubezpieczenia przedsiębiorstw”. Wybrałem podany numer i poprosiłem o pana Graydona-Jonesa. Bardzo się zdziwiłem, gdy połączono mnie z radosną sekretarką. Gdy poprosiłem o połączenie z szefem, do radości dołączyła podejrzliwość.

– A w jakiej sprawie?

– Stypendium pana Graydona-Jonesa w Sanktuarium.

– Co to jest Sanktuarium?

– Pensjonat dla twórców, kierowany przez powieściopisarza Bayarda Lowella. Pan Graydon-Jones otrzymał swego czasu stypendium w dziedzinie rzeźby. Przygotowuję właśnie biografię pana Lowella i usiłuję dotrzeć do...

– Pensjonat?

– Tak, dla twórców. Miejsce, gdzie mogą oni zajmować się sztuką.

– Sugeruje pan, że pan Graydon-Jones był kiedyś artystą?

– Rzeźbiarzem. Stworzył na przykład rzeźbę w korytarzu siedziby pani firmy w centrum Los Angeles.

– Wynieśliśmy się stamtąd już bardzo dawno temu.

– Rozumiem, ale pan Graydon-Jones otrzymał zamówienie na...

– Stroi pan tu sobie jakieś żarty?

– Ależ skąd. Proszę mu to przekazać. Może zechce ze mną porozmawiać.

– W tej chwili nie ma go w biurze. Pana godność?

– Del Ware. Sandy Del Ware – i podałem jej swój telefon.

– Doskonale, panie Del Ware – powiedziała nieco zbyt pośpiesznie i odłożyła słuchawkę.

Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Graydon-Jones poszedł na lunch? Czy też siedzi za wielkim biurkiem, przekłada papiery i udaje ważniaka? Mogłem poczekać. Siedziba Ubezpieczenia znajdowała się zaledwie dwadzieścia minut drogi ode mnie. Budowla stała zaraz koło stadionu, w kompleksie biurowców, w którym przeważały firmy elektroniczne. Pięć pięter z cegły i szkła, na parterze restauracja o nazwie Zacisze, której specjalnością były drogie hamburgery i napoje z owoców południowych. Ubezpieczenie zajmowało jedyne pięć pomieszczeń na drugim piętrze. Drzwi były zamknięte na klucz, na klamce zawieszono tabliczkę z napisem: Przerwa obiadowa. Wracam o drugiej.

Zszedłem z powrotem na parter. Ani widu, ani słyhu o żadnej rzeźbie. Drzwi do restauracji były otwarte, dochodzące stamtąd zapachy były zachęcające. Postanowiłem zjeść obiad i wrócić ponownie na górę.

– Jedna porcja? – obrzuciła mnie wzrokiem jakaś kelnerka.

Odwzajemniłem się swoim najlepszym spojrzeniem zagubionego, samotnego mężczyzny i zaprowadziła mnie do maleńkiego stolika w kącie. Aż roiło się tu od uśmiechniętych ludzi w garniturach, w powietrzu unosiła się woń alkoholu i ciężkich sosów. Na ścianach tapeta w palmy. Kopie obrazów Gauguina obok fotografii przedstawiających błękitną wodę i opalone ciała.

Zamówiłem piwo i hamburgera Tahiti i zaczynałem już odsuwać pianę z napoju, gdy zobaczyłem go, siedzącego w osobnej przegrodzie z jakąś kobietą. Postarzał się, jeszcze bardziej wyłysiał, resztką włosów była stalowoszarej barwy. Nie mogłem jednak pomylić tej wydłużonej twarzy, posmutniałych oczu i brody, która cofnęła się jeszcze bardziej i zaczęła się już niemal zlewać z chuderławą szyją. Miał na sobie ciemnoniebieski garnitur i krawat, który lśnił tak mocno, że zdawał się promieniować. Kobieta była po trzydziestce, włosy miała koloru miodu, a sylwetkę dość zgrabną. Na stoliku stały tylko jakieś czerwone napoje, ozdobione gałązkami selera i leżało mnóstwo papierów.

Jedząc, nie odrywałem od nich wzroku. Po chwili kobieta zebrała papiery, pożegnała się z Graydonem-Jonesem i wyszła. Zamówił kolejnego drinka i zapalił cygaretkę.

Położyłem na swoim stoliku pieniądze i podszedłem w jego stronę.

– Pan Graydon-Jones?

Uniósł na mnie melancholijne niebieskie oczy. Powtórzyłem historyjkę, którą usiłowałem sprzedać jego sekretarce.

– A, tak, przekazała mi – rozpromienił się. – Sanktuarium. Dziwna sprawa. – Brytyjski

akcent, który w tym kraju nie ma najmniejszego znaczenia, ale w Anglii równałby się zaklasyfikowaniu go do klasy robotniczej.

– To znaczy?

– Dziwię się, że słyszę o tym po tylu latach. Jak się pan nazywa, bo zapomniałem?

– Sandy Del Ware.

– I pisze pan biografię Lowella?

– Zabieram się do niej.

– Mógłby pan zostawić mi swoją wizytówkę?

– Raczej nie, pracuję na własny rachunek.

– Zabiera się pan? – strząsnął popiół do popielniczki. – Czy to oznacza, że nie podpisał pan żadnej umowy?

– Swoje zainteresowanie wyraziło już kilka wydawnictw, ale mój agent przed przystąpieniem do negocjacji żąda ode mnie dokładnego streszczenia. Zebrałem już właściwie wszystkie ważniejsze informacje, białą plamą pozostaje jednak okres inauguracji Sanktuarium. Szczerze mówiąc, jest pan jedynym stypendystą, jakiego udało mi się znaleźć.

– Naprawdę? – uśmiechnął się. – Proszę usiąść. Napije się pan czegoś?

– Nie, ale z przyjemnością panu postawię.

– Nie, dziękuję – roześmiał się. – Dwa na obiad to zupełnie wystarczy.

Poprosił o rachunek, zamówił dwie kawy i napisał coś na rachunku.

– Cieszę się, że przystał pan na tę rozmowę – zacząłem.

– Tylko proszę się streszczać. – Rzut okiem na sporego Rolexa. – A właściwie po co chce pan pisać tę książkę o Bucku?

– To ciekawa postać. Wzlot i upadek geniusza.

– Hmm, tak, to sprytnie wykombinowane. Ale on jak na mój gust był nudziarzem. Sprawiał wrażenie jednego z wiecznych chłopczyków, za którymi tak przepadają Amerykanie.

– No to mam nadzieję, że im się nie odmieniło i kupię moją książkę.

Raz jeszcze uśmiechnął się i zapiął na swej wątej piersi marynarkę. Garnitur musiał kosztować fortunę. Białą koszulę przecinały poziome błękitne paski, duży kołnierzyk uszyli prawdopodobnie u Turnbulla & Assera. Rzucający się w oczy krawat był z czarnego, ręcznie malowanego jedwabiu. Plamy udawały pociągnięcia pędzla malarza: purpurowe, pomarańczowe, turkusowe i seledynowe.

– A więc czego chciałby pan dowiedzieć się o Wszarni?

– Proszę?

– Nazywaliśmy to miejsce wszarnią, bo pełno w niej było wszelkiego rodzaju robactwa: żuków, pajaków i innych. Nam też wtedy w mózgach załęgały się robaki. Trochę nam odbijało. Lowell prawdopodobnie wybierał nas z tego względu. A propos, jak on się ma?

– Żyje, ale jest chory.

– Szkoda, trochę szkoda. Tak czy owak, nie jestem w stanie udzielić wielu informacji. Ten burdel na kółkach funkcjonował zaledwie przez rok.

– Wiem – skłamałem – ale nikt nie umiał podać mi powodu jego likwidacji.

– Szefa przestało to wszystko bawić. Najpierw zrobił z nas swoje króliki doświadczalne, a potem wywalił na zbity pysk. Dużo się tam nauczyłem i w sumie nie żałuję.

– W jaki sposób został pan wybrany?

– Byłem wtedy artystą... za takiego się przynajmniej uważałem. – Popatrzył na swe silne dłonie o długich palcach. – Rzeźbiłem w brązie i kamieniu. Nie byłem chyba ostatni. Zdo byłem w Anglii parę nagród, podpisałem umowę z nowojorską galerią. Jej właściciel usłyszał o pensjonacie i polecił mnie Lowellowi. To miało być w ramach zapłaty za dwa dzieła.

– Ciekawe, takie przejście od rzeźby do ubezpieczeń.

– Wszystko może być sztuką. – Zgniół niedopałek. – Obawiam się, że nie mam wiele więcej do powiedzenia. To głupi rok.

– Nie wie pan, jak można dotrzeć do pozostałych stypendystów? Rzecz jasna z wyjątkiem Joachima Sprentzela. Nie żyje.

– Serio? – podrapał się w kark. – Biedaczysko. Jak to się stało?

– Samobójstwo. W nekrologu było napisane, że cierpiał na jakąś przewlekłą chorobę.

– Na AIDS?

– A był homoseksualistą?

– Jasne jak słońce. Ale to chłop poczciwy, z kośćmi. Nikomu się nie narzucał, cały czas komponował – nie ćwiczył na fortepianie czy skrzypcach tylko bazgrał na tym dziwnym papierze w linię.

– Co jeszcze ma pan do powiedzenia na jego temat?

– A co by pan chciał usłyszeć?

– Cechy charakteru, które mogłyby uatrakcyjnić książkę.

– Charakteru – zawtórował, muskając nos. – Spokojny Z dystansem. Może trochę ponury. Pewnie dlatego, że nie miał się z kim zabawić. No i na dokładkę był Niemcem... To chyba tyle. Raczej unikał ludzi, tak jak my wszyscy. Buck przydzielał nam chaty i kazał „olśniewać geniuszem”. Odosobnienie było tam mile widziane. Trudno w takim miejscu o ożywione życie towarzyskie.

– Słyszałem, że przyjęcie inauguracyjne było dość ciekawe.

– Wino, kobiety i śpiew. Porcja zabawy, która miała nam starczyć na cały rok, a ja musiałem się akurat wtedy poddać operacji wyrostka. Pech. Kiedy wróciłem po okresie rekonwalescencji, szef nie chciał mnie widzieć na oczy. Karał za nieobecność. Jakbym zlekceważył go, rozwalając sobie wyrostek. Po paru miesiącach wylał mnie na zбитy pysk.

Zaczął ogryzać gałązkę selera z drinka.

– Mój Boże, tyle wspomnień. Naprawdę zabiera się pan do napisania na ten temat książki?

– Mam taką nadzieję.

– Proszę mi wysłać jeden egzemplarz, jeśli uda się ją wydrukować.

– Nie ma sprawy. Skoro mowa już o wydawaniu książek, to może mógłby mi pan powiedzieć coś o dwóch stypendystach, którzy byli pisarzami, Terrensie Trafficancie i Dentonie Mellorsie. Książka Trafficanta była przez pewien czas bestsellerem, potem autor zapadł się pod ziemię, a co do Mellorsa, to zdaje się, że nawet nie udało mu się niczego opublikować.

– Terry Pirat i Denny... ale numer, całkiem o nich zapomniałem. No cóż, Terry wylądował pewnie w jakimś pudle. O Dennyem nie potrafię powiedzieć niczego.

– Sądzi pan, że Trafficant znowu wpadł w tarapaty?

– To do niego podobne. Kłopoty to była jego specjalność, uwielbiał je. Uważał się za czarny charakter, wyjętego spod prawa rewolwerowca. Niezły był z niego opryszek, chodził sobie z zatkniętym za pas wielkim nożem myśliwskim, którego podczas posiłków używał do dłubania w zębach i czyszczenia paznokci. Jedząc, kładł go koło talerza, drugą ręką zasłaniając jedzenie, jakbyśmy tylko czekali, żeby mu je podwędzić. Przyczepił się do tego biednego Sprentzela. Zdejmował koszulę i pytał tamtego, czy mu się podoba. Naśladował jego wymowę, wyzywał od pedałów i w ogóle od ostatnich. Groził mu.

– Czym?

– „Ożenię się z tobą mój pedziu” i tym podobne świństwa. My wszyscy robiliśmy wtedy ze strachu w portki, ale Lowell zawsze trzymał stronę Terry'ego. Był jego pupilkim... niezła z nas była rodzinka. Więzienie to naturalne miejsce przeznaczenia dla Trafficanta.

– Nie mogę się nadziwić – zauważyłem – że po osiągnięciu takiego sukcesu powrócił na złą drogę.

– To oprych – powtórzył zaciekle. Na czole błyszczał mu pot, oblizywał wargi. – Skończony oprych.

– A Mellors?

– Kolejny klejnot w koronie. Bardzo inteligentny, wygadany, wykształcony, trochę może lizus.

– Podlizywał się Lowellowi?

– I Terry'emu. Miał z nim lepsze układy niż my wszyscy. Nie był jednak aż tak wielkim ulubieńcem szefa. Numer dwa na jego liście.

– Mówi pan tak, jakbyście stworzyli tam jakąś hierarchię.

– Jasne. Pierwszy był Terry, zaraz za nim Denny. Potem Sprentzel i ja, współzawodniczący o skromną pozycję. Wygląda na to, że Sprentzel był na szarym końcu z powodu homoseksualizmu. Buck nie znosił takich odchyłów: mężczyzna musi być mężczyzną jadać krwawe mięso, itepe.

– Ale mimo wszystko wybrał go na stypendystę.

– Wtedy jeszcze nie wiedział o zbrodni tamtego. Sprentzel nie należał do fircyków, łąszących się i kokietujących. Sam już nie wiem, jak dowiedzieliśmy się, że jest homo. Prawdopodobnie od Terry'ego. On zawsze przywiązywał do tego dużą wagę. – Spuścił wzrok. – Ty le hałas... nóż... tak, biedny Sprentzel był wśród nas zerem.

– Czy Mellors także należał do twardzieli?

– Nie, nie, on był typem naukowca. Perfidny, ale nie odpychający.

– Zdjęcia Trafficante widziałem, a Mellorsa ani w ząb – zagadnąłem po chwili zastanowienia, jak zapytać o wygląd tego ostatniego.

– A, tak, Terry zdobył przez pewien czas duży rozgłos. Ta jego książka.

– A Mellors? Czy jego utwór wyszedł w końcu drukiem?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami. – Jak już mówiłem, Buck wolał trzymać nas w odosobnieniu.

– A jak wyglądał? Chciałbym go sobie jakoś wyobrazić.

– Silnie zbudowany. Muskularny. Drobny jak na swój kolor skóry.

– Był Murzynem?

– Mieszańcem. Ludzie z RPA nazywają takich „kolorowymi”. Murzyńskie rysy twarzy przy brązowej skórze. Blondyn. Dość przystojny.

– Broda, wąsy?

– Chyba tak. To było tak dawno. Raczej wąsy. Nie chciał, żeby ludzie brali go za Murzyna. Nie lubił rozmów o rasie. Gdy kiedyś Sprentzel, dręczony niemieckimi wyrzutami sumienia, poruszył ten temat, Mellors po prostu wyszedł bez słowa. Po chwili zjawił się Terry i zaczął wyzywać go od pedałów. Nudy na pudy.

– Jak doszło do tego, że właśnie Trafficant i Mellors zdobyli tyle uznania w oczach szefa?

– Denny dlatego, że wszem i wobec powtarzał, jaki Buck jest genialny. Przypadek Terry'ego był odmienny... wyglądało niemal na to, że Buck go podziwia. Jakby reprezentował jakieś cenne dla tamtego wartości.

– Na przykład?

– Nie mam pojęcia.

– Nienawiść do kobiet?

– Chyba do wszystkiego od początku do końca. – Przyjrzał mi się badawczo. – Zalewali obaj pały i chodzili po lesie rycząc sprośne piosenki.

– Czy podczas pobytu w Sanktuarium Trafficant wszedł w jakikolwiek konflikt z prawem?

Przesuwał palcami po łodyżce selera.

– Tyle że biegał z tym nożem i nas straszył. A bo co?

– Próbuję go sobie wyobrazić. Cały czas nie daje mi spokoju to jego nagłe zniknięcie.

– Niech pan poszuka w więzieniach. Albo na cmentarzach. Miał podły charakter. Umiał się wkurzyć przez byle duperekę. Daję mu niewielkie szanse na dożycie spokojnej starości. Zresztą oceną ryzyka zajmuję się zawodowo. Liczę komu się uda, a kto wykorkuje. No właśnie, muszę już uciekać. Było miło ale się skończyło i pora wrócić na ziemię.

Rozdział trzydziesty drugi

W głosie Mila w słuchawce brzmiało jedno wielkie znużenie.

– Depresja? – zagadnąłem.

– Nic się nie klei. Koroner ocenił efekty naszej pracy jako żadne. Morderca ma obsesję.

- Co wiemy o odchodach na zwłokach?
- Pochodzą od psa. Kolejny szczegół, który ukrywamy przed mediami.
- Czy jakaś Bogetka ma psa?
- Całą hordę, ale spróbuj tu dostać chociaż jeden balas. Obwarowały się na jakimś zabitym dechami rancho koło Pacoima, należącym do jednego z obrońców Schwandta. Stada zawszonych psów, kotów i koni, otoczone drutem kolczastym.
- Jakaś komuna? Przynajmniej zgromadziły się w jednym miejscu, ułatwiając chyba inwigilację.
- Nieszczęśliwie. Nie ma się gdzie schować. Wszędzie pustkowie. Dziewuszki wychodzą przegonić nas w skąpych peniuarkach. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, drogi przyjacielu. Co u Lucy?
- Dzisiaj się z nią nie widziałem, pojechała gdzieś na wycieczkę z Kenem. Zresztą wyjechał ktoś jeszcze. – I opowiedziałem mu o wyjeździe Doris w towarzystwie Toma Shea.
- Mówili mi, że lubi hazard. Zatem jeśli ktoś jej za coś płacił, w tym tkwić może przyczyna różnic w statusie majątkowym jej i państwa Shea.
- Mówiłeś, że ona raczej za nimi nie przepada, a teraz Tom Shea ją gdzieś wozi?
- Jeśli robi sobie urlop pod wpływem moich pytań, to Shea pewnie też wzmagają czujność. Możliwe, że pomagają jej w ucieczce, bo leży to w ich interesie.
- Do tego należy dodać naszą pogawędkę z Mo Barnard. Ona mieszka nieopodal restauracji. Jeżeli wpadła tam kiedyś na kolację i wygadała, że ktoś rozpoczyna śledztwo w sprawie Karen... ciekawe, czy małżeństwo Shea też zapadnie się pod ziemię?
- Raz już tak zrobili. Teraz jednak są nieco uwiązani. Być może uważają Doris za rysę w swoim alibi i po jej wyjeździe czują się spokojniejsi. Ona nie jest związana z nikim w mieście: ma dwóch synów w wojsku, jednego w Niemczech, drugiego w pobliżu Seattle. Podejrzewam, że mogli zmienić nazwisko. Może zatrzymała się u jednego z nich, może pojechała uprawiać hazard do Nevady. Mówiła, że ten stan się jej podoba, że nosi się z zamiarem przeprowadzki w tamte okolice.
- Coś w stylu wcześniejszej emerytury? Nią też się zajmę w wolnej chwili. A propos, nie dowiedziałem się niczego na temat Trafficanta. Nie będę w stanie sprawdzić wszystkich więzień, ale dotarłem już do tych większych.
- Z kolei ja trochę się o nim dziś dowiedziałem. Znalazłem jednego ze stypendystów Sanktuarium, rzeźbiarza nazwiskiem Christopher Graydon-Jones. Wybił się w jednym z towarzystw ubezpieczeniowym w Santa Monica. Przypomina sobie, że Trafficant lubił wszystkich

terroryzować i wymachiwać im przed oczami nożem. Był pupilkiem Lowella. Upijali się i chodzili po lesie. Trzeci mężczyzna ze snu może okazać się Dentonem Mellorsem. Był jedynym krytykiem, który przychylnie ocenił ostatnią książkę Lowella. Miał wąsy – choć nie takie jak we śnie Lucy – i padał przed Lowellem na kolana. Tworzyli wraz z Trafficantem swego rodzaju klikę. Stawiam na to, że on jest Owłosionymi Wargami, a Trafficant stoi odwrócony plecami. Graydon-Jones powiedział coś jeszcze na poparcie mojej hipotezy: Lowell szanował Trafficanta. Nie łączyły ich jedynie typowe więzi pomiędzy uczniem i nauczycielem. Podczas ostatniego seansu Lucy mówiła, że ten trzeci mężczyzna odnosił się do Lowella opryskliwie. Nakazywał mu wepchać dziewczynę do grobu. Ze słów rzeźbiarza wynika, że Trafficant mógł sobie na to pozwolić i uszłoby mu to płazem. Co ty na to?

– Sądzę, że znajdujesz już pewne nici i zbliżasz się do kłębka. Możliwe jednak, że po tylu latach i przy tak niewielu świadkach nigdy tam nie dotrzesz. Ale co ja się tu będę wymądrzał. Cały dzień poświęciłem na modlitwy, żeby Bozia dała mi dar odróżniania różnych rodzajów psiego gówna.

Denton Mellors skończył studia na Columbii, ale było już za późno na telefon do uniwersytetu. Domniemając, że mógł wrócić do Nowego Jorku, zatelefonowałem do tamtejszej informacji, ale go nie znaleźli. Później przyszło mi do głowy, że mógł zostać w Los Angeles i zaczepić się w jakiejś gazecie albo w filmie. Dalsze domysły przerwał telefon od sekretarki.

– Nagłe wezwanie od pana Kena Lowella. Nie mógł zaczekać przy telefonie, wygląda na wzburzonego. Prosi o kontakt pod takim numerem.

Serce waliło mi jak młot, gdy wykręcałem kierunkowy 818. Kolejna próba samobójstwa? Albo coś jeszcze gorszego. Lucy okazała się delikatniejsza niż sądziłem, poddawanie jej hipnozie to fatalna omyłka, która doprowadziła do jeszcze większego osłabienia psychiki.

– Posterunek w Van Nuys.

Policja. Gorzej niż myślałem.

– Tu doktor Delaware. Dzwonię na prośbę Kena Lowella.

– Kto to taki?

– Zapewne brat ofiary.

– Zapewne?

– Jestem tylko lekarzem i przed chwilą dostałem od niego telefon z prośbą o oddzwonienie.

– Jak on się nazywa?

– Lowell.

Po czterech trwających całą wieczność minutach usłyszałem głos Kena.

– Dzięki Bogu, że do pana dotarli. Mamy poważne kłopoty.

– Przez Lucy?

– Nie, nie, przez Puka. Znaleźliśmy go. Okropne. Ona go właściwie jeszcze nie widziała, bo zamknąłem jej drzwi przed nosem, ale...

– Co się stało?

– Mówią że przedawkował. Że pewnie dorwał się do jakichś mocnych drągów lub czegoś w tym stylu. Z ramienia jeszcze sterczała mu igła. – Usłyszałem, jak z trudem chwyta oddech. – Przepraszam.

– Powoli, spokojnie.

– Cały był... ale widać było tę cholerną igłę. – Załamał mu się głos i zorientowałem się, że tłumi szloch. – To już nie przypominało ramienia – wykrztusił przełykając ślinę. – Ale widać było tę cholerną igłę.

Rozdział trzydziesty trzeci

Komenda w Van Nuys stanowi część urzędowego kompleksu, w którym przeważają sklepy z artykułami używanymi, komisje i sklepy z przecenionymi ubraniami. Zaraz za drzwiami, obok różnych zarządzeń i listów gończych, powieszono skserowany list od miejscowego gangu, którego członkowie grozili policjantom śmiercią. Ktoś dopisał komentarz „śmiało, wszarze”. W pierwszym pomieszczeniu panował ożywiony ruch. Na wpisanie do rejestru czekało kilku mężczyzn w kajdankach. Przedostanie się przez recepcję zajęło mi dobrą chwilę. W końcu funkcjonariusz o nazwisku Almondovar zaprowadził mnie do wydziału kradzieży i zabójstw. Około trzydziestu pięciu lat, krępy i przysadzisty, miał starannie uczesane, siwiejące włosy i przenikliwe oczy. Ubrany był w szary, zamszowy płaszcz, nieco ciemniejsze spodnie i kowbojskie buty.

– Kim jest pański pacjent? – zapytał.

– Pani Lucy Lowell. Czy to było przypadkowe przedawkowanie?

– Znał pan ofiarę?

– Ze słyszenia.

– Ciężkie dragi?

– Od dłuższego czasu.

– Trudno było ocenić w stanie, w jakim się znajdował. Proszę.

Otworzył drzwi pokoju śledczego. Lucy i Ken siedzieli obok siebie przy składanym stole, sprawiając wrażenie jeńców wojennych. Przed nimi stały dwie nie ruszone filiżanki kawy.

– Jak tam? – przywitał się Almondovar.

Ken miał przekrwione oczy, a pokryta blond zarostem twarz wyglądała na opuchniętą. Lucy nie wykonała żadnego ruchu. Patrzyła na mnie nieprzytomnym, niewidzącym wzrokiem.

– Spisaliśmy już ich zeznania, doktorze – wtrącił Almondovar. – Gdybyśmy chcieli jeszcze czegoś się dowiedzieć, zawiadomimy państwa.

Żadne z nich nie drgnęło.

– Doktorze, chciałem przez to powiedzieć, że państwo są wolni.

– Pójdziemy sobie, jak tylko będzie to możliwe – odparłem.

– Ten pokój może nam się zaraz przydać – szepnął mi do ucha, po czym zwrócił się do tamtych dwojga: – Bardzo mi przykro, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Wyszedł. Ken zakrył twarz i potrząsnął głową. Poklepałem go po ramieniu. Spojrzał na mnie i spróbował zdobyć się na uśmiech, potem popatrzył na Lucy. Wpatrywała się szklanymi oczyma w ścianę. Wziąłem ją za rękę i nieco ucisnąłem. Zareagowała. Potem głęboko zaczerpnęła tchu i wstała. Ledwie trzymała się na nogach. Ken zerwał się i schwycił ją za łokieć, ale trzymała się dzielnie. Wyprowadziłem ich z posterunku. Patrzyło za nami paru policjantów.

Samochód Kena zostawiliśmy na płatnym parkingu, po czym pojechaliśmy moim wozem na Rockingham Avenue.

– Jestem zmęczona – oznajmiła Lucy, gdy dojechaliśmy na miejsce.

– Przygotuję wszystko – powiedział Ken.

Zniknęli, a ja czekałem w stołowym, kartkując album poświęcony posiadłościom w Newport na Rhode Island. Ken zszedł na dół po mniej więcej kwadransie. Zdjął marynarkę, pod którą miał zmiętą koszulę.

– Zrobić panu drinka?

– A nie woli się pan też przespać?

Wydobył z siebie gniewny odgłos, który równie dobrze można było wziąć za śmiech, jak i kaszel.

– Nie powinienem opowiedzieć panu o tym, co się zdarzyło?

– To może poczekać.

– Ale nie musi – zareplikował.

Przeszliśmy przez kuchnię do jadalni i siedliśmy przy dębowym stole.

– Mieliśmy zamiar przejechać się i obejrzeć pewną stadninę koni, którą będę się nie-
długo zajmował – rozpoczął. – Poranek zaczął się śniadaniem na mieście. Lucy sprawiała wra-
żenie niezwykle spiętej. Nawet nie tknęła jedzenia. Spytałem, co się dzieje, na co odparła, że
cały czas jest myślami przy Puku. Po czym rozplakała się. – Spojrzał na mnie zboląły. – Może
jednak kawy?

– Nie, dziękuję.

– Niech tam... o czym to ja? – Potarł brodę. – Aha, więc zaproponowałem, żebyśmy
pojechali do niego i przekonali się, czy przypadkiem nie zostawił jakiejś wiadomości. Nie była
pewna, mogli go przecież szukać; nie chciała naprowadzać nikogo na właściwy trop. Z drugiej
strony nie chciała mnie na nic narażać – wytarł oczy.

– Miała na myśli handlarzy narkotyków? – spytałem.

– Chyba tak. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego kłopotach. Dopiero niedawno zoriento-
wałem się, że jest uzależniony. Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, czułem, że coś z nim nie
tak. Był chudy, pokasływał, miał wieczny katar. Do głowy przyszło mi AIDS. Ale do rzeczy. Je-
dliśmy śniadanie, a przynajmniej ja jadłem. Po chwili Lucy jakby zmieniła zdanie. Moglibyśmy
przecież zachować ostrożność, rozglądać się, czy nikt nie obserwował mieszkania i w razie
czego wejść... chwileczkę.

Wstał, zrobił sobie filiżankę kawy rozpuszczalnej i wrócił do stołu.

– Stwierdziła też, nie znoszącym sprzeciwu głosem, że bratu z pewnością coś zagraża,
w przeciwnym bowiem razie chociaż raz by przecież zatelefonował. Spytałem, co ma na myśli
mówiąc o zagrożeniu. Nie miała pojęcia. Puk nigdy się jej nie zwierzał, ale zapewne ma to
związek z długami. Pojechaliśmy więc do niego. Lucy miała klucz. – Otarł łzę. – Niezła dziura.
Właściwie opuszczona rudera. Sklep na parterze był pusty. Do Puka wchodziło się po scho-
dach od tyłu, przy śmietniku.

Przezcesał włosy i z wysiłkiem przetłknął ślinę.

– Zaraz za drzwiami uderzył nas ten zapach. Jakby brudna odzież, zmieszana z zepsu-
tym jedzeniem... ale w mieszkaniu panował potworny burdel, po podłodze wały się puszki,
więc nie zwróciłem na to szczególnej uwagi. Mieszkanie miało nadspodziewanie duże, z dwo-
ma sypialniami, tyle że praktycznie bez mebli. Lucy powiedziała, że Puk sypia w pokoju z tyłu,
więc poszliśmy tam. Drzwi były zamknięte, a ze środka dobiegał szum przypominający odgłos
maszynki do golenia. Spojrzeliśmy na siebie wystraszeni. Ucieszyłem się wtedy, że może czeka
nas miła niespodzianka, przyjechał, goli się, sprząta. Więc otworzyłem drzwi...

Zamrugał oczami i odstawił kawę.

– Ledwie je uchyliłem, zaraz rzucił się na mnie rój much. To one tak brzęczały. Tysiące larw, które obsiadły całe łóżko. Na podłodze rozsypane było coś przypominającego do złudzenia ryż. Po chwili dojrzałem... pod całą kupką zobaczyłem... to. Sterczącą igłę. Lśniącą i czystą. Jedyne czyste przedmiot w pokoju. Był pod spodem, na łóżku. I na podłodze. Trudno było odróżnić go od tych... Roztopił się!

– To tak zwany oczyszczalnik – poinformował mnie Milo. – Wycieka ze zwłok, gdy gnicie jest zaawansowane. Oznacza to, że trochę sobie tam poleżał.

Siedzieliśmy w stołowym w domu w Brentwood. Zjawił się dwie godziny po tym, jak przywiozłem Lucy i Kena. Obydwoje teraz spali.

– Jak długo? – spytałem.

– Trudno powiedzieć, w mieszkaniu działała klimatyzacja. Koroner twierdzi, że w przybliżeniu od trzech do ośmiu dni.

– Z tego co wiemy, bardziej prawdopodobne wydają się trzy dni, gdyż wcześniej przebywał w Nowym Meksyku. Wygląda na to, że wrócił wkrótce po telefonie do Lowella. Mimo wszystko starannie unikał telefonu do Lucy.

– Zdążył dać sobie w żyłę – powiedział. – Policjanci z Van Nuys znaleźli w ubikacji niezłą działkę. Towar meksykański, ale bardzo mocny. Od działki oderwano tylko kawałek.

– Przesadził – dorzuciłem. – Był tak naćpany, że nie mógł zdobyć się na telefon do Lucy.

– Długo już śpią? – rozejrzył się po pokoju.

– Półtorej godziny.

– Ken razem z nią?

– Pół godziny temu poszedł zajrzeć do jej pokoju i od tego czasu się nie pokazał.

– Uciekł w sen.

– Drogi stary Buck też ma skłonność do zasypiania, gdy nie może znieść napięcia lub bólu.

– Niektórym po prostu zesłano przesrane życie, mam rację? – Zaczął strzelać palcami. – A reszta żyje ich kosztem. No to może zwiejemy stąd i pojedziemy się gdzieś zabawić, na przykład do cyrku? A, mówiłem ci, jak kiedyś przytapałem klowna? Podglądał. Nie dołączył tego do swoich występów.

– Szumowiny urządziły sobie całkiem przytulne gniazdko. – Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. – Prawie im się opłaciło.

Na schodach ukazał się Ken, przytrzymujący się poręczy. Ułożył włosy, ale wyglądał jakby robiło mu się niedobrze.

– Zdaje się, że usnąłem. Witam pana.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Lucy śpi? – zapytałem.

– Właśnie wstała. Jeśli chce pan do niej pójść, to nie ma przeszkód. Leży w pokoju na końcu korytarza.

Wszedłem po schodach. Pokój Lucy utrzymany był w jasnoniebieskim kolorze z białymi wykończeniami; był niewielki, z ozdobionym nie heblowanymi belkami sufitem. Na środku stało łóżko z baldachimem, z obszytą koronką pościelą. Siedziała na brzegu i wpatrywała się w okno. Usiadłem obok. Nie zareagowała. Miała suche oczy i spierzchnięte usta.

– Strasznie mi przykro, Lucy.

– Koniec. Po wszystkim.

Poklepałem ją po rękach. Palce miała zimne jak Puk.

– Ktoś przyszedł?

– Milo.

Skinęła głową i dalej lekko się kołysała.

– Zero zdziwienia – odezwała się. – Chyba od początku przeczuwałam coś takiego, ale...

– To jest zawsze trudne.

– Jakby mi odbierano... jedno po drugim... pustka.

Ścisnąłem jej palce.

– Niech tu przyjdzie. Milo – wyjaśniła. W jej głosie brzmiało niemal błaganie. Zszedłem na półpiętro. Milo i Ken cały czas stali przy wejściu. Wyglądali tak, jakby nie poruszyli się od czasu, gdy ich zostawiłem.

– Chciałaby się z tobą zobaczyć.

Przeskakiwał po dwa stopnie. Gdy zniknął, Ken dotknął swojego brzucha i skrzywił się żałośnie.

– Żołądek mam już zupełnie rozregulowany, niczego nie trzyma. Może zrzucę w końcu

trochę sadła. W zeszłym roku przytyłem aż siedem kilo. To przez rozwód. Sprawa była dość nieprzyjemna. Moja żona Kelly poznała jednego gościa. Narzekała na nudę, więc podsunąłem jej propozycję, żeby zapisała się na jakieś zajęcia w college'u. Tam spotkała tego bezrobotnego budowlańca. Próbowałem nakłonić ją do wizyty w poradni rodzinnej, ale nie chciała o tym słyszeć. Kiedy w końcu zorientowałem się, że między nami wszystko skończone, chciałem przeprowadzić to w kulturalny sposób, zwłaszcza dla dobra dzieci. Ale podjudziła je przeciwko mnie.

– Nie będzie im dzięki temu łatwiej.

– Sprawa trwa już od roku i rozprawy trwają cały czas. Jej ojciec ma kupę forsy, na jego skinienie zbiegają się tłumy adwokatów. Mówi, że nie zaprzestanie wysiłków, dopóki nie dostanie wszystkiego. – Ponownie zakaszła czy też zaśmiała się. – Dlatego też chciałem nawiązać kontakt z Pukiem i Lucy. A tu masz babo placek.

Wrócił Milo.

– Znowu zasnęła.

– Pójdę pozamykać drzwi – powiedział Ken.

– Dlaczego? – zdziwił się Milo. Nakreśliłem mu sytuację.

– W takich okolicznościach – zwrócił się do Kena – w razie czego może pan na mnie liczyć.

– Dziękuję. Czy policja traktuje to zdarzenie jak wypadek?

– Prawdopodobnie.

– Pewnie mają rację – skwitował Ken. – Czasem odnoszę wrażenie, że przypadek rządzi wszystkim.

Na chodniku przed domem zapytałem Milla, czy Lucy coś jeszcze powiedziała.

– Trzymała mnie za rękę i na zmianę płakała i śmiała się. Myślisz, że się z tego jakoś wylize?

– Ma dość silną psychikę... ale takie napięcie rzadko kto by zniósł.

– Piękna pogoda – zmienił temat, zerkając na błękit nieba. – W międzyczasie tu i ówdzie zadzwoniłem. Sklep ze sprzętem do surfingu jest zamknięty, co może oznaczać, że państwo Shea też się ulotnili. Żadnych wieści o Trafficancie, a jeśli Mellors coś przeszkrobał, to zrobił to bardzo przebiegle. Nie ma go w żadnych kartotekach i bankach danych.

– Co to ma znaczyć? Wszyscy tak po prostu znikają?

– Koniec końców spotyka to wszystkich – odparł pocierając twarz.

Z domu zadzwoniłem na uniwersytet Columbia. Nikt nie słyszał tam o Dentonie Mellorsie. Albo kłamał na temat swego wykształcenia, albo studiował pod fałszywym nazwiskiem. Pseudonimem. Znalazłem numer „Manhattan Book Review” i zadzwoniłem do redakcji. Mężczyzna po drugiej stronie linii roześmiał się tak, jakby miał zatkane zatoki.

– Mellors? I co, mówi lord Chatterley?

– Czasami się z nim utożsamiam. – Śmiech urwał się jak ucięty nożem.

– Taki tu nie pracuje. Pierwszy raz słyszę.

– Na pewno pisał dla państwa artykuły – upierałem się. – Choćby recenzję ostatniej książki Bayarda Lowella.

– To dawno i nieprawda.

– Dwadzieścia jeden lat temu.

– Epoka kamienia łupanego, co?

– Czy w gazecie pracuje ktoś, kto był w niej również w tamtych czasach?

– Nie jesteśmy gazetą – odpalił urażony. – Stanowimy głos krytyki... pewną postawę. Nie zatrudniamy na stałe nikogo prócz pana Upstone'a, mnie, i nieprzeliczonych tłumów niedoszłych krytyków.

– Czym trzeba się wykazać, by zostać recenzentem?

– Należy uznawać pewne kryteria oceny książek.

– To znaczy?

– Styl i treść. Nie bardzo rozumiem, po co...

– Jestem z firmy prawniczej z Los Angeles. Pan Mellors otrzymał właśnie spadek. Nie są to znaczące sumy, ale być może będzie tym zainteresowany.

– Ale ma farta.

– Czy pan Upstone był związany z „Manhattan” w czasie ukazania się tam recenzji Mellorsa?

– Pan Upstone jest z nim związany od samego początku.

– Mógłbym z nim porozmawiać?

– Jeśli pan zasłużył.

– Obiecuję na przyszłość.

– Kalifornia... – roześmiał się – jak można tam w ogóle mieszkać?

Po kilku minutach w słuchawce rozległ się gniewny i przesiąknięty tytoniem głos Masona Upstone'a, któremu powtórzyłem swoją prośbę.

– Nic nie powiem – przerwał mi. – Nie słyszał pan o prawie do zachowania tajemnicy osobistej?

– Nie...

– Zgadzam się. Proszę przekazać swoim znajomym z CIA, FBI czy innej podobnej instytucji, żeby zabrali się do przyzwoitej roboty i przestali szpiegować twórców.

Rzucił słuchawką. Wyszedłem na taras i próbowałem się uspokoić. Błękit nieba stawał się coraz intensywniejszy, ale napięcie psychiczne nie ustępowało. Nie umiałem chronić Lucy, ale powinienem jakoś poradzić sobie z koszmarem...

Lowell, Trafficant, Mellors. Wyjąłem artykuł na temat imprezy w Sanktuarium i jeszcze raz go przeczytałem. Lowell i jego świta. Trafficant wśród akolitów. Czy tamtej nocy prześcigali się w wymyślaniu bezceństw? Czy w trakcie zawodów ucierpiała Karen Best? Musiał istnieć jakiś sposób, by złożyć to wszystko w jedną całość. Przebiegłem wzrokiem listę zaproszonych gości. Typowy zestaw rekinów showbiznesu, żadnych szczególnych powiązań z Lowellem z jednym wyjątkiem, producenta filmowego Curtisa Appa, który sfinansował budowę pensjonatu.

Już gdzieś wcześniej napotkałem jego nazwisko. Po chwili zorientowałem się gdzie: z okazji przyjęcia, połączonego ze składką na rzecz Pen Clubu. Tam po przerwie na większym zebraniu pojawił się Lowell. Składka na więźniów politycznych. Czy App, tak samo jak Lowell, współczuł uzdolnionym przestępcom? A może był po prostu hojny? Wyrachowana hojność? U ludzi ze świata filmu poczucie własnej wartości częstokroć pozostawało w tyle za bogactwem. Czy App chciał kupić sobie ludzki szacunek dzięki pokazywaniu się u boku wielkiego człowieka? Jakiś „producent z niezależnego studia filmowego” stworzył na podstawie Rozkazu: rzucaj światło scenariusz. App czy jakiś inny sponsor? Wyłożenie funduszy na ekranizację tomiku poetyckiego to na pierwszy rzut oka fatalna pod względem ekonomicznym decyzja. Kolejny hojny gest?

Wielki człowiek na lodzie... App wkupuje się w jego łaski? Wyrzuca pieniądze na Sanktuarium, które rozpada się, w miarę jak Lowell przestaje się nim interesować. Ciekawe, co sądzi o poecie. Nieobecny w książce telefonicznej. I nic dziwnego. Czy producenci nie należą do jakiegoś związku... Gildii Producentów na przykład? Odnalazłem jego adres (400 South Beverly Drive w Beverly Hills), gdy zatelefonowała sekretarka.

– Ktoś dzwoni od pana Lowella. Nie podała nazwiska. Intrygujący głos.

Odebrałem.

– Czy nadal planuje pan przywieźć do nas córkę? – spytała Nova.

– Nie miałem wcale takich zamiarów.

– Odniosłam nieco odmienne wrażenie. On jej oczekuje, najlepiej późnym popołudniem. O piątej, może jeszcze później. Po obiedzie zazwyczaj urządza sobie drzemkę i...

– Nie miałem takich zamiarów – powtórzyłem – poza tym pojawiły się nowe okoliczności.

– Czyżby? – wycedziła. – Co takiego?

– Dziś znaleziono zwłoki syna pana Lowella, Petera.

– Kiedy się to stało? – zapytała z powątpiewaniem.

– Ciało odkryto dziś rano. Nie żył już od dłuższego czasu.

– Jak umarł?

– Przedawkował heroinę.

– Jasna cholera – zaklęła. – 1 jak ja mam mu teraz o tym powiedzieć?

– Niech pani zadzwoni na policję, a oni panią wyręczą.

– Nie, nie, to należy do moich obowiązków... to wręcz nieprzyzwoite, ile on musiał wycierpieć. Po przebudzeniu będzie myślał, że zawiadomię go o odwiedzinach córki. Niech pan ją przywiezie. On na to zasługuje. Zwłaszcza w takiej chwili.

– Tak pani sądzi?

– Skąd ta wrogość? Po prostu staram się, jak mogę.

– Ja też.

– Przepraszam – nagle złagodniała. – Z pewnością. Tego się nie spodziewałam. Nie mam doświadczenia w takich sprawach. Naprawdę nie wiem, co zrobić.

– Nie ma na to idealnego sposobu. Niech pani po prostu znajdzie jakąś odpowiednią chwilę – poradziłem.

– Kiedy ona nadejdzie? – spytała niemal wystraszona.

– Kiedy nie będzie pijany, pod wpływem leków ani wzburzony z jakiegoś powodu.

– To mogę czekać... ale ma pan rację. Muszę liczyć się z tym, że wszystko skrupi się na mnie. – Wyglądała na zrozpaczoną.

– Co pani jest? – zapytałem.

– A jeśli dostanie ataku... jest w takiej kiepskiej formie. Może będzie miał zawał? Co ja tu sama poradzę?

– Jasne jest, że potrzebuje opieki lekarskiej.

– Wiem, wiem, ale nie znosi lekarzy.

– Sam nie wiem, co jeszcze mogę pani doradzić.

– Przypadł mu pan do gustu. Może przyjedzie pan tutaj i zostanie, gdy będę mu o tym mówiła?

– Zwraca się pani chyba pod zły adres – zaśmiałem się.

– Nie, nie, naprawdę pana lubi. Mówi, że wypalił do pana z obu luf, a pan odwzajemnił się pięknym za nadobne. Szanuje pana. Pierwszy raz słyszałam, jak wyrażał się o kimś z szacunkiem. Zdaje sobie sprawę, że się narzucam, ale za wszystko panu zapłacę. Bardzo proszę, odchodzę już od zmysłów; w obliczu śmierci jestem bezradna. Cała rodzina jest dziwna, nie tego spodziewałam się, podejmując tę pracę. Ale nie mogę go teraz zostawić samego... tak jak tylu innych.

– Coś mi się zdaje, że to on zostawia wszystkich na lodzie.

– Ma pan rację. Ale on widzi to zupełnie inaczej. Nic na to nie poradzi, jest za stary i już się nie zmieni. Naprawdę boję się, że wszystko zepsuję. Błagam o pomoc. Szczodrze to panu wynagrodzę.

– Nie wezmę od pani ani grosza – odparłem. – Sprzeczne interesy. Ale zgoda, przyjadę. I to zaraz.

Wcielałem się w rolę przyjaznego terapeuty, nawet planując spacer po posiadłości i poszukiwanie splatanych drzew.

– Naprawdę? Nie wierzę własnym uszom. Jeśli będę mogła się jakoś odwdzięczyć... – pociągający ton głosu.

– Trzeba wreszcie doprowadzić wszystko do ładu – stwierdziłem. – Współczuję całej tej rodzinie.

– Są godni litości, prawda?

Rozdział trzydziesty czwarty

Siedziała na ganku i gdy podjechałem pod rząd słupków, uniosła się na moje powitanie. Ubrana była w czarną krótką sukienkę z miękkiego materiału i czarne sandały. Tym razem

założyła stanik w wypukłe wzorki. Z uśmiechem zbiegła po drewnianych stopniach i czułem się jak zapaśnik przed starciem, lecz ona po prostu zatrzymała się tuż przede mną i uściśniła mi rękę. Miała gładką skórę, ale z tak niewielkiej odległości, gdy stała skąpana w blasku słonecznym, zauważyłem nieznaczne blizny pod uszami. Po operacji plastycznej? Starsza niż przypuszczałem? Uścisk dłoni trwał dłuższą chwilę i gdy spuściłem wzrok, spostrzegłem jeszcze więcej blizn na ramionach. Niewielkie, ledwie dostrzegalne, z wyjątkiem długiej, białej szramy biegnące do knykci prawej dłoni.

– Dziękuję – ucałowała mnie przelotnie w policzek. – Jeszcze śpi.

Puściła mnie przodem na ganek, dotykając leciutko mojego krzyża.

– Jak długo zwykle sypia?

– Od dwu, nawet do pięciu godzin. Przed obiadem staram się zmniejszać mu dawki morfiny, żeby dopisywał mu apetyt, ale reakcje organizmu są bardzo gwałtowane.

– Kto wypisuje recepty na morfinę?

– Pewien lekarz z Pacific Palisades.

– Czy przyjeżdża na wizyty?

– Cóż, sam pan wie... – Pocierała kciuk o palec wskazujący, uśmiechała się. Przyszła mi do głowy pogarda Lowella w stosunku do nałogu Puka.

– Proszę dalej – otworzyła drzwi frontowe.

– Może się przejdziemy? – zaproponowałem. – Cały dzień nie wystawiłem nosa z domu.

– Nie ma sprawy – uśmiechnęła się i przygładziła włosy. – Proszę chwilę poczekać.

Wbiegła na piętro i przyniosła ze sobą białe plastikowe radyjko z gumową anteną. Na nalepce widniał napis „Dzieci”.

– To dziecinna zabawka – oznajmiła, przypinając odbiornik do pasa. – Ale starcy są jak duże dzieci.

Pokręciła jakąś gałką. Rozległy się szумы i trzaski.

– Ma zasięg stu kilkudziesięciu metrów, więc nie powinniśmy się zanadto oddalać. Bywa, że budzi się jak dziecko, z płaczem. Zakładam mu też pieluchy.

Podczas przechadzki szła tuż przy moim boku. Zaraz za domem znajdował się suchy i pusty kawałek ziemi, urozmaicony jedynie sznurem na białiznę, zawieszonym na dwóch metalowych słupkach. Dalej zaczynał się las, w którym poszycie było tak gęste, że zdawało się, że nie sposób się przez nie przedrzeć. Przeszliśmy kawałek drogi i obejrzałem się na domostwo.

Bez ganków czy balkonów, same bale, okna i jedne jedyne drzwi. W trzech oknach na parterze wisały zasłony.

– To jego sypialnia? – zapytałem.

– Tak. Kiedyś służyła za bibliotekę, ale nie jest już w stanie wejść na piętro.

Ruszyła naprzód. Ja cały czas lustrowałem budynek, więc też przystanąła.

– Brzydka, prawda? – spytała.

– Jak wielka chata z bali.

– Właśnie, całkiem jak na wsi – przytaknęła i przycisnęła się do mnie ramieniem.

– Przy jego stanie wystrój domu nie ma chyba większego znaczenia?

– Tutaj akurat nic się nie zmieniło. O pieniądze też się nie martwi. Zapewne dlatego, że nigdy mu ich nie brakowało. Ma hopla tylko na jednym punkcie: na swoim. – Oceniała go chłodno, bez złośliwości. Z całego jej zachowania przebijała tego rodzaju rezerwa.

– Długo pani u niego pracuje?

– Pół roku.

– Czym się pani poza tym zajmuje?

– Piszę – zaśmiała się.

– Co?

– Głównie poezję. Zabieram się do stworzenia scenariusza. O Kalifornii... o osobliwościach tego regionu.

– Jest pani ze wschodu?

– Nie, z północy.

– Jak pani do niego trafiła?

– Napisałam list z wyrazami podziwu, na który odpowiedział. Odpisałam, a on przysłał mi jeszcze dłuższą epistołę. Nawiązaliśmy korespondencję. O pisarstwie: rozważaliśmy problemy stylu, struktury fabularnej i tepe. Po paru miesiącach zaproponował mi posadę asystentki. Wyglądało na to, że jest w zasadzie zdrowy i wymaga tylko niewielkiej opieki. Kiedy się tu zjawiłam, okazało się, że będę musiała zmieniać mu pieluchy.

– Ale została pani?

– Jasne – machnęła ręką i przyspieszyła kroku. – To autorytet. Jak mogłam mu odmówić? Tym bardziej że jest żywym materiałem na scenariusz.

– Odniosłem wrażenie, że jego autorytet już co nieco zbladł.

– Chyba dla niewolników bestsellerów. – Zacisnęła zęby, uwydatniając tym samym bliźny.

Przystanęła i nastawiła głośniej radio. Same trzaski. Przyciszyła, nie ruszając się z miejsca.

– Słyszałem, że znajdował się tu kiedyś ośrodek dla twórców – zagaiłem.

– Bardzo dawno.

– Niezły pomysł.

– To znaczy?

– Zaszyć się gdzieś w głuszy, oderwać od szarości.

– To się nigdy nie udaje, można co najwyżej zmienić jej odcienie.

Zawróciła i zaczęła zbliżać się do domu od frontu. Poszedłem jej śladem.

– Jest więc pani miłośniczką jego dzieł?

– Zaprzedałą.

– Ma pani jakieś ulubione utwory?

– Wszystkie.

– A czy przypadkiem nie stworzył tomiku poezji, który brano za antykobiecy?

– Chciał pan przez to powiedzieć, że zdradzam własną płęć, stając się jego miłośniczką? – Uśmiechnęła się krzywo. – A tak, dla niego kobiety są niczym więcej jak mięsem. Obłapuje mnie co najmniej raz dziennie. Ale gdyby kobiety zdobyły się na szczerłość, przyznałyby, że w ich oczach mężczyźni również są zwykłym mięsem? Nie da się ukryć, że wielki członek jest lepszy niż mały.

Uśmiech nie zniknął jej z twarzy. Obróciła się w moją stronę i musnęła mnie po udzie.

– Wszyscy jesteśmy mięsem – stwierdziła radośnie. – Czego tu jeszcze szukać? Buck przynajmniej nie owija niczego w bawełnę. Podcieram mu zadek, więc nie może nic przede mną ukryć.

– Pani przed nim też nie?

– To znaczy?

– Trzeba mu jeszcze powiedzieć o Peterze.

Zamruczała gniewnie, niemal jak mężczyzna. Pokrytą bliznami ręką uszczypnęła się w nos i podrapała w jego czubek.

– Komary – oznajmiła, wymachując ręką w powietrzu. – Mają na mnie chrapkę. A tak,

będę mu musiała powiedzieć. Ale może mi pan wierzyć, że w pańskiej obecności czuję się lepiej. – Znaczący uśmiech. – Roztacza pan pewną aurę. Żyje pan z pomagania ludziom, prawda? – Znowu dotknęła mojego uda. – Dzięki.

Odsunąłem się od niej.

– Co by mi pan radził? – Sprawiała wrażenie rozbawionej.

– W jakich stosunkach był z Peterem?

– Spotkał się z nim tylko raz. Synalek to śmierzący tchórz, zebrał o forszę. Tutaj Buck zмага się ze śmiercią używa narkotyków tylko w skrajnych przypadkach, a ten głupi wszarz z własnej woli daje sobie w żyłę. Raz przyłapałam go, jak usiłował zwędzić trochę ampułek Bucka. Kazałam oddać, bo jak nie, to powiem ojcu. Szkoda, że nie widział pan, jak mu opadła szczęka. Oddał bez słowa. Już nigdy potem się tu nie pokazał.

– Może na swój sposób był uczciwy?

– Jak? – spytała natarczywie, jednocześnie przyśpieszając i nieco się ode mnie oddalając. Oczom naszym ukazał się ganek.

– Może nie mógł znieść faktu, że jesteśmy zwykłym mięsem?

– Dlaczego? A mamy jakiś inny wybór? Domek pod miastem? Proszę spojrzeć – wskazała ręką ptaka, przemykającego w koronach drzew. – Ile życia mu pozostało? Miesiąc? Rok? Pewnego pięknego dnia będzie sobie leciał, a tu jakieś drapieżnik zaatakuje go, połamie mu kości i wysie zeń wszystkie soki. – Miała napięte mięśnie karku. Blizny zamieniły się w głębokie, czarne linie. – Ale żył. Przeżył co swoje. My jak głupi myślimy, że czymś się od niego różnimy. Sensem naszego życia jest istnienie.

– Można je więc dowolnie skracać.

– Jest pan zwolennikiem samobójstwa? – Stanęła jak wryta. – Dziwne jak na psychiatrę.

– Nie jestem zwolennikiem. Ale też nie osądzam.

– A ja osądzam. Jak każdy pisarz. Na tym polega różnica między nami. Pan poświęcił życie uczeniu się reguł, ja wyżej cenię wyjątki.

Ładnie to powiedziała, ale w jej słowach słychać było echo głosu Lowella. Położyła ręce na biodrach.

– Niech pan ją przywiezie, to znaczy córkę. Co mu jeszcze zostało? Ma chyba do tego prawo.

– Nie był zbyt troskliwym ojcem.

– Starał się.

– Pierwsze słyszę.

– Na swój sposób.

– Jak?

– Nie mieszał się do ich życia, żeby jego geniusz ich nie przyćmił. Dawał im pieniądze... jak pan myśli, skąd ten dupek brał pieniądze na narkotyki, gdy wykorzystał całą swoją część funduszu powierniczego? A po czymś takim próbował jeszcze zwędzić ampułki ojca.

– Czemu Buckowi aż tak zależy na spotkaniu z Lucy?

– Bo jest jej ojcem. Córka powinna znać ojca. Jeżeli go nie zna, tym gorzej dla niej. Jest niepowtarzalny. To też jest coś warte. Rozumie pan?

– Niepowtarzalny – zawtórowałem.

– Proszę posłuchać – zaczęła, starając się nie unosić głosu. – Żyje pan z pomagania ludziom, lecz nie oznacza to wcale, że zjadł pan wszystkie rozumy. Gdyby wędrował pan przez jakąś okolicę i natknął się na węża, którego nikt wcześniej nie widział – może byłby jadowity, kto to wie – to czy by pan uciekał? Czy też spróbowałby go pan złapać i czegoś się o nim dowiedzieć?

– Zależy od sytuacji.

Nozdrza rozszerzyły się jej i zaczęły pulsować. Kilka razy otwierała i zaciskała dłonie.

– Staralam się, ale widzę, że wyuczył się pan jednej wersji. On jest jedyną istotą w jej nieszczęsnym życiu płaza, która może zmienić ją w wykwinny kąsek. Ale cóż, może pan zostać przy swych utartych drogach myślenia.

W odbiorniku radiowym rozległ się jakiś dźwięk. Cichy, pełen cierpienia, po chwili stał się donośny. Niartykułowane jęki. Potem cała wiązanka.

– Dziecko się obudziło – oznajmiła.

– Może pan tu zaczekać – powiedziała, gdy znaleźliśmy się przy schodach. Zostałem sam na sam z wypchanymi głowami; przemierzałem gigantyczny pokój, słuchając krzyków dochodzących z tylnej części domostwa. Gdy w końcu ukazał się na swoim wózku, ubrany był w ciemnoniebieski jedwabny szlafrok, narzucony na białą piżamę. Włosy miał w nieładzie.

– Żydek! – zakrzyknął, poklepując kolana. Usiłował przyspieszyć, ale kierowcą była tu Nova, która dowiozła go przede mną. – Der Yid! – Na wargach miał płaty śliny, oczy jeszcze się kleiły. Potarł oko, wyciągnął coś z niego i wyrzucił. – Nie przekonasz mnie, że cię nie obrzezali, a matka chodzi na mszę. Z ciebie taki Freud dla ubogich i dlatego stałeś się Żydem.

Kombinujesz sobie, że jesteś lepszy od wszystkich i daje ci to prawo do wtykania nosa w nie swoje sprawy. Wszyscy znani mi psychoanalicy tacy byli. Dlatego wszyscy są Żydziakami.

Przypatrywałem się wypchanej sowie.

– Gdzie dziewczyna? – zapytał.

– Zachowuj się grzecznie, Buck – wtrąciła nienaturalnie słodkim głosem Nova. – Przyjechał specjalnie, żeby przekazać ci ważną wiadomość.

Wpiłem się w nią wzrokiem. Wzruszyła ramionami i podeszła do okna.

– Czyżby? – zdziwiłem się.

– A nie? – odparowała. – To pan jest specjalistą.

Zostawiła nas samych, odprowadzona wzrokiem przez Lowella.

– Co za policzki – niczym lukrowana gąbka. Zanurzyć się... A ty tu po co, starozakonny? Dziewczyna zbiera się na odwagę skrzywdzonej dziewicy i przysłała cię znowu na zwiady?

– Chodzi o Puka – przerwałem. – Nie żyje. Przedawkował narkotyki.

Kiwnął głową. Znieruchomiał. Zacisnął ręce na kołach i odwrócił się do mnie tyłem.

– Dobrze – wycedził niezwykle cicho. – Przekazałeś mi wiadomość. A teraz wypierdalaj. Jak twoja noga jeszcze raz tu postanie, pożegnasz się z tym światem.

Rozdział trzydziesty piąty

Dwa dni później zjawił się na pogrzebie. Nova pchała wózek przez kołyszącą się trawę cmentarza. Zwracał powszechną uwagę, ubrany w biały garnitur, białą koszulę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Zatrzymał się z dala od Kena i Lucy, gdy ksiądz odczytywał posępną modlitwę. Raz spotkały się spojrzenia moje i Novy, która próbowała wpić się we mnie wzrokiem. Ręką dotknęła piersi. Odwróciłem się i skupiłem na uroczystościach.

Cmentarz należał do terenów, które aż prosiły się o zmianę statusu na park krajobrazowy: Na jego terenie stały biura w stylu kolonialnym, zrównane przez buldożery pagórki na polu golfowym, w najdziwniejszych punktach porozstawiano kopie posągów Michała Anioła. Zamiast nagrobków w ziemi umieszczono mosiężne płytki. Wczoraj Ken kupił dla brata miejsce wiecznego spoczynku, po tym jak Milo przyspieszył wydanie ciała.

Ostatnie dwie doby spędziłem głównie w domu na Rockingham Avenue. Ken i Lucy wpadli praktycznie w apatię, mało jedli, nic nie robili, od czasu do czasu odezwali się. Mnie też dotknęło coś w rodzaju inercji, dlatego też nie podjąłem żadnych kroków w sprawie Curtisa Appa czy Karen Best. Raz zadzwonił Sherrell Best, więc kazałem sekretarce przekazać, że

oddzwonię za parę dni. Chwilowe przygnębienie zdawało się przyćmiewać sprawę koszmaru. Nie wiedziałem, czy on w ogóle kiedykolwiek powróci. Nie dawało mi to jednak spokoju, nawet gdy stałem wśród tej równo przyciętej zieleni. Tuż za mną stało dwóch grabarzy.

Ksiądz mówił coś o zagadkach życia i woli Bożej. Potem zerknął na grabarzy, którzy ruszyli w stronę grobu. Jeden włączył silnik, przymocowany do grubych pasów z materiału, w których umieszczona była lakierowana trumna. Pasy bardzo powoli rozluźniły się i opuściły trumnę. Gdy ta uderzyła w dno mogiły, wydała donośny, niemal melodyjny dźwięk, na co Lucy zaczęła głośno płakać. Ken objął ją ramionami, podczas gdy ona zakrywała dłońmi twarz. Z tyłu Buck powiedział coś do Novy. Grabarze zaczęli zasypywać trumnę. Przy każdym ruchu łopaty Lucy szlochała. Twarz Kena była cała w spazmach.

Buck potrząsnął głową a Nova zaczęła pchać go do wyjścia z cmentarza. Wózek kilkakrotnie stawał, gdyż w koła zaplątała się trawa, więc Nova musiała ją stamtąd wyciągać. Nareszcie dotarli do krawężnika przy stromym podejździe, na którym stał karawan; po wielu wysiłkach wyniosła Lowella z wózka i wsadziła do jeepa. Złożyła wózek, umieściła go w tyle samochodu i ruszyła.

Podwiozłem Mila pod komendę zachodniego LA i wróciłem do Malibu. Sklep dla windsurferów był nadal zamknięty. Zatrzymałem się przy urzędzie miasta, gdzie godzinę zajęło mi odszukanie licencji na prowadzenie sklepu państwa Shea. W okresie, gdy starali się o to pozwolenie, mieszkali w Rambla Pacifica. Po trzech latach przeprowadzili się w pobliże autostrady Pacific Coast.

Pojechałem tam i oczom moim ukazał się jednopiętrowy domek z białych desek, o zielonych okiennicach, ściśnięty przez dwie większe, pokryte stiukami budowle. Zapewne takie właśnie domki stały tu jeszcze w latach dwudziestych i trzydziestych, gdy życie u nas było prostsze i spokojniejsze. Zdarzało się, że stare domki porywało morze.

Zadzwoiłem do drzwi. Cisza. Kołatka była w kształcie lwa morskiego z brązu, pokrywała ją patyna soli. Kilkakrotnie zastukałem za jej pomocą w zielone drzwi. Zero reakcji. Ani widu, ani słyhu robionej na zamówienie furgonetki Gwen czy BMW Toma. W skrzynce pocztowej nie ma żadnych listów, nawet ulotek reklamowych.

Z domu zadzwoniłem do Gildii Producentów Filmowych, gdzie powiedziano mi, że Curtis App jest dyrektorem New Times Production w Century City. Gdy tam zatelefonowałem, w słuchawce rozległ się automatyczny głos z wiadomością, do której zrozumienia trzeba byłoby mieć skończone studia techniczne. Nacisnąłem szóstkę, co miało umożliwić mi rozmowę z panem Appem, po czym nastąpiło rozłączenie.

Minęła właśnie dwunasta. Pojechałem do biblioteki uniwersyteckiej. W komputerze znalazłem kilkanaście wzmianek o Appie. Ostatnie z nich pochodziły sprzed pięciu lat i dotyczyły produkowanego przezeń filmu pod tytułem „Siekiera 2”. Może gdzieś tutaj należałoby szukać duchowego pokrewieństwa z Lowellem. Kolejnych siedem cytatów było mniej więcej podobnej treści. Następnie natrafiłem na artykuł z American Film sprzed trzynastu lat, zatytułowany: „App oskarżony: producent filmów młodzieżowych twierdzi, że ochrania dzieci”.

Mikrofilmu gazety nie odnalazłem, ale był oryginał. Miałem przed sobą wywiad, w którym App przyznawał, iż wszystkie dziewięć z jego softporno filmów, w których często gęsto lała się krew, spotkało się z nieprzychylnym przyjęciem krytyki. Zgadzał się, że „moje filmy nie są klasy Dostojewskiego, to pożywka dla słabych głów. Ale nikt nie dostrzeże w nich łona czy sutek. Oglądają je dzieci, nieźle się bawiąc. Siedząc w kinie nie pętają się po ulicach, można więc moje filmy uznać za część programu opieki społecznej. Mam własne dzieci i osobiście wolałbym, żeby zamiast śmieci w telewizji obejrzały „Janey i jej drużynę” albo „Czerwony księżyc nad obozem”

Wywiad opatrzony był kolorowym zdjęciem, przedstawiającym Appa na przednim siedzeniu czerwonego kabrioletu ferrari. Na twarzy malował mu się pełen pewności siebie uśmiech, w tle widoczne było błękitne niebo i palmy. Wąski w barach, drobny. Szczupła twarz szczurka o niezmiernie spiczastym podbródku. Wianuszek siwych włosów, biała koszulka, czerwony sweter, pasujący kolorem do ferrari. Wspaniale opalony. Ani słowa o scenariuszu na podstawie tomiku Lowella, więc albo coś mi się pomieszało, albo App wołał o tym nie pamiętać.

W komputerze nie znalazłem żadnej wzmianki o nim przez kolejne dziewięć lat, po czym widniał tytuł artykułu w „Wall Street Journal”: Żywność – rynek ma szanse rozwoju. Artykuł należał do charakterystycznych dla Journala, relaksujących notek z pierwszej strony, przeznaczonych dla zbyt nerwowych biznesmenów. Pełne brzmienie tytułu „Żywność: rynek ma szanse rozwoju, jeśli będzie zaspokajał specjalne życzenia klientów: na ten przykład Curtis App lubi brukselkę i jicamę”.

W tamtych czasach – na trzy lata przed inauguracją Sanktuarium – App pracował jako analityk dla firmy inwestycyjnej, której ośrodkiem zainteresowania były sieci supermarketów, automaty z jedzeniem, automatyczne pralnie i bary szybkiej obsługi. Przewidywał, że detaliści będą musieli zająć się szczególnymi wymaganiami różnych grup etnicznych, jeśli chcą wytrzymać narastającą konkurencję. Zdjęcie ukazywało tę samą spiczastą brodę i fryzurę na Be-atlesa. Od sklepów spożywczych do filmów akcji? Związek z Lowellem to chyba kolejny krok w drodze na Parnas.

Po wyjściu z biblioteki skierowałem się do drukarni usługowej. Nie było kolejki i po

dokładnie dwudziestu trzech minutach dostałem do ręki pięćdziesiąt wizytówek. Dobry papier w odcieniu ecru, dystyngowany druk. Sander Del Ware Pisarz Poniżej zmyślona skrytka pocztowa w Beverly Hills i numer telefonu, który służył mi dziesięć lat temu, jeszcze za czasów, gdy pracowałem w prywatnym gabinecie. Trzy wizytówki włożyłem do portfela, resztę do bagażnika, i pomknąłem w kierunku Century City.

Firma New Time Productions znajdowała się w czarnym, dwudziestopiętrowym biurowcu w Alei Gwiazd. Kilka lat temu przebojem kasowym stał się film, w którym grupa terrorystów okupowała tego właśnie rodzaju budowlę. Przesłany ulegli przebiegłości i brutalności nieprzebierającego w środkach gliniarza. W rzeczywistości lokatorami biurowca byli przede wszystkim prawnicy i filmowcy, a z terrorystami prowadzono by zapewne pertraktacje. Studio produkcyjne zajmowało całe niemal najwyższe piętro, z wyjątkiem pomieszczenia, w którym ulokowała się firma o nazwie Advent Ventures.

Do biura wchodziło się przez ogromne dwuskrzydłowe drzwi ze szkła. Pchnąłem jedno ze skrzydeł, które otworzyło się bezszelestnie, ukazując oświetloną blaskiem słońca poczekalnię. Podłoga była z czarnego granitu, meble z jasnej skóry i stali, utrzymane w barwie przypudrowanego, ciemnego błękitu. Na stolikach leżały sterty „Hollywood Reporter” i „Variety”. Na szarych ścianach z pilśni wisiły czarno-białe obrazy bez ram.

Przy niewielkim biurku siedziała osiemnastoletnia może dziewczyna w białym podkoszulku, obcisłych džinsach z nogawkami wsadzonymi za białoczarne buty z cholewami. Miała długie, proste włosy jasno blond, przeplatane pasmami hebanu. Do jednego z nozdrzy wpięła diamentowy kolczyk. Twarz robiła duże wrażenie, mimo że skórę szpecił nieco trądzik. Odstąpiłem swoje, zanim oderwała wzrok od paznokci.

– Tak?

– Ja do pana Appa.

– Nazwisko?

– Sandy Del Ware.

– Masażysta? Myślałam, że jest pan umówiony na jutro.

Podąłem jej wizytówkę, która nie zrobiła na niej szczególnego wrażenia. W całym biurze zalegała cisza, wyglądało na to, że nie ma żadnych pracowników.

– Czy jest pan umówiony?

– Pan App powinien mnie przyjąć. Chciałbym porozmawiać o Sanktuarium.

Poruszyła kilka razy ustami, jakby nakładała na nie szminkę. Gdyby miała gdzieś pod ręką ołówek, pewnie z miejsca zabrałaby się do przeżuwania go.

– Pracuję tu od niedawna. Jest zajęty.

– Proszę go przynajmniej spytać. Sanktuarium. Buck Lowell. Terry Trafficant. Denton Mellors.

Męczyła się przez chwilę, po czym wcisnęła dwa klawisze na przezroczystym aparacie telefonicznym.

– Jakiś producent... w sprawie Santa i Dylana... chyba Millera... Proszę?... w porządku, przepraszam.

Odłożyła słuchawkę, zagapiła się na telefon, mrugając szybko powiekami.

– Jest zajęty.

– Nie szkodzi, poczekam.

– Raczej nie ma ochoty na rozmowę z panem.

– Naprawdę?

– Tak, nie znosi, jak ktoś mu przeszkadza.

– Ach tak, bardzo przepraszam. Musi rozmawiać z kimś bardzo ważnym.

– Nie, jest całkiem... – zamknęła sobie usta i zmarszczyła czoło. – Tak, to sprawa najwyższej wagi.

– Czy jest w towarzystwie jakiejś gwiazdy?

Znowu zajęła się paznokciami. Na lewo zaczynał się jakiś korytarz. Minąłem jej biurko i skierowałem się w tę stronę.

– Proszę pana! – zawołała, lecz nie pobiegła za mną. Dochodziłem do zakrętu, gdy usłyszałem, jak naciska jakieś guziki. Mijałem szare drzwi z pilśni. Plakaty z wymachującymi karabinami kobietami w wieku recepcjonistki, obdarzonymi ogromnymi piersiami oraz ubranymi w skórę facetami z czterodniowym zarostem, którzy udawali rowerzystów i luzaków. Na plakatach widniały też tytuły w rodzaju „Ulicy Poświęcenia” czy „Gorącej krwi”, niektóre wyświetlane całkiem niedawno. Kina dla kierowców, wypożyczalnie wideo.

Na końcu korytarza, w otwartych na oścież, potężnych drzwiach stał App. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, miał około metra sześćdziesięciu pięciu wzrostu. Wianuszek siwych włosów zmienił się w kilka białych kosmyków, sięgających opalonego czoła. Miał na sobie zielonkawy zapinany sweter z delikatnej wełny, spod którego wyzierała cytrynowa koszula, czarne spodnie z ostro zaprasowanymi kantami, na nogach widać było pantofle z krokodylej skóry.

– Spadaj – powiedział spokojnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem – bo wyrzucę na zbity łeb.

Przystanąłem.

– A teraz się kurwa odwróć.

– Panie App...

Zaczął wymachiwać rękami, niczym sędzia piłkarski.

– Zaraz będzie tu ochrona. Znikaj, a może uda ci się nie wylądować w pierdlu, a twoja gazeta nie będzie do końca świata włączona po sądach.

– Nie jestem dziennikarzem – wtrąciłem się. – Jestem niezależnym pisarzem i przygotowuję biografię Bucka Lowella.

Pokazałem mu wizytówkę. Złapał ją, obejrzał ze wszystkich stron, po czym mi zwrócił.

– No i?

– W trakcie badań natknąłem się na pańskie nazwisko. Nie zajmę panu dużo czasu.

– I wyobrażasz sobie, że możesz zajrzeć do mnie jak pierwszy lepszy domokrążca?

– A czy gdybym zadzwonił, to by mnie pan wysłuchał?

– Za Chiny. Teraz też nie – odpalił i pokazał mi drzwi.

– W porządku. Opiszę więc wszystko w następujący sposób: robi pan scenariusz do Rozkazu: rzuć światło. Ciepłą rączką wyklada pan forszę na Sanktuarium, które po roku idzie w zapomnienie.

– Życie. Zdarza się.

– Zdarza się też lepiej. Zawalił zwłaszcza Lowell. Za pana pieniądze sponsorował gości pokroju Terry'ego Trafficanta i Dentona Mellorsa.

– Denny Mellors – zaśmiał się, nie otwierając nawet ust. – Mówiła coś o świętym Mikołaju i Dylanie Millerze? Zna pan tego ostatniego?

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Wszarż stąd do Meksyku – a tą jego gazetą to tyłek można sobie podetrzeć. Nie ma dnia, żeby nie nachodziły nas grandy takich meneli, zasranych paparazzich, węszących jak gończe psy za gwiazdami. Parę dni temu na dwunastym piętrze pojawiła się Julia Roberts i musieli wyrzucać tych obszcymurków łopatami. To się chyba już nigdy nie skończy.

– Może warto by wzmocnić ochronę.

Wytrzeszczył na mnie oczy. Tym razem śmiechowi towarzyszył błysk zębów w koronkach. Odsunął rękaw swetra i rzucił okiem na zegarek, tak cienki, że wyglądał na zrobiony z platyny tatuaż. Za sobą usłyszałem tupot kroków. App skierował wzrok w tamtą stronę, po

czym oparł się o futrynę. Odwróciwszy się zobaczyłem zwalistego, samokańskiego ochroniarza. Nazwisko na identyfikatorze było długie i niemożliwe do powtórzenia.

– Jakież kłopoty, panie App? – zapytał tubalnym głosem, w którego echu App wydał się niedojrzałym wyrostkiem.

App z powrotem ogarnął mnie wzrokiem reżysera. Uśmiechnął się, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Nie, chciałem sobie tylko pogadać trochę z panem... Del Rayem.

– Delondra mnie wzywała.

– To pomyłka. Mamy tu parę spraw do omówienia. Przepraszam za bałagan, Ciem.

Uśmiechnąłem się do strażnika, który zacisnął zęby i poszedł sobie.

– Delondra! – krzyknął App.

Ukazała się recepcjonistka, sunąca w swych obcisłych dżinsach niczym gejsza.

– Słucham, panie App?

Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, spięty srebrną łapą małpy. Odliczył pięć i podał je dziewczynie. Sto dolarów.

– Dziękuję, panie App. Za co?

– To odprawa. Już u mnie nie pracujesz.

Otworzyła usta. Delikatna ręka zacisnęła się na pieniądzach. App odwrócił się do niej plecami i powiedział:

– Proszę, proszę... Sandy, dobrze mówię? I co mi powiesz? Może masz pomysł na film?

Dwie ściany gabinetu zajmowały okna, dwie pozostałe zrobione były i z pobielaną klonową sklejką. Za szybami widniało Los Angeles z lotu ptaka, jastrzębia, który upatruje sobie ofiarę. Na ścianach zawieszono portret uśmiechniętej Marilyn Monroe Warhola. Szafki zastawione były zbindowanymi scenariuszami, z których część miała wypisane na grzbietach tytuły.

App zasiadł za trójkątnym, niebieskim biurkiem z marmuru, na którym stał tylko błękitny marmurowy telefon, podsunąwszy mi jedyne krzesło w pokoju czarne, bez tapicerki, z prostym oparciem. Przy jego siedzeniu stał duży, marmurowy kosz, wypełniony scenariuszami.

– A więc – zagaił – czy oprócz tej książki masz jeszcze coś na koncie?

– Byłem też dziennikarzem. – Wymieniłem tytuły kilku czasopism, licząc na to, że nie-

wiele czyta.

– Co skłoniło cię do zajęcia się Buckiem?

– Głębia upadku. Geniusz, który zaprzedał duszę diabłu.

– Słusznie. Dawanie mu pieniędzy było jednym z poważniejszych błędów, jakie popełniłem w życiu. Możesz mnie zacytować.

– Czemu napisał pan scenariusz do jego wierszy?

– Miałem dobre serce. Wszyscy go zostawiali na lodzie. – Dotknął piersi. – Mam słabość do twórców.

– Dlatego sponsorował pan Sanktuarium?

– Zgadza się. Pomagałem młodym artystom. To cholernie ważne, no nie... przekleństwa opuszczaj... notuje pan w ogóle?

– Nie mam na czym. Sądziłem, że magnetofon i notatnik jeszcze bardziej zmniejszyłyby moje szanse na dotarcie do pana.

– Serio? – znowu błysk koronek na zębach. – Szczęściarz z ciebie, mam dziś dobry dzień. Dzień dobroci dla zwierząt.

W biurku musiała być jakaś szuflada, bo wyciągnął w moją stronę kartkę papieru. Papier firmowy.

– Proszę – powiedział wyciągając z kosza jakiś scenariusz – możesz na nim pisać. Pióro też mam ci dać?

Wyjąłem swoje.

– Pięć minut. Pisz do woli, a potem spadaj. – Założył ręce na kark i rozsiadł się wygodniej.

– A zatem podobał się panu sam pomysł Sanktuarium. Co sądzi pan o stypendystach?

– Terry był nawet utalentowany. Miał pewne problemy, ale kto ich dzisiaj nie ma?

– Nie wiedział pan więc, jaki potrafi być agresywny?

– W stosunku do mnie nie był. Udawał wielkiego maczo. Chodził bez koszuli, popisывał się tatuażami gołych babek. Ale miał talent.

– Co się z nim stało?

– Nie mam pojęcia. Miał mnóstwo propozycji. Mógłby nawet pisać mi scenariusze, ale przepadł jak kamień w wodę.

– Przypuszcza pan, że Lowell wie o jego losie?

– Zawsze tak myślałem, ale nigdy o tym nie wspominał. To przepełniło czarę. Myślałem, że przynajmniej będzie ze mną szczerzy za wszystko, co dla niego zrobiłem. Widział się pan z nim?

– Przelotnie.

– Wariat, co? Ma forsy jak lodu, a żyje w chlewie.

– Skoro jest bogaty, to po co zwrócił się do pana z prośbą o sponsorowanie?

Zdjął ręce z karku i położył je na blacie biurka.

– Bo dałem się wpuścić w maliny. Nie miałem pojęcia, że jest bogaty, nigdy nie robiłem żadnego wywiadu na jego temat. A przecież byłem swego czasu doradcą finansowym – Zabębnił palcami w marmur. – Showbiznes.

– Nie wie pan zatem, co stało się z Trafficantem?

– Nie, ale jakbyś się dowiedział, to daj mi znać, bo nie wywiązał się jeszcze z umowy na scenariusz. – Potrząsnął głową. – Pojebany gość. Mógłby się ustawić. Umiał pisać dialogi, zdarzenia naturalnie układały mu się w sceny. Denny Mellors to zupełnie inna para kaloszy: głuchelec, zdawało mu się, że jest piszącym intelektualistą. Nie był też żadnym grzecznym harcerzykiem. Nie otaczała go zła sława tak jak Trafficanta, ale był nieprzystępny, złośliwy. Właściwie nie mam nic przeciwko Murzynom... nie był zresztą tak do końca czarny. Chyba matka była biała, albo na odwrót, sam już nie wiem. Mówił jak biały. Ale... – machnął ręką z obrzydzeniem i położył nogi na stół. Podeszwy były lśniaco czarne.

– Co on robił?

Spojrzał w stronę okna. Nad górami San Gabriel unosiły się rude opary.

– Wiesz co, jak tak sobie z tobą gadam, przychodzą mi na myśl różne pomysły. Czy ktoś z filmu interesował się już twoją książką?

– Pytali.

– Pracowałeś kiedy w filmówce?

– Raczej nie.

– To bądź ostrożny. Będą ci wciskać, że dla ciebie zrobią wszystko, a będą patrzyli, jakby ci tu można dokopać. Ja robię w tym już dwadzieścia lat, mogę sporo załatwić. W tej twojej książce jest sporo dobrych pomysłów. Jak sam mówiłeś: głębia upadku geniusza. Słyszałeś, że Sanktuarium było wcześniej kolonią dla nudystów? Niezły wstęp, co? Twórcy mieszkają na kupie z nudystami i wpadają jak śliwka w kompot.

– Tryska krew?

– Nie tylko. Trzeba by trochę pozmieniać ze względów prawnych. Może Lowella dałoby się przekwalifikować na muzyka, powiedzmy wiolonczelistę. Tak, to mi się podoba. Pensjonat dla muzyków... grajkowie i nudyści, rockmani i klasycy, wszyscy na kupie... brzmi zachęcająco, co nie?

– Ciekawe, z Mellorsem w roli czarnego charakteru? A gdzie polityczna poprawność?

– Przemalujemy go na białego... i tak w żyłach płynęła mu raczej biała krew. Blondyn, małe wąsiki. Drab... obrzydliwiec.

– W jakim sensie?

– W sensie charakteru. Gęba mu się nie zamykała, gdy gadał o krzywdzeniu, krzywdzeniu kobiet. Nie twierdzą, że do czegoś takiego doszło, ale tyle o tym nawijał, że kto go tam wie?

– Kapuję – odparłem. – Czytałem o przyjęciu na otwarcie Sanktuarium. Wygląda na zabawę na całego, puszczenie się na prawo i lewo, numerki w krzaczkach. Różne rzeczy mogły się tam wtedy zdarzyć.

Uniósł wzrok na sufit, wyłożony tanimi dźwiękoszczelnymi panelami.

– Tak, coś w tym stylu, à la Fellini. „Dolce Vita” w oparach kwasu i trawy... czasy hippisowskie. Wraca na to moda.

– Był pan na tej imprezie?

– Z początku, ale potem za bardzo się rozkręciła i żona kazała zawieźć się do domu.

– Widział pan Mellorsa albo Trafficanta?

– Nie. Za dużo było ludzi, wrzawy, bałaganu, w ogóle bajzel na kółkach. W takich chwilach widzi się wszystkich, ale nie dostrzega nikogo, wiesz, co mam na myśli?

– La Dolce Vita z obrazem drogi na dokładkę?

– O właśnie – oderwał wzrok od sufitu i skierował go w moją stronę. – Umiesz myśleć jak filmowiec. Masz jakiegoś agenta?

– Dopiero szukam.

– Można samemu podpisać umowę na książkę?

– Znajomości z czasów dziennikarki.

– Kto będzie ci ją redagował?

Zmyśliłem jakieś nazwisko.

– No dobra, znajdź sobie agenta albo wal prosto do mnie, to może coś wymyślimy. –

Pokiwał głową. – Załóżmy, że scenariusz z terminem półtora roku i prawami do powtórnej adaptacji.

– Jakie sumy wchodziłyby w grę?

– No, no – zawołał, śmiejąc się od ucha do ucha. – A może tobie w ogóle nie potrzeba żadnego agenta? Jakie sumy? Standardowe. Pod warunkiem, że zainteresuje się nami jakaś telewizja. Ale zanim się do nich zwrócę, muszę dograć wszystkie szczegóły. W dzisiejszych czasach uważają bardziej niż dziewica na koniu... nie zastanawiałeś się nad produkcją kinową?

– Prawdę mówiąc...

– Nie ma co zawracać sobie głowy. Nasza przyszłość to telewizja. Wchodzą w interesy, na które nawet nie spojrzaloby żadne studio, a koprodukcje są cały czas grą wartą świeczki, mimo że bywało z nimi lepiej. Mógłbyś wysmażyć jakiś zarys, powiedzmy na wtorek?

– Nie ma sprawy, ale wcześniej wolałbym omówić z panem pewne aspekty fabuły, żebyśmy się dobrze rozumieli.

– A ta, fabuła – wyduł wargi. – Pisanie to twoja działka. Konflikt między dobrem a złem, rozwiązanie... jakieś sztuki walki. Telewizje nie mogą się doczekać, od czasów kung fu nikt nie wymyślił niczego rewelacyjnego. Muzycy i nudyści, a zło. Rzecz jasna przed kamerami nie mogą pokazywać się rozebrani do rosołu, ale musisz wykombinować tak, że wszyscy będą o tym przekonani. Takie mrugnięcie okiem do publiki, wiesz, co mam na myśli? Tylko nie wolno znieważać ludzkiego ciała. Żeby kobiety nie mdlały i nie wyłączały odbiorników. Dobro i zło. Postaci mają chwilę załamania, ale zasadniczo są konsekwentne. Coraz bardziej mi się to podoba. – Zatarł ręce i wstał. – Zamiast pięciu było trzynaście minut, Sam.

– Czy Mellors ma reprezentować siły zła?

– Pod warunkiem, że zrobisz z niego białego.

– Potrzebuję trochę informacji, żeby uczynić z niego pełnowymiarową postać.

– Obrzydliwiec. Jak już wspominałem, nie cierpiał kobiet, wyzywał je od chytrych dziwek. Po likwidacji Sanktuarium zatrudniłem go u siebie, zrobiło mi się go żal. Przygotowywał książkę, której nie był w stanie dokończyć.

– Brak natchnienia?

– Brak kasy. Natchnienie wyczerpało się Lowellowi. Gadał i gadał, a nic z tego nie wynikało. Tak czy siak, Denny przylaźł do mnie, bo orientował się, że mam dobre serce. Został bez grosza, brał wszystko od Lowella. Pisał swoją powieść, która miała być największym wydarzeniem literackim w Ameryce od czasów „Moby Dicka”. Jako liberał i humanista dałem mu pracę u siebie, w zamian za prawo pierwokupu rękopisu.

– Jaka pracę?

– Nie wymagającą wysiłku. Pisał ogłoszenia, księgował umowy, kserował. Chciałem dać mu wolny czas na pisanie, i pewnego pięknego dnia przygnał do mnie i obwieścił, że z książki zrobił się scenariusz, że to było płynne, naturalne przejście. Nie ma sprawy, to skróciłoby mi robotę. Czekałem więc pół roku, potem drugie pół.

Podszedł do szafki, z jednej półki wyciągnął niepodpisaną książeczkę, otworzył ją odłożył, wyjął kolejną jeszcze cieńszą.

– Przyniósł mi to.

Scenariusz oprawiony był w brązową marszczoną tekturę. Na stronie tytułowej przeczytałem: „Oblubienica”, scenariusz autorstwa Dentona Mellorsa.

– Weź to z sobą – nakazał mi App. – Podobasz mi się, ale nie mam czasu, jestem umówiony.

Złożyłem i schowałem notatki. App wyrzucił z powrotem do kosza scenariusz, który służył mi za podkład. Odprowadził mnie do drzwi.

– Nie znalazłem nigdzie Mellorsa. Nie wie pan, co się z nim stało?

– Bóg raczy wiedzieć. Jak mu powiedziałem, że te bzdury są do niczego, zmieszał mnie z błotem, rzucił we mnie krzesłem – tłukąc parę prekolumbijskich figurek – i zniknął. Dzięki Bogu jego noga już nigdy więcej u mnie nie powstała. Nieźle mnie nastraszył. Od tego czasu zatrudniam ochroniarza.

Wyszliśmy z gabinetu i idąc korytarzem, po czym minęliśmy opustoszałą recepcję. Otworzył szklane drzwi i przepuścił mnie.

– Miło było – więcej takich spotkań, ha, ha! Musimy przemyśleć, co można z tym zrobić, napiszemy i potem możemy zabrać się do dzielenia doli. Umówmy się na środę. Zjemy razem obiad?

Rozdział trzydziesty szósty

Nieopodal biura znalazłem kawiarnię z oddzielnymi przepierzeniami stolikami, zamówiłem kawę i zagłębiłem się w rękopisie Dentona Mellorsa. Niebawem okazało się, że nie jest to właściwie żaden rękopis, obejmował bowiem jedynie streszczenie z odstępami pomiędzy wierszami.

OBLUBIENICA

Widzimy mężczyznę, który przygląda się rozbierającej się kobiecie. Ma twarz psychopa-

ty, jest przystojny i silnie zbudowany, z tych, na których lecą kobitki. Trzyma tasak. Jest noc. Ostrze rozbłyśka nagle w blasku księżyca.

Szaleniec, unosi się i przechodzi przez szklane drzwi. Kobieta namydla się pod prysznicem. Na jej piersiach i łonie widzimy mydlane bańki. Onanizuje się z widoczną rozkoszą. Szaleniec nagłym ruchem otwiera zasuwane drzwi od kabiny prysznic. Kobieta wrzeszczy, psychopata odbywa z nią stosunek analny, morduje, a potem ćwiartuje. Następnie rozbiera się i bierze prysznic, pod nogami cały czas mając jej zwłoki. Później ubiera się i wraca do żony. Jego oblubienica jest młoda i piękna, na pierwszy rzut oka widać, że to dziewczyna.

Zaczynają grę wstępną, po czym psychopata delikatnie się z nią kocha; w razie potrzeby stać go na okazywanie czułości. W miarę jak kobieta osiąga orgazm, jej twarz zestawiona zostaje z szeregiem innych ofiar maniaka, wybranek jego serca. Długotrwały, dogłębny orgazm oblubienicy splata się z cierpieniem tamtych. Dla szaleńca brzmi to jak rozkoszna muzyka...

Zmusiłem się, by doczytać do końca, z trudem powstrzymując się od wyrzucenia rękopisu do kosza. Udało się, i zaraz po powrocie do domu zadzwoniłem do Miła. Nie było go jednak w komendzie i musiałem zadowolić się pozostawieniem wiadomości w jego prywatnej agencji detektywistycznej.

Spróbowałem dodzwonić się do Lucy w Brentwood. Zdjęła słuchawkę z widełek, pewnie znowu śpi. Sekretarka przekazała mi wiadomość następującej treści: Wendy Embrey chciała porozmawiać w sprawie rachunków. Zdenerwowałem się i nawet nie zapisałem sobie jej numeru.

Wziąłem z lodówki piwo i patrzyłem, jak kilku surfingowców zмага się z żywiołem. Streszczenie dzieła Mellorsa tłuło się po głowie jak alarm samochodowy. Spiknęli się z Lowellem i Trafficantem nie dzięki sztuce, lecz poprzez nienawiść do kobiet. Wspólne zainteresowania. Używali sobie podczas imprezy. Za niecały rok Lowell zamyka pensjonat. Do czego go teraz wykorzystuje? Inny rodzaj cmentarza?

Robin wróciła w fantastycznym nastroju i w końcu wylądowaliśmy w łóżku. Staralem się nie myśleć o złych rzeczach, licząc, że dzięki temu będę mógł się z nią kochać. We właściwym czasie zrobiłem wszystko, co trzeba, ale myślami byłem zupełnie gdzie indziej, skupiony na oślepiającym, pulsującym świetle. Robin zaraz usnęła, a ja miałem ochotę wstać. Leżałem jednak dłuższy czas bez ruchu.

– Nie możesz zasnąć?

– Chyba gdzieś się przejadę.

Zaczęła się podnosić, ale pocałowałem ją w czoło.

– Ty zostań.

– Nic się nie stało, Alex?

– Po prostu zaczęła się jedna z moich zwykłych niespokojnych nocy. Wiesz, jak to ze mną jest.

– Nie byłabym tego taka pewna – zamknęła jednak oczy i zrobiła usta w ciup. Pocałowałem je, dotknąłem palcem powiek. Przykryła się poduszkami i zwinęła w kłębek.

Po drodze mijałem Broad Beach, Zumę, Kolonię, Carbon Beach, La Costa. Nad domem Shea świeciło się jedno, bardzo jaskrawe światełko. Od frontu stały dwa starodawne samochody: porsche i korweta. Między nimi zatrzymał się, skądś mi znajomy, podstarzały olds 88. Zaparkowałem za korwetą i skierowałem się do drzwi, które zniemacka się otworzyły i wygramolił się z nich, potykając się, jakiś mężczyzna. Zdawało mi się, że słyszę dochodzący z wnętrza głos, ale szum aut na drodze i morskich fal zagłuszył słowa.

Mężczyzna zawrócił w stronę domu, a ja usłyszałem w końcu wypowiedane przez kobietę słowa:

– Nie chcę cię tu widzieć! Bo wezwę policję!

– Tylko... – krzyknął mężczyzna.

– Wynoś się! Spadaj stąd! Zadzwoń po policję!

– Śmiało, Gwendolyn. A przy okazji zwierz się im, że zabiłaś człowieka – mężczyzna przystanął i splótł ręce na piersi; po chwili ponowił atak na drzwi.

– Gnojek! – zawrzęszczała raz jeszcze kobieta, a mężczyzna, odepchnięty jakąś siłą, zatonął się do tyłu tak, że znalazł się w kręgu światła.

Sherrel Best w ciemnym garniturze i krawacie, o czaszce lśniącej niczym piłka w locie. Stałem tuż za jego plecami, a kobieta znowu chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Zdążył jednak wsadzić między nią a framugę prawą nogę. Przycisnęła mu stopę, aż krzyknął z bólu. Krzyki i przekleństwa Gwen Shea. Nie było słychać Toma, zatem była tam sama. Best usiłował usunąć nogę, ale uścisk drzwi był silny. Gwen nie przestawała wrzeszczeć, napierając całą siłą i starając się zmiażdżyć kostkę wielebnego.

– Przestań, on nie może się ruszyć! – krzyknąłem.

Gdy mnie zobaczyła, oczy rozszerzyły się jej w przestraszu. Uchyliła drzwi, kopnęła Besta w nogę, którą natychmiast wyciągnąłem z otworu, i zatrzaskała z hukiem drzwi. Best leżał na ziemi, jęcząc. Postawiłem go na nogi, ale gdy oparł ciężar ciała na prawej, zgiął się w pół i musiałem podtrzymać go, żeby z powrotem nie upadł.

- Uciekajmy – powiedziałem, usiłując zaprowadzić go do oldsa.
 - Ja zostaję – pokręcił przecząco głową.
 - A jak zadzwoni po policję?
 - To dlaczego jeszcze tego nie zrobiła? Bo czuje się winna. Ja umiem wyczuć wyrzuty sumienia. – Znowu założył ręce na piersi.
 - A jeśli ma broń? Nie należy kusić złego.
 - To będzie miała o jeden więcej grzech na sumieniu.
 - To panu w niczym nie pomoże.
 - To nie po bożemu. – Odwrócił głowę.
 - Niech pan się nie wygłupia – upierałem się. – Zachowajmy zdrowy rozsądek. Dowiedziałem się paru rzeczy, które mogą...
 - Jakich? – Chwycił mnie za rękaw.
 - Powiem panu, jeśli zaraz stąd odjedziemy i obieca pan, że nigdy więcej nie będzie jej nachodził.
- Obejrzał się w stronę domu. Poruszył prawą nogą i skrzywił się boleśnie. Spojrzał na pędzące po autostradzie samochody, potem raz jeszcze na dom, w którym pogaszono światła.
- Biorę pana za słowo.
 - Słucham – powiedział, siedząc już za kółkiem i masując poranioną kostkę.
 - Może trzeba jechać do lekarza?
 - Nie, nie, nie ma potrzeby. Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie.
 - Najpierw proszę przyrzec, że nie podejmie pan żadnych działań na własną rękę.
 - Tego obiecać nie mogę!
 - W takim razie nie mogę panu niczego zdradzić.
 - Przyrzekł pan!
 - To dla pańskiego dobra.
 - Dam sobie radę.
 - Jak widać na załączonym obrazku.

Rozszerzyły mu się nozdrza. Przez ułamek sekundy zupełnie nie przypominał duchow-

nego.

– Niech będzie. Dałem się wystrychnąć na dudka, zresztą tak jak Elias, gdy zszedł z gór i wrzeszczał na Ahaba. Tak jak Mojżesz, gdy rozmawiał z krzakiem i Chrystus, zadający się z grzesznikami i ubogimi...

– Wielebny, nie chciałbym przedłużać pańskich cierpień. Mnie też zależy na odkryciu całej prawdy.

– Dlaczego?

– Dla dobra pacjenta – zareplikowałem prosto z mostu.

– Nie bardzo mieści mi się to w głowie.

– Tak jak i chodzenie po wodzie.

Dotknął obolałej kostki, po chwili powstrzymał się i musnął dłonią tkwiącą w stacyjce kluczyki.

– Jeśli pan naprawdę coś wie, proszę mi o tym powiedzieć. Mogę pana zapewnić, że nie zrobię niczego niewłaściwego.

– Pod warunkiem, że obieca pan nie podejmować żadnych kroków na własną rękę. Działania w rodzaju dzisiejszych tylko utrudniają dochodzenie prawdy.

– Utrudniają? Chce pan przez to powiedzieć, że poczynił pan pewne postępy?

– Tak. Zdaję sobie sprawę, że ciąży to panu od bardzo długiego już czasu, ale będzie pan musiał uzbroić się przez pewien czas w cierpliwość.

– Pewien czas – zawtórował, poruszając stopą. – Po co pan tu dzisiaj przyjechał?

– Ponieważ uważam, że pańskie podejrzania w stosunku do państwa Shea są słuszne. Ale jeżeli będzie się pan w to mieszał, nigdy nie uda nam się ich potwierdzić. Nie powiem ani słowa więcej, dopóki nie obieca mi pan, że będzie mi posłuszny.

Malujące się w jego oczach cierpienie nie miało nic wspólnego z obolałą kostką.

– Niech będzie. Przrzekam nie uczynić niczego, co mogłoby utrudnić panu działania.

– Najmniejszego kroku – powtórzyłem. – Nie będzie pan odwiedzał nikogo związane-
go z tą sprawą chyba że powiadomię pana, że nie grozi już żadne niebezpieczeństwo.

– Dobrze, dobrze. Co pan wie?

– Trzymam pana za słowo.

– Nie będę składał niepotrzebnych przysięg, ale daję panu słowo.

Streściłem mu przebieg wydarzeń, unikając podawania nazwisk. Opowiedziałem o co-

raz większym prawdopodobieństwem, że coś stało się Karen podczas nocnej imprezy, że Felix Barnard dowiedział się o tym, próbował na tym zyskać i zginął przez własną chciwość. Po twarzy przebiegały mu dreszcze wściekłości. Opanował się. Jego spokój był niepokojący, do złudzenia przypominał śmierć.

– Wiedziałem, że coś z nim nie tak – powiedział. – Grzeczny... zbyt grzeczny. Nigdy mu do końca nie ufałem. Jak zginął?

– Dlatego też musimy uważać – powtórzyłem po skończeniu opowieści. – Jeśli w tamtym czasie opłacało im się zabić, żeby sprawa nie wyszła na jaw, to z pewnością nic się pod tym względem nie zmieniło.

– Tak, tak – pośpieszył z odpowiedzią. Ale nie wyczuwało się w nim żadnego łęku, tylko chłodne, spokojne pogodzenie się. Dużo od niego żądałem. Przyszedł mi do głowy obraz u niego w kuchni – „Uprowadzenie Diny przez Sychema” – i pomyślałem sobie, że może pokładam w nim zbyt wielkie zaufanie.

– A co z nimi? – spytał, spoglądając na dom.

– Żadnych bezpośrednich powiązań, z wyjątkiem możliwości, że pośredniczyli w rekrutacji Karen do obsługi przyjęcia. Cały czas nie jesteśmy tego w stu procentach pewni.

– Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Te ich wymijające odpowiedzi. Na przykład to przed chwilą. Skoro jest niewinna, dlaczego nie wezwała policji? I od dwóch już dni ich sklep jest nieczynny i ani śladu jej męża. Może wie, że coś się kroi więc wyjechał. Czy ucieczka nie jest sygnałem wyrzutów sumienia?

– Skąd pan wie, że sklep jest nieczynny? – Nie zareagował. – Inwigilacja?

Uśmiechnął się posępnie.

– Co skłoniło pana do ponowienia obserwacji?

– Nasza rozmowa telefoniczna sprzed paru dni. Z tonu głosu wnosiłem, że trafił pan na jakiś trop. Czy pański pacjent może się ze mną już zobaczyć?

– Ma żałobę. Zmarł mu krewny.

– O Boże – położył ręce na kierownicy i skulił się w sobie. – Przepraszam. Czy on... czy też ona... była w bliskich stosunkach ze zmarłym? Czy może pan mi przynajmniej zdradzić płęć, żebym mógł się odpowiednio pomodlić?

– To kobieta.

– Tak też myślałem – odparł. – Kobiece współczucie... biedaczka. Pozostaje nadzieja, że nadejdzie taki czas, że będzie mogła zapomnieć o żalu.

– Oby.

– Rzecz jasna nie można teraz nalegać. Trzeba odczekać. – Schwycił mnie za rękę. – Kiedy dojdzie do siebie... wszystko jedno, w jakim momencie... proszę mnie od razu powiadomić. Może będę mógł jej pomóc. Może pomożemy sobie nawzajem.

Pokiwałem głową i wysiadłem. Jeszcze przez okno powiedział:

– Dobry z pana człowiek. Proszę wybaczyć mi ten brak zaufania.

– To zrozumiałe.

– Wierzy pan w Boga?

– Na swój sposób.

– To znaczy?

– Wierzę w pewien porządek.

– Dobry początek. Staram się codziennie to sobie powtarzać. Różnie z tym bywa.

Rozdział trzydziesty siódmy

– Chodzę jak we śnie – zwierzyła mi się Lucy. Była dziewiąta rano i nareszcie udało mi się dodzwonić do Brentwood.

– Nie bardzo rozumiem.

– Rozmawiam z nim i wszystko jest jak żywe, po chwili budzę się i zdaję sobie sprawę, że mi się to śniło, a prawda dociera do mnie z całą przenikliwością. Tak chyba powinno być.

– Chyba tak.

– Nic nie robię, bez przerwy śpię. Nic na to nie poradzę, czuję się jak po zażyciu jakichś leków. Gdy tylko zbiorę się w sobie i wstanę, zaraz mam ochotę schować się z powrotem pod kołdrę. Czy mam zmuszać się do czuwania?

– Nie, kieruj się instynktem.

– O Boże, jak ja za nim tęsknię! – Rozpląkała się. – Nie jestem na niego zła, lak widać musiało się skończyć. Dostał do ręki silny środek, nie zdając sobie z tego sprawy... Gdy był na głodzie, tylko jedno chodziło mu po głowie. – Płacz. – Tyle cierpień. Wszystko na marne. Czuję się tak, jakby pękało mi serce... nie wiem, czy kiedykolwiek się z tego pozbięram.

– To kwestia czasu.

– Nie mogę poddać się hipnozie, nie potrafię się skupić... przepraszam.

– W porządku.

– Później. Odłóżmy to. Stać mnie teraz tylko na płacz i spanie... nie chce mi się nawet o tym mówić... przepraszam.

– Nie ma sprawy.

– Przepraszam i przepraszam – przedrzeźniała samą siebie. – Przepraszam za wszystko. Za Carrie Fielding i inne. I za Puka. Za Karen. Nie zapomniałam o niej. Nigdy w życiu nie zapomnę.

Trzech zbrojców w lesie. Barnard dowiaduje się czegoś na ten temat, i ginie. Państwo Shea w domu na plaży. Doris Reingold, żyje, i to żyje w biedzie. Przepuła wszystko? Wywieziona cichaczem przez Toma Shea. Do kryjówki, czy w jakimś innym celu?

Rozważałem różne możliwości. Powracała ciągle myśl o Barnardzie. Jeżeli zginął, bo usiłował kogoś szantażować, charakter jego śmierci pasował do całej reszty. Trup w motelu to pouczający obrazek. Kto go zastrzelił? Morderstwo miało miejsce w rok po zaginięciu Karen. Wtedy Mellors – czy jak tam on się naprawdę nazywał – pracował u Appa, a Trafficant rozplynął się w powietrzu. Pan Bayard Lowell zaś mieszkał w kanionie Topanga. Wizja wielkiego człowieka, umawiającego się z kimś w obskurnym hotelu, nie bardzo mi pasowała. Dlaczego wybrali taką spelunę? Ze względu na pojawiające się tam dziwki? Według słów Mo Barnard Felix latał za spódniczkami. Czy zwabili go obietnicą kolejnej zapłaty, której żądał?

Stał mi przed oczyma ze spuszczoneymi spodniami, z radosną niecierpliwością oczekując dziewczynki na wąskim łóżku w pokoju z zasłoniętym oknem: na wideo leci pornos, na stoliku grzeje się wódka. Kobieta w skąpych majteczkach i butach na wysokich obcasach. Uśmiecha się, po czym znika w łazience, puszczając oko i mówiąc „Chwila, skarbie”. Odgłos spuszczonej wody. Barnard skupia wzrok na filmie, nie zwracając uwagi na otwierające się drzwi. Ktoś podbiega do łóżka i pakuje w niego parę strzałów. Ktoś, kto ma klucze. Opłacony recepcjonista? Zamieszana we wszystko dziwka?

Ale dlaczego akurat ten motel? Parę kilometrów dalej leżało Hollywood, gdzie można było znaleźć setki pałaców z puchowymi pierzynami. Być może zabójca znał to miejsce jak własną kieszeń i czuł się tam pewnie. Nie wzbudziło to większych podejrzeń policjantów. W motelu raz po raz coś się zdarzało, więc w ich oczach była to jeszcze jedna zbrodnia, zatem morderstwo zupełnie ich nie zdziwiło.

Barnard prowadził żalosny żywot, wtykając nos w cudze sprawy i rozdrapując stare rany. Po dwudziestu latach jego rany też już się dawno zabiły. Przeciętniak. Czy w gazetach ukazał się chociaż nekrolog?

Tym razem nie oddalałem się aż tak bardzo od domu i skorzystałem z biblioteki miej-

skiej w Santa Monica. Nazwisko Barnarda nie figurowało w katalogach komputerowych ani w tamtym roku, ani w żadnym innym. Ale poszukiwania pod hasłem „morderstwo” przyniosły efekty.

Morderstwo w motelu. Według policji, motel Adventure był sceną licznych przestępstw; ostatnio doszło tam do zabicia prywatnego detektywa na emeryturze.

Sam artykuł zamieszczono w samym kąciku ostatniej strony gazety.

ZABÓJSTWO WYWOŁUJE OBURZENIE WŁAŚCICIELI MOTELU

Morderstwo emerytowanego detektywa, popełnione dziś wczesnym rankiem w motelu na Westside, wywołało falę oburzenia na tego typu lokale. I rzeczywiście, w świetle kronik policyjnych motel Adventure na bulwarze South La Cienaga 1543 był sceną licznych przestępstw, w tym zatrzymania za prostytutkę, narkotyki, zakłócanie porządku i napady rabunkowe. Pomimo skarg wnoszonych przez mieszkańców pobliskich posesji, policja utrzymuje, że nie ma prawa domagać się likwidacji motelu. Zwłoki 65-letniego Felixa Slaytona Barnarda, zamieszkałego w Venice, podziurawionego jak sito po oddaniu doń wielu serii z karabinu, zostały odkryte w pokoju nr 11 podczas dokonywanego przez recepcjonistę, Edgeleya Sylwestera, porannego obchodu. Sylvester twierdzi, że nic nie widział ani nie słyszał, a w momencie przybycia policji w motelu nie było już żadnych lokatorów. „Nic dziwnego – skwitował to przypadkowy świadek, pragnący zachować anonimowość. – Tutaj pokoje wynajmuje się na pół godziny”.

Sylvester zaprzecza, jakoby w motelu uprawiany był nierząd. Na stwierdzenie, że nie sposób przecież nie usłyszeć trzech wystrzałów, zareplikował, że „przejeżdża tu dużo samochodów”. Zapytany, dlaczego nie można przedsięwziąć kroków w celu zamknięcia motelu, kapitan Robert Bannerstock stwierdził: „To wolny kraj. Jesteśmy w stanie jedynie badać poszczególne przypadki. Trzeba uważać, gdzie człowiek nocuje”. Właścicielem motelu jest firma z siedzibą w Nevadzie, The Advent Group, a próby skontaktowania się z jej dyrektorem, Darnelem Mullins, zakończyły się niepowodzeniem.

Damel Mullins. Denton Mellors.

Spotkajmy się w motelu Adventure, Felix. Będzie na ciebie czekał zarezerwowany pokój – weź ze sobą jakąś dziwkę.

We wszystkich znajdujących się w bibliotece książkach telefonicznych szukałem nazwiska Darnela Mullins. Kilkunastu ludzi o tym nazwisku mieszkało w różnych częściach Kalifornii. Większość z nich odpadła w przedbiegach, gdy spędziłem ponad pół godziny przy telefonie przy wejściu. Niektórych nie było w domu.

Znowu ślepa uliczka. Usiadłem przy jednym ze stolików i zacząłem bębnić palcami w blat, dopóki nie przyszło mi do głowy inne rozwiązanie. Recepcjonista, Edgeley Sylvester.

Dzięki Bogu to nazwisko nie należało do pospolitych – człowiek mieszkał w centrum LA, na 1800 przecznicy Arlington.

Skierowałem się w stronę centrum. La Cienaga leżała parę kilometrów od Arlington; skręciłem na południe i wjechałem na drogę numer 1543.

Budynek cały czas pełnił funkcję motelu, tyle że teraz nazywał się Sunshine Lodge i był otynkowany na turkusowo. Żułowa droga, okalająca stromo nachylony, pokryty wybojami parking, na którym stały dwie otwarte półciężarówki. Zaparkowałem przy jednej z nich. Pokój 11 mieścił się w północnozachodnim rogu, najbardziej oddalonym od recepcji. Na kłamce ktoś powiesił tabliczkę z napisem PROSZĘ O CISZĘ.

Udałem się do recepcji, w której siedział Koreańczyk, oglądający program telewizyjny w języku ojczystym. Z zawieszzonego na ścianie automatu można było kupić sobie kieszonkowe grzebyki i prezerwatywy, na kontuarze stały metalowe półki, gdzie wyłożono plany miasta z zaznaczonymi szlakami do domów wielkich gwiazd. W zeszłym roku Robin pokazała mi coś takiego, co dostała zresztą za darmo podczas promocji jakiejś firmy płytowej. Marilyn Monroe wcale nie umarła i mieszkała w Brentwood, a duch Lona Chaneya błąkał się po Beverly Hills.

Recepcjonista spojrzał na mnie i spytał:

– Pokój?

Nie wiedząc, co mam mu odpowiedzieć, wyszedłem.

Sylvester Edgeley mieszkał w pobliżu starego sklepu Shearsa, nieopodal komendy policji w Wilshire. Lokum znalazł w dwupiętrowym brązowym domku, który podzielono na mieszkania. Trawnik od frontu przekształcono w parking, zajmowany akurat przed rdzewiejącego cadillaca fleetwood i dwudziestoletniego bucika rivere.

Na ganku przed domem grali w domino dwaj starzy Murzyni. Obydwaj mieli na sobie białe koszule z krótkimi rękawami i wełniane spodnie. Roślejszy założył szelki. Był łysy i miał skórę koloru kawy. W ustach niedbale trzymał cygaro. Chudszy z kolei miał skórę wpadającą w heban i ostre rysy twarzy. Włosy miał wypomadowane. Można było wziąć go za mniej utalentowanego brata Chucka Berry'ego.

Na mój widok przerwali grę. Kostki domina były jasnoczerwone i przezroczyste, widniały na nich białe kropki. Nie miałem pojęcia, który z nich wygrywa.

– Panowie – zagałem – czy mieszka tu Sylvester Edgeley?

– Nie – odparł chudzielec.

– Mówi coś panom to nazwisko?

Potrząsnęli przecząco głowami.

– No dobra, to dziękuję.

Jednak gdy zacząłem odchodzić, ten bardziej zwalisty spytał.

– A po co to panu? – Cygaro trzymał teraz w ręku. Obficie się pocił, ale powodem nie był raczej strach.

– Jestem dziennikarzem w „L.A.Times”. Chcemy w niedzielnym dodatku zamieścić artykuł o starych przestępstwach, których sprawców jak dotąd jeszcze nie wykryto. Pan Sylvester pracował w motelu, gdzie dwadzieścia lat temu wydarzyło się tajemnicze morderstwo, którego ofiarą padł pewien prywatny detektyw. Redakcja doszła do wniosku, że to mogłoby zainteresować czytelników.

– Coraz to nowe zabójstwa, nie dadzą człowiekowi spokoju – odezwał się chudy. – Miasto schodzi na psy i nie ma po co odgrzebywać starych spraw.

– Ludzie boją się słuchać o samych zabójstwach. Uważają stare za bardziej romantyczne... wiem, wiem, mnie też to śmieszy. Pracuję od niedawna i nie mogę wykręcić się sianem. Ale nieważne, dziękuję.

– A dostaniemy coś? – zaczął chudy. – To znaczy za informacje?

– No wiecie – wzruszyłem ramionami – niby nie powinienem płacić za coś takiego, ale jeśli zdradzicie mi panowie coś naprawdę interesującego... – zawiesiłem głos.

Spojrzeli na siebie, po czym ten zwalisty odłożył kostkę.

– Czy pan Sylvester wspominał o tym tajemniczym zabójstwie? – zapytałem.

Znowu popatrzyli po sobie.

– Ile może nam pan zapłacić? – spytał większy.

Ile miałem przy sobie? Trochę ponad setkę.

– Naprawdę nie powinienem za nic płacić. Chyba że jest coś naprawdę ciekawego.

– A gdybym pomógł panu znaleźć Sylvestra Edgeleya? – barczysty polizał końcówkę cygara.

– Dwie dychy.

Pociągnął nosem, zachichotał i potrząsnął głową na znak odmowy.

– Dotarcie do niego to przecież dopiero początek. Nie mogę w końcu zakładać, że ze chce ze mną gadać – tłumaczyłem.

– Jak pan mu zapłaci, to będzie – ponownie się zaśmiał. – Lubi pieniądze. – Spojrzał na

mojego seville'a. – A to co, rocznik siedemdziesiąt osiem?

– Dziewięć.

– Co, gazeta mało płaci i nie można kupić nowej fury?

– Mówiłem, że pracę zacząłem niedawno. – Obróciłem się na pięcie.

– Czterdzieści dolców i ma pan faceta jak na patelni – zawołał w moją stronę.

– Trzydzieści.

– Trzydzieści pięć. – Wyciągnął rękę. Przybrałem zboląły wyraz twarzy, wyjąłem portfel i odliczyłem żadaną sumę. Zacisnął ją w dłoni i uśmiechnął się.

– No, dobra – powiedziałem. – Gdzie Sylvester?

Roześmiał się tubalnie i wskazał ręką na towarzysza.

– Przywitaj się z panem, Sylvester.

Chudzielec zamknął oczy i roześmiał się, kołysząc się na krześle.

– Witam, witam – wyciągnął rękę – wita państwa gwiazda wieczoru.

– Skąd mam mieć pewność, że pan jest Sylwestrem?

– Stówa.

– Pięćdziesiąt.

– Dziewięć dych.

– Sześćdziesiąt.

– Osiemdziesiąt osiem.

– Sześćdziesiąt pięć i ani centa więcej.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, Skórę miał suchą. Oczy przypominały dwie bryłki koksu.

– Jemu dałeś trzydzieści pięć za to, że pokazał mnie palcem, a mnie chcesz dać tylko trzydzieści więcej? Chyba oszalałeś.

– Jeśli rzeczywiście jest pan Sylwestrem, dostanie pan siedemdziesiąt. Wycyganiliście już ode mnie wszystko.

Wyjąłem z portfela wszystkie banknoty i zamachałem im przed oczami. Zmarszczył czoło i sięgnął za plecy, skąd wyciągnął portfel z imitacji krokodylej skóry. Otworzył go i pokazał mi zaplamioną legitymację rencisty, wystawioną na nazwisko Edgeley Nat Sylvester.

– Jakies zdjęcie? – dopytywałem się.

– Po co? – odpalił, ale wyciągnął z portfela prawo jazdy. Ważność utraciło trzy lata temu, ale fotografia, nazwisko i adres zgadzały się.

– W porządku. – Po czym dałem mu dwudziestkę, chowając resztę pieniędzy.

– No co ty? – krzyknął, wstając z krzesła.

– Reszta na końcu.

– Trafiliśmy, Eddy, na cwaniaka, co zna się na rzeczy – wtrącił się rosiej szy.

– Skąd mam wiedzieć, że mnie nie wykiwasz? – spytał Eddy, patrząc na banknoty.

– Bo jak napiszesz do „Timesa” i szef dowie się, że ci zapłaciłem, to przerobi mnie na marmoladę. Nie chcę się tu wdawać w żadne pyskówki, rozumiesz? Opowiadaj.

– Oliwa zawsze sprawiedliwa, Eddy – skwitował niemal zataczając się ze śmiechu osiłek. – Załatwił cię.

– Spierdalaj, skurwysynu.

– No co ty? – zaświszczal ze śmiechu tamten. – Jednego syna kurwy już tu mamy, a kurwa z niej niezła.

Sylvester obrzucił go przeciągłym, mrocznym spojrzeniem i przez chwilę myślałem, że dojdzie do rozróby. Wtedy dryblas wzdrygnął się, mrugnął okiem i Sylvester zawtórował mu śmiechem. Wziął kostkę domino i rzucił z rozmachem na stół.

– Ciąg dalszy nastąpi, tłuściochu – zagroził wstając.

– Gdzie się wybierasz?

– Pogadać z tym gościem, durniu.

– Zostań. Chciałbym posłuchać tej historii za siedemdziesiąt dolarów.

– Chciałbyś – odparował Sylvester – idź do mojej mamusi. – Po czym, zwracając się do mnie: – Proszę za mną znajdziemy miejsce, gdzie nie błądzi się po omacku w oparach głupoty.

Szliśmy ulicą, mijając duże, wielorodzinne domy. Pomimo dość późnej pory na ulicy było gorąco, a powietrze śmierdziało spalinami. Dochodziliśmy już do rogu, gdy Sylvester przystanął i oparł się o latarnię. Minęła nas śniada kobieta w brązowej spódnicy w kwieciste wzorki. W ślad za nią szły niczym kaczątkami dzieci, roześmiane i szwargoczące po hiszpańsku.

– Przyjeżdżają i podejmują robotę za psie pieniądze – skomentował Sylvester – a nie chce im się nawet nauczyć angielskiego. Czemu nie opisuje pan czegoś takiego? – poklepał się po kieszonce na piersiach, po czym obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. – Zapali pan?

Potrząsnąłem głową.

– O jakim to morderstwie chciałby pan usłyszeć?

– Czy w motelu Adventure wydarzało się ich wiele?

– Może.

– Może?

– To była śmierdząca dziura... ale zna ją pan, no nie?

– To znaczy?

– Burdel. Najgorszego rodzaju... bezwzględne dziwki. Pracowałem tam tylko dlatego, że zmusiło mnie do tego życie. Za dnia czyściłem w domach otwory rynnowe, ale z tego nie da się wyżyć. Wie pan, o co mi chodzi? Po deszczu rynna może się zatkać i woda spływa po framudze okna, a ludzi to strasznie wkurza i wołają takiego jak ja. Kiedy nie pada, zapominają o rynnach. Idioci.

– W motelu pracował pan na nocną zmianę?

– Tak.

– Ciężko?

– Okropne miejsce. Właściciele w ogóle się nim nie zajmowali, zwiślało im.

– The Advent Group?

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Z Nevady – dodałem. – To było w artykule z tamtych czasów.

– A tak, fakt. Z Reno, czyli z Nevady; stamtąd przysyłali mi чеки z wypłatą. Szły aż pięć dni. Czysta głupota.

– Chodzi mi o zabójstwo gościa nazwiskiem Felix Barnard. Byłego detektywa prywatnego. W artykule było napisane, że pan odkrył zwłoki.

– Tak, tak, teraz sobie przypominam. Staruch z gołą dupą i ptakiem w ręku. – Potrząsnąłem głową. – Nieprzyjemny widok. Strzelili mu w twarz.

Wystawił język.

– Co jeszcze pan sobie przypomina?

– Ty właściwie tyle. Obrzydliwy widok, potem chciałem już rzucić tę głupią robotę. I tak tyrałem jak bury osioł. Schodziłem ze zmiany o piątej rano, wracałem do domu, spałem parę godzin, a potem chodziłem po ludziach i czyściłem rynny. Miałem czworo dzieci i starałem się o nie dbać. Wszystko im kupowałem. Najdroższe buty. Moi synowie nigdy nie zakła-

dali żadnych głupich trampek.

– O piątej robił pan obchód pokoi?

– Kończyłem. Zaczynałem za piętnaście, żeby o piątej móc się stamtąd zmyć. Jeśli w pokoju nie było nikogo, kazałem meksykańskiej pokojówce go sprzątnąć. Jeśli zajmował go lokator, w księdze stawiałem przy tym numerze ptaszek, do wiadomości recepcjonisty na dziennej zmianie. Tamten miał lekką pracę, za dnia nikt się w tej dziurze nie zatrzymywał.

– Do pokoju Barnarda pan zajrzał. Czy to oznacza, że zdawało się panu, że jest pusty?

– Tak myślałem. Wynajął go na krótko... na parę godzin. Do piątej powinno go już tam nie być.

– Wcześniej pan tam nie zaglądał?

– Słuchaj pan – odparował – nie robiłem niczego ponad to, co do mnie należało. To straszna dziura. Nie było innych chętnych na ten pokój, to co miało mi zależeć, czy jakiś kretyń siedzi w nim o dwadzieścia minut dłużej?

– Na dwie godziny – powtórzyłem – czyli Barnard nie zamierzał spędzić tam całej nocy.

– Świetnie – zaśmiał się. – Nauczyciele musieli mieć z pana pociechę.

– Co pan zrobił po znalezieniu trupa?

– Zadzwoiłem rzecz jasna na policję. A miałem inne wyjście?

– A kierownik? Ten Mullins. Daniel Mullins.

– A tak, Darnel – zmarszczył czoło.

– Do niego też pan zadzwonił?

– Nie, on się nie pokazał. Przyjeżdżał tylko po to, żeby wyrzucić mnie z recepcji.

– Dlaczego?

– Uważał się chyba za pisarza. Od czasu do czasu przyjeżdżał na włości, zadzierał nosa i wyrzucał mnie, żeby móc zasiąść przy maszynie do pisania. Mnie było wszystko jedno. Szedłem wtedy coś zjeść... nic nie piłem, proszę nie pisać, że piłem, bo to nieprawda. Od czasu do czasu jakieś piwo, ale to tylko w zaciszu domowym, nigdy w robocie.

– Nie ma sprawy – uspokoilem go. – A więc Darnel uważał się za pisarza?

– Tak, tak jak pan... tyle że on pisał książkę. – Roześmiał się, ubawiony absurdalnością takiego pomysłu. – Dureń.

– To nie był dobrym pisarzem? – spytałem.

– A skąd mam wiedzieć? Nigdy mi niczego nie pokazywał.

– Czy ktoś mu to opublikował?

– Nic mi o tym nie wiadomo, a sam by mi nigdy w życiu nie powiedział; straszny był z niego odludek.

– Spytałbym go sam, gdybym tylko wiedział, jak do niego dotrzeć. Próbowałem, ale mi nie wyszło. Wie pan coś o miejscu jego pobytu?

– Nie. Niech pan nie traci niepotrzebnie czasu. Na nic się panu to nie przyda, nawet gdyby udało się go panu znaleźć.

– Czemu?

– Był debilem do potęgi entej.

– Entej?

– Świrnięty i zarozumiały. Głupek. Zawsze znajdował powód, żeby się wściekać, jakby uważał, że nikt i nic nie jest godne jego. Zadzierał nosa i zmyślał, że chodził do college'u, bo robota jest poniżej jego godności. Napisze książkę i wyniesie się stąd. – Spojrzał na mnie. – Tak jakby miał dokąd pójść. I to go różniło od reszty ludzi.

– Czy pamięta pan, gdzie chodził do tego college'u?

– Gdzieś w Nowym Jorku. Nie zwracałem specjalnie uwagi na jego wymysły. Miał ojca lekarza; pracował u jakiejś grubej ryby z showbiznesu, spotykał na przyjęciach kupę gwiazd. – Roześmiał się. – Pisał książkę. Tu mi kaktus wyrośnie. Po co brat, którego na tyle stać, miałby zakopać się w norze takiej jak Advent? Ale nawet nie przyznawał się do tego, że jest bratem, jednym z nas.

– Nie w smak mu było, że jest Murzynem?

– On się tego wstydził. Zachowywał się tak, jakby był biały. Między Bogiem i prawdą, skórę miał raczej jasną – zaśmiał się i uszczypnął w przedramię. – Błądą. I miał blond włosy – kręcone, ale naprawdę blond. Jakby ktoś go kiedyś kąpał w surowym jajku.

– Miał wąsy?

– Nie pamiętam. A bo co?

– Staram się go sobie wyobrazić, jak na fotografii.

– Zrobi mi pan zdjęcie i zamieści je w gazecie?

Oczy mu się roześmiały.

– A chciałby pan?

– A dostanę coś za to?

– Tego mi robić nie wolno.

– No to trudno... albo niech będzie... lepsze to niż zdjęcie Darnela. Był brzydalem. Taki dryblas, mówił, że w college'u grał w piłkę. Nie przyznawał się do swojej rasy, ale nos miał bardziej płaski niż ten tłuścioch, z którym siedziałem. Blond włosy i szkliste, niebieskie oczy... podobne do pańskich, tylko jeszcze bardziej szkliste. Zresztą zdaje mi się, że faktycznie miał wąsy. Malutkie. Taki meszek. Delikatny, blond meszek. Idiota.

Rozdział trzydziesty ósmy

Zapłaciłem mu resztę i zaczął zbierać się do odejścia.

– Chwileczkę – zatrzymałem go. – W artykule cytują, że powiedział pan, że nie słyszał strzałów z powodu szumu samochodów. Czy o czwartej nad ranem było ich aż tak dużo?

Nie zareagował.

– Panie Sylvester? – dogniłem go.

To samo pełne złości spojrzenie z góry, którym obdarzył kumpla. Powtórzyłem pytanie.

– Słyszę, nie jestem głuchy.

– Ma pan jakieś kłopoty ze znalezieniem właściwej odpowiedzi?

– Nic z tych rzeczy. Nie słyszałem żadnych strzałów, jasne?

– Tak. Czy Barnard zatrzymał się w pokoju sam?

– Skoro tak napisali w tej pańskiej gazecie...

– Niezupełnie. Napisali tylko, że oprócz niego w książce meldunkowej nie było nikogo.

– A skąd mam, do cholery, wiedzieć? – zatrzymał się. – Rozmowa skończona. Panie, pieniądze też już się skończyły.

– Czy pan naprawdę tam był, czy też także owej nocy Darnel Mullins zamienił się z panem miejscami?

Odsunął się i dotknął kieszeni spodni. Miało to chyba oznaczać, że miał tam pistolet, ale nie zauważyłem żadnego wyrzuszenia.

– Zarzuca mi pan kłamstwo?

– Skąd, staram się tylko sprecyzować szczegóły.

– To jesteśmy kwita. – Machnął ręką. – Tylko nie próbuj pan wysłać tu kogoś z aparatu.

tem, żeby zrobił mi zdjęcie.

W brzuchu burczało mi z głodu, zjadłem więc obiad w barze niedaleko Robertson. Żydzi, policjanci i maklerzy zajadali polędwicę i rozprawiali na temat swoich filozofii życiowych. Zamówiłem zupę na macy i zatelefonowałem do Mila do domu, zamierzając zostawić wiadomość na sekretarce. Odezwał się Rick.

– Tu doktor Silverman.

– Cześć, Alex z tej strony.

– Cześć, Alex, jak tam leci budowa?

– Powoli.

– Sporo latania?

– Na szczęście zajęła się tym Robin.

– Miło z jej strony. Szukasz pana policjanta? Wyszedł wcześniej rano, jakaś obserwacja.

– Pewnie Bogetek.

– Kogo?

– Kobitek, które przepadają za Jobem Schwandtem.

– Pewnie tak. Nic przyjemnego. Nie jest zbyt rozmowny. Poszliśmy na nowy układ: ja nie rozwodzę się nad niuansami cięcia i zszywania ran, on nie przypomina mi o tym naszym zepsutym świecie.

Z domu zadzwoniłem raz jeszcze na uniwersytet Columbia. Darnel Mullins faktycznie ukończył tam studia, a nawet przez rok chodził na podyplomowe, dopóki tuż po splotzeniu recenzji z Rozkazu: rzucaj światło nie zrezygnował z nauki. Według spisu absolwentów mieszkał w Teaneck w stanie New Jersey, ale zamiast tego dodzwoniłem się do sklepu z odzieżą damską. Przypomniałem sobie, że Sylvester wspominał o ojcu Mullinsa, który miał jakoby być lekarzem. Zadzwoniłem więc do informacji, żeby poznać numery wszystkich Mullinsów, mieszkających w Teaneck i posiadających tytuły doktora medycyny.

– Jedyne człowiek odpowiadający opisowi – poinformowano mnie – to niejaki doktor Winston Mullins, ale on mieszka w Englewood.

Zapisałem sobie numer. Słuchawkę podniósł starszy mężczyzna o kulturalnym głosie.

– Słucham?

– Doktor Mullins?

– Tak. Z kim rozmawiam?

Opowiedziałem mu historię o pisaniu biografii Lowella. Nie zareagował.

– Panie Mullins?

– Niestety, raczej nie będę w stanie panu pomóc. Darnel już dawno nie żyje.

– Bardzo mi przykro.

– Tak, już od ponad dwudziestu lat. Pewnie nawet nie zawiadomiłem uniwersytetu.

– Był chory?

– Nie, zamordowano go.

– Niemożliwe!

– Zresztą w pana okolicach. Mieszkał w Hollywood. Przyłapał na gorącym uczynku włamywacza, który go zastrzelił. Nigdy go nie złapali. Jestem przekonany, że Darnel z przyjemnością udzieliłby panu potrzebnych informacji. Zawsze marzył o karierze pisarskiej.

– A tak, wiem, mam tu przed sobą jeden z jego artykułów.

– Naprawdę?

– Pochodzi z „Manhattan Book Review”. Posługiwał się pseudonimem Denton...

– Mellors – przerwał mi. – Zapożyczył go z jakiejś sprosnej książki. Zrobił to na złość mnie, gdyż nie podobała mi się ta lewicowa gazeta. Później się do niego przyzwyczaił, poza tym chyba chciał mi coś udowodnić, nie bardzo wiem, co. – W jego głosie brzmiał smutek.

– Tu jest napisane, że przygotowywał powieść – powiedziałem.

– Oblubienicę. Nigdy jej nie dokończył, nawet mam przy sobie rękopis. Próbowałem zdobyć się na przeczytanie jej. Nie w moim guście, ale całkiem niezłą, może nawet udałoby się ją opublikować... przykro mi, że nie mogę udzielić panu żadnych informacji.

– Co to za książka?

– Hm, trudno powiedzieć. Ma w sobie coś z historii miłosnej, trochę młodzieżowa. Młodzieniec uczy się życia, zakochuje się. To się chyba nazywa powieścią o dorastaniu.

– Czy mógłby mi pan przesłać odbitkę? – spytałem – może mógłbym wykorzystać ją w swojej książce.

– Nie widzę przeszkód. I tak leży u mnie w szufladzie.

Podałem mu swój adres.

– Malibu – powtórzył. – Musiał pan zdobyć pewną popularność. Darnel mówił, że tam mieszkają ludzie, którym się powiodło.

Od krytyka literackiego, przez powieściopisarza z ambicjami, do dyrektora hotelu. Pracował u kogoś z Reno. The Advent Group. Skąd znam tę nazwę? Nigdy nie porzucał swoich marzeń. Od czasu do czasu wyrzucał z biura Sylvestra, żeby móc pisać na jego maszynie. Sądząc po reakcjach Murzyna, w jedną z takich nocy zginął Barnard. Zabójstwo zorganizował Mullins, może nawet sam pociągnął za spust. Parę miesięcy później wykończono i jego. Murzyn o jasnej skórze. Blond włosy, niebieskie oczy. Drobne, meszkowate wąsiki, niepodobne do sumiastych wąsów, jakie Lucy widziała we śnie. Sam jej jednak powtarzałem, sny nie muszą odpowiadać rzeczywistości.

Coś tu nie grało. Opis Oblubienicy wedle pana Mullinsa nie odpowiadał temu, co dostałem od Appa. Czy Mullins opatrzył tym samym tytułem dwa zupełnie inne utwory? A może App wręczył mi to streszczenie, gdyż chciał odwrócić moją uwagę? Kierował ją na Mullinsa, bo sam miał coś do ukrycia.

Przypomniałem sobie pierwszą hipotezę na temat zaginięcia Karen: mężczyzna w bajerowskim samochodzie podrzuca ją do Topangi. Jak na razie najwięcej bajerów miało czerwone ferrari. Mimo to nie zauważałem żadnych związków pomiędzy Appem i Karen, a Mullins też nie wyglądał na owieczkę. Od momentu zniknięcia Karen, wiodło mu się coraz gorzej. Lowell zrywał stosunki ze współnikami? Pozbywał się ludzi niegodnych zaufania? Karen, Felix Barnard, Mullins. Co stało się z Trafficantem? A państwo Shea cały czas mieli len dom nad morzem.

Zostawiłem kartkę do Robin i ponownie znalazłem się na autostradzie, furgonetka Gwen stała przed jej domem. Przy plaży stały rzędem samochody. Nie było miejsca na zaparkowanie seville'a, ale parking od strony lądu był prawie pusty. Już zabierałem się do przejechania pasa, którym poruszały się samochody w kierunku na północ, gdy zniemacka zapaliły się światła furgonetki. Przez chwilę stała na jałowym biegu, po czym ruszyła z miejsca.

Zjechanie na środkowy pas zajęło mi minutę, tyle samo – dotarcie do ronda i zawrócenie na południe. Maksymalnie przyśpieszyłem i niebawem, jakieś osiem czy dziewięć wozów przed sobą, zobaczyłem furgonetkę. Stała na światłach przy zjeździe na Ocean Front Avenue. Gdy skręciła na wschód, oddzielały nas już tylko trzy pojazdy. Postanowiłem nie niwelować tego dystansu. Dojechaliśmy do bulwaru Lincolna, po czym Shea zawróciła powtórnie na południe, przejechała Santa Monica i Venice, następnie Sepulvede; jechała na stałej prędkości, czasem zatrzymując się na światłach, czasem je ignorując.

Dojechaliśmy do Inglewood, połączenia przedmieścia z epoki Eisenhowera i budynków nowych firm z Azji. Po piętnastu minutach moim oczom ukazał się bulwar Century. Jechaliśmy na lotnisko.

Furgonetka wjechała na pas prowadzący do sali odlotów, po czym dotarła do parkin-

gu naprzeciwko terminalu międzynarodowego im. Bradleya. Tam pojeździła trochę w kółko, usiłując znaleźć miejsce na najniższym poziomie, mimo że na wyższych było go całkiem sporo. Ja zaparkowałem na trzecim, zszedłem na dół po schodach i czekałem schowany za żywopłotem; po dziesięciu minutach pojawiła się Gwen z przerzuconą przez ramię torebką, pchając wózek z Travisem.

Nad nami rozlegał się ryk odrzutowców. Wijącą się drogą mknęły samochody. Gwen zbliżyła się do skrzyżowania. Nie zdążyła przejść do terminalu, gdyż zatrzymało ją czerwone światło. Travis przekręcił głowę, poruszył wargami i wytrzeszczył oczy. Gwen nerwowo rozglądała się dokoła. Spuściłem głowę i starałem się nie zwracać na siebie uwagi. Miała na sobie białą lnianą sukienkę i buty bez obcasów. Na szyi błyszczał perłowy naszyjnik. Jej czarne włosy lśniły, ale nawet z tej odległości widać było, że ma stare, zmęczone oczy.

Krótkie włosy. Ponury wyraz twarzy. Opryskliwa opiekunka do dzieci, o której wspominał Ken? Opuściła stanowisko pracy, a po powrocie nie zastała tam Lucy. Znalazła ją w lunatycznym transie? Gdyby widziała i słyszała to co Lucy, jej milczenie warte byłoby sporej sumy pieniędzy.

Zapaliło się zielone światło, a ona wkroczyła do obszernego, jasnego, zbudowanego z zielonego szkła przedsionka terminalu. Tu rozpoczynały trasę samoloty kilkunastu linii lotniczych. Skierowała się do okienka Aeromexico. Stała w kolejce po bilety pierwszej klasy i szybko dotarła do urzędnika. Uśmiechnął się do niej. Travis kręcił się i obracał w wózku. Ludzie gapili się na niego. Było ich pełno. Rzekome zakonnice żebrały o pieniądze. Wziąłem do ręki jakąś gazetę i udawałem, że czytam, cały czas obserwując ekran, na którym wyświetlano informacje dotyczące lotów.

Aeromexico 546, odlatujący za godzinę do stolicy Meksyku. Urzędnik potrząsał głową. Gwen spojrzała na zegarek, po czym wskazała ręką Tralisa. Urzędnik podszedł do telefonu, przeprowadził jakąś rozmowę i znowu zaczął kręcić głową. Gwen pochyliła się w jego stronę, stanęła na palcach, mięśnie jej łydek napięły się. Urzędnik bez przerwy kręcił głową. Potem zawołał innego funkcjonariusza linii. Tamten wysłuchał Gwen, podszedł do telefonu. Kręcił odmownie głową. Za Gwen utworzyła się kilkusobowa kolejka. Urzędnik pokazał na stojących w niej ludzi. Gwen obróciła się na pięcie. Na twarzy malowała się jej wściekłość, zaciskała pięści. Nikt w kolejce nie odezwał się ani nie poruszył, ale część podróżnych wpatrywała się w Tralisa. Gwen chwyciła za wózek i odjechała.

Śledziłem, jak przeciska się przez tłum i zmierza do rzędu budek telefonicznych. Wszystkie były zajęte i musiała poczekać, bawiąc się kosmykami włosów i bębniąc palcami w wózek. Gdy zwolniła się jedna z budek, popędziła do niej. Stała przy telefonie przez kwadrans, wrzucając monety i wystukując numery. Po wyjściu sprawiała wrażenie przybitej i jeszcze bar-

dziej rozdrażnionej, pocierając szybko palcami, przygryzając wargi i omiatając nerwowym spojrzeniem terminal.

Wróciłem za nią na parking. Dojście na trzeci poziom i zgranie naszego odjazdu wymagało trochę pomyślunku. Wyjechałem z lotniska i wjechałem na 405 na północ. Skręciła na 10 Zachodnią. Wracaliśmy do Malibu. Nie zatrzymała się jednak w La Costa. Przejechała jeszcze parę kilometrów do pasażu handlowego naprzeciwko molo.

Na parkingu stało zaledwie kilka pojazdów. Czynny był tylko kiosk z kanapkami. Zajechałem w najodleglejszy kąt parkingu i, nie wysiadając z seville'a obserwowałem, jak Gwen taszczy Trávisa z furgonetki. Wjechała z nim po podjeździe do sklepu surfingowego, po czym zatrzymała się. Z torebki wyjęła złotą kartę kredytową. Spojrzała na nią pustym wzrokiem, włożyła z powrotem do torebki i znowu zaczęła pocierać palce. Travis był bez przerwy w ruchu. Gwen wyjęła klucz. Otwierała drzwi wejściowe do sklepu, gdy wysiadłem z samochodu i przywitałem się.

Uniosła ręce w obronnym geście i puściła wózek, który zaczął się staczać, dopóki go nie przytrzymałem. Chłopak ważył dobre sześćdziesiąt kilo. Gwen wybałuszyła oczy i zamierzyła się ręką z kluczami, jakby chciała uderzyć.

– Wynoś się stąd, bo zacznę krzyczeć!

– Proszę bardzo.

Travis przekręcił głowę, starając się objąć mnie spojrzeniem. Uśmiechał się niewinnie i bez wyrazu.

– Mówię serio – zagroziła.

– Ja też. Co się stało na lotnisku? Nie zarezerwowali biletów?

Otworzyła usta, ręce bardzo wolno opadły.

– Synalek wart ojca – powiedziała.

– Ojca?

– Nie nabierze mnie pan, panie Best – podkreśliła ostatnie słowo, jakby chciała zbić mnie z tropu ogromem swej przenikliwości.

– Uważa pani, że jestem jego synem?

– Wiem o tym. Widziałam was obu, gdy on próbował włamać się do mnie. A teraz wypytujesz ludzi, podszywając się pod cudze nazwisko.

– Słucham?

– Podszywasz się pan pod klienta, niby kupującego kąpielówki. Nie życzymy tu sobie

takich klientów. Proszę się stąd wynosić i przekazać ojcu, że znajdziecie się przez niego w wielkich opałach. Wszyscy w Malibu nas znają. Spadaj, bo jak nie, to wezwę policję.

– Proszę bardzo – zachęciłem ją wyciągając jednocześnie z portfela nieaktualną już wizytówkę, na której było napisane, że jestem psychiatrą policyjnym. Razem z nią wyciągnąłem wizytówkę Mila, w nadziei, że zrobi na niej wrażenie. Liczyłem, że w popłochu zapomni, że władza policji z Los Angeles nie rozciąga się na Malibu.

Na jej twarzy pojawiła się konsternacja. Travis coś wybełkotał. Cały czas uśmiechał się do mnie.

– Ja... – raz jeszcze przyjrzała się wizytówkom. – Jest pan psychiatrą?

– To długa historia, pani Shea. Proszę zadzwonić na policję, oni pani wszystko wyjaśnią. Wznowiono śledztwo w sprawie śmierci Karen Best, pojawił się bowiem nowy świadek. Uczestniczę w jego przesłuchaniu. Wiedzą już, że coś przydarzyło się Karen w trakcie przyjęcia w Sanktuarium, a pani, pani mąż i Doris Reingold dostaliście pieniądze za to, żeby utrzymać to w tajemnicy.

Grałem w ciemno, z jej niespokojnego zachowania wywnioskowałem, że trafiłem w sedno. Zamrugała prawą powieką.

– Już dobrze, skarbie – zwróciła się do Trávisa, mimo że ten sprawiał wrażenie uszczęśliwionego. – Co pan mi tu wygaduje?

– Oznacza to co najmniej utrudnianie śledztwa. Nawet gdyby zarezerwowali pani bilety, nigdy w życiu nie zezwolono by na odlot. Sama pani chyba wie, że była obserwowana. Na pani miejscu zająłbym się zabezpieczaniem przyszłości syna, żeby w czasie dochodzenia mógł znaleźć się w jakimś spokojnym miejscu. No to na razie.

Zabierałem się do odejścia. Chciała złapać mnie za ramię, ale się odsunąłem.

– Co ja takiego zrobiłam?

– Nic szczególnego. Oficjalnie w ogóle mnie tu zresztą nie ma. Gdyby dotarło do policji, że panią śledziłem, zapewne nie przypadłoby im to do gustu. Mają mnie za mięczaka. Może to i racja, ale zajmowałem się dziećmi z paralizem dziecięcym i wiem, że życie przy nich nie jest łatwe. A panią czekają teraz trudności.

Gdy tak patrzyłem na grymasy chłopca przypomniałem sobie, jak okłamałem doktora Mullinsa. Pojęcie sprawiedliwości wydało mi się niezmiernie abstrakcyjne. Gdy jednak wróciłem myślami do zakopywania Karen i cierpień Sherrella Besta, na powrót stało się ono jakby bardziej namacalne.

– Czego pan chce?

– Prawdy o losie Karen.

– Dlaczego nie spyta mnie o to sama policja?

– Wszystko w swoim czasie – powiedziałem i znowu się odwróciłem.

– Czegoś tu nie rozumiem – upierała się – pracuje pan niby w policji, ale teraz nie działa pan w ich imieniu?

– Zjawiłem się tutaj, ponieważ bardzo zależy mi na informacji o Karen.

– Znał ją pan?

– Niczego więcej pani nie zdradzę. Ale coś pani poradzę. Niektórzy sądzą, że byliście państwo zamieszani w jej morderstwo. Jeżeli to prawda, to niepotrzebnie tu przyjechałem i muszę się stąd jak najprędzej ulotnić. Jeżeli wasza rola ograniczyła się do odmowy współpracy, mógłbym się za wami wstawić. Kręactwa na nic się nie zdadzą, ponieważ policja ma do dyspozycji coraz więcej dowodów; to tylko sprawa czasu. A jeśli uda się pani dotrzeć do Meksyku, policja zajmie wasz dom i ten sklep.

Do budki z kanapkami podeszła grupa radosnych, rozkrzyczanych nastolatków w wieku Travaisa.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym morderstwie, klnę się na Boga – powiedziała.

– To dlaczego usiłowała pani wyjechać?

– Na wakacje.

– Bez bagażu? A może Tom oprócz biletów miał zająć się również tym?

Nawet nie drgnęła. Wzruszyłem ramionami i skierowałem się w stronę wozu.

– A jeśli nic nie wiem? – zawołała. – A może to, co wiem, nie przyniesie nikomu żadnego pożytku?

– W takim razie nie przyniesie to pożytku również pani.

– Ale to prawda, ja naprawdę nic nie wiem.! Karen... ona...

Rozpląkała się i zanurzyła twarz w dłoniach. Travis spojrzał na nią, potem na mnie. Uśmiechnąłem się do niego. Natychmiast roześmiał się od ucha do ucha – przypominało to raczej grymas, oczy nadal pozostawały mętne i bez wyrazu. Większość ludzi cierpiących na paraliż dziecięcy legitymuje się normalnym poziomem inteligencji. Z jego spojrzenia odgadłem, że z nim jest inaczej. Mimo wykrzywionej twarzy był prawie przystojny, spostrzegłem w nim ślady przyszłego młodzieńca. Nikły obraz, prawie że hologram przedstawiciela złotej młodzieży z Malibu.

Matka cały czas zakrywała twarz. Podeszedłem do wózka i zagadałem do chłopaka,

który zaczął się śmiać, bulgotać i coś po swojemu pokrzykiwać. Robił to coraz głośniejsze, próbując klaskać.

– Stul pysk! – wrzasnęła Gwen.

Chłopak wydawał się zrozpaczony. Zaczął wymachiwać rękami i kopać nogami. Wykrzywił usta, wydając nieartykułowany, gardłowy krzyk.

– Anglum!

– Przepraszam, kochanie, przepraszam, przepraszam! – Matka objęła go. – On potrzebuje właśnie mnie – oznajmiła Gwen. – Nikt inny nie umiałby się nim właściwie zająć. Widział pan, gdzie umieszcza się tego typu dzieci?

– Nieraz.

– Ale nie zawahałby się pan przed wysłaniem tam mojego dziecka?

– Ja go nigdzie nie będę wysyłał, nie jestem do tego upoważniony. Moja rola ogranicza się do konsultacji z policją, która czasami nawet słucha moich rad. Zająłem się sprawą Karen i doprowadzę ją do finału.

– Ale ja nie mam pojęcia o żadnym morderstwie. Przysięgam.

– A o czym pani wie? – odwróciła się w kierunku autostrady. – Wie pani na tyle dużo, żeby warto było zapłacić za pani milczenie?

– Co pan się tak przyczepił tego płacenia?

Popatrzyłem na nią. Głowa Travaisa wychyliła się z objęć matki.

– Minęło już dwadzieścia lat.

– W sierpniu będzie dwadzieścia jeden.

– Wiem tylko tyle, że podczas przyjęcia zniknęła gdzieś w towarzystwie paru facetów i nigdy więcej nie pojawiła się już. Czy to cenna informacja?

– To pani zna odpowiedź. – Wbiła wzrok w asfalt. – Innych też opłacono. Niektórzy zginęli. Pętla się zaciska i nie powinna pani czuć się bezpieczna. To samo odnosi się do Toma, choćby nie wiem gdzie się schował w tym Meksyku.

W jej oczach pojawiła się panika. W młodości musiała być piękna, należała bowiem do tych drobnych i wiecznie roześmianych plażowiczek, dla których wymyślono bikini. Życie poruszało ją jak koło garncarskie, a ja spowodowałem w jej psychice kilka pęknięć.

– Jezus Maria.

Przed pasaż handlowy podjechał samochód. Wzdrygnęła się, gdy omiotły nas jego

przednie światła. Wóz podjechał pod budkę z kanapkami. Stary, czterodrzwiowy chrysler. Wy-
siadło z niego dwóch trzydziestoletnich mężczyzn z kucykami, w wojskowych bluzach. Na da-
chu widać było klamry do desek surfingowych. Jeden z nich zapalił papierosa. Gwen odwróci-
ła się do nich. Była zmieszana.

– Starzy bywalcy sklepu? – zaindagowałem.

Spojrzała na mnie, potem na klucze, które cały czas trzymała w ręce.

– Wejźmy do środka.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Nie zapalając świateł, popchnęła wózek na zaplecze i otworzyła jakieś drzwi. Za nimi
był mały, utrzymany w porządku magazyn: metalowe półki z towarem, biurko i trzy składane
krzesła. Ustawiła Trvisa w kącie, wyjęła jakieś pudełko i podała mu je. Maską płetwonurka.
Zaczął obracać pakunek w rękach. Starając się go nie wypuścić przyglądał się zdjęciu przed-
stawiającemu dziewczynę nurkującą pod wodą.

Gwen ruszyła w stronę biurka. Wyprzedziłem ją i zajrzałem do szuflad. Same papiery,
długopisy, spinacze i dziurkacze.

– Biedna staruszka zaraz pana załatwi – uśmiechnęła się blado.

– Z pani musi być silna staruszka – popatrzyłem na Trvisa. Opadła ciężko na krzesło.
Poszedłem jej śladem.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – zacząłem.

– Niech pan przyrzeknie, że nie oddadzą go do żadnego zakładu.

– Tego nie mogę pani zagwarantować, ale obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej
mocy. Pod warunkiem, że nie miała pani nic wspólnego ze śmiercią Karen.

– Przecież cały czas powtarzam panu, że o niczym takim nie wiem. Wiem tylko, że
gdzieś zniknęła.

– Na imprezie w Sanktuarium?

Przytaknęła.

– Pani wynajęła ją na to przyjęcie?

– Czy dlatego mam być uznana za sprawcę zbrodni? Chciałam wyświadczyć jej przy-
sługę. Potrzebowała pieniędzy. Nie dostawała zbyt hojnych napiwków, gdyż nie należała do
najlepszych kelnerek, ciągle myliły jej się zamówienia. A temu hipokrycie, jej ojcu, nie w smak
było, że córka zamierza zostać aktorką więc nie posyłał jej ani grosza. Pomogłam jej, a teraz

okazuje się, że popełniono morderstwo i wszyscy traktują mnie jako winowajczynię!

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

– Skąd mam wiedzieć? Upłynęło dwadzieścia jeden lat.

– Proszę się skupić.

– W połowie przyjęcia – odezwała się po chwili milczenia. – Nie wiem, która była wtedy godzina. Byliśmy bardzo zajęci, nie zwracałam na nią specjalnej uwagi.

– Nie mówiła pani nikomu, że Karen brała udział w tej imprezie, prawda? Czy policjanci pytali o to?

– Zjawili się w Dolarze w kilka dni po zaginięciu Karen. Sądzili, że zabłądziła gdzieś w górach. Szukali jej za pomocą helikopterów.

– W czasie pracy?

– Nie należała do solidnych pracowników... zdarzało się, że dzwoniła do restauracji, żeby wymówić się chorobą i jechać do Disneylandu. Przyjazd do Kalifornii traktowała jak jedne wielkie wakacje. – Zagryzła wargi. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie lekceważę jej. Nie była złą dziewczyną tylko niezbyt lotną. – W oczach pojawiły jej się łzy. – Nie chciałam, żeby przytrafiło jej się coś złego. Nie przyłożyłabym do tego ręki.

Znowu zakryła twarz. Travis zdołał się odwrócić i wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Pudełko zsunęło mu się z nóg i spadło na podłogę. Schylił się po nie, ale przytrzymał go skórzany pasek, zaczął więc krzyczeć. Gwen odkryła twarz i zaczęła się podnosić. Wziąłem pudełko i oddałem mu, po drodze mierzwiąc jego czuprynę.

– A–gaa – uśmiechnął się szeroko.

– Nie prowadzili zbyt energicznego śledztwa – podjęła Gwen. – Po prostu przyszedł do nas jakiś podrzędny funkcjonariusz i wypytywał, czy ktoś jej nie widział. Potem po prostu rozsiadł się i zamówił sobie kawę.

– A detektyw wynajęty przez rodzinę Karen? O co on panią pytał?

– Dziwak. Usta mu się nie zamykały.

– O co wypytywał?

– O to samo co policja. Kiedy ją ostatnio widzieliśmy.

– I poinformowała go pani, że w piątek wieczorem, gdy skończyła się jej zmiana w restauracji?

– Był obrzydliwy. Nie chciałam się z nim zadawać.

– Dowiedział się, że Karen była na tej imprezie. W jaki sposób?

– Nie wiem, na pewno nie ode mnie. – Odwróciła błyskawicznie głowę i odgadłem, że coś ukrywa. Postanowiłem nie przypierać jej na razie do muru. Myślałem przy białej plamie czasowej, ciągnącej się od wyjścia Karen z Sand Dollar do jej pojawienia się w Sanktuarium. – Dlaczego Karen udała się do Sanktuarium wcześniej niż potrzeba?

– Szef kuchni potrzebował ludzi do ustawiania krzesel i stołów.

– I wybrała pani Karen, mimo że nie można było na niej w pełni polegać?

– Było mi jej żal. Jak już mówiłam, dziewczyna potrzebowała pieniędzy – zamrużyła oczami.

– Były może jakieś inne powody?

Zaczerpnęła tchu i odwróciła się w stronę Trvisa.

– Wszystko w porządku, skarbie?

Syn nie zwracał na nią uwagi i cały czas przypatrywał się pudełku.

– Dlaczego tak naprawdę wybrała pani Karen?

– Dostaliśmy telefon. Ten człowiek życzył sobie, żebyśmy nieco wcześniej przysłali mu najładniejsze kelnerki.

– Kto?

– Lowell – wykrztusiła po dłuższej chwili ciszy.

– A Karen była najbardziej atrakcyjną kelnerką?

– Była śliczna.

– Po co do ustawiania stołów potrzebna mu była ładna panienka?

– Nie wiem. Zresztą nie powiedział tego tak prosto z mostu. Sformułował to raczej tak, że jeśli już kogoś przysyłam, to żeby nie wybierała brzydkiej jak noc... bredził coś jeszcze o jakimś wiecznym pięknie czy coś w tym stylu. Sama nie wiem, może zjechały się do niego grube ryby i chciał zrobić na nich duże wrażenie... było mi wszystko jedno. Co za różnica, kto zajmował się przygotowaniami? Karen z radością się zgodziła.

– Znęciło ją towarzystwo rekinów show-biznesu.

– Na pewno. Nie wolno panu zapominać, że koniec końców była turystką... urządziła sobie przejażdżki na bulwar Hollywood, popatrzeć na gwiazdy kina.

– Jak dostała się do Sanktuarium?

– Ktoś ją podwiózł.

– Z Dolara?

– Nie, zatrzymała okazję na autostradzie.

– Gdzie dokładnie?

– Przy Paradise Cove.

– Przy zjeździe do Dolara?

Skinęła głową.

– Kto ją podrzucił?

– Nie wiem. – Znowu odwróciła wzrok.

– Coś mi się zdaje, że nie chce mi pani pomóc. – Travis wpatrywał się we mnie. Mru-gnąłem doń okiem. Wybuchnął śmiechem i ponownie wypuścił z rąk pudełko. Podałem mu je z powrotem, po czym wpiłem wzrok w Gwen. Przybranie nieprzejednanego wyrazu twarzy przyszło mi z łatwością.

– Widziałam jakiś samochód – zaczęła. – Zobaczyliśmy go – ja i Tom. Ruszył, gdy zaczęliśmy się do niego zbliżać. I nic więcej. Nie widziałam kierowcy. Nie mam nawet pewności, czy właśnie tym się zabrała. Wyszła dwadzieścia minut przed nami. Może zdążyła już złapać jakąś inną okazję.

– Jaki to był samochód?

– Tom mówił, że ferrari.

– Tom?

– Zna się na samochodach. Dla mnie był to zwykły samochód z tylnymi światłami. Tom był strasznie zaaferowany.

– Jakiego był koloru?

– Było ciemno. Tom myślał, że czerwony. Tłumaczył mi, że najczęściej robi się czerwonych, bo to sztandarowa barwa samochodów wyścigowych Ferrari.

– Kabriolet?

– Chyba tak, dach był właśnie nasunięty. Nie widzieliśmy pasażerów.

– Czy jeszcze kiedyś widziała pani ten samochód?

– Był tam jeden taki. – Bawiła się kolczykami i splatała palce, jakby chciała je wyjąć.

– Gdzie?

– Na przyjęciu. Zjechało mnóstwo luksusowych wozów. Porsche. Rolls-Roysy. Szoferzy parkowali, gdzie chcieli, zupełny burdel.

– Do kogo należało ferrari?

– Nie wiem. – Wpatrywałem się w nią nieruchomym wzrokiem. – Nie wiem. Czy chce pan, żebym coś zmyśliła?

– Czy miał typowe numery rejestracyjne?

– Nie... nie zwróciłam uwagi. Nic mnie to zresztą nie obchodziło, samochody mnie nie interesują. Miałam dopilnować, żeby wszystko grało.

– 1 grało?

– Słucham?

– Czy impreza wypaliła?

– Miałam wrażenie, że goście bawili się dobrze.

– A Karen?

– Co Karen?

– Czy ona też się dobrze bawiła?

– Była w pracy – zareplikowała. – No dobrze, chyba się cieszyła.

– Tyle znanych twarzy

Wzruszyła ramionami.

– Czy w piątkową noc spała w Sanktuarium?

– Nie wiem.

– Kiedy pani tam pojechała?

– W sobotę rano.

– Czy zastała ją pani na miejscu?

Skinęła głową.

– O której?

– Wpół do ósmej, może ósmej. Wyruszyliśmy wcześniej, żeby rozpocząć przygotowania. Była już na nogach.

– W jakim była nastroju?

– W dobrym. Zdążyła już rozstawić stoły i krzesła, więc chodziła po okolicy.

– A dokładnie?

– Bawiła się z jakimiś dziećmi.

– Czyimi?

– Lowella. Z początku myślałam, że to jego wnuki, takie były małe, ale Karen powiedziała mi, że to jego dzieci. Dostała na ich punkcie hopla.

– Nie rozumiem.

– Zajmowała się w końcu dziećmi sławnego człowieka. Taka już była, odbiło jej na punkcie sławy. Zaczęła nawijać o tym gościu, że niby dostał Nobla czy coś w tym rodzaju. Była pod ogromnym wrażeniem.

– Zwłaszcza Lowella?

– Zgadza się.

– Coś jeszcze o nim mówiła?

– Chyba nie.

– Czy z jej słów można było wnosić, że ze sobą spali?

– Nie mam pojęcia.

– Czy wspominała o innych swoich nowych znajomych?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Z iloma dziećmi Lowella się bawiła?

– Z dwójką.

– Ile miały lat?

– Były małe, po trzy, może cztery latka.

– Chłopcy, dziewczynki?

– Nie pamiętam. A bo co?

– Chłopcy czy dziewczynki? – nastawałem.

– Chyba dziewczynki. – Wzruszyła ramionami. – Obydwie miały szopy blond włosów. Słodkie dzieciaczki.

– I Karen się nimi zajmowała?

– Nie, tylko się z nimi bawiła, śmiała, ganiała. Właściwie to wolałaby opiekę nad dziećmi od zajęcia kelnerki. Mówiła, że niania tych dzieci jest chora, musieli ją nagle zabrać do szpitala. Ale była za bardzo napalona, więc się nie zgodziłam.

– To kto się nimi zajmował?

– Jakaś inna dziewczyna.

– Nazwisko?

– Też kelnerka – odparła po chwili wahania. „Krótkie, czarne włosy. Opryskliwa”.

– Doris Reingold?

Otworzyła i zamknęła usta.

– Czemu akurat ona?

– Była starsza, miała dwójkę własnych dzieci. Przyszło mi do głowy, że będzie się znała na rzeczy.

– Czy zauważyła pani jakieś inne dzieci?

– Nie, raczej nie.

A przecież było co najmniej dwoje. Zamkniętych w chacie.

– Co na to Karen?

– Pracowała w obsłudze, jak my wszyscy. Harowaliśmy jak w kieracie. To była ogromna impreza, czterystu zaproszonych gości, tony jadła i napitku. Skończył się lód i Tom musiał kilka razy dowozić go z Malibu. Szefem obsługi był jakiś nerwowy pedał, który dokooptował do nas kilku ludzi, którzy nie znali ani słowa po angielsku. Potem zaczęły pojawiać się zespoły. Rozstawiali sprzęt, robili próby dźwięku, prześcigali się, kto umie grać najgłośniej. Wszędzie było pełno przenośnych wentylatorów i reflektorów, jakaś prądnica, można się było pozabijać o wszystkie te kable na ziemi. Goście zaczęli zjeżdżać się wieczorem. Zaczęło się szaleństwo. Jeżeli nigdy nie pracował pan przy obsłudze przyjęcia, to nie ma pan pojęcia, jak to wyglądało.

– Dużo było drągów i alkoholu?

– Jakże inaczej? Ale my się do tego nie wtrącaliśmy... zawsze strasznie na to uważałam. Jak stoi się za bufetem i podaje sałatki, to nie można uderzać w gaz.

– Czy Karen obsługiwała bufet?

– Z początku. Potem szef zaczął drzeć się, żeby szybciej podawać tace z zakąskami, więc ją tam posłałam. Ostatni raz widziałam, jak z tacą w ręku zniknęła w tłumie. Nie mogę powiedzieć, że się za nią rozglądałam. Człowiek zachowywał się tam jak kurczak z odciętą głową wszystkim nagle odbiło. Pracowałam do piątej rano. Sprzątania było po uszy; szef zabrał dupę w troki i zmył się razem ze swoimi Meksykanami.

– Czy pracowała pani w Sand Dollar na niedzielnej zmianie?

– Na drugiej, od wieczora.

– Czy Karen też powinna się była zjawić wtedy w pracy?

– Tak, ale już panu mówiłam, że często brała wolne, więc nikt się tym nie przejął.

– Kiedy dotarło do pani, że zaginęła?

– Dobrze kilka dni później. Nie zamartwiałam się tym, nie była moim dzieckiem.

– Kiedy zatelefonował do pani Lowell?

– Nic takiego nie mówiłam.

– Ale my o tym wiemy. Chciał omówić warunki zapłaty. Z tego, co wiemy, zrobił to trzy dni po przyjęciu. Zgadza się?

– Raczej cztery albo pięć, nie pamiętam. – Obracała w palcach jeden z kolczyków.

– Jak to załatwiliście?

– Wszystko w porządku, mały? – zapytała Travisa, który bawił się pudełkiem i chichotał.

– Nic mu nie jest – zapewniłem ją.

Zrobiła kolejny obrót kolczykiem. Chrząknęła, zakaszła. Wydłubała coś z paznokcia. Założyłem nogę na nogę i uśmiechnąłem się do niej.

– Robi pan z igły widły. Nie wspominał o żadnej zapłacie za milczenie. Zaproponował, żebyśmy się spotkali we trójkę, on, ja i Tom, bo chce nam dać specjalną premię. Za to, że świetnie spisaliśmy się na przyjęciu.

– 1 gdzie się umówiliście, w Sanktuarium?

– Nie, w samej Dolinie. Przy bulwarze Kanionu Topanga, tuż przed Ventura w zamożnej dzielnicy.

– Gdzie dokładnie?

– Na kawałku nie zamieszkanego ziemi.

– W samej Topandze?

– Zaraz przy, na jakiejś bocznej uliczce. Nie pamiętam nazwy, ale zapewne umiałabym panu pokazać.

– Zapewne?

– Tyle już czasu minęło. Było ciemno, prawie północ.

– Nie zdziwiła się pani, że umawia się z wami o takiej późnej porze?

– Było wiele powodów do zdziwienia. On sam był dziwakiem, ciągle o czymś bredził, przeważnie bez ładu i składu. Impreza też była osobliwa. Chciał nam dać pieniądze, więc nie zadawałam pytań.

– Przyjechał sam?

Przytaknęła.

– Był już na miejscu, siedział i czekał na nas w samochodzie.

– Jakim?

– Chyba w mercedesie. Już mówiłam, że nie interesuję się samochodami.

– Jedno z wielu spotkań o północy?

– Nie było innego wyjścia, bo przecież pracowaliśmy w Sand Dollar. Są ludzie, którzy muszą ciężko pracować na życie.

– Co się zdarzyło podczas spotkania?

– Nie wysiadając z samochodu oznajmił, że świetnie się spisaliśmy i dlatego postanowił dać nam premię. – Splotła palce.

– Coś jeszcze?

– Powiedział też, że jest coś jeszcze do obgadania. Zdawało mu się, że jedna z dziewcząt z obsługi wdała się w pyskówkę z jakimś gościem, a potem odeszła nikomu się nie mówiąc.

– Czy miał na myśli Karen?

– Określił ją mianem ślicznotki.

– Mówił, z którym gościem zadarła?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno!

– Chodziło mu o jakąś szarpaninę?

– Sądziłam, że ma na myśli sprzeczkę, może nawet użył tego słowa, ale za Boga nie pamiętam. – W oczach pojawiły jej się łzy, które usiłowała powstrzymać.

– Coś jeszcze?

– Nic, po prostu stwierdził, że dziewczyna nie zachowała się jak należy, zaczęła się stawiać, ale nie miał nam tego za złe, bo z tym jedynym wyjątkiem ogólnie spisaliśmy się doskonale. Potem zażądał od nas obietnicy, że nikomu nie piśniemy ani słówka o tym incydencie, ponieważ dziennikarze tylko szukali na niego haka, i każdy najdrobniejszy skandal zamieniłby się w wielką nagonkę na jego osobę. Nawet gdyby dziewczyna nie wróciła i ktoś o nią pytał. Bo kiedy zbluzgała tego gościa, mówiła, że ma już tego dość i chce się stąd wynieść.

- Czy przeklinanie pasowało do charakteru Karen?
- Nie znałam jej za dobrze. – Wzruszyła ramionami i otarła oczy.
- Czy zdarzało się, że wyładowywała się na klientach Dolara?
- Nie, tyle że myliła zamówienia; ale przyjęcie było o wiele bardziej męczące.
- A więc wedle jego sformułowania odwaliła brzydki numer i zniknęła z przyjęcia ze słowami, że ma zamiar zmyć się z okolicy?
- Tak powiedział.
- Czy mu pani uwierzyła?
- Było nam wszystko jedno.
- Potem dał wam pieniądze.
- Premię.
- Dużą? – Rzuciła okiem na syna, potem na biurko.
- Piątkę – wyszeptwała.
- Piątkę czego?
- Tysięcy.
- Premię w wysokości pięciu tysięcy dolarów?
- Rachunek za całość obsługi musiał opiewać na co najmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Było to coś w rodzaju napiwku.
- W gotówce? – skinęła głową. – W walizce?
- W papierowej reklamówce... takiej wielkiej, jakie dają w supermarketach.
- Napiwek na pięć tysięcy dolarów w torbie.
- Nie wszystko było dla nas. Kazał nam dać trochę innym.
- Komu?
- Innym ludziom z obsługi.
- Z Sand Dollar?
- Tak.
- Komu?
- Facetowi o nazwisku Lenny...
- Lenny Korcik?

Przytaknęła.

– Doris i dwóm innym, Mary i Sue.

– Mary Andreas i Sue Billings.

– Skoro pan o wszystkim wie, to po co pan pyta?

– Korcik nie żyje, a Doris mieszka w Venturze – ciągnąłem. – Co stało się z Mary i Sue?

– Nie mam pojęcia. Praca sezonowa, były hippiskami. Pewnie wróciły do miasta okazją. W restauracji pracowały jakiś miesiąc, może dwa, potem zniknęły i wszelki ślad po nich zaginaj.

– Razem?

– Sue zmyła się chyba z jakimś kierowcą ciężarówki, który zaszedł do lokalu; po paru dniach Mary dołączyła do jakichś surfingowców, którzy podróżowali po wybrzeżu, nie pamiętam już nawet, w którą stronę. Nie nawiązaliśmy żadnej bliższej znajomości. To były hippiski.

– Ale podzieliliście się z nimi?

– Jasne, przecież sobie zasłużyły.

– Po równo?

– Nie, bo niby dlaczego? – zaczerpnęła głęboko tchu. – Ja wszystko załatwiałam, a potem zostaliśmy tylko we dwoje, żeby posprzątać.

– Ile im państwo dali? – wymamrotała coś pod nosem.

– Co?

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Na głowę?

Przytaknęła.

– Czyli zostawiliście sobie cztery tysiące.

– Nie skarżyli się. Cieszyli się, że w ogóle coś dostali.

– Doris też?

– A co, ona jest lepsza od innych?

– Nie sprawia wrażenia zadowolonej z życia.

– O to trzeba zapytać ją samą.

– Musimy ją najpierw znaleźć. Dokąd Tom wywiózł ją przed dwoma dniami?

Zacisnęła ręce i puściła niezłą wiązanekę na Sherrela Besta za to, że ją śledził.

– A więc dokąd?

– Chciała, żeby ją podwieźć na lotnisko, więc zrobił jej tę grzeczność.

– Też miała zamiar polecieć na wakacje? – Nie raczyła odpowiedzieć. – Gwen – mówi-
łem znużonym głosem – jeśli chce pani mówić, to proszę bardzo; jeśli nie, trudno.

– Proszę dać mi się skupić. Trudno jest wszystko naraz zapamiętać. A więc postanowiła
stąd się urwać. Zdenerwowały ją pańskie pytania. Wzięła pana za syna Besta, tak jak my wszy-
scy. Myśleliśmy, że rozgrzebujecie stare rany. Chciała mieć święty spokój.

– Tym bardziej, że jej udział w spisku nie był zbyt chlubny.

– Niech pan nie wyolbrzymia. To nie była żadna konspiracja, my po prostu...

– Po prostu co?

– Zamknęliśmy się. W ten sposób trudniej się udławić. – Gorzko się uśmiechnęła.

– Czy Doris widziała coś szczególnego?

– Może... no dobrze już, dobrze, nic specjalnego. Sama nie wierzyła własnym oczom.
Może w ogóle coś jej się przywidziało. – Obciągnęła halkę.

– Co widziała?

– Położyła dzieci do łóżek i wyszła, żeby przynieść sobie coś do picia. Po powrocie
stwierdziła, że jedno z dzieci gdzieś zniknęło, a drzwi wejściowe są otwarte. Po chwili odnala-
zła je. Łaziło gdzieś za domem. Wszędzie było pełno ścieżek, drzew i tych chat. Wszystko
przypominało jakieś lotnisko – wcześniej nudyści urządzili tam sobie swoją kolonię. Dziecko w
ogóle nie kontaktowało. Gdy Doris wzięła ją na ręce, dziewczynka zaczęła bełkotać. O złych
ludziach, potworach, którzy krzywdzą jakąś dziewczynę, coś w tym guście. Doris domyśliła się,
że tamtej śni się jakiś koszmar i wzięła ją do domu. Ale gdy położyła ją do łóżka, dziecko za-
częło wrzeszczeć. Obudziła więc to drugie i zaczęli płakać chórem. Doris mówiła, że nie wie-
działa, co począć, a dzieciaki bardzo hałasowały. Na szczęście zupełnie zagłuszała je muzyka
na imprezie. W końcu jakoś oboje utuliła.

– Co skłoniło ją do przypuszczenia, że dzieciak rzeczywiście był świadkiem jakiejś sce-
ny?

– Moja opowieść o Karen.

– To znaczy?

– Że nie cierpi ojca, który ma zamiar po nią przyjechać, więc dziewczyna chce wcze-
śniej zwać.

– Inni uwierzyli, ale Doris miała pewne wątpliwości?

– Twierdziła, że Karen mówiła o ojcu z sympatią.

– Czy zdradziła to innym? – potrząsnęła głową.

– Lenny'ego interesowały tylko rośliny; był ograniczony, wierzył we wszystko, co mu się mówiło. Mary i Sue były hippiskami, które nie chciały mieć nic wspólnego z rodziną

– A zatem Doris nie zwierzyła się nikomu z tego, co wie?

Wzruszyła ramionami.

– Czemu nie powtórzyliście mi nic o kłótni Lowella?

– Już mówiłam, że chciał zachować to w tajemnicy. Nie chciał mieć nic wspólnego z Karen. Tamtą drugą historyjkę też wymyślił. Radził nam, żeby opowiadać o ojcu, który ją napastował. Uznałam, że trzeba trochę złagodzić niektóre szczegóły.

– Po co?

– Co za dużo, to niezdrowo. – Popatrzyła na mnie, jakby spodziewała się pochwały.

– A więc inni kupili tę opowiastkę – ciągnąłem – Doris była jedynym wyjątkiem. Zaczęła zastanawiać się, czy dziewczynka nie widziała, co wyprawiali z Karen.

– Nie była niczego pewna, ale przyszła do mnie i powiedziała, że warto byłoby odnaleźć to dziecko. Jakby głośno myślała.

– I żądała więcej pieniędzy. – Zamilkła. – Ile jej jeszcze daliście?

– Siedemset pięćdziesiąt.

– W sumie tysiąc. Ile w jej mniemaniu dostaliście od Lowella? – zawahała się. – Gwen, wcześniej czy później znajdziemy ją i zadamy jej to samo pytanie.

– Dwa i pół tysiąca – wyszeptała niemal niedosłyszalnie.

– A zatem sądziła, że dostała więcej od was. Kiedy się zorientowała, że ją nabraliście?

– Nigdy.

– To dlaczego ciągle jej płacicie?

– Ja tego nie powiedziałam.

– Ale policja tak. Dlaczego Tom podwiózł ją na lotnisko? Wygląda to na jakiś romans. Czy Tom i Doris coś łączy?

– Nie, on jej nie cierpi. – zaśmiała się.

– Bo ma na was haka?

– Niezupełnie.

– W takim razie dlaczego?

– Nie szantażuje nas, nawet nie próbuje. Po prostu zwraca się do nas w potrzebie... jak do organizacji dobroczynnej. Ona ma... kłopoty.

– Jest nałogową hazardzistką?

– Skoro jest pan taki wszytkowiedzący, to do czego jestem tu potrzebna? – Uniosła gwałtownie głowę.

– Od ilu lat sponsorujecie jej nałóg?

– Od czasu do czasu. Przeważnie jest normalna, ale zdarza się, że zaczyna pić, grać i zostaje kompletnie splukana. Wtedy jej pomagamy.

– Czy zdarza jej się wygrywać? – spytałem, przypominając sobie młodzieńców na trawniku.

– Jeśli gra się często, to wcześniej czy później los uśmiecha się do człowieka. Kiedyś zgarnęła majątek. Wygrała piętnaście tysięcy w karty. Nazajutrz przeputała wszystko przy tym samym stoliku w Tahoe. Żal jej nam. Jest kuzynką Toma, opiekowała się nim, kiedy był mały. Po ślubie rozpiła się i zajęła hazardem.

– Ile jej w sumie daliście?

– Nigdy nie liczyliśmy, ale sporo. Chyba mogłaby sobie kupić za to dom, ale jej jest wszystko jedno... zresztą właśnie dlatego porzucił ją mąż. Pomagamy jej, bo jest naszą krewną.

W pomieszczeniu panował chłód, ale ona pociała się, z rzęs zaczął spływać tusz. Z leżącego na biurku pudełka wyjęła chusteczkę higieniczną i starannie, powoli wytarła oczy. Rozumiałem już wściekłość Doris w stosunku do Gwen i Toma, którzy stali się jej dobroczyńcami.

– To już wszystko?

– Dokąd zawiózł ją Tom?

– Na lotnisko.

– Gdzie chciała lecieć?

– Nie wiem. Naprawdę. Mówiła jedynie, że chce się na pewien czas wyrwać z miasta. Napędził pan jej stracha. Myślała, że będzie pan odgrzebywał stare historie.

– Czy dręczyły ją wyrzuty sumienia? Dlaczego nigdy nie opowiedziała nikomu czego była świadkiem?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Czy pić i uprawiać hazard zaczęła przed, czy po tamtym przyjęciu?

– Przed. Już panu mówiłam, że stało się to zaraz po ślubie. Miała zaledwie siedemnaście lat, potem na świat przyszły dzieci.

– Dwaj synowie – wtrąciłem – jeden w Niemczech, drugi w Seattle. – Odwróciła głowę.

– Jak ma na imię chłopak, który stacjonuje w Seattle?

– Kevin.

– Kevin Reingold?

Kiwnęła głową.

– W której bazie?

– Nie wiem, gdzieś w tamtych okolicach.

– Doris jest pani kuzynką i nie wie pani takich rzeczy?

– Kuzynką Toma. Nie łączy ich żadne bliskie pokrewieństwo.

Rzuciłem okiem na Trávisa, który usiłował otworzyć pudełko. Ale plastikowe opakowanie było mocne i jego wysiłki okazywały się bezskuteczne. Oderwałem kawałek plastyku. Roześmiał się i wyrzucił pudełko. Raz jeszcze mu je podałem. Gwen wpatrywała się nieruchomo w półki.

– A więc Tom podrzucił ją na lotnisko, a potem sam odleciał do Meksyku – podsumowałem.

Pudełko ponownie upadło na ziemię. Tym razem Travis nie chciał go ode mnie wziąć, potrząsając głową i wyprężając się. Dałem mu puszkę wosku do smarowania desek surfingowych.

Gwen wybuchnęła płaczem. Próbowwała się powstrzymać, szczypiąc się w nos. Travis uniósł puszkę i zawołał coś w swym niezrozumiałym języku. Obrzuciła go wzrokiem, w którym malowały się najpierw złość, potem niemoc.

– To bez sensu. Czuję się przy panu jak przestępca, a przecież tak naprawdę nic nie zrobiłam.

– Ile jeszcze pieniędzy dostaliście od Lowella?

– Ani grosza!

– Ograniczyło się do jednego razu?

– Przysięgam!

– Ile razy spotykaliście się z nim od tego czasu?

– Nigdy.

– Mieszka w Topanga, wy zaś w odległości ośmiu kilometrów w La Costa, i chce mnie pani przekonać, że się nie spotkaliście?

– Z ręką na sercu. Nigdy do niego nie jeździmy, a on też się tu nie pojawia.

– Wybulił pięć tysięcy i na tym się skończyło?

– Naprawdę. Nie chcieliśmy do tego wracać.

– Czy po tym, co opowiedziała pani Doris, zaczęła się pani zastanawiać nad losem Karen?

– Najzwyczajniej w świecie nie chcieliśmy mieć z nim nic wspólnego... to był dziwak. Cała sytuacja była niecodzienna.

– I nie rozmyślała pani o sprawie Karen? Dlaczego Lowell wręczył wam pięć tysięcy w papierowej reklamówce, prosząc przy tym, żebyście trzymali buzie na kłódkę? Kazał wam opowiadać niestworzone historie? A jej nigdy już więcej nikt nie widział na oczy?

– Ja... to trzymało się kupy: on nie chciał przyciągać uwagi mediów. Był sławny i nadsziany, myślałam, że piątka to dla niego małe piwo. Zgoda, byłam naiwna. Miałam wtedy dwadzieścia pięć lat, pracowałam już od dziewięciu, czy miałam, oddać pieniądze, iść na policję i powiedzieć, że trafiłam na podejrzany interes? I pewnie wyobraża pan sobie, że wysłuchaliby mnie z powagą? Kiedy w restauracji zjawił się policjant, odbębnił swoje, napił się kawy, zjadł pączka i tyle go widzieli. Nie traktował swojego zadania zbyt serio. Mówił, że pewnie związała z jakimś gościem, pojechała gdzieś okazją albo włóczyła się po górach. Szukały jej śmigłowce. Doszłam do wniosku, że jest tak, jak mówili wszyscy.

– A opowieść Doris?

– Doris jest dziwna. Pije, zdarza jej się tracić przytomność. W ciągu jednego dnia przepuszcza piętnaście tysięcy. Miałam zwracać uwagę na dziewczuszkę, której coś odbiło?

– Niech i tak będzie – przystałem. – A więc tak: siedemset pięćdziesiąt dla Lenny'ego, Sue i Mary, tysiąc dla Doris. Wam dwojgu zostało więc trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt. Jak za takie pieniądze zbudować dom nad morzem i otworzyć sklep?

– Mieliśmy jeszcze oszczędności, z pięciu lat. Ciężko na nie zapracowaliśmy. Zdarzają się tacy jak my.

Obciągnęła sukienkę. Tkanina zmięta się nieco. Twarz była spocona i okrywał ją rumieniec.

– A kto opowiedział o przyjęciu Felixowi Barnardowi?

– Nikt.

– To jak się o nim dowiedział?

– Nie wiem. Pewnie sam do tego doszedł. Rozmawiał z Marvinem – właścicielem restauracji – o pracy Karen. Marvin narzekał, że często brała wolne, że zapewne dorabia sobie na boku i ma zamiar ją zwolnić.

– Czy dowiedziała się pani o tym od Marvina? – przytaknęła.

– To miało być ostrzeżenie dla mnie. Barnard przyszedł do Dolara jako zwyczajny klient. Usiadł przy stoliku, który akurat był pod moją pieczęcią; pokazał mi swoją wizytówkę i zaczął wypytywać o Karen. Powiedziałam, że nie wiem, gdzie jest – mówiłam zresztą prawdę. Marvin nie znosił spoufalania się z klientami, więc odesłał mnie do innego stolika. Potem widziałam, jak sam siada i zaczyna rozmawiać z Barnardem. Pomyślałam sobie, że teraz to już na pewno sprawa przyjęcia wyjdzie na jaw. Po wyjściu Barnarda Marvin pytał, czy wiem, gdzie jest Karen. Zaprzeczyłam. On stwierdził, że wedle tego durnia dziewczynie coś się przytrafiło, sam szef natomiast sądził, że gdzieś szaleje albo zmieniła pracę. Wyskoczył też z tekstem, że nie podoba mu się nasze dorabianie na boku. Mnie ujdzie to na sucho, bo jestem dobra, ale Karen była zwykłą amatorką i wszystko leciało jej z rak. Doszłam więc do wniosku, że Marvin podzielił się z detektywem podejrzeniami co do naszej roboty na czarno, a Barnard tak długo węszył, aż odkrył, co to za impreza wchodzi w grę. Wielkie mi coś. Gazety rozpisywały się o tej uroczystości.

– Czy Barnard ponawiał próby pogadania z panią?

– Nie.

I nie zapisał rozmowy z Marvinem D'Amato.

– Czy przestrzegła pani przed nim Lowella?

– Nie! He razy mam powtarzać, że nie kontaktowałam się z nim od chwili, gdy dał mi... tę torbę?

– Czy obecność Barnarda obudziła pani podejrzenia w stosunku do Lowella?

– A to niby czemu? Pomyślałam sobie po prostu, że ojczulek postanowił nareszcie rozstać się dla dobra córki z pewną sumą pieniędzy. – Jej skrzyżowane na piersi ręce przypominały żołnierskie bandolety.

– Proszę się trochę zastanowić, Gwen. Pięć tysięcy dla uniknięcia nieprzyjaznych dziennikarzy?

Starannie unikała mego wzroku. Pokonywałam ją cierpliwością.

– Zgoda – ustąpiła. – Przyszło mi do głowy, że mogła wykitować. Ale co mogłam poradzić? Wiedziałam tylko, że gdzieś przepadła i nic nie mogło zawrócić biegu zdarzeń.

– Czy Karen zadawała się z narkomanami?

– Czasem paliła trawę.

– Jakich narkotyków używali goście na imprezie?

– Trawy, haszyszu, grzybków, kwasu, do wyboru, do koloru. Ludzie się zataczali, robiali, urządzali wycieczki do lasu.

Czyli jeżeli doszło do jakiegoś pogrzebu, musieli urządzić go dość daleko...

– Czy Karen należała do dziewczyn, które interesują takie historie?

– Kto to wie? Była raczej zrównoważona, ale do geniuszy intelektualnych też bym jej nie zaliczyła. Nigdy w życiu nie była na takiej imprezie. Aż roiło się tam od filmowców.

– Ale nie rzuciło się pani w oczy, żeby gdzieś z kimś konkretnym odchodziła?

– Nie.

– z Lowellem też nie?

– Nie wiem. Nie zwracałam uwagi na to, kto jest w czyim towarzystwie. Serwowałam żarcie i uważałam, żeby nie pochlapać ludziom ubrań.

– A Tom?

– Stał przy barze; ludzie nieźle uderzali w gaz; nie miał ani chwili przerwy.

– Dlaczego wyjechaliście potem do Aspen?

– Przez Besta. – Zmarszczyła czoło, jakby się namyślała. – Dostawaliśmy szafu na jego widok, nie było dnia, żeby nas nie nachodził. Mieliśmy też po dziurki w nosie zniechęconej gęby Marvina.

– Czemu akurat do Aspen?

– Tom miał kumpla, który w zimę pracował tam jako instruktor narciarski. W spadku dostał mu się dom pod Starwood. Załatwił Tomowi robotę w jednym z hoteli. Ja znalazłam posadę w sklepie z futrami. Cieszyłam się, że nie muszę już bez przerwy patrzeć na jedzenie.

– Ale wciąż nie rozumiem, jak tu wróciliście.

– Dzięki pracy i odrobinie szczęścia. Znajomy Toma potrzebował na gwałt gotówki. Cały jego majątek sprowadzał się do tego domu, niewielkiego, ale całkiem przytulnego...

– Po co były mu te pieniądze?

– Zamknęli go. – Znowu obciągała brzeg sukienki.

– Za co?

– Za narkotyki – wydusiła niechętnie.

– Czy właśnie ze względu na dragi wybraliście Aspen?

– Nie! To jego zamknęli, nie nas. Może pan sprawdzić tam na policji. Nazywał się Greg Fowler. Gregory Duncan Fowler III. Nakryli go za handel kokainą i potrzeba mu było pieniędzy na kaucję, więc przepisał domek na nas.

– Za ile?

– Za trzysta tysięcy. Dorzucił dwa swoje i wybulił kaucję piętnastu tysięcy dolarów.

– Trzy tysiące Lowella i dziesięć ze środków własnych?

– Dokładnie.

– Spora sumka jak za domek w Aspen.

– Dom nie był znowu taki wielki. Prawdę mówiąc była to chata myśliwska. Nawet jej nie chcieliśmy, hydraulika i elektryka były zupełnie do niczego. Ale Greg nas błagał. Przekonywał, że zaczyna się boom na nieruchomości i że skorzystają na tym obydwie strony. Zamieszkaliśmy tam do czasu, aż Tom przeprowadzi różne naprawy – to złota rączka. A nieruchomości faktycznie zaczęły iść w górę, zwłaszcza gdy zaczął się najazd ludzi z Hollywood, którzy zaczęli wykupywać ziemię. Dom stał przy parceli należącej do producenta filmowego Sy Palmera, autora serialu telewizyjnego... nazywał się chyba „Anioły z nieba”. Nasza działka potrzebna mu była pod stajnie dla koni, więc wybulił nam siedemdziesiąt pięć tysięcy. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Potem okazało się, że albo kupimy inny dom, albo zrujnują nas podatki, więc za sumę od Palmera kupiliśmy większy dom, który wyremontowaliśmy i sprzedaliśmy aż za trzysta tysięcy. Nie mieściło nam się w głowie, że tak nam się wszystko układa. Wtedy zaszłam w ciążę.

Spojrzenie, jakie rzuciła na Tralisa, przepełnione było czułością i najczarniejszą rozpaczą. Chłopiec cały czas bawił się puszką.

– Lekarze przeczuwali, że coś jest nie tak, ale z początku sprawiał wrażenie całkiem normalnego dziecka. Potem... zdawałam sobie sprawę, że muszę zamieszkać blisko wielkiego miasta, gdzie byłby szpital ze sprzętem rehabilitacyjnym. Byliśmy przekonani, że Best wrócił do siebie, na wschód. Przeprowadziliśmy się więc z powrotem, kupiliśmy sobie dom w Rambla Pacifica i założyliśmy sklep. Tom sądził, że wszyscy jego dawni kumple od deski surfingowej będą do nas przychodzić. Tak też się stało. Sprzedaliśmy więc tamten dom i kupiliśmy nowy, w La Costa.

Rozmowa o powodzeniu finansowym uspokoiła jej roztrzęsione nerwy.

– To tyle. Podatki płacimy nienagannie. Nigdy nie handlowaliśmy narkotykami ani nie byliśmy dusigroszami. Pieniądze widocznie nas lubiły. Gdy Lowell dał nam tę reklamówkę, nie mogliśmy pozbierać myśli. Przez długie miesiące trzymaliśmy je w szafie i nie ruszaliśmy. Potem powiedziałam Tomowi, że moglibyśmy je przecież jakoś wykorzystać. Wtedy też zaczął wydzwaniać do nas Greg z opowieściami o rajach w Aspen. Pojechaliśmy do niego i wszystko samo się ułożyło.

– Czy utrzymujecie kontakt z Gregiem Fowlerem?

– Ja nie.

– A Tom? – milczała.

– Greg przeprowadził się do Meksyku, mam rację?

Cisza starczyła za całą odpowiedź.

– Niedaleko stolicy? Gwen?

– Nie, w pewnej wiosce nad morzem. Nawet nie wiem, jak się nazywa.

– Cały czas siedzi w dragach, tak?

– Nie! – zawołała. – Łowi ryby.

– Pewnie nieźle się obłowił, bo Tom przywiózł ostatnio spory ładunek korbiny i albakoru.

– I co z tego?

– Gdzie mieszka?

– Nie wiem, Greg zdradził to tylko Tomowi. W oczach urzędników cały czas jest uciekinierem. Proszę nie utrudniać mu życia, to dobry człowiek.

– Tom nie podał pani adresu?

– Nie, miał... – zabębniła palcami w biurko.

– Co miał zrobić?

– Spotkać się z nami. W stolicy Meksyku, miał czekać z furgonetką. Potem mieliśmy pojechać do niego. Na lotnisku miały czekać na nas bilety. Sama je kupiłam, ale poinformowali mnie, że ktoś odwołał zamówienie... że zrobił to Tom. Ale dlaczego? Dlaczego?

Rozdział czterdziesty

Zadzwoniłem do Milla. Na szczęście odezwała się automatyczna sekretarka.

– Inspektor Sturgis? Tu doktor Delaware. Rozmawiałem właśnie z panią Shea... nie, w

sklepie. Tak, wiem wszystko o lotnisku, właśnie tam... wiem, ale myślałem... podała mi trochę istotnych informacji, może pan... nie, raczej nie, chce pan z nią rozmawiać? Kiedy? Może być... Nie, nie ma go... wymknął się do Meksyku... w jakiejś wiosce rybackiej, ona twierdzi, że nie wie dokładnie gdzie, i jestem skłonny dać jej wiarę... co? Nie. Nie, raczej nie. Dobrze, do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę.

– Trochę mi głupio, ale nie zamierza pani chyba opuszczać miasta?

Przez cały czas trwania rozmowy nie spuszczała ze mnie wzroku.

– Kiedy przyjadą na przesłuchanie?

– Niebawem. Przesłuchują jeszcze kilkoro innych świadków. Pani nazwisko jest na jakiejś lotniczej liście podejrzanych. Jeśli będzie usiłowała pani wyjechać za granicę, skonfiskują pani paszport.

– Nieważne. I tak tu zostanę; nie mam innego wyjścia.

Uśmiechnąłem się na pożegnanie do Tralisa i skierowałem się na północ, cały czas myśląc o trwającym dwadzieścia jeden lat udawaniu. Wzięli pieniądze, udając, że to napiwek. Podsycali nałóg Doris Reingolds i trwali w przekonaniu, że są jej dobroczyńcami. Pięć tysięcy dolarów w papierowej torbie.

Gwen była jednocześnie zaprawiona w bojach i krucha. Robiła uniki, stawiała opór, usiłowała zbagatelizować swoją rolę w jakiegokolwiek zbrodni. Szóstym zmysłem czułem jednak, że w sumie była ze mną szczerą. Gdyby rzeczywiście dopuścili się zabójstwa, to nie znosiłoby przez tyle lat zachcianek Doris Reingold.

Jechałem szybciej niż zazwyczaj. Ani się obejrzałem, a już minąłem Latigo Shores i Escondido Beach, dotarłem do Paradise Cove, gdzie owego wieczoru kierowca czerwonego ferrari zabrał Karen.

Lowell zażądał ładnej dziewczyny do rozstawiania stołów i krzeseł. App – albo jego szofer – zabrał ją. Impreza w ścisłym gronie przed wielkimi uroczystościami. Lowell, App i Trafficant? Czy w tamtych czasach producent miał wąsy? Owej nocy nie wyrządzili jej żadnej krzywdy; nazajutrz była w wyśmienitym nastroju, ale potem coś się popsuło.

„Podeślijcie jakąś ślicznotkę”.

Felix Barnard nie był geniuszem dedukcji, ale wykombinował, że zasłużył sobie na przyzwoity okup. I na śmierć w motelu Adventure.

App, nawijający mi o umowach. Bawił się moim kosztem? Był sponsorem Lowella. Mógł nim do woli pomiatać... Przypomniała mi się jego wybuchowa reakcja na moje wtar-

gnięcie w jego rewir i okrutne, dokonane na zimno zwolnienie sekretarki. Wpuścił mnie, gdy wyjawiałem swój interes. Wybadał mnie, ocenił niebezpieczeństwo. Mowa o zepsuciu Mullinsa – Mellorsa. Scenariusz to z pewnością podróbka, co nie musi oznaczać, że jego autorem nie był Mellors.

Lata doświadczeń w labiryntach Hollywood. Czy uwierzył w moją opowiadkę o biografii? Może. Nie usiłował mi utrudniać, nie zrobił krzywdy. Nie wziął nawet wizytówki. Czekaj, kiedy wrócę z propozycją umowy...

Przycisnąłem pedał gazu i wjechałem na przedmieścia Malibu. Ten odcinek autostrady był nieoświetlony. Droga zakręcała w mroku. Przed oczami stanął mi obraz Karen, wsiadającej do lśniącego samochodu i łudzącej się, że czeka ją wspaniała przyszłość. Nazajutrz rano bawiła się z Lucy i Pukiem, dopóki Gwen nie wydelegowała do tego zadania Doris, osoby bardziej doświadczonej w tej dziedzinie. Doris położyła dzieci do łóżka i poszła się zabawić. Po powrocie stwierdziła, że Lucy gdzieś się zapodziała. Wybiega szukać jej. Znajduje dziecko, które chodzi w somnambulicznym transie, coś bełkocząc.

„Mężczyźni krzywdzą dziewczynę”.

Wpływowi mężczyźni. Zacierają ślady morderstwa... w motelu, będącym własnością kogoś z Reno. The Advent Group. Już wiedziałem, skąd znam tę nazwę. Firma, która wraz ze studiem Appa zajmowała dwudzieste piętro biurowca. Advent Ventures. App trzyma Mellorsa na finansowej smyczy, żeby mieć go na oku i w razie czego wykorzystać. Najpierw rutynowa robota u producenta filmowego, następnie kierownictwo motelu. Od krytyka literackiego do burdeltaty. Lowell doceniłby ironię takiego obrotu sprawy. Nietrudno wyobrazić sobie uciechę Appa.

„Dobra, dobra, Denny. Wiem, że taka posada nie jest godna ciebie, ale twoje obowiązki ograniczają się jedynie do zjawienia się od czasu do czasu w tej norze... może nawet uda ci się zebrać trochę materiału... co byś powiedział na serial o motelu? Tylu różnych szaleńców, przewijających się przez pokoje. Możemy opchnąć to w telewizji. Możesz się nad tym zastanowić, ja cię nie zmuszam. Jeśli coś zdecydujesz, zaraz daj mi znać. Chodź do środka, rzucimy okiem na morze i coś przegryziemy”.

Wszystko układa się w logiczną całość, ale mimo to Gwen przyznała się przecież jedynie do tego, że widziała, jak Karen znika w tłumie z tacą przekąsek, a okup od Lowella można by uznać za hojny napiwek. Już słyszałem głos Mila, który w tym wypadku pełnił funkcję jego superego: „Brak dowodów”.

Usiłowałem dodzwonić się do niego wieczorem, a potem jeszcze raz nazajutrz. W domu nikt nie odpowiadał, a dyżurny posterunku w Westside nie był zbyt przychylnie usposobiony.

Tyle informacji, a nie ma co z nimi zrobić. Lucy nie myślała jeszcze o Karen, zyskiwałem więc trochę czasu. Nie mogłem być pewny, czy Gwen Shea nie wymknie się ze strachu z miasta, a bez niej pozostawałem właściwie z niczym.

Będę szukał Mila. Tymczasem zaś trochę się zrelaksuję. Zakładałem właśnie strój do biegania, gdy sekretarka połączyła mnie z doktor Wendy Embrey.

– Witam – zacząłem starając się nie dać poznać, że jestem zły.

– Cześć, co tam u Lucretii?

– W porządku. – Nie zajmowała się nią już, nie miała więc prawa do żadnych poufnych informacji.

– Cieszę się. To dziwna pacjentka, i tak naprawdę nie wiedziałam, jak się do niej zabrać.

– To znaczy?

– Chodzi mi o to usiłowanie samobójstwa. Upierała się, że tego nie zrobiła, a wszystko było tak strasznie logiczne. Nie nastąpiła zatem żadna psychoza ani poważna depresja?

– Nie.

– To dobrze. Proszę ją ode mnie pozdrowić. Nie zapominam o niej.

– Oczywiście.

– Prawdę mówiąc, zadzwoniłam z innego powodu. To niezręczne pytanie i nie ma pan obowiązku na nie odpowiadać, ale czy przypadkiem nie było trudności z honorarium?

– Jestem zadowolony.

– Hm, no tak. Wiem, że to nie na miejscu, ale wspominałam panu chyba, że szpital wpadł ostatnio w tarapaty finansowe; krzywo patrzy się tu na lekarzy, którzy przyjmują pacjentów nie płacących za leczenie. Ja jestem w szczególnie kłopotliwym położeniu, bo jestem tu nowa, na stażu. Lucy nie była ubezpieczona i nie było pewności, czy będzie mogła uregulować należności. Kierownictwo szpitala trzyma się zasady, że po zażegnaniu bezpośredniego niebezpieczeństwa oddaje się pacjenta w ręce samorządu. Nie zrobiłam niczego takiego, bo ją polubiłam, a brat obiecywał, że zajmie się sprawami finansowymi. Ale dyrekcja zawiadomiła mnie, że jego firma odesłała rachunek za leczenie, a on sam nie odpowiada na nasze telefony. Czy jest pan z nimi w kontakcie?

- Mieli pełne ręce roboty. Ich brat Peter zmarł przed paroma dniami.
- O Boże, strasznie... przepraszam, że zawracam głowę. Do widzenia.

Pobiegałem, potem zjadłem śniadanie. W dzienniku jedna z Bogetek, młodzieńka jedząca o zapadłych policzkach i imieniu Stasha, udzielała wywiadu żadnej sensacji dziennikarce. Miała ogolona głowę, kamizelkę z kozłej skóry, założyła też naszyjnik ze zwierzęcych szponów. Nad lewą brwią miała wytatuowany napis „Jobe to Bóg”. Bez przerwy krzywiła się i wodziła wzrokiem za kamerą. Dziennikarka była blondynką pod trzydziestkę o ślicznych włosach. „Więc twierdzi pani, że policja tak okropnie spartaczyła dochodzenie, że Jobe Schwandt zasłużył sobie na nowy proces? Ależ...” – mówiła „Ależ Jobe żyje – przerwała jej Stasha. – z pewnością prawda wcześniej czy później wyjdzie na jaw”. – Reszta jej kwestii została zagłuszona.

Wyłączyłem telewizor. Zadzwoił telefon.

- Cześć – usłyszałem nareszcie głos Mila.
- Widziałem przed chwilą w telewizji jedną z twoich podopiecznych.
- Całą noc się za nimi uganiałem. El Monte, San Gabriel, South Pasadena, Glendale, Burbank. W ogóle się nie spieszą, nie oszczędzają migaczy, często urządają sobie postoje.
- Gdzie jechały?
- Nigdzie, po prostu na przejażdżkę. Przystawały przy krawężniku, czekały, potem znów ruszały. W końcu zatrzymały się w jakiejś knajpie w San Fernando na hamburgery i frytki. Jedna nawet przyszła na parking poczęstować mnie Pepsi. Uprzednio napluła do szklanki i zaproponowała, żebym poszedł sobie ulżyć do chlewu. Po czym poinformowała mnie, gdzie się teraz wybierają. „Chcesz mapę samochodową, frajerze?”

– Nieźle.

– Zapisz się do nas, pojeździsz sobie po świecie. No nieważne, odsłuchałem wiadomość od ciebie, dotyczącą pani Shea. Śledziłeś ją a potem przesłuchałeś?

– Tak się jakoś złożyło.

– Jasne – mruknął. – Miejmy nadzieję, że nie pozwie cię do sądu. Jak myślisz, czy nie blefowała?

Streściłem mu przebieg wypadków.

– Skoro App i Lowell nie cofają się przed wykańczaniem wszystkich, dlaczego oszczędzili państwo Shea?

– Istnieje kilka możliwych wyjaśnień – zacząłem. – Jeżeli Gwen mówiła prawdę, niewiele obydwójce wiedzieli. Upływ czasu, w którym nie zwracali się do Lowella po pieniądze, musiał utwierdzać go w takim przekonaniu. Poza tym w tej chwili na utrzymaniu status quo zależy im tak samo jak Appowi czy Lowellowi. Godni szacunku ludzie interesu. Informacja, że otrzymali pieniądze za milczenie w sprawie zamordowanej dziewczyny, z pewnością nie poprawiłaby im opinii. A gdyby Doris odkryła, że nie podzielili się z nią wszystkim, co mieli, zapewne by sypnęła i usiłowała ich oczernić. Między Bogiem a prawdą ona im zazdrości.

– Chodzące ideały – skwitował. – Ludzie, którzy udają, że nie wyczuwają smrodu komór gazowych... no, dobra, więc zyskaliśmy już pewność, że Karen po raz ostatni widziano na imprezie w Sanktuarium. Ale...

– Wiem, nie mamy żadnych dowodów, że popełniono jakiekolwiek przestępstwo.

– Nie znaleziono zwłok.

– Jak do tej pory sen Lucy się potwierdza. Być może więc z czasem natrafimy również na trupa.

– Po tylu latach? Rozumiem, że chcieli ją tam tymczasem ukryć. Ale myślę, że nie byli na tyle głupi, że jej stamtąd nie ruszyli.

– Zarozumiałość. Jestem przekonany, że we własnych oczach Lowełł stoi ponad prawem. Nawiasem mówiąc to dość bezpieczne miejsce. Komu przyszłoby do głowy szukać jej akurat tam? A nawet jeśli, to w której części takiej ogromnej posiadłości? – Wtem poczułem, że zaczyna mi się robić słabo. – Jasna cholera!

– Co takiego?

– Wczorajsze spotkanie z Appem. Jeśli dowie się, że moja opowieść o biografii to błąd, zacznie snuć podejrzenia. Jeśli dziewczyna leży jeszcze w majątku Lowella, to mogą ją stamtąd niebawem usunąć.

– Nie przejmuj się, właściwie to wszystko jedno. Nawet gdyby nikt jej nie ruszył, nam też nie wolno tego zrobić. Nie ma nawet co marzyć o nakazie prokuratorskim. Zresztą po tylu latach niewiele z niej chyba zostało. Zwierzęta wygrzebują kości, roznoszą je wszędzie. Jeśli App ma trochę oleju w głowie, to nie wykona żadnego ruchu, żeby nie przyciągać niczyjej uwagi.

– Możliwe, ale dawniej nie miał tego w zwyczaju. Razem z Lowellem usuwają z drogi zawadzających im ludzi.

– To dlaczego nie załatwili małżeństwa Shea i Doris? Odpowiedź brzmi: nie jest im wszystko jedno. Pod warunkiem rzecz jasna, że Gwen mówiła prawdę. Nie wolno ci zapomi-

nać, że o współudziale Appa świadczy wyłącznie to ferrari, a mógł w nim siedzieć właściwie każdy.

– Ale Lucy pamięta, że ktoś zachowywał się w stosunku do Lowella po wielkopańsku. To pasowałoby do Appa.

– Do Trafficanta też. A skoro dołączyłeś do całego towarzystwa Mellorsa, mamy w sumie do czynienia z czterema złoczyńcami. Nie traktuj więc tego snu jako niewzruszonego dogmatu.

– Ale doprowadza mnie to do białej gorączki; jestem tak blisko rozwiązania, a nie mogę go osiągnąć.

– Znam to uczucie. A propos, sprawdzę, co policji wiadomo o panu Appie. Podałem mu adres biura producenta w Century City.

– W okresie, gdy odbyło się przyjęcie, mieszkał w Malibu – dodałem. – Z pewnością nad morzem.

Zadzwoiłem do Lucy. Nikt nie odbierał. Władowałem się do seville'a i skierowałem na północ, do kanionu Topanga.

Rzucę tylko okiem, czy przed domem oprócz wozu Lowella stoją jeszcze jakieś samochody. Albo odwiedzę starca. Zobaczymy, jak daje sobie radę z tym nieszczęściem. W najgorszym wypadku zeklnie mnie i wyrzuci. Jeśli natomiast urządza sobie właśnie drzemkę, spróbuję namówić Nove na spacer, do lasu. Między misternie splątane drzewa.

Na skrzyżowaniu ze starą drogą do Topangi musiałem zatrzymać się, żeby przepuścić jakąś ciężarówkę. Miałem już skręcać w lewo, gdy ujrzałem zaparkowany przed sklepem po drugiej stronie drogi samochód. Niebieski colt. Za kierownicą siedziała jakaś młoda kobieta. Gdy ciężarówka przejechała, zawróciłem i stanąłem obok niej. Ze środka spojrzała na mnie przerażona Lucy. Po chwili uśmiechnęła się. Wysiedliśmy z samochodów. Miała na sobie koszulę w kratę, dzinsy i traperki. Włosy upięte były w kok.

– Cześć – odezwała się.

– Cześć.

Gdy oglądała się na samochód, w oczach malował się wyrzut sumienia. Na siedzeniu stała filiżanka po kawie i pączek.

– Nie przejadasz się – zagaiłem.

– Pomyśli pan pewnie, że głupio robię, ale postanowiłam stanąć z nim twarz w twarz.

– Nie pomyślę – zareplikowałem – ale nie mogłaś wybrać mniej odpowiedniej pory. W ciągu dwóch ostatnich dni potwierdziły się przypuszczenia, że Karen Best naprawdę zniknęła na przyjęciu w Sanktuarium. Ojciec zapłacił pewnym ludziom, żeby trzymali to w sekrecie. Zamieszani w to byli także inni mężczyźni. Możliwe, że ludzie ginęli dlatego, że o wszystkim wiedzieli.

– Dlaczego pan mi o tym nie powiedział? – z twarzy stopniowo odpływała jej cała krew.

– Dzwoniłem parę razy.

– A, tak... nie było mnie.

– Wychodziłaś gdzieś razem z Kenem?

– Nie, jeździłam samotnie. Ken musiał odlecieć do biura głównego swojej firmy. Trochę czytał się o mnie, ale dobrze zrobiła mi odrobina spokoju. Mimo że nie mogę odegnąć od siebie myśli o Puku. – Zagryzła wargi, skrzyżowała ręce na piersi i skuliła się.

Zrobiłem krok w jej stronę. Odsunęła się.

– Najgorzej zniosłam pogrzeb. Patrząc, jak zasypują go ziemią... Wtedy wszystko rozumiałam. Gdy pojawił się w tym okropnym białym garniturze i w towarzystwie kochanki. Popisywał się, jakby wszystko było jednym wielkim przedstawieniem. Nawet w takiej chwili nie umiał zachować się przyzwoicie. Dotarło do mnie, że bez przerwy rozsiewa po świecie zło i uchodzi mu to płazem. Najwyższy czas, żeby ktoś mu się przeciwstawił. Przepraszam, że się uprzednio nie poradziłam się, ale chciałam wreszcie podjąć jakieś działania na własną rękę.

– Prawdę mówiąc zawsze zdawałaś mi się samodzielną osobką.

– Nieprawda – odparowała. – Byłam samotna. A teraz do niego jadę. Proszę, panie doktorze, niech mnie pan nie powstrzymuje. Co mi może zrobić? Przejechać swoim wózkiem? Napuścić na mnie tę latawicę?

– Lucy...

– A pan co tutaj robi? – uśmiechnęła się. – Zamierzał pan do niego jechać, prawda?

– Lucy, ci ludzie są niebezpieczni...

– Kto? Jak się nazywają?

– Szefem całego spisku jest najprawdopodobniej producent filmowy o nazwisku Curtis App. – Opisałem jego przypuszczalny wygląd dwadzieścia jeden lat temu.

– Nic sobie nie przypominam – odparła – więc może to on był mężczyzną który stał odwrócony plecami... kim był wąsacz?

– Istnieją co najmniej dwie możliwe odpowiedzi. Trafficant lub inny jeszcze pisarz o nazwisku Denton Mellors. Rosły Murzyn o jasnym odcieniu skóry. Miał wąsy, chociaż tak jak i Trafficant niewielkie, i koloru blond. Między innymi właśnie on został zamordowany, zapewne dlatego, że wiedział, co przytrafiło się Karen.

– Nie – stwierdziła – tamten mężczyzna był z całą pewnością biały. A wąsy miał ciemne i gęste.

– Twój sen może przedstawiać niektóre szczegóły zgodnie z prawdą inne zaś zniekształcać. – Odwróciła się i otworzyła drzwi samochodu. Przytrzymałam ją za rękę. – Widziałem się wczoraj z Appem i wcisnąłem mu zmyśloną opowiastkę o biografii Lowella, którą niby to piszę. Możliwe, że odkrył moje oszustwo i zdenerwował się. U Lowella może w tej chwili być albo on, albo jakiś zausznik.

– Nie, to niemożliwe. Przez cały dzień nikt nie jechał w tamtą stronę ani stamtąd nie wyjeżdżał. Obserwuję tę drogę od samego rana.

– Pilnujesz?

– Nie miałam takiego zamiaru. Po prostu siedziałam i zbierałam się na odwagę. Przyjechałam tu, żeby skorzystać z toalety, coś zjeść i czegoś się napić. Właśnie miałam wracać.

– Skąd pewność, że nikt cię nie widział?

– Może mi pan wierzyć. Nikt nawet nie przejeżdżał tędy.

– Siedzisz tu od wschodu słońca?

– Wiem, że uważa mnie pan za idiotkę, ale muszę wreszcie stawić mu czoło i pozbyć się go raz na zawsze.

– Rozumiem, ale naprawdę nie wybrałaś właściwej pory.

– Trudno. Cudowny z pana człowiek. Nikomu nie ufam tak jak panu... i jeszcze Milowi. Ale do tego zbierałam się przez całe życie. Nie mogę już dłużej zwlekać.

– Jeszcze odrobina cierpliwości, Lucy.

– Ile? Nie ma pan żadnych dowodów śmierci Karen. Policja nigdy się za to nie weźmie.

– Oczekaj, dopóki nie przekonamy się, że podczas takiej wyprawy nic ci nie grozi.

– Jestem o tym przekonana. Tam nikogo nie ma. Poza tym moja obecność nikogo nie zdziwi. Chciał się ze mną spotkać. Cóż dziwnego w tym, że córka chce się zobaczyć z ojcem?

– Proszę cię, Lucy. – Poklepała mnie po ramieniu.

– Pacjent się usamodzielnia. To oznacza postęp w terapii, prawda?

– Moja terapia ma teraz na celu tylko i wyłącznie powstrzymanie cię od tego.

– Nic mi nie będzie. Powrót córki marnotrawnej. Możliwe, że nie umiem prowadzić żadnych śledztw, ale postaram się wymierzyć osobistą sprawiedliwość.

– Co za sprawiedliwość? – zapytał natarczywie. Popatrzyła na mnie zdumiona i roześmiała się.

– Nie, nie zamierzam wcielić się w rolę Brudnej Harriet... może pan mnie zrewidować, nie mam żadnej broni. Muszę się z nim po prostu spotkać. Żeby dowieść samej sobie, że nie jest mi już potrzebny. – Wsiadła do colta. – Być może popełniam błąd, ale przynajmniej jestem pewna, że jest mój własny – Muszę to zrobić teraz. – Ruszyła. – Bo może już nigdy więcej nie zbiorę się na odwagę.

Wyjechała z parkingu. Oczekałem, aż zniknie. Potem mszyłem jej śladem.

Rozdział czterdziesty drugi

Jechała powoli i musiałem się za nią wlec. Kiedy dotarłem do pasa dzwonek na początku drogi prowadzącej do Sanktuarium, nie było jej nigdzie widać. Zacząłem metr po metrze zbliżać się do posiadłości. Zaprawiony chodźnik mógłby mnie wyprzedzić i pierwszy dotrzeć do bramy, której nie zamknęła Lucy. Następna brama także została odryglowana. Jeszcze kilka razy podrzuciło mnie na wybojach na tonącej w cieniu drzew dróżce, nim wreszcie zobaczyłem dom, brązowy, jak pnie otaczających go sosen. Colt stał tyłem do niego, możliwie najdalej od dżipa i mercedesa.

Nie było widać żadnych innych pojazdów. Drzwi wejściowe były zamknięte, doszedłem więc do wniosku, że zdążyła już wejść. Ale w tej samej chwili wyszła zza samochodu – może wyjmowała coś z bagażnika? Ale nie, nie miała nic w rękach ani w kieszeni. Na mój widok otworzyła usta.

– Uznajmy to za przedłużającą się wizytę – zagałem. Spodziewałem się wybuchu złości, ale nawet na mnie nie spojrzała. Jej wzrok był zarazem pusty i skupiony. Niczym w czasie hipnozy. Gdy zatkała ręką usta pomyślałem, że się zdenerwowała i poczułem ulgę. Po chwili zaczęła wchodzić na szerokie schody na ganek. Znalazłem się przy niej w chwili, gdy głośno puknęła do drzwi. Odpowiedziała nam cisza. Zatupała nogą zastukała ponownie, mamrocząc jednocześnie:

– No dalej, dalej...

Zajrzałem przez zakurzone okno. Pokój od frontu był ciemny i pusty. Lucy zaczęła walić do drzwi obydwoma rękami. Gdy znowu nie doczekała się odpowiedzi, zbiegła z ganku i stanęła przed domem, jakby chciała ogarnąć wzrokiem cały budynek. Ruszyła w prawo, idąc

szybko i zdecydowanie, wznosząc obłok kurzu. Na chwilę przystanąła, znowu zaczęła iść. W stronę gęstych zarośli, które otaczały dom niczym zielony ocean. Zauważyłem, że wpatruje się w poszycie.

– Tam – wyszeptała.

– Co jest? – odezwał się głos gdzieś ponad nami.

We framudze okna na drugim piętrze ukazała się Nova; moskitiera rzucała na jej twarz szary cień.

– Dzień dobry – odparłem, biorąc Lucy za lodowato zimną rękę. – Pukaliśmy, ale nikt nie odpowiadał.

Znad moskitiery ukazał się palec. Trudno było odgadnąć znaczenie tego gestu.

– A więc wreszcie się zdecydowaliście.

– Właśnie – odpowiedziała Lucy i wpiła się paznokciami w moją dłoń. – Przejeżdżaliśmy w pobliżu i uznaliśmy, że można by do was zajrzeć. Źle zrobiliśmy?

Nova odchyliła moskitierę.

– Nie wiem, co powie na to tatuś. – Jakoś osobliwie się zaśmiała. – Wejdźcie od frontu.

Czekała na nas ze szklanką lemoniady w ręku. Miedziane pasma w jej włosach błyszczały jak przewody wysokiego napięcia.

– Nie był w najlepszym nastroju, kiedy się kładł, ale powiem mu, że jesteście.

– Sama mu powiem – wtrąciła się Lucy, mijając ją i wchodząc do pokoju. Obrzuciła spojrzeniem wypchane głowy i zaniedbane meble. Szeroko otwartymi oczyma popatrzyła na ściany z bali.

Wyglądało na to, że Nova nieźle się bawi. Nie sprawiała wrażenia osoby życzliwej i troskliwej. Co skłoniło ją do zajęcia się słabym i okrutnym starcem? Pokrewieństwo dusz, tak jak w przypadku Trafficanta i Mellorsa? Jakiemu rodzajowi okrucieństwa hołdowała?

Lucy wolno i ostrożnie posuwała się w stronę schodów, zachowywała się jak traper na zamrzniętym jeziorze; minęła schody i skierowała się do pomieszczenia w tyle. Nova położyła ręce na biodrach i wiodła za nią wzrokiem, trąc nogę o nogę. Oblizła wargi i spojrzała na mnie. Odwróciła się z powrotem w stronę Lucy, w jej spojrzeniu widoczne było zadowolenie. Podniecała ją konsternacja Lucy, która spojrzała najpierw na sufit, potem na podłogę. Po chwili wróciła spojrzeniem na ściany. Stała jak wryta. Ręce miała opuszczone wzdłuż tułowia, twarz nieruchomą. Wpatrzyła się w drzwi po lewej stronie.

– Dobrze, tatuś faktycznie jest właśnie tam – podpowiedziała Nova. Pomimo uśmiechu

w jej głosie czuć było napięcie. Rywalizowały z sobą niczym dwie siostry? Chciała, żeby Lucy tu przyjechała, gdyż była pewna, że to ją unicestwi?

Ująłem Lucy za łokieć. Potrząsnęła głową i uwolniła się. Od pokoju dzieliło ją kilka metrów. Przemierzyłem tę odległość wraz z nią. Drzwi były sosnowe, kiedyś powleczono je grubą warstwą pokostu, który popękał i odpadał jak łupież. Zacerpnęła tchu i otworzyła je. Po wejściu do tego dużego, mrocznego, pełnego książek pomieszczenia uderzył nas siarczany zapach, do złudzenia przypominający atmosferę w pogotowiu w Woodbridge. W środku stało szpitalne łóżko, uniesione nad podłogę pod kątem czterdziestu pięciu stopni. W rogu stał złożony wózek Lowella.

Leżał przykryty, włosy miał przetłuszczone, długie ręce spoczywały na kocu, pod szarą koszulą widać było biel skóry i błękit żył. Brodę okrywał biały zarost, wzrok był błędny. Druga po południu, ale jeszcze w pełni nie odzyskał świadomości, z widocznym wysiłkiem przekręcił głowę w naszą stronę, po czym odwrócił się i zamknął oczy.

Lucy złapała mnie za rękę, była bardzo spocona. Ramiona jej drżały, po czym zaczęły konwulsyjnie się trząść. Podążałem za jej wzrokiem, gdy patrzyła na zastawione książkami sosnowe półki, zajmujące całe trzy ściany. W prawym kącie były otwarte drzwi, prowadzące do łazienki. Jeszcze jedno wejście, pośrodku ściany między oknami otwierało się na zewnątrz. Drzwi były zaryglowane. Przez chwilę wpatrywała się w nie, potem przeniosła wzrok na inne szczegóły.

Po całej podłodze walały się stosy książek i gazet. Na stercie New Yorkerów stała aluminiowa taca z brudnymi naczyniami: zeschnięte okruchy chleba, zmienione w galaretę jajka, płatki pływające w mleku, które w tym nikłym, zakurzonym świetle przybrało niebieskawą barwę. Na stercie starych „Paris Review” postawiono pusty nocnik. Na chwiejnym stosie najróżniejszych czasopism leżały paczki pieluch dla dorosłych. Stojące obok tekturowe pudło wypełniały butelki po whisky. Jeszcze dalej wznosiła się piramida filiżanek i stał stary czarny telefon z tarczą, a biegnący od niego przewód zniknął wśród rupieci.

Spazmy dosięgły palców Lucy. Poczułem, jak jej kłykcie trącają o moje. Nowy nie było nigdzie widać, ale jej obecność dało się wyczuć w postaci mroźnego prądu powietrza. Lowell zajęczał i pokręcił głową. Oczy zamknęły się. Lucy ani drgnęła. Potem zaczęła od nowa rozglądać się po pokoju. Zapuszczone okna. Drzwi prowadzące na tył. Ściany z bali. Wzrok raz jeszcze pokonał tę trasę, teraz zatrzymując się dłużej na drzwiach. Wytrzeszczała oczy. Właśnie tutaj spała nocą podczas imprezy. Stąd wyszła na lunatyczny spacer. Ręka drżała jej tak mocno, że z trudem ją utrzymywałem.

Lowell otworzył oczy i spojrzał w naszą stronę. Nareszcie nas dojrzał. Wydobył z siebie gardłowy, żalostny i pełen wściekłości odgłos, po czym zaczął powoli siadać. Nad łóżkiem nie

było żadnych dźwigni. Nie zaopatrzył się w żadne urządzenia, obywatel się nawet bez elektrycznego wózka inwalidzkiego. Bóg raczy wiedzieć, czemu. Sypiąc przekleństwami zsunął się, uniósł, wreszcie zdołał oprzeć się o poduszki w pozycji siedzącej. Miał zapadniętą klatkę piersiową, wąskie i kościste ramiona. Gest, z jakim wystroił się w biały garnitur i kapelusz z rondem, wydawał się żartem. Przez kilka ostatnich dni strasznie podupał. Żałoba?

Lucy śledziła go wzrokiem niczym odrażającego, lecz interesującego owada, który pnie się po ścianie. Roześmiał się. Odwróciła wzrok i skuliła się w sobie.

– No – wydobył z siebie chrapliwy głos. Nastąpiła chwila wypełniona odchrząkiwaniem. Przybrał pełen obrzydzenia wyraz twarzy, poruszył ustami i splunął flegmą w stronę ściany. Nie dosięgną i plwociny wylądowały na podłodze. Kaszląc i śmiejąc się od ucha do ucha, wypluł jeszcze trochę flegmy. Lucy wyglądała tak, jakby zrobiło jej się słabo, ale stała nieporuszona. Lowell wpatrywał się w nią z napięciem. Unosząc się jeszcze wyżej szorował paznokciami o prześcieradło. Usiłował unieść głowę. Nie pozwolił mu na to ból.

– No – zaczął nieco wyraźniejszym głosem. – Ślicznotka. Niezła lala.

– Kto? – spytała Lucy, siląc się na beztroskę.

– Ty – zarechotał, jakby dzięki niej wyszło mu celne powiedzonko. Lustrował ją od stóp do głów. Nie tak lubieżnie jak Nove. Chłodno, precyzyjnie, jakby mierzył jakiś mebel.

– Grasz w tenisa? – zapytał. Potrząsnęła przecząco głową. – Bo takie masz nogi. Widać to nawet przez te dżinsy. Uprawiasz jakiś sport?

Ponownie zaprzeczyła.

– No jasne – skwitował. – Nie lubisz się bawić. – Potarł oczy i przeciągnął się ze śmiechem. – To na co masz ochotę, moja ty gąsko Balbinko? Na alkohol? Percodan? Demerol? Morfinę? Endorfiny? Czy też jesteś nałogową amatorką domniemanej prawdy? Jaką historyjkę mam ci opowiedzieć, żebyś mogła naoliwić sobie zawiasy w głowie? Czy to dla ciebie podniosła chwila? – Lucy nie reagowała. – Nic nie mówisz? To czego chcesz?

Lucy rzuciła okiem na drzwi. Lowell wydobył z siebie nieartykułowany okrzyk i poklepał pościel.

– Ach, moja żmija przyszła nacieszyć oko! Jak wiję się w mękach. Przywlokłaś tu swojego specja od mózgu, żeby posłuchać, jak się mecze i jak wszystko się we mnie psuje. – Roześmiał się szeroko, hałaśliwie. – Zgoda, cierpię, moja mała. Święta rozkosz przepalających się synaps. Może też poznasz ją pewnego pięknego dnia i wtedy pojmiesz, co za bohater siedzi tu, śmierdzi i wygląda jak weteran Gehenny, wiedząc cały czas, po co przyniosło tu ten twój wysportowany tyłek: chcesz nasycić się moim upadkiem, żeby móc potem powiedzieć, że wychyliłaś puchar słodkiej zemsty kosztem jednego z najlepszych synów Ziemi.

Lucy nie odrywała wzroku od drzwi.

– No, proszę – skomentował Lowell – bierzesz mnie na przetrzymanie. Tak jak w dzieciństwie.

– A skąd o tym wiesz? – zapytała zniecierpliwiona Lucy.

Lowell zarechotał. Zdawało się, że jego ciało pokurcza nabiera z każdym słowem siły. Śmiech dodawał mu wigoru, zmieniał go w pełną szatańską radość, energiczną istotę z rumieńcami na policzkach.

– Uwertura do sonaty sumienia! Nie rzucaj na wiatr ćwierćnut, kochana, grywałem solo w najlepszych symfoniach szatańskich! – Lucy zaczęła krążyć po pokoju, możliwie najzręczniejszymi omijając stojące jej na przeszkodzie graty. – Twoje milczenie nie zwala mnie z nóg. Strzelasz ślepymi nabojami – ciągnął Lowell. – Byłaś milczkiem na pałkowatych nożynach. Nie wrzeszczałaś, nie zanosilaś się płaczem, ani mru mru. Jakbyś dostała porażenia mózgu. W przeciwieństwie do braciszka Petera, co go już trucizna zżera. Ten to wył zawodowo. Miałem do wyboru: albo wynająć gdzieś pracownię, albo udusić go jak kociaka. – Zamknął oczy. – Za to ty nie strzępiłaś języka, jakbyś uważała go za drogocenny skarb. – Otworzył oczy i wycełował w jej stronę kościstym palcem, wydając przy tym chrapliwy śmiech. – Nie chciałaś nawet srać, dziecinko. Dupa strajkowała całymi tygodniami, muszę przyznać, że robiłaś to z klasą. Wszystko brałaś, a nic nie oddawałaś. Uważałem, że jesteś nienormalna. Matka zapewniała, że to nieprawda i lała w twoje zaciśnięte gardło różne oliwki.

– To dlatego ode mnie uciekłeś? Przestraszyłeś się nienormalnego dziecka? – Lucy zdobyła się na uśmiech.

Lowell zachichotał, ale w jego głosie dało się wyczuć złość.

– Zwiąłem? O nie, co to, to nie. Zostałem wyproszony. Mamuśce odbiło, przejechała mi szponami po twarzy i pożegnała się ze mną.

– Mama cię wyrzuciła? – roześmiała się Lucy. – Takiego twardziela?

Lowell popatrzył na nią. Zaczerpnął tchu, uniósł brwi i wetknął do ust palec. Grzebał w ustach, po czymś się drapał i cały czas ciężko dyszał. W końcu wyjął palec i przyjrzał się jednemu z paznokci.

– Matka była zaślepioną, ograniczoną przyklejoną do portretów w stołowym suką o horyzontach umysłowych szeregowego członka ochotniczej straży pożarnej w remizie na zabitej dechami wsi. Po dwudziestce zaczęła przekwitać, zestarzała się, mając dwadzieścia cztery lata. Obdarzona libido przyprawy kuchennej. Jej ciamkowatość sprawiała, że zamieniałem się w zbuntowanego młodzieńca. Nie chciała i nie była w stanie nauczyć się życia. Organizowała je w kulcie prawa i próchna.

Lucy zacisnęła ręce w pięści i zwróciła się w jego stronę. Przez chwilę przemknęło mi przez myśl, że chce się na niego rzucić. Potem jednak potrząsnęła głową i wsadziła rękę do kieszeni. I roześmiała się. Oparła ciężar ciała na jednej z nóg. Przybrała pozę równie sztuczną jak Nova.

– Jezus Maria – skomentowała – nie spodziewałam się, że aż tak nisko upadłeś. Nie potrafisz wymyślić nic nowego, tylko to swoje bla, bla, bla. Ukrywasz się za tymi swoimi połączeniami z Joyce'a.

Lowell zbladł. Uśmiechnął się. Potem uśmiech znikł z jego ust. W końcu z trudem rozciągnął mu usta. Wyparowało już z niego jednak całe okrucieństwo, a pokryta szczeciną broda nie wyglądała już na taką stanowczą.

– Joyce – powtórzył. – A więc go znamy, panno studentko? Spotkałem się z nim, w trzydziestym dziewiątym w Paryżu. Wyraz twarzy urzędnika, zanik warg, kobiece biodra, paniczek, puzderko, pizdułka. Zastrana irlandzka skłonność to gadania bez celu... ale wróćmy do naszej uroczej mamusi. Zmarła w dziewiczym stanie i powinnaś się do niej codziennie modlić; zdaję sobie sprawę, że wiesz o niej tyle samo, co o zatwardzeniu, ale bronisz jej, bo tak cię nauczyli. Ale myśl sobie, co chcesz, załóż sobie klapki na oczy i zapieczętuć serce. – Oddech zaświszczał, Lowell uniósł głos. – Niezależnie od tego, co sama uważasz, przyszedł tu po naukę. Jeśli nie wyniesiesz stąd żadnych korzyści, twoja strata. Prawda wygląda tak, moja droga zatwardzona: wyprosiła mnie, ponieważ nie mogła pogodzić się z myślą że przyłapała mnie in flagranti.

Lucy udawała, że ją to nie obchodzi, ale na dźwięk podniesionego głosu wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Tymczasem on zatarł ręce i spojrzał w moją stronę.

– To coś dla takiego jak ty mózgoroba – smutna, szalona, ale smakowita historyjka. Soczysty kąsek. – Po czym błyskawicznie zwrócił się w stronę Lucy. – Po tym, jak rozepchałaś jej macicę, zupełnie przestała się interesować bara bara. Ale na szczęście znalazła się chętna siostrunia, słodziutka Kate. Jedna z tych zionących otchłanią cipek o barwie do złudzenia przypominającej gumę do żucia. Nie mogłem przecież wadzić się z losem. Siostra to lubiła, a jakże. Wierzgała, wypinała zadek, drapała, gryzła i kwiczała jak drutowana maciora. – Wskazał ręką na krocze. – Jak sobie tylko przypomnę, to nabieram jednak przekonania, że dawnymi czasy bywałem na to łasy.

Cały czas pilnie obserwowałem Lucy. Patrzyła nieruchomo w jego stronę, ale nie na niego. W jej delikatnym ciele kipiła złość.

– Siostrzana miłość – ciągnął Lowell. – Ale mamusia nas nakryła, odśpiewała swą odę do czystości, więc musiałem podkulić ogon i zwiewać. – Usiłował wzruszyć ramionami, ale wy-

szedł mu tylko nieznaczny tik. – Zostałem skazany na grozę Paryża. Niepoprawna Kate zwiłała do Kalifornii. Potem mamusia złapała jakiegoś wirusa i ni stąd, ni zowąd powołano się na moje odruchy ojcowskie. – Skierował kciuk w dół i udawał, że marszczy czoło. – Nie nadawałem się na opiekuna miauczącego szczeniaka i milczącego kołka, ale zachowałem na szczęście wystarczająco zdrowy refleks, żeby obarczyć obowiązkami rodzicielskimi Picie Kasię, która już dobrała się do dupy jakiemuś Żydkowi.

Ryknął ze śmiechu. Lucy balansowała na piętach. Widziałem błyszczące w jej oczach łzy. Myślnami byłem przy własnym, zmarłym już ojcu.

– Co się będziesz wypierać? Przecież mnie potrzebujesz – stwierdził dobitnie Lowell.

– Czyżby?

– Z pewnością zwłaszcza przy twojej mince skrzywdzonej niewinności. Starczy tej teatralnej chałtury, malutka, poderźnijmy gardło pozerstwu i niech się wykrwawia w rynsztoku. Nie przekonasz mnie, że jesteś wciąż prawiczką słyszałem o lecie, które spędziłaś w łóżku wpatrzona w przekrwione ślepia asfaltów. Muszę przyznać, że przeżyłem spore rozczarowanie. Ruja to rzecz przyrodzona, ale ruja za pieniądze to czysty handel. A robić to z asfaltami i pozwolić, żeby jakiś czarnuch zgarniał za to zyski? Kurzy mózdzek, dziewczyno, będę ci musiał zbudować grzędę.

Lucy rozwarła pięści, ugięły się pod nią nogi. Podtrzymałem ją szepcząc:

– Uciekajmy. – Potrząsnęła zapalczywie głową.

– No proszę, pan kogut używa swoich sztuczek – zauważył Lowell. – Usiłuje przekonać ją że nic jej nie jest.

Lucy opadły ręce. Odsunęła się ode mnie i zbliżyła do samego łóżka. Rozłożyła szeroko ręce i wpatrywała się w jego twarz. Obnażała się? Terapia wstrząsowa? Czy też utrata wszelkich złudzeń?

– Ona jest chora, bardzo chora – Lowell zwrócił się do mnie. Potem powiedział do Lucy: – Skąd dowiedziałem się o tym, jak się puszczałaś? Od braciszka Pete'a. Nie musiałem pytać. Świństewka ślicznie wychodzą na jaw. A tak, kolejny zdrajca, moja córko. Nie ma się co przejmować, rozwiewanie złudzeń to podstawa siły charakteru. Trzymaj się mnie, a staniesz się monolitem.

– Zabiłeś go? — spytała Lucy. – Dałeś mu tę zbyt dużą dawkę?

Zaskoczyła go, ale odparował zniecierpliwiony:

– Neeee. Sam załatwił się na cacy. Niepotrzebnie tylko wyświadczyłem mu przysługę. Dałem pieniądze wiedząc, jak je wykorzysta. Przyszedł tu, właśnie do tego pokoju. Pełzał po

podłódze, błagał i rzygał, wznosił się na szczyty tchórzostwa. I wygląda na to, że zostałaś jego uczennicą, głuptasku.

– On – zawtórowała Lucy. – Ja. Spowiedź przed rodzicem.

– Tak wytłumaczył ci to ten nasz Zygmund Freud? Że winą za swoje przesrane życie możesz obarczyć mnie? I masz prawo do szczęścia? – Darł się i pryskał śliną napędzał się własnymi słowami. – Twoim celem nie jest szczęście. Nie istnieje żaden wyższy porządek. Twoje szczęście jest warte tyle co dwa wiadra pomyj!

– Dla ciebie z pewnością.

– Dla nikogo! Bóg – jaki On by tam nie był – patrzy na ciebie z góry, widzi twą nędzę, drapie się po jajach, rechocze i olewa cię, że aż pryska. Jego koleś Szatan przestaje pieprzyć się ze zwierzątkami tylko po to, żeby dolać trochę do Boskiego strumienia! Sens życia nie polega na szczęściu, gąsko. Polega na byciu. Istnieniu. Bycie samym w sobie. Nieważne, co się dzieje czy nie dzieje, kto jeszcze istnieje. Liczy się tylko to, że ty się wydarzasz!

Przypomniał mi się wykład Novy. Uważała na lekcji. Patrzył wytrzeszczonymi gniewnie oczami na Lucy, ciężko dysząc. Dostał napadu gwałtownego, duszącego kaszlu, wciągnął powietrze, zaczął opierać się na łóżku, po czym ponownie zmusił się do wyprostowania.

– Nie sądziłam, że wierzysz w Boga – skomentowała Lucy, której też zaczynało brakować tchu.

– Zostań ze mną to dowiesz się jeszcze wielu rzeczy.

Popatrzyła na niego i siadła na łóżko tak gwałtownie, że aż podskoczył. Ujęła prześcieradło między kciuk a palec wskazujący i zaczęła skubać tkaninę.

– Czego się nauczę, tatusiu? – powiedziała dziecinnym głosem.

– Jak tworzyć – odparł po chwili wahania. – Jak upodobnić się do katedry. Jak olewać wszystko z niebotycznego szczytu.

– Zostań Bogiem po sześciu prostych lekcjach? – uśmiechnęła się, nie przestając pocierać prześcieradła.

– Nie, łatwe to one nie będą. Będziesz mi zmieniać pieluchy, wycierać pot spod pach i pudrować mi uda. Przynosić mi w zębach papiery. Padać na kolana i słuchać z pokorą. Nauczysz się odróżniać dobrą książkę od tandety. Puszcząć na własny rachunek. Pozbywać się kundli w rodzaju tej zrudziałej pijawki. Przystaniesz się wreszcie nad sobą użalać. – Pokiwał na nią palcem. – W jeden dzień nauczę cię więcej niż wszystkie parszywe szkoły, naszpikowane manekinami, co urodzili się z dwoma lewymi rękami, zdążyły wpoić w ciebie przez – no, ile tam masz?

– dwadzieścia sześć lat.

Pochylił się i dotknął jej ramienia. Jego palce na kraciastej koszuli przypominały odnóża raka. Nie poruszyła się.

– Nie masz innego wyjścia – szepnął Lowell. – Nie da się ukryć, że jesteś niczym.

Wpatrywała się badawczo w jego bladą sękatą rękę, potem zwróciła wzrok na drzwi prowadzące na tył. Dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy.

– Niczym? – powtórzyła z żalem.

– Esencją nicości, kotku.

– Niczym – powtórzyła i zwiesiła głowę.

Poklepał ją po ręce. Westchnęła i wyglądało to tak, jakby zaczęła się kurczyć. Zaczęłam bać się o nią. Lowell zachichotał i powiodł palcem od jej nadgarstka do łokcia. Zadrżała, ale nie odsunęła się. Lowell mlasnął radośnie językiem. Ciężko dyszała z zamkniętymi oczami. Zapragnąłem zabrać ją stąd siłą.

– Witaj w świecie rzeczywistym – powiedział Lowell. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci się spodobało. – Lucy raz jeszcze zajrzała mu w oczy.

– Niczym – westchnęła.

Lowell przytaknął, uśmiechnął się i pogładził ją po ręce. Lucy odwzajemniła uśmiech. Odsunęła jego palce i wstała. Podeszła do drzwi w tyle i usiłowała unieść rygiel. Był zardzewiały i trzymał się mocno, ale udało jej się. Lowell przekrzywił głowę, ciało wygięło się w łuk, gdy starał się nadążyć za nią wzrokiem.

– Świeżego powietrza? – spytał. – Nie przejmuj się. Miłe wonie są oszustwem, a zmysły tyranami. Przyzwyczajaj się do zaduchu.

– Idę na spacer tatusiu – odparła beznamiętnie.

– Chcesz wszystko przemyśleć? Nie ma potrzeby. Nie jest to twoja najmocniejsza strona. Odrób zadanie, a potem możesz iść się pobawić... uważaj na lekcjach, to zrobię z ciebie człowieka oryginalnego. Będą o tobie pamiętać.

– Mówisz jak Faust, tatusiu.

W jej głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta – radości z udanego powiedzonka. Lowell natychmiast ją wyczuł. Twarz mu zwiotczała, kości zmiękły, pojawiły się zmarszczki.

– Siadaj!

Wpatrywała się w niego nieruchomo.

– Siadaj!

Lucy uśmiechnęła się i pomachała mu ręką

– Do widzenia, tatusiu. Dużo się od ciebie nauczyłam.

Otworzyła drzwi. Naszym oczom ukazała się zieleń, do środka wdarł się blask słońca. Lowell zmrużył oczy, podczas gdy Lucy patrzyła w dal; po chwili runął do przodu jak tygrys, szukając punktu oparcia w próżni. Dolna połowa ciała była bezwładna i nie pozwalała się ruszyć z łóżka. Przeklinał Lucy, Boga i diabła.

– Ładna okolica, tatusiu. Muszę tu kogoś poszukać.

Lowell zdał sobie sprawę ze straszliwej prawdy, zrozumiał, że zbliża się jego śmierć. Runął do przodu i bezwładnie upadł twarzą na materac. Leżąc na prześcieradle usiłował złapać oddech, śledząc jednocześnie wzrokiem oddalającą się Lucy.

Nasze spojrzenia spotkały się. W jego oczach malowało się przerażenie. Spojrzałem na czarny telefon i zastanowiłem się, czy nie wyrwać go ze ściany. Ale z pewnością w domu były jeszcze inne aparaty – po co więc przypominać mu o ich istnieniu?

Wychodząc słyszałem, jak – niczym dziecko – przywołuje rozpaczliwym głosem Nove.

Rozdział czterdziesty trzeci

Z początku sądziłem, że Lucy zagłębiła się w las. Po chwili jednak usłyszałem odgłos kroków przy bocznej ścianie domostwa. Wracала do samochodu. Świetnie.

Gdy ją dogoniłem, nawet na mnie nie spojrzała. Ile wizyt potrzeba, żeby zorientować się w jej przeżyciach podczas tej rozmowy? Doszliśmy do colta. Ale nie podeszła do drzwi od strony kierowcy. Przeszła do tyłu i otworzyła bagażnik. „Osobisty wymiar sprawiedliwości”. Co za dużo, to niezdrowo?

Dobiegłem do niej w chwili, gdy wyjmowała ze środka szpadel i zarzucała go sobie na ramię. Prosto ze sklepu, jeszcze przyczepiona była metka. Zawróciła w stronę domu, niosąc łopatę niczym karabin. Zastąpiłem jej drogę. Ominęła mnie. Znowu zastąpiłem jej drogę.

– Daj spokój, Lucy.

Zaczęła się oddalać. Znowu ją dogoniłem. Miałem ochotę krzyknąć, że to szaleństwo.

– Nie przejmuj się nim – zdołałem tylko wykrztusić.

– Nie ma sprawy. Pożyjemy, zobaczymy. – Mijaliśmy już dom.

– Zadzwoń do przyjaciół. Zorganizują na ciebie nagonkę.

Nie zwracała na mnie uwagi. Złapałem ją za ramię. Uwolniła się.

– Lucy, posłuchaj...

– On nie kiwnie nawet palcem. W ogóle nic nie robi, tylko siedzi i gada, w tym jest najlepszy, gadu, gadu, gadu.

– Mimo to jest niebezpieczny.

– Jest niczym. – Uśmiechnęła się ze wściekłością. – Niczym.

Doszliśmy do pustego pola za domem. Na sznurku wisiała kobieca bielizna. Drzwi były zamknięte. Nova słuchała wrzasków Lowella.

Przytakując, jakby reagowała na jakąś sugestię, Lucy parła naprzód, aż zagłębiła się w las. Karłowate zarośla i młode pędy, tonące w cieniu rzucanym przez tworzące swego rodzaju baldachim listowie, ustąpiły wkrótce miejsca gęstym paprociom, dzielnemu winu i roślinom o szerokich liściach, które przypominały ogromne lilie. Lucy torowała sobie drogę samymi rękami, potem musiała uciec się do pomocy szpadla, który okazał się nie najlepszej jakości machetą więc wkrótce zaczęła ciężko dyszeć i gniewnie postękiwać.

– Może pomóc?

– To nie pańska sprawa – wypaliła, nie przestając wycinać chaszczki. – Jeśli faktycznie przewiduje pan, że czeka mnie niebezpieczeństwo, proszę się na nie nie narażać.

– Nie chciałbym też narażać ciebie.

– Ja wiem, czego mogę się spodziewać.

Musnęła swoją dłoń, po czym znów zaczęła przedzierać się przez krzaki. Miałem do wyboru albo odjechać, skontaktować się z Milem i usunąć ją z tego miejsca choćby siłą albo nie odstępować jej ani na krok i zabrać stamtąd przy pierwszej nadarzającej się okazji. Przymus fizyczny najprawdopodobniej zepsułby więź terapeutyczną jaką udało nam się stworzyć, ale przede wszystkim należało ocalić jej życie. Gdyby jednak stawiała opór, mogłoby okazać się to trudne, a nawet obrzydliwe. Być może najlepiej jej nie odstępować. Nawet jeśli odnajdzie grób, bardzo szybko stwierdzi, że odkopanie ciała przy pomocy jednej jedynej łopaty nie leży w granicach jej możliwości. Poza tym na myśl, że mogłaby zostać sama w takim miejscu, po grzbiecie przebiegały mi nieprzyjemne lodowate ciarki, z kolei możliwe, że przeceniam zagrożenie. Lowell był potworem, ale na swój dziwaczny sposób próbował nawiązać z nią kontakt. Czy wobec tego chciałby skazywać ją na śmierć?

Posunęła się do przodu zaledwie o kilka metrów, ale chaszczki otoczyły ją niczym w matni i ledwo widziałem jej kraciatą koszulę. Obejrzałem się. Dom także był już ledwie widoczny. Ani śladu ścieżki, ale z czasem coraz wyraźniej zaczęliśmy zagłębiać się w jakiś jar. Dawno zatarty szlak. Szła nim na tyle pewnie i szybko, na ile pozwalało na to poszycie. Wie-

działa, gdzie idzie. Szła śladami snu.

Przedarłem się przez krzaki i znalazłem się tuż za jej plecami. Roślinność była tu wyższa, korony drzew bardziej gęste i niebo z każdą chwilą stawało się coraz bardziej zielone, w miarę jak ginął jego błękit. Jakieś stworzenia przemykały obok nas, ale mogliśmy dostrzec jedynie nie wiadomo czemu drżący liść lub pęd. Od czasu do czasu moich uszu dochodził przypominający szuranie miotły odgłos trzepoczących skrzydeł wystraszonego ptaka, którego również nie można było nigdzie dostrzec. Las zaczynał coraz bardziej przypominać dżunglę. Lucy zamierzała się szpadlem niczym siekierą po twarzy spływały jej brudne strużki potu, zaciśkała zęby i patrzyła uparcie przed siebie. Po jakimś czasie sam zająłem się torowaniem drogi i zaczęliśmy posuwać się szybciej.

Tak dotarliśmy do pierwszej z chat, pozbawionej dachu ruiny, która niemal niezauważona tonęła w szmaragdowym blasku chmur. Lucy otaksowała ją obojętnym spojrzeniem. Śladem potu po policzkach spływały jej łzy, bluzkę miała już całą przemoczoną. Usiłowałem zdobyć się na powiedzenie kilku słów pocieszenia, ale przecież dopiero co została zgwałcona przy użyciu słów.

Po chwili ukazała się druga chata, przedstawiająca sobą stertę niestarannie ułożonych bali, na których jakimś cudem utrzymywał się pokryty papą dach. Lśniące, przypominające osy owady wlatywały do środka przez dziury w papie, po czym wynurzały się stamtąd z brzęczeniem jak bombowce. Lucy zatrzymała się, popatrzyła, potem potrząsnęła głową. Poszliśmy dalej.

W trakcie milczącej wędrówki minęliśmy kolejne trzy chaty. Komary urządzały sobie ucztę na naszych twarzach. Serce przestało mi na moment bić, gdy w pobliżu znienacka poderwał się do lotu jakiś wielki, brązowy ptak. Dojrzałem go, gdy przedzierał się przez korony drzew. Duża, kwadratowa głowa i skrzydła o rozpiętości półtora metra. Sowa rogata. Zapadła niepokojąca cisza.

Zdawało się, że Lucy niczego nie widzi. Na twarzy, w miejscach ukąszeń owadów, pojawiły jej się krwawe punkciki, dłonie miała szorstkie po długotrwałym zmaganiu się z bluszczem i dzikim winem.

– Daj im trochę odpocząć.

– Nie – odmówiła, ale posłuchała rady.

Nawet moje wyćwiczone od pompek ręce ledwo dawały sobie radę. Ona na pewno swoich już nie czuła. Rwałem i ciąłem różne rośliny, zastanawiając się, ile dano nam czasu. Z pewnością zostawialiśmy za sobą widoczne ślady.

– Nawet jeśli uda ci się ją odnaleźć – zacząłem, z trudem chwyając oddech – nie bę-

dzie już przypominała człowieka. Możliwe, że nic z niej już nie zostało. Zdarza się, że zwierzęta rozwłóczą kości.

– Wiem, dowiedziałam się o tym podczas procesu.

Jar pogłębiał się i coraz trudniej przychodziło zachować w nim równowagę. Lucy obserwowała korony drzew. Misternie splątane? Rosły tu drzewa wszelkiego rodzaju, tworząc chaotyczną kolumnadę, która wznosiła się nad poszyciem.

Była za dwadzieścia trzecia. Słońce zaczęło już swą wędrówkę ku widnokręgowi, jego promienie przenikały przez przerwy w chaszczach, jakby odbite od maleńkiego, roziskrzonego lusterka. Wtem rozległ się nowy dźwięk: strużka wody. Taki sam odgłos słyszałem, zbliżając się do tego miejsca. Oznaczało to obecność wilgoci, która przyspiesza rozkład materii.

– Nawet gdybyś ją znalazła, co byś wtedy zrobiła?

– Zabrałabym coś ze sobą. Można by przeprowadzić testy dowodzące, że to ona. To dostarczyłoby dowodów. To już coś.

Usłyszałem za naszymi plecami jakiś trzask i stanąłem jak wryty. Lucy też usłyszała ten dźwięk i obejrzała się za siebie. Cisza. Wzruszyła ramionami i otarła rękawem twarz. Trudno było ocenić, jak daleko odeszliśmy od domu. Czułem na sobie piekący pot. Po chwili dotarliśmy do splątanego gąszczu bluszczowatych roślin, których pnie były twarde jak kamień. Nie dawało się ich przeciąć szpadlem. Lucy rzuciła się na nie, szarpiąc i uderzając, ale tylko pokrzwiała sobie ręce. Odciągnąłem ją i uważnie przyjrzałem się roślinie. W przeciwieństwie do odstrasającego gąszczu łodyg, przy korzeniu widoczny był dość wąty i cienki sęk. Uderzyłem w pęd, który wyrastał z samego korzenia. Uniósł się obłok kurzu i chmara owadów, w oddali usłyszałem odgłos ucieczki jakichś zwierząt. Miałem napięte do ostateczności mięśnie, w ramionach pulsował ból. W końcu zdołałem przeciąć na tyle pędów, żeby można było odsunąć pień i przejść na drugą stronę.

Tam napotkaliśmy zupełnie inną scenerię, jakbyśmy weszli do następnej komnaty zielonego pałacu. Panował tam chłód ale drzewa były tego samego gatunku.

Nadmorskie sekwoje, wielkie i ciasno zbite płowe kolumny, których korony tworzyły coś w rodzaju ciemniejszej grzywki. Nie były aż tak olbrzymie jak stumetrowe giganty z północy, ale mimo wszystko robiły duże wrażenie. W ich cieniu rośło zaledwie kilka kęp paproci. Ziemia była szara niczym popiół, pokryta opadłymi liśćmi i odłamkami kory. Słońce przebły skiwało przez drzewa niczym ziarno miki.

Lucy zaczęła krążyć między olbrzymimi pniami. Kierowała się w jakimś kierunku. Światło. Plama blasku, która rośla, w miarę jak się do niej zbliżaliśmy. Wstąpiła w nią i rozłożyła ręce, jakby chcąc wchłonąć ciepło i jasność. Znaleźliśmy się na polu otoczonym wzgórzami i

krzewami tej samej mimozy, którą widziałem przy autostradzie. Za wzgórzami wznosiły się pasma wyższych gór. Przed nami rozpościerał się obszar porośnięty wysokimi, szerokolistnymi trawami, wśród których pełzły srebrzyste węże. Strumyki. Cała sieć cieniutkich i krętych linii, niczym kreski na mapie. Wszędzie unosił się dyskretny, delikatny szmer wody...

Podążałam za Lucy, która szła przez trawę pomiędzy strumieniami. Dotarliśmy do poroślej mchem polanki. W samym jej środku zobaczyliśmy zabagniony nieco staw szerokości około trzydziestu metrów. Na jego powierzchni unosiła się warstwa jasnozielonych alg, gdzieniegdzie przerywana bańkami i szlakami wodnych żeglarzy. Na wodzie spokojnie dryfowały kuliste liście hiacyntów. Od czasu do czasu przelatowała ważka.

Na brzegu stawu od naszej strony stała taka sama chata. Zgniła czerń, dach skryty we włochatych porostach, wiszące na jednym zawiasie spróchniałe drzwi. Przed progiem leżało coś zielonego. Dopadłem drzwi. Tabliczka, zapewne wykonana z brązu. Rowki. Coś wyryte. Tarłem, dopóki moim oczom nie ukazały się starannie wykaligrafowane litery: Natchnienie.

Odepchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Podłoga także była czarna, grząska jak torf, nad nią unosił się dziwny, słodkawy zapach. Przez puste otwory weneckich okien widać było zieloną powierzchnię stawu. Ściany z bali były podziurawione przez korniki. W którymś z kątów pozostały resztki mebli: małe, metalowe biurko, doszczętnie przerdzewiałe i pozabawione nóg, pokryte zielonymi plamami, na których roiło się od larw i chrabąszczy. Na wierzchu coś stało. Po usunięciu owadów i ziemi oczom moim ukazała się pomalowana czarnym lakierem klawiatura ręcznej maszyny do pisania. Oczyszciałem jeszcze bok i dojrzałem złoty liść – znak firmowy Royal.

Koło biurka stało obite skórą krzesło, z którego pozostało kilka strzępów skóry i parę gwoździ; na ziemi leżało kilka metalowych kółek, zamocowanych na zardzewiałym pręcie. Resztki notatnika. Jeszcze coś, chyba z miedzi, pokryte zielonkawą patyną.

Przykłęknąłem. Coś zaczęło wspinać mi się po nodze, więc strąciłem to. Patyna okazała się mchem, miedź złotem. Złota rurka w kształcie naboju, zakończona główką. Część pióra. Na główce wygrawerowany napis MBL. Schowałem to do kieszeni, po czym kopnąłem ziemię. Żadnych nowych znalezisk.

Lucy nie weszła za mną. Przez otwory okienne widziałem, jak podchodzi do brzegu stawu i patrzy nieruchomo na drugą stronę. Na przeciwległym brzegu ujrzałem dwa drzewa. Olbrzymie, bujnie rozrośnięte wierzby płaczące, których wyrosłe nad ziemię korzenie znikają w wodzie. Konary unoszące cienkie jak ostrze noża, złoto zielone liście opadały do ziemi, po czym niezmordowane rosły dalej.

Wartownicy. Pomiędzy pióropuszcami listowia przeświecały diamenty słonecznego bla-

sku. Misterna sieć, leciutka jak koronka. Wybiegłem pędem z chaty. Lucy wpiła wzrok w pozbawione trawy miejsce między drzewami, nieco poniżej poziomu gruntu.

Wzięła ode mnie szpadel i zaczęła okrążyć sadzawkę. Niezgrabnie, jakby się wahała, szła krok za krokiem, trzymając się brzegu. Zamknęła oczy i pośliznęła się. Nie zdążyłem nawet zareagować, a już jedna noga zanurzyła się do kostki w wodzie. Wyciągnęła ją. Dzinsy były przemoczone do suchej nitki. Otrząsnęła nogę i podjęła marsz. Zatrzymała się w pozbawionym roślinności punkcie, po policzkach spływały jej łzy.

Trzymała łopatę niczym dziecko na rękach. „Natchnienie”. Ustronie Lowella. Pochował tu Karen... dla towarzystwa? A potrzebował go. Gdy wyschło źródło uwielbienia miłośników twórczości i uczniów, pozostały młode kobiety. „Przyślijcie jakąś ślicznotkę”. Czy leżą tu jakieś inne?

Po wysłuchaniu opowieści o koszarze sądziłem z początku, że napastował Lucy. Dzisiaj rzucał w jej stronę więcej niż aluzje: uwagi na temat jej nóg i poziomu higieny. Popisywał się tym, że zdradzał żonę z ciotką dziewczyny. Mimo wszystko nie mogłem pozbyć się poczucia, że chodzi mu jednak o coś innego. „Trzymaj się mnie, to nie zginiesz na tym świecie, mała”. Ciało odmawiało mu posłuszeństwa, sława była już tylko wspomnieniem, odczuł więc potrzebę posiadania rodziny. Już od bardzo dawna tu nie zachodził. Wyschło źródło natchnienia.

Lucy wyprostowała się i zaczęła bez słowa kopać.

Rozdział czterdziesty czwarty

Nie dopuszczała mnie do pomocy. Pierwsza warstwa ziemi nie stawiała oporu, lecz później natrafiła na zbitą glinę i zaczęła bezsilnie w nią walić. Niemal siłą wyrwałem jej szpadel. Czułem każde uderzenie łopaty, w miarę jak wykopywałem dół długości dwóch i głębokości jednego metra, wyrzucając ziemię jak szaleniec, któremu płacą za każdą garść ziemi. Nie czułem już ręk.

Ani śladu kości. Najmniejsza chrząstka wystarczyłaby, żeby jak najszybciej zabrać stąd Lucy. Zdecydowałem, że nie będę czekał dłużej niż pięć minut. Upierała się, że to już jej kolej, ale gdy potrząsnąłem przecząco głową, bez szemrania się odsunęła.

Słońce chyliło się ku zachodowi, staw przybrał szarą barwę. Od chwili naszego przybycia minęła zaledwie godzina, która wydawała się wiecznością. Przy każdym uderzeniu łopaty do głowy uderzała mi krew. Nie ustawałem, w końcu dostałem zadyszki. Wtedy moich uszu dobiegł jakiś inny dźwięk. Był to kobiecy głos z drugiego brzegu sadzawki. Jak na komendę obydwójce odwróciliśmy się w tamtą stronę. Przy napisie „Natchnienie” stała Nova. W talii

obejmował ją, a do głowy przystawiał pistolet jakiś mężczyzna. Sprawiała wrażenie śmiertelnie przerażonej. Mężczyzna dotknął jej piersi i powędrował palcami w górę w sposób, który nie mógł być uznany za przypadkowy.

Pchnąłem Lucy na ziemię, a sam nachyliłem się. Mężczyzna zamachał ręką, w której trzymał pistolet, jakby miał zamiar w nas rzucić. Kula zaryła w ziemię jakiś metr od mojej prawej ręki. Nie mieliśmy do czynienia ze snajperem, ale też miał nas jak na dłoni. Znaleźliśmy się w potrzasku. Przywarłem do dna dołu, kładąc rękę na plecach Lucy. Miała otwarte usta, lecz oddychała bezdźwięcznie.

Wokół panowała cisza. Wyjrzałem zza krawędzi dołu. Mężczyzna przyłożył pistolet do policzka Novy i popychał ją do przodu kolanem. W ten sposób okrążyli krok za krokiem staw, aż znaleźli się w odległości pięciu metrów od nas. Lewy policzek Novy był podrapany, oko opuchnięte. Raz po raz zerkąłem w ich stronę, w końcu dojrzałem jego twarz. Prawą ręką trzymał ją kurczowo w talii. Paznokcie z manicure. Uprasowane džinsy. Na bluzie widniał napis Sausalito. Wyglądał na biznesmena na wycieczce, co było zresztą prawdą. Christopher Graydon-Jones.

– Nieźle wam idzie – odezwał się. – Szkoda, że nie ma więcej łopat. No nic, zabieraj się pan do roboty. Trzeba jeszcze dużo wykopać, żebyście się wszyscy zmieścili. No już.

– Jest mimo wszystko jego córką – zareplikowałem. – Kiedy pana tu wzywał, wcale nie chciał, żeby ją pan zabijał.

– Fakt, raczej nie. – Przez twarz przemknął mu uśmiezek, od którego uniósł się jeden z kącików ust. – Tak między Bogiem a prawdą to kazał rozejrzeć się za córką tej tu dziwce. Cóż, marzenia przeważnie się nie spełniają

Nova poruszyła się, więc dał jej mocnego kopniaka kolanem.

– Zgadza się – odparłem. – Pan na przykład chciał zostać rzeźbiarzem.

Zagryzł wargi, a wolną ręką uczynił jakiś ruch, od którego Nova aż krzyknęła.

– Mimo wszystko widzę tu pewien związek – ciągnąłem – kształtowanie formy, rzeźbienie kończyn. Karen nie chciała ulec dobrowolnie i właśnie dlatego miał pan z nią kłopoty, co?

Wpiął się palcami w tyłek Novy. W jej kroczu ukazała się czerwona plama.

– Zaczynaj kopać, bo jak nie, to ją tu zaraz na miejscu zabiję, a potem każę ci poćwiartować ją tępym styliskiem łopaty.

Wziąłem szpadel. Odsunął się, żebym nie mógł go dosięgnąć. Nova z trudem trzymała się na nogach, musiał ją podtrzymywać. Nie przestając celować w Lucy, pchnął kobietę na ko-

lana, a potem na twarz. Połknęła trochę ziemi, zakrzuszyła się, udało jej się odwrócić nieco głowę. Graydon-Jones postawił nogę na jej kręgosłupie. Zdobywca. Ale oczy miał niespokojne.

– Pospiesz się, pospiesz, bo wykończę je obydwie.

Wbiłem łopatę w glinę. Jej wyciągnięcie wymagało tyle siły co holowanie barki. Czuję się tak, jakbym cały tułów miał zalany betonem. Misternie splątane gałęzie wierzb przybrały odcień mosiądzu.

– To nie ma nawet szczególnego znaczenia, ale trzeba raz na zawsze stwierdzić, że nie miałem z nią żadnych kłopotów, bo zrobiła to sama.

– Narkotyki? – spytałem, przerywając robotę.

– Nie przerywaj sobie, nie przerywaj... pewnie, że przez narkotyki, a cóżby innego, oglądasz chyba telewizję. To nawet nie ja jej podsunąłem.

– A kto? – szpadel znowu uderzył w ziemię. Udawałem, że kopię coraz głębiej, ale tak naprawdę na łopacie znalazła się zaledwie garstka ziemi. Nie zauważył, w zasięgu wzroku miał co najwyżej moje łokcie.

– A kto podał jej narkotyki? – upierałem się, markując kolejny głęboki sztych. – App?

Nie zareagował. Wielką łapą głaskał po tyłku Nove.

– Wpadł pan tak sobie na imprezę?

Kątem oka dojrzałem Lucy. Siedziała w bezruchu z podciągniętymi kolanami. Ponownie opadły z niej wszystkie siły.

– Tak, na imprezę, nie było mowy o żadnym przestępstwie – podchwycił Graydon-Jones. – Zabawiała wszystkich, robiła nam dobrze, łąsiła się, mówiła, że zostanie gwiazdą filmową i przeprowadzi się do Beverly Hills.

– Jakie narkotyki podsunął jej App?

– Czy to nie wszystko jedno: trawę, haszysz, grzybki? Odjechała po grzybkach, zgasła jak żarówka. – Rzucił okiem na Nove, potem jego spojrzenie spoczęło na Lucy. – A ty czego się gapisz? Do roboty, od czego masz ręce?

Lucy zaczęła wygarniać glinę.

– Czyli dwie imprezy, jedna w piątek, a następna w sobotę – podsumowałem.

Zamrugał zaskoczony powiekami, starając się pokryć to śmiechem.

– Policja też o tym wie – zaryzykowałem.

– Nie mów? Robi się z tego niezły scenariusz filmowy. Kopać.

– A więc robiła wam dobrze? – Nie przestawałem udawać, że pracuję.

– Pieprzne kawałki, znaczące spojrzenia. Niezła sztuka, nikt by się nie domyślił, że jeszcze dziewica.

– Nie skończyło się na jednej sobotniej nocy, co? – sztych i stęknienie.

– No proszę – zauważył – silimy się na polityczną poprawność. Chcemy powiedzieć, że mała suczka, która się dobiera do człowieka i wsadza mu język do ucha, nie ma ochoty? Traktowaliśmy ją jak damę, chociaż wcale sobie na to nie zasłużyła. Była na totalnym hajcu, odpiła bluzkę, wyśpiewywała piosenki Jefferson Airplane. W końcu całego mnie zarzygała. – Na ustach pojawił mu się grymas. – Ale mimo wszystko umyłem ją ubrałem i uczesałem. Curt nałożył jej nawet trochę makijażu... co, pani córka nie ma ochoty do roboty? Nie obijaj się.

Lucy wygrzebywała i wyrzucała ziemię. Oczy miała suche, trudno powiedzieć, co sobie myślała. Nova przywarła policzkiem do ziemi, zamknęła opuchnięte oko, otworzyła usta.

– No to w czym problem? – ostentacyjnie się zadyszałem i wykonałem parę kolejnych sztychów.

– A jak to sobie wyobrażasz? Nawet się nie obudziła... ale skąd ty o tym wszystkim wiesz? – Nie odpowiadałem, więc przystawił Novie do głowy pistolet.

– Ja sobie przypomniałam – wtrąciła się Lucy.

– Ty? – Graydon-Jones był wyraźnie ubawiony. – W tamtych czasach byłaś chyba jeszcze w brzuchu matki, co?

Lucy zaczęła coś tłumaczyć. Dałem jej znak, potrząsając głową.

– Ten stary debil ci powiedział – dodał Graydon-Jones. – Skończony idiota. No tak, jak zwykle coś spaprał. – Zachichotał. – Kopaliście nie w tym co trzeba miejscu. – Przesunął po nas wzrokiem i popatrzył w stronę większej wierzby. Lucy wydała cichy dźwięk, przypominający miauknięcie.

– Kto był na przyjęciu oprócz pana, Appa i Lowella? – podjąłem.

– Lowell nie – zaprzeczył. – I dzięki Bogu. Straszny był z niego nudziarz. W piątek wziął ją na kolana i zaczął jej wciskać łzawe historyjki o tym, jaki to samotny jest żywot pisarza. Ale w sobotę nie miał już na to czasu – niby Kaligula w odświętnej todze.

– To jak doszło do tego, że brał udział w grzebaniu ciała?

– Bo to uczynny człowiek. – Roześmiał się. – Wpadł po jakieś papiery i zastał mnie, gdy próbowałem ją ocucić. Spanikował jak nie wiem co. Pisał takie krwawe wierszyki, a później

okazało się, że tak naprawdę to zwykły mięczak.

– Przeszedł tam sam, czy byli z nim Mellors i Trafficant? Czy ta impreza na boku była...

– Zamknij się. Masz skończyć, zanim zaczniesz się ściemniać.

– A więc impreza odbyła się właśnie tam? – rzuciłem okiem na drugą stronę stawu i ponowiłem udawany wysiłek. Nie odezwał się. – Z dala od zgiełku?

– I od upierdliwych wypierdków.

Graydon-Jones pchnął Nove nogą. Przestała mrugać powiekami, szczęka przybierała coraz bardziej nienaturalną pozycję, twarz przyciskała do ziemi...

– Appowi to się żyje – nie poddawałem się. – Siedzi sobie na plaży, a pan odwala tu za niego brudną robotę.

– Nic tych rzeczy. To ty jesteś tu od brudnej roboty.

I wycelował pistolet w środek mojego nosa. Cały czas udawałem, że dokładam wszelkich starań, przerzucając ziemię z miejsca na miejsce. Lucy podchwyciła sposób i zaczęła mnie naśladować. Włosy zlepily jej się w kędziory. Dół miał już ponad półtora metra. Zachodziłem w głowę, ile jeszcze będziemy mogli pozostawać na mniej więcej takim poziomie. Graydonowi-Jonesowi musiało przyjść na myśl to samo. Złapał Nove za kołnierz i przywlokł ją nad krawędź. Lufa pistoletu skierowana była raz na nią raz na Lucy i mnie. Automatyczny, wysadzany niklem. Kul starczy dla wszystkich. Nova usiłowała zakryć twarz. Jej zamknięte oko strasznie nabrzmiało, nabierając przy tym barwy purpury, od ucisku lufy na czole porobiły jej się czerwone kręgi.

Graydon-Jones zatrzymał ją dwa metry od brzegu dołu i położył jej nogę na karku. Złamanie kręgów szyjnych nie wymagałoby większego wysiłku. Spojrzał w dół.

– Do kurwy nędzy, bawicie się ze mną w kotka i myszkę?

Skierował pistolet na Lucy i zaczął naciskać cyngiel. Runąłem, żeby pchnąć ją w bok, ale ona sama zdążyła się już podnieść i z wraskiem rzuciła w niego grudą ziemi. Trafiła prosto w pierś. Kulę zniosło w powietrze. Nova skorzystała z okazji, wyprężyła się i złapała go za nogę. To zmusiło go do popatrzenia w jej stronę i mocniejszego złapania za broń. Zamierzyłem się szpadlem niby oszczepem, mierząc metalową częścią w jego nogi i zbierając wszystkie siły, które pozostały mi w rękach. Ostrze wbiło mu się w lewą łydkę, wrzasnął z zaskoczenia i bólu. Nowie udało się wyrwać. Wycelował w nią. Biegła w stronę „Natchnienia”, gdy ja wyskoczyłem z dołu.

Rzuciłem się na niego. Opadliśmy na ziemię. Cały czas czułem pistolet, który wymierzony był w mój mostek. Trzymająca broń ręka została wykręcona w nienormalny sposób.

Przygwoździłem mu drugą do ziemi, podczas gdy on próbował ugryźć mnie w nos. Był w kiepskiej formie, ale adrenalina robiła swoje, więc przetoczył się i zdołał wyrwać rękę, w której trzymał pistolet.

Wtedy z lewej strony nadleciała jakaś białobrzowa smuga, która wymierzyła mu w policzek cios szybki jak atak węża. Głowa gwałtownie mu opadła. Po kolejnym uderzeniu zobaczyłem tylko białka jego oczu. Bezwładny, znieruchomiał. Wyszarpnąłem mu z ręki broń. Zabłocony trampek Lucy wymierzył mu następnego kopniaka. Stracił przytomność, zaczął się ślinić, potem wymiotować. Odskokczyłem, unikając wymiocin. Stałem nad nim i wycelowałem w głowę. Całą bluzę miał teraz pomazaną i śmierdzącą. Oddychał, ale ani drgnął. Umoruśana lewa część twarzy zaczynała puchnąć.

Z trudem łapałem oddech, tak jak i Lucy. Wyciągnęła rękę w stronę Graydona–Jonesa, ale się powstrzymała. Objąłem ją. Obejrzała się na potężniejszą z wierzb. Sztychówka leżała na ziemi przy ciele mężczyzny.

– Nic ci nie jest? – zapytałem.

Dotknęła ręką piersi i potrząsnęła głową. Za stawem rozległ się jakiś odgłos. To Nova przedzierała się przez wysoką trawę w kierunku lasu; odcienie jej włosów przypominały wiosenne owoce.

– Zadzwoń po policję! – krzyknąłem. Trudno było odgadnąć, czy mnie usłyszała.

Rozdział czterdziesty piąty

Musiałem go związać. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Oddałem pistolet Lucy. Ze sposobu, w jaki go ode mnie wzięła, można było się domyśleć, że to jej pierwszy kontakt z bronią.

– Nie powinien na razie dawać żadnych oznak życia, ale na wszelki wypadek nie zbliżaj się do niego. Celuj w głowę i nie spuszcza z niego oka. Zaraz wracam.

Wziąłem łopatę i poszedłem śladem Novy w stronę lasu, aż dotarłem do splatanej, sę-katej rośliny, która swego czasu zagroziła nam drogę. Teraz była już wygięta i przydeptana – to Graydon–Jones szedł szlakiem, który mu utorowaliśmy. Odciałem kilka co dłuższych pędów, wróciłem biegiem i związałem go. Oddychał spokojnie, tętno szyjne było mocne i regularne. Będzie miał sporo siniaków na łydce, straszne bóle głowy, w najgorszym razie wstrząs mózgu, ale z pewnością przeżyje. Zostawiliśmy go tak jak leżał i wróciliśmy do domu.

Jeep Lowella cały czas tam stał, ale nie było ani śladu mercedesa. Między wozem Lucy a seville'em stała furgonetka z napisem reklamującym wynajem. Drzwi nie były zamknięte, więc zajrzałem do środka. Umowa wynajmu na nazwisko pana Hackera. Transakcja gotówko-

wa.

Na tylnym siedzeniu zobaczyłem szpadle, kilof, piłkę do metalu, zwój liny i kilka pudełek mocnych worków na śmieci. Kluczyki leżały koło fotela kierowcy. Schowałem je do kieszeni. Drogę mercedesa znaczyły świeże ślady opon i kropel oleju.

Weszliśmy do domu. Lowell leżał w łóżku, miał zamknięte oczy. Oddychał bardzo słabo i powoli. Był upiornie blady. Na podłodze pod łóżkiem dostrzegliśmy dwie połówki jakiejś ampułki. Tuż obok, częściowo zakryta przez poźółtkę „New York Times Book Review”, leżała strzykawka. W zgięciu lewej ręki ukazała się kropelka krwi.

Lucy stała za mną na progu. Słyszałem, jak odchodzi. Podniosłem słuchawkę starego czarnego telefonu i wykręciłem numer.

W pomieszczeniu roіło się od funkcjonariuszy i członków ekipy technicznej. Lowella nic nie było w stanie wyrwać ze snu; o ile to możliwe, z twarzy odpłynęło mu jeszcze więcej krwi.

– Nie wygląda najlepiej – stwierdził jeden z policjantów.

Po pewnym czasie pojawili się lekarze sądowi i zabrali go. Miła cały czas nie było w komendzie, ale poprosiłem do telefonu Dela Hardy'ego, który zjawił się zaraz po odjeździe pierwszej grupy policjantów. Dawno się z nim nie widziałem. Niemal zupełnie posiwiiał, nieco też przytył. Jego obecność uspokoiła irytujące podejrzenia gliniarzy, którzy po raz pierwszy widzieli mnie i Lucy na oczy. Tak się złożyło, że odpowiadanie na różnego rodzaju pytania skończyło się dopiero gdzieś po północy.

– Jak się macie? – podszedł do nas Del.

– Jestem ci winien jeszcze jedną gitarę... tak, wiem, nie ma czasu. Pojedziemy na kolację?

– Ja mogę zawsze.

Zatroszczył się o stan Lucy, po czym poszedł na kawę żeby porozmawiać z funkcjonariuszem z wydziału zabójstw. Raz po raz ktoś szedł w stronę lasu. Godzinę temu była tam też Lucy, pomagając technikom zlokalizować położenie grobu.

Teraz siedzieliśmy oboje na składanych krzeselkach przed sevillem. Lucy była przykryta kocem. Wmusiła w siebie pół kanapki z masłem orzechowym i dżemem.

Za piętnaście pierwsza rozległ się okrzyk: „Kości!”

Wkrótce potem zjawił się Milo. Spojrzał na nas i potrząsnął głową.

– Idealna para, lekarz i pacjentka. Sam ich wyswatałem.

Ucałował Lucy w policzek. Przytrzymała go i odwzajemniła pocałunek. Gdy go puściła, uścisnął mi znacząco dłoń.

– Del poinformował mnie o wszystkim przez komputer. Przepraszam, że nie mogłem zjawić się wcześniej, ale miałem pełne ręce roboty z pewnym helikopterem.

– Czyim?

– Appa.

– Chciał zwiać? Skąd wiedziałeś?

– Znikąd. Śledziłem go cały dzień: zjadł obiad w Mortons, kupił sobie skórzaną luksusową kurtkę u Bijana. Potem wrócił do biura, ale nie wysiadł z windy na swoim piętrze, tylko pojechał dalej, na lądowisko dla helikopterów. Cały czas czekał na niego pracujący śmigłowiec. Udawał oburzonego zniewagą porządnego obywatela, że niby to tylko krótka wycieczka do Santa Barbara na partię tenisa z jakimś innym zasranym producentem. Tymczasem jednak limuzyna pełna była bagaży, a szofer miał papiery na lot czarterowy do Lizbony. – Uśmiechnął się. – Kawał chłopa z tego szofera, ale mało odporny na ból. Tak czy owak, App jak na razie nigdzie nie wyjedzie, bo dostał właśnie apartament w miejskim więzieniu.

– Za co?

– Mandaty. – Uśmiechnął się złośliwie od ucha do ucha. – W samym zeszłym roku ten głupek nzbierał mandatów za cztery tysiące, przeważnie za postój przed klubami i restauracjami oraz za łamanie przepisów w obszarach zamieszkałych.

– Za drogówkę długo nie posiedzi.

– Moment, moment. Kiedy robiłem mu rewizję, znalazłem działkę białego proszku. Szofer miał identyczną. Wezwałem oddział do walki z narkotykami i ich psy mało nie oszalały. Miał pół torby kokainy.

– Dobry środek płatniczy za przedłużone wakacje – skomentowałem. – A więc nawet gdyby Graydon–Jones wpadł tutaj w jakieś tarapaty, Appa by już dawno nie było w kraju.

– Wszystko było od dawna zaplanowane. Teraz będzie sobie mógł pozwolić tylko na wakacje w jakichś kamieniołomach na świeżym powietrzu. – Zwrócił się do Lucy: – Słyszałem, że niezła z ciebie kick bokserka.

Wzruszyła ramionami i próbowała się uśmiechnąć:

– Czego to człowiek nie nauczy się podczas terapii.

Rozdział czterdziesty szósty

Siedzący z obandażowaną głową Christopher Graydon-Jones szeptał coś z namaszczaniem do swojego adwokata. Po drugiej stronie lustrzanego przepierzenia siedzieliśmy ja, Milo i zastępca prokuratora okręgowego, kobieta o nazwisku Leah Schwartz. Była bardzo ładna, drobnej budowy ciała, miała około trzydziestki, bujne kręcone włosy, olbrzymie, niebieskie oczy i zachowywała się jak zdolna, choć niezbyt czasami zręczna licealistka. Od dwóch już dni wysłuchiwała zeznań Lucy i moich, zapisując najdrobniejsze szczegóły i nagrywając nas na magnetofon. W tej chwili także pisała, siedząc nieco na uboczu naszej trzyosobowej grupki. Mały odbiornik, który do tej pory nosiła w uchu, lśnił teraz w fałdach czarnej spódnicy. Milo nadal trzymał aparacik w uchu.

– Wycisnęliście już coś z Appa? – zapytałem.

Potrząsnął przecząco głową.

Kokaina, znaleziona w bagażach producenta, stanowiła jedynie nieznaczną część jego zapasów. Dwadzieścia razy tyle narkotyku znaleziono w piwnicy jego posiadłości w Broad Beach, co wzbudziło wyraźne zainteresowanie mężczyzn w garniturach.

– Kolejny zespół operacyjny – jęknął Milo na tę wieść.

– Cyrk przyjechał – dorzuciła Leah.

Potem dowiedziała się, że rząd federalny już od dłuższego czasu przyglądał się działalności Appa, podejrzewając, iż Advent Group i jej filie – w tym Ubezpieczenia Przemysłowe – stanowią parawan, za którym tak naprawdę pierze się pieniądze. Milo poinformował mnie o szczegółach dzień wcześniej, gdy popijaliśmy kawę i zajadaliśmy rogaliki, czekając w biurze pani Schwartz, która akurat kończyła rozmowę telefoniczną z przełożonym.

– Od jak dawna już go podejrzewali? – pytałem.

– Od bardzo dawna.

– To dlaczego go nie przyskrzynili?

– No wiesz, tak właśnie działa rząd. Przestępczość obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg. Dla nich ważna była dokładna wycena jego majątku, tak żeby mogli w majestacie prawa wszystko skonfiskować. W porównaniu z tym mandaty rzeczywiście błędą.

– To co teraz będzie? Wyśpiewa wszystko w sprawie Karen tylko po to, żeby oni mogli nabić sobie kabzę?

– Zakładasz teraz, że ma co wyśpiewać. Dzięki Bogu znaleźliśmy te dragi, bo śmierć Karen nadal nie kwalifikuje się jako zabójstwo.

– A szkielet?

– Nie mamy żadnych dowodów, że zrobili jej cokolwiek; wszystkie kręgi szyjne są nie-naruszone. A opowieść Graydona–Jonesa była wynikiem halucynacji ponarkotycznych.

– Dają temu wiarę?

– Tam, przy dole, miał w zanadrzu wszelkie atuty i nie miał powodu, żeby kłamać. Prawdę mówiąc usiłowanie morderstwa na tobie i Lucy to dla niego zagrożenie o wiele poważniejsze niż sprawa Karen. Z kolei z tym trudno powiązać Appa.

– Przecież to nie trzyma się kupy – zaoponowałem. – Gdyby śmierć Karen nastąpiła przypadkowo, mogliby ją równie dobrze zostawić, żeby ktoś znalazł zwłoki. Rozeszłoby się trochę plotek, ale w tamtych czasach przedawkowanie narkotyków to był chleb powszedni, co i rusz jakaś gwiazda rocka wykorkowała. Wiązanie śmierci dziewczyny z nimi byłoby bezpodstawne, nie trzeba byłoby nikogo opłacać. Nie sprzedasz mi takiej wersji. Chodzi przecież o zepsutych facetów, którzy zabawiali się z naiwną dziewczuszką. Graydon–Jones twierdził, że do samego piątku była dziewicą. Dali jej drugów i przestali panować nad sytuacją.

– Możliwe, ale fragmenty kości, które udało nam się ekshumować, niczego nie dowodzą... a tak nawiasem mówiąc, to rzeczywiście jej szkielet. Znaleźliśmy dość sporo zębów i dziś rano stomatolog ponad wszelką wątpliwość potwierdził jej tożsamość.

– Zawiadomiłeś już Sherrella?

– Tak, rano pojechałem osobiście do jego magazynów z żywnością.

– Co on na to?

– Był przekonany, że to jedynie kwestia czasu, po czym na nowo zajął się rozpakowywaniem ryżu.

– Biedny. Zadzwoiłem też dziś do jego syna. Zaczął płakać, potem odłożył słuchawkę.

Otarł ręką twarz.

– Jeżeli kiedykolwiek dojdzie do procesu – zauważyłem – App i Graydon–Jones zrobią z niej kurwę.

– Na to bym nie liczył, Alex. Przy takim zamieszaniu przedawkowanie raczej nie zwróci niczyjej szczególnej uwagi.

– A co z dwoma domniemanymi zabójstwami, Mellorsa i Felixa Barnarda?

Ugryzł rogalik i wytarł usta. Przez drzwi gabinetu pani Schwartz dochodził jej podniesiony głos.

– Ta sama para kaloszy – stwierdził Milo. – Bez dowodów wiążących Mellorsa i Bar-

narda z Karen, będziemy mieli do czynienia z dwiema niezrozumiałymi strzelaninami. App jest tu ważny tylko dlatego, że był właścicielem motelu, gdzie zabito Barnarda, i połowy udziałów w towarzystwie ubezpieczeniowym, którego dyrektorem jest Graydon–Jones. Jak do tej pory obaj milczą jak zakłęci.

– A może dać im do zrozumienia, że wiemy więcej, niż sądzą, i w ten sposób ich na siebie napuścić? – podsunąłem. – Po doświadczeniach ze Schwandtem i jego miłośniczkami powinno pójść ci jak po maśle.

Leah Schwartz wyszła ze swojego gabinetu zaczerwieniona, z błyszczącymi oczami. Wszyscy troje wyszliśmy na korytarz.

– Polityków – zaczęła – powinno się poćwiartować i rozciągać końmi. Zostało nam kilka dni na znalezienie jakichś dowodów, bo w przeciwnym wypadku sprawa córki Besta zejdzie na drugi plan. Oznacza to, że zatrzymani nie zostaną przekazani prokuraturze, a rząd napycha się ich majątkiem.

– Kilka dni? – zapytał Milo. – A ile to będzie godzin?

– Jeśli uda nam się trafić na jakikolwiek ślad, będę chyba mogła wytargować pięćdziesiąt godzin.

– No cóż – wstał i przeciągnął się. – Od razu Rzym zbudowano, nie?

Roześmiała się. Do tej pory na jej twarzy nie zagościł nawet uśmiech.

Minęło już piętnaście godzin z czasu, jaki został nam dany. Graydon–Jones ciągle poszeptywał do ucha swojemu prawnikowi. Ubrany był w niebieski pasiak więzienny, który niemal pasował do garnituru adwokata, kościstego, przedwcześnie posiwiąłego szczypiornisty Jeffa Strattona. Jego pasja sportowa była znana wszem i wobec, gdyż co dzień, gdy zjawiał się o ósmej rano, obwieszczał, iż wraca właśnie z boiska, gdzie doznał kolejnej kontuzji.

Odsunął się z krzesłem od klienta i dał nam ręką znak: „Gotowy”. W mikrofonie po naszej stronie lustrzanej przegrody usłyszeliśmy jego wzmocniony głos. Leah Schwartz z powrotem włożyła słuchawkę do ucha. Razem z Milem wkroczyła za przepierzenie, tam usiedli za stołem naprzeciw Strattona i Graydona–Jonesa. Ja włączyłem swój mikrofon.

– A więc, Jeff... – zagaiła Leah.

– Wysłuchamy, co macie nam do powiedzenia – odparł tamten – ale sami nie będziemy się odzywać.

Do takiego układu doszło po godzinie.

– Panie Sturgis? – zwróciła się do Mila pani Schwartz.

– Panie Graydon–Jones, z życiorysu wynika, że jest pan raczej inteligentny... – zaczął Milo.

– Chwileczkę – przerwał mu z miłym uśmiechem Stratton. – To są zagrania poniżej pasa.

– A cóż w tym dziwnego? – spytała Leah spoglądając na zegarek. – Słuchajcie, naprawdę spiesz mi się. Jeżeli nie jesteśmy w stanie się streszczać, nie traćmy cennego czasu, pozwalając twojemu klientowi na podjęcie ryzyka dowiedzenia się wszystkiego tuż przed procesem.

– Spoko, spoko, Lee – przerwał jej Stratton. Na krawacie widniał wzór z kijów golfowych. Nadgarstek miał owinięty bandażem. – Tu nie miejsce na ironię i rozpuszczanie jęzora.

– Panie Sturgis, proszę powściągnąć swój jęzor – Leah popatrzyła na Mila. – Dla dobra nas wszystkich. – Milo zmarszczył czoło, na co ona dorzuciła zniecierpliwiona: – Do dzieła.

Stratton uśmiechnął się. Twarzy Graydona–Jonesa nie opuszczał wyraz oślepionego przez reflektory jelenia.

– No dobrze – ciągnął Milo, kładąc ręce na stole. Tym sposobem zakrył większą jego część. Stratton usilnie starał się nie patrzeć na nic.

– Okej, panie... hm, Graydon–Jones, pana życiorys jest rzeczywiście imponujący, ludzie znający się na rzeczy twierdzą, że zna się pan na ubezpieczeniach jak nikt inny. Dlatego też nie mieści nam się w głowach, czemu tańczy pan tak, jak zagra panu Curtis App.

Graydon–Jones spojrział na Strattona. Tamten potrząsnął głową. Klient milczał. Leah spojrzała na zegarek, a zatrzymany na sufit.

– Dobra nasza – wyszeptałem do mikrofonu.

– Zwała na pana wszystko, mój drogi – podjął Milo – z narkotykami włącznie. Utrzymuje, że to pan wciągnął go w ten interes. To pan zażywał w latach siedemdziesiątych ogromne działki. To pan go namówił. Twierdzi też, że to pan wpadł na pomysł, by pieniądze z narkotyków prac przez Advent i ubezpieczenia, że był pan pośrednikiem z dealerami w Anglii, Holandii i Francji, którym sprzedawał pan polisy tak, by mogli dzięki temu prac swoją forszę...

– Wierutne bzdury! – nie wytrzymał Graydon–Jones. – Taka sama umowa jak setki innych. Pierwszy raz widziałem ich na oczy, to Curt ich nasłał...

Stratton dotknął jego ręki i przesłuchiwany zamilkł.

– Powtarzam tylko to, co mówi App – tłumaczył Milo. – Twierdzi również, że nie miał

nic wspólnego ze śmiercią Karen Best, że nawet go przy tym nie było, a to pan, Terry Trafficant i Joachim Spretzel udusiliście ją ...

– Gówno prawda. Spretzel był pedałem, a Trafficanta nawet nie...

Kolejny ruch ręki adwokata.

– Trafficanta nawet tam nie było? – dokończył Milo. Nie doczekał się odpowiedzi. – Dobrze, to jeszcze nie koniec rewelacji Appa. Zabawialiście się we trzech z dziewczyna, on poszedł się załatwić, a gdy wrócił, leżała martwa w pańskich objęciach, więc przyznaliście się wszyscy do zabójstwa. Mówi... moment... – wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, który pokazał wszystkim obecnym. – Hm, hm, a więc tak: mówi, że brał udział w tuszowaniu zniknięcia Karen tylko dlatego, że obawiał się, iż ktoś widział go w jej towarzystwie, a wy groziliście, że powiecie jego żonie o jego nałogu i igraszkach z Karen i paroma innymi dziewczynkami. Wpadł w popłoch, bo był wtedy pijany i na haju, sądził więc, że poniesie odpowiedzialność sądową; kiedy wkrótce potem nieoczekiwanie zjawili się panowie Bayard Lowell i Denton Mel-lors, a Lowell zaproponował, żeby zakopać gdzieś Karen, on na to przystał. Ma zamiar przyznać się do współuczestnictwa i liczy na wyrok w zawieszeniu w zamian za zeznania na pańską niekorzyść w sprawie Karen Best. Pójdzie również na wymianę informacji o pana handlu narkotykami za zmniejszenie wymiaru własnego oskarżenia w związku z narkotykami.

Włożył z powrotem kartkę do kieszeni.

– Nic z tego. Na pewno niczego takiego nie powiedział – upierał się.

– Proszę zadzwonić do jego adwokata. – Po czym zwrócił się do Strattona: – Proszę spróbować.

– Może innym razem.

Leah popatrzyła na zegarek.

– Gówno prawda – powtarzał zatrzymany.

– Trzeba przyznać, że zeznania pana Appa są przekonujące – wtrąciła pani Schwartz. – Faktycznie, to pan pojechał do Sanktuarium z narzędziami i workami na śmieci. Usiłował pan zamordować troje ludzi, chcąc uniemożliwić im odkopanie ciała Karen Best. Po co miałyby się pan tak narażać, gdyby nie maczał pan w tym wszystkim palców?

– Bo Curt mi kazał...

– Mój klient nie ma już nic więcej do powiedzenia – przerwał mu Stratton.

– Nieźle idzie – wyszeptałem.

Milo ziewnął. Leah założyła nogę na nogę. Graydon potrząsał głową po czym zniemac-

ka się roześmiał.

– Wszystko na mnie, super, super. Co teraz, panie adwokacie, mam się bronić i nie wytykać nosa, pozwalając, żeby mnie do końca wkopali?

– Muszę naradzić się z klientem – oznajmił Stratton.

– Ostatni raz – warknęła Leah spoglądając na zegarek i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Po pięciu minutach wrócili do pomieszczenia za przepierzeniem. Stratton kiwnął głową w stronę klienta, który patrzył jednak na Leah.

– Chris? – odezwał się adwokat.

– Po pierwsze, wszystko to nie ma nic wspólnego z prawdą – zaczął Graydon–Jones. – Ani ja, ani nikt inny jej nie udusiliśmy.

– Znaleźliśmy szkielet – zauważył Milo. – Układ kręgów szyjnych dowodzi...

– Gównu mnie obchodzi, co wam dowodzi; nikt jej nie udusił. Nikt! Została uderzona! On ją uderzył! W szczękę! – i zademonstrował klasycznego haka. – W tą jej zasraną szczękę.

– Kto ją uderzył? – zapytał Milo.

– Curt, Curt.

– Dlaczego?

– Bo nie chciała mu dać! Miał na nią chrapkę, a ona nie chciała, więc uderzył ją od dołu w szczękę, ona upadła i uderzyła się w głowę, a wtedy on ją wziął. Nie mogliśmy jej ocucić. Byłem przy tym! Nie udowodnicie, że zmyślam i czegokolwiek się wypieram! Zabawialiśmy się. We trójkę.

– To znaczy?

– Curt, ja i ona. Trafficant gościł członków własnego fan klubu. Ten cholerny lizus Mel-lors jak zwykle uczeplił się Lowella.

– A Spretzel?

– Nie mam pojęcia. Mówiłem już, że był pedałkiem. Pewnie gonił za chłopcami.

– Aha – powiedział Milo.

– Tak, byłem przy niej, ale nic jej nie zrobiłem. Ograniczyliśmy się do obściskiwania.

– To znaczy?

– Całuski, macanki. Usiadła mi na kolanach. Stare portki zaczęły pękać w szwach. To ja jej wpadłem w oko, zwłaszcza moje wąsy – wtedy jeszcze je miałem – i mój akcent; powtarzała, że mówię jak Mick Jagger. z chęcią by mi dała. Curt był strasznie zazdrosny. – Przyłożył

dłoń do ust i mówił przez palce. – Przyzwyczał się do dziwek, które od razu rozkładały nogi. Wystarczy takim dać grzybków, a oddadzą wszystko w zamian – tak wtedy twierdził. Ona nie była pierwsza lepsza; koniec końców była jeszcze dziewicą. – Zwrócił się do Leah Schwartz. – Proszę na mnie tak nie patrzeć. Chcecie prawdy, więc ją macie. Takie wtedy było życie: wolna miłość, żadnych chorób, każdy robił, co mu się podobało.

– Powiedzmy, że wierzę panu na słowo – wycedziła Leah, przyglądając się swoim paznokciom.

– A pani, co wtedy robiła? – jej postawa wyraźnie go oburzyła.

– Chodziłam do szkoły. Do czwartej klasy – uniosła wzrok i uśmiechnęła się. To mu zamknęło usta.

– To wszystko? – nastawał Milo – nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia?

– To święta prawda. Curt zalał pałę, bo nie chciała zejść mi z kolan i łąsić się do niego. Gdy usiłował wsadzić jej język do ust, odwróciła głowę i krzyknęła ze wstrętem „fe” – jakby spróbowała czegoś ohydneho. No to on jej przyłożył, a ona upadła. Wszystko zdarzyło się w ciągu kilku sekund. Powtórzę to pod przysięgą nawet w sądzie.

– Chris – uspokajał go Stratton, po czym zwrócił się do Leah: – Żebyśmy się dobrze zrozumieli: oświadczenie mojego klienta nie jest równoznaczne z oficjalną propozycją złożenia zeznań.

Leah wzruszyła ramionami.

– A więc tak to się odbyło. – Milo nachylił się.

– To właśnie powiedział mój klient – zauważył Stratton.

– A zatem zadam mu to samo pytanie, które zadałem rano panu Appowi. Skoro nie maczał pan palców w zabójstwie Karen, po co brał pan udział w wyciszaniu afery?

Graydon–Jones przygryzł wargi. Rąk nie mógł utrzymać spokojnie. Minęła jedna minuta, potem druga.

Milo wyprostował się na krześle. Leah popatrzyła na zegarek i wstała.

– Coś za coś – zwróciła się do Milo.

– Powodem było wsparcie, jakiego udzielał mi Curt.

– Jakie wsparcie? – zapytała prokurator.

– Psychiczne. Materialne. W dzień przed tą przekłętą imprezą przyrzekł kupić sześć moich rzeźb i zamówić ogromny posąg do holu jego towarzystwa ubezpieczeniowego. Klepałem straszną biedę. Od chwili przybycia z Anglii nie udało mi się niczego sprzedać. Gdyby by-

ła pani artystką, zrozumiałaby pani to uczucie. Curt chciał otworzyć przede mną ogromne perspektywy... uważałem go za mecenasa z prawdziwego zdarzenia. Nie wyglądało wcale na to, że ma zamiar ją zabijać. Po prostu go wkurzyła i uderzył ją... z czystej głupoty. Nie byłem w stanie przywrócić jej przytomności. Pomyślałem sobie, że nie będę rujnował facetowi życia z powodu takiej głupiej wpadki.

– W zamian za pracę – stwierdził Milo.

– Niezupełnie – zareplikował zduszonym głosem tamten. – Za posadę na całe życie.

– No nie. – Leah spojrzała na Milo. – To już przechodzi ludzkie pojęcie. Sędziowie by nas wyśmiali, gdybyśmy chcieli oprzeć na tym sprawę.

– Nie kłamie! – spuścił głowę. – No dobrze, chodziło o jeszcze jedną sprawę, a raczej drobiazg.

– Czyli?

– Dragi. Psychotropy, które jej podałem. Były moją własnością. Wykupione na receptę, uspokajające. Harowałem jak bury osioł w odlewni, miałem zupełnie rozregulowany organizm...

– Kituje – rzuciłem do mikrofonu.

– Żeby łatwiej zasnąć, co? – podsunął Milo i potrząsnął głową. Graydon-Jones aż się wzdrygnął.

– Niech będzie, dla seksu też... dziewczynki za tym przepadały. Nic w tym złego. Miałem w końcu receptę.

– 1 podzielił się pan swoimi lekami z Karen?

– Nie opierała się... chciała spróbować... spróbować wszystkiego... z wyjątkiem stosunku z Curtem. Ależ on był wtedy zarabany. Gdy jej dołożył i zapytałem, po co zrobił, kazał mi się zamknąć i nie udawać szlachetnego oburzenia, po czym zaczął odsuwać jej rozporek. Później... gdy cały czas nie odzyskiwała przytomności, ogarnął mnie popłoch, chciałem uciekać. Na to on: „ciężka sprawa, Chris. Siedziała ci akurat na kolanach, była na haju po dragach, które wykupiłeś na swoją receptę”. Mówił, że jak znajdą i stwierdzą, że była pod wpływem psychotropów, dotrą do mnie. Że w świetle prawa ponosiłem taką samą odpowiedzialność jak on.

– I uwierzył pan? – zdziwiła się Leah.

– Nie orientowałem się w amerykańskim systemie prawnym. Dopiero co zjawiłem się tu z Anglii.

– Zwrócił się pan do prawnika?

– Pewnie miałem sam oddać się w ich ręce, co? Przecież zakopaliśmy ją w ziemi. Nie było odwrotu.

– Spytajcie go, dlaczego porzucił karierę rzeźbiarza – powiedziałem do mikrofonu.

– Czemu przestał pan zajmować się sztuką i zaangażował się w interesy? – spytał Milo.

– Curt zaproponował mi posadę w Ubezpieczeniach Przemysłowych. Opłacił szkolenie. Jak powiedziałby Marlon Brando, propozycja była nie do odrzucenia.

– Istniała także możliwość, że zamówi u pana rzeźby. Dlaczego pan na to nie poszedł?

– Graydon–Jones odwrócił wzrok.

– Nie rozumiem, po co... – zaczął Stratton.

– Należy to do sedna sprawy, Jeff – przerwała mu Leah – staramy się właśnie potwierdzić wiarygodność twojego klienta.

Graydon–Jones coś wymamrotał.

– Słucham? – spytała Leah.

– Przestało mnie to interesować.

– Co?

– Sztuka. Pretensjonalność. Bzdury. Najwięcej artyzmu jest w interesach.

Tłumaczył się bardzo szybko, chcąc ukryć prawdziwy powód: stracił powołanie. A App natychmiast to wykorzystał, tak samo jak w przypadku Lowella. Jedna noc bezprawia w zamian za dwadzieścia lat wygod i ogólnego szacunku. Sukces jako najsilniejszy narkotyk. To samo, co w przypadku państwa Shea. Niewygodne sojusze, których spoiwem były grzech i wyrzuty sumienia. Rozerwać zdołał je dopiero sen.

– To jasne jak słońce – wyjaśniał Graydon–Jones, zwracając się do Leah. – Curt odwrócił kota ogonem, żeby zwalić wszystko na mnie, podczas gdy moja rola ograniczyła się do dostarczenia tych cholernych psychotropów. To on ją uderzył... przyjrzyjcie się uważniej kościom szczęki, to na pewno coś odkryjecie... byłem przy tym, możecie mi wierzyć. To on jest mordercą. Wykończył też innych...

– Starczy – przerwał mu gwałtownie adwokat.

– Muszę dowieść swojej niewinności, Jeff!

– Chwilę. – Zwrócił się do nas: – Chcę z nim jeszcze raz porozmawiać. I nie życzę sobie żadnych mikrofonów.

– Nie mogę obiecać, że będę z wami do końca – stwierdziła Leah. Wyszła wraz z Milo, podczas gdy Stratton odwrócił się tyłem do lustra, nakazując zatrzymanemu zrobić to samo.

– Pora pójść tam, gdzie i król chadza piechotą – oznajmiła pani Schwartz. Odeszła. Milo żuł dwa listki gumy, usiłując robić balony. Ja kilka razy policzyłem swoje palce.

– Chodźcie z powrotem – zawołał Stratton, machając ręką. Milo włączył mikrofon i wszedł.

– Gdzie Leah? – spytał adwokat. – Nie mamy tu przecież do czynienia z drobnym złodziejaskiem.

– Może pudruje sobie nos, nie zwierzała mi się. – Milo wzruszył ramionami.

– Zawodowiec. – Stratton rzucił okiem na zegarek. – Damy jej minutę.

– Co za gest – wyszeptalem do słuchawki w jego uchu. Milo uśmiechnął się. Wróciła Leah.

– Stratton robi się nerwowy – pokazałem palcem na lustrzaną przegrodę. – Powinna się pani z nim jeszcze trochę podrażnić.

– Pańskie rady są zaiste bezcenne – uśmiechnęła się złośliwie. – No, nie, mówiąc serio bardzo się przydają. W ważnych sprawach powinniśmy chyba częściej udawać się do lekarzy. Sęk w tym, że pewnie zaczęłby pan sobie wtedy słono liczyć za swoje usługi. Na dodatek inni prokuratorzy poczuliby się zagrożeni. – Zacisnęła pokryte nową warstwą szminki usta i zwróciła się do Lucy: – Znosi to pani jakoś?

– Bez problemu. Mam tylko nadzieję, że się wreszcie załamie.

– Jak jajko – odparła Leah.

Przyczesła włosy i weszła do pokoju, gdzie znajdował się zatrzymany.

– No, Leah, już myślałem, że dałaś sobie spokój i wybrałaś spokojne życie – rzucił w jej stronę adwokat.

– Dobra, pospieszmy się – odpaliła. – Jeśli ma pan coś do powiedzenia, panie Graydon-Jones, proszę się streszczać. W przeciwnym wypadku poprzestaniemy na tym, co wiemy.

– Zanim zajmimy się dalszym ciągiem zeznań, chciałbym zaproponować pewną wymianę – zaczął Stratton.

– A to jaką?

– Nie zależy ci na grubych rybach, Lee?

– Coś mi się zdaje, Jeff, że nie mamy tu raczej do czynienia z płótkami. – Graydon-

Jones zaklął pod nosem. – Tak, o co chodzi, proszę pana?

Zapadła cisza.

– Jeżeli ma pan coś do dodania, panie Graydon–Jones, proszę mówić śmiało – zachęciła go Leah, spoglądając na zegarek.

– Mój klient chciałbym przekazać wam informacje, które mogą doprowadzić do wyjaśnienia jeszcze dwóch morderstw – tłumaczył Stratton. –1 to z premedytacją a nie niezamierzonych, jak w przypadku panny Best. Jeśli was to nie interesuje, wasza strata. – Wzruszył ramionami.

– Z przyjemnością tego posłuchamy, Jeff. Nie mamy tylko zamiaru kupować kota w worku.

– Możesz mi wierzyć, że to towar pierwszej jakości.

– Tak, adwokatom obrony zawsze wierzy się na słowo – uśmiechnęła się prokurator.

– Mam spłaconą hipotekę i samochód, czek został już przesłany – wtrącił Milo. Stratton obrzucił go nienawistnym spojrzeniem.

Leah uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zakrywając ręką usta. Znowu zerknęła na zegarek. Westchnęła i wstała. Zaczynało mnie to już denerwować.

– Dobrze – zgodził się Stratton. – Posłuchajcie i oceńcie sami. Myślę, że uznacie to za godne uwagi.

– No, inteligencji to mi nie brakuje – wypaliła Leah, biorąc dyplomatkę. Usiadła z powrotem.

Graydon–Jones popatrzył na Strattona dokładnie tak, jak dziecko spogląda na matkę tuż po pierwszym w życiu zastrzyku.

– Dajcie słowo, że jeżeli informacje okażą się wartościowe, będziecie wstawiać się za moim klientem.

– To ty masz go bronić, Jeff. Jeżeli informacje do czegoś się przydadzą potraktujemy je bardzo poważnie. Nawet w dzisiejszych czasach morderstwa z premedytacją powinno się raczej wyjaśniać.

– Możesz mi wierzyć, że są więcej niż przydatne. Musisz jednak zdawać sobie sprawę z ich wagi. Jakościowej. Informacje znajdujące się w posiadaniu pana Graydona–Jonesa sanie tylko rewelacją lecz również oczyszczają go z winy.

– Jego?

– Oczywiście. Należą one do istoty sprawy i mają najściślejszy związek ze śmiercią Ka-

ren Best. Dzięki nim znamy motywy. Dwa morderstwa, będące konsekwencją jej zgonu i jasno wskazujące winnych. Dowiadujemy się, że bynajmniej nie pan Graydon-Jones był motorem napędowym tych dwóch kolejnych. ..

– Dentona Mellorsa, alias Darncla Mullinsa oraz Felixa Barnarda – przerwał mu znużonym głosem Milo.

Graydon-Jones wytrzeszczył oczy. Jego adwokat zamrugał powiekami.

– Wiemy, wiemy, proszę pana – ciągnął policjant. – Stary dobry Curt zwała to na pana, Chris.

– No nie – krzyknął przesłuchiwany machając rękami, jakby chwycił powietrze. – Kurwa mać, nie, nie... to się, kurwa, w pale nie mieści! Mam dowody na to, że nie było mnie w tamtej miejscowości w dniu, w którym Denny zastrzelił tego detektywa. Curt zapłacił mi za to trzydzieści kawałków. W księgach zapisał to sobie jako gażę za scenariusz, którego Denny nigdy nie napisał. Trzydzieści patyków... nawet mi je pokazywał.

– Mellors? – dopytywał się Milo.

– Nie, nie, Curt. Pokazywał i tłumaczył, za co ta zapłata. Denny'emu ta robota sprawiła najwyższą przyjemność, zawsze miał instynkt bandyty.

– Gdzie odbyła się wasza rozmowa? – ciągnął Milo.

– W jego domu.

– W Malibu?

– Nie, nie, w tym drugim, w Bel Air. Mieszkał swego czasu na ulicy St. Cloud. Teraz przeniósł się do Holmby Hills w Baroda.

– Czy jeszcze ktoś był świadkiem tej rozmowy?

– Ale skąd! Zaprosił mnie na obiad. Przy basenie, całym obszczanym przez te jego cholerne teriery. Wtedy wyciągnął jakąś kopertę i pokazał mi pieniądze. Kazał policzyć. Opowiedział o jakimś prywatnym detektywie, który wypytuje o Karen. Opłacał go już od roku, dawał mu jakieś umowy-zlecenia, żeby wciągnąć go do rachunków i ukryć podejrzone transakcje. Potem tamten gnojek zrobił się strasznie pazerny, bo chciał sobie kupić dom. Więc Denny miał zabić go w motelu, którego właścicielem był Curt. Posiada różnego rodzaju rzeczy, gdzie się nie obejrzeć, wszędzie go pełno, jak ośmiornicy...

– Dlaczego panu o tym powiedział?

– Żeby mnie wciągnąć do sprawy! Tak jak zrobił mnie w mord... śmierć Karen. Chciał mnie też nastraszyć – i udało mu się, może mi pan wierzyć. Mało nie narobiłem ze strachu w

portki. Wsiadłem w pierwszy lepszy samolot do Anglii. Dlatego też mam dowody, że nie było mnie w kraju w dniu zabójstwa, trzymam jeszcze paszport z tamtego okresu. Można sobie obejrzeć datę na pieczętkach i porównać ją z datą morderstwa.

– Kiedy pan wrócił?

– Po dwóch tygodniach.

– Dokąd pan pojechał?

– Do matki, do Manchesteru. Ale Curt mnie namierzył i przysłał wycinek z gazety. O śmierci Barnarda. Za parę miesięcy kazał zabić Denny'ego.

– Komu?

– Nie wiem.

– To skąd pan wie, że to on za tym stoi?

– Bo też przysłał mi wycinek. Na temat Denny'ego. Najwyraźniej chciał mnie ostrzec. To potwór, obdarza kogoś łaskami, a potem wszystko mu zabiera.

– Coś mi się zdaje, że pana wyróżniał w sposób szczególny – skomentował Milo. – Stała posada i w ogóle.

– Zgoda, ale do dziś dnia nie wiem, dlaczego, nie wiedziałem też, kiedy to się skończy. Wiedziałem, że mu nie ucieknę, więc siedziałem jak trusia, gęba na kłódkę, wypełniałem wszystkie obowiązki... zapracowałem sobie na każdy grosz tej zasranej pensji. Zaczynam jednak rozumieć, do czego byłem mu potrzebny.

– To znaczy?

– Jasna sprawa. Jako kozioł ofiarny. Gdyby wszystko wyszło na jaw, miałby to na kogo zwalić.

– Kozioł ofiarny? – zawtórował Milo. – W końcu to jednak pan pojechał tam z piłką do metalu i workami foliowymi.

Graydon-Jones zastygł w bezruchu. Po chwili nachylił się w stronę Mila. Stratton chciał go powstrzymać. Tamten machnął na niego ręką.

– Mimo wszystko pan nie rozumie. Bałem się go przez dwadzieścia jeden lat. Dlatego to wszystko robiłem. Ze strachu odchodziłem od zmysłów.

Rozdział czterdziesty siódmy

Zostało nam jeszcze trzydzieści godzin. Przegryźliśmy coś w jakiejś obskurnej budzie na Hill Street, mimo że jedzenie ledwie przechodziło nam przez gardło. Zająłem ten sam

punkt obserwacyjny. Nikt nie umył przepierzenia od czasu przesłuchania Graydona–Jonesa i pokryte było ono mgiełką powstałą z mieszaniny potu i strachu. Adwokatem Curtisa Appa był starszy mężczyzna o nazwisku Macllhenny, gruby i niechlujny, o oczach sennego węża i w uszytym na miarę garniturze, który wyglądał na nim jak najtańszy łań. Udało mu się załatwić, żeby App nie nosił więziennego pasiaka. Pomimo białego, kaszmirowego swetra z wełny i czarnej, bawełnianej, szwajcarskiej koszuli, producent był nikłym cieniem siebie dawnego. Od kilkudniowego pobytu w więzieniu zbladła wieloletnia opalenizna.

Razem z nimi w środku siedziała Leah i jej szef, ponury zastępca prokuratora Stan Bleichert. Macllhenny coś mruknął, na co App wyjął kartkę papieru i zaczął czytać:

– Nazywam się Curtis Roger App i mam zamiar przedstawić oświadczenie, które sporządziłem samodzielnie, dobrowolnie i bez żadnego przymusu, przy pomocy swojego adwokata, Landisa J. Macllhenny 'ego z firmy prawniczej Macllhenny, Bellows, Caville i Srier. Pan Mcllhenny jest dla mnie w tych trudnych czasach podporą moralną. – Odchrząknął i chwilę mizdrzył się do kamery, aż zacząłem się zastanawiać, czy nie wezwie specjalistów od makijażu. – Nie jestem, ani nigdy nie byłem mordercą, nie popieram też takich rzeczy. Znajduję się jednak w posiadaniu informacji, zdobytych nie dzięki uczestnictwu w jakichkolwiek przestępstwach, których umiejętne wykorzystanie mogłoby doprowadzić do wszczęcia śledztwa przeciwko innym osobom za to, że naruszyły artykuł 187 Kodeksu karnego stanu Kalifornia, czyli dopuściły się zabójstwa pierwszego stopnia. Gotów jestem podzielić się wyżej wymienionymi informacjami, w zamian za zwolnienie z więzienia za rozsądną kaucją, tak, bym mógł przebywać z rodziną oraz za zmniejszenie wymiaru obecnego i ewentualnych przyszłych oskarżeń.

Złożył kartkę. Uniósł wzrok.

– W porządku, wszystko zostało sfilmowane – zwrócił się Bleichert do Macllhenny'ego – ale wróćmy już na ziemię.

– Nie ma sprawy – odparł tamten. Wydobył z siebie coś, co przypominało skrzek ropuchy, przy czym brwi poruszały się we wszystkie strony. – Pan App jest powszechnie znanym i szanowanym biznesmenem i nie ma powodów do ograniczania jego wolności...

– Istnieje ryzyko, że mimo wszystko od ziemi się oderwie, Land. W momencie zatrzymania miał zamiar wsiąść na pokład helikoptera, który miał zawieźć go do samolotu odlatującego do...

– Wystarczy – przerwał mu łagodnie Mcllhenny. – Nie zatrzymania. Zaskoczenia. W tamtym momencie pan App nie miał pojęcia, że przeciw jego osobie toczy się jakiekolwiek śledztwo. Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że nie wiedząc o niczym nie miał prawa podróżować, gdzie mu się żywnie podoba, tak jak każdy normalny obywatel USA?

– Z taką fortuną mógł się wymknąć.

– Chcesz zatem powiedzieć, że majątek pana Appa jest wystarczającym powodem do tego, żeby go gorzej traktować? – McIlhenny poklepał się po ciemnoróżowej czaszce.

– Chcę tylko powiedzieć, że może zwać. – Twarz Bleichert była okrągła, ponura i ściągnięta popołudniowym zmęczeniem. Jego granatowy garnitur był faktycznie łachem.

– W takim razie – stwierdził gardłowym głosem MacIlhenny – zwrócimy się do odpowiednich władz.

– Proszę bardzo.

– Witam panienkę – adwokat zwrócił się do Leah. – Znamy się ze szkoły prawa... pięć lat temu chyba?

– Sześć.

– Prowadziłem wtedy wykład dla pani klasy. Wiarygodność materiału dowodowego. Siedziała pani w pierwszej ławce... miała na sobie niebieskie dzinsy. – Leah uśmiechnęła się.

– Jesteśmy wszyscy pod wrażeniem twojej pamięci, Land – wtrącił się Bleichert. – Do rzeczy: czy twój klient zamierza sypać czy wykitować?

MacIlhenny, w geście udawanego przerażenia, przyłożył jedną rękę do ust. Drugą zakrył oczy Leah.

– Psst. Gotów jest odczytać sporządzone uprzednio oświadczenie.

– Nie odpowie na pytania?

– Może innym razem.

– Nie ułatwicie nam współpracy.

– Życie.

Bleichert spojrzał na Leah. Nie dawali sobie żadnych znaków.

– Jak chce, to niech czyta.

– Zwolnienie za kaucją.

– Specjalny pokój w Lompoc.

– To jak więzienie.

– Nie, to zajazd.

– Nie – zaproponował MacIlhenny. – Mój klient bywa w zajazdach i wie, jak wyglądają.

– Przy wszystkim ciężących na nim zarzutach ma w ogóle szczęście, że może jeszcze

oddychać świeżym powietrzem – skomentowała Leah. – Zresztą po co mamy iść z nim na układy, gdy już raz nas oszukał, zwalając winę za śmierć Karen Best na Trafficanta? Skądinąd wiadomo nam, że Trafficant nie miał z tym nic wspólnego.

– Psst – zastopował ją adwokat. – Istnieją różne źródła informacji.

App cały czas siedział ze znudzoną miną. Spokój prawdziwego psychopaty.

– Przeniesienie do Lompoc i koniec ustępstw – targował się Bleichert.

– Ale jaja – drwił Macllhenny. – Historia trzyma w napięciu.

– Sprzedajcie ją na scenariusz.

Macllhenny uśmiechnął się i wskazał palcem na Appa, który wyciągnął drugą kartkę papieru. Odchrząknął i zaczął czytać:

– Artystę i pisarza Morrisa Bayarda Lowella, odtąd określanego mianem Lowella albo Bucka, poznałem latem 1969 roku na pewnym przyjęciu w Nowym Jorku. O ile pamiętam, było to w domu Masona Upstone'a, redaktora naczelnego Manhattan Book Review, w Greenwich Village, chociaż mogę się mylić. Nawiązaliśmy rozmowę, w trakcie której oświadczyłem, że podziwiam jego twórczość. Od tego momentu zaczęła się nasza znajomość, której ukoronowaniem stał się zakup przez mnie praw do tomiku poetyckiego „Rozkaz: rzucaj światło”, w celu nakręcenia na jego postawie filmu. Oprócz zaliczki na poczet owego scenariusza, wyłożyłem pieniądze na zakup jego rezydencji w kanionie Topanga i założenie tam pensjonatu dla pisarzy i artystów, który on sam nazwał Sanktuarium. Zrobiłem to wszystko, pomimo że w życiu twórczym Lowella nastąpiła długa przerwa; wierzyłem jednak, że odzyska siły twórcze i odzyska miejsce na Parnasie literatury amerykańskiej. – Pociągnął nosem. – Tak się niestety nie stało. Recenzenci podeszli do „Rozkazu: rzucaj światło” niezwykle krytycznie, tomik przyniósł same straty. – Szelest papieru. – W trakcie znajomości z Lowellem poznałem wielu innych artystów i pisarzy. Wśród nich znajdował się brytyjski rzeźbiarz Christopher Graydon-Jones, któremu pomogłem w zdobyciu pracy, w będącym po części moją własnością towarzystwie ubezpieczeniowym; swego czasu uważałem go za duży talent i szlachetnego człowieka. Pomogłem także pisarzowi Dentonowi Mellorsowi, którego prawdziwe nazwisko – jak się potem dowiedziałem – brzmi Darnel Mullins, afroamerykańskiemu powieściopisarzowi; zaproponowałem mu pracę w swoim biurze produkcji filmów, a gdy nie wykazał żadnych uzdolnień w tym kierunku, zatrudniłem go na stanowisku kierownika kilku posiadanych przeze mnie moteli. – Odkasznął. – Pragnę także nadmienić, że hojnie wspomagam Fundację Edukacyjną Murzynów Stanów Zjednoczonych. – Macllhenny uniósł brew i podał mu szklankę wody. Tamten wypił i ciągnął: – Dzięki styczności z Lowellem spotkałem także pisarza o nazwisku Terrence Trafficant. Przebywał on swego czasu w więzieniu, gdzie napisał dziennik pod tytu-

łem „Od głodu do wściekłości”. Lowell użył swojej protekcji i doprowadził do zwolnienia Trafflcanta pod dozór kuratorski, dopomógł również w opublikowaniu jego dziennika, który stał się bestsellerem. Za namową Lowella przeczytałem tę książkę i wykupiłem do niej prawa, zamierzając nakręcić na jej podstawie film. Jednocześnie wypłaciłem panu Trafflicantowi za liczkę. – Popatrzył nieruchomym wzrokiem na kamerę, jakby próbując ją do czegoś przekonać. Pociągnął nosem. – Wkrótce potem dowiedziałem się, że padłem ofiarą oszustwa zarówno pana Lowella, jak i pana Trafflcanta; otóż wyszło na jaw, że „Rozkaz: rzucaj światło ” został napisany nie przez pana Lowella, lecz Trafflcanta. Następnie Lowell przekonał świat artystyczny i opinię publiczną, że sam jest autorem dzieła. Dowiedziałem się tego w czasie rozmowy z panem Trafflicantem, który za pewną sumę pieniędzy przekazał mi swój rękopis książki. Znajduję się nadal w posiadaniu tego rękopisu i gotów jestem oddać go jako materiał dowodowy w sprawie przeciw panu Lowellowi za zabójstwo popełnione na panu Traffcancie, o którym wiadomo mi od samego winowajcy; przyznał się do tego kilka dni po popełnieniu morderstwa, gdy oskarżyłem go o oszustwo i plagiat. – Westchnął głęboko. – To wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia.

Macllhenny uśmiechnął się, Bleichert zmarszczył brwi.

– A zatem za wydanie Lowella chce pan puszczenia w niepamięć wszystkich swoich występków – stwierdziła Leah. – Lowella obciąża jedynie pańskie zeznanie.

– Oraz rękopis – dorzucił Macllhenny.

– O ile jest autentyczny. Poza tym dowodzi jedynie oszustwa dokonanego na nieżyjącej już ofierze. Bagatelka.

– Na zamordowanej ofierze.

– Pierwszy raz słyszę o morderstwie od pana Appa.

– Czy odnalezienie zwłok byłoby wystarczającym potwierdzeniem jego słów?

– Zależy czyich.

– No dobrze, dobrze, panienko. Nie strójmy tutaj fochów.

– O czyje zwłoki ci chodzi, Land? – włączył się Bleichert.

– Teoretycznie? Powiedzmy pana Trafflcanta.

– Gdzie się znajdują?

Macllhenny uśmiechnął się i potrząsnął odmownie głową.

– Ukrywasz więc informacje dotyczące morderstwa?

– Nie mam żadnych informacji, Stan. – Adwokat spojrział na fałdy tłuszczu na brzuchu.

Piersi miał wielkie jak striptizerka. – Wszystkie moje rozmowy z panem Appem były czysto teoretyczne.

– Zwłoki to też teoria? – wtrąciła Leah. Macllhenny zamrugał powiekami, ale postanowił nie zwracać na nią uwagi.

– Daję ci prezent, Stan. Opakowane i to ze wstążeczką. To spora sensacja: autor światowej sławy, oszustwo na dużą skalę, plagiat, rozlew krwi. Znajdziesz się na okładce „Time'a”, napiszesz prawdziwy kryminał.

– W przeciwieństwie do kombinatora, który jest pańskim klientem, ma na sumieniu parę zabójstw, a na własność narkotyki, których starczyłoby do zaspokojenia połowy amatorów w Hollywood.

– Mój klient nie jest zdobywcą Pulitzera.

– Ale za to zabił więcej niż jedną osobę.

– Psst, psst – zaśmiał się cicho Macllhenny. – Oszczerstwo i znieśławienie. Jakie ma pani dowody?

– Mam zeznania naocznego świadka.

– Nie budzącego zaufania. Narkoman od dłuższego czasu, a wytoczone mu przez panią oskarżenie o usiłowanie morderstwa daje mu oczywisty motyw do kłamstwa. Jego słowa przeciw zeznaniom mojego klienta?

– Proces sądowy roku – podsumowała Leah. – Czy pan App ma zamiar kupić prawa do scenariusza filmowego?

– Pan App zrywa z filmem. – Macllhenny obrzucił ją pełnym politowania spojrzeniem.

– Po ustaniu całej tej wrzawy wycofuje się z interesów.

– Po ustaniu wrzawy? – powtórzyła. – Przed nami hałas nie z tej ziemi. Wręcz ryk.

Macllhenny zwrócił się z powrotem do Bleicherta. App pozostawał niemy i nieruchomy.

– Proponujesz, żebym siedział cicho, Land?

– Wręcz przeciwnie, otwieram przed tobą możliwości zdobycia sławy i pieniędzy, jak również postawienia przed sądem człowieka – symbolu, w zamian chcąc jedynie umorzenia kilku niepewnych dochodzeń, w których nie masz najmniejszych szans niczego udowodnić.

– Skoro uważasz nas za takich słabeuszy, dlaczego wdajesz się z nami w układy?

– Szkoda czasu i atłasu. – Adwokat podciągnął koszulę i oczom wszystkich ukazała się fałda ciała. – Pan App nie jest człowiekiem pierwszej młodości. Każdy dzień spędzony poza

domem jest dlań bardzo wyczerpujący. Przyznaje, że ma niejake kłopoty z powodu... uzależnienia od pewnych środków chemicznych. Ma zamiar poddać się leczeniu medycznemu i psychiatrycznemu oraz oddać swe niemałe talenty na usługi społeczeństwa, a wszystko to w zamian za wypuszczenie z więzienia i zaniechanie prób skorzystania z prawa do pełnej konfiskaty majątku.

– Terapia i pożytek dla społeczeństwa w zamian za wiele morderstw i pranie pieniędzy? – wypaliła Leah. – Kiedy macie zamiar jechać z tym przedstawieniem do Las Vegas?

Bleichert milczał, usiłowała omijać go wzrokiem, ale niezbyt jej się to udawało. MacIlhenny też spoglądał w jego stronę.

– Musi trochę odsiedzieć – zaczął prokurator – ale może robić to w Lompoc czy w tym podobnym miejscu. Co do konfiskaty, wiesz tak samo jak ja, że to już do nas nie należy.

– Rozmawiałem z agentami rządowymi i mówią że gotowi są poprzestać na konfiskacie części majątku, o ile mój klient udzieli informacji na temat międzynarodowego handlu narkotykami. Wszystko rozbija się o te domniemane morderstwa. Nie chcą znaleźć się w niezręcznej sytuacji.

– Na przykład patrzeć przez palce na wielokrotnego zabójcę? – nastawała Leah.

Bleichert uniósł brew. Leah Schwartz założyła nogę na nogę i odwróciła wzrok. MacIlhenny pozwolił sobie na błądy uśmiezek.

– Jakiś czas w więzieniu – odezwał się Bleichert. – Nic więcej, Land.

– Chyba jesteśmy w stanie zgodzić się na to. – Adwokat rzucił okiem na Appa. – W zakładzie federalnym o zmniejszonym rygorze.

– A co ze sprawą Mellorsa i Barnarda? – pytała Leah patrząc na MacIlhenny'ego, lecz tak naprawdę adresując swe słowa do szefa. – Nie uniknie się niezręcznej sytuacji. Załóżmy, że proces Lowella nabiera rozgłosu. Nie będziemy wtedy w stanie zapanować nad sytuacją. Wystarczy, żeby jego adwokat wpadł na trop naszego układu, a wyjdzie na to, że przestępstwa traktujemy łagodniej niż liberalni zwolennicy praw człowieka.

– Psst, psst.

– Ma rację – stwierdził Bleichert.

– Słuchaj, Stan, o jakich my tu mówimy przestępstwach? Gównu wart kierownik jakiegoś zawzonego motelu wykańcza wypierdka prywatnego detektywa i szantażystę. Cóż to znaczy w porównaniu z szansą oskarżenia Lowella?

– Gównu warty Afroamerykanin i kierownik motelu – dodała Leah. – Białych cenimy wyżej niż czarnych? Już widzę, jak ostrzą sobie na nas zęby fani politycznej poprawności. Nie

wolno nam też przeoczyć faktu, że ofiara Lowella także nie była świętoszkiem. Kogo będzie obchodziło, co jakiś starzec wyprawiał dwadzieścia lat temu?

– Istnieje znacząca różnica, moja panno.

– Jasne, do muru przyparty zostanie klient innego adwokata.

Bleichert zagryzł wargi. App spojrział na niego. Po raz pierwszy okazał zainteresowanie tym, co się wokół niego dzieje.

– Rozumiem wszystkie twoje racje, Land, ale ona wniosła istotne zastrzeżenia – zauważył prokurator.

Mówił o Leah, jakby jej przy tym nie było.

– Możliwe, że znalazłyby się jeszcze inne dowody. – Macllhenny zastanawiał się przez chwilę. – Przynajmniej w teorii.

– Na przykład?

– Kasety magnetofonowe z głosem Trafficanta, który o wszystkim opowiada.

– W teorii – odparowała pełnym obrzydzenia głosem Leah.

– Taki kawał czasu. – Adwokat wzruszył ramionami. Zadrzała na nim cała góra sadła. – Wspomnienia się zacierają. Ile rewelacji znalazłoby się na niejednym strychu?

– W Malibu? – wcięła się Leah. – Czy w Holmby Hills?

– Posłuchaj – odezwał się prokurator – oto moja propozycja. Pan App przyznaje się do współudziału w zabójstwie Karen Best, Felixa Barnarda i Mellorsa. Nieświadomy współudział w przypadku dziewczyny, spisek drugiego stopnia na życie Barnarda, bo strzelał do niego Mellors i morderstwo drugiego stopnia w sprawie Barnarda, wszystko w jednym akcie oskarżenia. O ile uda nam się uniknąć procesu...

– Ale Stan, Stan...

– Poczekaj, Land. Jeżeli uda nam się nie dopuścić do procesu, a Lowell zostanie skazany za morderstwo pierwszego stopnia dzięki zeznaniom pana Appa, twój klient dostaje wyrok w zawieszeniu.

Oczy Leah pały wściekłością. Macllhenny udawał, że rozważa ofertę.

– Chwileczkę, Stan – odezwała się jego zastępczyni. – Barnard został zdecydowanie zabity z premedytacją. Można by z tego wycisnąć spisek pierwszego stopnia, z czego wynika morderstwo pierwszego...

Bleichert uciszył ją krótkim, gniewnym ruchem ręki.

– Co masz na myśli mówiąc o przyznaniu się? – zapytał adwokat.

– Na piśmie, pod przysięgą ze wszystkimi szczegółami, odpowiesz na wszystkie pytania, stuprocentowe przyznanie się do współuczestnictwa.

– Jak w kościele – dorzucił cicho App.

– A drabi? – Macllhenny'emu opadły brwi.

– Jeżeli dojdiesz do porozumienia z tymi z Waszyngtonu, ze mną masz spokój – odparł Bleichert – ale tylko pod warunkiem, że przyzna się do wszystkiego na piśmie i że jego zeznania na pewno doprowadzą do uznania winy Lowella. Jeśli się nie przyzna, wpadł jak śliwka w kompot. Nie cofam słowa co do Lompoc, mogę załatwić złagodzenie rygoru... ba, mogę go nawet umieścić w bloku z samymi eksenatorami.

Trzasnęły stawy w palcach Leah.

– Idź po akta, Leah – polecił Bleichert – żebyśmy wiedzieli, o co mamy pytać pana Appa.

Wypadła z pokoju i przeszła tuż obok mnie.

– Niezła – orzekł Macllhenny zaraz po tym, jak rozległ się trzask zamykanych drzwi na korytarz.

Wyłączono mikrofony i App naradzał się z adwokatem, po czym zaczął mu dyktować. W trakcie przerwy Bleichert i Leah Schwartz poszli do swoich gabinetów.

– Czekasz? – zapytała mnie w przelocie.

– Do czasu, gdy zjawi się tu Milo.

– Uważaj na siebie. Jak będziesz się tu za bardzo kręcił, będziesz musiał poddać się dezynfekcji.

Trzasnęła drzwiami, usłyszał to App i aż podskoczył. Pod luksusowym swetrem cały czas czaił się strach. Macllhenny poklepał go po ramieniu i App znowu zaczął dyktować. Minęło dwadzieścia minut. Milo nie wiedzieć czemu ciągle nie wracał po odprowadzeniu Lucy. Po półgodzinie Macllhenny skończył pisać.

Bleichert przesunął palcem po środku strony. Technika szybkiego czytania. Potem zagłębił się w lekturę. Odłożył kartkę.

– Nie ma tu ani słowa o tym, kto zabił pana Mellorsa.

– Facet o nazwisku Jeffries – rzucił App, jakby był to szczegół bez znaczenia. – Leopold Jeffries. Sam zginął jakieś pięć lat temu, można sprawdzić w kartotekach policyjnych.

– Co miał pan wspólnego ze śmiercią pana Jeffriesa?

– Absolutnie nic – uśmiechnął się App. – Policjanci postrzelili go w trakcie napadu. Leopold Earl Jeffries – może pan sprawdzić.

Nastąpiła chwila milczenia, gdy Bleichert ponownie odczytywał oświadczenie.

– Jak na początek wystarczy. – Włożył kartkę do kieszeni. – A teraz poproszę o informacje w sprawie Trafficanta.

App spojrzał na MacLhennyego. Tłusty adwokat wciągnął policzki.

– Kasety na ten temat – zaczął App – znajdują się w moim domu w Arrowhead. Możecie wziąć je bez nakazu prokuratorskiego. Są w piwnicy, za jedną z lodówek.

– Jedną? – powtórzył Bleichert.

– Mam tam dwie, w razie większych przyjęć. Za jedną z nich znajduje się sejf, a w nim są kasety. Mogę panu zapisać szyfr do sejfu. Terry Trafficant wyznaje mi tam wszystko od A do Z. Nagrałem to, bo przyszło mi do głowy, iż pewnego dnia nabiorą znaczenia historycznego. Terry miał już dojść manipulacji Lowella i traktował mnie jak swojego powiernika. Wypłaciłem mu całość honorarium za prawa do książki i za scenariusz, który dla mnie napisał.

– W zamian za wszelkie przyszłe gaże? – dorzuciła Leah.

– Między innymi, i tak dostał lepsze warunki. Nie zarobiłem na tym ani grosza.

– Co to za scenariusz? – spytał Bleichert.

– Właściwie nie scenariusz w pełnym tego słowa znaczenia, lecz zarys jakiegoś horroru, coś w rodzaju „Piątku trzynastego”, o psychopacie ćwiartującym kobiety.

– Tytuł?

– „Oblubienica”.

Skrót, który dostałem. Tytuł ukradziony z powieści nieżyjącego już autora. Chciał się tanio zabawić? Zbrodnia zawsze go pociągała.

– Uważałem – mówił App – że po niewielkich zmianach... rozbudowaniu postaci... coś mogłoby z tego wyjść. Gdyby Terry nie zapadł się pod ziemię, najprawdopodobniej zająłbym się produkcją tego filmu.

– Niech żyje Hollywood – zawołał Bleichert. – Jak na razie nie dowiedziałem się niczego nowego.

Na twarzy Appa malowała się zaduma. Adwokat podał mu wody i klient zaczął ją powolutku sączyć. Odstawił szklankę i powiedział:

– Wszystko zaczęło się od wyschnięcia źródła natchnienia Lowella. Stało się to przed laty... jakieś trzydzieści lat temu. Nie mógł odzyskać weny, być może przez alkoholizm, może

też wyraził już wszystko, co miał do powiedzenia. Lecz Trafficant o tym nie wiedział. Prawie całą swoją młodość przebywał w więzieniu, gdzie trafił na dawną twórczość Lowella. Przeczytał ją nie mając pojęcia, co tymczasem dzieje się z geniuszem. Zapisał się potem na kurs pisanie, który na próbę zorganizowało więzienie, i doszedł do wniosku, że potrafi pisać. Napisał więc do Lowella, pogłaskał jego próżność i tak zaczęła się ich korespondencja. Trafficant zaczął pisać wiersze i dziennik. Posyłał wszystko Lowellowi, który był pod sporym wrażeniem i rozpoczął starania o warunkowe zwolnienie Trafficanta. – Zamilkł na chwilę. – O tym wiedzą wszyscy. A tak naprawdę dobili targu, jeszcze kiedy Trafficant siedział w więzieniu. Wszystko obmyślił Lowell, przekonując Trafficanta, że na poezji nie sposób zarobić, że praktycznie nie można wydać drukiem tomiku poezji. Wyjątkiem jest kilku sławnych poetów, na przykład on sam. Lowell przyrzekł, że będzie robił wszystko, aby przyspieszyć zwolnienie tamtego, jednocześnie redagując wiersze Trafficanta, aż w końcu opublikuje je pod własnym nazwiskiem. Pieniądze spłyną na konto Trafficanta, któremu wydadzą również dziennik.

–1 Trafficant na to przystał?

– Stał przecież na z góry straconej pozycji, był za kratkami. Lowell proponował mu wolność, majątek i sławę, gdyby dziennik osiągnął duży nakład. Nie chwalono by jego poezji, ale z tym mógł się pogodzić. Oszustwo miał we krwi, przyzwyczyił się do wszelkiego rodzaju układów.

– Ile Lowell dostał za wiersze?

– Zaliczkę w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy na poczet honorariów. Sobie wziął, pięćdziesiąt, piętnaście dostał jego agent. Pensjonat – Sanktuarium – miał być sposobem na przelanie pozostałych osiemdziesięciu pięciu kawałków na konto Trafficanta.

– Wygląda na to, że wiedział pan o tym od początku – zauważył Bleichert.

– Sponsorowałem Sanktuarium, gdyż wierzyłem w Lowella.

– Idealizm?

– Chyba tak.

– Jak na razie twój klient przedstawia się w jak najlepszym świetle – zwrócił się prokurator do MacIlhenny'ego.

– Wal prosto z mostu, Curt – powiedział adwokat do Appa. – Intuicja podpowiada mi, że działają w dobrej wierze.

App wahał się. Adwokat poklepał go po ramieniu.

– Niech będzie – odezwał się producent. – Ja sam też wykorzystywałem pensjonat, żeby prac przez niego pieniądze. Nic poważnego. Paru znajomych... kolegów po fachu przywo-

ziło z Meksyku marihuanę. Jeszcze wtedy nie uważaliśmy jej za narkotyki. Wszyscy palili. – Strzepnął ze swetra jakiś okruszek.

– To chyba nie koniec. – Bleichert machnął niecierpliwie ręką.

– Do końca jeszcze daleko. Lowell liczył, że dzięki ukradzionym Trafficantowi poezjom znowu stanie się sławny. Udało mu się, ale nie tak jak to sobie wymarzył. Krytycy nie znosili tej książeczki, która okazała się szmirą. Z kolei książka Trafficanta stała się niewiarygodnym best-sellerem. – Zachichotał, spodziewając się, że wszyscy mu zawtórzą. Srodze się zawiódł.

Przypomniał mi się pełen oburzenia list, jaki Trafficant napisał do Village Voice w obronie Lowella. z pomocą przyszła mu jedyna namiętność, na jaką stać psychopatę: instynkt samozachowawczy.

– Jak Lowell wywnioskował, że Trafficant nie pisnie ani słowa o ich transakcji?

– Lowell znajdował się w sytuacji bez wyjścia. Był naiwny – jak większość ludzi sztuki. Stykam się z nimi od trzydziestu lat i możecie wierzyć mi na słowo. Klęska tomiku ocaliła Lowella. Po co Trafficant miałby zgłaszać pretensje do takiej tandety, szczególnie że jego druga książka odnosiła właśnie sukces? Ale Lowellowi z początku nawet nie przychodziło to do głowy. Miał hopla na punkcie swojego miejsca w historii, nie mógł znieść gasnącej sławy. Przesiadywał całymi dniami w tej chacie na terenie posiadłości, ale bez skutku. Chcąc zapomnieć pił i brał narkotyki, co jeszcze bardziej pogarszało jego stan.

– Jak zniósł niepowodzenie tomiku?

– Zalał się w trupa, a później powtarzał, że to i tak książka Terry'ego, który był pozbawionym wszelkiego talentu bandziorem. Tymczasem Terry udzielał wywiadów dla „New York Timesa” i sprzedawał po tysiąc egzemplarzy tygodniowo. Lowell przestał się do niego odzywać i Trafficant przeczuwał, że niezdługo będzie musiał wynosić się z Sanktuarium. To wtedy oddał mi na przechowanie swoje honoraria. Robił z siebie chojraka, ale był zwykłym kombinatorem, nie dawał sobie rady w życiu, więc zwrócił się do mnie.

–1 nagrał pan na kasetę jego opowieść?

– Dla jego własnego dobra.

Bleichert mruknął.

– Ironia losu – stwierdził App. – Fabuła jest niezła. Nazwisko Lowella na okładce tego tomiku miało zapewnić mu sukces, a stało się inaczej. Trafficant stał się ulubieńcem krytyków. Można zrobić z tego komedię dla telewizji kablowej.

– A więc Trafficant wyśpiewał panu wszystko, bo bał się, że sam nie da sobie rady? – powtórzył prokurator.

– Poza tym chciał się po prostu wygadać. Jak wszyscy recydywiści. Brak umiaru. Nie znam takiego, który umiałby utrzymać język za zębami.

– Wielu pan ich zna, co?

– Natykam się na bardzo różnych ludzi. – App założył ręce na piersiach.

– Nie wspomniał pan ani słowem o samym morderstwie.

– Lowell zabił Terry'ego. – App uśmiechnął się. – Dwa dni po zajściach z córką Besta. Wszystko stanęło wreszcie na ostrzu noża, bo Lowell był wstrząśnięty wypadkami ostatnich dni. Nosił się z zamiarem zamknięcia pensjonatu. Poza tym cały czas był wkurzony na Terry'ego. Kazał mu się wynosić. Tamten sklął go na czym świat stoi i zagroził, że wyjawi skandal z tomikiem. Gdy Terry się odwrócił, Lowell uderzył go w głowę butelką whisky, potem bił go długo. Wpadł w popłoch, zadzwonił do mnie i wybełkotał swoją prośbę o pomoc. Pojechałem tam i razem zakopaliśmy ciało Trafficanta. – Klasnął w dłonie.

– Dzięki temu – dodał Bleichert – miał pan pewność, że Lowell nigdy nie zdradzi pana udziału w zabójstwie Karen Best?

– To leżało również w jego własnym interesie. I bez tego nie cieszył się zbyt dobrą opinią.

– Gdzie leży Trafficant?

– Pod chatą Lowella, tą którą sam nazwał „Natchnieniem”. To właśnie tam go załatwili.

– Oni?

– Lowell, Denny Mellors, Chris Graydon–Jones.

– A co miał do tego Mellors?

– To był mięczak. Powtórzyłbym to samo, gdyby był biały. Nawiasem mówiąc, nie odpowiadał mu własny kolor skóry. Nie przyznawał się do niego. Myślał, że jeśli ograniczy się do pisania i włożenia wszystkim do dupy, to zdobędzie sławę i nabije kabzę. Ale nieważne, właśnie pod tą chatą zakopali Terry'ego. Nie orientuję się, czy ona tam jeszcze stoi, ale mogę pokazać miejsce, zaraz przy stawie.

– Nieopodal Karen Best – dorzucił Bleichert. App nie zareagował. – Czy wspominaliśmy o jakichś nie znanych nam jeszcze trupach?

– Nie mam pojęcia. Trzeba zwrócić się z tym do Lowella. To łebski gość. Wiedział pan, że pierwszą jego książkę wydali jeszcze w college'u? Wszyscy dokoła powtarzali mu, że jest geniuszem. To miało fatalne konsekwencje – uwierzył recenzentom. Czy moglibyśmy pomówić o przeniesieniu mnie do jakiegoś przyzwoitego zakładu?

– A zatem przez cały ten czas dostaje pan honoraria należne Trafficantowi?
– Po paru latach sumy stały się symboliczne. Od pięciu lat nie dostałem ani grosza.
– Ile było tych symbolicznych sum?
– Musiałbym sprawdzić. Nie sądzę, żeby było tego razem więcej niż sto pięćdziesiąt tysięcy.

– A wypłata dla pana Trafficanta akonto nowej książki?
– Siedem tysięcy. Przepuścił wszystko w karty jeszcze tego samego dnia. Dlatego tak bał się, że Lowell go wyrzuci. Z jednej strony był autorem bestsellera, na konto wpłynęło mu osiemdziesiąt pięć patyków, a mimo to nie wiedział, co z taką forszą począć. No więc, czy może pan spowodować przeniesienie mnie do innego zakładu?

– Zajmiemy się tym.
– A czy do tego czasu mogę dostawać oddzielne jedzenie za swoje pieniądze? Tutaj żarcie pływa w tłuszczu. Mam swojego szefa kuchni, który mógłby...

Bleichert raz jeszcze odczytał zeznanie Appa i swoje notatki z przesłuchania. W tej chwili otworzyły się drzwi od korytarza i krępy Murzyn, pracownik więzienia wszedł do pomieszczenia obserwacyjnego.

– Zastępca prokuratora Bleichert? – zapytał, przyglądając się mojej odznace konsultanta. Pokazałem ręką w stronę lustrzanego przepierzenia.

– O czymś rozmawiają?

– Właśnie kończą.

Zerknął przez wizjer. Bleichert cały czas czytał kartki. App i MacIlhenny siedzieli w milczeniu.

– Hmm – mruknął, po czym zapukał.

– Proszę – odezwał się zirytowany prokurator.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale przynoszę pilną wiadomość.

– Od kogo? Nie mam czasu.

– Od niejakiego Mila Sturgisa.

– Czego chce?

– Prosił, żebyśmy porozmawiali o tym na osobności.

– No dobra. – Zwrócił się do Appa i MacIlhenny'ego: – Przepraszam na chwilę. – Wszedł, zamknął drzwi i zapytał, tupiąc nogą: – Co może być aż tak bardzo pilnego?

Funkcjonariusz spojrział w moją stronę. Bleichert odszedł do przeciwległego kąta. Pracownik więzienia zaczął mu coś szeptać do ucha. Skwaszona twarz prokuratora nagle się rozjaśniła.

– No nie, do cholery!

– Nic się nie stało Lucy? – zapytałem.

Bleichert nie zwracał na mnie uwagi i zwrócił się do mundurowego:

– Na pewno?

– Tak powiedział.

– Kiedy?

– Jakąś godzinę temu.

– 1 jest to stuprocentowo potwierdzone?

– Tak mówił, panie prokuratorze.

– No, nie... nie do wiary... dobra, dziękuję.

Pracownik więzienia wyszedł, a Bleichert stanął zamyślony. Po chwili wrócił do pokoju przesłuchań.

– A więc – zaczął App – możemy zająć się formalnościami?

– Jasne. Czeka nas kupa papierkowej roboty – uśmiechnął się szeroko.

– Jestem na diecie bogatej w węglowodany, z minimalną ilością tłuszczów – podjął App.

– Szczęściarz. – Nowy, bardziej hardy ton głosu Bleicherta.

– Stan? – odezwał się MacIlhenny. Bleichert odpiął marynarkę i włożył kciuki w szlufki spodni.

– Zaszły pewne nowe okoliczności, panowie. Przed chwilą zostałem powiadomiony, że dziś po południu zmarł pan Lowell: rozległy zawał serca. A zatem wszelkie układy uznają od-tąd za nieważne, a uzyskany materiał dowodowy zostanie wykorzystany przeciwko panu Appowi.

App zbladł, jego twarz przybrała barwę swetra. Adwokat uniósł swe cielsko z fotela i runął naprzód, wymachując rękami jakby opędział się od szerszeni.

– Nie, tak nie...

– To niedopuszcza...

– Przykro mi, Land, negocjacje prowadziliśmy w dobrej wierze. To twoje własne słowa.

Siła wyższa. A może wyższej instancji nie przypadła do gustu nasza transakcja?

– Ty po prostu... – wściekły adwokat, aż zachwiał się na nogach.

– Nie, to ty, Land. Wszelkie umowy zostają unieważnione, a zeznania zostały zarejestrowane. – Machnął ręką w której trzymał tekst zeznań. – Zawsze wszystko zapisuj – dorzucił z tryumfalnym uśmiechem. – To lekcja, jaką wyniosłem z filmu „Demokracja sądowa”.

Rozdział czterdziesty ósmy

– Może nie ma powodu do niepokoju, ale właśnie skończyłam rozmawiać z kobietą z którą powinien się pan chyba skontaktować. Zdaję sobie sprawę, że zawsze są dwie strony medalu, szczególnie w takich wypadkach, ale naprawdę radzę, żeby pan z nią porozmawiał.

– O kim pani mówi? – podała mi nazwisko.

– Rozmawiałam z nią przy okazji kontaktów z ojcem, który jest dyrektorem biura nieruchomości. Próbowałam odebrać... no, ale to nieważne. Podałam jej pana dane, mówiąc, że być może odezwie się pan.

– Na wypadek, gdybym się jednak nie dodzwonił, proszę mi w paru słowach streścić waszą rozmowę.

– To rzuca chyba nowe światło na całą sprawę – zakończyła opowieść.

– Fakt – potwierdziłem, czując przechodzące mi po grzbiecie ciarki. – Chyba tak.

Odłożyłem słuchawkę i zacząłem szaleńczo wystukiwać numery telefonów. Potem zostawiłem kartkę dla Robin i pognałem do seville'a.

Nie było pogrzebu. Kremacja miała miejsce w zakładzie pogrzebowym naprzeciw miejskiej kostnicy. Prochy stały na półce do chwili, aż Ken zabrał urnę. zaproponował Lucy wspólne rzucenie jej do morza z mola w Malibu. Darowała to sobie. W sumie jednak na swój sposób odczuwała żal.

– Miał raczej kiepskie życie – skwitowała. Błękitne morskie fale poruszały się leniwie. Dzień wcześniej z wody wyszedł lew morski i nie zważając na rozwścieczonego Spike'a, podszedł do nas, żeby go nakarmić. Dziś natomiast na plaży było pusto.

– Chyba tak – powiedziałem.

– Powinam go żałować, chciałabym odczuwać coś oprócz tej nieznośnej ulgi.

– Akurat w tej chwili ulga jest reakcją naturalną.

– No tak... po tym, w jaki sposób ze mną rozmawiał. Po takiej rozmowie pistolet Gray-

dona-Jonesa zmalał do rozmiarów zabawki. Właśnie dzięki temu zdobyłam się na tyle odwagi. – Wpatrywała się w fale. – Był chyba więźniem, tak jak my wszyscy. Losu, biologii, czego tam jeszcze... pod względem genetycznym jestem częścią jego osoby.

– To źle?

– Źle, jeśli noszę w sobie jakieś cechy jego charakteru. Jeśli będę miała kiedyś dzieci...

– Jeżeli będziesz miała dzieci, będą wspaniałymi ludźmi.

– Skąd ta pewność?

– Bo jesteś miłą i życzliwą kobietą. On z samolubstwa zrobił formę sztuki. Tobie nie sposób zarzucić egoizmu. Prawie zginęłaś przez to swoje poświęcanie się.

– Może... nieważne, chyba jest już po wszystkim.

Mój uśmiech był obłudny. Jej żałoba po Puku musiała skończyć się wcześniej. Cały czas nie miałem pojęcia, dlaczego włożyła głowę do duchówki. Ciągłe nie wiadomo, czy na jej życie czyhały Bogetki, czy też jeszcze ktoś inny. Możliwe, że po pozbyciu się koszmaru będziemy mogli pozbierać brakujące części układanki.

W oknach na drugim piętrze domu na Rockingham Avenue paliły się światła. Taurus Kena stał na podjeździe, ale nikt nie reagował na mój dzwonek. Pobiegłem do bocznej furtki. Zamknięta. Przeszedłem przez parkan. Siedział bezwładnie na tarasie, głowa mu opadła. Na stole stała do połowy wypełniona butelka wódki, obok szklanka z topniejącym lodem. Gdy znalazłem się w odległości kilku metrów, spojrzał na mnie przepitym wzrokiem, po czym – jakby ktoś znienacka nacisnął jakiś guzik – automatycznie się wyprostował.

– Doktorze.

– Dobry wieczór, Ken. – Popatrzył na butelkę i odsunął ją.

– Kieliszeczek przed snem.

Mówił wyraźnie, ale słowa wydobywały się z ust zbyt wolno. Miał potargane włosy i zmiętą kraciatą koszulę.

– Czemu zawdzięczam te zaszczytne odwiedziny?

– Wpadłem sprawdzić, jak ma się Lucy.

– A... nie ma jej.

– A gdzie jest?

– Nie wiem... wyszła.

– Pojechała samochodem?

– Na to wygląda. – Jeszcze bardziej się wyprostował, usiłując przygładzić palcami włosy.

– Kiedy wróci?

– Niestety, nie wiem. Może pan być pewny, powiem jej, że pan zajrzał. Coś się stało?

– Prawdę mówiąc – zacząłem, siadając – nie jestem tego tak do końca pewien. Dlatego też tu jestem.

Odsunął krzesło. Kute żelazo zazgrzytało o płytki. Popatrzył na drugie piętro.

– Na pewno jej tu nie ma?

– Oczywiście. – Wyraz jego twarzy zmienił się, zaczął przypominać ryj świni. Ni stąd, ni zowąd sięgnął ręką po butelkę. Ubiegłem go i odsunąłem ją poza jego zasięg.

– Nie wiem, o co panu chodzi, ale ciągnę już resztką sił. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, ma chyba człowiek prawo do odrobiny relaksu.

– My? Pan i Lucy?

– A kto? Nie wiem, o co panu chodzi, ale lepiej niech pan stąd znika i wróci, kiedy będzie pan umówiony.

– Czy to ty umawiasz ją teraz na wizyty, Ken?

– Nie... proszę posłuchać. – Wstał, wygładził spodnie i uśmiechnął się. – Wiem, że ona czuje do pana sympatię, ale to mój dom i chciałbym zaznać w nim trochę spokoju. Więc... – skierował palec w stronę bramy.

– Pana dom? – powtórzyłem. – A ja myślałem, że firmowy.

– Zgadza się. A teraz...

– Rozmawiałem przed chwilą z pańską drugą byłą żoną, Kelly. Twierdzi, że w firmie nie pracuje pan już od ponad roku. Firma jest własnością jej ojca i od chwili rozwodu nie jest pan tam mile widziany. Dlatego też nie obejmuje pana ich polisa ubezpieczeniowa. Dlatego zamiast prawdziwej sekretarki ma pan automatyczną. Zdradziła mi także, że wykradł pan dane z komputera i stąd zna pan adresy bankrutów.

– No, nieźle – zawołał, wycofując się w stronę drzwi. – Sprawa rozwodowa. Wierzy jej pan, ma pan tyle rozumu co i ona!

– Zdaję sobie sprawę, że zawsze są dwie strony medalu, ale Kelly utrzymuje, że w aktach sądowych znajduje się potwierdzenie pańskiego alkoholizmu i uciekania się do przemocy. Nie tylko w stosunku do niej. Bił pan także pierwszą żonę. Mówi, że wiadomo powszechnie

nie, że groził pan własnemu teściowi i usiłował przejechać go samochodem, a pańska starsza córka, Jessica, wylądowała w szpitalu ze złamaną szczęką.

– To przez przypadek. Ona... – potrząsał głową.

– Znalazła się na drodze? Czyjej, pańskiej pięści? To samo przytrafiło się Kelly, gdy rozwalił jej pan wątrobę. I wszystko przez przypadek?

– Tak, tak właśnie było. Wszystkie mają skłonność do ulegania wypadkom; to taka cecha rodzinna.

– Ken, gdzie Lucy? Czy siedzi zamknięta w swoim pokoju, bo udało ci się przekonać, że to dla jej dobra?

Ręce mu opadły. Spojrzał na mnie bezradnie. Potem złapał za szklankę i cisnął nią w moim kierunku. Uchyliłem się, ale całkiem niepotrzebnie, bo chybił.

– Wynoś się z mojego domu!

– Bo co? Zadzwoń na policję? Lucy jest na górze i zaraz po nią idę.

– Nie wchodź mi w drogę, zasrańcu. Nie masz o niczym pojęcia. – Rozłożył ręce i za-blokował mi drogę.

– Niestety mam i w tym sęk, że wiem, na co cię stać. Gdy teść wylał cię z pracy, zacząłeś przyjeżdżać w te strony. Nie po to, żeby poznać Puka i Lucy, ale żeby się ich pozbyć. Chciałeś zdobyć nieograniczony dostęp do funduszu powierniczego. Lucy dostaje rocznie dwanaście tysięcy odsetek. Przy założeniu, że kapitał jest oprocentowany na skromne pięć procent, wychodzi co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Czwooro rodzeństwa, co daje okrągły milion. Najpierw spotkałeś się z Pukiem, dowiedziałeś się o jego uzależnieniu od heroiny i podsyciłeś je. Zdobyłeś informacje o trybie życia Lucy. Kiedy wracała do domu, jadła kolację i zasypiała przed telewizorem ze szklanką soku jabłkowego w ręce. Zacząłeś wydzwaniać do niej i odkładać słuchawkę, gdy się odzywała. Ukradłeś Pukowi klucz od jej mieszkania, przeszukałeś je, grzebałeś w jej bieliznie... przyszła kolej na zabawę. – Zaklął. – Po kilku dniach wszedłeś pod jej nieobecność i wsypałeś do soku coś, co działa przez krótki czas. Mówiła, że czuła się jak po mocnych lekach. Gdy straciła przytomność, wróciłeś i wsadziłeś jej głowę do duchówki. Potem odegrałeś bohatera. Odczekałeś, żeby zaczął działać środek uspokajający, wezwąłeś karetkę i zawiozłeś ją do szpitala. Następnie podłożyłeś kartkę i szczerze odchody. Miałeś zamiar zapanować nad jej życiem i zabrać z mieszkania, a ja z Milem idealnie się do tego dopasowaliśmy. Chociaż pewnie nawet gdybyśmy się opierali, to znalazłbyś sposób, żeby sama tego chciała. Odnowienie więzi rodzinnych, co?

Przywarł plecami do drzwi. Raz po raz zaciskał pięści, czuć było alkohol i imbirową wodę kolońską.

– Nie mogłeś tak po prostu jej zabić – ciągnąłem – bo śmierć dwojga rodzeństwa w tak niewielkim odstępie czasu mogła wzbudzić czyjeś podejrzenia. Na przykład Milo. Należało przede wszystkim zbliżyć się do Lucy i upozorować wypadek... biedna lunatyczka spada ze schodów. Puk ułatwił ci sprawę dzięki swemu nałogowi. Nie pojechał do Nowego Meksyku. W momencie, gdy zaczęłeś dzwonić do ludzi i naśladować jego głos, już nic żył. Nie musiałeś się nawet zbytnio wysilać. Embrey nie znała jego głosu. A gdy zadzwoniłeś do ojca z wieścią, że Lucy usiłowała popełnić samobójstwo, odebrała jego asystentka. Ponieważ Lucy cały czas martwiła się o Puka, więc pojechałeś z nią żeby odkryć ciało – raz jeszcze zostałeś bohaterem. Puk nigdy cię nie zawiódł. Przyszedł na umówioną kolację, chociaż pewnie nie chodziło o żadną kolację, tylko o podanie mu narkotyków, i to niezwykle silnych. Pewnie dawał sobie w żyłę, kiedy już zamykałeś drzwi, a po chwili nie było go wśród żywych. Dobrze mówię?

– No dobrze – odezwał się, usilnie starając się zachować spokój. – Trochę się pan zirytował, ale proszę, niech pan wejdzie do środka, to porozmawiamy.

– Dwoje rodzeństwa z głowy, została jeszcze jedna? Czy Jo faktycznie spadła z góry, czy też był to, pierwszy ukłon w stronę rodziny?

Potrząsnął głową, jakbym opowiadał niestworzone historie. Po chwili nacisnął klamkę i wpadł do środka, próbując zatrzęsnąć mi drzwi przed nosem. Naparłem na nie całym ciałem. Ciężar dawał mu przewagę, ale przez szparę w drzwiach widać było okolice jego pasa, więc wbiłem tam pięść, aż cały zwiotczał. Kolejny cios nie był chyba aż tak mocny, gdyż tylko upadł. Otworzyłem drzwi i rzuciłem się na niego, przygniatając do ziemi.

Rozdział pięćdziesiąty

– Krótko, jest szansa na wyjaśnienie morderstw naśladowców. Dekarz, który w czasie rozprawy pracował na dachu sądu.

– Ma psa?

– Wielkiego i wrogiego kundla – odparł radośnie. – Nie cieszysz się, że to nie ty byłeś tym nieszczęsnym klaunem, który musiał zrobić mu lewatywę?

– Jak na to wpadłeś?

– Jeden z woźnych podsunął mi tę myśl; mówił, że ten gość wysiadywał na popołudniowych sesjach sądu, coś sobie bazgrał, robił notatki. Wyglądał jakoś podejrzanie. Upierdliwiec mieszka w Orange County i ma na koncie kupę wyroków za podglądanie i próby gwałtu. Ludzie z Santa Ana mówią że pierwsza rozmowa nastraja optymistycznie. Za pół godziny biorę udział w drugim przesłuchaniu.

– A zatem Bogetki nie miały z tym nic wspólnego?

– Nie wiadomo. Policjanci twierdzą że podejrzany parokrotnie z nimi rozmawiał. Skurwiel zaprzecza, jakoby miał z nimi jakiegokolwiek powiązania, ale w jego pokoju wisi pełno wy-cinków na ich temat, leży też kasetka wideo z telewizyjnym wywiadem z przewodniczką stada, Staszą. I parę jeszcze innych zabawek. To wystarczy, żeby rozpocząć przesłuchania tych bab i solidnie przycisnąć je do muru. Zanim się do nich udamy, będziemy chcieli dostać stanowczy nakaz. Założę się, że na ich ranczu natrafimy na broń i narkotyki, więc powinniśmy je za coś w końcu wsadzić.

– Powodzenia.

– Niezależnie od tego sądzę, że ten gnojek wykończył Shannon i Nicolette. Policja z Santa Ana znalazła kolczyk, który mógł stanowić własność Nicolette oraz rachunki za używanie przechowalni bagażu w Long Beach. Ekipa sądowa cały czas przetrząsa jego mieszkanie; analiza wszystkich włókien zajmie jeszcze sporo czasu. To mniej więcej tyle chciałem ci powiedzieć.

– Dobrze. Miło usłyszeć jakieś dobre wiadomości.

– Tak... ahi, jeszcze jedno. Udało nam się w końcu zidentyfikować odciski palców Ńowy. Przykro mi, że zaprzeczam intuicji lekarza, ale ona nic jest siostrą Kena i Lucy.

– Co?

– Prawdziwej Jokaście Lowell pobierano odciski jeszcze w czasach studiów na Berkeley. Przymknięto ją podczas demonstracji. Zdjęto je także po przywiezieniu zwłok z Nepalu, więc nie ma co do tego ani cienia wątpliwości. Tak nawiasem mówiąc, Ken faktycznie z nią tam był, więc mógł ją nawet zepchnąć, ale kobieta ta nazywa się Julie Beth Claypool. Fordanserka, narkomanka, włóczęga, wiecznie zadłużona artystka. Aresztowana raz po raz od szesnastego roku życia. W pudle pisała wiersze. Ken poznał ją parę lat temu na odwyku. Miłość od pierwszego ugryzienia.

– Pomiata nim – powiedziałem, wciąż nie mogąc się otrząsnąć.

– Normalne. Podobno lubiła bicze i łańcuchy.

– Te blizny – mówiłem. – Trafiłem kulą w płot... za pomocą kompleksu Edypa chciałem wyprowadzić ją z równowagi... może aż tak mocno pragnąłem, żeby straciła ten kamienny wyraz twarzy, że wszystko sobie zmyśliłem. – Serce waliło mi jak młot. Oblewał mnie zimny pot.

– Całkowicie błędne przesłanki.

– Co jej dokładnie powiedziałaś?

– Że chce się walić z Kenem tak samo jak chciała pieprzyć się z tatusiem.

– No wiesz – stwierdził – dowiedziałem się, że pochodzi z fatalnej rodziny. Podejrzanie

kazirodztwa od wczesnego dzieciństwa.

– O Boże! Wszędzie to samo.

– Tym razem masz szczęście. n

– No tak. Może powinienem kupić bilet na loterii.

– Mogą być brzoskwinie? – pytała Lucy. – Włożyłam już gruszki.

– Włóż, włóż, skarbie – poradziła stojąca obok niej kobieta. – Owoce pomagają starym.

Stały przy jednym z wielu długich stołów, na których piętrzyła się żywność; w pomieszczeniu znajdowało się jeszcze kilkanaście innych osób. Rozdzielali puszki i pudełka ryżu, fasoli, kasz, mąki i płatków. Serce Kościoła Wyciągniętej Dłoni biło w zatęchłym magazynie. Kobiety i mężczyźni w różnym wieku i o różnych odcieniach skóry pracowali spokojnie i radośnie, napełniając pudełka przeznaczone do rozwieszenia, po czym wnosili je do kilku stojących za budynkiem, starych półciężarówek. W mieście znajdowało się jeszcze kilka takich miejsc.

Gazety, zwłaszcza wydawane w chłodniejszych obszarach kraju, z zamiłowaniem przedstawiają Los Angeles jako coś w rodzaju okrytego chmurą smogu obozu wojennego na modłę Bałkanów, w którym dzieją się rzeczy tak istotne jak w komediach familijnych i tak tchnące altruizmem jak politycy. Odpowiada to prawdzie tak jak wiele innych doniesień prasowych.

Sherrel pracował na równi z innymi, od których odróżniało go jedynie to, że dość często musiał przerywać i odpowiadać na telefony. Podszedł do nas.

– Cudowna kobieta. – Lucy zarumieniła się.

– Święta Lukrecja.

– Dobro, którego doświadczamy za jej sprawą, musi pochodzić z pięknej duszy, doktorze Delaware.

– Wiem.

– Przestańcie – powiedziała Lucy, wkładając do pudełka torebkę ciastek.

– Świetnie – skwitował Best. – Czy mogę na chwilę pozbawić cię towarzystwa naszego miłego doktora, Lucy?

– Pod warunkiem, że przyprowdzi go pan z powrotem.

Zaprowadził mnie do maleńkiej klitki i zamknął drzwi w przepierzeniu, które nie pochłaniało zbyt wielkiej ilości odgłosów. Na ścianach wisiały obrazki biblijne w rodzaju tych,

które umieścił u siebie w kuchni.

– Chciałem panu po prostu podziękować za wszystko, co pan uczyniła

– Cała przy... \

– Pańska wytrwałość jest czymś zaiste wyjątkowym. Bóg postawił na Jej i mojej drodze pana i było to prawdziwe błogosławieństwo. – Popatrzył na mnie niepewnie.

– O co chodzi, wielebny?

– Wie pan, przez pewien czas myślałem, że jeżeli poznam prawdę, sam zajmę się wymierzeniem sprawiedliwości. Pismo Święte występuje przeciw zemście, lecz z drugiej strony zezwala skąpanemu we krwi Zbawcy na odebranie swojej zapłaty. Przychodziły chwile, gdy myślałem, że zrobię coś strasznego. Moja wiara słabła. – W oczach pojawiły mu się łzy. – Mogłem być lepszym ojcem. Mogłem dawać jej pieniądze, żeby nie musiała...

– Nie trzeba – powiedziałem, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie mam ambicji zostać drugim Salomonem, ale potrafię odróżnić dobrego ojca od złego.

Jeszcze chwilę cicho płakał, po czym raptownie przestał. Wytarł oczy i ujął moją rękę w swoje obie dłonie.

– Ale ze mnie samolub. Tyle zostało pracy – a tylu ludzi głoduje.

Zająłem się pakowaniem. Ręce Lucy poruszały się jak u tkaczki przy krośnie. Próbowała się uśmiechać, ale jej to nie wychodziło.

– Dzięki, że pan przyszedł. Jutro pewnie spotkamy się na plaży.

– Oczywiście – odparłem. Coś mi się zdaje, że będę tu zachodził częściej. v